Syberia

Coonts Stephen

calibre 0.9.27

Stephen Coonts
SYBERIA

Dla Deborah

Podziękowania

Autor uzyskał porady techniczne dotyczące różnych fragmentów tej książki od wielu specjalistów. Na szczególne podziękowania zasłużyli: Ray A. Crockett, Charles G. Wilson i komandor Marynarki USA w stanie spoczynku Sam Sayers. Cennych uwag na temat hełmu lotniczego nowej generacji udzielił autorowi Bob Price, pułkownik w stanie spoczynku z Korpusu Piechoty Morskiej, oraz jego koledzy, piloci – oblatywacze z zakładów Lockheed – Martin, którzy przyglądali się, jak autor trenował w symulatorze kabiny F-22 i nie śmiali się.

Rozdział 1

Dwie furgonetki towarzystwa telefonicznego posuwały się w żółwim tempie zatłoczonym bulwarem przed Pałacem Cesarskim. Tego czerwcowego poranka korki w Tokio były równie uciążliwe jak zwykle. W ciepłym powietrzu spaliny unosiły się falami.

Kierowca pierwszej furgonetki nie spuszczał oczu z jezdni. Miał dwadzieścia kilka lat. Krótko przystrzyżone włosy skrył pod niebieską czapką z firmowym napisem. Skupiwszy się na ruchu drogowym, mocno ściskał kierownicę.

Jego starszy o parę lat pasażer również nosił kombinezon i czapkę. Bacznym spojrzeniem inteligentnych oczu lustrował kamienny mur otaczający pałacowy park.

Pomiędzy ścianą a bulwarem znajdowała się licząca sobie kilkaset lat fosa wypełniona wodą. Ponad murem szczelną kurtyną wyrastała plątanina drzew i krzewów. Właściwie były to dwie fosy, zewnętrzna i wewnętrzna, lecz od ponad stu lat wznosiły się nad nimi mosty. Większość odcinków fos nadal wypełniała woda. Te trzydziestometrowej szerokości sadzawki w sercu Tokio przyciągały kaczki i tłumy ludzi, jakby zapraszając do kontemplacji.

Pasażer pierwszego auta nie zwracał uwagi na wodę ani na tłumy. Bardziej interesowały go samochody policyjne i pojazdy straży pałacowej; o każdym zauważonym meldował kierowcy. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek.

Kiedy obie furgonetki wykonały pełne okrążenie wokół murów pałacu, człowiek siedzący w tyle pierwszego wozu powiedział kilka słów do trzymanego w ręku radiotelefonu i uważnie wysłuchał odpowiedzi. Potem skinął głową mężczyźnie siedzącemu na miejscu pasażera. Ten dwukrotnie klepnął kierowcę w ramię.

Po kilku sekundach oba pojazdy skręciły w podjazd dla służby. Tu wewnętrzna fosa była napełniona wodą i samochody przejechały przez wąską bramę na otoczony murem dziedziniec. Umundurowany strażnik obserwował parking z przeszklonej budki. Dwóch uzbrojonych wartowników stało przed bramą, dwóch kolejnych przed drzwiami prowadzącymi do budynku. Cała czwórka obserwowała pasażera, który wysiadł z furgonetki i poszedł w kierunku budki wartowniczej.

Małe okienko było już otwarte.

Pasażer skłonił się uprzejmie.

– Jesteśmy od napraw telefonów. Wezwano nas dziś rano.

– Proszę okazać dokumenty. Pasażer podał je.

– Tak, figurujecie na liście. – Wartownik zwrócił mu dokumenty.

– Gdzie możemy zaparkować?

– Koło drzwi. – Oficer Straży Pałacowej wykonał nieznaczny gest. – Nie powinno być żadnych kłopotów. Jak długo potrwa naprawa?

– Nie wiem. Musimy zbadać uszkodzenie i ustalić, czy mamy sprzęt odpowiedni do jego usunięcia.

– Musicie opuścić pałac przed czwartą.

– A jeśli nie zdążymy do tej pory?

– Powinniście porozumieć się z Cesarską Administracją Pałacową i uzgodnić kolejny termin.

– Rozumiem. Przede wszystkim musimy poznać problem. Mamy sprzęt służący do przeprowadzania badań wewnątrz pałacu.

Oficer przytaknął i skinął na dwóch uzbrojonych, pilnujących drzwi policjantów.

Zaparkowanie i rozładowanie furgonetki nie trwało długo, jeden ze strażników rozmawiał z

oficerem w budce wartowniczej, gdy monterzy dokonywali przeglądu sprzętu. W końcu podzielili się wyposażeniem. Drugi strażnik wszedł z nimi do środka.

– Zaprowadzę was na miejsce awarii – oświadczył i ruszył przodem. – Administracja ma na etacie technika telekomunikacji. Jeśli chcecie, wezwę go i wyjaśni wam, co wykrył podczas kontroli systemu.

– Może tak zrobimy – odezwał się pasażer pierwszej furgonetki – jednak najpierw rozejrzymy się sami.

Dotarli schodami do długiego korytarza na piętrze. Kiedy znaleźli się w magazynie, nad głową strażnika przeleciała linka, zaciskając mu się na szyi. Zanim zdążył krzyknąć, wpiła się mocno w gardło. Usiłował się uwolnić, gdy jeden z mężczyzn znalazł się przed nim, złapał go za głowę i gwałtownym ruchem skręcił kark.

Monterzy dźwignęli bezwładnego strażnika i złożyli ciało w kącie pokoju, poza zasięgiem wzroku osoby, która przypadkowo zajrzałaby do wnętrza. Zabójstwo nie zajęło im więcej niż sześćdziesiąt sekund.

Roześmiane, popiskujące wesoło dzieci kręciły się beztrosko wokół cesarzowej. Chichotały radośnie, okrążając ją w pląsach po wypielęgnowanym trawniku pomiędzy krzewami i kępami bujnie rosnących kwiatów. Na błękitnym niebie jasno świeciło słońce, a z oddali dobiegał głos świątynnych dzwonów. Rytmiczne dźwięki obwieszczały piękno i porządek wszechświata.

Cesarz Naruhito był zapewne jedyną osobą, która zwróciła uwagę na dźwięk dzwonów, stanowiący jego zdaniem doskonałe tło muzyczne do odbywającej się przed nim na trawniku nieoficjalnej ceremonii. Jaskrawe, tradycyjne stroje kontrastowały z soczystą zielenią trawy i przykuwały wzrok, gdy dzieci hasały dookoła matki ubranej w jedwabne kimono barwy kości słoniowej, oblamowane wyszukaną organdyną. Pozostali dorośli, oddaleni o dwa kroki, pozostawili środek sceny cesarzowej i jej szczęśliwemu potomstwu. Fotografowie również trzymali się na uboczu. Zgodnie z najlepszą zawodową tradycją, starali się nie rzucać w oczy.

Cesarz pomyślał z goryczą, że świat przyrody wciąż zachował ten brakujący ludziom urok niewinności. Jego przygnębiała od kilku tygodni sytuacja polityczna. Nowy premier, Atsuko Abe, usiłował skierować naród na nową drogę, co cesarz obserwował z narastającym przerażeniem.

Japońska scena polityczna od lat dryfowała w prawo, pomyślał cesarz, obserwując żonę i dzieci. Raz jeszcze przeanalizował sytuację, usiłując pojąć narastające lawinowo wydarzenia, które wydawały się wymknąć spod wszelkiej kontroli.

Od chwili upadku największego banku, kolejne gabinety nie potrafiły utrzymać się dłużej przy władzy, wymiatane przez następne, coraz bardziej reakcyjne rządy. Cesarz tak widział ten problem: politycy nie chcieli powiedzieć prawdy narodowi japońskiemu. Wyspy były małe, przeludnione i pozbawione bogactw naturalnych. Powojenny dobrobyt zbudowano na importowaniu surowców, wytwarzaniu z nich towarów i sprzedawaniu ich na amerykański rynek po cenach, z którymi producenci w USA nie byli w stanie konkurować. Przewaga ekonomiczna Japonii, polegająca na taniej sile roboczej, zmalała niemal do zera. Niebotyczne ceny nieruchomości i rozdęta hiperinflacją giełda zachwiały się, gdy stępiało ostrze japońskiej gospodarki. Rząd podtrzymał na krótko przerośnięty system bankowy, ale i on runął, doprowadzając finanse państwa niemal do ruiny. Napięcie na Bliskim Wschodzie narastało, aż państwa arabskie, usiłując zmusić świat do wywarcia presji na Izrael, zakręciły kurki z ropą.

Ropa znów popłynęła, ale szkody były nieodwracalne. Japonii nie było już stać na bliskowschodnią ropę. Jen nie miał żadnej wartości, system bankowy leżał w gruzach, wielkie korporacje przemysłowe utraciły płynność finansową, a rozczarowani robotnicy znaleźli się na

bruku.

Może Japonię czekała zagłada? Zdarzały się chwile, jak teraz, że serce cesarza ściskał zimny strach.

Może wszyscy byli skazani na zagładę? Czy przeznaczeniem Japonii miało być podążanie w mrok pod przewodnictwem tryskającego jadem szowinisty, takiego jak Atsuko Abe, demagoga potępiającego wszelkie zachodnie wartości i instytucje, a jednocześnie gloryfikującego starożytne japońskie cnoty? Czy to ma czekać naród?

Japonia... starożytna, lecz młoda, płodna, czysta i nie zepsuta, dom wybranej nacji – Japończyków.

Jeśli nawet taka Japonia kiedykolwiek istniała, dawno przeminęła. Tymczasem Abe twierdził, że zwiodła ich zachodnia demokracja, oszukała biurokracja, wykorzystali przemysłowi przywódcy...

...zniszczył ich kapitalizm i zapożyczenia z obcej kultury...

Japonia, grzmiał Abe, została doprowadzona do ruiny przez ludzi, którzy odmówili poszanowania najcenniejszego skarbu – Japończyków.

Zwykła polityczna retoryka. Roznamiętniała jedynie cudzoziemców i półgłówków, dając prasie mnóstwo materiałów do roztrząsań. Dla Abe i jego przyjaciół było to jedynie podgrzewanie atmosfery, dzięki czemu dystansował się od bardziej tradycyjnych polityków, zbierając potrzebne do zwycięstwa głosy. Dopiero gdy umocnił się w gabinecie premiera, mając iście królewską władzę w ręku, Atsuko Abe zaczął omawiać z najbliższymi sprzymierzeńcami swoje prawdziwe plany.

Przyjaciele cesarza, czując niepokój, napomykali cesarzowi o ambicjach Abe. Twierdzili, że jego deklaracje są czymś więcej, niż tylko retoryką. Naprawdę zamierzał przekształcić Japonię w mocarstwo światowe, robiąc „to, co należy".

Naruhito trzymał język na wodzy, świadom faktu, że powojenna konstytucja ograniczyła władzę cesarską do spraw wyłącznie ceremonialnych, jednak przytłaczała go odpowiedzialność wobec historii.

Prywatny list od prezydenta USA wstrząsnął Naruhito. Jestem głęboko przekonany – pisał prezydent – że rząd japoński rozważa możliwość militarnego rozwiązania narastających ekonomicznych i regionalnych problemów. Takie rozwiązanie zrujnuje pokój w regionie i może wywołać ogólnoświatowy konflikt. Nieszczęście tej skali będzie miało tragiczny wpływ na życie każdego mieszkańca naszego globu. Jako głowy państw winniśmy dołożyć wszelkich starań, by uchronić naszych rodaków i wszystkich innych ludzi przed takimi wypadkami".

To był dopiero początek. List obudził w Naruhito najgorsze przeczucia. Prezydent USA wiedział więcej o politycznej sytuacji Japonii niż on, cesarz. Najwyraźniej prezydent miał lepsze informacje.

W dalszej części listu, prezydent pisał: Jesteśmy przekonani, że rząd Abe planuje inwazję na Syberię w celu zdobycia stałych i regularnych dostaw ropy. Ostatnie apele tubylczej ludności Syberii o japońską pomoc dla ich antyrosyjskiego powstania są jedynie pretekstem, wyreżyserowanym przez gabinet Abe. Obawiam się, że taka inwazja może wywołać wojnę światową, jakiej nasza planeta jeszcze nie zaznała. Trzecia wojna światowa doprowadzi cywilizację do tragicznego końca, wtrącając Ziemię w nową erę ciemności, z której nasz gatunek może się już nie odrodzić".

W pisemnej formie prezydent USA wyłuszczył obawy, które nękały cesarza, gdy spoglądał na wewnętrzną sytuację polityczną. Nawet nie mając równie szczegółowych informacji, Naruhito odnosił wrażenie, że świat nieodwracalnie osuwa się w otchłań zagłady.

„Zwracam się do pana osobiście – kończył prezydent – z prośbą o pomoc. Naszym obowiązkiem wobec ludzkości jest przestrzeganie prawa w imię przyszłych pokoleń. Cywilizacja światowa nie jest idealna, wciąż się rozwija, stając się coraz lepsza dzięki wkładowi pracy wszystkich osób, które

przestrzegają praw i pracują na utrzymanie, wnosząc tym swój wkład do ogólnego dobra. Cywilizacja jest spuścizną ludzkości, dobrem powszechnym, które należy ocalić dla przyszłych pokoleń".

Naruhito zaprosił premiera Abe do pałacu.

Chociaż cesarz widywał przy różnych okazjach Atsuko Abe od chwili, kiedy ten został premierem, nie miał dotąd możliwości odbycia z nim prywatnej rozmowy. Zawsze wokół kręcili się doradcy, funkcjonariusze, służba bezpieczeństwa. Tym razem spotkali się w cztery oczy w prywatnym gabinecie cesarza.

Po wymienieniu wstępnych uprzejmości, Naruhito wspomniał o liście i dał go Abe do przeczytania.

Atsuko Abe nie był pewien, co powiedzieć ani jak się ma zachować. Prywatna audiencja u cesarza stanowiła niezwykły zaszczyt, tak wielki, że aż brakowało mu słów. Jednak ten list... Wiedział, że Amerykanie mają szpiegów. Szpiedzy i przeciwnicy polityczni są wszędzie.

– Wasza Wysokość, znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym dla naszego kraju – zaczął Atsuko Abe. – Przerwanie dostaw ropy przeważyło szalę. Ekonomia się załamała. Japonia leży w gruzach, miliony straciły pracę. Musimy naprawić te szkody i upewnić się, że nigdy więcej nie dojdzie do takiej sytuacji.

– Czy to prawda? – spytał cesarz, wymachując listem. – Czy pański rząd planuje inwazję na Syberię?

– Wasza Wysokość, odebraliśmy wezwanie o pomoc od rdzennych mieszkańców Syberii. Słuszność ich żądań jest niepodważalna. Ich apel brzmi przekonująco.

– Udziela pan wymijających odpowiedzi. Nadeszła chwila szczerości, nie dyplomatycznych wykrętów.

Atsuko zdumiał się. Nigdy nie widział cesarza takiego jak dziś i nawet nie potrafił tego sobie wyobrazić.

– Przyszła pora, żeby Japonia zajęła należne jej miejsce w świecie – oświadczył premier.

– To znaczy?

– Jako supermocarstwo – odparł z pewnością siebie Abe. Spojrzał twardo na cesarza, który odwrócił wzrok od wyzywającej miny premiera. Potem, zawstydzony, zmusił się do spojrzenia mu w oczy.

– Czy to prawda? – pytał uparcie cesarz. – Czy Japonia rzeczywiście chce zaatakować Syberię?

– Wybiła nasza godzina – odparł twardo Abe. – Jesteśmy niewielkim wyspiarskim narodem, umieszczonym z woli bogów obok rosnącego chińskiego giganta. Musimy mieć ropę naftową!

– Ale przecież podpisał pan umowę z Rosjanami! Będą sprzedawać nam ropę.

– I w tym tkwi właśnie problem, Wasza Wysokość. Dopóki kupujemy ropę od Rosjan, jesteśmy zdani na ich łaskę. Japonia musi mieć własne surowce.

Wywodzący się z rodziny przemysłowców, Atsuko Abe pierwsze dwadzieścia lat swego dorosłego życia spędził w Japońskich Siłach Samoobrony. Chociaż był typowany na stanowisko dowódcze, wystąpił z wojska i przyjął posadę w Ministerstwie Obrony. Tam zaprzyjaźnił się z politykami różnych orientacji, powiększał swoje wpływy i szybko awansował. Wreszcie porzucił biurokrację i zaczął ubiegać się o fotel w parlamencie, który zdobył bez trudu. Zasiadał tam przez dziesięć lat, lawirując wśród wzburzonych fal, które przelewały się przez stolicę.

Obecnie w wieku sześćdziesięciu dwóch lat był gotów. Nadeszła jego chwila.

Cesarz nie odwrócił wzroku.

– Wybiła godzina? Jak pan śmie? Nasz naród nigdy nie pozostawał w cieniu. Żyjemy honorowo,

zachowując wiarę przodków. Nasze państwo popełniało w przeszłości błędy, za które drogo zapłaciło nasze społeczeństwo, ale nasz honor pozostał nieskalany. Nie potrzebujemy godziny podbojów, triumfu przemocy ani krwi na rękach.

– Wasza Wysokość urodził się cesarzem – rzekł z goryczą Abe – i nic nie wie o walce.

Cesarz opanował się z wysiłkiem.

– Rosja ma broń atomową, której może przeciwko nam użyć. Czy ma pan prawo ryzykować życiem całego narodu?

– Mamy poważny kryzys, Wasza Wysokość.

– Proszę mnie nie pouczać, panie premierze. Abe skłonił się.

– Proszę o wybaczenie, Waszą Wysokość – rzekł, gdy wyprostował się. – Wasza Wysokość nie wie, że Japonia ma również broń nuklearną. Jestem przekonany, że Rosja nie zaryzykuje wojny atomowej, by otrzymać w jej wyniku jałową pustynię, która nie da im ani rubla zysku.

– Japonia ma broń nuklearną? – szepnął wstrząśnięty cesarz.

– Tak.

– Jak to? W jaki sposób wyprodukowano tę broń?

– Rzecz jasna w ścisłej tajemnicy. – Uzyskanie broni nuklearnej było największym triumfem Abe. Politycy widząc upadek swego świata zgodzili się, acz niechętnie, na ten program zrealizowany następnie pod osłoną środków bezpieczeństwa godnych Józefa Stalina.

– Rząd zrobił to bez zgody parlamentu? Bez wiedzy i aprobaty narodu japońskiego? Czy to nie jest pogwałcenie praw i konstytucji?

Abe zaledwie skłonił głowę.

– A jeśli myli się pan co do Rosji? – indagował cesarz. – Proszę odpowiadać! Co będzie, jeśli Rosja zdecyduje się na atomowy odwet?

– Ryzyko jest równie duże dla Rosji, co dla nas, ale Rosjanie nie grają o taką stawkę.

– Niekoniecznie muszą widzieć to w ten sposób, co pan, panie premierze. Abe milczał.

Cesarz był zbyt wstrząśnięty, by mówić dalej. Doszedł do wniosku, że Abe zwariował. Premier okazał się wariatem. Po chwili cesarz odzyskał głos.

– A co, pańskim zdaniem, powinienem odpisać prezydentowi Stanów Zjednoczonych?

Abe wykonał gest zniecierpliwienia.

– Proszę go zignorować, Wasza Wysokość. Odpowiedź jest zbyteczna. Prezydent USA zapomniał, gdzie jego miejsce.

Naruhito w zamyśleniu pokręcił głową.

– Mój dziadek, Hirohito, w przeddzień wybuchu wojny otrzymał list z błaganiem o pokój od prezydenta Roosevelta. Hirohito nie odpisał na ten list. Odmówił wtrącania się do spraw rządu. Przez całe życie zastanawiałem się, jak potoczyłaby się historia, gdyby mój dziadek poparł to, w co wierzył.

– Cesarz Hirohito był przekonany, że rząd działa w najlepszym interesie narodu.

– Być może. Ale ja nie jestem o tym przekonany.

Abe otrząsnął się. Zabrnął już zbyt daleko i kosztowało go to za dużo wysiłku. Spojrzał na cesarza niczym zapaśnik sumo.

– Rząd działa w imieniu Waszej Wysokości oraz narodu. Takie jest prawo.

– Proszę nie wspominać mi o prawie, zwłaszcza po tym, co przed chwilą usłyszałem.

Abe uderzył się w pierś.

– Wasza Wysokość panuje, ja rządzę. Taki jest porządek w Japonii. Wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

– Jeśli dostanę kopię listu, każę ministrowi spraw zagranicznych przygotować odpowiedź.

Cesarz udał, że tego nie słyszy. Dalej rozmyślał na głos.

– W epoce broni atomowej, biologicznej i chemicznej wojna jest przeżytkiem. Przestała już być jednym z politycznych rozwiązań. Obawiam się, że naród, który rozpocznie wojnę w dwudziestym pierwszym wieku, popełni samobójstwo. Śmierć, panie premierze, z pewnością nie jest przeznaczeniem narodu japońskiego. Śmierć, panie premierze, jest czymś wiecznym i ostatecznym, czymś, co przychodzi powoli, z przyczyn naturalnych lub szybko, w spektakularnym blasku chwały. Naszym celem musi stać się życie. Musimy dbać o życie.

Abe nie znalazł żadnej uprzejmej odpowiedzi.

– Dźwiga pan potężne brzemię, panie premierze – dodał cicho cesarz. – To są nadzieje i marzenia wszystkich żyjących Japończyków oraz ich przodków.

– Wasza Wysokość, jestem świadomy swej odpowiedzialności – odparł Abe najuprzejmiej jak tylko potrafił. Starał się panować nad sobą. – Boleśnie świadomy – dodał przez zaciśnięte zęby.

– W swoich publicznych wystąpieniach twierdził pan, że przeznaczenie Japonii jest tak jasne, jak wschód słońca w pogodny ranek – ciągnął Naruhito. – Radziłbym, by zasięgnął pan opinii parlamentu, zanim popełni pan poważniejsze przestępstwo.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, kiedy patrzył na tego głupka.

– Niech pan przestrzega prawa – dodał cesarz.

– To doskonała rada, ale...

– Japończycy to wspaniali ludzie – powiedział premierowi cesarz, pragnąc w ten sposób wypełnić ciszę. – Jeśli będzie pan w nich wierzył, podtrzyma pan ich zaufanie do siebie.

Abe z wysiłkiem skłonił głowę, okazując szacunek władcy.

Naruhito nie mógł znieść dłużej obecności tego łajdaka. Wstał, skinął głową i wyszedł.

To wszystko działo się dwa dni temu.

By móc wyrazić swoje przekonania, Naruhito poświęcił swą ceremonialną, niemal mistyczną funkcję głowy państwa, lecz wierzył, że to dla dobra kraju. Nigdy przedtem tego nie robił, a Abe... ośmielił się przypomnieć cesarzowi, jakie są jego obowiązki! Nigdy w życiu Naruhito nie czuł się taki upokorzony. Słowa Abe wciąż go paliły.

Napisał list do prezydenta USA. Własnoręcznie, ponieważ nie ufał sekretarkom.

Prawda była gorzka: nie miał na nic wpływu.

Dzieci śpiewały, wtórując Masako, żonie cesarza. Fala miłości ogarnęła Naruhito, gdy patrzył jak ukochana żona śpiewa razem z dziećmi.

Kochał życie. Kochał swoją żonę, rodzinę. Swój naród. Jego życie i życie narodu splotły się nierozerwalnie ze sobą. Poczuł smak goryczy. Czas uciekał nieubłaganie.

Kapitan Shunko Kato, ukryty za zasłoną okna na pierwszym piętrze Pałacu Cesarskiego, obserwował ceremonię na trawniku. Za nim stali w bezruchu trzej pozostali „monterzy". Wyglądali na zupełnie spokojnych. Kato wiedział, że tak nie jest. Czuł, że są napięci jak struna. Dyscyplina wojskowa utrzymywała ich w bezruchu, pozostawiając każdego sam na sam z własnymi myślami.

Promień słońca wpadł przez okno, tworząc na posadzce jaśniejszą plamę. Kato popatrzył na rozjaśnioną podłogę, solidną framugę okna, parkan, trawnik, ludzi, bezmiar nieba...

Widział to wszystko po raz ostatni w życiu. Jednak jego osobisty los nie miał większego znaczenia. Kato odsunął od siebie wszystkie myśli i skoncentrował wzrok na postaciach z trawnika.

Cesarzowi – niższemu od przeciętnego Japończyka, miał jakieś metr sześćdziesiąt – mimo wyprostowanej postawy rysował się brzuszek. Otaczała go grupka ubranych na czarno funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Większość z nich stała tyłem do odbywającej się ceremonii.

Kato cofnął się o kilka centymetrów. Upewnił się, że przed wzrokiem obserwatorów z dołu kryje go cień kotary. Uspokojony, przyjrzał się strażnikom, usiłując wypatrzyć najdrobniejsze oznaki zaniepokojenia i znów skupił się na rodzinie cesarskiej.

Cesarz, stojąc przed grupą oficjeli, przyglądał się cesarzowej i dzieciom, odbywającym prosty rytuał. Z pewnością niczym się nie przejmował. Kato był pewien, że cesarz nie miał pojęcia, jaka rozpacz ogarnęła naród po załamaniu się systemu bankowego. Czy mogło być inaczej? Cesarz z pewnością nie porusza się w zwykłych kręgach.

Jednak nawet on musiał czasem oglądać telewizję i czytać gazety. Jak mógł nie wiedzieć o korupcji wśród polityków, łapówkach, protekcjonizmie, wybuchających raz po raz skandalach? Czy nie widział nędzy zwykłych ludzi, zawsze lojalnych i zawsze zdradzanych?

Nigdy nie potępił korupcji, chciwości i skąpstwa. Nigdy. A skoro nie potępił, udzielił milczącej aprobaty.

Kato poczuł, jak narasta w nim oburzenie. A oni nazywają tego człowieka „Synem niebios"! Niezwykła bezczelność.

Cesarzowa pożegnała dzieci. Ceremonia dobiegła końca.

Kato odwrócił się, lustrując swych ludzi. Ubrani w niebieskie kombinezony i firmowe czapki, prezentowali się jak profesjonaliści, smukli, dobrze umięśnieni, o spokojnych, płynnych ruchach. Kato wyszkolił ich, zahartował i przeobraził w żołnierzy godnych tradycji Bushido. Był z nich dumny i duma ta odbijała się w jego wzroku. Trzej mężczyźni spoglądali na niego, również nie mogąc ukryć emocji.

– Za Japonię – powiedział ledwie dosłyszalnie.

– Za Japonię – bezgłośnie poruszyli ustami, bo zabronił im wydawania jakichkolwiek dźwięków. Jednak niemal słyszał ich odpowiedź.

– Banzai – szepnął.

– Banzai! – milcząca odpowiedź smagnęła jego duszę.

Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa eskortowali cesarza i cesarzową do drzwi pałacu. Jeden z nich otworzył je przed cesarzem, postępującym zwyczajowo o dwa kroki przed małżonką. Funkcjonariusze nie weszli za nimi. Pozostali na zewnątrz. Pałac znajdował się w obrębie bezpiecznej strefy.

Kiedy skryli się przed wzrokiem innych, cesarz zwolnił, czekając, aż Masako dołączy do niego. Błysnęła zębami w uśmiechu. Bardzo nie japoński gest, ale zanim się pobrali, studiowała przez kilka lat w USA. Cesarz uśmiechnął się w odpowiedzi.

Wzięła go za rękę i podeszła bliżej. Ustami musnęła jego policzek. Uśmiechnął się szerzej.

Ręka w rękę poszli do końca korytarza i skręcili w prawo.

Czterech mężczyzn stało w milczeniu, blokując im drogę.

Cesarz zatrzymał się.

Jeden z mężczyzn bezgłośnie zajął stanowisko za cesarską parą, ale pozostali nie usunęli się z przejścia. Nawet, co ze zdumieniem zauważył Naruhito, nie złożyli mu ukłonu. Najmniejszego.

Spojrzał im w twarze. Żaden z ich nie spuścił wzroku.

– Tak? – rzekł w końcu.

– Pańska żona może odejść, Wasza Wysokość – powiedział jeden z mężczyzn. Mimo że mówił cicho, głos miał wyjątkowo silny.

– Kim jesteś? – spytał cesarz.

– Kapitan Shunko Kato z Japońskich Sił Samoobrony. – Kato ukłonił się w pas, lecz pozostała trójka ani drgnęła. – Ci żołnierze są moimi podwładnymi.

– Z czyjego upoważnienia tu jesteście?

– Z naszego własnego.

Naruhito poczuł, że żona przywarła do jego ramienia. Znów spojrzał im w twarze, szukając w ich wzroku szacunku. Nie znalazł go.

– Z jakiego powodu tu jesteście? – zapytał wreszcie.

Zdawał sobie sprawę, że czas pracuje na jego korzyść i starał się przeciągać rozmowę jak najdłużej. Kato najwyraźniej czytał w jego myślach.

– Z powodu Japonii – odparł zwięźle i dodał: – Cesarzowa musi teraz odejść.

Naruhito wyczytał z ich twarzy to, co nieuniknione. Chociaż kapitan Kato nie spodziewał się tego, cesarz miał nie mniej odwagi, niż jego ludzie. Odwrócił się w stronę cesarzowej.

– Musisz iść, kochana żono.

Patrzyła na niego z przerażeniem. Chwyciła go kurczowo.

Pochylił się w jej stronę i szepnął:

– Nie mamy wyboru. Idź i pamiętaj, że cię kocham.

Oderwała spojrzenie od cesarza i popatrzyła każdemu z mężczyzn prosto w oczy. Trzech spuściło wzrok.

Potem odwróciła się i poszła z powrotem w stronę trawnika.

Z ozdobnego stolika Kato wziął samurajski miecz katana, którego cesarz przedtem nie zauważył. Jednym płynnym ruchem oficer wyciągnął ostrze z pochwy.

– Za Japonię – powiedział, ujmując oburącz rękojeść.

Miecz, jak zauważył cesarz, był bardzo stary. Liczył sobie setki lat. Znów popatrzył na twarze mężczyzn. Byli fanatykami.

Cesarz Naruhito z rezygnacją opadł na kolana. Nie pozwoli im ujrzeć swego strachu. Niebiosom niech będą dzięki – ręce mu nie drżały. Zamknął oczy i odgonił złe myśli. Precz z tym fanatyzmem. Pomyślał o żonie, o synu i córce.

Ostatnim słyszanym w życiu dźwiękiem był świst tnącej powietrze klingi.

Masako szła wolno do drzwi, którymi przed paroma sekundami wchodziła wraz z mężem do pałacu. Każdy krok był torturą, męką...

Ci ludzie to mordercy.

Pojęła to w chwili, kiedy ich ujrzała. Nie okazywali żadnego szacunku. Ich twarze wyrażały niezwykłe napięcie, ale nie takie, jak u wiernych poddanych, gdy spotykają swych władców, lecz takie, jak u zabójców.

Masako znała historię swego kraju i wiedziała, że w czasach zamętu zamachowcy stanowili plagę władców i polityków, i zawsze mordowali w imię Japonii, jakby ich żarliwy patriotyzm mógł usprawiedliwić przelaną krew, służyć za wymówkę przy szlachtowaniu ludzi, którzy mieli mały lub żaden wpływ na wypadki, które tak rozsierdzały zabójców. Po dokonaniu zbrodni rozpoczynali orgię rytualnych samobójstw.

Ten krwawy melodramat był koszmarnym teatrem, lecz większość Japończyków kochała to. Starożytne historie odżywały podlane świeżą krwią. Nowe ofiary łagodziły napiętą sytuację i... hipnotyzowały widownię.

Patriotyczni mordercy byli sadystami, pomyślała Masako, bezwstydnymi zboczeńcami, którzy wypływali na powierzchnię, gdy świat naciskał na Japonię, jak miało to miejsce w 1930 roku, w grudniu 1941 i jak najwyraźniej dzieje się... Teraz?

Posuwała się noga za nogą.

O, Naruhito, mój ukochany mężu, powinniśmy razem stawić im czoło... a ja powinnam być u

twego boku.

Zawróciła i pobiegła do męża. W stronę zła, które zagrażało im obojgu.

Biegła, krępowana obcisłą suknią.

Tuż przed zakrętem usłyszała świst miecza i głuche uderzenie, gdy ostrze trafiło w ciało.

Wypadła zza rogu, by zobaczyć, jak głowa jej męża toczy się po podłodze, a wyprężony tors pada do przodu.

Niczego więcej nie widziała. Pomimo bólu, a może właśnie dlatego, osunęła się nieprzytomna.

Shunko Kato nie spojrzał nawet na ciało cesarza. Miał mało czasu, i nie mógł go tracić na przyglądanie się zwłokom człowieka, który doprowadził Japonię do zguby.

Na stole obok miecza umieścił list. Wszyscy czterej napisali go i podpisali własną krwią.

Za Japonię.

Kato ukląkł i wyciągnął nóż. Zerknął na najstarszego stopniem podoficera, który stanął za nim z pistoletem w dłoni.

– Banzai – powiedział.

– Banzai.

Kato wbił sobie nóż w brzuch aż po rękojeść.

Sierżant podniósł pistolet i strzelił Kato w tył głowy. Z czaszki kapitana trysnął strumień krwi, a strzał przetoczył się grzmotem przez korytarz.

W ciszy, która nastąpiła potem, słychać było metaliczny dźwięk toczącej się po podłodze łuski.

Powietrze uszło z sykiem z ciała kapitana, ale sierżanta to nie interesowało.

Popatrzył na swoich kolegów. Oni również wyjęli pistolety.

Dzielni mężczyźni robiący to, co należy.

Sierżant wziął głęboki wdech i przyłożył sobie lufę pistoletu do skroni. Pozostali zrobili to samo. Naciskając spust, sierżant odruchowo zamknął oczy.

– Kapitan Kato i jego ludzie byli martwi, kiedy dotarły tam służby bezpieczeństwa – zameldował Takeo Yahiro premierowi, Atsuko Abe. – Najprawdopodobniej popełnili samobójstwo po ścięciu cesarza. Jedyną żywą osobą była zemdlona cesarzowa.

Na twarzy Abe odmalowało się zdumienie.

– Cesarz został ścięty w obecności małżonki?

– Na to wygląda. Leżała nieprzytomna na podłodze, kiedy dotarli tam agenci służby bezpieczeństwa.

Abe pokręcił głową, usiłując oswoić się z tym koszmarem. Zabójstwa najwyżej postawionych osób z powodów politycznych nie były niczym nowym w Japonii, ale dokonanie tego w obecności jego żony... cesarzowej? O takim czymś nikt nigdy nie słyszał. Co powie na to opinia publiczna?

– Kapitan Kato zostawił list pod pochwą miecza, sir. Pisany własną krwią. Wyjaśnia w nim motywy swego postępowania.

Premier wciąż przeżywał fakt obecności cesarzowej podczas morderstwa.

– Czy zabójcy tknęli cesarzową? – spytał, zamykając oczy.

– Nie wiem. Może lekarze...

– Czy prasa zna już ten szczegół?

– Nie. – Takeo Yahiro mówił cichym, lecz pewnym głosem. – Pozwoliłem sobie na wstrzymanie wszystkich informacji dla prasy, dopóki nie powiadomię kilku najważniejszych osób.

Abe wziął głęboki wdech, zastanowił się i wreszcie otworzył oczy.

– Doskonale, Yahiro. Podgrzewanie nastrojów niczego nie rozwiąże. Taka straszna tragedia...

– Jeszcze ten list. Zabójcy byli uczniami Mishimy.

– Ach... – powiedział premier i zamilkł, pogrążając się w myślach.

Yukio Mishima był fanatycznym nacjonalistą. Na nieszczęście był również powieściopisarzem ogarniętym obsesją krwawych, brutalnych gestów. Przed trzydziestu ośmiu laty wtargnął, wraz z czterema zwolennikami, do kwatery głównej wojsk japońskich w Tokio, zabarykadował się w gabinecie głównodowodzącego i zażądał, by armia przejęła władzę w kraju. Rzecz jasna do tego nie doszło, ale Mishimie to nie przeszkadzało. Zdjął koszulę i wbił sobie miecz w brzuch, a jeden z jego uczniów odciął mu głowę, potem reszta też popełniła samobójstwo. Cała rzecz obyła się sprawnie, w wielkim samurajskim stylu. Mishima odcisnął swoje znamię w świadomości narodu i nie powinno się tego lekceważyć. No i przypadkiem nie pozostał przy życiu nikt, kogo można by przykładnie ukarać, prócz paru osób oskarżonych o mniejsze przewinienia.

Przez te lata Mishima stał się obiektem kultu. Jego nacjonalistyczne przesłanie codziennie zdobywało nowych zwolenników – ludzi, którzy dochodzili do wniosku, że by uczcić honor Mishimy ich najświętszym obowiązkiem jest dopełnienie narodowego przeznaczenia.

– Podanie do publicznej wiadomości, że cesarzowa była świadkiem zamordowania jej męża nie przyniesie niczego dobrego – powiedział Abe.

– Cesarzowa może o tym wspomnieć, panie premierze.

– Nigdy nie rozmawia z prasą bez uzgodnienia wypowiedzi z Administracją Pałacową. Przeżyła straszny szok. Kiedy dojdzie do siebie, sama zrozumie, że rozprawianie o jej obecności podczas morderstwa nie leży w narodowym interesie.

– Tak. Natychmiast powiadomię agencje.

Premier skinął głową. Na Yahiro można było polegać.

– Tron musi objąć książę Hirohito – ciągnął premier. – Proszę dopilnować, by wszystkie starożytne ceremonie zostały skrupulatnie przeprowadzone. Wymaga tego honor narodu. Musi otrzymać cesarskie i państwowe pieczęcie oraz replikę skarbu Amaterasu. – Oryginalny skarb: zwierciadło, miecz i diament w kształcie półksiężyca spoczywały w szintoistycznej świątyni bogini słońca, Amaterasu, od której wywodziła się cesarska dynastia. Były zbyt cenne, żeby wyjmować je ze skarbca.

– Załatw to, proszę, Yahiro.

– Tak, panie premierze. Oczywiście.

– Zbierze się rada ministrów. Cesarzowa może wziąć w niej udział, jeśli lekarze uznają, że jest dość silna.

Premier był tak przejęty historycznym znaczeniem chwili, że przez moment odebrało mu mowę. Cesarz nie żyje. Nowy cesarz czeka na intronizację.

Pokręcił głową, usiłując pozbierać myśli. Tyle jest do zrobienia...

– Odwołaj wszystkie spotkania i ściągnij specjalistę od pisania przemówień – polecił swojemu doradcy. – I urzędnika protokołu. Musimy wyznaczyć okres żałoby narodowej, poinformować ambasady i wyznaczyć datę państwowego pogrzebu. Głowy państw z całego świata wezmą w nim bez wątpienia udział, więc jest mnóstwo spraw do zaplanowania.

– Tak jest.

– Upewnij się, że kopia listu kapitana Kato trafi do prasy. Społeczeństwo ma prawo znać przyczyny tak wielkiej tragedii.

– Oczywiście.

– Jesteśmy na zakręcie historii, Yahiro. Musimy stawić czoło bezbrzeżnej odpowiedzialności. Przyszłe pokolenia surowo nas osądzą.

Yahiro zastanawiał się nad tą uwagą po wyjściu z gabinetu, ale tylko przez kilka sekund. Był

bardzo zajęty.

Premier Abe poczekał, aż Yahiro zamknie za sobą drzwi i otworzył przejście do łączącej się z jego gabinetem sali konferencyjnej. Przy wielkim stole siedziało dwóch mężczyzn w mundurach. Przed nimi stały małe filiżanki do herbaty.

Jeden z mężczyzn był szefem sztabu Japońskich Sił Samoobrony, drugi jego zastępcą.

Obaj popatrzyli wyczekująco na Abe.

– Stało się.

Wojskowi popatrzyli po sobie.

– Była z nim jego żona... Widziała to.

– Zły znak – rzekł jeden z gości. Precyzyjny plan, najlepsi ludzie i nagle taka straszliwa wpadka.

– Spróbujemy ukryć to przed opinią publiczną – wyjaśnił Abe. Zrobił gest zniecierpliwienia. – Pora ruszać. Czeka nas dużo pracy.

Generałowie wstali i skłonili się.

– Za Japonię – powiedział cicho szef sztabu.

Masako ocknęła się w swoim łóżku w cesarskiej rezydencji, domu w stylu zachodnim, znajdującym się w obrębie Pałacu Cesarskiego. Czuwał przy niej lekarz i pielęgniarka. Pielęgniarka zmierzyła jej puls, a lekarz coś notował.

Masako zamknęła oczy. Koszmarna scena powróciła z taką wyrazistością, że natychmiast otworzyła je z powrotem i utkwiła wzrok w suficie.

Pielęgniarka szepnęła coś lekarzowi, ten obejrzał głowę cesarzowej. Ucisnął jej czoło. Zabolało. Widocznie uderzyła się padając.

– Zostawcie mnie w spokoju – poprosiła.

Potrwało to trochę, głównie z powodu kłaniającej się bez końca pielęgniarki, ale w końcu wszyscy opuścili pokój, zamykając za sobą drzwi.

Masako wciąż trzymała oczy otwarte. Bała się, że gdy je zamknie, koszmar powróci.

Zabili go.

Zastanawiała się, czy zacznie płakać.

Kiedy doszła do wniosku, że się nie rozpłacze, usiadła w łóżku i obejrzała głowę w lusterku. Tak, upadła na twarz i miała ogromnego siniaka.

Zabili go! Nieśmiałego, uprzejmego człowieka, pozbawionego władzy figuranta. Zamordowali. Z na pozór słusznych, głupich pobudek. Zabili go z przyczyn, które mogły interesować jedynie fanatyków.

Czuła się pusta, jakby zabrano jej całe życie. Była jedynie pustą skorupą, postronnym obserwatorem tragedii, która dotknęła kobietę zwaną Masako.

Spuściła nogi z łóżka, pragnąc wstać. Przelatywały jej przed oczyma sceny z życia z Naruhito, lecz wreszcie wszystko minęło i była sama w pustym pokoju, a jej mąż nie żył.

Rozdział 2

W Waszyngtonie prezydent USA szykował się do snu. Jak zwykle wybierał się sam do łóżka, bo jego żona uczestniczyła w jakimś wieczorku towarzyskim w Georgetown, do upadłego odgrywając rolę Pierwszej Damy. Prezydent żuł dwie tabletki przeciw nadkwasocie, kiedy podniósł słuchawkę telefonu.

– Mhm – mruknął.

– Panie prezydencie, poinformowano nas, że przed dwiema godzinami w Pałacu Cesarskim został zamordowany cesarz Japonii. Raport podaje, że ucięto mu głowę – powiedział Jack Innes, doradca do spraw bezpieczeństwa. Pewnie został wezwany w związku z tą sprawą przez dyżurnego urzędnika z gabinetu kryzysowego w Białym Domu.

– Prawdopodobnie młodszy oficer i trzech podoficerów. Dostali się do pałacu udając monterów telefonicznych. Ścięli cesarza czterystuletnim mieczem. Potem popełnili samobójstwo.

– Wszyscy?

– Cała czwórka. Oficer wbił sobie nóż w brzuch, potem ktoś strzelił mu w głowę. Trójka podoficerów zastrzeliła się.

– Jezu!

– Właśnie.

– Prawicowe ugrupowanie?

– Najwidoczniej wyznawcy prawicowego kultu niejakiego Mishimy. Zostawili napisany krwią list pełen bredni o przeznaczeniu Japonii i narodowej chwale.

– Czy otrzymaliśmy odpowiedź cesarza na mój list? – zapytał prezydent.

– Nic mi o tym nie wiadomo, sir. Sprawdzę w ambasadzie w Tokio i w Departamencie Stanu.

– Czy przynajmniej wiemy, że go otrzymał?

– List został dostarczony japońskiemu rządowi przez naszego ambasadora. To wiemy na pewno.

– Szybko wyczerpują się nam możliwości manewru.

– Rano powinniśmy wiedzieć więcej, panie prezydencie.

– Kiedy czegoś się dowiecie, obudźcie mnie.

– Tak, sir.

Prezydent David Herbert Hood odwiesił słuchawkę i położył się do łóżka. Był bardzo zmęczony. Wydawało się, że ostatnio czuł się tak bez przerwy.

A więc Naruhito nie żyje. Zamordowany.

Prezydent, Jack Innes i sekretarz stanu napocili się przez trzy dni nad tym listem. Po starannym rozważeniu, postanowili nie wspominać o tajnym porozumieniu z Rosją, w którym obiecywali jej wojskową pomoc, na wypadek pogwałcenia jej granic. Układ liczył sobie trzy lata, a został wynegocjowany i podpisany jako zachęta dla młodej rosyjskiej demokracji, by przyśpieszyć proces rozbrojenia atomowego. To właśnie on, David Herbert Hood, osobiście wyjaśnił prezydentowi Rosji, że tajny protokół jest szczerym przyrzeczeniem: „Rosyjskie terytorium jest dla nas równie święte, jak granice Stanów Zjednoczonych".

Obietnica to obietnica, ale dotrzymanie jej jest czymś zupełnie innym.

Prezydent wstał z łóżka i podszedł do okna. Stał, spoglądając na światła Waszyngtonu. Po chwili usiadł w fotelu i pogładził się po głowie. Przez ostatnie dwadzieścia lat zajmował się polityką i widział aż nadto niespodziewanych nieszczęść. Nauczył się, że w większości przypadków najlepiej było nic nie robić.

Tak, brak działania był zazwyczaj najlepszym wyjściem. Japończycy mają kolejny kryzys na

głowie i sami powinni sobie z nim poradzić.

Należało się trochę przespać.

Wieści z drugiej strony Pacyfiku z roku na rok robiły się coraz gorsze. Demokracja w Rosji była wątpliwym błogosławieństwem. Rosjanie, uwolnieni od komunistycznej tyranii i złego zarządzania, przekonali się wkrótce, że nie są w stanie stworzyć stabilnego rządu. Korupcja i łapownictwo stały się epidemią sięgającą wszystkich zawodów i dziedzin życia. Najwyraźniej jedynymi ludźmi, którym dobrze wiodło się w czasach postkomunistycznych, byli kryminaliści. Mniejszości narodowe wykorzystały trudną sytuację, domagając się własnych rządów w ich enklawach. Jeżeli rosyjski rząd nie opanuje sytuacji, nowa dyktatura będzie nieunikniona.

W Stanach Zjednoczonych społeczeństwo nie chciało żadnych złych wieści zza oceanu. Ostatni kryzys na Bliskim Wschodzie podwoił ceny ropy na całym świecie, zwiastując nadejście ery wyrzeczeń. Ameryka, mając własną ropę, nie ucierpiała tak bardzo jak Japonia. Mimo wszystko życie w USA było bardzo dobre. David Herbert Hood miał wyjątkowe szczęście, bo jadąc na fali przewodził większej części świata. Jego popularność była niekwestionowana, naród żył w pokoju i dobrobycie... Miał przejść do książek historycznych z szerokim uśmiechem, dzieci miały uczyć się przez kolejne stulecia jego biografii, aż tu...

...Japonia chciała najechać Syberię.

Prezydent spoglądał ponuro na światła miast. Odnosił wrażenie, że za tymi światłami Amerykanie cieszyli się rzadkim okresem dobrobytu i pokoju, na co z pewnością nie zasłużyli.

Cesarz zamordowany... Mój Boże! Ten człowiek był symbolem wszystkiego, co najlepsze w japońskiej kulturze. A oni odcięli mu głowę!

Kapitan Jiro Kimura siedział na małym balkonie swojego mieszkania i, popijając piwo, spoglądał na Fudżi-Jamę, widoczną pomiędzy jego domem a biurowcami. Za każdym razem, kiedy spoglądał na Fudżi, oczyma duszy widział Pike's Peak, ponury, urwisty szczyt górujący na tle błękitnego nieba Kolorado. W czasach, kiedy studiował w Wojskowej Akademii Sił Powietrznych, jego koledzy kadeci przekręcali tę nazwę na „Szczytowanie Pike'a".

Na drugim lub trzecim roku trójka jego przyjaciół postanowiła wbiec na górę i przekonała do tego pomysłu Jiro. No i oczywiście zbiec na dół. Próbę podjęli w drugi weekend sierpnia. Maraton Pikes Peak liczył sobie dwadzieścia kilometrów w jedną stronę.

Jiro Kimura uśmiechnął się na to wspomnienie. Byli wówczas ostrymi, twardymi jak skała facetami, gotowymi do podbicia świata. Dali radę wbiec na górę i z powrotem, choć ostatnie kilometry, przebyli w tempie trudnym do określenia jako bieg.

Chociaż ten weekend miał miejsce przed dwunastu laty, Jiro mógł przywołać w pamięci twarze tych chłopców, jakby było to zaledwie wczoraj. Widział nieśmiały uśmiech Franka Truaxa, odstające uszy Roberta Layfielda, błysk białych zębów przystojnego Bena Franklina Garcii.

Garcia zginął przed sześciu laty w katastrofie F-16 gdzieś w Newadzie. Podobno silnik stanął mu w płomieniach i, zamiast się katapultować, usiłował wylądować lotem ślizgowym. To bardzo podobne do Bena Garcii. Był twardy i sprytny, ale wciąż chciał czegoś dowieść, zrobić coś, do czego Jiro Kimura nie przyłożyłby ręki. Cóż, Ben odszedł na zawsze tam, dokąd Bóg kieruje dobrych pilotów, gdy w końcu runą na ziemię.

Truax został w USA, pilotując C-141, a Layfield robił magisterium z finansów.

Jiro Kimura latał na tajnym japońskim myśliwcu, nowym Zero.

Shizuko przyniosła mu na balkon kolejne piwo.

– Pułkownik Cassidy będzie tu lada chwila – delikatnie przypomniała mężowi, że mógłby przebrać się z szortów i podkoszulka.

Jiro uśmiechnął się w podziękowaniu.

Bob Cassidy. Wówczas w stopniu majora, odbywał turę służby w Akademii. Był dowódcą dywizjonu kadeta Jiro. Najwyraźniej polubił japońskiego młodzieńca, a że ten nie miał dokąd wyjeżdżać na weekendy czy święta, zabierał go do siebie.

Cassidy żonaty był wówczas ze Słodką Sabriną, jak ją nazywał. Nigdy nie mówił o niej po prostu Sabrina, zawsze używał tego przymiotnika i zawsze się przy tym uśmiechał...

Zginęła wraz z dzieckiem we wraku samochodu w dwa lata po promocji Jiro. Cassidy nie ożenił się powtórnie.

Powinien był znaleźć sobie nową żonę, pomyślał Jiro, odruchowo zerkając przez otwarte drzwi na krzątającą się wewnątrz Shizuko.

Być może Cassidy nie znalazł kobiety, która dorównałaby Słodkiej Sabrinie. Być może...

Ach, gdyby mógł tam wrócić. Gdyby tylko mógł wrócić do tamtych dni, kiedy wraz z Truaxem, Garcią i Layfieldem siedzieli na tyłach patio Cassidy'ego. Słodka Sabrina podawała zimne piwo chłopcom, którzy nie skończyli jeszcze dwudziestu jeden lat, a Bob Cassidy udawał, że tego nie widzi. Ktoś włączył radiostację „The Peak", nazwaną tak, bo nadawała przeboje ze szczytu listy.

Tylko jeden dzień... nie prosi o zbyt wiele. Gorący dzień pod koniec osiemdziesiątych lub na początku dziewięćdziesiątych lat, tak upalny, że skóra poci się sama, suchy, gorący dzień pod grzejącym twarz słońcem Kolorado, delikatną wonią jałowca w powietrzu i ocienioną po południu ścianą Pikes Peak.

Jiro tęsknił do tych dni.

Brakowało mu tamtych ludzi. Powiedzmy, większości z nich. Z pewnością nie tęsknił za majorem Tarletonem, profesorem fizyki. Jego dwaj wujowie zginęli na Zachodnim Pacyfiku „walcząc z żółtkami". Czyż nie w ten sposób się wyrażał, patrząc na Jiro, jakby ten był osobiście odpowiedzialny za atak na Pearl Harbor? Byli też i inni, oficerowie i podoficerowie, którzy na rozmaite sposoby dawali mu do zrozumienia, że nie podoba się im fakt, iż japoński żołnierz szkoli się w amerykańskiej akademii.

Tarleton był więcej niż uprzedzony. Chciał zniszczyć karierę Jiro, stawiając mu pały z każdego sprawdzianu, nawet gdy wszystkie odpowiedzi były poprawne. Przestraszony, samotny Jiro milczał Wówczas Tarleton oskarżył go o ściąganie na egzaminie. Lodowato chłodny Bob Cassidy wezwał młodego kadeta do swego biura i wydusił z niego prawdę.

Następnego poniedziałku Tarleton odszedł, a Jiro nie usłyszał ani słowa na temat rzekomego pogwałcenia kodeksu honorowego Akademii.

Taki właśnie był Cassidy. Gotów zaryzykować wszystko dla ratowania przestraszonego dzieciaka.

Jiro Kimura pociągnął kolejny łyk piwa, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ośnieżony szczyt Fudżi-Jamy.

Może najbardziej tęsknił za Ameryką.

Otarł łzy z oczu.

Tam nie pytali go, kim był jego ojciec, co robił ani ile miał pieniędzy. Przyjęli go jak swojego.

Cassidy, obecnie w stopniu pułkownika, był oficerem łącznikowym Sił Powietrznych w amerykańskiej ambasadzie w Tokio. Wciąż był szczupły i uśmiechał się, choć może nie tak ochoczo, jak za życia Słodkiej Sabriny.

Pracował teraz bardzo ciężko. Jiro nie miał co do tego wątpliwości. Dobry pułkownik pracuje więcej niż kapitan, a Cassidy był świetnym pułkownikiem. Tak naprawdę, to był jednym z najlepszych.

Swego czasu niektórzy z chłopców nazywali go za plecami „Szpenio". Nieraz tłumaczyli Jiro pochodzenie tego przezwiska. Jiro jednak nigdy do końca nie pojął sensu tych skojarzeń, niemniej stwierdził, że Amerykanie w nich gustują. Dla niego zawsze to był Cassidy.

Albo Bob. Jakie to amerykańskie!

– Mów mi po imieniu. W ten sposób pokazujesz, że mnie lubisz. Jiro przebierał się w sypialni, kiedy usłyszał pukanie do drzwi i głos Shizuko witającą Cassidyego.

– Miło pana widzieć, pułkowniku. – Angielszczyzna Shizuko nie była najlepsza, ale Cassidy na ogół nie miał kłopotów z jej zrozumieniem.

– Słyszeliście już wiadomość? O cesarzu? – głos Cassidyego był twardy, podminowany.

– Jaką wiadomość? – Jiro zauważył podenerwowanie w głosie Shizuko.

– Został zamordowany. Właśnie to ogłoszono.

Shizuko powiedziała coś, czego Jiro nie dosłyszał, w kilka sekund potem rozległ się głos spikera telewizyjnego.

Szybko ubrał się i wpadł do saloniku. Pomieszczenie było małe, jedna trzecia tego, jakie miał Cassidy w Colorado Springs. Jiro pokręcił głową, zdumiony faktem, że w takiej chwili rozpraszają go głupie myśli.

– Siadaj, pułkowniku. Bob, proszę.

Cassidy znał co nieco japoński, akurat wystarczająco, żeby bez trudu zrozumieć, co mówi spiker.

Shizuko ukryła twarz w dłoniach.

– Może to nie jest najszczęśliwszy wieczór... – zaczął Cassidy, ale Jiro uciszył go gestem.

Gdy usiedli na matach przed telewizorem, na niebie blakły ostatnie promienie słońca. Było zupełnie ciemno, kiedy Jiro wyłączył telewizor, a Shizuko weszła do maleńkiej kuchni, by przygotować kolację.

Cassidy, żylasty mężczyzna o budowie biegacza, miał około metra osiemdziesięciu. Dziś włożył cywilne ubranie, ciemne spodnie i beżową koszulę z krótkimi rękawami. Miał niebieskie oczy, cienkie płowe włosy i wystające zęby. jedyną ozdobę stanowił tani zegarek na lewym nadgarstku.

– Piwa?

– Jasne.

– Cieszę się, że cię widzę, Bob. – Kimura mówił jak rodowity Amerykanin – płynnie i bez obcego akcentu.

– Kiedy usłyszałem wiadomości w radio, omal nie zawróciłem do domu – zwrócił się do gospodarza Cassidy. – Pomyślałem, że może ty i Shizuko będziecie mieli ochotę na chwilę prywatności, jednak uświadomiłem sobie, że umówienie się przychodzi nam z takim trudem, więc...

– Jasne. Musiałem z tobą porozmawiać. Z tego zabójstwa nie wyniknie nic dobrego. – Kimura zastanawiał się przez kilka sekund. – Nic dobrego. Japonia weszła na dziwną, niebezpieczną drogę.

Cassidy rozejrzał się po pokoju i przyjął piwo, Kimura włączył radio i przez chwilę szukał muzyki, potem usiadł naprzeciwko gościa.

– Planuje się przemieszczenie samolotów do wysuniętych baz – powiedział Jiro. – Spakowaliśmy już wszystko, łącznie z częściami zamiennymi, dodatkowymi silnikami, wyposażeniem, oponami, słowem wszystko.

– Masz na myśli bazy poza japońskim terytorium?

– Tak.

Robert Cassidy przez chwilę trawił odpowiedź Kimury. Wreszcie pociągnął łyk piwa i czekał, aż gospodarz zdecyduje, czy powiedzieć mu coś więcej. Z pewnego powodu przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Jiro, biednym zagubionym chłopaczkiem w Akademii Sił Powietrznych USA.

Bardziej beznadziejnego dzieciaka nie widział w życiu.

Oczywiście, Japończycy w ramach wymiany wysłali do USA swego najlepszego studenta. Jiro ukończył wydział inżynierii lotniczej z drugą lokatą. Pierwszą lokatę zdobyła czarnoskóra dziewczyna z Georgii o ilorazie inteligencji 180. Po promocji nie spędziła ani dnia w mundurze, tylko na koszt Sił Powietrznych rozpoczęła studia doktoranckie z fizyki. Cassidy słyszał potem, że prowadziła badania w laboratorium Lawrence Livemore.

Jiro został pierwszorzędnym pilotem myśliwskim – japońskim, rzecz jasna. Obecnie latał na maszynie, która powstała w największej tajemnicy. Dopóki przed sześcioma miesiącami nie wspomniał o nowym Zero, Cassidy nie miał pojęcia o istnieniu takiego samolotu. Sądząc z gwałtownej reakcji, jaką w Waszyngtonie wywołał jego raport, tam również nikt nic nie wiedział. Odkąd dostał z Waszyngtonu ponaglenie o bliższe szczegóły, dwukrotnie miał okazję rozmawiać z Jiro.

Po raz pierwszy został zaproszony do domu Kimury na obiad. Jiro przez cały wieczór nie wspomniał o pracy. Cassidy nie odważył się go o nic pytać.

Było rzeczą jasną, że Jiro toczył długą walkę wewnętrzną, zanim zdecydował się na naruszenie japońskich przepisów o tajemnicy wojskowej.

Pułkownik postanowił, że następny ruch będzie należał do Jiro. Jeśli będzie chciał opowiedzieć rządowi USA o japońskich tajemnicach, Cassidy przekaże informacje. Jednak sam nie będzie pytał.

W ubiegłym miesiącu byli razem na meczu baseballowym. W odosobnieniu prawie pustego górnego poziomu stadionu, Jiro nakreślił w ogólnym zarysie rozmiary rozbudowywanych od pięciu lat japońskich sił zbrojnych. Część tych informacji Cassidy znał z innych źródeł, inne stanowiły dla niego nowość. Słuchał, ograniczając pytania do wyjaśnienia wątpliwości. Wieczorem sporządził szczegółowy raport. Tego popołudnia Jiro nie był zbyt rozmowny.

Walka wewnętrzna Jiro najwyraźniej dobiegła końca. Spojrzał Cassidy'emu w oczy.

– To nowe Zero jest najbardziej zaawansowanym technicznie myśliwcem na świecie. Jest zwrotne, niewykrywalne dla radaru, ma duży zasięg, prędkość i jest łatwe w pilotowaniu. Ma skomplikowany radar pokładowy i komputer. Wszystkie bajery. No i ma Atenę.

Atena była kryptonimem amerykańskiego projektu bardzo zaawansowanej technologii niewykrywalności, opartej na ochronnych systemach przeciwdziałania elektronicznego. Japończycy w tajemniczy sposób przejęli tę technologię, która niemal upadła w USA z powodu braku środków na dalszy rozwój.

Cassidy skinął głową. Od zakończenia zimnej wojny amerykanie zredukowali o dwie trzecie wydatki na badania nad technologiami wojskowymi.

– Atena znalazła się w Japonii – ciągnął Jiro – kiedy nasz rząd postanowił wydać duże pieniądze na wiodącą technologię militarną.

– Wytłumacz mi, jak to działa.

– Wiesz, że nie musisz mi niczego mówić – dodał, kiedy Jiro milczał. – O nic cię nie proszę.

– Wiem! Chcę ci o tym powiedzieć, Bob. – Jiro Kimura szukał właściwych słów. Wstał i wyszedł na balkon. Cassidy podążył za nim.

– Tu się urodziłem i tu mieszkam. Ale moim domem jest również Ameryka. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Mam dwie ojczyzny. Powiem ci, co mogę, a ty musisz przekazać to w wielkiej tajemnicy. Jeśli Japończycy odkryją, że mówiliśmy o tych rzeczach, znajdę się w poważnych kłopotach.

– Rozumiem. Siedzisz w tym po uszy.

– Świat jest za mały, by opierać się na lojalności wobec jednej rasy czy narodu.

– To dość śmiały pogląd, ale gwarantuję ci...

– Nie sądź mnie źle, ponieważ chcę ci o tym opowiedzieć. Nie chcę walczyć z Amerykanami.

Odwrócił się w stronę Cassidyego i popatrzył mu prosto w oczy.

– Widzisz, jak to jest, Bob?

– Tak, mój mały. Widzę.

Jiro oparł dłonie o poręcz i popatrzył na bielejący w oddali ośnieżony szczyt Fudżi-Jamy.

– Atena to aktywny system przeciwdziałania elektronicznego. Jeśli wykryje nieprzyjacielską wiązkę radarową, nadaje na tej samej częstotliwości z wszystkich zainstalowanych w samolocie anten, by zagłuszyć wiązkę. Posługuje się małym superkomputerem.

– Aha.

Jiro Kimura zorientował się z wyrazu twarzy Cassidy'ego, że ten nie docenia Ateny.

– Atena sprawia, że samolot jest absolutnie niewidzialny dla radarów.

Cassidy uniósł brwi.

– Technologię stealth zapoczątkowali projektanci, usiłując zminimalizować odbicie wiązki radarowej przez zmianę kształtu samolotu. Potem dla dalszego udoskonalenia zastosowali materiały pochłaniające promieniowanie radarowe. Atena jest kolejną generacją systemów niewykrywalności, gdzie nie odgrywają roli kształty, które, jak wiesz, ograniczają możliwości lotne niewidzialnego samolotu. Zero jest zwykłym samolotem z materiałów kompozytowych: cholernie wielki silnik, wszędzie poutykane zbiorniki z paliwem, pełna automatyka, wygląda naprawdę niesamowicie. Ma wszelkie udogodnienia pozwalające pilotowi wykryć i zniszczyć przeciwnika. Atena maskuje wszystko.

– Wygląda na cholernie dobry samolot.

– Bo to jest, Bob, cholernie dobry myśliwiec. Mogę robić na nim niewiarygodne rzeczy w powietrzu, ale „góra" chce, żebyśmy używali go jako myśliwca przechwytującego. Znaleźć nieprzyjaciela, odpalić rakiety i wrócić do domu według przyrządów. Brzmi to trochę jakby wszystko wymyśliła grupka biurokratów w bezpiecznym kącie gabinetu.

– No cóż, jeśli macie dość rakiet...

– Zawsze jest ich za mało.

– Ile jest tych Zero?

– Około setki. Liczba jest tajna i nikt o tym nie mówi.

– Więc gdzie japoński rząd ma zamiar ich użyć? – spytał po chwili Amerykanin.

– Wydaje mi się, że w Rosji. Ale nikt tego nie potwierdził.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Abe to nacjonalista. Co myślą o tym wszystkim mundurowi?

– Większość z nich lubi Abe, podoba im się to, co mówi. Oficerowie chyba popierają go co do jednego. – Jiro przerwał, by pozbierać myśli. – Japończycy mają o wiele więcej szacunku dla władzy niż Amerykanie. Lubią być częścią wielkiej, zorganizowanej społeczności. To im odpowiada. Amerykańska koncepcja indywidualnej wolności... – Przecząco pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– A co z uczniami Mishimy?

– Mishima był fanatykiem, przeżytkiem, reliktem minionych epok. Wszyscy to wiedzą. Jednak nawoływał do powrotu do koncepcji szlachetnego wojownika, ducha samurajskiego, a to wciąż fascynuje wielu Japończyków.

– Mam pewne trudności z potraktowaniem na serio tego całego Mishimy, Abe i rycerskich bzdur.

– Cassidy potarł czoło. – W erze nuklearnej nie ma czegoś takiego jak chwalebna śmierć. Czy Hiroszima i Nagasaki niczego nie nauczyły Japończyków?

Jiro skrzywił się.

– Bob, rozmawiasz z nawróconym. Moje morale zostało przekupione przed laty w Colorado Springs. Po prostu usiłuję wyjaśnić ci pewne rzeczy.

– Szlachetna śmierć pozostała jedynie w dawnych wiekach – ciągnął Cassidy. – Ale ty możesz być tu na nią narażony, amigo. Robi się coraz trudniej.

Shizuko przyniosła z kuchni wielki półmisek.

– Dziękuję, Jiro.

– Chciałbym znaleźć się z Shizuko z powrotem w twoim patio w Colorado Springs razem ze Słodką Sabriną.

– Nie można cofnąć czasu – powiedział Cassidy. – Jak koniec pieśni, to koniec. Tak mocno pragnąłem wrócić, że omal nie umarłem.

– Stany Zjednoczone powinny się powstrzymać z gwałtownymi reakcjami, Bob – odezwał się w środku kolacji Jiro. – Atsuko Abe i jego kumple są szaleni, ale nie sądzę, że na tyle, by porwać się na USA.

– W Bogu nadzieja, że masz rację.

Shizuko zachowywała się, jakby nie rozumiała po angielsku.

– A jeśli nie masz racji? – spytał półgłosem Bob.

Jiro udawał, że nie słyszy.

Bob Cassidy wrócił myślami do Słodkiej Sabriny. Dobrze być z kimś, kto wspomina ją ciepło.

Rozdział 3

Ambasadorem USA w Japonii był Stanley P. Hanratty, były właściciel salonów samochodowych wokół Cleveland i Akron. Był łysy, gruby i sprytny. Na drugie imię miał Philip. Nie cierpiał go, lecz ponieważ sądził, że nazwisko bez drugiego imienia wygląda mało poważnie, pozostawił jedynie „P".

Stanley P. przez dwadzieścia siedem lat przygotowywał się do wyjazdu do Japonii. Zaczął od handlu używanymi autami. Zastawił dom i duszę, żeby kupić pierwszy komis, potem drugi i trzeci, wreszcie salon nowych samochodów i kolejne.

Ludzie z nizin społecznych mają czasem wybujałe ambicje. Taki był właśnie Hanratty: chciał pewnego dnia zostać ambasadorem w dużym kraju.

Latami wysłuchiwał przemówień, ściskał ręce i wypisywał czeki, obserwując przypływy i odpływy politycznych nadziei. Przez ten czas kupił ósmy komis i mógł wspomóc swoją partię polityczną sześciocyfrową sumą. Odwzajemniono się mu ambasadorstwem.

Stanley P. nigdy nie zapomniał rozmowy z jednym z członków ekipy nowego prezydenta, gdy ten informował go o nominacji.

– Prezydent elekt chciałby wspomnieć o panu w Senacie, panie Hanratty. Pragnie mieć pana w swojej ekipie. Gwinea Bissau? Co pan na to?

– Bissau to chyba gdzieś w Afryce.

– Na północ czy południe od równika?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że po zachodniej stronie kontynentu, ale głowy za to nie dam.

Przez te wszystkie lata Stanley P. zainwestował mnóstwo pieniędzy w swoje starania, więc nie wahał się.

– Proszę powiedzieć prezydentowi – rzekł z namaszczeniem – że czuję się zaszczycony, że pamiętał o mnie. Z przyjemnością będę służył jego administracji, gdzie tylko będę potrzebny.

Po odłożeniu słuchawki sięgnął na półkę po atlas.

Ambasador USA w Gwinei Bissau!

W Gwinei Hanratty zrobił coś więcej niż tylko objęcie luksusowych apartamentów, które w istocie nie były wcale takie wspaniałe. Zaczął wytrwale zgłębiać sztukę dyplomacji. Zaczął zalewać Departament Stanu korespondencją oraz bywać i przyjmować miejscowych polityków z takim samym zapałem, z jakim sprzedawał samochody. Dokonał dogłębnej oceny lokalnych notabli i o każdym sporządził jasne, zwięzłe i trafne raporty. Nie oskarżał polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych o fatalne warunki życia w Gwinei, co Departament Stanu przyjął jako niespotykane, lecz miłe. Wypełniał wszystkie instrukcje co do joty, dowodząc tym waszyngtońskim decydentom, że posiada niezwykłe uzdolnienia polityczne.

Po trafnym przewidzeniu wojskowego zamachu stanu, jeśli w wyborach wygra określony polityk, Hanratty został mianowany ambasadorem na Bliskim Wschodzie, w kraju rządzonym przez fanatycznych islamistów. Tu również sprawdził się doskonale, więc kiedy amerykański ambasador w Japonii zmarł na zawał, sekretarz stanu z ulgą wysłał Stanleya P. Hanratty'ego do Tokio.

Hanratty przybył do Tokio na trzynaście miesięcy przed zamordowaniem cesarza. Pracując po szesnaście godzin na dobę, stał się ekspertem od niezliczonych aspektów stosunków japońsko – amerykańskich i we właściwych kręgach zawarł mnóstwo przyjaźni. Tego wieczoru, w parę godzin po zamordowaniu cesarza, kiedy cały świat nie otrząsnął się jeszcze z szoku, Stanley P. siedział w swoim biurze przy włączonym telewizorze, szlifując prywatny list do sekretarza stanu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – zawołał głośno, bo drzwi były grube i solidne.

– Panie ambasadorze, czy mógłbym uszczknąć chwilkę pańskiego czasu?

– Proszę bliżej, pułkowniku Cassidy.

Stanley P. lubił attache Sił Powietrznych, bo pułkownik podrzucał mu od czasu do czasu informacje z pierwszej ręki na temat japońskich sił zbrojnych, o czym w wiele tygodni potem ambasador czytał w skrótach sprawozdań CIA. Rezydent CIA dla odmiany nic mu nie mówił. Wyglądało na to, że ów dżentelmen nie uważał ambasadora za osobę godną zaufania, co trochę uwłaczało Stanleyowi P.

– To był ciężki dzień, pułkowniku. Może drinka?

– Dziękuję, sir. Jeśli można, to samo, co pan.

Stanley P. wydobył z dolnej szuflady biurka butelkę burbona i dwie szklaneczki, napełnił je i podał jedną Cassidy'emu.

– Tak sobie rozmyślam. Spekuluję z braku informacji. Pospekulujmy razem przez chwilę.

Cassidy łyknął whisky.

– Czy pańskim zdaniem jest możliwe, żeby, powiedzmy, rząd japoński maczał palce w zamordowaniu cesarza?

– Byłem dziś na kolacji u pewnego oficera Sił Samoobrony z formacji powietrznych. Powiedział mi, że oficerowie na ogół popierają Abe. Uważają go za zbawcę narodu.

– Zdaje się, że zabójcy byli żołnierzami.

– To właśnie rząd przekazał do prasy. Przypuszczam, że pewne wysoko postawione osoby mogły zasugerować fanatycznym podoficerom samobójczą misję. Jak słyszałem, były już takie precedensy w historii.

– To jest kolejny precedens – przyznał ambasador, smakując złocisty płyn.

– Zabójstwo zostało fatalnie przyjęte przez ulicę – powiedział pułkownik. – Wracałem do Tokio pociągiem. Ludzie w metrze i pociągu wydawali się załamani.

– Morderstwo to okropna rzecz – mruknął ambasador.

– Oficer, u którego bawiłem na kolacji, powiedział mi kilka rzeczy, których nie powinien. Być może to morderstwo tak go nastroiło.

Cassidy odsunął od siebie te myśli. Podświadomie starał się zrozumieć swojego przyjaciela lub znaleźć dla niego gładką wymówkę. Jiro zrobił to, co uważał za stosowne.

– Japończycy opracowali, wyprodukowali i skierowali do służby około setki nowych, wyjątkowo sprawnych myśliwców. – Pułkownik starannie ważył słowa. – Według mego informatora są o wiele lepsze od tego, co mamy na stanie.

– Jak dobry jest pański informator?

– Sto procent wiarygodności.

Ambasador nalał sobie drugiego drinka, Cassidy odmówił. W szybie widział odbijające się sylwetki swoją i ambasadora. Za szybą jarzyły się światła Tokio.

– Sprawa, o której powiedział mi mój informator, i o której moim zdaniem powinien pan wiedzieć jest następująca: jego dywizjon został przygotowany do przemieszczenia.

– Dokąd?

– Jego zdaniem do Rosji.

– Ten apel mniejszości narodowych o japońską pomoc... wczoraj był na ten temat program w telewizji. Według przedstawicieli rządu są rasowo spokrewnieni z Japończykami. – Ambasador przełączył pilotem kanał. Musiał znać japoński. – Być może planują przesunięcie dywizjonu pańskiego informatora do innej bazy na terenie Japonii – zasugerował Cassidy'emu Stanley P.

– To możliwe, sir. Jednak mój informator tak nie uważa. Sądzi, że jego dywizjon wybiera się o wiele dalej.

Kiedy Masataka Okada wrócił do biura po lunchu, wszyscy w wydziale oglądali telewizję. Następnego dnia po zamordowaniu cesarza Naruhito telewizyjni eksperci wciąż analizowali możliwe skutki tego wydarzenia. Biuro Okady było spore jak na warunki japońskie, trzy na trzy metry, ale za to wszystkie ściany od pasa były przeszklone. Widocznie architekt uważał, że najlepszym sposobem utrzymania szpiegów w ryzach było umożliwienie im wzajemnego podglądania się.

Okada spędził ranek na rozkodowaniu informacji od agenta o kryptonimie Dziesięć, po japońsku Ju. Ponieważ zakazano wprowadzania ściśle tajnych informacji do komputera, pracę trzeba było wykonać na piechotę.

Nudne czynności deszyfrowania i tłumaczenie, przepisane następnie na maszynie, Okada zakończył przed lunchem. Teraz wyjął teczkę z osobistego sejfu i ponownie przeczytał wiadomość.

Wiadomość była ważna, bez dwóch zdań.

Bardzo ważna. W istocie Masataka Okada podejrzewał, że przyszłość, zarówno Japonii, jak Rosji, zależy od treści dwóch kartek od agenta Ju. Oczywiście, Okada nie miał pojęcia, kim naprawdę był Ju, lecz z pewnością miał dostęp do ścisłego dowództwa rosyjskiej armii. Miał również dostęp do zawartości ich sejfów, bo niektóre z tych informacji mogły pochodzić jedynie z oficjalnych dokumentów.

Informacja dotyczyła usunięcia ostatnich systemów naprowadzania z rosyjskich balistycznych rakiet nuklearnych na okrętach podwodnych. W ubiegłym roku Rosjanie zakończyli demontaż systemów naprowadzających ze swych naziemnych pocisków balistycznych, a głowice rakiet nuklearnych zostały wycofane ze służby i zniszczone pięć lat temu.

Rosja przestała być mocarstwem atomowym.

Okada wiedział, że Stany Zjednoczone w tajemnicy nalegały na atomowe rozbrojenie w zamian za potężną pomoc, niezbędną do umocnienia władzy nowo wybranego rządu Rosji. Ta informacja została przechwycona z amerykańskich przekazów dyplomatycznych. USA nawet nie poinformowały o tym swoich sojuszników.

Sekret był pilnie strzeżony, nawet w Rosji. Ani słówko o tym wstrząsającym przedsięwzięciu nie pojawiało się w prasie rosyjskiej ani europejskiej: Okada dowiedziałby się o tym ze skrótów agencji prasowej. Powód częściowo był taki, że tylko najwyższa warstwa rosyjskiego dowództwa wiedziała, że wszystkie systemy naprowadzania zostały zdemontowane pod pozorem rutynowych programów przeglądów i kontroli.

Rozbrojenie było tak delikatnym posunięciem politycznym, że rząd Rosji utrzymywał to w tajemnicy przed narodem.

Według pokrętnej kremlowskiej logiki taka sytuacja miała sens. Dopóki nikt prócz wąskich sfer rządowych nie wiedział o tym, że systemy przenoszenia broni atomowej nie działają, nikt nie tracił twarzy ani głosów. Nie było powodu do wewnętrznego kryzysu. Dopóki nikt poza granicami Rosji nie wiedział o tym, pociski, jak zwykle, odstraszały potencjalnych agresorów. Czyż nie na tym w końcu polegało ich zadanie?

Teraz wiedzieli o tym Japończycy. A rosyjski rząd nie wiedział, że oni wiedzą.

Tak naprawdę to Japończycy dowiedzą się o tym dopiero kiedy Masataka Okada podpisze obiegówkę i prześle wiadomość do swego przełożonego, naczelnika wydziału Azji w Japońskiej Agencji Wywiadowczej.

Od szefa Okady wiadomość powędruje do szefa agencji, który przekaże ją premierowi Atsuko Abe.

To, co Atsuko Abe zrobi z tym smakowitym kąskiem, mogło stanowić powód do ponurych rozważań, jakie snuł teraz Masataka Okada, obgryzając paznokcie. Patriotyczne przemówienia Abe zapadły mu głęboko w pamięć, podobnie jak tajne zbrojenia, trwające w Japonii od pięciu lat. Teraz jeszcze doszedł do tego pisany krwią list zabójcy, którego treść przedostała się do prasy z biura prokuratury, prowadzącej śledztwo w sprawie zamordowania cesarza. List był żądaniem przejęcia władzy przez wojsko i poprowadzenia Japonii ku chwale. Przyjaciele i znajomi Okady, a właściwie to cały naród, nie mówili o niczym innym. To zdumiewające, ale rytualne samobójstwo morderców cesarza nadało nacjonalistycznym i promilitarnym poglądom sekty Mishimy zabarwienie słuszności na niespotykaną dotychczas skalę.

Na widok tego rozpasanego szowinizmu Okada dostawał dreszczy.

Jakie będą konsekwencje dla Japonii, jeśli użyje siły przeciwko Rosji?

Okada wiedział doskonale, że konsekwencje będą nieprzewidywalne i, co gorsza, niewesołe. Nie podzielał wiary Abe w przeznaczenie Japonii.

Pierwsza żona ojca Okady zmarła w chmurze atomowego grzyba nad Hiroszimą. On był synem drugiej, która uległa ciężkim oparzeniom, ale przeżyła. W dzieciństwie oglądał w kąpieli blizny matki. Zmarła na białaczkę, kiedy Okada skończył dziesięć lat. Kolejna ofiara bomby. Od tej pory minęło czterdzieści lat, lecz kiedy zamykał oczy, znów widział spalone przez termiczną falę ciało na jej plecach.

Sięgnął po papierosa, zapalił i, głęboko zaciągając się wonnym dymem, usiłował odegnać od siebie ten widok.

A gdyby...

A gdyby wiadomość informowała jedynie, że niektóre systemy zostały usunięte?

Masataka Okada szczegółowo przeanalizował wiadomość. No tak, sporządzenie innego tłumaczenia wydawało się łatwe. Jeśli usunie się trzecie zdanie, zmieni tę frazę, doda na końcu ze dwa zdania, będzie wyglądało, że minie kilka lat, zanim Rosjanie przeprowadzą rozbrojenie do końca.

Jednak przełożeni mogliby go na tym przyłapać.

Czy aby naprawdę?

Przecież szef agencji nie pojedzie w najbliższym czasie do Moskwy, by uciąć sobie towarzyską pogawędkę z agentem Ju.

Pozostali pracownicy biura w napięciu oglądali telewizję.

Chyba oszalałem. To napięcie mnie przytłacza. Pierwszą i podstawową regułą jest nie pisanie niczego, co mogłoby wzbudzić najmniejsze nawet podejrzenia. Nie zostawiać żadnych śladów. Jednak to, nad czym się zastanawiam nie jest szpiegostwem, tylko sabotażem.

Zaplótł palce z całej siły, aż ból wycisnął mu z oczu łzy.

W którymś momencie mężczyzna musi podjąć decyzję.

To szaleństwo! Usiłujesz jedynie zyskać na czasie.

Okada włożył kartkę do maszyny, zerknął jeszcze raz na kolegów i zaczął pisać.

Usiłujesz zyskać na czasie kosztem własnego życia, głupcze. Nikogo to nie obchodzi. Nikt o to nie dba.

Po dwóch wersach przestał i popatrzył na tekst.

To się nie uda.

Ju wytrwale wysyłał raporty, mógł nawet wysłać już kolejny w tej sprawie. Prawdopodobnie tak zrobił. Poprzednie raporty mogły trafić do innych szyfrantów. Okada otrzymał ten wyłącznie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Wyjął kartkę z maszyny i włożył następną.

Najlepszą metodą byłoby nie zmienianie faktów, ale sposobu, w jaki zostały podane. Okada znał swojego szefa, Toshihiko Ayukawę. Ten człowiek miał niecodzienny dar oddzielania ziarna od plew. Agencje wywiadowcze są w sposób nieunikniony zalewane najrozmaitszymi śmieciami: zwykłymi pogłoskami, dzikimi spekulacjami, przekręconymi plotkami, zwykłymi kłamstwami, a – co najgorsze – podawaną jako prawda dezinformacją.

Przez lat Okada stał się znawcą raportów wywiadu. W pierwszej wersji doniesienie agenta Ju wydawało się szczerym złotem. Zawierało wymowne fakty, większość z nich ujęta w minimum słów, jednak źródło każdej informacji było skrupulatnie podane. A gdyby tak jego styl zmienić nie za wiele, a w sam raz?

To będzie fałszywka – wiadomość ma wyglądać dla kogoś, kto zna styl Ju, na autentyczną, jednak jej ton powinien być nieodpowiedni. Nie zaraz zły, tylko trochę – niewłaściwy, wystarczająco jednak, by posiać w umyśle czytelnika cień wątpliwości co do prawdy zawartej w raporcie. Ton powinien sugerować kłamstwo.

Bóg świadkiem, że Toshihiko Ayukawa jest uważnym czytelnikiem!

Okada zapalił kolejnego papierosa. Rozprostował palce.

Jego koledzy wciąż wpatrywali się w ekran we wspólnym pomieszczeniu.

Zaciągnął się po raz ostatni, włożył dymiącego papierosa do popielniczki i zaczął szybko pisać.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że Ayukawa mógł poprosić innego szyfranta o ponowne odkodowanie informacji.

Owszem, gdyby uważał, że Okada niechlujnie wykonuje swoją pracę.

W takiej sytuacji Okada znalazłby się w nie lada kłopotach.

Cóż, los człowieka jest w ręku bogów. Mogą go zapisywać dowolnie.

Palce Okady stukały w klawiaturę.

Kiedy skończył, uważnie przeczytał tekst. Był taki, o jaki mu chodziło.

Włożył fałszywy raport do oficjalnej koperty i podpisał druczek w książce szyfrantów.

Ludzie na zewnątrz wciąż oglądali telewizję, tłoczyli się i rozmawiali. Wydawało się, że nikt nie patrzy w jego stronę.

Okada schował kopię prawdziwego raportu pod biurko i starannie ją złożył. Potem wsunął mały zwitek papieru do skarpetki.

Wziął do ręki kopertę i zważył ją w dłoni. Kiedy wyjdzie z nią z gabinetu, będzie nieodwracalnie zaangażowany.

Pod wpływem napięcia lekko się spocił. Oddychał z trudem.

Ayukawa znał raporty Ju. Fałszywa wiadomość może zabłysnąć jak policyjny kogut w mroku.

Wtedy Masataka Okada byłby zgubiony.

Zerknął na stare zdjęcie rodziny stojące na biurku. Było odsunięte ostrożnie na samą krawędź i omal nie spadło, kiedy Okada robił miejsce dla kolejnych książek teczek i raportów rosnących na blacie niczym grzyby po deszczu. To zdjęcie musiało mieć co najmniej dziesięć lat. Córka dorosła i miała już własne dziecko, syn kończył szkołę średnią.

Z czego brał się ich niezdrowy wygląd?

Masataka Okada mocniej ścisnął kopertę i wyszedł z gabinetu.

O szóstej wieczorem Toshihiko Ayukawa, przełożony Okady, otworzył opatrzoną klauzulą najwyższego utajnienia kopertę zawierającą odkodowaną wiadomość od agenta Ju. Od chwili, kiedy ją otrzymał, miał przeświadczenie, że informacja jest bardzo ważna, ale popołudnie zeszło mu na posiedzeniach i dopiero teraz udało mu się opędzić od najpilniejszych spraw. To dziw, że jego

biurko nie zajęło się od wojowniczego nastawienia Chin, niepokojów etnicznych na Syberii i zamieszek na ulicach Hongkongu. Jednak sprawa zamordowania cesarza i przygotowania do państwowego pogrzebu miały bezwzględne pierwszeństwo.

– Nie – powiedział dyrektorowi agencji – nie mamy żadnych wskazówek, że za zamordowaniem cesarza kryje się jakakolwiek azjatycka siła.

Ayukawa zasępił się, czytając uważnie raport. Wyglądał na dzieło Ju, posiadał odpowiednie kody, ale... Przeczytał go wolno po raz drugi, myśląc nad nim intensywnie.

Popatrzył na podpis szyfranta na kopercie. Okada.

Wezwał swojego zaufanego asystenta Sushi Maezumi. Podniósł kopertę, by Sushi mógł ją zobaczyć.

– Czemu dałeś to Okadzie?

Asystent zerknął na podpis i twarz mu się wydłużyła.

– Przepraszam. Zapomniałem.

– Mam drugi egzemplarz tej wiadomości do rozkodowania – Ayukawa zajrzał do szuflady. Starał się ściśle rozdzielać wszystkie swoje operacje. Było niefortunne, że jego asystent dowiedział się, że szef od czasu do czasu robi duplikaty raportów do rozszyfrowania i przetłumaczenia, ale skoro nie miał czasu zająć się wszystkim osobiście, ktoś musiał go wyręczyć. Duplikaty pozwalały mu na kontrolę kompetencji jego podwładnych. No i ich lojalności. Jeżeli zaś wiadomość była ważna, mógł mieć dwie wersje do porównania, bo opracowania nigdy nie były identyczne.

– Gdzie jest numer trzy cztery zero dziewięć? – spytał Ayukawa.

– Tu. – Sushi wyciągnął kopertę ze spodu stosu.

Ayukawa rozerwał ją i przeczytał. Nawet nie zadał sobie trudu porównania tekstu z historyjką Okady.

– Zlekceważyłeś mój rozkaz. Zabroniłem ci przekazywania Okadzie jakichkolwiek ważnych informacji bez mojej bezpośredniej zgody.

– Zapomniałem.

Unikanie bezpośredniej konfrontacji stanowiło jeden z filarów społeczeństwa japońskiego. Ayukawa nie dbał o to.

– To żadna wymówka – odezwał się brutalnie do asystenta, który zbladł. – Moje instrukcje mają być wypełniane co do joty. Zawsze. To ja jestem odpowiedzialny, a nie ty. Przecież wiesz, że mamy szpiega w agencji... Wystarczy, porozmawiamy o tym później. Zobacz, czy Okada jest jeszcze w budynku. Pośpiesz się.

Sushi Maezumi, któremu ta reprymenda odebrała mowę, wypadł z gabinetu jak bomba.

W dzielnicy Shinjuku światła neonów zabarwiały kolejno skórę przechodzących wśród rzęsiście oświetlonych witryn gości na czerwono, zielono, granatowo, pomarańczowo i żółto. Z jednej strony świateł była ciemność, z drugiej życie. Tu istotą życia był seks.

To była tokijska dzielnica rozrywek, tyle że o większej koncentracji sklepów dla dorosłych, pokazów erotycznych, pałaców porno, nocnych klubów przetykanych tradycyjnymi burdelami. Te z kolei zaczynały się od tanich bud z szybkim numerkiem, po ekskluzywne kluby z gejszami, gdzie nocne rozrywki mogły kosztować tysiące dolarów.

Integralną częścią tego rejonu rozrywki było mrowie ludzi. Goście mogli wmieszać się w tłum, stając się anonimowymi gapiami napawającymi się zakazanymi przez konwenanse seksualnymi przyjemnościami.

Masataka Okada przesuwał się zręcznie między rojącymi się ludźmi. Cieszyła go ta napięta erotyczna atmosfera, przynosząca ulgę w porównaniu z codziennym, niemal przyprawiającym o atak

serca, napięciem. Jaskrawe światła, które mieniły się dziwnymi barwami na białych koszulach mężczyzn, zdawały się wciągać jego i wszystkich innych do fantastycznego świata przyjemności.

Od ulicznego sprzedawcy kupił dwa prostokątne placki z pieczonym mięsem rekina. Wieczorny upał i otaczający tłum sprawiały, że smażony tłuszcz i rybie mięso pachniały wyjątkowo ostro.

Szedł, przedzierając się przez morze ludzi. Wciągały go światła, upał i zapachy.

Może gdzieś na świecie są zajęcia bardziej denerwujące niż bycie szpiegiem, ale trudno mu było to sobie wyobrazić. Szpieg gra w śmiertelnie niebezpieczną grę, zawsze jest samotny i w każdej chwili spodziewa się, że spadnie wiszący mu nad głową miecz Damoklesa. Na początku Masataka Okadzie było o wiele łatwiej, ale teraz, kiedy konsekwencje jego wyboru stawały się coraz bardziej oczywiste, zwykłe przetrwanie kolejnego dnia stawało się coraz trudniejsze. Każde słowo, każdy gest, każde niedopowiedzenie rozpatrywał pod względem podwójnego znaczenia. Każde potknięcie mogło mieć tragiczny skutek, więc każdy wybór wiązał się z napięciem nerwowym.

Problem polegał na tym, że Masataka Okada wypalił się wewnętrznie. Był na krawędzi załamania.

Gdy tak spacerował, obserwując tłum, jego myśli zaprzątnęła druga wojna światowa, która odcisnęła piętno na wszystkich Japończykach. Każdy stracił podczas wojny kogoś bliskiego – dziadka, ojca, brata, wujka, kuzyna, ciotkę, matkę czy babkę. Wszyscy rozwali się jak dym, jakby ich nigdy nie było. A jednak byli, żyli i zginęli.

Podczas wojny poległo 2,1 miliona Japończyków, 6 milionów Chińczyków i choć apologeci próbowali upiększać historię, faktem jest, że wojna na Pacyfiku zaczęła się od japońskiej inwazji na Chiny w 1937 roku. Gdy już krew została przelana, klęska Japonii stała się nieunikniona: splądrowanie Nankinu, atak na Pearl Harbor, marsz śmierci na Bataan, bombardowania zapalające japońskie miasta, Okinawa, starcie z powierzchni ziemi Hiroszimy i Nagasaki – cała litania ludzkich cierpień tak przerażających, że nawet dziś trudno było o tym myśleć.

Okada już dawno temu doszedł do wniosku, kto jest odpowiedzialny za ten samobójczy ciąg wydarzeń: rząd japoński i jego ludzie, ponieważ rząd nie działa w próżni. Kiedy się nad tym człowiek spokojnie zastanowi, nasuwa mu się pytanie o stan zdrowia psychicznego odpowiedzialnych za to osób. Naród, stłoczony na wyspach o powierzchni Kalifornii, z własnej woli wypowiedział wojnę najsilniejszemu państwu na świecie, o dwukrotnie większej populacji i dziesięciokrotnie większym potencjale przemysłowym.

Tak oto w pisanej krwią tragedii cafe pokolenie młodych mężczyzn zostało złożone w ofierze na ołtarzu wojny. Roztrwoniono gromadzony przez wieki skarb narodu. Każda rodzina poniosła stratę, ojczyzna została zniszczona, wszystko na próżno.

To należało już do historii, martwej przeszłości. Tak odległej jak restauracja dynastii Mejii, jak Pierwszy Szopnat... a jednak nie do końca. Wojna przerażała wszystkich.

Mijały godziny i Okada znalazł się w pobliżu małego lokalu z pokazami erotycznymi. Przyjrzał się uważnie odbiciu tłumu w oknie wystawowym, zapłacił za wstęp i wszedł do środka.

W holu panował półmrok. Z ukrytych głośników dobiegała japońska muzyka grana na tradycyjnych strunowych instrumentach, zwykłe tło dźwiękowe.

Z holu wchodziło się do długiego korytarza z szeregiem drzwi po obu stronach. Jedyne oświetlenie stanowiły małe czerwone żarówki pod sufitem. Powietrze było gęste od kwaśnego dymu tytoniowego, zapachu potu i mdlącego odoru nasienia.

Ściany zdawały się zamykać, utrudniając oddychanie.

W holu stał odźwierny, mały człowieczek w białej koszuli bez kołnierzyka. Zęby miał popsute, wargi wykrzywione w przyklejonym uśmiechu. Z kącika ust zwisał mu niedopałek papierosa.

Spojrzał na Okadę martwym wzrokiem i palcami zasygnalizował mu numer.

Trzydzieści dwa.

Okada poszukał drzwi o takim numerze. Znajdowały się za odźwiernym.

Odwrócił się, by minąć go bokiem w wąskim korytarzu. Człowieczek otworzył drzwi od strony wejścia. Przez kilka sekund on i Okada byli zasłonięci przed widokiem z zewnątrz.

W ciągu tej krótkiej chwili Okada wcisnął odźwiernemu wiadomość.

Odszukał numer 32 i wszedł do środka.

Rozdział 4

Dziesięciu agentów czekało, aż szyfrant wróci do domu, ale Masataka Okada nie wiedział o tym. Ustawili się w dwu kręgach. Pierwszy pilnował wszystkich dróg dojścia do domu, drugi wejść. Dwaj agenci czekali w domu wraz z żoną.

Człowiek na stacji metra zauważył go pierwszy, poczekał aż Okada znajdzie się poza zasięgiem wzroku i zameldował o tym przez radio.

Okada był zdenerwowany i niespokojny. Rozrywki w Shinjuku nie zdołały go odprężyć. Nie mógł zapomnieć o raporcie Ju, o zamordowaniu cesarza ani o bliznach na plecach matki. Pomimo czujności nie zauważył człowieka w metrze.

Przecznicę dalej spostrzegł mężczyznę wpatrującego się w drzwi. Siedział w samochodzie i popełnił błąd, rozglądając się wokół. Gdy zobaczył Okadę, odwrócił wzrok, ale za późno.

Masataka Okada szedł w stronę wejścia i rozmyślał gorączkowo.

Wreszcie po niego przyszli.

Żona... była na górze. Na szczęście niczego nie wiedziała o jego działalności szpiegowskiej, nawet nie wiedziała, że się tym zajmuje. Zatem nie mogła im niczego powiedzieć.

To nie powinno skończyć się w ten sposób. Nie powinno.

Starał się jak najlepiej. Nie chciał, żeby przyszłe pokolenia Japończyków doświadczyły tego, co jego rodzice i znalazł odwagę, by temu przeciwdziałać. Teraz przyszło spłacać rachunek.

Cóż, Amerykanie otrzymali meldunek od Ju, podobnie jak wszystkie kopie dokumentów dotyczących tajnych kontraktów na zbrojenia, które przeszły przez ręce Okady w ciągu ostatnich siedmiu lat. Jednak Abe nie wiedział, że oni wiedzą.

Dowie się jednak wkrótce, jeśli ci ludzie zdołają go aresztować. W ten czy w inny sposób wydobędą z niego prawdę. Użyją wszelkich dostępnych środków, by zmusić go do mówienia, bo stawka była zbyt wysoka.

Przed nim zamajaczył ciemny próg domu.

Dopadną go, jeśli wejdzie do środka. Niektórzy mogli już tam być, czekając, by go złapać, obalić na podłogę i zakuć w kajdanki.

Nawet jeśli uda mu się dotrzeć do mieszkania, wtargną tam za nim. Nie pozwolą mu opuścić budynku.

Te myśli przemknęły mu przez głowę, kiedy od progu dzielił go zaledwie jeden krok.

Nie może wejść do środka.

Skręcił w prawo i zaczął szybko iść chodnikiem.

Obejrzawszy się przez ramię, zauważył, że człowiek z samochodu patrzy w ślad za nim, trzymając radiotelefon przy ustach.

Masataka Okada puścił się biegiem, choć wiedział, że nie należy tego robić.

Miał dobre życie i nie chciał z niego rezygnować. Ci głupcy, którzy zabili cesarza, popełniając seppuku, dobrowolnie oddali jedyne życie, jakie mieli. Czyżby życie było tak bezwartościowe, że można się go tak łatwo pozbyć?

Przemknął przez ulicę, w ostatniej chwili unikając nadjeżdżającego autobusu. Wylądował na chodniku po przeciwnej stronie i zniknął w alejce. Wzdłuż alejki biegł ceglany mur. Dysząc i sapiąc, Okada wspiął się nań. Skaleczył sobie przy tym kostkę.

Znalazł się na cmentarzu. Nagrobki i małe kapliczki wyglądały dziwnie w półmroku miasta. Złowrogo. To była przyszłość Japonii – zrozumiał w straszliwym olśnieniu – naród nagrobków i cmentarnych kapliczek, urny z prochami, umarłe społeczeństwo.

Łkając, ruszył przez miasto umarłych i wspiął się na mur po przeciwległej stronie. Otarta kostka bolała jak diabli, ale bardziej bolał upadek jego świata i wizja przyszłości.

Co sobie pomyśli żona? Że opuścił ją, biedną, wierną kobietę.

Był teraz w innej alejce, z jednej strony ciągnęły się małe, drewniane domki, relikt starej Japonii. Zastanawiał się nad kradzieżą roweru, ale nie potrafił się na to zdobyć.

Alejka wychodziła na ulicę. Mimo zmęczenia Okada zmusił się do truchtu. Za rogiem zderzył się z nadbiegającym z przeciwka mężczyzną. Okadzie sprzyjało szczęście. Zareagował pierwszy i energicznym pchnięciem powalił mężczyznę na ziemię.

Nie oglądając się, pobiegł dalej. Niestety, poruszał się z trudem, bolały go płuca, które nie mogły zaczerpnąć wystarczająco dużo powietrza.

Przed nim była stacja metra. Jeśli zdoła złapać pociąg, pojechać dokądkolwiek, zgubi się w Tokio i może nawet zdoła dotrzeć do amerykańskiej ambasady.

Amerykanie uprzedzali go, że pewnego dnia może do tego dojść. Nie chciał w to uwierzyć, mimo iż wiedział, że mówią prawdę.

Z wyczerpania był bliski rezygnacji, rozumował z trudem. Od lat wypalał po kilka paczek papierosów dziennie i nie gimnastykował się.

Słyszał za sobą dudniące po chodniku kroki.

Już są... schody do metra! Popędził w dół, trzymając się poręczy.

Kolejne schody. Przeskakiwał po dwa stopnie na raz.

Z tyłu kroki były coraz bliżej. Ostatnim zrywem rzucił się naprzód, chociaż ledwie dyszał i miał trudności z widzeniem. Pot zalewał mu oczy.

Nadjeżdżał pociąg.

Jeśli mnie złapią...

Pociąg miał jeszcze niezłą prędkość, gdy Masataka Okada dał nura z peronu wprost pod koła.

Widział go nad sobą, jakieś trzy kilometry wyżej, błyszczący srebrny kształt na tle przepastnego błękitu nieba. Żeby wbrew przeciążeniu zachować wyprostowaną pozycję, Jiro Kimura musiał przytrzymać się uchwytu na przedniej części osłony kabiny. Jęknął, mięśnie miał napięte do granic wytrzymałości, usiłował utrzymać wzrok na srebrzystych połyskach odległego samolotu.

Jeśli straci go z oczu, ponowne odnalezienie celu zajmie kilka bezcennych sekund. Tamten pilot na pewno spogląda na niego, obserwuje wszystkie skręty i zwroty, czekając na dogodny moment, kiedy będzie mógł zanurkować, siekąc z działek niczym anioł zagłady. Albo jak krwawy Czerwony Baron. Żeby zabić.

Kimura wiedział o tym, ponieważ znał tamtego pilota. Miał na imię Sasai. Skończył dwadzieścia cztery lata, rzadko się uśmiechał i nigdy nie powtarzał tego samego błędu. To była zaledwie jego trzecia walka sam na sam, ale Sasai szybko się uczył.

Teraz Kimura chciał, żeby Sasai myślał, że ma czystą pozycję, gdy w istocie tak nie było.

Zakołysał gwałtownie skrzydłami to w jedną, to w drugą stronę. Jednocześnie pchnął drążek w przód, odciążając samolot i przyśpieszając, ale Sasai nie widział tego z odległości dwóch kilometrów. Zauważył jedynie, że skrzydła kołyszą się, jakby Kimura stracił z oczu przeciwnika i daremnie usiłował go odszukać.

Sasai skręcił, żeby znaleźć się za Kimurą i zanurkował.

Kimura odczekał kilka sekund, może cztery, potem włączył dopalacze i zadarł nos samolotu w górę. Poczuł znajome, mocne przeciążenie, gdy horyzont zaczął znikać. Jiro Kimura uwielbiał latać i tego ranka przyznał to ponownie sam przed sobą, chyba po raz setny. Czy życie daje coś piękniejszego niż uprawianie sztuki walki powietrznej na bezkresnym niebie, niż przeciwnik, z

którym można wykonywać śmiertelne akrobacje, a potem powrót do domu, w trakcie którego analizuje się starcie i obmyśla loty na następny dzień?

Kiedy maszyna znalazła się w pozycji pionowej, Kimura obrócił ją wzdłuż osi, tak że skrzydła znalazły się prostopadle do toru lotu Sasaiego, i podciągnął nos, podążając za przeciwnikiem, który gorączkowo usiłował wydostać się z pułapki. Ponieważ Kimura leciał wolniej, mógł szybciej wykonać zwrot niż nurkująca maszyna i wycelować w nią działka.

Kimura nacisnął spust na drążku.

– Już nie żyjesz, Sasai – powiedział przez radio, usiłując ukryć nutę satysfakcji w głosie. – Wracamy do domu.

Sasai ustawił się na skrzydle Kimury, który sprawdził wskazania satelitarnego pozycjometru GPS i wziął kurs na bazę. Znajdowali się nad Morzem Japońskim, powyżej postrzępionej linii niskich chmur. Kimura sprawdził poziom paliwa, porównał kurs na kompasie magnetycznym i przeciągnął się. Srebrne maszyny, słońce na bezkresnym błękicie, pod spodem morze, chmury i mglisty horyzont. Jeśli tak wygląda niebo, gotów jest tam pójść.

Oczywiście, jeśli Shizuko mogłaby być tam razem z nim.

Poczuł się winny, że rozmyślał o raju bez Shizuko. Potem zrobiło mu się głupio, że w ogóle przychodzą mu do głowy takie myśli.

Może nie było to wcale takie głupie. Prawdziwa walka zdawała się być coraz bliższa. Prawie jak straszna burza za horyzontem, o której nikt nie chce myśleć. Planujemy coś na następny tydzień, miesiąc, rok, a nie przyjmujemy do wiadomości, że nasze bezpieczeństwo, istnienie naszego maleńkiego świata zawisło na włosku.

Jiro zerknął na niewidzialną rzekę powietrza między samolotami i zobaczył Sasai w kabinie. Spoglądał w stronę Jiro. Przez chwilę obaj popatrzyli na siebie, potem Kimura odwrócił wzrok.

Kimura był dowódcą klucza. W jego skład wchodzili Ota, Miura i Sasai. Jeśli to możliwe, będą latać razem jako zespół.

Niestety, Sasai był jeszcze zielony. Brakowało mu doświadczenia. Wiedział jak posługiwać się myśliwcem przechwytującym Zero korzystając z radaru, pozycjometru, komputera i reszty wyposażenia, ale nie miał pojęcia o walce kołowej.

Ota ani Miura również nie mieli większego doświadczenia w tym względzie. Pułkownicy i generałowie nalegali, żeby piloci Zero doskonalili swoje umiejętności posługiwania się nowoczesnymi systemami uzbrojenia, więc ćwiczyli przyrządowe namierzanie celu i strzał rakietami, kiedy tylko ten znajdzie się w zasięgu pocisków.

– Co zrobicie – spytał Kimura trójkę ze swego zespołu – jeśli nieprzyjaciel zaatakuje was podczas startu?

Jego młodzi skrzydłowi zdumieli się, jakby taka możliwość w ogóle nie wchodziła w rachubę. Ich przełożeni, z których żaden nie miał doświadczenia bojowego, tłumaczyli, że wyposażenie elektroniczne stanowi jądro systemu uzbrojenia. Owo technologiczne cudo czyniło z Zero najlepszy niewidzialny dla radaru myśliwiec na świecie. Kadłub, skrzydła i silnik służyły jedynie do umieszczenia systemu w odpowiednim miejscu przestrzeni powietrznej, gdzie będzie można użyć go przeciwko nieprzyjacielowi. Nikt nie napomknął nawet o innej możliwości prócz tej, że wróg będzie leciał niezmiennym kursem, a tymczasem japońscy piloci namierzą go swymi radarami, wydadzą komputerowi rozkaz ataku i będą obserwowali, jak pociski opuszczają prowadnice.

Cytowano powiedzenie jednego ze starszych oficerów:

– Walka kołowa to przeżytek. Wyposażyliśmy Zero w działka do zwalczania celów naziemnych, nie innych samolotów.

I rzeczywiście, dane dotyczące użycia działek nie były uwzględnione na wskaźniku refleksyjnym HUD.

Jiro Kimura nie uważał, że sprawa będzie taka łatwa. Kiedy nie trenowali przechwytywania celu, ćwiczył z członkami swojej grupy walkę powietrzną. Nie mieli zbyt wielu okazji, ale wszyscy uczyli się szybko, nawet Sasai.

Powinni poradzić sobie z Rosjanami.

No tak, Rosjanie. Tego ranka podczas porannej odprawy dowódca skrzydła powiedział trzy słowa: – Syberia, dwa tygodnie. Studiujcie rosyjskie siły powietrzne i bądźcie gotowi je zniszczyć.

– Dwa tygodnie? – mruknął ktoś z niedowierzaniem.

– Żadnych pytań. To ściśle tajna informacja. Zbliża się nasz dzień i musimy być przygotowani.

Jiro uniósł przesłonę hełmu i otarł rękawiczką pot z oczu. Sprawdził wysokościomierz, odpiął maskę tlenową i wytarł twarz.

Włożył na powrót maskę i opuścił przesłonę.

– To będzie szybka wojna – prorokował Ota. – Po dwóch dniach nie będą mieli czym latać. Ich MIG-i, a nawet Su-27 pospadają jak kaczki.

Jiro Kimura nie odezwał się. Nie było o czym gadać. Będzie, co ma być, i słowa niczego tu nie zmienią.

Jednak po włożeniu lotniczego ekwipunku, a przed udaniem się wraz z Sasai na przedstartowy przegląd maszyn, Kimura zadzwonił do Boba Cassidy'ego urzędującego w amerykańskiej ambasadzie w Tokio. Krótka pogawędka, zaproszenie na obiad za trzy tygodnie i wzmianka o liście do absolwentów, który Kimura otrzymał z Akademii Sił Powietrznych w Colorado Springs.

Odsunął od siebie myśli o Rosji i Cassidym, i skupił się na realizowanym zadaniu. Chmury nad Honsiu wyglądały na gęste, więc on i Sasai będą musieli podchodzić do lądowania według przyrządów. Jiro dał znak swemu skrzydłowemu, żeby przełączył radio na częstotliwość wieży i wywołał kontrolera lotów.

Gdy Cassidy pojawił się w tylnym wyjściu z ambasady, czekało na niego trzech mężczyzn. Przynajmniej widział trzech, pomyślał kilka minut później, choć może być więcej.

Kiedy szedł chodnikiem, śledzili go zachowując dystans: jeden z tyłu, drugi po przeciwnej stronie ulicy, a trzeci posuwał się wolno samochodem. Co do tego gościa w samochodzie miał przez kilka minut wątpliwości.

To zdarzyło się po raz pierwszy. Cassidy nigdy dotąd nie był jawnie śledzony.

Zastanawiał się nad wyborem chwili. Czemu akurat teraz?

Ten, który szedł za nim po tej samej stronie ulicy, był średniego wzrostu jak na Japończyka, nosił ciemne okulary i sportową marynarkę. Sposób, w jaki się poruszał, świadczył o doskonałej sprawności.

Ten po drugiej stronie wydawał się niższy. Był łysawy. Miał na sobie spodnie i ciemny pulower. Cassidy nie widział twarzy kierowcy.

Skoro wie o tych trzech mężczyznach, o ilu jeszcze nie wie?

Nie mogąc zdecydować się, jak zachować się w tej sytuacji, wybrał zwykłą drogę do swego mieszkania. Kiedy zameldował się przed piętnastoma miesiącami w Tokio, miał do wyboru mieszkanie w ambasadzie lub wynajęcie sobie czegoś „bardziej ekonomicznego". Wybrał to drugie. Bez dzieci w wieku szkolnym i żony, żądnej kontaktów towarzyskich z innymi Amerykanami, nie zastanawiał się długo.

Ci trzej musieli na niego czekać. Pewnie wiedzą, gdzie mieszka, i którędy chodzi do pracy. Pewnie śledzili go w przeszłości, ale tego nie zauważył.

Cóż, może zwrócili uwagę na jego rozmowę z Jiro i dlatego go teraz obserwują. Przyznał, że czuje się nieco winien. Jiro nie musiał dzwonić z bazy.

Przystanął na moment przecznicę przed domem i, zanim skręcił za róg, zerknął na odbicie w polerowanym marmurze sklepowej ściany. Zobaczył łysego, a za rogiem samochód.

Wszedł do budynku. W holu wyjął listy ze skrzynki, wjechał windą na swoje piętro i otworzył drzwi do mieszkania. Wewnątrz nie zapalił światła.

Usiadł przy oknie i, wyglądając w zmierzch, zastanawiał się, co robić.

Na pewno mają na podsłuchu połączenia do ambasady i do bazy.

Jiro był jedynym japońskim wojskowym, który powiedział Cassidy'emu coś naprawdę istotnego. Oczywiście, jako lotniczy attache prowadził rutynowe rozmowy z japońskimi wojskowymi, z niektórymi nawet się zaprzyjaźnił. Kilkunastu z nich miało wyższe stopnie. Rzecz w tym, że ci wojskowi w żadnym razie nie mówili o niczym tajnym. Podobnie jak wszyscy wojskowi attache na całym świecie, zbierał te informacje Jak leci" i wysyłał do analizy w kraju. Wyłowienie z nich tego, czego Japończycy nie chcą powiedzieć Amerykanom, należało do zadań innej agencji, CIA.

Czyżby więc śledzący go mężczyźni wiedzieli, że Jiro zaczął mówić?

Cassidy obawiał się między innymi, że raport z którejś rozmowy z Jiro może zostać ujawniony, to znaczy przekazany z kolei Japończykom. Niestety, w ciągu ostatnich dwudziestu lat w USA wybuchło zbyt wiele szpiegowskich skandali. Rozczarowani, zgorzkniali ludzie najwyraźniej ochoczo sprzedawali swoich kolegów i swój kraj. Japończycy mieli bez wątpienia wystarczająco dużo pieniędzy.

Należy poinformować oficera bezpieczeństwa w ambasadzie, że był śledzony, chyba tamten powinien o tym wiedzieć i spytać go przy okazji, czy ktoś też o tym meldował. Podniósł słuchawkę i zważył ją w ręku, ale nie wybrał numeru. Telefon też pewnie był na podsłuchu, jeśli zadzwoni do ambasady i zamelduje, że jest śledzony, będzie wyglądało, że ma coś do ukrycia.

Podszedł do okna i spojrzał na niebo nad Tokio, a raczej na ten skrawek, który mógł zobaczyć z piątego piętra. Zerknął na zegarek. Dwie godziny.

Za dwie godziny miał się spotkać z Jiro. W trakcie rozmowy Jiro wspomniał o Colorado Springs. Przed dwoma dniami, podczas obiadu u Kimury, uzgodnili, że nazwa tego miasta będzie kodem oznaczającym spotkanie w umówionym miejscu.

Kod był pomysłem Kimury. Cassidy czuł niesmak do całej sprawy. Żaden z nich nie był wykwalifikowanym szpiegiem, to było dla nich za trudne. Mogli zdemaskować się sami. Nawet jeśli do tego nie dojdzie, Cassidy miał przeczucie, że przez ten epizod może stracić bliskiego przyjaciela.

Skierował myśli na bieżący problem.

Jiro zadzwonił, a grupa śledcza czekała na Boba przy tylnym wyjściu z ambasady.

Być może podsłuchiwali wszystkie rozmowy z terenu bazy, przechwycili ten i postanowili sprawdzić, czy Kimura spotyka się z ludźmi, z którymi nie powinien.

A może nakryli Kimurę?

Może już wiedzą, że wygadał pewne tajemnice Amerykanom? Może usiłują napaść na niego...

Może, może, może...

Roztrząsając to wszystko, Cassidy przebrał się w cywilne ubranie, przeszedł do kuchni i wyjął z lodówki piwo.

Na ścianie wisiało zdjęcie przedstawiające Cassidy'ego za sterami F-16. Samolot znajdował się wówczas wysoko, na dziesięciu tysiącach metrów. W promieniach słońca, na tle błękitnego nieba, maszyna wydawała się niemal czarna. Cassidy przystanął i, popijając piwo, zerknął na fotografię. Jednak przed oczyma miał nie F-16, ale nowe Zero.

Widział je. Tydzień temu. Ze wzgórza w pobliżu japońskiej bazy w Nigata. Wspiął się na nie z przewieszoną przez ramię kamerą wideo w twardym futerale. Nagrał startujące i lądujące nowe myśliwce. Chociaż baza była oddalona o dziesięć kilometrów, podczas startu i lądowania maszyny przelatywały o trzy czwarte kilometra od miejsca, w którym stał.

Zrobił też trochę zwykłych zdjęć aparatem fotograficznym tuż przy pasie startowym. Zaparkował w hałaśliwym sąsiedztwie bazy i z miejsca kierowcy fotografował przelatujące nad głową samoloty.

CIA przysłała mu gadżet, którym miał się pobawić, kiedy nowe Zero będzie leciało w pobliżu: urządzenie przypominające mały odtwarzacz kasetowy, za jaki mogło uchodzić przy pobieżnych oględzinach. Niestety, miało jeszcze metrową antenę, którą trzeba było wystawić przez okno.

Cassidy wykonał te zaawansowane technicznie szpiegowskie czynności zupełnie jawnie. Jedyną osobą, która zwróciła na niego uwagę był chłopczyk na trójkołowym rowerku. Oddalony o półtora metra przyglądał się, jak Bob operuje odtwarzaczem i anteną podczas przelotu myśliwców.

Pamiętał uczucie ulgi, gdy wreszcie skończył. Uruchomił silnik i, rozglądając się po raz ostatni, czy nikt go nie obserwuje, wrzucił bieg.

Jeśli się nad tym spokojnie zastanowić, to wprost zdumiewające. Japończycy zaprojektowali, wyprodukowali i przetestowali najnowocześniejszy, niewykrywalny przez radary myśliwiec, włączyli do służby cały dywizjon tych maszyn, a Stany Zjednoczone nie wiedziały nawet, że takie coś istnieje, dopóki jeden z pilotów nie spotkał się z amerykańskim attache i nie powiedział mu o tym.

Być może, myślał Cassidy, wypatrując przez okno czy jego „ogon" wciąż czeka, Japończycy są dalecy od rozpoczęcia wojny. Tak jak dla Amerykanów, wojna była dla nich abstrakcją, wydarzeniem z przeszłości, o którym uczniowie czytają w podręcznikach szkolnych: daty, działania wojenne, zapomniane bitwy o dziwnych nazwach. Wojna przestała być doświadczeniem całej ludzkości, całych pokoleń. Obecnie doświadczenia bojowe miało zaledwie paru zawodowych żołnierzy, jak na przykład Cassidy.

Jako młody człowiek latał podczas wojny w Zatoce, nawet zestrzelił MiG-a, potem zrzucił kilka bomb w Bośni. Jego opowieści z tamtych czasów brzmiały jak streszczenie starego filmu klasy „B", niejasne, urwane fragmenty wspomnień.

Zdaniem Cassidy'ego wojna była sprzedawana obecnie jako gra wideo. Strzelasz i strącasz czarne charaktery. Jeśli zabraknie ci punktów, wrzucasz następną monetę i gra zaczyna się od nowa. Nic ci się nie może stać. Nie możesz zginąć. Ryzykujesz co najwyżej utratę paru monet.

Cassidy musiał podjąć decyzję.

Kimura zadzwonił i chciał się z nim zobaczyć. Nie było „ogonów". Jeśli nie pójdzie na spotkanie, Kimura przynajmniej przez pewien czas będzie bezpieczny, ale on nigdy się nie dowie, co Jiro chciał przekazać amerykańskiemu rządowi. Z drugiej strony, jeśli pójdzie, mimo najlepszych starań mogą go śledzić, a Kimura może wylądować w więzieniu lub spotka go coś jeszcze gorszego. Do diabła, Cassidy mógłby również wylądować w więzieniu, co byłoby doprawdy niezwykłym zwieńczeniem jego lotniczej kariery.

Jiro, pomyślał z rozbawieniem Cassidy, niezwykle ufa rządowi Stanów Zjednoczonych. On sam dawno stracił tę wiarę. A jednak był zobowiązany to zrobić. Czyż nie uczą tego w Akademii Sił Powietrznych?

Dokończył piwo i cisnął pustą puszkę do pojemnika na śmieci.

Dobrze, Jiro. Tak czy owak, zjawię się.

Bob Cassidy stał przy wielkim palenisku kadzidełek w świątyni Asakusa, gdy zobaczył, jak Jiro Kimura kupuje wiązkę kadzideł. Zapalił je od węgli drzewnych i wrzucił na palenisko. Cassidy podszedł bliżej i obaj stanęli w tłumie, kierując święty dym na twarze i we włosy.

– Byłem śledzony – powiedział cicho Cassidy – ale wydaje mi się, że ich zgubiłem.

– Ja również. Przez godzinę jeździłem metrem. Przepraszam za spóźnienie.

– Nagrywają rozmowy telefoniczne z ambasady lub twojej bazy.

– Zapewne tu i tu – mruknął pod nosem Jiro. – Są bardzo sprawni. – Podszedł do fontanny, zaczerpnął wody i napił się.

– Bóg raczy wiedzieć, czym się możesz zarazić pijąc stąd. Pewnie będziesz miał biegunkę przez tydzień. Wypadną ci zęby.

– Też coś. – Jiro wręczył czerpak stojącej za nim osobie i ruszył dalej. Niewielu Japończyków mówi po angielsku, więc uwagi Boba nikomu nie przeszkadzały.

Jiro wszedł do buddyjskiej świątyni i wrzucił trochę monet do skrzynki na datki. Ruszył wzdłuż poręczy i modlił się, podczas gdy Cassidy czekał z tyłu.

Przy drzwiach minął Cassidy'ego.

– To Syberia. Dowódca skrzydła powiedział nam to w tajemnicy podczas porannej odprawy. Twierdzi, że za dwa tygodnie.

– Czy ma gotowy rozkład zajęć?

– Tak. Powiedziano nam, że mamy być gotowi do zniszczenia rosyjskiego lotnictwa.

– Czy powiedział, czemu?

– Wszystko ci przekazałem. Tajemnicze jak cholera, nie uważasz? Wyszli ze świątyni. Przystanęli na moment na schodach, obserwując ludzi przy palenisku kadzidełek.

– Szczęśliwi, co? – spytał Cassidy.

Jiro nie odpowiedział. Zawrócił do świątyni po przepowiednie znajdujące się z prawej strony ołtarza.

– Możemy nie spotkać się przed twoim wyjazdem – powiedział Cassidy.

– Nie spotkamy się. Założę się, że zamkną bazę i wydadzą zakaz jej opuszczania. To cud, że nie zrobili tego dzisiaj.

– Może chcą zobaczyć, z kim rozmawiasz.

– Może – mruknął Jiro. Włożył do puszki ofiarnej monetę stujenową i wyjął dużą, aluminiową tubę. Potrząsnął nią, potem odwrócił do góry nogami i obejrzał wlot. Końcówka pałeczki była ledwo widoczna. Wyciągnął ją.

– Siedemdziesiąt sześć – powiedział i włożył pałeczkę z powrotem do tuby.

– Usiłuję ci coś powiedzieć, amigo. Już możesz być u nich spalony.

– Chciałbym, na Boga, być z powrotem w Springs. Nagła zmiana tematu zbiła z tropu Boba Cassidy'ego.

– To były dobre czasy – powiedział tylko, bo cóż mógł dodać.

– Ze Słodką Sabriną – rzekł Jiro.

Otworzył szufladkę numer siedemdziesiąt sześć i wyjął z niej kawałek papieru. Zamknął szufladkę, cofnął się o kilka kroków i zerknął na karteczkę.

– Tak – odezwał się Cassidy. Wzruszenie ściskało go za gardło.

Jiro wydawał się na to nie zważać. Złożył papier i schował do kieszeni.

– Pewnego dnia znów się spotkamy. W tym życiu lub w następnym.

– W tym życiu lub w następnym – zawtórował mu Cassidy. Te słowa wróciły do niego jak bumerang. W ten sposób żegnali się ze sobą kadeci w dniu promocji. Pokazał na kieszeń Jiro, kryjącą karteczkę z szufladki.

– Czy to była dobra wróżba?

– Nie.

– To wszystko bzdury – parsknął Cassidy.
– Prawdopodobnie.
– Pułapka, dzięki której mnisi wyciągają forsę od frajerów.
– Muszę iść, Bob.
– Hej, człowieku.
– Vaya con Dios.
– Nawzajem.
Jiro Kimura odwrócił się i wyszedł ze świątyni. Nie obejrzał się ani razu.
Bob Cassidy czuł się bezradny. Stracił również Jiro. Sabrinę, mały Robbie, teraz Jiro...
– W tym życiu lub w następnym, Jiro. – Po policzku spłynęła mu łza. Otarł ją ze złością.

Rozdział 5

Następnego ranka Jiro poszedł wprost do gabinetu swego dowódcy i zapukał. Kiedy uzyskał pozwolenie wejścia, opowiedział pułkownikowi, że był śledzony zeszłego wieczoru.

– Nie mam pojęcia, kim byli ci ludzie, ale chcę złożyć raport, żeby ta sprawa została wyjaśniona. Nigdy przedtem, o ile się orientuję, nie byłem śledzony.

Pułkownik zdziwił się. Jiro doszedł do wniosku, że albo nie powiedziano mu, że Kimura jest podejrzany, albo jest doskonale opanowany. Z ulgą opisał dowódcy człowieka ze stacji metra.

– Być może ten osobnik wcale nie śledził pana, kapitanie. Może przesadza pan z podejrzliwością.

– To możliwe, panie pułkowniku. Jednak chciałbym, żeby złożył pan meldunek odpowiednim władzom. W świetle tego, co wczoraj powiedział dowódca skrzydła...

– Tak. Oczywiście. Sporządzę raport, kapitanie Kimura. W tej sprawie należy przeprowadzić dochodzenie. W Japonii jest pełno cudzoziemców, którym nie można ufać.

Po tej nielogicznej uwadze Jiro odmeldował się.

Miał również rację w sprawie zamknięcia bazy. Tuż przed południem pułkownik zarządził odprawę oficerów i obwieścił, że oficerowie i podoficerowie mają zakaz opuszczania bazy aż do odwołania.

Pierwszym człowiekiem w Rosji, który dowiedział się o planowanym przez Japonię podboju Syberii, był Iwan Ilin. Usłyszał o tym w godzinę później, kiedy amerykański doradca do spraw bezpieczeństwa, Jack Innes, poinformował o tym rosyjskiego ambasadora w USA.

Ilinowi przekazał tę informację oficer Wywiadu Zagranicznego z rosyjskiej ambasady w Waszyngtonie. Funkcjonariusze Wywiadu Zagranicznego mieli mniej papierkowej roboty, więc ta wiadomość dotarła do Moskwy jako pierwsza.

Ilin siedział za biurkiem w Wywiadzie Zagranicznym, który przejął po KGB budynek na placu Dzierżyńskiego. Przeczytał uważnie tłumaczenie odkodowanej wiadomości, położył ją na biurku, przetarł okulary, zapalił amerykańskiego papierosa i przeczytał tekst jeszcze raz.

Iwan Ilin nie był komunistą. Był za to wystarczająco stary i mądry, by wiedzieć, że w Rosji jest paskudnie, bo mieszkają tu Rosjanie. W pięćdziesiątym piątym roku życia doszedł do wniosku, że w głębi serca większość Rosjan to samolubni, leniwi wieśniacy, nienawidzący każdego, kto miał rubla więcej od nich.

Z okna swego gabinetu mógł dostrzec ponad dachami budynków po przeciwnej stronie placu cebulaste kopuły Kremla.

Nastała era Kaługina, który rządził nędznymi resztkami imperium. Prawdę mówiąc, to imperium, które odziedziczyli komuniści i z ponurym uporem trzymali przez siedemdziesiąt pięć lat, rozsypało się nieodwracalnie. Pozostała jedynie Rosja i Syberia. Mimo wszystko rozmiar Rosji i Syberii przekraczał granice wyobraźni. W miastach, wioskach i samotnych chutorach w rozległych stepach, w tajgach północy i tundrze, Kaługin był jedynie nazwiskiem, zdjęciem z gazety lub migoczącym obrazkiem w telewizorze. Życie toczyło się trochę lepiej od śmierci Stalina, odkąd tajna policja przestała zabierać ludzi. Jednak zimy wciąż były długie, mrozy siarczyste, praca ciężka, jedzenia mało, a czasami brakowało nawet wódki.

Kaługin dostał się na szczyt, obiecując przywrócenie wielkości Rosji i utworzenie systemu ekonomicznego, który sprawdzi się. Jego plan polegał na zalegalizowaniu podziemia gospodarczego, które na dobrą sprawę żywiło, ubierało i dawało dach nad głową sporej części społeczeństwa, a ludzie, którzy nim kierowali, stali się niewyobrażalnie bogaci.

Kaługin był jednym z nowobogackich. Żarliwie rozprawiał o chwale Matuszki Rassiji, lecz nie

zapłacił ani rubla podatku. Teraz znalazł się na Kremlu w otoczeniu podobnych mu ludzi.

Iwan Ilin westchnął głęboko. Znowu wojna.

Teraz przekonamy się, z jakiej gliny ulepiony jest Kaługin, pomyślał.

Dokończył papierosa, zanim poszedł na spotkanie z ministrem.

Waszyngton był zachmurzony i skąpany deszczem. Żołnierz prowadzący rządową limuzynę mówił niewiele, co odpowiadało zmęczonemu długim lotem i zmianą strefy czasowej Cassidy'emu. Czuł się, jakby nie spał od tygodnia. Oczy go piekły, skóra swędziała, marzył o długim, gorącym prysznicu przed pójściem spać. Niestety, tu była dopiero szósta wieczorem i zgodnie z rozkazem miał udać się do Pentagonu. Kiedy wysiadał z samolotu na lotnisku Dullesa, czekał już na niego kierowca.

Przez chwilę obserwował ruch uliczny, potem osunął się na tylne siedzenie i zamknął oczy. Nie mógł zmrużyć oka przez całonocny lot z Tokio do Seattle, ani podczas transkontynentalnego przelotu do Waszyngtonu. Nie znosił podróży liniami lotniczymi, nie cierpiał rodzącego klaustrofobię uwiązania do fotela. Poczuł się odprężony, wczuwał się w kołysanie limuzyny i szum wycieraczek.

– Dojechaliśmy, panie pułkowniku.

Cassidy wyprostował się i rozejrzał. Żołnierz zaparkował przed głównym wejściem i podał mu przepustkę.

– Musi pan okazać to wartownikom wewnątrz, sir.

– Poczekasz na mnie?

– Tak, sir. Mam pański bagaż.

Cassidy wziął przepustkę i wygramolił się z samochodu. Przystanął, by poprawić sobie krawat – miał na sobie cywilny garnitur – i ruszył w stronę głównego wejścia. Deszcz wciąż padał, teraz jako umiarkowany kapuśniaczek.

Wewnątrz wartownicy poprowadzili go nie kończącymi się szarymi korytarzami, schodami i znów przez korytarze. W ciągu dwóch minut Cassidy zupełnie się pogubił. Raz przez niedomknięte drzwi zobaczył okno, które zdawało się wychodzić na zewnątrz, ale nie był tego pewien.

Wreszcie dotarli do bardziej eleganckiego korytarza o pomalowanych na niebiesko ścianach i wykładziną na podłodze.

Wartownik wprowadził go do części recepcyjnej i przedstawił podpułkownikowi piechoty morskiej, który poprosił, by Cassidy spoczął na chwilę. Podpułkownik zniknął na chwilę w głębi biura.

– Przewodniczący przyjmie pana za kilka minut – oświadczył po powrocie. – Podać coś zimnego do picia czy może kawę?

– Dziękuję, Kawa byłaby czymś wspaniałym. Czarna.

Nagłówek leżącej na stole gazety krzyczał:

UJAWNIONO TAJNE POROZUMIENIE WOJSKOWE Z ROSJĄ!

Poniżej mniejszymi literami wydrukowano:

PREZYDENT ZOBOWIĄZAŁ USA DO OBRONY ROSJI. PRZYWÓDCY GŁÓWNYCH PARTII W KONGRESIE ZAAPROBOWALI POROZUMIENIE.

Mimo zmęczenia Cassidy podniósł gazetę i zaczął czytać. Kiedy podpułkownik wrócił z papierowym kubkiem pełnym gorącego, czarnego płynu, Cassidy popijając kawę dokończył lekturę. Podpułkownik czekał cierpliwie.

– Gdzie mógłbym umyć twarz i odświeżyć garnitur?

– Generał przyjmie pana lada chwila, sir. Proszę mi wierzyć, obejdzie się bez zbędnych ceregieli. Wie, że dopiero co pan przyleciał.

Gawędzili parę minut, potem zabrzęczał telefon. W trzydzieści sekund później Cassidy ściskał

rękę przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, generała Stanforda Tucka.

Adiutant wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Usiedli naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach po jednej stronie biurka.

– Przepraszam za to nagłe wezwanie, pułkowniku. Rzeczy dzieją się szybko, co odbija się na naszej sytuacji. Nie wiem, co dokładnie powiedziano panu w naszej ambasadzie w Tokio, więc krótko wszystko podsumuję. Wygląda na to, że w najbliższej przyszłości Japonia najedzie Syberię.

Cassidy skinął głową. Najwyraźniej szefostwo uwierzyło w opowiastkę Kimury.

– Zakładamy, że nowe japońskie myśliwce Zero zniszczą w ciągu tygodnia rosyjskie lotnictwo, jeśli Rosjanie będą wysyłali wciąż nowe samoloty na stracenie. W związku z brakiem przyzwoitych dróg na Syberii i olbrzymimi odległościami, obie strony muszą polegać na lotniczych dostawach żywności, paliwa i amunicji. Ta strona, która zapanuje w powietrzu, zwycięży.

Szare oczy Tucka wpatrywały się w Cassidyego.

– Bardzo wątpliwe, by Stany Zjednoczone poparły którąś ze stron w tym regionalnym konflikcie – ciągnął generał.

– Widziałem w gazecie artykuł o wojskowym porozumieniu. Tuck wzniósł ręce do góry.

– Zastanawiamy się nad projektem wydzierżawienia Rosji tuzina naszych najlepszych myśliwców do walki z Zero. Po to pan tu jest.

– O jakie samoloty chodzi, sir?

– F-22 Raptor.

– W barwach amerykańskich?

– Nie. Zamierzamy je sprzedać lub ofiarować w drodze wymiany Rosji. To będą rosyjskie samoloty, a Rosjanie wynajmą wysoko kwalifikowanych cywilnych pilotów z USA. Tylko że jeszcze o tym nie wiedzą.

– A kiedy się dowiedzą?

– Złożymy im tę propozycję zaraz po rozpoczęciu walk. Czy to jest zrozumiałe?

– Nie, sir – pokręcił głową Cassidy. – Nie będę udawał, że cokolwiek z tego rozumiem.

– Bardzo orzeźwiające podejście. Też nie jestem pewien, czy dużo z tego pojmuję. Jednak jeśli postanowimy zrealizować ten projekt, do pana, pułkowniku, będzie należało dowództwo dywizjonu F-22 w Rosji.

Cassidy spojrzał w milczeniu na generała. Wyjazd do Waszyngtonu nastąpił w ciągu dwóch godzin. Nie podano mu żadnych szczegółów, prócz informacji, że ma zabrać się popołudniowym rejsem. Zastanawiał się nad tym przez całą drogę nad Pacyfikiem i był to jeden z powodów bezsenności. Doszedł do wniosku, że faceci w Pentagonie chcą upewnić się, czy dowiedział się wszystkiego o nowym japońskim myśliwcu Zero. Tego się jednak z pewnością nie spodziewał.

– Czemu akurat ja, sir? – odważył się spytać.

Stanford Tuck uznał to za logiczne pytanie.

– Ponieważ wie pan o Azji więcej, niż jakikolwiek inny oficer Sił Powietrznych w czynnej służbie. Oprócz tego ma pan kwalifikacje do latania na F-22, i nie musimy tracić czasu na szkolenie.

Wpisaliśmy kryteria do komputera, pańskie nazwisko znalazło się na pierwszym miejscu bardzo krótkiej listy.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, sir.

– Najlepiej niech pan nic nie mówi – uśmiechnął się generał.

– Muszę to przemyśleć, sir. To jest nieprawdopodobna sprawa. Nie jestem pewien, czy podołam.

Generał pomyślał, że Cassidy wygląda na zmęczonego.

– Jak pan zapewne się spodziewa, występują pewne polityczne komplikacje – ciągnął generał –

więc są też poważne trudności. Niektórzy politycy uważają, że wysyłając przeciwko zaprzyjaźnionemu państwu amerykańskich oficerów, niebezpiecznie balansujemy na krawędzi. Dlatego musi pan wystąpić z czynnej służby w Siłach Powietrznych.

– Ale ja...

– Druga trudność polega na tym, że szef sztabu Sił Powietrznych nie zgadza się, by któryś z jego pilotów F-22 złożył rezygnację i zaciągnął się do rosyjskiej armii. Boi się precedensu.

Wzrok generała stężał niczym zamarzająca woda.

– Nie chce również stracić pana, ale nie ma wyboru. Politycy nie zamierzają mnożyć obaw szefa sztabu, wolą przejść nad tym możliwie gładko, więc będzie pan musiał rekrutować pilotów z ludzi, którzy mają kwalifikacje na Raptora, ale wystąpili ze służby lub przeszli w stan spoczynku. Nie ma zbyt wielu emerytów, ale może pan porozmawiać z kilkoma. Damy panu listę.

Cassidy zebrał się w sobie i podjął grę.

– Większość z tych ludzi ma jakieś plany życiowe, sir. Nie wycofali się tak sobie ze służby. Nie będą zainteresowani robotą na Syberii.

– Pańskim zadaniem jest zwerbowanie potrzebnych ludzi, obojętnie – w mundurze czy bez – powiedział twardo Tuck, pochylając się do przodu. – Da mi pan znać, kogo pan potrzebuje, a ja postaram się, żeby on czy ona cholernie szybko znaleźli się w cywilu.

– Kiedy mam zacząć, gdybym się zgodził, panie generale?

– Politycy jeszcze nie są przekonani do tej sprawy. Wciąż się zastanawiają. Nie potrwa to długo, kiedy przygwożdżą ich nowe szczegóły.

– Będziemy potrzebowali wykwalifikowanego personelu naziemnego, wywiadu i służb meteo.

Tuck skinął głową.

– Mój adiutant, pułkownik Eatherly omówi z panem podstawowe zagadnienia. Jest doskonały w rozwiązywaniu problemów.

– Może to jemu powinien pan zlecić tę robotę, sir – spróbował się uśmiechnąć Cassidy. – Nigdy nie byłem w Rosji.

Tuck wstał.

– Niech się pan prześpi, pułkowniku. Spotkamy się rano i wtedy powie pan, co o tym myśli. Jak wspomniałem, najpierw pojawiło się pańskie nazwisko. Wszyscy wokół mówią mi, że umie pan latać na F-22, zna najwięcej szczegółów dotyczących Zero i rozumie po japońsku. jak nikt spośród mundurowych. Ambasador USA w Japonii gorąco mi pana polecał, tak samo jak dwóch pana byłych dowódców, z którymi rozmawiałem. Powiedzieli mi, że jeśli ktoś sobie z tym poradzi, to jedynie pan. Decyzja należy do pana.

– Muszę się nad tym zastanowić, sir.

– Jest pan rasowym pilotem myśliwskim – powiedział Stanford Tuck, podając rękę Cassidy'emu. – To prawdopodobnie będzie jedyna wojna, w jakiej weźmie pan udział.

Generał popatrzył Cassidy'emu prosto w oczy.

– To oznacza stanie się zwykłym mięsem armatnim. Zginie mnóstwo ludzi. Wszystko będzie cholernie niemiłe i wściekle paskudne. Legalnie wybrani przywódcy pańskiego kraju odmówią rozpętania wojny. Czy chce pan ryzykować życie w Rosji i dla Rosjan? Proszę się z tym przespać. Zobaczymy się jutro.

– Tak jest, sir.

– Wszystko, o czym tu mówiliśmy, jest ściśle tajne, pułkowniku. Wszystko. W części recepcyjnej jeden z podoficerów zaproponował, że odprowadzi Boba Cassidy'ego do głównego wyjścia, przed którym czekał samochód. Będę walczył w Syberii. Boże, zmiłuj się.

Kaługin wyglądał jak stary szary wilk z tajgi, bohater ludowych rosyjskich bajek. Miał małe, czarne oczka o gorącym, głodnym spojrzeniu i wyraz twarzy, który krył wszystkie przechodzące mu do głowy myśli.

Aleksander Iwanowicz Kaługin był zimnym, wyrachowanym draniem pozbawionym jakiejkolwiek etyki, moralności czy skrupułów, gangsterem pragnącym zrobić wszystko, co mogło go wzbogacić. Nie był lojalny wobec nikogo prócz siebie. Stanowił doskonałe zwierzę polityczne, gotowe przybrać każdą pozę i złożyć każdą obietnicę, która, jego zdaniem, zadowoliłaby audytorium.

Niczym zachodni politycy płacił „ekspertom", żeby mówili mu, czego oczekują „ludzie". Zawsze, oczywiście, był skłonny dotrzymać obietnic, jeśli koszty były niskie, a perspektywa osobistych korzyści nęcąca. Ten człowiek stanowił doskonały materiał do analizy dla tych głupców, którzy wierzą, że charakter polityka nie ma znaczenia tak długo, póki stoi on po ich stronie. Prawda wyglądała tak, że Kaługin trzymał wyłącznie swoją stronę, gotów poświęcić swoich zwolenników z równą bezwzględnością co przeciwników.

Dziś wbił swe wilcze spojrzenie w ministra spraw zagranicznych Daniłowa, gdy ten relacjonował mu rozmowę przeprowadzoną w Białym Domu pomiędzy amerykańskim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego a rosyjskim ambasadorem w USA.

Żyły na czole Kaługina wyraźnie nabrzmiały.

– Ci cholerni Amerykanie kłamią – mruknął wreszcie przez zaciśnięte zęby.

– Panie prezydencie...

– Oni kłamią, ty stary głupcze. Okłamali nas sto tysięcy razy i znowu kłamią. Japończycy nie są tacy głupi, żeby wpaść w zimową pułapkę Syberii. Ta lodowa kraina jest dostępna tylko przez trzy, cztery miesiące. W październiku temperatura spadnie poniżej zera i będzie leciała w dół jak kamień. Tylko Rosjanie są wystarczająco szaleni, żeby wytrzymać na tym zapomnianym przez Boga pustkowiu. Cholerni Amerykanie kłamią. Znowu.

– Myślę, że...

– Wezwij japońskiego ambasadora do swego gabinetu i spytaj go o to. Zapytaj, czy jego kraj zamierza najechać Rosję. Spytaj go!

Kaługin pokazał na drzwi. Daniłow wyszedł.

A co, jeśli Japończycy zaatakują? To mogłoby rozniecić płomienny patriotyzm w narodzie.

Kaługin zaczął rozważać taką możliwość. Doszedł do wniosku, że gdyby Japończycy najechali Syberię, niezwykłe możliwości otworzyłyby się przed człowiekiem, który byłby dość szybki i energiczny, by skorzystać z okazji. Jeśli rozegrałby to prawidłowo...

Podświadomie Kaługin przeniósł wzrok na portret Stalina, który zachował na ścianie, mimo iż w większości pomieszczeń były dyktator wyszedł z mody. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi błysk w oczach starego zabójcy.

Cassidy otrzymał pokój w hotelu w Crystal City, w jednym z tych nowoczesnych budynków o szklanych elewacjach. Dzięki jakimś kombinacjom miał stamtąd doskonały widok na centrum Waszyngtonu, choć recepcjonista zapewniał go, że zapłaci ze zniżką dla wojskowych.

Nie mógł zasnąć. W pokoju nie było całkiem ciemno, światła miasta wdzierały się przez zasłony. Zdrzemnął się parę razy i śniło mu się, że jest w górze w kabinie samolotu. Przelatywał przez chmury, alarm przeciwrakietowy świecił i dzwonił, informując go, że niewidoczne pociski pędzą w jego stronę z dwukrotną prędkością dźwięku. Rozpaczliwie chciał im uciec, ale nie mógł...

Za każdym razem budził się zlany potem, w ustach miał sucho, skóra swędziała.

Wreszcie wstał i nalał sobie drinka z lodówki. Alkohol nie pomógł.

Rozsunął zasłony i popatrzył na światła. Mógł nawet dostrzec kopułę Kapitolu i pomnik

Waszyngtona.

Nadciągała wojna, a ci wszyscy ludzie byli tego nieświadomi. Nawet gdyby znali prawdę, nie przejmowaliby się nią, dopóki bomby nie posypią się im na głowę.

Generał Tuck za kilka godzin będzie chciał znać jego decyzję.

Może powinien spytać, jak to będzie po wojnie. Czy, jeśli zdoła przeżyć, będzie mógł wrócić do Sił Powietrznych?

Tylko czy będzie chciał wrócić?

F-22 kontra Zero. Jiro Kimura latał na Zero.

Mój Boże, może dojść do tego, że będzie strzelał do Jiro.

Wreszcie zdrzemnął się w fotelu. Sen o lataniu nie powrócił. W kolejnym śnie był znów młodym chłopcem w Kansas i wpatrywał się w chmury gnane wiatrem po bezkresnym błękitnym niebie.

Obudził się na dobre o trzeciej rano. Beznadziejna sprawa. Nie zaśnie już. Wziął i włożył mundur.

Czy F-22 poradzą sobie z Zero? Raptory są trudno wykrywalne, ale dzięki systemowi Atena Zero są niewidzialne dla radaru, tak przynajmniej twierdził Jiro. Jak można walczyć z naddźwiękowym przeciwnikiem, którego nie można zlokalizować radarem?

– Zabranie dywizjonu F-22 na Syberię będzie ryzykownym przedsięwzięciem, panie generale – powiedział Stanfordowi Tuckowi następnego ranka. Generał siedział za biurkiem w koszuli i popijał kawę. Kurtkę mundurową powiesił na wieszaku koło drzwi.

– Powodzenie lub klęska operacji zależy od logistyki – ciągnął Cassidy. Naświetlił problemy związane z utworzeniem bazy, logistyką, wczesnym ostrzeganiem i utrzymaniem ludzi w zdrowiu, gotowych do lotów. – Nawet jedzenie trzeba będzie sprowadzić ze Stanów.

– Syberia – mruknął generał, napawając się brzmieniem tego słowa.

– Problemy logistyczne będą o wiele łatwiejsze, jeśli umieścimy dywizjon na Antarktyce.

Generał wcisnął guzik telefonu i w chwilę potem w drzwiach pojawił się adiutant.

– To pułkownik Eatherly. Chciałbym, żeby omówił pan z nim szczegółowo te wszystkie zagadnienia. Pułkownik sporządzi notatki i przedstawi mi swoje zdanie. Prezydent zamierza złożyć znaczące polityczne oświadczenie potępiające zbrojną agresję. Nie zamierza wciągnąć Stanów Zjednoczonych w trzecią wojnę światową. Jednak jeśli zaangażujemy tuzin myśliwców w walki w Rosji, musimy im dać przynajmniej szansę na wypełnienie zadania. Jeśli z jakichkolwiek przyczyn Japończycy zmiotą je z nieba, to będzie o wiele gorzej, niż gdybyśmy nie zrobili nic. Częstowanie głodnego lwa przekąskami jest kiepskim rozwiązaniem.

Tuck rozluźnił krawat i podwinął rękawy.

Bob Cassidy wziął głęboki wdech. Rozumiał wagę zaangażowania, ale wiedział, co potrafi wyszkolony pilot mający do dyspozycji F-22.

– Uważam, że Raptory nie ustępują nowym Zero. Z dobrymi pilotami możemy pokazać im jak się walczy.

– Mogę dać panu tylko tuzin samolotów – powiedział Stanford Tuck. Położył dłonie na biurku. – Może już pan o tym słyszał – ciągnął generał – ale nie możemy panu dać nowych pocisków dalekiego zasięgu. Politycy się nie zgadzają. Może pan wziąć AMRAAM [AMRAAM był skrótem od nazwy Ulepszony Pocisk Powietrze-Powietrze Średniego Zasięgu, znany również jako AIM-120C.] i Sidewindery, ale nic z technologii, której nie chcemy pokazać Japończykom czy Rosjanom.

– Sky Eye?

– Nie. Panuje przekonanie, że kiedy obce siły zorientują się jak skutecznie działa system satelitarny Sky Eye, w przyszłych konfliktach pierwszym celem staną się nasze satelity.

– Nasze satelity już są na liście celów.

– Drugorzędnych.

– Ale...

Tuck podniósł ręce.

– Nie jestem tu, by się sprzeczać. Nie ja podejmuję takie decyzje. Musimy się z tym pogodzić.

– Po co nam coś, czego nie można użyć? – spytał z pewną irytacją Cassidy.

– Przyszłość tego kraju nie jest w tej chwili tematem do dyskusji. – Tuck przymknął oczy. – Obaj jesteśmy po tej samej stronie.

– Przepraszam, sir. Nie zamierzałem...

– Proszę porozmawiać z Eatherlym.

Po wyjściu z gabinetu Eatherly podał Cassidyemu rękę.

– Przyjaciele mówią do mnie John. Czy dogadałeś się ze starym?

– Chyba tak.

W swoim biurze Eatherly podsunął krzesło Cassidyemu i przygotował notatnik.

– Czy generał naprawdę sądzi, że dywizjon F-22 ma jakieś szansę na Syberii?

– Nie rozumiem – zdziwił się Eatherly.

– A może chce tylko, żebym podał mu argumenty na nie? – zasępił się Cassidy.

– Jestem przekonany, że spodziewa się, iż udowodnisz mu, że jego plan ma szansę powodzenia – odparł z namysłem Eatherly. – Jeśli tak myślisz.

– Cóż... – Cassidy przetarł twarz.

– To pan będzie prowadził tę paradę, pułkowniku. Tym razem pańską dupę poniosą na srebrnej tacy.

Bob Cassidy zadumał się przez chwilę.

– Mój informator w Japonii twierdzi, że te Zero są całkowicie niewidzialne dla radaru. Twierdzi, że Japończycy zdobyli, czy też ukradli, amerykański projekt o nazwie Atena.

Eatherly skinął głową.

– Rzeczywiście, istniał tajny projekt o takiej nazwie. Sprawdziłem to, kiedy dostałem twój raport o Zero. Siły Powietrzne zamknęły go przed paru laty.

– Jak to działa?

– Jest to aktywne przeciwdziałanie elektroniczne. Wykryty sygnał z nieprzyjacielskiego radaru zostaje analizowany przez nadprzewodnikowy komputer, który następnie, za pomocą anten umieszczonych w pokryciu samolotu, emituje asynchroniczne fale, skutecznie zagłuszające wrogą wiązkę radarową.

– A co z efektem rozproszenia? Sygnał nadawany przez radar A, odbiera radar B?

– Komputer zna charakterystykę rozproszenia ochranianego samolotu i we wszystkich kierunkach emituje odpowiednią ilość energii. To jest serce całego systemu.

– Czemu nie rozwinęliśmy tej technologii?

– Brak środków. – Eatherly wzruszył ramionami.

– Cudownie.

– F-22 jest trudno wykrywalny – uśmiechnął się Eatherly. – Mając wyłączone radary możecie uniknąć wykrycia, jeśli nie znajdziecie się w zasięgu wzroku.

– Nie jest aż tak niewykrywalny – odparł Bob Cassidy. – A ludzki wzrok tu nie wystarczy. Będziemy potrzebowali Sky Eye. Satelity są po to, by znaleźć tamtych facetów i dać nam znać, gdzie są.

– Porozmawiam z ludźmi od spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Będziemy też potrzebowali czegoś do ochrony naszych baz. Nie damy rady przez cały czas utrzymać maszyn w powietrzu. Potrzebujemy jakiejś broni.

– Sentinel – powiedział John i zapisał coś w notatniku.

– Wyjaśnij mi.

– Sentinel to broń w pełni zautomatyzowana, oczywiście ściśle tajna. Dowozisz ją na miejsce, włączasz i zostawiasz. Kiedy Sentinel wykryje energię elektromagnetyczną o wyznaczonej wstępnie częstotliwości, strzela w kierunku źródła sygnału małymi pociskami z silnikami na paliwo stałe. Komputery pokładowe pocisków zapamiętują obraz celu, więc mogą ścigać go nawet kiedy zamilknie źródło sygnału. Możliwości układów komputerowych są zdumiewające. Sentinel ma czterdzieści osiem pocisków. Zasięg nieco ponad dwadzieścia pięć kilometrów.

– Zasilanie będzie poważnym problemem na Syberii.

– Sentinel ma baterie słoneczne. Od czasu do czasu trzeba tylko uzupełnić magazynek.

– Zatem piloci Zero będą musieli zwolnić do jednego macha i prowadzić obserwację wzrokową.

– Sentinel z pewnością zachęci ich do wyłączenia radarów.

– Paskudnie – uśmiechnął się Cassidy.

– Czy F-22 nie mają nowego maskującego pokrycia, które zmienia kolor w zależności od tła? – spytał Eatherly po kilku minutach omawiania zagadnień logistycznych.

– Najnowsze, tak – przyznał Cassidy.

– Czy to jest dobre?

– Naprawdę działa. Z kilkuset metrów samolot jest trudno dostrzegalny na naturalnym tle, jaki tworzą chmury, ocean czy mgła. Niektórzy ludzie mogą coś dostrzec na granicy wzroku. Czasem kątem oka da się zobaczyć jakiś ruch, ale gdy się spojrzy na wprost, nie ma nic. Przerażające.

Eatherly wszystko zanotował.

– Powiedz mi o personelu naziemnym. Ilu ludzi, ile sprzętu?

Po pracowitym przedpołudniu John Eatherly i Cassidy wrócili do gabinetu przewodniczącego na lunch. Przy zupie fasolowej i kukurydzianym chlebie Eatherly złożył meldunek generałowi. Omówił proponowane rozwiązania wszystkich głównych problemów: personelu, logistycznych, obsługi, uzbrojenia i zaopatrzenia w paliwo oraz wczesnego ostrzegania.

– Jakie są zatem pańskie zalecenia? – zwrócił się do Cassidyego generał, gdy Eatherly wreszcie skończył.

– Sir, czy nie ma żadnego sposobu, żeby zapobiec tej wojnie? – Cassidy wpatrywał się w zupę. Nie był głodny.

– Politycy twierdzą, że nie. – Stanford Tuck wzruszył ramionami. – Wojny wybuchają, bo doprowadza do nich całe społeczeństwo, to nie są wyłącznie błędy polityków na samej górze. Społeczeństwo daje za wygraną tylko wtedy, kiedy ogół jest przekonany o beznadziejności ich sprawy.

– Tak więc F-22 mają ich o tym przekonać, pokazać, że wojna jest błędem.

– Jeśli chcemy ich nieco zaniepokoić, trzeba strącić im trochę Zero, wziąć na cel ich transporty, słowem przekonać Japończyków, że porwali się na więcej, niż są w stanie przełknąć.

– Sir, Japończycy mają Atenę, system, który czyni ich samoloty niewykrywalnymi dla radarów. Zmiotą nas z nieba, chyba że użyjemy satelitów do znalezienia ich Zero.

– Biały Dom mówi „nie".

– Nie zabiorę Amerykanów do Rosji na rzeź. Bez Sky Eye nie ma mowy. Nie wezmę w tym udziału.

Stanford Tuck podniósł do ust łyżkę zupy, potem położył łyżkę obok talerza.

– Służy pan w wojsku od dwudziestu paru lat, pułkowniku Cassidy. Niewiele więcej mógłbym panu powiedzieć o tej firmie. Muszę zdobyć zezwolenie na użycie tych satelitów.

– Będę szczęściarzem, jeśli połowa z nas wróci.

– Zrobię wszystko, co się da. Tyle mogę obiecać.

– Czy ci, którzy wrócą do domu, będą mogli znów wstąpić do Sił Powietrznych?

– Napisałem w tej sprawie list do prezydenta. Mam nadzieję, że go podpisze.

– To dobrze.

– Czy jest coś jeszcze, o czym chciał mi pan powiedzieć, pułkowniku? – spytał Tuck.

– Dość dobrze znam jednego z pilotów Zero, panie generale. Stanford Tuck zerknął na Eatherly'ego i odchrząknął.

– Po roku spędzonym w Japonii, dziwiłbym się, gdyby nie poznał pan kilku. Nie lubię naciskać, ale czas nas goni. Czy podejmuje się pan tej roboty?

– Mogę to wykonać, panie generale. Moja uwaga o pilocie Zero miała czysto osobisty charakter. Praca, którą mi pan oferuje, ma charakter zawodowy i leży w najlepiej pojętym interesie Stanów Zjednoczonych. Znam różnicę. Będę się tylko modlił, żeby mój przyjaciel przeżył.

– Rozumiem. – Głowa generała pochyliła się o kilka milimetrów.

Zdumiony Cassidy skonstatował, że był to ukłon.

– Pułkownik Eatherly pomoże panu wprawić wszystko w ruch – rzekł generał. – Zobaczymy, w czym będziemy mogli pana wesprzeć.

– Tak jest, sir – zdążył jedynie powiedzieć Cassidy, bo Stanford Tuck wyciągnął do niego rękę.

Generał miał silny uścisk. Popatrzył Cassidy'emu prosto w oczy.

– Niech się pan trzyma pułkowniku. I proszę pamiętać, co mówi Biblia: Choć jesteś w dolinie cienia, zła się nie lękaj.

Rozdział 6

Pierwszymi ludźmi na Syberii, którzy zorientowali się, że coś jest nie tak, byli operatorzy radaru na lotnisku we Władywostoku, którego wojsko używało wspólnie ze sporadycznymi transportami cywilnymi, lecącymi w poprzek Syberii lub nad biegunem północnym. Te ostatnie nie trafiały się zbyt często. Paliwo było drogie, pieniędzy na utrzymanie ruchu lotniczego niewiele, a system nawigacyjny w środku kontynentu działał nieregularnie. Ludzie i towary niezbędne we Władywostoku docierały tam głównie koleją lub drogą morską. Jednak radary, które przeszukiwały ocean na wschód i na północ, nadal działały, operatorzy pełnili służbę nawet o drugiej nad ranem pod koniec tej krótkiej letniej nocy.

W Rosji wiele się zmieniło, bo instytucje rządowe przestały płacić pensje i ludzie, by przeżyć, zajmowali się czym się dało. Pieniądze na utrzymanie radarów wciąż jednak kapały z Moskwy. Problem zachowania bezpieczeństwa Matuszki Rassiji zbyt przerażał polityków.

Jedyny operator obserwujący ekrany był pochłonięty grą w karty. Jeden z pozostałych pełniących dyżur osób. Od czasu do czasu przypominał sobie, że trzeba zerknąć na ekran. Za którymś razem zobaczył błysk na południu. Kiedy po trzech minutach rozbłysk nadal tam był, a nawet się przybliżał, zawołał przełożonego. Ten niechętnie odłożył karty.

Zgodnie z rozkładem, żaden samolot nie miał nadlecieć z tego kierunku. Najbliższy przylot do Władywostoku miał mieć miejsce następnego popołudnia, a szereg pytań zadanych przez radio pozostał bez odpowiedzi.

Przełożony radarzystów zadzwonił do oficera dyżurnego obrony powietrznej, informując go o samolocie, który narusza przestrzeń powietrzną Rosji i od dwunastu minut zachowuje ten sam kurs oraz prędkość.

W pogotowiu startowym czekały dwa myśliwce Suchoj-27, innymi słowy były zatankowane pod korek, miały po cztery rakiety AA-10 i pełne taśmy z nabojami do działka 30 mm. Personel naziemny spał w baraku obok. Dwaj dyżurni piloci w ekwipunku lotniczym grali w szachy w drugim baraku. Zazwyczaj o tej porze piloci również by spali, ale ci akurat byli wieczorem na weselu i nie czuli się senni.

Kiedy dyżurny oficer zadzwonił, zarządzając start, rzucili wszystko i pobiegli do maszyn, budząc krzykiem personel naziemny. Jeden z pilotów otworzył drzwi do baraku personelu i zapalił światło.

W maszynach obaj piloci podłączyli się do systemów pokładowych.

Po ośmiu minutach oba Su wtoczyły się na pas startowy, włączyły dopalacze i przyśpieszyły. Nagły huk przeleciał niczym grzmot nad śpiącą bazą.

Po krótkim rozbiegu koła oderwały się od betonu. Piloci wciągnęli podwozie i schowali klapy. Z włączonymi dopalaczami myśliwce błyskawicznie nabierały wysokości. Maszyny przebiły się przez pokrywę chmur, a prowadzący porozumiał się z naziemnym kontrolerem obszaru – tym samym, który pierwszy zauważył błyski na ekranie i wpatrywał się w ekran i pojawiające się na nim parametry wirtualnych celów. Przełożony kontrolera i większość z pełniących dyżur osób stała za nim, zerkając mu przez ramię.

Punkty poruszały się z prędkością 400 kilometrów na godzinę. Prawdopodobnie samoloty turbośmigłowe. Ale czyje? Czemu tak wiele samolotów zbliżało się z południowego wschodu? Dlaczego Moskwa nie przesłała im żadnych informacji na temat swoich planów?

Górna warstwa niżej położonych stratusów sięgała pięciu tysięcy metrów. Przebijając się przez niżej położone chmury, piloci Su wyłączyli dopalacze i utworzyli szyk bojowy. Potem zgasili światła pozycyjne.

Kiedy myśliwce znalazły się na wysokości sześciu i pół kilometra, kontroler obszaru skierował je na kurs przecinający drogę dużej formacji zmierzającej w stronę Władywostoku.

Prowadzący skupił swą uwagę na tablicy przyrządów. Chociaż Su-27 mają wskaźnik refleksyjny na przedniej szybie, pilot nie korzystał z niego. Nawet gdyby korzystał i tak by zginął.

Skoncentrował się na locie według przyrządów i regulowaniu jasności ekranu radarowego. To zajęło mu parę sekund. Kiedy dostroił monitor, zerknął na ciemną tablicę przeciwdziałania elektronicznego. Usłyszał krzyk przez radio. Machinalnie uniósł wzrok, przepatrując niebo.

Na godzinie jedenastej, nieco wyżej jasne światło... oślepiające!

Pocisk!

Kiedy dotarło to do jego świadomości, odruchowo szarpnął drążek w lewo, uciekając od swojego skrzydłowego.

Maszyna skręciła posłusznie o 220 stopni. Pocisk nadleciał w półtorej sekundy po tym, jak pilot dojrzał płomień wylotowy. Nos myśliwca pochylił się zaledwie o dziesięć stopni.

Pocisk chybił Su o pół metra. Zapalnik zbliżeniowy zdetonował głowicę w okolicy kabiny. Odłamki wybiły setki dziur w kadłubie. W niecałą sekundę wyciekające z dziurawych zbiorników paliwo przedostało się do sekcji silnika i zajęło się. Po upływie pół sekundy maszyna wybuchła, zabijając na miejscu pilota.

Skrzydłowy, widząc zbliżający się pocisk, odruchowo zrobił półbeczkę w prawo, oddalając się od prowadzącego. Wrzasnął do połączonego z maską tlenową mikrofonu. To jego ostrzeżenie usłyszał prowadzący.

Skrzydłowy wykonał obrót tylko o siedemdziesiąt stopni, więc nie stracił nadlatującego pocisku z pola widzenia. Wciąż wciskało go w fotel przeciążenie równe sześciu G. Kątem oka zobaczył uderzenie pocisku i błysk, kiedy eksplodował pod maszyną prowadzącego.

Blask oślepił go na moment.

Mrugając przerzucił drążek do skrętu w lewo i odepchnął od siebie, usiłując dostrzec, czy jego prowadzący zdołał uniknąć rakiety. Włączył mikrofon i otworzył usta.

Skrzydłowy nie zauważył pocisku, który trafił Su pod lewym skrzydłem. Eksplozja uszkodziła dźwigar i skrzydło odpadło. Gorące szczątki głowicy zapaliły naftę lotniczą.

Ogniste kule, w które zamieniły się dwa Su, na ciemnym niebie widać było z odległości trzydziestu pięciu kilometrów.

Piloci czterech japońskich Zero, tworzących klucz Biały, pędząc z maksymalną szybkością, zdjęli kciuki z guzików spustowych na drążkach sterowych, gdzie trzymali je na wypadek, gdyby potrzeba było odpalić kolejne rakiety.

Strzelał tylko dowódca formacji.

Teraz dowódca Białych zaczął łagodny skręt w lewo, wracając w stronę Władywostoku. Zamierzał krążyć w tym rejonie na wschód od miasta, gotów zestrzelić każdy samolot, który startując z Władywostoku lub baz na Sachalinie, mogłyby zaatakować japońskie transportowce ze spadochroniarzami.

Jiro Kimura, lecący jako numer trzy, sprawdził na ekranie komputera ustawienie pozostałych maszyn w szyku. Zewnętrzne oświetlenie zostało wyłączone i samoloty zniknęły w mroku.

Upewniwszy się, że wszyscy znajdują się na właściwych miejscach, Jiro pogrążył się w rozmyślaniach. Skręcił w ślad za prowadzącym.

Czemu nie czuł się dumny? Odnieśli dwa pierwsze zwycięstwa w tej wojnie. Atena zamontowana na Zero sprawiła, że stali się niewidzialni dla rosyjskich radarów, więc kontrolerzy obszaru nie przypuszczali nawet, że japońskie myśliwce znalazły się w powietrzu. Wysłali te Su, by zbadały

zbliżający się transport. Rosyjscy piloci wpadli w zasadzkę bez ostrzeżenia... bez litości i bez cienia szansy.

Taka była prawda.

Jiro nie czuł żalu ani wyrzutów, a jedynie zmęczenie i głęboki smutek.

Błysk, błysk, dwie eksplozje na nocnym niebie i dwóch poległych. Zakładając, pomyślał Kimura, że prawdopodobieństwo przeżycia takich wybuchów jest raczej znikome.

On również zginie w taki sposób. Ta myśl oświeciła go, gdy siedział w kabinie zmęczony, głodny, spragniony i bardzo samotny. Pewnego dnia zginie w tym fotelu jak ci dwaj Rosjanie, bez ostrzeżenia, bez chwili na refleksję, pozbawiony okazji do pogodzenia się ze wszechświatem.

W dodatku sam wybrał sobie taki los! Ubiegłego wieczoru wezwał go dowódca i pokazał wiadomość od japońskich służb kontrwywiadowczych, w której domagano się sprawdzenia lojalności Kimury.

– Czy dzwoniłeś do oficera amerykańskich Sił Powietrznych?

– Jak pan wie, ukończyłem amerykańską Akademię Sił Powietrznych. Znam wielu Amerykanów i z niektórymi utrzymuję kontakt od lat.

– Oczywiście – powiedział jego dowódca. – Ci głupi zbiurokratyzowani szpiedzy nie zajrzeli do twoich akt. Ale sam wiesz, jak to jest, Kimura. Widzisz, jak łatwo się skompromitować. W przyszłości bądź bardziej przezorny. – Wygłaszając tę uwagę, dowódca cisnął raport na stos papierów.

– Zadzwoniłem do tego Amerykanina...

Dowódca nie zamierzał tego słuchać.

– Kimura, będziemy mieli wojnę. W ciągu dwudziestu czterech godzin obaj znajdziemy się w ogniu walki. Mam ważniejsze sprawy na głowie, niż pisanie listów do biurokratów. Chcą śledztwa. Jeśli za miesiąc obaj będziemy żywi, napiszę im, że jesteś lojalnym japońskim żołnierzem. Jeśli zginiesz, poinformuję ich uroczyście słowami starego wiersza, że poległeś na polu chwały jak opadający kwiat wiśni. A jeśli ja polegnę...

Dowódca kazał mu się odmeldować.

Teraz słychać było, jak rosyjski kontroler obszaru wzywa swoich martwych pilotów. Oczywiście nie wiedział, że nie żyją, ale zniknęli mu z ekranów, więc wywoływał ich – na próżno.

Jiro nie rozumiał słów, ale w głosie kontrolera wyczuł niepokój i zdenerwowanie.

Przyglądał się czujnie wskaźnikom przeciwdziałania elektronicznego, które na szczęście milczały, obserwował ekran taktyczny i kiedy kontroler wywoływał raz po raz ludzi, którzy nigdy już nie odpowiedzą, skupił się na utrzymaniu właściwego miejsca w szyku.

Owe dziesięć samolotów, które zbliżały się do Władywostoku, to C-130J Herkules, najbardziej nowoczesne transportowce końca dwudziestego wieku. Każdy był wypełniony po brzegi wojskiem.

Pierwsze cztery maszyny zaczęły schodzić z pułapu sto pięćdziesiąt kilometrów od miasta. Kolejno wypuszczając podwozie i klapy, ustawiły się jedna za drugą. Pilot prowadzącej maszyny zwlekał z tym jak najdłużej. Wypuścił podwozie dopiero wtedy, kiedy system ILS, lądowania według przyrządów, ustalił ścieżkę schodzenia. Drobny deszczyk ograniczał widoczność do pięciu kilometrów, więc nie mógł widzieć pasa.

ILS działał doskonale, co było zdumiewające, zważywszy jak mało pieniędzy w ostatnich latach przeznaczali Rosjanie na konserwację urządzeń. Nawet jeśli system lądowania według przyrządów byłby wyłączony, pilot mógł wykonać identyczne podejście korzystając z pozycjonera satelitarnego i komputera pokładowego. Jednak prowadzący był zachwycony. Przy wyłączonym systemie lądowania według przyrządów nie wiedziałby, czy Rosjanie nie zostali ostrzeżeni, a pas nie został

zablokowany. Skoro jednak ILS pracował, był pewien, że pas jest wolny. Na wszelki wypadek skonfrontował dane systemu lądowania według przyrządów z tym, co pokazywał komputer instruowany przez GPS. Oba odczyty były zgodne.

Drugi pilot zaśmiał się cicho, kiedy stojący za nimi dowódca spadochroniarzy zerknął mu przez ramię.

Druga czwórka C-130, utrzymując stałą prędkość, zaczęła zniżać się, lecąc w kierunku miasta. Na wysokości tysiąca metrów, w gęstych chmurach, załoga otworzyła tylną rampę. Spadochroniarze uformowali szereg i przypięli linki.

Samoloty wciąż zniżały się nad miastem, pięć kilometrów dalej wyszły z szyku torowego, spadochroniarze czekali. Wielu żołnierzy stało z zamkniętymi oczyma i, bezgłośnie poruszając wargami, modliło się do bogów i swoich przodków. Nocny desant był sam w sobie niebezpieczny, a w dodatku miasto otaczał pierścień wyrzutni pocisków przeciwlotniczych i artylerii. Gdyby Rosjanie otworzyli ogień, postrącaliby C-130 jak kaczki. W dodatku miasto leżało na półwyspie, z trzech stron otoczone wodą. Spadochroniarze nienawidzą wody. Kiedy rozłożono mapy, w kabinie na widok wody rozległo się kilka jęków.

Obrona przeciwlotnicza milczała. Herkulesy zwolniły do 250 kilometrów na godzinę i zniżyły się w stronę połyskujących między deszczowymi chmurami świateł miasta.

Dwie maszyny zrzuciły spadochroniarzy nad starym, zamkniętym, znajdującym się w przebudowie lotniskiem.

Pozostałe wykonały zrzut na północ od nabrzeży ciągnących się wzdłuż zatoki Złotego Rogu. Pierwsza fala spadochroniarzy wylądowała na ulicach i małych zieleńcach, ale podmuch wiatru porwał kilkudziesięciu ludzi z drugiej fali. Uczepieni spadochronów dryfowali w stronę czarnych wód leżącej po ich prawej stronie zatoki.

W kompletnej ciszy, bez jednego okrzyku żołnierze wpadli w oleistą wodę i poszli na dno. Każdy dźwigał na sobie prawie pięćdziesiąt kilo sprzętu i uzbrojenia, więc nie mieli żadnych szans. Byli pierwszymi Japończykami poległymi w wojnie o Syberię.

Na lotnisku kontroler z wieży nie był w stanie nawiązać kontaktu ze zbliżającymi się samolotami. Wołał do mikrofonu po rosyjsku. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby spróbować porozumieć się po angielsku, w uniwersalnym języku międzynarodowego lotnictwa.

Wpadł jednak na pomysł, że o niezidentyfikowanych samolotach najlepiej będzie osobiście poinformować władze wojskowe.

Wybrał numer dowódcy jednostki ochraniającej lotnisko. Ponieważ był to środek nocy, nikt nie odebrał telefonu. Armia działała wyłącznie w godzinach urzędowania. W konsekwencji cztery stanowiska sprzężonych działek przeciwlotniczych ZSU-23-4, mogących roznieść na strzępy nadlatujące C-130, milczały. Może to i lepiej, bo w pobliżu każdego zestawu znajdował się japoński komandos w cywilnym ubraniu wyposażony w snajperski karabin z noktowizorem.

Przełożony kontrolerów wyłączył również oświetlenie pasa startowego, dróg kołowania i świateł podchodzenia. Władywostockie lotnisko upodobniło się natychmiast do otaczającej go z trzech stron czarnej wody.

Prowadzący C-130 przekroczył linię brzegową, kierując się kątem schodzenia według ILS. Z ostrożności pilot wyłączył wszystkie światła pozycyjne. Na próżno wypatrywał świateł podchodzenia i pasa startowego, potem doszedł do właściwego wniosku, że zostały wyłączone. Poinformował o swoim spostrzeżeniu stojącego za nim dowódcę batalionu. Jeszcze nie skończył mówić, kiedy zniknęły wskaźniki ILS. Przełożony kontrolerów kazał również wyłączyć system lądowania według przyrządów.

Teraz maszynę prowadził drugi pilot. Wyłączenie systemu lądowania według przyrządów nie sprawiło mu większych kłopotów. Zdał się na namiary GPS i informacje dotyczące schodzenia, które pojawiły się na wskaźniku refleksyjnym na przedniej szybie.

Trzydzieści metrów nad pasem startowym pilot dostrzegł światła odbijające się od mokrego betonu i oznajmił to głośno. Drugi pilot też je zauważył. Pilot dotknął włącznika świateł lądowania, ale postanowił nie ryzykować. Od niskiego pułapu chmur odbijało się wystarczająco dużo świateł miasta, by umieścić Herkulesa na środku pasa. Pilot dał odwrotny ciąg, a gdy samolot zaczął zwalniać, skręcił w pierwszą drogę kołowania.

Dowódca batalionu poklepał pilota po ramieniu, potem odwrócił się i poszedł do oczekujących go żołnierzy.

W sześć minut po wylądowaniu pierwszego C-130 japońscy żołnierze zajęli wieżę kontrolną, a ich kontrolerzy obsługiwali radar i kierowali ruchem powietrznym.

Zdobycie wieży obyło się prawie bez ofiar. Na widok biegnących ku niemu sześciu żołnierzy w dziwnych mundurach z karabinami gotowymi do strzału, pilnujący wejścia młody rosyjski policjant wyciągnął broń boczną. Nikt mu niczego nie powiedział, więc nie przyszło mu do głowy, że Syberia, podobnie jak lotnisko, stała się obiektem inwazji. Jednak jego nerwowa reakcja była zrozumiała.

Broń, to broń, więc znajdujący się na czele drużyny kapral wpakował w policjanta trzy pociski. Żołnierze w pełnym rynsztunku wyważyli drzwi i wtargnęli do budynku.

Zwłoki policjanta leżały w tym miejscu aż do rana. Przechodzący obok japoński oficer zwrócił wreszcie uwagę na broń, siedemdziesięcioletniego Webleya, relikt land lease'u z czasów drugiej wojny światowej. Podniósł go i wsunął za pasek. Ciała nikt nie ruszył.

Spadochroniarze lądujący na nieczynnym lotnisku zebrali się i policzyli obecnych. Kilku z nich spadło na urządzenia budowlane, a jeden złamał nogę uderzając o spychacz, który najwidoczniej służył do zrywania betonu. To dziwne, ale Rosjanie zrywali starą nawierzchnię pasów i wylewali nową. Wymieniali również instalację elektryczną i wodną.

Cudownym zbiegiem okoliczności wszystkim udało się wyminąć wznoszący się na trzydzieści metrów dźwig budowlany. Lądowanie na wielkim placu budowy było bardzo ryzykowne, ale żaden ze spadochroniarzy nie przejmował się tym.

Zgodnie z planem inwazji kompania żołnierzy, która miała zabezpieczyć teren lądowiska, zajęła pozycje wzdłuż ogrodzenia. Pozostali uruchomili nadajniki radiowe i zapalili flary na wypadek, gdyby zawiodły światła pasa startowego. Większe obiekty, włącznie z dźwigiem, zostały oznakowane czerwonymi światłami ostrzegawczymi. Potem żołnierze czekali na kolejny desant. Po piętnastu minutach z chmur wyłonili się kolejni skoczkowie na białych spadochronach, a odgłos turbośmigłowych silników odbił się echem od okolicznych budynków i wzgórz.

Kiedy druga fala desantu znalazła się na ziemi i żołnierze odsunęli się na bok, z chmur zaczęły opadać kontenery z ciężką bronią maszynową, amunicją i sprzętem łączności. Japończycy zrzucili najpierw większość ludzi, a dopiero potem zaopatrzenie, żeby wpadło we właściwe ręce. Nadal spodziewali się choćby lekkiego oporu. Jak dotąd nie spotkali się z żadnym.

Od czasu do czasu któryś kontener wpadał do zatoki Amur pomiędzy zacumowane kutry i łodzie rybackie, ale ponieważ nie było ich zbyt wiele, nikt nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Z niektórych kutrów ludzie przyglądali się wojskowej operacji. Nikt nie próbował się wtrącać ani nawet podejść bliżej.

W tym samym czasie w centrum starego Władywostoku czterej nieuzbrojeni japońscy komandosi w cywilnych ubraniach patrzyli jak mały statek przybrzeżny, prując delikatną falę czarnej toni Złotego Rogu, zmierza w stronę ogólnie dostępnego nabrzeża. W okolicy nie było rosyjskich policjantów ani

żołnierzy. Komandosi sprawdzili to. Przez ostatnie dwa dni obserwowali ten rejon. W czasie wolnym od pełnienia służby odgrywali rolę japońskich biznesmenów i w miejscowym hotelu nabijali potężny rachunek za jedzenie, wódkę i kobiety, którego nie mieli zamiaru płacić.

Dwóch komandosów podeszło do pachołków i przechwyciło cumy rzucone ze stateczku. Wkrótce dotknął odbijaczy i przerzucono dwa trapy. Na brzeg wybiegli żołnierze w polowych mundurach. Przeszli przez nabrzeże, chodnik i parking. Przy wylocie większej ulicy zatrzymali się, formując szyk.

Gdy kontyngent pięćdziesięciu ludzi znalazł się na brzegu, komandosi oddali cumy i statek odbił od kei. Z mroku wynurzyła się kolejna jednostka.

Następnego dnia na horyzoncie pojawiło się kilka większych jednostek transportowych. Statki przewoziły czołgi, artylerię i innego rodzaju zaopatrzenie niezbędne do funkcjonowania dywizji przez kilka tygodni.

Po drugiej stronie zatoki przy nabrzeżu Czurkina rozgrywały się podobne sceny. Dwa japońskie transportowce dobiły do brzegu, ale dźwigi były uszkodzone. Żołnierze musieli rozładowywać okręty ręcznie. Następnego dnia armia japońska w takim stopniu opanowała sytuację w mieście, że można było wyładować i uruchomić przenośne dźwigi.

Jak dotąd żołnierze nie natrafili na żaden opór. To miało wkrótce ulec zmianie. W całej Rosji rozdzwoniły się telefony. W Moskwie omawiano wiadomości z lotniska. Tu i ówdzie władze lokalne dowiedziały się o pojawieniu się spadochroniarzy.

Na przystani promowej po zachodniej stronie zatoki kapitan „Iwana Turgieniewa", promu przewożącego pasażerów na Wyspę Rosyjską, znajdującą się za przesmykiem Władywostoku, zobaczył na nabrzeżu Czurkina żołnierzy w dziwnych mundurach i poinformował o tym przez radio dyspozytora. Dyspozytor przyjął to z niedowierzaniem.

Nie wyłączając silników, kapitan zszedł na ląd. Pijani pasażerowie czekali na powrót do domu i nie interesowało ich, co się dzieje w mieście. Niektórzy już wymiotowali przez reling.

Z publicznego automatu małej przystani promowej kapitan połączył się z kwaterą główną policji. Dyżurny oficer uwierzył kapitanowi, zanotował fakty i podziękował za telefon.

Po odwieszeniu słuchawki kapitan obserwował przez okno budynku poczynania żołnierzy, gdy usłyszał zbliżający się kolejny prom. „Iwan Turgieniew" miał opóźnienie. Kapitan pobiegł na prom i pośpieszył na mostek. Inwazja, nie inwazja, przeprawa musi działać.

W pół godziny po zniszczeniu dwóch Su-27, czas patrolu bojowego klucza myśliwców Zero oznaczonego jako Biały dobiegał końca. Nowa czwórka, klucz Żółty, która powinna pojawić się w tym rejonie za pięć minut, miała kwadrans opóźnienia. Dowódcy Białych słyszał jak prowadzący Żółtych rozmawia z tankowcem na pozycji Alfa, odległej o dwieście mil na południowy zachód. Dowódca Żółtych wrzeszczał okropnie: latająca cysterna miała kłopoty ze sprzętem, ale groźby miotane przez radio najwyraźniej nie przynosiły żadnego rezultatu. Tak więc mieli opóźnienie i nie eskortowali transportowców lecących z kolejnymi oddziałami i zaopatrzeniem do Władywostoku.

Nagle na skraju taktycznego ekranu pojawiło się coś nadciągające od zachodu zza Sachalinu. Dowódca Białych zmienił skalę na ekranie.

Cztery maszyny, wciąż pnące się do góry. Komputer zidentyfikował je jako MIG-1-29. Zdecydowanie wrogie.

Postanowił nadal krążyć, czekając aż podlecą bliżej. Gdyby ruszył w ich stronę, zostawiłby tylną furtkę otwartą dla maszyn lecących doliną Amuru od strony Chabarowska.

– Biały Trzy, na moją komendę odpalisz dwie rakiety do skrajnie zachodnich celów. – Łączność odbywała się zaszyfrowanym kanałem.

– Zrozumiałem, prowadzący Białych. – Białym Trzy był Jiro Kimura.

Maksymalny zasięg japońskich rakiet wynosił sześćdziesiąt mil morskich. Dowódca Białych postanowił na wszelki wypadek strzelać z dystansu pięćdziesięciu mil. Krążąc wpatrywał się w ekran taktyczny.

MiG-i były już wysoko, na dziesięciu tysiącach metrów, osiągając pułap samolotów pasażerskich. Samoloty... Gdzie jest transport? Lecąc od strony Hokkaido, powinien zbliżać się do brzegu. Czyż nie tak?

Dowódca Białych zerknął na zegarek. Wyregulował ekran taktyczny, wdusił przyciski. Transport powinien pojawić się na ekranie, gdyby był tu obecny.

Nic. Cholera!

– Biały Trzy, tu dowódca Białych. Czy widzisz nasz transport na ekranie taktycznym? – Ta rozmowa odbywała się zakodowanym, niemożliwym do przechwycenia przekazem laserowym, którego strumień łączył samoloty formacji Białych.

– Potwierdzam. Są...

Gdy Jiro zaczął mówić, MiG-i zmieniły kurs, skręcając o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Na południowy zachód. Transport, który wreszcie pokazał się na taktycznym ekranie dowódcy Białych, znajdował się po tamtej stronie. MiG-i leciały kursem przechwytującym.

– Biały Trzy, pilnuj tylnej furtki. Biały Dwa za mną. – Dowódcy Białych włączył dopalacze.

Zera krążyły z ekonomiczną prędkością 0,8 macha. Teraz przyśpieszyły, gwałtownie zwiększając zużycie paliwa. Dwa Zero bez drgań przekroczyły prędkość dźwięku. Mach 1,2....1,6... Mach 2... 2,3... 2,4. Prędkość ustaliły na 2,5 macha.

Ludzi śpiących w nadmorskich osadach i miasteczkach zbudził podwójny grzmot, odgłosy nastąpiły tak blisko siebie, że dla wielu ludzi zlały się w jeden dźwięk. Huk dotarł do ziemi o całe kilometry za przyśpieszającymi Zero, które usiłowały przechwycić MiG-i, zanim te znajdą się w zasięgu strzału do transportowców.

Ponad chmurami lśniły białe gorące płomienie z podwójnych dopalaczy, niczym odrzut pocisków rakietowych. Warstwa stratusów cieniała w miarę, jak maszyny oddalały się od wybrzeża. Tu i ówdzie przeświturwało czyste niebo.

Intensywny żar dwóch samolotów pojawił się jako cel na ekranach kilku czujników podczerwieni zainstalowanych na nadbrzeżnych wyrzutniach rakietowych, których załogi poderwały alarmowe telefony zdenerwowanych ludzi z dowództwa. Jedna z załóg wyrzutni namierzyła cel na podczerwień i usiłowała uzyskać telefoniczne potwierdzenie, że chodzi o nieprzyjaciela. Jednak podczas wymiany zdań cel wyszedł z zasięgu i namiar zniknął.

Inna obsługa nie przestrzegała w takim stopniu regulaminu. Myśl o przypadkowym poczęstowaniu rakietą ziemia – powietrze rosyjskiego myśliwca zaświtała im w głowach o wiele później. Kiedy celownik na podczerwień namierzył cel, wcisnęli guzik odpalający.

Napędzany paliwem stałym pocisk wystrzelił z wyrzutni w blasku płomienia. Pocisk przyśpieszył, ścigając w ciemnym niebie gorący cel.

Na nieszczęście obsada wyrzutni wysłała pocisk w beznadziejny pościg za oddalającym się celem. Paliwo rakiety wyczerpało się, zanim pokonała połowę odległości od mknących z prędkością 2,5 macha Zero. Kiedy silnik zgasł, nos pocisku pochylił się, a mechanizm samozniszczenia, wyczuwając brak prędkości, spowodował nieszkodliwy dla nikogo wybuch głowicy bojowej.

Dowódca Białych dostrzegł błysk eksplozji w lusterku, ale był bardzo zajęty i nie zaprzątał sobie tym głowy. Zastanawiał się nad tym dopiero później, po wylądowaniu.

Zbliżał się do MiG-ów-29 niemal pod kątem prostym, wynoszącym dokładnie osiemdziesiąt osiem stopni. Pocisk mógłby nie zdołać skręcić pod takim kątem. Czy należało poczekać i wykonać

zwrot, by znaleźć się za nimi? To zwiększyłoby szansę trafienia, lecz MIG-i niebezpiecznie zbliżyłyby się do transportowców. Teraz znajdowały się w odległości stu dwudziestu kilometrów i zbliżały się z tyłu pod kątem sześćdziesięciu stopni.

Przez chwilę dowódca Białych zastanawiał się, czy piloci MIG-ów wiedzą o jego obecności i nie polują przypadkiem na niego. Odegnał od siebie te myśli. Były nie na miejscu.

Dziewięćdziesiąt pięć kilometrów. Odpalił jedną rakietę i wykonał ciasny zwrot w lewo. To skłoni MIG-i do rozerwania szyku. Wciąż zbliżały się. Nie wyciągały więcej niż 1,5 macha. Wykona zwrot i ponownie strzeli.

– Biały Dwa. Strzelasz na mój rozkaz.

– Odebrałem.

Teraz pochylenie o sześćdziesiąt stopni i zwrot w prawo. Kąt wynosił tylko czterdzieści pięć stopni.

Pierwszy pocisk musiał chybić, bo MIG-i wykręciły ostro w prawo, w kierunku nadlatującej rakiety.

– Wyłączyć dopalacze.

Dowódca Białych i jego skrzydłowy zmniejszyli ciąg. Zwolnili wykonując zwrot, by mieć MIG-i na dwunastej.

Świetnie. Dystans sześćdziesiąt kilometrów. Dużo poniżej zasięgu pocisków. Dowódca Białych odpalił ostatnią rakietę do znajdującego się dalej po jego prawej prowadzącego MIG-a.

– Strzeliłem do prowadzącego. Zmieć resztę.

W dwusekundowych odstępach trzy rakiety opuściły prowadnice.

Mijały sekundy. Rosyjski skrzydłowy stracił podczas manewru z pola widzenia swego dowódcę i skręcił ostro w lewo, w kierunku transportu. Wybrał najbliższy samolot i namierzył go radarem. Właśnie wtedy rakieta dowódcy Białych eksplodowała, trafiając prowadzącego MIG-a w usterzenie ogonowe. Ogon oderwał się od maszyny, która zaczęła koziołkować w niekontrolowany sposób. Pilot chciał się katapultować, ale samolotem rzucało tak gwałtownie, że stracił przytomność. Po kilku sekundach maszyna rozpadła się.

Skrzydłowy, widząc kątem oka strugę ognia nadlatującego pocisku, potem błysk eksplozji, od razu odgadł, co zaszło. Miał potwierdzenie teoretycznej skuteczności strzału do jednego z japońskich transportowców znajdujących się na skraju wynoszącego sto dziesięć kilometrów zasięgu rosyjskich rakiet, więc wcisnął guzik spustu i przytrzymał.

Obwód odpalający miał wbudowane jednosekundowe opóźnienie zabezpieczające przed przypadkowym wystrzeleniem rakiet. To była najdłuższa sekunda w życiu młodego pilota. Kiedy czekał, zobaczył w lusterku błysk rakiety eksplodującej tuż nad kabiną szczątków maszyny swego dowódcy. To był pierwszy pocisk wystrzelony przez Białego Dwa.

Wreszcie pocisk AA-10 dalekiego zasięgu opuścił prowadnicę i pomknął w mrok, świecąc białym ogniem z dyszy.

Odruchowo pilot MIG-a odwrócił maszynę na plecy i, obróciwszy nos o dziewięćdziesiąt stopni w dół, ruszył pionowo w stronę oceanu.

Drugi pocisk Białego Dwa nadleciał, ścigając ocalałego MIG-a.

Rakieta namierzyła skrzydłowego i zwiększyła prędkość. Skrzydłowy włączył dopalacze i pomknął ku oczekującej otchłani oceanu.

Pocisk za wcześnie opuścił nos, pomogła mu w tym dodatkowo siła ciążenia i... chybił. Wybuchł niegroźnie, gdy jego komputer pokładowy stwierdził rozminięcie się z celem.

Widząc błysk eksplozji skrzydłowy zaczął wyciągać maszynę z lotu nurkowego. Przeleciał sześć

kilometrów z prędkością 1,6 macha pod kątem osiemdziesięciu stopni. Wyłączył dopalacze i przyciągnął drążek aż do granic wytrzymałości skrzydeł, potem przyciągnął go mocniej. Nos zaczął podnosić się, lecz wciąż za wolno.

Walczył, by nie stracić przytomności.

– Wyciągaj, wyciągaj! – krzyczał w maskę tlenową.

Trzy tysiące metrów... dwa i pół... nos pod kątem trzydziestu stopni.

Dwadzieścia... dziesięć stopni w dół, zostało tysiąc metrów.

Na wysokości trzystu metrów maszyna wyrównała. Prędkość spadła poniżej jednego macha, ale pilot przeżył.

Kiedy nos zaczął wznosić się nad horyzont i ustąpiły skutki przeciążenia, rosyjski pilot popatrzył na znajdujący się przed nim ekran radaru. Nic. Ekran był pusty. Wykonał zwrot w kierunku, z którego nadleciał pocisk. Nieprzyjaciel musiał gdzieś tam być, byle tylko udało mu się ustawić samolot we właściwą stronę. W przeciwieństwie do Zero, MIG-i nie miały pasywnych czujników. Do wykrycia wroga służył pilotowi jedynie radar.

Zauważył smugę ognia na niebie. Kolejny pocisk!

MIG leciał wolno, nisko i był przyciśnięty do morza. Pilot zrobił jedyną możliwą w tej sytuacji rzecz: zadarł nos i włączył dopalacz.

Pocisk przebił lewe skrzydło, przełamując je gładko na pół.

Samolot stracił sterowność i pilot katapultował się.

Spadochron otworzył się i wylądował w czarnym oceanie.

Po dwóch godzinach dryfowania w kamizelce ratunkowej, pilot zmarł z powodu wyziębienia. W tym czasie pocieszał się jedynie myślą, że zanim dopadł go wróg, zdążył odpalić rakietę w stronę transportowców. Nie dowiedział się, że jego rakieta chybiła.

Biały Trzy, Jiro Kimura, obserwował dwie ogniste plamki z dopalaczy Białego Jeden i Dwa, przyśpieszające w ciemnościach. Oddalały się znacznie wolniej niż pociski rakietowe, choć je przypominały, może nawet kojarzyły się ze spadającymi gwiazdami. Malejące punkty światła, które wreszcie pochłonęła noc.

Jiro zerknął na swego skrzydłowego i zawrócił w stronę Władywostoku. Pochylił się przy tym mniej niż o dziesięć stopni w stosunku do brzegu, nie chcąc wystawiać całego spodu samolotu w kierunku nieprzyjacielskich radarów.

Obserwował taktyczną sytuację na wielofunkcyjnym ekranie. Widział transport, widział MIG-i oraz jak Pierwszy i Drugi je załatwili. Nie widział pocisków, ale zniknięcie MIG-ów z ekranu mówiło samo za siebie.

Zwyciężamy.

Ta myśl dodawała ducha walczącym mężczyznom od tysięcy lat. Pomogła teraz Jiro, dodając mu brakującej pewności siebie.

Zerkał nerwowo na wskaźnik paliwa i zmagał się z chęcią złamania ciszy radiowej, kiedy na ekranie taktycznym pojawił się cel zbliżający się z północnego wschodu, od strony Chabarowska. Dwa Su-27.

Gdzie jest Żółty?

Jiro wyrównał skrzydła, kierując się w stronę Władywostoku. Suchoje trzymały się o dwa kilometry od siebie i zmierzały na południowy zachód. Jeśli wszyscy zachowają dotychczasowe kursy, Su-27 miną Trzeciego i Czwartego o kilka kilometrów z lewej.

– Trzeci, tu Czwarty. Przegrzała mi się zabawka. Muszę ją wyłączyć.

Ta przekazana cyfrowo laserowym łączem między samolotami niespodziewana informacja,

wstrząsnęła Jiro. Już zaczynał wierzyć w doskonałość techniczną Ateny, a tymczasem jego skrzydłowy melduje mu o uszkodzeniu systemu.

Najwyższy czas zabierać się stąd. Gdzie jest Żółty?

Bez Ateny pochłaniającej fale elektromagnetyczne nieprzyjacielskich radarów Czwarty pojawił się teraz na wszystkich rosyjskich ekranach kontroli obszaru. Kilku z kontrolerów przyglądało mu się najwyraźniej z wielkim zaciekawieniem. Ekran przeciwdziałania elektronicznego w kabinie Jiro rozjarzył się. Ktoś namierzał ich wysoką częstotliwością, w trybie bojowym radaru wyrzutni pocisków przeciwlotniczych. Chociaż namierzany był skrzydłowy, Jiro znajdował się wystarczająco blisko, by wiązka naprowadzająca omiotła i jego samolot. – Jestem na resztkach paliwa – powiedział Czwarty, usiłując ukryć zażenowanie z powodu awarii Ateny.

Jiro również miał kłopot z paliwem. Jeśli jednak nie osłoni odwrotu Czwartego, tamten znajdzie się w opałach.

– Wracaj do bazy – powtórzył Jiro. – Ale już!

Towarzyszące mu Zero wykonało ostry skręt. Jiro obserwował ekran taktyczny, by upewnić się, że jego skrzydłowy bierze kurs na Hokkaido.

Suchoje z Chabarowska skręciły o piętnaście stopni w lewo i odpaliły dwa pociski.

Czwarty był za daleko, żeby można było kontynuować łączność laserową. Jiro włączył radio, oczywiście zakodowane. Niemniej emitowało sygnał.

– Biała Czwórka, dwa pociski w powietrzu. Sto dziesięć kilometrów za tobą. – Czwarty powinienem widzieć je na ekranie taktycznym, jeśli wywołał właściwe okno. Jiro wolał nie pozostawiać tego przypadkowi.

Suchoje znajdowały się zbyt daleko, by Jiro mógł strzelić. Rosyjskie pociski miały większy zasięg od japońskich.

Być może należało odwrócić ich uwagę innym celem. Jiro wyłączył Atenę.

Widoczność była zbyt kiepska, by mógł dostrzec płomień wydobywający się z silników rosyjskich rakiet. Były gdzieś tam i, mknąc z prędkością prawie czterech machów, pokonywały co trzy sekundy kilometr z kawałkiem. Ponieważ wystrzelono je z maksymalnego zasięgu, Biały Cztery próbował im uciec. Przyśpieszył, poświęcając na to resztki paliwa. Nie był to może zbyt mądry manewr jak na człowieka, który ma mało paliwa, ale Biały Cztery znalazł się między młotem a kowadłem.

Czwarty osiągnął dwa machy.

Przynajmniej był bezpieczny. Pociski nie dogonią go, zanim skończy się im paliwo.

– Trzeci, tu Czwarty. Zmieniam częstotliwość i wzywam cysternę. Potrzebuję paliwa, żeby wrócić do domu.

– Zrozumiałem.

Jiro zajął się teraz Su-27, które zawróciły w jego kierunku. Sprawdził poziom paliwa. Jemu również nie pozostało zbyt wiele w rezerwie. Su wystrzeliły dwa pociski. Gdzie, do cholery, jest Żółty?

– Dowódca Żółtych, tu Biały Trzy. Podaj swoją pozycję i przewidywany czas przybycia na stanowisko.

Jiro i Suchoje zbliżały się do siebie z sumaryczną prędkością 2,5 macha. Pociski zbliżały się z prędkością 4 machów. 1,92 kilometra na sekundę.

Za pięć sekund Su-27 znajdą się w zasięgu rakiet Jiro. Były uzbrojone i gotowe do odpalenia. Wystarczy tylko wcisnąć guzik na drążku.

Jeśli odczeka jeszcze kilka sekund, będzie miał większą szansę trafienia. Jednak paliwo...

Jiro przycisnął guzik i pocisk wystartował z płomienistym ogonem. Jiro zwolnił przycisk, poczekał aż na wyświetlaczu na szybie pojawi się symbol gotowości i wystrzelił ponownie.

Lewą ręką sięgnął do włącznika Ateny. w pozycji gotowości przestawił na włączony. Żółte światło nie zgasło.

Cholera!

Kolejno wyłączył, potem znów przerzucił z pozycji GOTOWOŚĆ na WŁĄCZONY. W obwód wbudowane było dziesięciosekundowe opóźnienie, więc tyle czasu musi minąć, zanim urządzenie zacznie emitować sygnał zagłuszający nieprzyjacielskie radary.

Tymczasem pochylił nos i skręcił ostro na południowy wschód. Nos niżej, siła ciążenia pomagała mu przyśpieszać.

Świeciło się ostrzeżenie przed rakietami, informując, że do uderzenia pozostało dwadzieścia jeden sekund.

Kusiło go, by włączyć dopalacze, lecz ponownie zerknął na wskaźnik paliwa. Jeśli skorzysta z dopalaczy, do Japonii powróci wpław.

Piętnaście sekund do uderzenia. Rozejrzał się, próbując dostrzec zbliżające się pociski.

Suchoj.

Wpadł w górną część warstwy stratusów.

To było bardzo głupie. Gdyby zachował kontakt wzrokowy, miałby większą szansę wymanewrowania pocisków, jeśli Atena nie zadziała.

Głupi błąd.

Szybko tracisz możliwości ocalenia swego tyłka, Jiro.

Na dwanaście sekund przed uderzeniem, na wskaźniku Ateny zaświeciło się zielone światło.

Pociski nadal zbliżały się. Widział je na ekranie taktycznym. Czyżby nadal go ścigały?

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Pchnął drążek w bok, skręcając ostro w ich stronę. Sześć G. Mimowolnie jęknął.

Pociski nie skręciły. Minęły go nieszkodliwie z lewej strony.

Jiro wyrównał i zaczął piąć się w górę, pochylając maszynę w powrotnym skręcie na południowy wschód. Musiał wejść na trzynaście tysięcy metrów, by spotkać się z cysterną na pozycji Alfa.

Nabierając wysokości zauważył, że jego rakiety i Su-27 zniknęły z taktycznego ekranu. Połączyły się z celami i Suchoje zniknęły.

On żył, Rosjanie zginęli.

Jiro otarł pot z czoła.

Rozdział 7

Radziecka marynarka zawsze była czymś w rodzaju pływającego oksymoronu: morskie ramię największej lądowej potęgi na świecie. Nigdy nie otrzymywała równych radzieckiej armii pieniędzy, zaszczytów ani priorytetów. Godzina marynarki wybiła, gdy po kryzysie kubańskim 1962 roku zbudowano wystarczającą liczbę okrętów, by zagrozić flocie USA i światowym interesom Ameryki. Wypucowane okręty o ciężkim uzbrojeniu, dumnie powiewając czerwonym sztandarem, krążyły po siedmiu oceanach i... nigdy nie oddały jednego strzału.

Po zawaleniu się w 1991 roku Związku Radzieckiego, republiki podzieliły między siebie flotę. Rosja zatrzymała większość jednostek, co było wątpliwym zaszczytem, w sytuacji gdy nagminnie brakowało pieniędzy na remonty i na rejsy. Nie starczało ich nawet na opłacenie i wyżywienie marynarzy. Niektóre okręty odstąpiono krajom trzeciego świata w zamian za niezbędne dla Rosji towary, większość jednak rdzewiała przy nabrzeżach.

Mniej więcej połowa rosyjskiej Dalekowschodniej Floty cumowała w trzech bazach w pobliżu Władywostoku, gdy do każdej z nich podpłynął zespół czterech niszczycieli.

Japońska marynarka, odległa o niecałą milę morską, otworzyła ogień z dział kalibru 127 mm. Żaden z rosyjskich okrętów nie odpowiedział ogniem.

Większość z rosyjskich okrętów nie miała załóg, a te z marynarzami na pokładzie nie były zdolne do wyjścia w morze, nie wspominając o walce. W dwóch bazach na wschód od Władywostoku wszystkie jednostki były jedynie stalowymi pudłami. We Władywostoku tylko dwa okręty otrzymywały zasilanie elektryczne z brzegu. Stały zacumowane do wysuniętej na zachód części nabrzeża w zatoce Złotego Rogu. Reszta wyglądała w dziennym świetle na to, czym była, kupą rdzy, pozostawioną własnemu losowi.

Nie chodziło o to, że społeczeństwo czy marynarka nie przejmowały się tymi powstałymi w drodze olbrzymich wyrzeczeń okrętami, jednak nikt nie potrafił podjąć decyzji o ich losach. Każdy wybór wiązał się z poważnymi politycznymi następstwami. Zatem nie robiono nic. Większość z tych jednostek była już w takim stanie, że nadawały się wyłącznie na żyletki.

Japońskie okręty płynęły wolno w szyku torowym. Precyzyjnie, niczym na manewrach, wybierały cele i bombardowały je bezlitośnie. Pociski rozwalały nadbudówki i dziurawiły bezbronne kadłuby rosyjskich okrętów. Tu i tam wykwitały płomienie, lecz na okrętach pozbawionych paliwa i łatwopalnych cieczy trudno było o prawdziwy pożar. Wszystkie te dobra zostały przed paroma laty wyniesione i sprzedane na czarnym rynku przez stoczniowców.

Jedyne dwa statki zaopatrzone w paliwo i prąd stały się przedmiotem szczególnego zainteresowania japońskich niszczycieli. Jak na ironię, miały cywilny charakter. Pierwszym z nich był pięćdziesięciopięcioletni lodołamacz, drugim zaś holownik oceaniczny. Oba zatonęły przy nabrzeżu.

Wreszcie po półgodzinnym ostrzale Japończycy poczuli się usatysfakcjonowani. Wciąż utrzymując szyk, cztery niszczyciele zawróciły gładko w kanale i eskadra ruszyła w stronę wejścia do zatoki.

Baza morska w odległym o pięćset mil na północny wschód Gawanie została potraktowana w równie bezlitosny, okrutny i chirurgicznie precyzyjny sposób. Niestety, i ta była niemal lustrzanym odbiciem baz we Władywostoku. Zgromadzono tu głównie opuszczone okręty, lecz znajdowało się również kilka czynnych jednostek – okrętów, którym od lat poświęcano nieco uwagi, więc wciąż miały załogę.

Jednym z nich był niszczyciel, używany przez straż graniczną do patrolowania Amuru w okresie,

gdy rzeki nie skuwał lód. Załoga, dowodzona przez pełniącego nocną wachtę młodziutkiego oficera, zdołała uruchomić i załadować jedno z dwóch dział kalibru 115 mm.

Pierwszy pocisk chybił, ale drugi wybił dziurę w kadłubie japońskiego niszczyciela, wzniecając gwałtowny pożar.

Japońska eskadra skoncentrowała ogień na niszczycielu. Artylerzyści z opancerzonej wieży 115 – milimetrowego działa oddali jeszcze dwa niecelne strzały, zanim japońskie pociski odcięły dopływ prądu do wieży.

Nieco później, gdy niszczyciele odpływały, kierując się w stronę Aleksandrowska na Sachalinie i dalej do leżącego u ujścia Amuru Nikołajewska, dowodzący japońskim zespołem admirał zamyślił się nad postawą załogi działa. Walczyli dzielnie przeciwko przeważającej sile. Podbój Rosji może okazać się nie tak łatwy, jak głosiły sztabowe plotki.

Kapitan Paweł Saratow był dowódcą rosyjskiego okrętu podwodnego "Admirał Kołczak" o napędzie spalinowo-elektrycznym, krążącym pomiędzy wysuniętym na południe krańcem Wysp Kurylskich a Hokkaido. Zgodnie z konwencjonalną doktryną marynarki, Saratow powinien oddalać się od wybrzeży japońskich, kiedy okręt wynurzał się, by naładować akumulatory, ale, by trochę podrażnić Japończyków, Moskwa poleciła mu kręcić się przez trzy ostatnie dni na granicy dwunastomilowej strefy w okolicy portu w Nemuro.

Okręt opuścił przed dwoma tygodniami swoją bazę w Pietropawłowsku na południowym wybrzeżu półwyspu Kamczatka. Pierwszym zadaniem było dostarczenie dwóch wojskowych nurków do wraku blokującego kanał do Ochocka, małego portu na północnym wybrzeżu morza, o tej samej nazwie. Zazwyczaj morskie prace rozbiórkowe leżały w gestii pograniczników, lecz z powodów znanych jedynie moskiewskiej biurokracji, tym razem zlecono je marynarce. Saratow nie mógł zlokalizować wraku. Zszedł na ląd i dowiedział się od zarządcy portu, że wrak blokował kanał przez ostatnie dziesięć lat aż do zeszłej zimy, gdy przerdzewiały kadłub zniszczyła kra skuwająca corocznie port od grudnia do maja. Nie było zatem czego wysadzać.

Na godzinę przed świtem tego mglistego, deszczowego poranka Saratow stał na mostku na szczycie kiosku i zastanawiał się nad swoim losem. Kiedyś dowodził atomowym okrętem podwodnym klasy Alfa, ale jednostki atomowe przed kilku laty zostały wycofane z eksploatacji, kiedy Rosja zgodziła się wyłączyć ich reaktory w zamian za zagraniczne kredyty bankowe, Saratow nie uskarżał się: reaktory były niechlujnie zbudowane, przestarzałe i niebezpieczne. Nigdy nie obsługiwano ich prawidłowo. Nawet cieszył się, że skończyły się czasy wchłaniania niekontrolowanych dawek promieniowania.

Wielu z jego kolegów – oficerów wystąpiło wtedy z marynarki, ale Saratow zdecydował się pozostać. Społeczeństwo nękał kryzys ekonomiczny, a on nie posiadł żadnych cywilnych umiejętności i nie miał szans na pracę. Skorzystał ze swego stopnia, by objąć dowództwo okrętu o napędzie spalinowo – elektrycznym, na którym służył do dziś. Brakowało pieniędzy na ropę. Dwukrotnie musiał wymieniać paliwo torpedowe, czyli prawie czysty alkohol, za ropę i jedzenie, żeby móc wyjść w morze.

Cztery i pół roku później znajdował się u brzegów Japonii, nadal dowodząc tym okrętem i wciąż jadając od czasu do czasu. Załoga składała się z dwudziestu oficerów i dwudziestu pięciu chorążych – miczmanów. Szeregowych marynarzy było jedynie pięciu. W radzieckiej marynarce szeregowi pochodzili z poboru, a ci, którzy mieli chęć i zdolności, mogli zostać w marynarce po odsłużeniu trzech lat. Awansowano ich wówczas na miczmanów. Po upadku komunizmu rosyjska marynarka utrzymywała ten sam system, choć brakowało pieniędzy na przyciągnięcie ochotników. Oficerowie, miczmani i pięciu marynarzy na pokładzie okrętu Saratowa stanowiło 25 procent ocalałej radzieckiej

Dalekowschodniej Flotylli Podwodnej. Prócz tego były jeszcze trzy takie same okręty o napędzie spalinowo – elektrycznym. W sumie cztery.

To wystarczy, by doprowadzić do łez dorosłego mężczyznę.

„Admirał Kołczak" był dobrą, starą łajbą klasy Kilo. Kiedyś nosił nazwę „Władimirskij Komsomolec", ale po upadku reżimu został nazwany imieniem białego oficera. Stwarzał oczywiście pewne problemy techniczne, które były na szczęście do usunięcia, bo wynikały bardziej z wieku, niż z błędów konstrukcyjnych. Załodze zawsze udawało się wynurzyć, gdy trzeba było uruchomić diesle, i żaden marynarz nie cierpiał na chorobę popromienną. Przed dwoma laty Libia omal nie kupiła okrętu, lecz potem zdecydowała się na inną jednostkę, z Floty Czarnomorskiej. Naprawdę niewiele brakowało.

Oficer łączności przerwał rozmyślania Saratowa, wręczając mu radiogram z Moskwy. Był ściśle tajny i opatrzony klauzulą najwyższej pilności, więc dostarczono mu go bezzwłocznie.

Przeczytał go w świetle kieszonkowej czerwonej latarki. Japończycy zaatakowali Władywostok?

Zszedł na dół i powtórnie przeczytał radiogram w jasno oświetlonej centrali.

Miał udać się w kierunku Władywostoku i zatopić każdy napotkany japoński okręt. Zakładano, że japońscy żołnierze będą przewożeni okrętami z wywieszoną widoczną przez peryskop flagą wschodzącego słońca, więc nie powinien marnować torped na łajby wiozące worki z cementem.

Nawigator znajdował się na swym stanowisku centrali. Saratow dał mu do przeczytania wiadomość, a sam przyjrzał się mapie na stole nawigacyjnym. Nawigator zaczął szeptać coś gorączkowo do ucha oficerowi pokładowemu.

Saratow znajdował się w bliskiej odległości, gdy usłyszał spokojny ton pełniącego wachtę miczmana.

– Sygnały radarowe. P-3.

To był czwarty przelot P-3 w ciągu trzech dni.

– Skąd? – spytał ostro Saratow.

– Kierunek jeden – jeden – pięć, przypuszczalna odległość piętnaście mil.

– Zanurzenie alarmowe! – krzyknął Saratow.

P-3 Orion był wielkim, czterosilnikowym samolotem o napędzie turbośmigłowym i dwunastoosobowej załodze. Zbudowany przez koncern Lockheeda dla amerykańskiej Marynarki i regularnie wyposażany w coraz nowocześniejszą elektronikę, P-3 stanowił wojskową wersję starej konstrukcji znanej jako Electra. W roli samolotu ZOP, P-3 przewyższały inne modele. Japońskie Siły Samoobrony używały ich od dziesięcioleci.

Załoga P-3, która odnalazła "Admirała Kołczaka", wiedziała, że okręt podwodny operuje na powierzchni w okolicach portu w Nemuro. Tej nocy sprawdzali wszystkie kontakty radarowe, identyfikując je wzrokowo w świetle reflektora o sile stu milionów świec.

Nagle jeden z kontaktów zaczął zanikać.

– Słabnie, słabnie, słabnie – zameldował podniecony operator radaru. – Trzynaście mil, namiar trzy – pięć – zero.

– Przybliżony kurs i prędkość? – spytał TACCO, taktyczny koordynator, zły, że musi pytać o to operatora radaru.

– Mniej więcej zero – dziewięć – zero, prędkość sześć węzłów. To bez wątpienia okręt podwodny, zanurza się.

Operator był bardzo podniecony. Wojna! Po latach ćwiczeń coś dzieje się naprawdę. Przed nimi znajdował się rosyjski okręt podwodny, który zanurza się pod termoklinę, a załoga samolotu, do której niewątpliwie zaliczał się operator radaru, miała go zniszczyć.

TACCO, Koki Hirota, pracował bez wytchnienia. Okręt podwodny niewątpliwie wykrył radar P-3 i uciekał. Hokkaido leżało osiem mil na południe, okręt w wynurzeniu posuwał się na wschód. Po wykonaniu zanurzenia na pewno zrobi zwrot, żeby skomplikować sytuację taktyczną. Jaki kurs obierze dowódca? Na pewno nie na południe, ani też nie zawróci w kierunku niebezpiecznej cieśniny. Jednak z drugiej strony...

Nie, nie, nie. Żadnych skrótów. Złowimy ten okręt zgodnie z regulaminem. Rozpoczniemy ogólne poszukiwania, zaciśniemy sieć i wykończymy go torpedą Mk-46.

Pilot Masataka Yonai kończył uruchamianie pierwszego i czwartego silnika. Podczas lotu patrolowego krążyli tylko na dwóch. Włączywszy wszystkie, zaczął łagodnie obniżać maszynę. Wyrównał na siedemdziesięciu metrach i włączył autopilota. Regulamin przewidywał prowadzenie nocnych poszukiwań na pułapie stu pięćdziesięciu metrów, w dzień na siedemdziesięciu, ale detektor anomalii magnetycznych, MAD, działał precyzyjniej na niższej wysokości. Yopi miał w sobie samurajskiego ducha. Chciał dopaść ten okręt podwodny, więc do diabła z regulaminem, polecą na siedemdziesięciu metrach.

Wśród załogi układającej podstawowy wzór pław hydroakustycznych panowało napięcie. Jedni mieli nasłuchiwać powyżej termokliny, której głębokość wynosiła w tym miejscu 125 metrów, inni poniżej. Tym drugim zajęło kilka minut opuszczenie mikrofonów.

Wysunięta najdalej na północ pława wychwyciła delikatne szmery.

– Kontakt, kontakt – zameldował operator. Koki Hirota przesunął włącznik, tak że również mógł słuchać. Skoncentrował się. Tak, też to usłyszał: okręt podwodny.

Bogu dzięki, że chodzi o Rosjan, pomyślał Hirota. Gdyby to był okręt amerykański, o wiele cichszy, pojedynczy samolot miałby nikłe szansę na wytropienie go. W ciągu dziesięciu lat lotów patrolowych Hirota tylko raz wykrył amerykański okręt podwodny i, przyznał uczciwie, miał kupę szczęścia. Rosjanin, czy ktokolwiek inny, jeśli jest dobrym podwodniakiem, też będzie trudny do złapania.

Hirota zarządził czterokilometrowy bok wzoru poszukiwań na północ od skrajnej północnej pławy hydroakustycznej.

Yonai natychmiast wykonał polecenie. Miał absolutne zaufanie do Hiroty, którego uważał za najlepszego TACCO na świecie. Teraz Yonai prowadził samolot mknący z prędkością 360 kilometrów na godzinę siedemdziesiąt metrów nad wodą.

Pławy hydroakustyczne wypadały z przegrody kadłubowej co do sekundy. Hirota wybrał je spośród sześćdziesięciu czterech znajdujących się w przegrodzie. Zarządził, które mają być zrzucone, resztą zajął się komputer. Mieli czterdzieści pław niskiej częstotliwości LOFAR i osiemnaście kierunkowych DIFAR, używanych przy dokładniejszych poszukiwaniach. Oprócz tego dysponowali sześcioma nowymi, działającymi w oparciu o efekt Dopplera, wyprodukowanymi w tajemnicy przez japoński przemysł. W razie potrzeby w samolocie znajdowało się więcej pław, które technicy mogli zrzucać ręcznie.

Załoga miała dobre narzędzia walki i wiedziała, jak ich użyć. Całe zawodowe życie spędzili na ćwiczeniu się w tym.

Przy każdej zrzuconej pławie rozlegał się we wnętrzu maszyny szmer. Polowanie na okręty podwodne zdecydowanie należy do sportów zespołowych.

Po opuszczeniu mikrofonów operatorzy docisnęli słuchawki i uważnie nasłuchiwali najsłabszych szmerów leżącego w dole oceanu, najlżejszego odgłosu śruby pchającej zrobionego ludzką ręką lewiatana.

– Mam go! – wyskrzeczał operator sonaru numer jeden. – Trzecia i czwarta pława. Wciąż jest

nad termokliną.

Koki Hirota przełączył się i słuchał uważnie. Zamknął oczy, koncentrując się.

TACCO odróżniał subtelne dźwięki, najbardziej wyszukane niuanse pośród kakofonii hałaśliwego oceanu. Słychać tam było odgłosy życia morskiego, rytmiczne odbicia fal od brzegów Hokkaido, szum co najmniej dziesięciu statków. Pomiędzy tymi dźwiękami kryły się bez wątpienia te wydawane przez okręt podwodny. Niektóre przypominały częściowo obroty śruby, częściowo szmer wody obmywającej kadłub, być może skutkiem szerokiego skrętu. Okręt podwodny zaczął zanikać, jakby wsunął się pod termoklinę, szukając tam schronienia.

Hirota przełączył się na pławy głębinowe.

Tak, słychać go było wyraźnie.

Hirota sprawdził inną pławę. Jeszcze głośniej. Palce Hiroty tańczyły na klawiaturze znajdującego się przed nim komputera, a na ekranie pojawił się jasny punkcik pomiędzy ustalonym przebiegiem poszukiwania.

Okręt podwodny wciąż skręcał, kierując się z powrotem na wschód. Nadal poruszał się wolno, starając się zminimalizować hałas. Robił jakieś trzy, góra cztery węzły.

Czy nie powinien przejść na wzór dwukilometrowy lub nawet tysiącmetrowy? Hirota miał jednak ograniczoną liczbę pław.

Przygryzał paznokcie lewej ręki, przerzucając tam i z powrotem kanały, słuchając na przemian różnych pław. Sprawdził komputer, szukając potwierdzenia swoich przypuszczeń. Ślad prowadził z powrotem na wschód.

Przyłapali Iwana na płytkiej wodzie, więc usiłował uciec na głębinę.

TACCO polecił pilotowi kolejny zrzut pław, ustalając schemat w komputerze: tysiąc metrów pomiędzy pławami, odrobinkę na północny wschód. Postanowił użyć pław DIFAR na każdym krańcu, a w środku umieścić pławę dopplerowską.

Chciał poczekać, by dokonać zrzutu po ustaleniu nowego kursu okrętu podwodnego, ale stało się to niemożliwe, bo okręt wychodził z zasięgu pław już znajdujących się w wodzie.

Hirota zakładał, że rosyjski dowódca obierze kurs 90°. To najkrótsza droga do głębokiej wody. Wciąż jednak tylko zgadywał, czy też raczej usiłował wczuć się w myśli podwodniaka.

Masataka Yonai zawrócił P-3, posługując się pokrętłem kierunkowym autopilota. Kiedy znalazł się na nowym kursie, skorygował wysokość, bo autopilot stracił siedem metrów podczas skrętu i włączył go z powrotem. Kiedy był jeszcze świeżo upieczonym dowódcą maszyny, upierał się, by osobiście wykonywać wszystkie manewry schematu poszukiwawczego, ale zarzucił te bzdury, bo Hirota przekonał go, że pilot automatyczny zrobi to lepiej od każdego człowieka.

– Bądźcie czujni – powiedział do interkomu Yonai. – Zacieśniamy sieć. Pławy wyleciały na zewnątrz jak cykanie zegarka.

W samolocie pozostały jeszcze dwie, kiedy w interkomie rozległ się krzyk operatora:

– Mam go!

Hirota sprawdził. Tak. Komputer wykreślał... Tam! Namiar 85°, prędkość cztery węzły.

– Yonai, wykonaj powolny skręt na dwieście siedemdziesiąt stopni w lewo i wejdź na kurs zero – osiem – pięć dla sprawdzenia namiaru MAD.

Yonai przekręcił pokrętło kierunkowe autopilota, a mechanik pokładowy otworzył szerzej przepustnice. Dodatkowa moc pozwoli im na utrzymanie prędkości podczas skrętu. Samolot znajdował się 50 metrów nad poziomem morza. Yonai wyłączył autopilota i, skoncentrowawszy się na przyrządach, wyrównał podczas skrętu do siedemdziesięciu metrów. Kiedy samolot znalazł się z powrotem na żądanym pułapie, znów włączył autopilota.

Każdy członek załogi skupił się na wskaźnikach. Operatorzy pław słyszeli szybkie obroty śruby.

– Znowu robi zwrot. Trzeba będzie wykonać zrzut według krótkiego wzoru. Zwrot w prawo o dziewięćdziesiąt stopni i przygotowanie do następnej zmiany kursu.

Hirota wpatrywał się w ekran komputera. Usiłował wczuć się w skórę rosyjskiego dowódcy.

– Wraca na północ – oświadczył w końcu. – Wie, że siedzimy mu na karku. Może spróbować wejść nad termoklinę. Zaczynamy kwadrat o boku tysiąca metrów. Kurs trzy – sześć – zero, potem zwrot w prawo.

W interkomie zapadła cisza. Każdy w skupieniu starał się perfekcyjnie wykonywać swoją pracę. Jednak nawet kiedy pławy pogrążyły się w wodzie, zgodnie z nowym wzorem, komputer zgubił śledzony okręt. Najpierw był tu, a potem zniknął.

Hirota nasłuchiwał pilnie na wszystkich kanałach. Nic. W morzu panowała martwa cisza.

Hirota doszedł do wniosku, że okręt albo zastopował maszyny, albo porusza się powoli, na granicy sterowności.

– Prawdopodobnie zszedł bardzo głęboko – wyrwał się ktoś. Hirota uruchomił sygnał echosondy środkowej pławy i poczekał, jakie echo odbiorą pozostałe.

Zanim powróciło twarde echo, usłyszał odgłos śruby okrętu podwodnego.

– Idzie pełną mocą – odezwał się operator sonaru numer jeden. – I wydaje mi się, że zanurzył się głębiej.

Tak. Pełna moc. Już za parę minut okręt podwodny rozwinie prędkość dwudziestu węzłów. Może dwudziestu pięciu. Gdyby miał napęd atomowy, mógłby wycisnąć czterdzieści pięć węzłów. Jedyny namierzony przez Hirotę amerykański okręt podwodny zniknął za horyzontem z prędkością pięćdziesięciu węzłów.

Komputer znów wykreślał namiar.

– Mam go – poinformował pozostałych głosem zduszonym z podniecenia Hirota. – Namiar MAD. Yonai, zwrot w prawo na kurs zero – cztery – pięć.

Yonai położył maszynę ostro o czterdzieści stopni w prawo. Hirota poczuł narastające przeciążenie.

Przygwoździmy tego drania!

– Wyrównanie do zero – dziewięć – zero... spokojnie... spokojnie. Zbliżamy się, wchodzimy nad jego kilwater.

Ten cholerny okręt podwodny wciąż przyśpieszał, robiąc już ponad dwadzieścia węzłów.

– MAD! – zawołał operator radaru obsługujący jednocześnie detektor anomalii magnetycznych. Igła oszalała, kiedy przelatywali nad stalowym kadłubem okrętu podwodnego.

Krótkie, gorączkowe owacje. Ludzie byli zdyscyplinowani, ale to była walka na śmierć i życie. Yonai przychylnie przyjmował entuzjazm swojej załogi. W przeszłości pozbywał się ludzi nie okazujących bojowego ducha.

Teraz Yonai położył wielkiego P-3 w kolejnym czterdziestostopniowym skręcie w prawo. Musiał wykręcić jeszcze o 270 stopni i przelecieć od przodu nad okrętem podwodnym. Jeśli operator MAD potwierdzi namiar, a TACCO wyrazi zgodę, Yonai zrzuci torpedę Mk-46.

Torpeda wypadnie z luku bombowego. Kiedy znajdzie się w wodzie, zacznie obracać się w prawo i w poszukiwaniu celu uruchomi pasywny sonar. Cel, jeśli załoga P-3 spisała się prawidłowo, powinien znajdować się o 500 metrów od niej. Kiedy już torpeda wykryje okręt, urządzenie samonaprowadzające uruchomi sonar aktywny i wyceluje w okręt. Na amerykańskich filmach okręty podwodne uciekały lub schodziły z kursu torped, ale Yonai wiedział, że to czysta fikcja. Przenikliwe dźwięki sonaru torpedy będą ostatnim odgłosem, jaki usłyszy załoga okrętu podwodnego.

Masataka Yonai położył maszynę w ostrym skręcie.

– Otworzyć drzwi bombowe – rozkazał.

– Nie otwierają się – zameldował drugi pilot. Yonai spojrzał na wskaźnik. Cholera! Wciąż zamknięte.

– Sprawdzić obwody uzbrojenia. Szybko!

To należało do mechanika pokładowego, bo przełączniki obwodu uzbrojenia znajdowały się za nim z prawej strony.

Autopilot, który przy poprzednich skrętach tracił wysokość, zrobił to ponownie. Teraz samolot znajdował się trzydzieści metrów nad wodą i wciąż łagodnie obniżał się, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Wszystkie obwody są włączone. – Mechanik pokładowy przesunął dłonią wzdłuż pulpitu uzbrojenia i sprawdził, że wszystkie przełączniki znajdują się na swoich miejscach.

– Więc rusz je. – Yonai chciał, żeby mechanik włączył i wyłączył przerywnik obwodu drzwi bombowych.

– Nie mogę go znaleźć – wyznał zdenerwowany mechanik. Masataka Yonai omal nie wyszedł z siebie.

– Ty idioto, przełącznik jest na pulpicie uzbrojenia.

Drugi pilot odwrócił się, pokazując palące się na pulpicie światełko.

– Tu – powiedział.

Yonai poczuł jak szarpnęło samolotem, gdy końcówka prawego skrzydła musnęła wierzchołek fali. Wcisnął guzik wyłączający autopilota i przechylił wolant w lewo.

Za późno! Prawe skrzydło pogrążyło się w następnej fali. Szarpnięcie końcówki skrzydła przechyliło nos w prawo, w stronę morza. Skrzydło zagłębiło się jeszcze bardziej.

Yonai zacisnął szczęki i odruchowo pchnął stery maksymalnie w lewo, nie spuszczając wzroku ze sztucznego horyzontu. To była ostatnia czynność w jego życiu.

Kabina pilotów uderzyła w wodę jako pierwsza. Wszyscy trzej członkowie załogi natychmiast zginęli.

Operatorzy siedzący z tyłu poczuli pchnięcie do przodu, potem zginęli, zgnieceni wyrwanymi fotelami i sprzętem. Potem lewe skrzydło uderzyło o wodę, a kadłub rozpadł się.

Rozległ się ogłuszający plusk i dopiero po minucie uspokoiły się wzburzone fale. Szczątki P-3 i załogi rozpoczęły długą drogę na dno morskie.

Kapitan Paweł Saratow usłyszał plusk w centrali „Admirała Kołczaka". Na głowie miał słuchawki, więc mógł razem z sonarzystami, podającymi namiary na zrzucane pławy, nasłuchiwać sonaru. Nawigator wykreślał kurs na podstawie przypuszczeń dowódcy. Saratow decydował dokąd skierować okręt w oparciu o leżącą przed nim mapę. Mapa była prymitywna, metoda dawno zaniechana przez lepiej wyposażone marynarki, ale tylko to miał do dyspozycji.

Potężny plusk zdumiał go. Był o wiele za głośny jak na pławę lub torpedę. Zamknął oczy i wsłuchiwał się uważnie, a pot spływał mu kroplami po twarzy.

– Odgłos silników zniknął – odezwał się sonarzysta.

Zgadza się. Nie słychać było wibrujących w tle czterech silników samolotu.

Saratow usłyszał odgłosy rozrywanego metalu. Czyżby pękał kadłub?

Czy to możliwe? Brak odgłosu silników, olbrzymi plusk? Czyżby cuda się zdarzały?

Saratow otworzył oczy. Wszyscy obecni w centrali wpatrywali się w niego.

– Rozbił się – powiedział dowódca. W pierwszej chwili go nie zrozumieli.

– Rozbił się – powtórzył Saratow. – Uderzył w wodę.

Wiwaty. Krzyki. Zaśmiewali się do łez. Życie jest cudowne.

Jack Innes stał w progu Owalnego Gabinetu, obserwując jak prezydent Hood kończy spotkanie z grupą Orlich Skautów. Fotoreporterzy błyskali fleszami, prezydent ściskał ręce, uśmiechał się i udawał, że nie widzi swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jedną z zalet prezydenta była zdolność do natychmiastowego koncentrowania się na znajdujących się przed nim ludziach, przez co stwarzał wrażenie, że naprawdę się nimi interesuje.

Pomocnik prezydenta wyprowadził skautów i ich drużynowego dokładnie z wybiciem zegara.

– Japońskie siły zaatakowały Syberię – powiedział Innes, kiedy prezydent zasiadł za biurkiem. – Rozpoczęli około północy czasu lokalnego, to jest jakąś godzinę temu. Wiadomości dopiero docierają do nas.

– Zastanawiałem się, jak długo Abe będzie zwlekał.

– Przed osiemnastoma godzinami Rosjanie aresztowali przywódcę syberyjskiego ruchu niepodległościowego. O północy Abe wystąpił w telewizji. Powiedział, że rdzenna ludność Syberii dość wycierpiała z ręki Rosjan. Japończycy, związani z nimi braterstwem krwi, staną po stronie swoich krewnych.

Innes mówił dalej, przekazując prezydentowi wszystko, co wiedział. Prezydent odwrócił fotel i spoglądał przez okno. Potem obrócił się z powrotem w stronę biurka i zerknął na rozkład dnia. Gdy Innes skończył, zadał mu kilka pytań.

– Dobrze – rzekł Hood. – Znasz procedurę. Zwołaj Radę Bezpieczeństwa Narodowego, przywódców większości i mniejszości obu izb. Zobaczymy, na co się zgodzą.

– Tak, sir.

– Będą się oburzać i załamywać ręce, ale doradzą nie robić nic.

– Ale chyba potępią japońską agresję?

– Słowa. Tylko słowa. Zobaczysz. Nie będą chcieli nic zrobić.

– Ale będzie pan próbował nakłonić ich do podjęcia działań, prawda?

– Prędzej czy później będziemy musieli zdobyć się na odwagę słusznego postępowania, Jack.

– Trudność polega na tym, żeby wiedzieć, co jest słuszne.

– Nie, wcale nie. Jajogłowi szarlatani i apostołowie Nowej Ery mogą nigdy nie dostrzec tego, co słuszne, ale ludzie obdarzeni zdrowym rozsądkiem wiedzą to doskonale. Wszyscy chcą jednak uniknąć kosztów właściwego postępowania. Weźmy na przykład Bośnię z początku lat dziewięćdziesiątych. Serbowie zaczęli mordować muzułmanów, dopuszczając się ludobójstwa, zabijając każdego, kto mógłby spróbować się przeciwstawić przywódcom nowej serbskiej utopii. Chcieli zamienić muzułmanów w niewolników. To był świadomy, polityczny wybór serbskich przywódców, ponieważ wydawało się im, że sobie poradzą. Przez trzy lata radzili sobie. Przez trzy lata amerykańscy przywódcy załamywali ręce, oburzali się i odmawiali wysłania swych sił do Serbii. Ludobójstwo! Masowe morderstwa! Nigdy więcej ostatecznego rozwiązania w stylu Adolfa Hitlera!

– Liberałowie twierdzili, że Bośnia może stać się drugim Wietnamem. Hood nabrał powietrza i westchnął głęboko.

– Kiedy odmawiasz podniesienia ręki, by powstrzymać zło, stajesz się współwinny. Ta prawda obowiązuje tak samo dziś, jak i dwa tysiące lat temu. Przyjrzyj się, Jack. Dzisiaj ludzie będą spierali się o niebezpieczeństwo kosztów przeciwstawienia się Japonii. Będą twierdzili, że Rosja jest krajem skorumpowanym, źle rządzonym przez bandę złodziei, i że Rosjanie sami są sobie winni. Potem gazety będą pełne tych argumentów. Będą upierać się, że nie możemy angażować się w cudzą wojnę. Będą dowodzić, że to nie nasza sprawa, a Stany Zjednoczone nie są światowym policjantem.

Odmówią przeciwstawienia się złu. Zobaczysz.

– Ludzie już nie wierzą w zło – odparował Jack. – To przestarzałe pojęcie.

– Wcale nie – rzekł z przekonaniem prezydent. – Zło żyje i miewa się doskonale. Problem polega na tym, że zbyt wielu ludzi zawarło z nim rozejm.

Rozdział 8

Pierwszy poważniejszy opór we Władywostoku stawiły pojedyncze drużyny i plutony rekrutów dowodzonych przez młodszych oficerów. Bez rozkazu ani jakiejkolwiek koordynacji zabarykadowali ulice i zaczęli strzelać. Te ośrodki oporu zostały szybko okrążone i zdławione. Niemniej próby wojsk japońskich zmierzające do połączenia oddziałów i stworzenia frontu w poprzek półwyspu, uległy opóźnieniu. Wezwano czołgi i samochody pancerne do pomocy w zmieceniu punktów oporu. To wszystko trwało.

Dwie godziny po świcie w walkę włączyło się już kilka tysięcy rosyjskich żołnierzy. Terkot broni maszynowej i wybuchy granatów słychać było w północnej części miasta. Dym z płonących budynków i aut zasnuwał miasto oraz zatokę.

Na Wyspie Rosyjskiej i w dzielnicach przyległych do zatoki Złotego Rogu nikt nie stawiał oporu, ponieważ nie było tam rosyjskich żołnierzy. Policja, wobec przewagi liczebnej i ogniowej, poddała się bez strzału. Bezbronni mieszkańcy nie mieli wyboru. Przypatrywali się tylko i starali się nie wchodzić w drogę.

Około 7.00 dywizjon Zero wylądował na miejscowym lotnisku. Maszyny zatankowano i uzupełniono rakiety oraz amunicję, dostarczoną śmigłowcami z zacumowanych pół mili od brzegu okrętów. Przybyło też dwanaście szturmowych śmigłowców, które wkrótce zaatakowały rosyjskie pozycje w północnej części miasta.

Nadal mżyło.

Niebo było czyste, jasnobłękitne, upstrzone w dole cienką warstwą chmur kłębiastych. Widoczny na horyzoncie łańcuch Gór Skalistych przybrał niebieskie i purpurowe odcienie.

Bob Cassidy wypatrywał na tym tle samolotów. Wiedział, że niedaleko znajdują się dwa F-22 i mają do niego dołączyć. Te cholerne maszyny są jak kameleony, zaklął w duchu, dziwiąc się, że nie potrafi zauważyć odległego o półtora kilometra samolotu.

– Dwójka, widzisz mnie?

– Widzę, Smakosz. Jestem na tym poziomie na godzinie trzeciej. Kierunek trzy – zero – pięć.

– Kurs prowadzącego trzy – jeden – zero stopni. Patrzę. Spoglądał w próżnię. Niebo było puste.

– Trzeci jest na twojej dziewiątej, Smakosz.

Cassidy zerknął w lewo, podchwytując coś kątem oka. Kiedy spojrzał na wprost, niczego nie zobaczył. Popatrzył na umieszczony centralnie ekran taktyczny. Owszem, obaj skrzydłowi byli na swoich miejscach i zbliżali się.

Maszynę, lecącą od strony słońca, zobaczył z odległości stu metrów. Najpierw wyglądało to jak ciemniejsze miejsce na niebie, potem przybrało kształt samolotu. Nie widział maszyny oświetlanej przez słońce, dopóki nie zbliżyła się na siedemdziesiąt metrów. Znikała i pojawiała się, mieniąc się w oczach.

– Ten sztuczny kameleon jest przerażający – powiedział swoim skrzydłowym na kodowanym kanale.

Trzy myśliwce zaczęły zbliżać się do lotniczej bazy Nellis w Las Vegas w Newadzie, gdzie wylądowały. „Kameleon" został oczywiście wyłączony.

Pokołowali na stanowiska i wyłączyli silniki.

Suchy, gorący pustynny wiatr pieszczotliwie musnął wilgotną głowę, gdy Cassidy zdjął hełm. Poczekał, aż obsługa naziemna podstawi drabinkę, odpiął pasy i powoli zszedł na dół.

Zaczerpnął powietrza i zdjął prawą rękawicę. Gołą ręką dotknął pokrycia samolotu. Było zimne, gładkie, twarde.

Podszedł jakiś podoficer w niebieskim mundurze. Zasalutował.

– Panie pułkowniku, z Waszyngtonu dzwonił pułkownik Eatherly. Japonia zaatakowała Władywostok. Chcą, żeby natychmiast wrócił pan do Waszyngtonu. Wysłali po pana samolot. Ma pan natychmiast oddzwonić.

– Dziękuję.

A więc to prawda. Rozpoczęła się strzelanina.

Bob Cassidy obszedł powoli f-22, przyglądając się maszynie. Myślał o znajomych japońskich oficerach i o Amerykanach w Japonii. Ocknął się, stojąc u podstawy skrzydła, wpatrzony w małe drzwiczki kryjące lufy 20-milimetrowego obrotowego działka systemu Gatling.

Odwrócił się i ruszył szybko w stronę warsztatów. Muszą mieć czynny telefon.

Nocne spotkanie w Białym Domu przebiegło zgodnie z przewidywaniami prezydenta.

Wieczór był długi, pełen przygnębiających wieści. Japończycy opanowywali rosyjski Daleki Wschód.

Pracownicy Rady Bezpieczeństwa Narodowego użyli map i prezentacji komputerowej dla poinformowania grupy. Kiedy skończyli, zapanował ponury nastrój.

Zdanie zebranych wyraził przewodniczący Izby Reprezentantów.

– Ameryka musi pozostać neutralna. To nie jest nasza wojna. Zajmując neutralne stanowisko, musimy zrobić, co się da, by powstrzymać rozlew krwi. Prezydent nie odezwał się. Jego stanowisko wyraził dobitnie Jack Innes.

– To jest nasza wojna. Dzisiejsze wydarzenia ugodzą w Amerykę. Każdy Amerykanin ma swój udział w światowym pokoju. Każda chwila opóźnienia podnosi koszt końcowego rozwiązania. Nadeszła nasza chwila. Musimy podjąć inicjatywę, póki mamy taką możliwość.

Niestety, zebranym to nie odpowiadało.

Po zakończeniu spotkania przewodniczący Senatu zatrzymał się na krótką wymianę zdań z prezydentem.

– Panie prezydencie, słyszeliśmy, że wywarł pan silną presję na ONZ, by zgromadzenie potępiło Japonię i podjęło rezolucję.

– To oczywiste, że rozmawialiśmy z przedstawicielami innych narodów w ONZ – odparł wymijająco prezydent.

– Moim zdaniem, sir – rzekł przewodniczący senackiej większości – manipulowanie ONZ, by stało się zwolennikiem użycia przez nas siły wobec Japonii, mogłoby być poważnym błędem politycznym. Z nastrojów panujących w Senacie wyczuwam, że moi koledzy nie poprą takiej polityki. Może okazać się, że balansuje pan na cienkiej linie bez szans na wsparcie. Mówiąc krótko, sytuacja może okazać się bardzo kłopotliwa.

– Wyjątkowo kłopotliwa – zgodził się prezydent.

– Benzyny?

Bob Cassidy przyjechał z Waszyngtonu. Nalał sobie filiżankę kawy i stanął przy kasie stacji benzynowej skrzyżowanej z niewielkim sklepem. Ze schowanego za kontuarem radia słychać było wyraźnie sprawozdawcę sportowego.

– Ty jesteś Aaron Hudek?

Mężczyzna za kontuarem popatrzył na niego, zanim skinął głową. Sprawozdawca był bardzo podekscytowany. Hudek przyciszył odbiornik. Decydujący rzut.

Hudek miał pod trzydziestkę. Nosił wypłowiałe dżinsy, a do służbowej niebieskiej koszuli przypiął na kieszonce tabliczkę z imieniem Bud. Mierzył metr osiemdziesiąt, mógł ważyć z dziewięćdziesiąt kilo, był dobrze zbudowany. Dżinsy spinał stary, niebieski pas Sił Powietrznych.

– Twoja mama powiedziała, że tu pracujesz.

– Czemu nie zapłaci pan rachunku i nie da szansy innym?

– Trzeci dystrybutor i kawa. – Cassidy sięgnął po pieniądze. – Nazywam się Cassidy i chciałbym z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O pracy.

– Już mam pracę. – Hudek zerknął na stojącego za Cassidym mężczyznę, który podniósł puszkę z olejem.

– To praca w lotnictwie – dodał Cassidy, kiedy Hudek wystukał sumę na kasie i kończył liczyć resztę. Hudek zerknął na Boba.

– Kończę za dziesięć minut, kiedy przyjdzie dziewczyna z następnej zmiany. Wtedy pogadamy.

– Zgoda.

Trwało to blisko dwadzieścia minut, lecz szczęściem drzewa rosnące przy chodniku rzucały nieco cienia na betonową ławeczkę. Cassidy siedział na niej, kiedy nadszedł Hudek. Nie usiadł.

– Skąd znasz moje nazwisko?

– Z archiwum Sił Powietrznych.

– Więc jesteś wojak?

– Pułkownik Bob Cassidy, przynajmniej jeszcze przez kilka dni.

– Co to za robota? – spytał rzeczowo Hudek. Nie zamierzał usiąść. Nie wyglądał na zdenerwowanego lub zniecierpliwionego. Stał ze skrzyżowanymi ramionami, spoglądając na Cassidy'ego.

– Słyszałeś, że Japonia napadła na Syberię?

– Od kilku dni mówią o tym w radiu.

– Szukam ludzi obeznanych z F-22 – wyjaśnił Cassidy, obserwując reakcję Aarona. Równie dobrze mógłby mówić po chińsku. Wyraz twarzy Hudka nie zmienił się ani o jotę. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że dostał dyplom z wyróżnieniem w zakresie inżynierii elektrycznej na MIT. Jeden z dziesięciu procent, jak nazywał ich Cassidy. Program szkolenia lotników wojskowych stał się tak wymagający w ostatnich dwudziestu latach, że aby latać na najnowszych odrzutowcach, trzeba było mieścić się w górnych 10 procentach – poczynając od liceum. Jednak u Aarona coś musiało pójść nie tak.

Kiedy Cassidy skończył, Hudek odwrócił głowę, popatrzył na samochody wjeżdżające na parking i znów na Boba.

– Rosja, co?

– Tak.

– To zdumiewające.

– Co mianowicie?

– To, że pan tu jest. Czy nie czytał pan opinii, jaką mi wystawiono? Mój ostatni dowódca uważał mnie za głupiego skurwysyna i tak mnie właśnie opisał.

– Czytałem. Nie dbam o papierkową robotę, salutowanie czy parkingową etykietę. Potrzebuję pilotów myśliwskich.

– Cóż, naprawdę nie jestem zainteresowany. To już dla mnie przeszłość. Nie latałem od trzech miesięcy. Nie żal mi tego. Nie żal mi również pieprzonych małych Cezarów, w ich schludnych, niebieskich mundurkach.

– To nie jest pokojowa służba. To wojna – coś, co dzieje się naprawdę. Gwarantuję, że nie będzie kroku defiladowego, polerowania butów ani innych bzdur.

– Już raz słyszałem tę śpiewkę – parsknął Hudek. – Teraz powinienem podnieść prawą rękę, potem podpisać się w zaznaczonym miejscu. A jeśli wszystko się pochrzani? Jeśli pańska mała operacja jest dalszym ciągiem tego pieprzonego drylu, z którym się właśnie rozstałem? Wtedy będę znów tkwił w tym po uszy i narzekał na zasrane szczęście.

– Będę tam razem z tobą. Jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy w tym tkwili obaj.

– Wybiera się pan tam? – spytał z niedowierzaniem Hudek.

– Tak. A ty?

Hudek włożył ręce w kieszeni i opuścił ramiona.

– Nie wierzę – odparł w końcu. – Nawet jeśli jest tak, jak pan mówi, mam tu inne sprawy. Bawiłem się w wojsko i pora się z niego wynosić, iść własną drogą. Jest tu pewna dziewczyna... Lubi mnie, chciałaby, żebym się tu osiedlił, żebyśmy mieli dzieci. Wpłaciłem zaliczkę na mały zajazd w sąsiedniej dzielnicy. To nic wielkiego, za to moje własne.

– Rozumiem.

– Jestem zmęczony użeraniem się z urzędasami, robieniem wszystkiego, co strzeli do łba kretynom, którzy przez przypadek mają wyższy stopień niż ja!

Cassidy wstał i otrzepał spodnie. Podał Hudkowi wizytówkę z numerem telefonu do hotelu w Crystal City.

– Zadzwoń. Powiadom mnie o decyzji.

– Właśnie to robię, pułkowniku. Informuję pana. Podjąłem decyzję. Nieodwołalną. Nie chcę jechać do tej cholernej syberyjskiej lodowni.

– Nigdzie nie zamierzam dzwonić. Słuchaj pan! Nie chcę jechać. Nie lubię nawet ich żarcia.

– Dziś późnym wieczorem. Muszę jeszcze odwiedzić jednego gościa. Może go znasz? Nazywa się Lee Foy.

– Czy pan mnie słucha, do cholery? Nie zadzwonię ani wieczorem, ani nigdy. Mówię głośno i wyraźnie: nie jadę do Rosji. Nie zajmuję się sprawami trzeciego świata. I nigdy nie słyszałem o Foyu.

– A on twierdzi, że cię zna. Ponoć spotkał cię kilka lat temu podczas testów na F-22. Uważa że jesteś dobrym pilotem, ale masz parszywy charakter. Uprzedzał, że będziesz plótł bzdury.

– A! Sos Fojowy, ten kalifornijski Chińczyk! Tak. Znam tego małego, skośnookiego drania. On jedzie z wami?

– Może.

– Jezu, frajerzy, skoro bierzecie Sos Fojowy, to znaczy, że skrobiecie dno beczki. Zestrzelą was wszystkich. Nie przeżyjecie tygodnia.

– Zadzwoń wieczorem.

– Gdzie się teraz podziewa Foy?

Cassidy nie odpowiedział. Otworzył samochód i wsiadł za kierownicę. Hudek patrzył, jak Cassidy wolno wyjeżdża na ulicę. Stał tak jeszcze, kiedy Cassidy dojechał do świateł.

Lee Foy mieszkał w McLean, w Wirginii. Został pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

– Zarabiam kupę pieniędzy – powiedział Cassidy'emu. – Chociaż nie mówię po chińsku, firma wyznacza mnie do obsługi każdego biznesmena z Hongkongu lub chińskiego przedstawiciela przyjeżdżającego do rejonu Waszyngton – Baltimore. Zawsze coś sprzedają. Bycie Amerykaninem azjatyckiego pochodzenia ma swoje zalety. Bogacę się.

– Zawsze zastanawiałem się, co wybierze w życiu absolwent Stanford z drugą lokatą.

– Nie mogłoby się to przytrafić nikomu milszemu – rozpromienił się Foy.

– Pierwszy w klasie pilotów, drugi w lotniczych testach, prawda?

– To już wszystko poza mną. Teraz robię poważne pieniądze.

– Aha. No cóż, rozmawiałem z Hudkiem. Miałeś rację. Jest dupkiem pierwszej wody.

– Ale też dobrym pilotem. To ciekawe, ale w życiu nie widziałem świętoszka za sterami myśliwca.

– A więc porzucasz dobre życie i łatwy szmal, i będziesz latał dla Rosjan?

– Do diabła, nie. Mówiłem to już wczoraj.

– To mówił twój portfel. Zaczęło się ostre strzelanie. Teraz apeluję do twego patriotyzmu, człowieczeństwa i poczucia odpowiedzialności.

– Mój portfel przesłania tamte sprawy. Zarabiam mnóstwo pieniędzy i bardzo to lubię.

– Kiedy wrócę, zielone będzie kosił inny Charlie Chan. Świat nie stoi w miejscu. Obaj wiemy, że szansę powrotu stamtąd nie są zbyt różowe.

– Szansę nie są takie marne, bo sam się tam wybieram.

– Niech pan nie zalewa, pułkowniku. Jeśli się panu uda to zorganizować, wróci pan z gwiazdkami. Generał Cassidy. Odejdzie pan na generalską emeryturkę. Resztę życia spędzi pan na leżaku ekskluzywnego klubu, tłuściutki i zadowolony. Wyczekując na kolejny czek, będzie pan tokował o dobrych starych czasach ze starymi pierdzielami w żółtych golfowych spodniach i trykotowych koszulkach w kucyki i aligatory. Jeśli uda mi się przeżyć tę małą przygodę, wrócę o dwa lata starszy, o wiele biedniejszy, pod paru atakach dezynterii i z paroma ciekawymi przypadkami w mojej karcie zdrowia. Żeby zarobić dolara będę musiał wynajmować mieszkania narkomanom. Wielkie dzięki, ale nie. Zostanę w starych dobrych Stanach i będę korzystał z koniunktury.

– Jak taki cyniczny i chciwy bydlak mógł zostać pilotem myśliwskim?

– Potrafię zmusić ten samolot do tańca, Cassidy. Spytaj Hudka. Ale to nie było życie. Sprzedawanie nieruchomości to jest życie. Odpowiada mi prowadzenie handlu. – Popatrzył w dół. – Widzisz te buty? Są z cholernego aligatora. Kosztowały pięćset zielonych na trzydziestoprocentowej wyprzedaży.

– Do czego zmierzasz?

– Zmęczyło mnie bycie biedakiem. Ścianę mam wytapetowaną dyplomami, których nikt nie chce oglądać. Dostrzegłem możliwość zarobienia pieniędzy i chcę z niej skorzystać.

– Rząd rosyjski płaci pięć tysięcy za każdy strącony japoński samolot.

– Pięć tysięcy czego? Żetonów do kawy? Juanów, jenów, pesos czy rubli? Człowieku, to tańsze od rolki papieru.

– Amerykańskich dolarów.

– Łatwy zarobek. Wstanę rano i zdmuchnę dwóch złych facetów przed śniadaniem. Mówiąc serio, pułkowniku, tyle zarabiam na sprzedaży apartamentu i nie muszę niczym ryzykować.

– Hudek mówił mi, żeby nie brać cię na Syberię. Powiedział, że zginiesz w ciągu tygodnia. Nazwał cię Sosem Fojowym. Mówił, że nie umiesz latać.

– Pieprzone Futrzane Jajo. I proszę mu powiedzieć, że to moje słowa. – Przezwisko Hudka wzięło się z żargonu pilotów myśliwskich, bo trójwymiarowe odwzorowanie walki powietrznej na ekranie komputera czasem przypominało coś z kociego podbrzusza.

Foy wzruszył ramionami.

– Hudek i ja nie byliśmy serdecznymi kumplami, ale wie, że potrafię latać.

Cassidy wręczył mu wizytówkę. Wiecznym piórem dopisał numer telefonu.

– Niech pan spojrzy na moje oceny, pułkowniku. Mój dowódca wie, co potrafię.

Cassidy wetknął mu wizytówkę w kieszonkę koszuli i odwrócił się.

– Jak pan znów spotka Futrzane Jajo – zawołał Foy – to proszę mu powiedzieć, że mogę mu

dokopać na ziemi czy w powietrzu. Niech wybiera.

Cassidy wynajął samochód na lotnisku w Cheyenne. Miał za sobą dwie burze z piorunami i zmierzał ku następnej.

Podjechał do największej stacji benzynowej w mieście.

– Którędy do Cottonwood Creek?

Dom stał na końcu polnej kilkusetmetrowej drogi. Miał dach, cztery ściany i szyby we wszystkich oknach, lecz nie sprawiał wrażenia zbyt przytulnego w czasie zim w Woyoming, kiedy temperatura spadała do dwudziestu stopni poniżej zera, a śnieg zasypywał wszystko po horyzont. Te myśli skojarzyły się Cassidyemu z syberyjską zimą i ciarki przeszły mu po plecach.

Z walącej się niewielkiej stodoły przy domu wyłonił się elegancko ubrany mężczyzna.

– Paul Scheer?

– Tak.

– Bob Cassidy.

Scheer nastroszył się.

– Ktoś dzwonił z Waszyngtonu i uprzedzał o pańskim przyjeździe, ale powiedziałem, że to strata czasu. Czy przekazano to panu?

– Tak.

– Cóż, to pański czas. Mam w lodówce kilka piw.

– Świetnie.

Na ganku siedział pies. Machnął parę razy ogonem i położył się.

– Trafił się razem z ranczo – rzekł Scheer, pokazując na psa.

Cassidy usiadł na jednym z dwóch stojących na ganku krzeseł, podczas gdy gospodarz poszedł po piwo.

Z północnego zachodu dmuchał lekki zefirek. Trawa i krzewy wokół domu były mizerne, niepodobne do bujnych kwiatów i krzewów w Japonii czy w Waszyngtonie, gdzie zimy są łagodniejsze, a lato trwa dwukrotnie dłużej. Cassidy nabrał powietrza. Czuł zapach ziemi.

– Jak wielkie jest to ranczo? – spytał, gdy już wraz z Scheerem popijali piwo z puszek.

– Około trzydziestu tysięcy akrów. Pięć tysięcy to własność notarialna, reszta wydzierżawiona.

– Ile masz krów?

– Trzysta trzydzieści jednostek.

– Brzmi to cholernie wojskowo.

– Całe życie spędziłem w wojsku.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, Paul, porzuciłeś lotnictwo w 1995 roku po dziesięciu latach czynnej służby, z czego ostatni rok przepracowałeś dla Lockheeda – Martina jako oblatywacz F-22, potem zrezygnowałeś i przeprowadziłeś się na to ranczo w samym sercu Wyoming.

– Zgadza się.

– Pozwolisz, że spytam, ile warte jest to rancho?

Scheer uśmiechnął się, odsłaniając idealne zęby. Cassidyemu przemknęło przez głowę, że w oczach niektórych kobiet Scheer mógłby uchodzić za przystojnego.

– Ile jest warte, a ile zapłaciłem, to dwie zupełnie różne sprawy. Dałem za nie dwa miliony dolarów. Kolejne pytanie będzie brzmiało: „Skąd stary Scheer wziął te dwa miliony?" Odpowiedź brzmi: z oszczędności, jestem samotny, żyję sam, bez kosztownych ekscesów. Giełda radziła sobie nieźle przez ostatnie piętnaście lat, a ja razem z nią. Kiedyś zobaczyłem ogłoszenie o sprzedaży tego ranczo i zacząłem się przymierzać. Wie pan, kiedy czytałem to ogłoszenie, pomyślałem sobie, że nadeszła pora. Przyszedł czas podjąć gotówkę i zrobić coś głupiego. Nie żałowałem tego ani przez

chwilę.

– Słyszałeś o Syberii?

– Chodzi panu o to, co się dzieje ostatnio? Nie dostaję tu gazet i nie mam telewizora.

– Japończycy najechali Syberię.

Scheer dopił piwo i zgniótł puszkę.

– Świat zwariował – rzekł wreszcie.

– Tak. Szukam pilotów myśliwskich. Wysyłamy do Rosji dywizjon F-22, a oni chcą wynająć najlepszych pilotów. Jesteś bardzo polecany.

– Przez kogo?

– Przez szefa oblatywaczy Lockheeda – Martina. Scheer wzruszył ramionami.

– Brakuje mi latania. F-22 to wspaniała maszyna, naprawdę świetna, ale... – Scheer westchnął głęboko. – Tu postanowiłem spędzić resztę życia.

Cassidy zerknął na zegarek.

– Mam kilka godzin. Może obejrzymy ranczo?

– Dobrze. Weźmy dżipa.

Jechali koleiną z wielkimi błotnistymi dziurami, które omal nie pochłaniały dżipa.

– Muszę zrobić coś z tą drogą – mruknął Scheer.

– Jaka była poprzednia zima?

– Długa i mroźna.

Dla podtrzymania konwersacji Cassidy pytał o hodowlę bydła, pogodę.

– Czy naprawdę uważasz, że to twoje miejsce? – spytał wreszcie.

Scheer zwlekał z odpowiedzią.

– Jestem dopiero trzecim białym właścicielem tej ziemi – rzekł w końcu. – Poprzednim był doradca od nieruchomości. Żona rozwiodła się z nim, kiedy dzieci dorosły i skończyły studia. Wytrzymał tu cztery lata. On z kolei kupił to miejsce od osadnika, który w chwili sprzedaży liczył sobie dziewięćdziesiąt lat. Teraz przebywa w domu starców w Cheyenne.

Scheer pokazał część swoich krów, potem palcem lub skinieniem głowy wskazywał granice swej posiadłości.

– Aż trudno uwierzyć, że żyje jeszcze pierwszy właściciel – dodał po chwili namysłu. – To ciągle młody kraj.

Wreszcie Scheer zatrzymał dżipa na krawędzi niskiej grani.

– Widzisz ten niski szczyt? O tam? Granica mojej posiadłości przebiega u jego podnóża. Stąd do mojego domu jest ponad trzydzieści kilometrów.

– Ależ to ranczo jest wielkie!

– Bo jest. Większa jego część leży wzdłuż tego strumienia, aż po jego źródło. Jest przez niego nawadniane. Reszta należy do rządu. Pięknie, nie?

– Możesz tu wrócić po wojnie.

– Bez żartów, panie Cassidy. Większość ludzi, których pan zwerbuje, zginie.

Cassidy nie odpowiedział.

– Mam zamiar tu żyć i tu umrzeć, budząc się tu co rano.

– Czemu nie jest pan wobec mnie szczery? – spytał Cassidy. – Nie ma pan żony, która się z panem rozwiodła po dwudziestu latach. Nikt nie wyrzucił pana z roboty, nie ukrywa się pan przed prawem. Nie jest pan pustelnikiem, alkoholikiem ani ćpunem. Czemu więc zakopał się pan w krowim raju, w środku pustkowia?

Scheer popatrzył na Cassidyego. Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu.

– Jest pan pierwszy, który o to pyta – stwierdził. – Oczywiście, pytali mnie o to, ale nie w ten sposób.

Cassidy też wysiadł i przeciągnął się.

– Mam pozytywny odczyn HIV – powiedział Scheer. – Śmiertelny zastrzyk doodbytniczy. To trwa od lat. Żyję dłużej, niż przypuszczałem.

– I co z tego?

– To wyrok śmierci.

– Człowieku, życie to wyrok śmierci.

– Wszyscy umrzemy wcześniej czy później. Tyle że ja wcześniej.

– Ta gadka, że „mój czas nadszedł" to dla miejscowych, co?

– Przyjemniaczek z pana, co pułkowniku?

– Jedź ze mną do Rosji. Będziemy się bić jak cholera. Jak przeżyjesz, wrócisz tu, żeby poczekać na kostuchę, popatrzeć jak krowy żują trawę, posłuchać wiatru, pomyśleć o czymś wzniosłym, gdy temperatura spadnie poniżej dwudziestu stopni.

– Jest pan pułkownikiem, prawda?

– Prawda.

– Nie zaraziłem się AIDS przez korzystanie z toalety, pułkowniku.

– Czy miałeś jakieś kłopoty w wojsku lub u Lockheeda?

– Nie.

– Więc umiałeś rozdzielić życie uczuciowe od zawodowego. Oby tak dalej.

– Weźmie mnie pan do Rosji?

– Oczywiście.

– Jest pan pierwszym mundurowym, któremu powiedziałem o moich skłonnościach seksualnych.

– Na twoim miejscu nie opowiadałbym o tym nikomu więcej.

– Nadal chce mnie pan zabrać?

– Jesteś zdrowy, prawda?

– Żadnych objawów.

– Chyba nie będziemy robili badań. Musisz jedynie dobrać kombinezon przeciwprzeciążeniowy, jeśli już nie ma tego, którego używałeś u Lockheeda. Załatwimy wszystkie formalności. Nie chcemy dostać dyfterytu, cholery, czy innego paskudnego choróbska.

– Już mam własne.

– Odwieź mnie do samochodu.

Wsiedli do dżipa, Scheer uruchomił silnik.

– Tu masz wizytówkę z moim numerem telefonu. Znasz ten samolot na wylot. Potrzebuję cię, Scheer, inaczej bym tu nie przyjeżdżał. Przemyśl to i zadzwoń.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Scheer nie jechał szybciej niż w tamtą stronę, ale też nie zwalniał na wybojach. Cassidy oburącz trzymał się fotela.

Zatrzymali się na podjeździe pod domem.

– Jadę – powiedział Scheer, wyłączywszy silnik. – Jednak kilka dni zajmie mi znalezienie kogoś, kto zajmie się bydłem pod moją nieobecność.

– Dobrze.

– Lockheed nadal powinien mieć mój przeciwprzeciążeniowy kombinezon. Nie przytyłem, więc pewnie będzie pasował.

– Zadzwonię do nich.

– Spodziewam się, że ta rozmowa pozostanie między nami – rzekł Paul Scheer.

– Ja mam również taką nadzieję – odparł Cassidy, podając mu rękę.

– A swoją drogą, czy rosyjskie lotnictwo nam zapłaci?

– Dokładnie nie wiem. Waszyngton wciąż ustala szczegóły.

– Mam nadzieję, że te pieniądze pokryją koszty wynajęcia człowieka, który zaopiekuje się tym miejscem.

– Jeśli strącisz Zero lub dwa... Pewnie zapłacą premię za każdy zestrzelony samolot.

– Czyj to pomysł?

– Zapewniam cię, że nie mój. Niektórzy eksperci od Rosji w Departamencie Stanu sugerowali premię za każde potwierdzone zwycięstwo. Uważają, że poważne podejście do sprawy zrobi na Rosjanach dobre wrażenie.

– Poważne podejście?

– Powaga bardzo liczy się w Rosji. Oni nie zaadoptowali kapitalizmu, połknęli go wręcz.

Bob Cassidy wsiadł do wynajętego auta i ruszył w stronę utwardzonej drogi. Przed maską przebiegł mu jeleń. Sprawdził, czy ma zapięty pas.

Cassidy czekał przed budynkiem. Słońce grzało mu twarz, chłodziła bryza znad Pacyfiku. Przysiadł na murku, oparł się o ścianę i zamknął oczy. Gdyby mógł tak na chwilę zapomnieć o problemach, odprężyć, nacieszyć słońcem i wiatrem.

– Pułkownik Cassidy?

Chciał wstać, ale gestem dłoni pokazała, żeby siedział dalej. Stojąca przed nim kobieta była średniego wzrostu. Jej twarz okalały krótko obcięte kasztanowe włosy. Patrząc na niego przekrzywiła głowę i uniosła lekko brwi. Pomyślał sobie, że na swój sposób była urocza.

– Daphne Elitch?

– Dixie! Nawet matka mówi na mnie Dixie.

– Siadaj, Dixie. Miło cię poznać.

– Co sprowadza pana w te strony, pułkowniku?

– Werbunek – rozpoczął swoje przemówienie Cassidy.

Dixie Elitch słuchała grzecznie, nie przerywając. Bryza igrała z jej włosami. Jej oczy omiatały dziedziniec, niebo, trawę i pułkownika. Jej inteligentny wzrok pracował bez przerwy.

W Akademii Sił Powietrznych Dixie biegała na średnich dystansach i niemal zakwalifikowała się do drużyny olimpijskiej. Szkołę ukończyła z drugą lokatą w dziedzinie inżynierii kosmicznej i otrzymała skierowanie do Cal Tech, gdzie powinna zrobić doktorat. Zamiast tego poszła do szkoły lotniczej, kończąc ją z pierwszą lokatą. Na F-22, dzięki wstawiennictwu szefa sztabu, latała nawet mimo częściowego zawieszenia programu.

Kiedy Cassidy skończył, nie odezwała się ani słowem. Po chwili zapytał, czy ma jakieś pytania.

– Nie, po prostu usiłuję to sobie wyobrazić. F-22 to dobry samolot, ale koszmarem będzie załatwienie części zamiennych, uzbrojenia i paliwa. Wszystko stanie się problemem: wywiad, wczesne ostrzeganie, lokalizacja bazy – wszystko. Jak chcecie poradzić sobie z trudnościami? Jeśli nieprzyjaciel zastanie was na ziemi, rozwali wam samoloty na kawałki.

– Pracujemy nad tym.

Dixie przyjrzała mu się swym niespokojnym wzrokiem.

– Nie odpowiada pan, bo nie zna pan odpowiedzi, czy też nie chce zaprzątać mojej ślicznej małej główki męskimi zagadnieniami. Więc jak to jest?

– Nie znam wszystkich odpowiedzi.

– Ma pan władczy wygląd. Po co chce mnie pan zwerbować?

– Chcę, żebyś latała z nami.

– Nawet nie zapewnił mnie pan, że zamierza latać.

– Rozwiązuję problemy, kiedy się pojawiają lub muszę z nimi żyć. To wszystko, co mogę zrobić.

– Skończyłam już z „Tak jest, sir!". Jeszcze dwa tygodnie nauki i zostanę doradcą giełdowym.

– Rozumiem.

– Będę spotykać się z wyrachowanymi ludźmi, którym muszę wyjaśnić, jak najlepiej ulokować ich kapitały.

– Aha.

– Jak mogą dorobić się na giełdzie.

– To brzmi podniecająco.

– I czemu muszą zapłacić prowizję mojej firmie.

– Rozumiem.

– Mimo że nie mam pieniędzy i nie mogę skorzystać z własnych, najgłupszych nawet porad – roześmiała się miłym, dźwięcznym kobiecym śmiechem.

Bob Cassidy poczuł ogarniające go ciepło. Przygryzł wargę. Nie spodziewał się takich odczuć. To czysto zawodowy związek, powiedział sobie i odwrócił wzrok od Dixie Elitch.

– Giełda zniżkuje. Dow Jones spadł do osiemnastu tysięcy pięciuset punktów, o osiemnaście procent od ubiegłego tygodnia.

– Wygląda jak idealna okazja do sprzedaży akcji.

– Więc się nie martwisz?

– Pułkowniku, właśnie podarowano nam największą okazję kupna w tym stuleciu dzięki uprzejmości rządu japońskiego. Wielu ludzi bardzo się wzbogaci. Mam nadzieję zostać jedną z nich.

– Rozumiem.

Dixie wzruszyła ramionami.

– Będę siedziała kamieniem ze słuchawkami na głowie i namawiała miejscową plutokrację do kupowania akcji domu starców. W tym czasie pan wraz z kolegami będziecie strzelać do biednych, niewinnych japońskich chłopców w ich lśniących maszynach, zmiatając ich z nieba.

– Coś w tym guście – zgodził się Cassidy.

Dał jej wizytówkę z numerami telefonów.

Dixie złapała się za głowę.

– Czemu mogłabym przez chwilę pomyśleć, że to zrobię? Nie umiałabym sprzedać zimnego piwa człowiekowi jadącemu do piekła. Powinnam dać się zbadać psychiatrze. – Przetarła twarz i spojrzała na zegarek.

– Niech pan wygra za nas wojnę, pułkowniku. Przyznaję, że lubię pieniądze. Wstała i podała mu rękę.

– Przydałabyś się nam w jednej z kabin – powiedział Cassidy.

– Mam tu zobowiązania.

– Nie jesteś doradcą giełdowym, tylko pilotem myśliwskim.

– Byłam – przyznała Dixie Elitch, zanim dołączyła do wracających na zajęcia studentów.

– Syberia! – Clay Lacy wymówił to słowo niby jakieś błogosławieństwo. Wziął głęboki wdech i powtórzył je raz jeszcze.

Bob Cassidy nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Siedzieli w świetlicy akademika w Cal Tech, gdzie Lacy przygotowywał pracę magisterską z inżynierii elektrycznej. Ostrzyżony po wojskowemu, dobrze zbudowany, ubrany czysto i schludnie, wyglądał obco między długowłosymi, niechlujnie ubranymi kolegami. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Cassidy. Każdy nosi się po swojemu. Czyż to nie mantra naszych czasów?

– Rosja.

– Spodziewam się, że czytasz gazety i obserwujesz to całe zamieszanie w telewizji – zaczął rozmowę Cassidy. CNN pół dnia poświęcała inwazji, drugie pół spadkowi notowań na giełdzie, gdzie Dowjones sięgnął już 17.800 punktów. Nawet w tej chwili sceny z Władywostoku były pokazywane na ekranie telewizora w drugim końcu sali, choć komentarz był niesłyszalny. Potem mapa przedstawiająca japońskie zdobycze. Oglądało to dwóch studentów. Reszta jadła, czytała podręczniki, pary rozmawiały trzymając się za ręce. Jeden chłopak bawił się kieszonkową grą wideo.

– Troszeczkę – odparł Clay Lacy, zerkając w stronę telewizora. – Jestem taki zajęty. Gdyby nastąpił koniec świata, miałbym czas tylko na przejrzenie nagłówków.

– To już nie byłoby takie ważne – przyznał Cassidy. – Jednak wciąż mógłbyś przydać się w Rosji. Na uczelnię wrócisz, jak wszystko się skończy. Za jakiś rok, czy coś koło tego. Polatasz sobie, będziesz miał odmianę i pomożesz Wujowi Samowi.

– Nie zanosiło się na to, żebyśmy mieli wojnę – wyjaśnił Clay Lacy. – Przynajmniej podczas mojej służby. Dlatego odszedłem z wojska. To „Pokój jest naszym celem", to wierutna bzdura.

Cassidy dokończył kawę.

– Czy nie jesteś przypadkiem z CIA? – spytał Lacy.

– Ze starych dobrych Sił Powietrznych USA.

– Nie przyznałbyś się, że jesteś agentem CIA. Powiedziałbyś, że z Sił Powietrznych.

– Musisz mi zaufać, Lacy.

– Bez urazy, sir.

– Nie pytaj mnie o tajne sprawy, to nie będę kłamał. Z każdą chwilą Cassidy miał coraz gorszy humor. Lacy to narwaniec. Może lepiej będzie jechać bez niego.

– F-22 to kawał samolotu – odezwał się po chwili w zamyśleniu Lacy.

– Mówili mi, że nowe Zero też – mruknął Cassidy.

– Jak człowieka ominie taka walka, może żałować przez całe życie.

– Wątpię – parsknął Cassidy. Przypomniał mu się Jiro Kimura. Przygryzł wargi.

– Może zastanawiać się przez całe życie – upierał się Lacy.

– To nie będzie takie proste – zauważył Bob, którego coraz bardziej martwiło to, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

Lacy wyglądał na spiętego. Zbyt spiętego. Teraz Cassidy miał już niemal pewność, że ten facet to świr.

– Latanie było dla mnie czymś w rodzaju religii – powiedział po chwili Lacy. – Dla mnie i dla moich przyjaciół. Wszyscy myśleliśmy tak samo. Nie sądziłem, że odejdę, ale... – Wzruszył ramionami. – Tak się porobiło. Byłem zmęczony pokojową rutyną, dorocznym obcinaniem budżetu przez Kongres. Zmęczony wiecznymi redukcjami i oszczędnościami. To spisek, takie obcinanie budżetu, żeby Ameryka nie była w stanie obronić się sama. To spisek obcokrajowców przeciwko bezpieczeństwu naszych granic. Zawsze byli przeciwko Ameryce.

Cassidy nic nie powiedział.

– Oczywiście – ciągnął Lacy – nigdy nie brałem udziału w walce. Nie mogę uczciwie powiedzieć, jakbym sobie poradził, bo nie wiem. Myślę, że wszystko będzie dobrze, że nie zsikam się w gacie. Nie zapomnę uruchomić sprzętu ani uzbroić działka. Poradzę sobie z tym, do czego byłem szkolony.

– Hmm – odrzekł Cassidy.

– Zawsze myślałem, że zabiję kogoś, jeśli będę musiał, jeśli nie będzie wyjścia. Wtedy zrobię,

co należy. Ale jechać na Syberię, żeby walczyć z japońskimi pilotami... to wszystko jest trochę nierealne. Siedząc tu odczuwam wątpliwości. To jest poplątane. Nie wiem, czy mógłbym kogoś zabić, pułkowniku.

– No cóż, Clay, skoro masz plątaninę wątpliwości...

– Myślę, że mógłbym, rozumie pan? Jednak nie wiem na pewno.

– Aha.

– Nikt nie wie, dopóki przez to nie przejdzie.

– Nie każdy jest stworzony do...

– Może dlatego jestem tu, a nie w mundurze – zasępił się Lacy. Nieufnie spojrzał na Cassidyego, jakby nagle uprzytomnił sobie, że rozmawia z pułkownikiem. – Prawdopodobnie nie powinienem mówić takich rzeczy – dodał pośpiesznie.

– Świat, w którym żyjemy, jest skomplikowany i...

– Zastanowię się nad tym, sir. Dam panu znać. Jaki ma pan numer telefonu? Cassidy zawahał się przez chwilę, zanim wręczył mu wizytówkę.

– Nie podejmuj pochopnych decyzji – powiedział.

– W nocy okropnie brakuje mi latania. Kiedy zamykam oczy, czuję jak mknę przez powietrze.

– Przemyśl to starannie.

– Może...

– Japończycy są cholernie dobrzy. Piloci Zero będą strzelać rakietami i zrobi się gorąco. Jak sobie nie poradzisz, to cię usmażą. Nawet jak dasz sobie radę, też mogą cię dostać.

– Ja...

– Upewnij się, zanim powiesz mi, że chcesz jechać. Wolałbym nie mieć na rękach twojej krwi. I bez tego mam dość ciężkie życie.

– Przemyślę wszystko i zadzwonię do pana, sir – obiecał Clay Lacy.

Kiedy Lacy wrócił do sali wykładowej, Cassidy postawił ptaszka przy jego nazwisku na liście. Oczywiście, to wariat, ale jeśli potrafi pilotować samolot i naciskać spust, nada się.

Rozdział 9

– Komandir, Swieczin znów się nażłopał soku z torpedy.

– Ktoś jeszcze?

– Trzech czy czterech też pociągało, bo Swieczin ich zachęcił. Paweł Saratow popatrzył w oczy szefowi okrętu, starszemu miczmanowi, który odwrócił wzrok.

– Od pięciu miesięcy nie dostali żołdu.

– Wiem.

– Pytają, co tu robimy.

– Jest wojna. Bronimy Matuszki Rassiji.

– Ha! Nie ma pieniędzy. Nie ma jedzenia. Nie ma ubrań. Prąd jest przez pół dnia. Brakuje lekarstw, wódki i tytoniu. Politycy to złodzieje, dzieci chorują, ludzie umierają z powodu skażeń przemysłowych.

Saratow ze zdenerwowania najpierw potarł twarz, a potem podrapał się w głowę.

– Nie mamy kraju – ciągnął szef. – Tak mówią ludzie. Zostawiliśmy rodziny głodujące w ciemności i wyszliśmy w morze. Jeśli Japończycy chcą mieć Syberię, to niech ją biorą. Pod ich panowaniem wiodłoby się nam lepiej. Podobno jedzą regularnie.

– Tak mówią ludzie?

– Tak.

– Czy to też twoje zdanie?

– Tak mówią ludzie.

– A ty co myślisz? Odpowiadaj. Grdyka szefa podskoczyła gwałtownie.

– Ludzie sądzą, że przepadliśmy. Nie mamy szans. P-3 znów nas znajdą. Powinniśmy się poddać, póki jeszcze żyjemy.

– A ty?

– Jestem Rosjaninem.

Saratow nic nie powiedział.

– Moglibyśmy popłynąć na Hawaje – spróbował nieśmiało szef. Po chwili milczenia dodał: – Albo na Aleuty. Poprosilibyśmy Amerykanów o azyl. Chciałbym być Amerykaninem.

Saratow bawił się leżącą na biurku mapą. Na skraju biurka leżały depesze. Japończycy zdobyli Nikołajewsk, Pietropawłowsk i Korsakow. Zrzucili spadochroniarzy na Sachalin, gdzie według Kremla rosyjskie wojska stawiły zacięty opór. Zaatakowali również Magadan i Gawan, ale Kreml nic nie wspominał o oporze. Grupy szturmowe, liczące około dziesięciu ludzi każda, zajęły cztery rezerwowe bazy zaopatrzeniowe okrętów podwodnych na północnym wybrzeżu Morza Ochockiego i Wysp Kurylskich.

Saratow wiedział, że te ostatnie podboje były dziecinnie łatwe. Od końca stulecia bazy zaopatrzeniowe nie miały ochrony wojskowej.

Oficer nazwiskiem Bogorow, który dekodował te informacje, zdradził ich treść dwóm przyjaciołom. Ci podali wieść dalej i teraz każdy członek załogi znał wydarzenia na bieżąco.

– Przyprowadzić Swieczina do centrali za piętnaście minut.

– Rozkaz.

Ograniczona przestrzeń kabiny dowódcy mieściła jedynie koję, biurko z podnoszonym blatem i krzesło.

Ci ludzie byli tchórzami, gotowymi poddać się bez jednego strzału.

Każdy członek załogi dorastał w czasach komunistycznej propagandy, tych wszystkich bredni o

Radzieckim Człowieku, nie kończących się zapewnień, że partia wie lepiej, że każdy powinien otrzymać według potrzeb. Teraz to wszystko skończyło się raz na zawsze. W czasach, gdy podstawowe potrzeby były coraz gorzej zaspokajane, korupcja stała się nagminna i wzrosła przestępczość. Przerdzewiałe ramy ładu społecznego zadrżały pod wpływem podmuchu świeżego wiatru, potem powoli rozpadły się. Związek Radziecki runął, pozostawiając głodujące republiki bez środków do przetrwania. W siedemnaście lat później największą z republik, Rosją, rządziła banda kryminalistów i ignorantów, zainteresowanych przede wszystkim na – pchaniem własnych kieszeni.

Ludzie pozostali na okręcie tylko dlatego, że w marynarce mieli większe szansę na normalne jedzenie niż w cywilu. Coraz mniejsze zresztą. Ubiegłej zimy całymi tygodniami wszyscy w pietropawłowskiej bazie marynarki żywili się wyłącznie burakami. Nie mieli nawet chleba. Przez cztery i pół tygodnia trzy razy dziennie jedli buraki. Tymczasem staruszki i porzucone dzieci głodowały na ulicach. Szeptano o przypadkach kanibalizmu, ale nikt nie był w stanie potwierdzić tych plotek.

Reszta świata szła w kierunku dobrobytu i szczęścia, pomyślał z goryczą Saratow. Nawet chińscy chłopi jedli lepiej, niż biedni Rosjanie. A Japończycy są bardzo bogaci, o Amerykanach nie wspominając.

Dlatego Paweł Saratow spuścił alkohol z torpedy i sprzedał go na czarnym rynku, żeby mieć za co kupić załodze żywność na ten rejs! Oczywiście, torpedy nie powinny zawierać alkoholu. Ich pierwotny napęd stanowiła szatańska mieszanka chemikaliów, pozwalająca na rozwinięcie prędkości powyżej 55 węzłów, lecz po latach składowania zwietrzała i nie nadawała się do niczego. Zbrojeniowcy, nie mając nic lepszego pod ręką, zastąpili ją alkoholem.

Może powinien skierować okręt do amerykańskiego portu? Mieli aż nadto ropy, żeby dotrzeć do Adaku na Aleutach. P-3 prawdopodobnie patrolowały wody w okolicach Władywostoku i Nikołajewska, chroniąc japońskie konwoje na morzu Japońskim. Droga na wschód pozostawała otwarta.

Przetarł twarz dłońmi, usiłując się skupić.

To były bezwartościowe myśli. Haniebne.

Jest rosyjskim oficerem. Rosyjscy oficerowie dowodzili swymi ludźmi dzielnie i bohatersko przez setki lat. Setki.

Chwała. Co za bzdura!

Przez siedemdziesiąt lat czerwona oligarchia rządziła Rosją. Masowe mordy, głód, więzienie, tortury i terror stanowiły powszednie środki służące do sprawowania władzy i eliminowania oporu. A Rosjanie pozwalali na to.

Rosjanie wysysali poczucie winy z mlekiem matki.

Byli bici. Przytłoczeni przez życie. Przytłoczeni własną głupotą i inercją.

Jego ludzie byli typowi. Większość po prostu łaknęła alkoholu – wódki, paliwa z torpedy czy sfermentowanych owoców, jakiegokolwiek alkoholu. Wystarczy dać im alkohol, by zawładnąć ich duszami i ciałami.

Jesteśmy zwierzętami.

Skąd biorą się takie myśli?

Nikt nie zrobił nic dobrego dla tego małego okrętu podwodnego i znajdujących się na nim pięćdziesięciu ludzi. Pięćdziesięciu, zamiast regulaminowych sześćdziesięciu pięciu. Na pewno nie naczalstwo w Moskwie. Te skórki od parówek wysłały jego okręt, żeby wysadzić wrak od dziesięciu lat blokujący kanał, ale nikt nie spytał, czy dowódca ma żarcie dla załogi. Albo ropę, mapy, wyszkolonych ludzi. Po prostu z góry przeszedł rozkaz: wykonać, bo znajdziemy innego, kto to zrobi.

Spojrzał na prawosławną książkę do nabożeństwa, wetkniętą w zagłębienie wręgi przy łóżku. Tę starą książkę dała mu przed laty matka. Komuniści nie pozwalali na praktyki religijne w wojsku. Kiedy marynarka pozbyła się oficerów politycznych, Saratow zaczął coniedzielne głośne czytanie mszy – czy to w morzu czy w porcie. Nie pytał nikogo o zezwolenie, po prostu zaczął czytać i już. Początkowo niektórzy sarkali. Wkrótce przestali. Alkohol dostawali tylko od czasu do czasu, jedli coraz gorzej, cóż więc szkodziła modlitwa?

Słyszał głos szefa pokładu, dobiegający z odległej o sześć kroków centrali. Bogorow rozmawiał z pierwszym oficerem, potem ze Swieczinem, który głośnym, ordynarnym zachowaniem zdradzał, że wciąż jest pijany.

Saratow otworzył wmontowany w biurko sejf i wyjął pistolet Tokariewa. Magazynek był pełny. Włożył go w rękojeść i wprowadził nabój do komory. Potem ostrożnie opuścił kurek. Pistolet nie miał bezpiecznika. Włożył broń do kieszeni.

Zabrał też modlitewnik.

Wszyscy w zatłoczonej centrali umilkli, gdy wszedł. Każdy centymetr przestrzeni wypełniali ludzie. Mimo przyzwyczajenia, odór niemytych ciał zaparł mu na chwilę dech w piersiach. Cisnął modlitewnik na stół nawigacyjny.

Swieczin był pijany, nie stał na baczność. Spoglądał wyzywająco na kapitana.

Okręt pozostawał w zanurzeniu. Czując na sobie spojrzenia zebranych, Saratow zmusił się do zerknięcia na wskaźniki. Głębokość trzydzieści metrów, prędkość trzy węzły, kierunek południowy wschód.

– Znów piłeś, Swieczin?

– Nie myślałem...

– Stań na baczność, jak do mnie mówisz! – ryknął Saratow. – Wy również!

Wszyscy wyprężyli się.

Nawet Swieczin stanął trochę bardziej prosto.

– Ja...

– Alkohol z torped!

Swieczin spuścił wzrok.

– Rosja jest w stanie wojny. Naszą bronią są torpedy. Swieczin, jesteś winien sabotażu. Podczas wojny sabotaż karany jest śmiercią.

Swieczin zbladł. Grdyka szefa zaczęła rytmicznie podskakiwać.

– Porucznik Bogorow omawia z załogą tajne depesze, jakby to były artykuły z gazety.

Bogorow pochodził z Moskwy i uważał, że daje mu to specjalne względy. Większość jego kolegów wywodziła się z prowincji, z małych, rozrzuconych po całej Rosji wiosek. Wstąpili do marynarki, by się stamtąd wyrwać.

– Komandir, ja... – odezwał się Bogorow.

– Milcz, skurwysynu. Zajmę się tobą później.

Swieczin zbladł, usta ściągnął w jedną linię.

Saratow słyszał oddechy zebranych, wybijające się ponad odgłosy płynącego okrętu. Dyszeli jak zgrzane konie. Czuł też ich odór, co zdumiało go. Normalnie własny smród neutralizował inne – zapachy.

– Gadacie o poddaniu się albo o ucieczce do naturalnego kraju. Wciąż tylko oddechy.

– Gadacie, gadacie i gadacie. Na tym okręcie nie ma mężczyzn! Boże, ależ nędzne z was kreatury! Pora z tym kończyć. Wyjął z kieszeni pistolet, ścisnął go mocniej i odwiódł kurek.

– Swieczin, czy masz coś do powiedzenia, zanim ukarzę cię za sabotaż, zgodnie z regulaminem

stanu wojennego?

Swieczin wysunął język i oblizał usta. Pot wystąpił mu na czoło. Miał grube wargi i dołki w policzkach.

– Błagam, dowódco, ja nie wiedziałem... Wszyscy jesteśmy zgubieni. Zginiemy. Ja...

Paweł Saratow podniósł pistolet i strzelił Swieczinowi między oczy.

Swieczin osunął się na pokład. Puściły mu zwieracze. Odór odchodów przyprawił Saratowa o mdłości.

Trzymał pistolet uniesiony w górę, tak żeby wszyscy dokładnie widzieli broń i czekał, aż przestanie dzwonić mu w uszach. Poruszał żuchwą na boki.

Zwalczył nagły napór na pęcherz.

– Ciebie też powinienem zastrzelić, Bogorow – wyskrzeczał. Przesunął się, zmuszając Bogorowa, by spojrzał mu w oczy.

– Słyszałeś?

– Tak jest. – Bogorow stał na baczność.

Saratow odwrócił się w stronę kolejnego podwładnego, potem następnego i następnego, patrząc im prosto w oczy.

– Szefie, kurs dwa – trzy – pięć stopni. Godzinę po zachodzie słońca głębokość peryskopowa i wystawić chrapy.

– Rozkaz.

– Włożyć Swieczina do wyrzutni. Pierwszy przeczyta psalm pogrzebowy. Potem go wystrzelić.

– Rozkaz – odparł pierwszy oficer.

Saratow oburącz opuścił kurek, włożył pistolet do kieszeni i wyszedł. Kiedy w piętnaście minut później wciąż siedział za zasłoną na swoim krześle, usłyszał głos Bogorowa.

– Zastrzelił człowieka – szeptał porucznik do szefa – a potem kazał odczytać psalm żałobny. Z tej książki.

– Lepiej się zamknij. – To jeden ze sterników.

– Obaj się zamknijcie! – ryknął szef pokładu.

Słońce jeszcze znajdowało się nad horyzontem, gdy o dziesiątej wieczorem Kaługin otwierał obrady Dumy. Przeszedł przez hol i podążał korytarzem, kłaniając się na prawo i lewo znajomym deputowanym, lecz nie zatrzymywał się, by uścisnąć im ręce.

W ubiegłym tygodniu był bardzo zajęty. Przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny prawie nie spał, lecz nie było tego po nim widać. Kiedy zmierzał w stronę trybuny, wyglądał jak stary lew szykujący się do ostatniej wielkiej bitwy.

W istocie stoczył już bitwę, w dodatku zwycięską. Odkąd uwierzył, że Japonia naprawdę zamierza zaatakować Rosję, szybko przekonał wszystkich polityków, że zostało zagrożone bezpieczeństwo narodowe. To było łatwe. Potem trudniejszy orzech do zgryzienia: Kaługin zażądał, żeby demokratycznie wybrani przedstawiciele przyznali mu dyktatorską władzę, by zmobilizować i ocalić naród.

Rzecz jasna, przez te wszystkie lata dorobił się wielu wrogów. Tych, których uznał za najgroźniejszych, pochował. Siedem kolejnych ciał spoczęło w pośpiesznie wykopanych grobach w lasach wokół Moskwy. Kilkudziesięciu deputowanych, którzy mogli narobić mu kłopotów, zostało umieszczonych na Łubiance. Kaługin kupił sobie poparcie odpowiednich ministrów i przygotował stosowne dekrety. Tego wieczoru, gdy wszedł do Dumy w środku kryzysu, obserwowany przez kamery telewizyjne całego świata, gotów był ogłosić swe zwycięstwo.

Na galerii tłoczył się wraz ze swymi kolegami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Iwan Ilin.

Widział stamtąd tylko czubek łysej głowy prezydenta, gdy Kaługin przeciskał się między pochlebcami.

Kolejny dyktator. Rozwiąże rosyjskie problemy za pomocą brutalnej siły, krwi i niekończących się rozporządzeń i zakazów.

Kaługin zbawca.

Kaługin wszedł po schodkach. Zbliżył się do podium. Burza oklasków.

Owacja na stojąco.

Wreszcie Kaługin poprosił gestem, by audytorium usiadło.

– Dziś wybiła czarna godzina w historii Rosji. Japońskie siły zbrojne na Dalekim Wschodzie zajęły Władywostok, Nikołajewsk, Pietropawłowsk na Kamczatce i wyspę Sachalin... Rosja nie uczyniła nic, by wzbudzić nienawiść złych, chciwych ludzi, którzy zamierzają obedrzeć przyszłe pokolenia Rosjan z ich dziedzictwa. Wasi przywódcy przyszli dziś do mnie, prosząc, żebym połączył władzę prezydenta i Dumy, by ocalić świętą Ruś.

Teraz głos jego zabrzmiał donośniej, głębiej, wypełniając salę echem podobnym do grzmotu podczas letniej burzy w stepie.

– W imieniu narodu rosyjskiego, ja, Aleksander Iwanowicz Kaługin, wzniosę miecz przeciwko naszym wrogom.

Kiedy Bob Cassidy wszedł do holu kwater oficerskich bazy lotniczej McGuire, by się zarejestrować, ujrzał siedzącego w kącie z ponurą miną Claya Lacy'ego.

– Pułkowniku Cassidy, pułkowniku Cassidy – zerwał się Lacy. – Dzwoniłem do Waszyngtonu, tam powiedzieli mi, że jedzie pan do McGuire, ale ci ludzie mówią, że nie ma mnie na liście.

– Aha. – Cassidy wpisał swoje nazwisko na formularzu, który podsunął mu podoficer z recepcji.

– Muszę zobaczyć jakiś dokument – powiedział recepcjonista.

– Czy w mundurze pułkownika wyglądam na nielegalnego imigranta?

– Robię to, co muszę, pułkowniku.

Cassidy sięgnął po portfel, wyjął kartę identyfikacyjną i podał recepcjoniście.

– Nie dzwoniłem po naszej rozmowie – powiedział Lacy – ale chcę z panem jechać. Tam. – Skinął głową na wschód, czy na południe. Najwyraźniej unikał słowa „Rosja". – Dzwoniłem do Waszyngtonu i powiedzieli mi, że będzie pan tu, w McGuire, więc też przyjechałem. Na koszt własny. Kiedy tu dotarłem, sierżant powiedział mi, że nie ma mnie na liście, więc nie dadzą mi pokoju.

– Naprawdę chcesz jechać?

– O tak, sir – odparł Lacy, zerkając na recepcjonistę za kontuarem.

– Będę z tobą szczery, Lacy. Wyglądasz mi na narwańca.

– Czy widział pan dokumenty mojego przebiegu służby? – spytał urażony Lacy.

– Tak, w dalszym ciągu uważam cię za narwańca. Sądzisz, że wystarczy ci ikry?

– Tak, sir. – Lacy zacisnął zęby. Wyglądało na to, że się rozpłacze.

No cóż, chłopcy z biura kadr Sił Powietrznych twierdzili, że Lacy jest cholernie dobrym pilotem. Może ktoś pomylił nazwiska?

Pułkownik wzruszył ramionami. Jeśli Lacy nie będzie miał wystarczająco dużo ikry, żeby sprawdzić się w powietrzu, przeniesie go do obsługi naziemnej lub wręczy karabin i wyznaczy do pilnowania bazy. Na pewno taki przerośnięty nastolatek jak Lacy do czegoś się w końcu nada.

– Gdzie macie listę operacji specjalnej? – spytał sierżanta za kontuarem. Podoficer podał mu podkładkę z klipsem. Cassidy zerknął na wydrukowaną listę, potem dopisał nazwisko Lacy’ego na dole. Oddał podkładkę recepcjoniście.

– W porządku, Lacy. Jesteś na liście.

– Chwileczkę, pułkowniku – zaprotestował sierżant. – Otrzymaliśmy tę listę...

– Dawaj pan spokój Lacy'emu. Natychmiast, bez sprzeciwów, bo wywalę cię z roboty – powiedział spokojnie Cassidy, ledwo rzuciwszy okiem na recepcjonistę, i pozbierał swoje rzeczy.

Sierżant przełknął ślinę, wziął głęboki oddech i odprowadzał wzrokiem Cassidyego, zmierzającego już w stronę windy. Kiedy drzwi kabiny zamknęły się za pułkownikiem, zwrócił się do Lacyego.

– Dowód tożsamości, prawo jazdy, cokolwiek.

Wieczorem zgromadzili się na pierwszym piętrze w sali telewizyjnej budynku gościnnego. Korytarza pilnowało dwóch żandarmów Sił Powietrznych.

– Tych, którzy mnie nie znają, informuję: jestem pułkownik Bob Cassidy. Dla przyjaciół Smakosz lub Szpenio, wy macie zwracać się do mnie per pułkowniku. Nikt się nie uśmiechnął. Cassidy westchnął i zerknął na listę.

– Wyczytani zgłaszają swą obecność. Allen, Cassini...

Zgłosili się wszyscy. Znał połowę z nich. Niektórych zwerbował, innych poznał parę lat temu.

Odłożył listę i nim zaczął, popatrzył po zebranych, sprawdzając, czy wszyscy uważają.

– Dziękuję za zgłoszenie się na ochotnika. Pewnie niedługo tego pożałujecie. Mogę wam tylko przyrzec przygodę. Rano polecimy do Niemiec na pokładzie C-141. Tam zapoznacie się z najnowszą wersją F-22. Po tygodniu, góra dwóch, udajemy się do Rosji. Piloci będą cywilami zatrudnionymi na kontrakty przez rząd rosyjski. Może nawet wcielą nas do rosyjskiej armii; to się okaże. Maszyny zostaną wynajęte Rosjanom przez Siły Powietrzne USA. Chociaż oznakowania amerykańskie zostaną zamalowane, samoloty wciąż pozostają własnością USA i będą obsługiwane przez wyspecjalizowany personel naziemny Sił Powietrznych, który dołączy do nas w Niemczech. Są pytania?

Nie było żadnych.

– Prócz mnie na sali znajduje się tylko jeden pilot, który brał udział w walce. Wkrótce wszyscy staniecie się kombatantami. Na pewno macie jakieś wyobrażenia o tym, jak wygląda walka powietrzna. Nie wiecie jednak, co się czuje, kiedy ktoś usiłuje was zabić za wszelką cenę. Nie wiecie również, jak to jest, kiedy zabija się tego kogoś. To wszystko jeszcze przed wami.

Popatrzył na ich twarze, jeszcze niewinne. Niektórzy wkrótce zginą. To nieuniknione.

– Nie wrócimy wszyscy – rzekł powoli. – Jeśli ktoś chce się wycofać, to jest odpowiedni moment. Podamy sobie ręce, zafundujemy bezpłatny przelot do domu i nie będziemy o nic pytać.

Nikt nie odezwał się słowem. Nawet nie popatrzyli na siebie, tylko wzrok mieli nieobecny.

– Dobrze – rzekł Cassidy. – Wdepnęliśmy w to razem. Od tej chwili podlegacie moim zasadom. Żadnemu tam regulaminowi Sił Powietrznych, tylko moim zasadom. Sprzeciwicie się im w Niemczech, wracacie do domu. Złamiecie je w Rosji... – zawiesił głos. – Żadnych telefonów, listów, poczty elektronicznej, nikt też nie opuści tego budynku. Z tymi, których jeszcze nie poznałem, porozmawiam najszybciej, jak się da. Chcę, żeby wiedzieli, co jest grane. To wszystko.

Gdy Cassidy ruszył w stronę drzwi, ktoś wydał komendę baczność. Zebrani zerwali się z krzeseł, kiedy Bob podchodził do wyjścia.

– Kapelanie, proszę ze mną – rzucił przez ramię.

Kapelanem był Paul Fain, wysoki mężczyzna o kanciastej twarzy i ogorzałej cerze. Kiedy znaleźli się w pokoju pułkownika, zamknął za sobą drzwi i uśmiechnął się, prezentując garnitur białych zębów.

– Cieszę się, że cię widzę, Bob.

Cassidy uścisnął wyciągniętą rękę.

– Co tu, do kurwy nędzy, robisz, Kapelanie? Nie spodziewałem się ujrzeć twego nazwiska na liście.

– Życie to jedna wielka przygoda. To wyglądało ciekawie, a kiedy przeczytałem, że ty dowodzisz... Jednym słowem, jestem!

– A co na to Isabelle? Co powiedziała, kiedy jej to oznajmiłeś?

– Nie była szczęśliwa, ale zna mnie na wylot.

Fain był jedynym znanym Cassidy'ego wojskowym duchownym, który nie należał do Korpusu Kapelanów. Przed laty służył jako diakon w swym pierwszym kościele, gdy nagle wstąpił do Sił Powietrznych. Gdy Cassidy widział go po raz ostatni, latał w bazie Nellis na F-22. Isabelle była nieszczęśliwa. Myślała, że poślubia pastora, a tu okazało się, że to pilot myśliwski.

Przez parę minut rozmawiali o starych dobrych czasach i Cassidy wyciągnął gościa na zwierzenia o dzieciach i Isabelle.

– Kapelanie – rzekł wreszcie Cassidy – chciałbym, żebyś poważnie zastanowił się nad wyjazdem do Rosji. Reszta – skinął w stronę sali telewizyjnej – to żyjący z dnia na dzień awanturnicy. Nie dbają o życie. Pragną czegoś nowego, podniecającego, gotowi ryzykować życiem. Kilku z nich chce po prostu kogoś zabić. Ty nie jesteś taki, jak oni.

– A ty?

– Posłuchaj mnie, Kapelanie. Staram się być z tobą szczery. Moja żona i syn zginęli wiele lat temu. Jestem sam. Nie mam nikogo ma świecie. Jeśli zestrzelą mnie w Rosji, nikt po mnie nie zapłacze. Nikt. Podobnie jest z tą całą zbieraniną. Jeśli zginą, nie przysporzy mi to bezsennych nocy. Nikomu innemu też nie.

– Czemu uważasz, że jestem od nich inny?

– Jesteś inny – odparł z zakłopotaniem Cassidy. – Znam cię. No i ktoś będzie po tobie płakał – Isabelle i dzieciaki.

Fain nie odpowiedział.

– Będzie mi ciebie brakowało – burknął Cassidy. – Nie chcę brać cię na sumienie. Wracaj do Isabelle.

– Nie. Zgłosiłem się na ochotnika. Ktoś musi ryzykować swój cenny kark w walce, bo inaczej te bezczelne skurwysyny będą zawsze chciały postawić na swoim. Jeśli Bóg ma mnie wezwać, to mnie wezwie. To się zawsze może zdarzyć i Isabelle musi się z tym pogodzić. Ufa mi i ufa Bogu.

Cassidy podszedł do okna i popatrzył na letni zmierzch. Nadciągały chmury. Wkrótce zacznie padać.

– Chyba nie ma we mnie wiary – mruknął. – Przynajmniej nie tego typu. Bezczelne skurwysyny na ogół wydają się być zwycięzcami. – Zirytowała go ta dyskusja. „Kapelan" Fain powinien zostać w domu. – Ludzie żyją, potem umierają. Świat tak został urządzony. Nie chcę tracić kolejnych przyjaciół. Już straciłem wystarczająco dużo osób, na których mi zależało.

– Mam wystarczająco dużo wiary za nas obu, pułkowniku.

Cassidy nie wiedział, co odpowiedzieć.

– No dobrze, poddaję się, Kapelanie. Chcesz brać w tym udział, to proszę, tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem. Może poprosimy Dicka Guelicha?

– Dziękuję, Bob.

– Jesteś moim oficerem administracyjnym. Czeka nas długa noc papierkowej roboty, więc załatw trochę ołówków, papieru i piwa z lodówki, i przynieś tu.

– Nie ma sprawy.

Lee Foy zastał Aarona Hudka w świetlicy przy holograficznej grze wideo.

– Cześć, Futrzane Jajo.

Hudek nie odwrócił się. Nadal miotał kule energii w kosmiczne pojazdy obcych, które szykowały się do frontalnego ataku.

– Sos Fojowy. Co tu robisz?

– To samo, co ty.

Hudkowi skończyły się kule energii.

– Nie mogłeś się oprzeć pokusie zabawy z tymi japońskimi myśliwcami, co? – powiedział, wsypując więcej drobnych do maszyny. – Chcesz puknąć kilka. Jeśli oni nie dostaną cię pierwsi.

– Wspaniale będzie mieć cię podczas tej wyprawy.

– Pieprz się, Sos.

– Droga może być wyboista, ale na szczęście będziemy mieli światowej klasy dyplomatę, który oczaruje miejscowych.

Hudek obiema rękami sterował konsoletą, poklepując ją, masując, pieszcząc z pomrukiem zadowolenia. Przeciwnicy rozsypywali się w oka mgnieniu w gradzie pocisków.

– Wciąż dzielisz z maszyną magiczny dotyk, co Futrzane Jajo? – zachichotał Foy.

– Zakładasz się? Tysiąc dla tego, który pierwszy zestrzeli Zero. – Hudek nie spuszczał oczu ze zbliżających się obcych. Foy poczekał chwilę z odpowiedzią.

– Ciężko będzie zainkasować forsę od nieboszczyka. Kiedy wygram, ty będziesz pewnie w lepszym, czystym świecie.

– Boże, koleżeństwo! Męskie rytuały! – wykrzykiwał podekscytowany Hudek. – Byłem głupi sądząc, że zdołam bez tego wytrzymać.

Hudek rozwalił następne kilka setek obcych, potem gra nagle urwała się, wyświetlając kilka punktów bezpłatnej kontynuacji. Aaron przestudiował wynik.

– Cholera. – Rozejrzał się i poszperał w kieszeniach, szukając kolejnych ćwierćdolarówek. – Jeszcze tu jesteś? Znikaj z mojej przestrzeni, Sos. Nie mam czasu na zmienianie ci pieluszek.

– Jesteś moim zastępcą – poinformował Dicka Guelicha Cassidy. – Ty obejmujesz operacje – zwrócił się do Joe Malana. – Wylądujemy w Niemczech w bazie Rhein-Main. Dywizjon F-22 przetransportuje tam swoje maszyny i poprosimy mechaników o zgłoszenie się na ochotnika do ich obsługi. Dla utrzymania samolotów w stanie gotowości, przynajmniej przez jakiś czas, powinniśmy mieć wystarczająco dużo ludzi z obsługi.

Guelich skinął głową.

– Kolejnym problemem są szkolenia. Zażądałem przynajmniej tygodnia przed odlotem do Rosji. Możemy dostać więcej czasu, ale nie liczyłbym na to.

– Jeden tydzień? – zapytał Malan. – To mniej niż nic. Nie mamy czasu na szkolenie, przystąpimy do walki z dotychczasowymi umiejętnościami. Jedyne, co możemy zrobić, to nauczyć ich myśleć o walce i otrząsnąć z pokojowych nawyków.

– Tydzień to za mało – zgodził się Guelich. – Dwa, trzy miesiące, ale tydzień?

– Mamy siedem dni.

– Musi wystarczyć – powiedział z westchnieniem Joe Malan. – Zakładam, że każdy trenował już walkę. Jeśli wsadzi się ich do stymulatora, skoncentruje na systemach, odświeży taktykę, wyjaśni, czego mogą spodziewać się nad Syberią, będą gotowi na siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt procent. Pierwsze napotkane Zero dopełni reszty.

– To twoje zadanie, Joe.

– Muszę przyzwyczaić się do tego samolotu – zaprotestował Malan. – Nie latałem na F-22.

– Bułka z masłem – zapewnił go Guelich. – Najpierw wsadzimy cię do magicznej szkatułki. To łatwiejsze niż F-16 albo F-18. Bardzo prosty samolot. Szybko poznasz wszystkie systemy.

– Chciałbym wiedzieć – spytał Joe Malan – czy będziemy zajmować się całą tą papierkową robotą? Dywizjony Sił Powietrznych mają cały zespół urzędników, a my nie.

– Jaką robotą papierkową?

– Standaryzacja programów, oceny, dane, program bezpieczeństwa, wykłady, inspekcje, zapisy treningów, zapobieganie ekscesom seksualnym, doradztwo, wywiad i tak dalej.

– Kto twierdzi, że mamy zajmować się tym wszystkim?

Malan wziął ze stosu czekających na przeczytanie dokumentów pismo od szefa sztabu Sił Powietrznych.

– Proszę bardzo. Czarno na białym – zaczął czytać.

Bob Cassidy wyjął mu dokument z ręki i podarł na strzępki. Wrzucił je do kosza.

– Są pytania?

Pozostali roześmiali się.

W godzinę później zakończyli sporządzanie planu. Cassidy poczuł ulgę. Zarówno Guelich, jak Malan byli zawodowcami. Guelich w pierwszej chwili uważał, że zadanie jest niemożliwe do wykonania, ale kiedy powiedział mu, że i tak to zrobią, przestał się wahać. Malan od razu zaczął zastanawiać się, jak to zrobić.

W końcu Cassidy zwolnił ich i sam mógł się trochę przespać. Był wykończony. Kiedy drzwi się zamknęły, padł w ubraniu na łóżko.

Rozdział 10

Podczas kolejnego etapu umacniania władzy Aleksander Kaługin zainteresował się szefem sztabu armii, marszałkiem Iwanem Samsonowem. Ci dwaj mężczyźni stanowili swoje absolutne przeciwieństwo. Kaługin ponad wszystko kochał pieniądze, nie miał najmniejszych skrupułów i nigdy nie mówił prawdy, jeśli kłamstwo mogło mu posłużyć choć przez chwilę. Z kolei Samsonow spędził całe swe dorosłe życie w mundurze i zdawał się być ucieleśnieniem wszelkich wojskowych cnót. Uczciwy, odważny patriota, potrafił, nawet wobec uwikłanej w półprawdy machiny biurokratycznej, wypowiadać się z brutalną szczerością. Iwan Samsonow uważany był przez ogół za rasowego żołnierza.

Rozważywszy to wszystko, Kaługin doszedł do wniosku, że będzie spał spokojniej, jeśli za plecami nie będzie mu stał Samsonow z całą armią. Kazał go cichaczem aresztować, zastrzelić i pogrzebać.

Kiedy Kaługin miał już te nieprzyjemności za sobą, stanął przed następnym problemem: kogo dać na miejsce Samsonowa? Japońska inwazja na Syberię otwierała przed Kaługinem wielkie perspektywy polityczne, ale zdawał sobie sprawę, że nawet dyktator dla zachowania stołka potrzebuje zwycięstwa. Musiał znaleźć żołnierza, który odniesie te zwycięstwa, ocali Rosję i jednocześnie swą pozycję będzie zawdzięczał Kaługinowi. Gdy naród zostanie już ocalony, to w razie konieczności bohater spocznie obok Samsonowa. A tymczasem...

Kaługin udawał, że waha się z wyborem do chwili, gdy japońska armia weszła głębiej na terytorium Syberii. Podjął już jednak decyzję, że człowiekiem, który zastąpi Samsonowa, będzie marszałek Oleg Gładyszew, ale gwałtowny wybuch patriotycznych nastrojów przyćmił nieco rozgrywki polityczne. Od upadku komunizmu w 1991 scena polityczna nieraz była miejscem odzwierciedlającym atmosferę społeczną: złość, zjadliwość, zła polityka, wzajemne blokowanie się

różnych frakcji, co uniemożliwiało w praktyce sprawowanie jakichkolwiek rządów. Politycy sprzeczali się, przybierali różne pozy i szczerzyli na siebie kły, a naród marniał. Aż dotąd. Wreszcie Rosjanie mieli wroga, przeciw któremu mogli się zjednoczyć.

Kaługin uznał, że nadszedł ten moment. Rozkoszował się nim. Został władcą absolutnym Rosji. Nikt nie sprzeciwiłby się jego woli, nawet nikomu by się to nie śniło. Wszyscy byli w niego wpatrzeni. Wierzyli, że zbawi naród.

Niestety, euforia w końcu minie. Prędzej czy później ludzie będą chcieli czynów. Pewnego wieczoru Kaługin wysłał samochód do daczy Gładyszewa na Leninowskich Wzgórzach, by starego żołnierza przywieziono na Kreml.

– Posłałem po was – powiedział emerytowanemu oficerowi, gdy ten przekroczył próg prezydenckiego gabinetu – ponieważ Rosja was potrzebuje.

Gładyszewa eskortowało kilku członków ochrony osobistej Kaługina, opłacanych przez prezydenta i nie podlegających żadnej agencji rządowej.

Ochroniarze wyszli z ociąganiem. Przeszukali byłego żołnierza od stóp do głowy, szukając broni, listów od więźniów, czegokolwiek. Na korytarzu stało mnóstwo uzbrojonych strażników. Byli wierni Kaługinowi, bo bez mała od dwudziestu lat dbał o nich i ich rodziny. Znajdowali się również na dziedzińcu za oknem i na dachach budynków po przeciwległej stronie ulicy. Kaługin wolał nie ryzykować.

Prezydent poczęstował starszego pana herbatą. Gładyszew odszedł na emeryturę, zanim Kaługin wygrał wybory, więc nie mieli okazji ze sobą współpracować, chociaż znali się z przyjęć i oficjalnych uroczystości.

Marszałek był po siedemdziesiątce. Miał krótko przystrzyżone siwe włosy i grube, chłopskie dłonie. Sam również miał solidną, chłopską budowę. Popijając herbatę, rozglądał się bez większego zainteresowania po gabinecie prezydenta.

– Powiedzcie mi szczerze – zaczął Kaługin. – Co musimy zrobić, żeby pokonać Japończyków na Syberii?

– Nie wiem, czy możemy – odparł starszy człowiek, pociągając łyk herbaty. – Od lat nie przeprowadzaliśmy poboru, system logistyczny zawalił się, wstrzymaliśmy produkcję broni... Szczerze mówiąc, panie prezydencie, nie mamy armii. Ani sił lądowych, ani morskich, ani powietrznych.

– Jeśli przez całe lato i jesień będziemy budować armię, to czy nie pokonamy Japończyków, przyduszonych przez syberyjską zimę?

– Nie jestem optymistą. Japończycy to bogaty naród. Mogą zaopatrywać swoje siły drogą powietrzną. To my zostaniemy unieruchomieni przez zimę.

– Dajcie spokój, marszałku – parsknął Kaługin. – Rosjanie są twardzi, gotowi znieść najsurowsze warunki. Zima to nasz atut.

– W dawnych czasach, panie prezydencie, zima była wielkim wojownikiem. Pokonała Francuzów i Niemców. Od tej pory świat się zmienił. Japończykom bliżej do syberyjskich pól roponośnych niż nam. Przez zimę dobrze się przygotują i okopią. Rosja musi się zmobilizować, przestawiając na wojskowe potrzeby cały przemysł, jak to było podczas drugiej wojny światowej. Nawet to może nie wystarczyć.

– Dość! – ryknął Kaługin. – Dosyć tego defetyzmu! Nie chcę tego słuchać. Jestem obrońcą świętej Matuszki Rassiji. Będziemy jej bronić do ostatniej kropli krwi.

Gładyszew zaczął się niespokojnie wiercić na krześle.

– Panie prezydencie, wszystko, co robimy musi opierać się na twardych realiach. Musimy zmagać

się ze światem, jaki jest, a nie z takim, na jakim chcielibyśmy żyć. Gorzka prawda wygląda tak, że armia znajduje się w takim samym stanie, jak reszta Rosji. Trzeba czasu, by to zmienić.

Kaługin rąbnął pięścią w stół.

– Spytajcie Samsonowa – powiedział Gładyszew. – Zasięgnijcie jego opinii.

– A jaka jest wasza rada? – Kaługin wbił knykcie w blat biurka.

– Wynegocjować jak najdogodniejszy układ z Japończykami, zyskując na czasie. Odbudować armię. Kiedy będziemy wystarczająco silni, zepchniemy ich do morza. Kaługin wykonał gest niezadowolenia.

– To wyjście jest niemożliwe ze względów politycznych. Będzie wyglądało na to, że idziemy na kompromis z agresorem. Naród nigdy się z tym nie pogodzi.

– Panie prezydencie, pytał mnie pan o zdanie z militarnego punktu widzenia. Zbudowanie armii wymaga czasu.

– Nic nie da się zrobić do tej pory.

– Możemy wykorzystać małe jednostki, szkodząc japończykom bez większych strat własnych. Z drugiej strony należy upewnić się, że nie rzucimy do walki sił, potrzebnych do odniesienia zwycięstwa w późniejszym terminie.

– Musimy zrobić coś więcej niż podszczypywanie wroga.

Gładyszew poprawił się na krześle, pociągnął herbaty i spojrzał na siedzącego za biurkiem polityka w doskonale skrojonym szarym, włoskim garniturze.

– A co mówi marszałek Samsonow? – spytał wreszcie. – Czemu go tu nie ma?

– Zmarł na zawał dwie noce temu. Tragiczna sprawa. Nie ogłosiliśmy tego jeszcze... Ludzie tak bardzo w niego wierzyli.

– Dobry człowiek, najlepszy – skrzywił się Gładyszew. – No cóż, śmierć przychodzi po każdego. – Wzruszył ramionami. – Kto ma go zastąpić? – spytał po chwili.

– Wy.

Gładyszew był szczerze zdumiony.

– Jestem zbyt stary i zmęczony. Tu potrzeba młodego człowieka pełnego zapału. Musi stworzyć na nowo armię, co nie będzie łatwym zadaniem.

– Obarczam was tą odpowiedzialnością, marszałku – rzekł zwięźle Kaługin. – Kraj was potrzebuje.

– Czy otrzymamy pomoc zagraniczną?

– Pracujemy nad tym.

– A ten układ wojskowy z USA? Czy przyślą swoje wojska? Wyposażenie, paliwo, jedzenie, broń? Bóg wie, że przydałoby się nam wszystko.

– Oferują nam dywizjon samolotów.

– Dywizjon? – zagrzmiał Gładyszew. Poderwał się z krzesła z wigorem, który zdumiał Kaługina. Zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie. – Dywizjon? Obiecali przyjść nam z pomocą, jeśli zniszczymy nasz arsenał jądrowy. Tak też uczyniliśmy. Byliśmy głupcami, wierząc w ich kłamstwa.

Zatrzymał się przed wiszącym nad kominkiem portretem Stalina.

– W końcu niektórzy politycy uwierzyli im.

– A wy nie?

– Czy macie trochę wódki do herbaty?

– Oczywiście. – Kaługin sięgnął do dolnej szuflady po butelkę i wlał porcję wódki do szklanki marszałka. Gładyszew łyknął mieszanki.

– Nie wierzyłem w to ani przez chwilę, panie prezydencie. Amerykanie działają zawsze w

najlepszym interesie Ameryki, podobnie jak my działamy dla dobra Rosji. Składają czcze obietnice, spisane kosztownym atramentem na drogim papierze, a wszystko to jest warte dziesięć rubli w sklepie z ciekawostkami. Dlatego ja też działałem w najlepszym interesie Rosji. Zataiłem dziesięć głowic atomowych i uchroniłem przed zniszczeniem. Kiedy po raz ostatni widziałem Samsonowa, mówił, że wciąż je mamy.

Kaługin nie wierzył własnym uszom.

– Nadal mamy broń atomową?

– Dziesięć głowic termojądrowych.

– Tylko dziesięć?

– Tylko? Musieliśmy nieźle kłamać i oszukiwać, by zachować te dziesięć.

Kaługin usiłował zrozumieć wagę informacji.

– Gdzie są te głowice? – spytał po chwili.

– Na wyspie Trojan, panie prezydencie.

– Nic mi nie wiadomo o tym miejscu.

– Wyspa Trojan jest właściwie stożkowym wulkanem w pobliżu Cieśniny Kurylskiej. Chociaż wysepka jest niewielka, wulkan sięga dwa tysiące metrów nad poziom morza, więc jest stale pokryty chmurami, które zasłaniały przed obiektywami satelitów budowę bazy. Wody wokół są głębokie, przez cały rok wolne od lodu i stamtąd jest łatwe przejście na Pacyfik. Z tych względów utworzyliśmy tam przed dwudziestu laty bazę okrętów podwodnych, do której wejście znajduje się pod wodą. jest podobna do bazy Bolszaja Lica na półwyspie Kola.

– Czy japończycy wiedzą o bazie?

– Byłbym bardzo zdumiony, panie prezydencie. Baza została oficjalnie opuszczona, kiedy złomowaliśmy ostatni strategiczny okręt podwodny. Dlatego tam ukryliśmy głowice.

– Broń atomowa – mruknął Kaługin, mrużąc oczy.

– Użycie broni atomowej wiąże się z dużym, nieobliczalnym wprost ryzykiem – powiedział Gładyszew. – Skutki byłyby nieznane. Zastanawialiśmy się nad tym przed laty, kiedy jeszcze mieliśmy głowic pod dostatkiem.

– Jakie stąd płyną wnioski?

– Możemy jej użyć jedynie w ostateczności, gdy inne środki zawiodą.

Kaługin pogrążył się w rozmyślaniach. Gładyszew usiadł na krześle i dolał sobie wódki do herbaty. Kaługin wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Wypijmy za Rosję, marszałku Gładyszew. Odpowiedziałeś na moje modły i ocalisz nasz kraj.

– Bóg ocali Rosję, panie prezydencie – odparł Gładyszew. – Ocalił ją nawet przed komunistami, choć niezbyt się z tym śpieszył. Módlmy się, żeby jeszcze raz uratował Rosję.

– Jesteście wierzący? – spytał w kilka chwil potem Kaługin.

– Podobnie jak Bóg, wierzę w Rosję.

– Macie nominację. Pobijcie ich, dajcie mi zwycięstwo.

– Posłużę się tym, co mamy – odparł kwaśno Gładyszew – a jest tego niewiele. Jeśli spodziewacie się zaciekłych bitew, które można by pokazać w telewizji, poszukajcie lepiej kogoś innego, kto potrafi przytknięciem palców stworzyć armię z niczego.

Kaługin rozmyślał o broni jądrowej. Kiedy ocknął się z zadumy, usłyszał, jak Gładyszew mówi:

– Polityczne wizerunki nie należą do wojskowych działań.

Kaługin wręczył staremu marszałkowi kopertę.

– Tu jest wasza nominacja na szefa sztabu. Podpisałem przed waszym przybyciem. Idźcie do kwatery głównej i obejmijcie dowodzenie. Zmobilizujecie nasze zaplecze, załatwicie broń, mundury,

jedzenie, paliwo, wszystko. Zróbcie wszystko, co potrzeba. Jeśli konieczny będzie jakiś dekret, przyślijcie mi tylko projekt. Wspólnie ocalimy Rosję.

Gładyszew otworzył kopertę.

– Straszna szkoda, że nie ma z nami Samsonowa – rzekł ciężko stary żołnierz, czytając dokument. – Był najlepszym dowódcą od czasów Georgija Żukowa.

– Szczegóły składam w wasze ręce, marszałku Gładyszew.

– Daję wam takie same rady, jakie dałby Samsonow. Bóg wie, że chciałbym, by tu był.

– Boleśnie odczuwamy jego stratę – powiedział Kaługin, odprowadzając Gładyszewa do drzwi.

Niebo już jaśniało na północnym wschodzie, gdy Jiro Kimura i jego trzej skrzydłowi wspinali się na pułap jedenastu tysięcy metrów w drodze na bombardowanie i ostrzeliwanie celów naziemnych lotniska w Chabarowsku, miasta leżącego w szerokim zakolu rzeki Amur. Chabarowsk, jako kolejowe, drogowe i energetyczne centrum, stanowił klucz strategiczny dla dalekowschodniego rejonu. Dopiero zajęcie Chabarowska pozwoliłoby Japończykom na opanowanie rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Ich wojska znajdowały się siedemdziesiąt kilometrów od miasta, posuwając się drogą i koleją od strony Władywostoku.

Przez dwa poprzednie dni Jiro i jego koledzy z dywizjonu latali jako wsparcie lotnicze nacierających wojsk, bombardując, ostrzeliwując rakietami i z broni pokładowej zgrupowania sił rosyjskich, przygotowujących się do opóźnienia japońskiego szturmu. Dziś dla odmiany generał skierował ich nad Chabarowsk.

Zapowiadał się idealny poranek. Żadnej chmurki. Słońce od północnego wschodu rozświetlało głęboki, czysty błękit nieba i bezkresny zielony krajobraz syberyjskiej tajgi. Z wysokości jedenastu tysięcy metrów, przy niskim, dającym silne kontrasty słońcu, nie można było dostrzec żadnego dzieła ludzkiej myśli technicznej. Gdy słońce podniesie się wyżej, widać będzie jedynie sięgającą po horyzont zieleń przykrytą błękitem nieba.

Jiro odbywał trzy do czterech lotów dziennie. Kiedy zeszłego popołudnia jego maszyna wymagała drobnych napraw, usnął natychmiast na podłodze w pokoju odpraw, kładąc sobie spadochron pod głowę. Wciąż był zmęczony i złakniony snu.

Niektórzy z jego kolegów byli rozczarowani, że Rosjanie nagle wycofali swe samoloty. Jiro zaliczył jedenaście zestrzeleń, do momentu, w którym Rosjanie zniknęli z nieba, oddając Japończykom przewagę w powietrzu. Nadal czuwano na wypadek pojawienia się nieprzyjaciela.

Chociaż Rosjanie na ziemi strzelali jak wściekli do wszystkiego nad głową, rzadko kiedy trafiali. Do tej pory japońskie samoloty trzymały się poza zasięgiem artylerii przeciwlotniczej. Naprowadzane na podczerwień pociski mogłyby stanowić zagrożenie, gdyby lecieli zbyt nisko, więc unikali tego.

Japończycy na tym etapie wojny stracili tylko dwa Zero. Jeden pilot rozbił się i zginął, kiedy podniosła się wieczorna mgła podczas podchodzenia do lądowania we Władywostoku. Drugi stracił z oczu swego skrzydłowego, gdy przytrafiła mu się awaria zasilania i, pochylony w kabinie, usiłował znaleźć przyczynę i uruchomić na nowo alternatory. Stało się to, kiedy wraz ze swoją czwórką lecieli do Nikołajewska u ujścia Amuru. Pechowy pilot nie odnalazł miasta ani bazy. Gdy skończyło się paliwo, samolot roztrzaskał się sto sześćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Nikołajewska. Na szczęście satelita odebrał sygnał z zasilanego baterią urządzenia ratunkowego, które uruchomiło się po katapultowaniu się pilota i następnego dnia uratował go śmigłowiec.

Jiro zredukował ciąg i zaczął obniżać lot w odległości stu dwudziestu kilometrów od Chabarowska. Cztery samoloty rozsypały się w szyk bojowy. Jiro i jego skrzydłowy Sasai wysunęli się w prawo w przód. Ota i Miura zostali z tyłu, z lewej strony.

Cienie na ziemi wciąż były nieprzeniknione. Jiro zerknął na zegarek. Za osiem minut znajdą się nad celem – od strony wchodzącego słońca. Byłoby to wspaniałe posunięcie taktyczne, gdyby słońce wschodziło zgodnie z planem.

Skręcił na wschód, ofiarując Bogu jeszcze ze dwie minuty na zdążenie ze słońcem.

– Dowódca Błękitnych, tu kontrola. – Przekaz radiowy był, rzecz jasna, kodowany, więc na początku i końcu każdego słowa rozlegał się pisk. Jiro wcisnął przycisk mikrofonu i poczekał na sygnał.

– Dowódca Błękitnych.

– Wydaje się nam, że znad waszego celu wystartował samolot. Kieruje się na trzy – zero stopni i nabiera wysokości. Przechwycić.

– Zrozumiałem.

Jiro obejrzał się na Sasai. Pokazał na Otę i poniósł kciuk. Sasai z ożywieniem kiwnął głową, potem odsunął się w tył.

Jiro skręcił w lewo, przyśpieszył i podciągnął maszynę lekko w górę. Ustawił się na kursie 275 stopni, którym powinien dojść przeciwnika. Wówczas wcisnął guziki przy ekranie komputera. Kiedy poczuł się usatysfakcjonowany, uruchomił radar. Jeden impuls.

Samolot był oddalony o 62 kilometry, namiar 278 stopni. Włączył tablicę uzbrojenia. Była ustawiona na działka i rakiety. Jiro uzbroił dwa termolokacyjne pociski Sidewinder, które każde Zero miało po jednym na końcówkach skrzydeł.

Koleiny impuls radarowy. 56 kilometrów.

Nieprzyjacielski samolot przyśpieszał, oddalając się od Jiro, który znajdował się za nim. Zerknął na wskaźniki paliwa i pchnął dźwignie ciągu naprzód. Zero bez wstrząsu przekroczył barierę dźwięku.

Przy maksymalnym ciągu, lecz bez użycia dopalacza, szybko przyśpieszył do 1,3 macha.

Postanowił zaryzykować kolejny impuls radarowy. Czterdzieści trzy kilometry.

Znajdował się na trzech tysiącach metrów, więc zszedł na jego poziom. Chciał, żeby obcy samolot znalazł się nad nim, na ciemnym tle zachodniego nieba. Daleko w dole, z lewej strony, zobaczył cienką, jasną wstążkę. To zapewne Amur, płynący na południowy wschód w stronę Chabarowska. Po drugiej stronie leżała Mandżuria. Za Chabarowskiem rzeka skręcała na północny wschód do Morza Ochockiego. W zimie zawsze było skute lodem.

Znajdował się o dwadzieścia siedem kilometrów od celu, kiedy go wreszcie spostrzegł. Na szarzejącym niebie widniała srebrna plamka, odbijająca promienie wschodzącego słońca.

To duży samolot, pomyślał. Transportowiec.

Dla potwierdzenia sprawdził monitor przeciwdziałania elektronicznego. Żadnych sygnałów.

Nie dowierzając elektronice, Jiro odwrócił się, starannie przepatrując przestrzeń za sobą.

Wszędzie puste niebo.

Bezbronny transportowiec.

Słyszał jak Ota melduje kontroli zaatakowanie podstawowego celu, potem potwierdzenie kontroli.

Jiro szybko zbliżył się do transportowca od ogona. Kiedy dzieliło ich niecałe osiem kilometrów, zredukował ciąg. Odległość między maszynami zmniejszała się nieustannie.

To był czterosilnikowy transportowiec, podobny do starego Boeinga 707. Wciąż piął się w górę. Już doszedł do pięciu tysięcy metrów.

Jiro ustawił maszynę kilkaset metrów z tyłu.

Nie wiedział co robić, więc siedział i patrzył przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę. Tak

naprawdę to nie minęła nawet minuta, ale czas bardzo się Jiro dłużył. Odsunął się lekko w prawo, by obejrzeć bok i ogon oświetlonego wschodzącym słońcem samolotu. Potem wrócił na miejsce.

Wreszcie włączył mikrofon. Kiedy odezwał się po usłyszeniu sygnału, zdumiał go chrapliwy ton własnego głosu.

– Kontrola, tu Dowódca Błękitnych.

– Mów.

– Ten samolot, który miałem wyśledzić, to czterosilnikowy pasażer. Srebrny, mnóstwo okien, oznakowania Aeorofłotu.

– Czekaj.

Cisza przerywana jedynie oddechem Jiro w masce tlenowej i jednostajnym szumem silnika. Poszedł nieco wyżej, usłyszał ryk silników rosyjskiego pasażera. Czuł zawirowania powietrza spowodowane przez wielki samolot.

Opadł troszkę niżej, lot stał się gładszy, a dźwięk silników przycichł.

– Dowódca Błękitnych – odezwała się kontrola. – Zestrzelić obiekt. Jiro spojrzał na samolot pasażerski. Właśnie przekroczył pułap siedmiu tysięcy metrów.

– Dowódca Błękitnych, tu kontrola. Zrozumiałeś? Zestrzelić obiekt. – Kontroler znajdował się w Japonii, pewnie w piwnicy Ministerstwa Obrony i spoglądał na ekrany komputerów. Jego głos brzmiał czysto i donośnie, ponieważ sygnał radiowy był kierowany wprost do retransmitującego przekaz satelity.

Jiro rozejrzał się po kabinie, ogarniając spojrzeniem szereg ekranów i przełączników.

Zdjął maskę tlenową, wytarł twarz z potu i włożył maskę z powrotem.

– Dowódca Błękitnych... Zwlekając niczego nie zyska.

– Dowódca Błękitnych do kontroli.

– Zrozumiałeś, dowódco Błękitnych?

– Zrozumiałem, że chcesz, żebym zestrzelił tego pasażera i wrócił do bazy.

– Zniszcz nierozpoznaną maszynę. Zamelduj o wykonaniu.

– Kontrola, to jest pasażer. Powiedz, że zrozumiałeś, że nierozpoznana maszyna jest liniowym samolotem Aerofłotu.

Cisza. To była poważna niesubordynacja. Wręcz widział zaciśnięte szczęki wyższych oficerów.

Do diabła z tym. Jak im się nie podoba, to mogą zdjąć go z linii i odesłać do Japonii.

– Dowódca Błękitnych, tu kontrola. Zrozumieliśmy, że nierozpoznany samolot ma oznaczenia Aerofłotu. Masz oficjalny rozkaz zniszczenia go. Potwierdź.

– Zrozumiałem.

Zredukował ciąg, puszczając obcy samolot przodem. Dystans zaczął się zwiększać: pięćset, tysiąc, tysiąc pięćset metrów.

Jiro przyciskiem na drążku sterowym wybrał lewego Sidewindera. Podniósł nos w górę, celując wskaźnikiem refleksyjnym wprost w samolot pasażerski. Czujnik Sidewindera zaświergotał – namierzył jeden z wielkich silników.

Jiro wcisnął spust na drążku. Sidewinder wyskoczył z prowadnic i pomknął przed siebie. Prosto jak strzała popędził w kierunku czterosilnikowego samolotu.

Kłąb dymu. Trafienie w lewy wewnętrzny silnik.

Jiro obserwował jak silnik zaczął dymić. Wydawało się, że srebrny samolot leci tyłem w jego stronę, co było jedynie złudzeniem optycznym. Po prostu zaczął zwalniać, a to Jiro go doganiał. Znów zredukował ciąg i otworzył hamulce aerodynamiczne.

– Kurwa – zaklął Jiro po angielsku. – Kurwa! – ryknął po chwili.

Z wściekłością włączył prawego Sidewindera, poczekał na sygnał i odpalił go.

Pocisk trafił w prawy silnik pasażera: kolejny lekki błysk.

Wielka srebrna maszyna już nie wznosiła się. Lewe skrzydło zaczęło pochylać się w dół o dwadzieścia... trzydzieści stopni, nos zaczął opadać. Zaczął zawracać w stronę Chabarowska.

– Spadaj, ty ruski draniu – szepnął Jiro. Otworzył szerzej hamulce i, robiąc zwrot przez lewe skrzydło, zmniejszył dystans. Znajdował się teraz po lewej stronie, w polu widzenia rosyjskich pilotów, pod warunkiem, że spojrzeliby w jego stronę.

Lewy silnik płonął. Nie, to paliło się skrzydło. Odłamki pocisku musiały przebić zbiorniki paliwa w skrzydle.

Srebrny samolot pochylał się teraz na bok pod kątem sześćdziesięciu stopni, nos skierował się w dół pod kątem dziesięciu.

Wtedy Jiro zorientował się, że piloci nie panują nad maszyną.

Być może odłamki lub pożar uszkodziły urządzenie sterownicze. Odsunął się na bok, wyrównał lot i obserwował, jak srebrny samolot korkociągiem opada w poranny mrok.

W dół, w dół... całe kilometry opadania...

Czas jakby stanął w miejscu. Pasażerski samolot robił się coraz mniejszy i mniejszy.

Rosyjski samolot był jedynie małym srebrnym, trudnym do zauważenia punktem, gdy zakończył swój lot w rozbłysku, małym blasku ognia wśród porannych cieni.

Jiro zawrócił maszynę w stronę Władywostoku. Przesunął dźwignię ciągu na maksimum i zaczął nabierać wysokości.

– Kontrola, tu dowódca Błękitnych.

– Dowódco Błękitnych, melduj.

Po wieczornych rozmyślaniach Aleksander Kaługin postanowił przekazać Japonii ultimatum grożące atomową zagładą. Skoro w przeciwieństwie do Japończyków miał bomby, nie widział powodu, by nie włączyć ich do rozgrywki. Nie zamierzał podejmować jakiejkolwiek akcji, a jedynie grozić.

Wezwał ministra spraw zagranicznych, Daniłowa, i zlecił mu sporządzenie szkicu ultimatum. Po dwóch godzinach czytał uważnie dokument, a Daniłow z rękami złożonymi na kolanach siedział na krawędzi krzesła.

Daniłow miał blisko siedemdziesiąt lat. Całe dorosłe życie pracował w dyplomacji. Nigdy nie spotkał się z tym, by radziecki czy rosyjski rząd serio rozważał możliwość użycia broni jądrowej. Teraz, ku jego przerażeniu, okazało się, że Kaługin grozi jej użyciem bez omówienia zagadnienia ze swoimi ministrami. Wojna nuklearna?

– Japończycy mogą nie wycofać się z Syberii.

Kaługin dokończył czytanie kolejnego akapitu, nim spojrzał na Daniłowa.

– Rzeczywiście.

– Mogą nie uwierzyć w to ultimatum.

– Na jakiej podstawie tak twierdzicie?

– Nieustannie zapewnialiśmy świat o zniszczeniu naszego potencjału atomowego. Teraz, przez wzgląd na sytuację, przyznamy, że tamto oświadczenie nie było zgodne z prawdą.

Kaługin nic nie powiedział. Popatrzył jedynie na ministra spraw zagranicznych, który poczuł, jak cierpnie mu skóra.

– Japonia może nie uwierzyć, że zostawiliśmy sobie jakąś broń jądrową – zauważył minister – a w tym przypadku nie potraktują poważnie naszego ultimatum.

Kaługin wrócił do studiowania dokumentu. Przez zasłony wysokiego okna za jego fotelem do

gabinetu wdarł się promień słońca. Prezydent siedział z pochyloną głową.

On może uderzyć w Japonię, pomyślał Daniłow, olśniony nagłą myślą, że ultimatum nie było wcale czczą groźbą. Jeśli nie wycofają się z Syberii, może to zrobić naprawdę.

Rozdział 11

Kolejny pogodny, gorący dzień. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu i spalin z silników dieslowskich z czterdziestu siedmiu wojskowych japońskich ciężarówek. Cały ten obłok zostawał za pojazdami na wschodzie. Konwój jechał z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę brukowaną drogą ciągnącą się wzdłuż brzegu Amuru. Znajdowali się o dzień jazdy od Chabarowska w szerokiej dolinie, ogrodzonej z północnego wschodu i południowego zachodu pasmami niskich wzgórz. Rzeka o dwa kilometry z lewej strony tworzyła granicę z Chinami, lecz nie wytyczały jej żadne ogrodzenia ani strażnice.

Czterdzieści ciężarówek wiozło zaopatrzenie dla znajdujących się sto sześćdziesiąt kilometrów dalej japońskich wojsk. W siedmiu jechali żołnierze, paliwo, jedzenie, woda i urządzenia kuchenne, wszystko niezbędne dla utrzymania konwoju w ruchu.

Chociaż nie informowały o tym żadne napisy, droga była w istocie ulepszonym starożytnym szlakiem. Przecinało ją kilka przepustów wodnych, od czasu do czasu trafiał się jakiś most, ale w większości przypadków widać było, że woda przelewała się nad szosą. Sucha latem, musiała być nieprzejezdna w zimie, zwłaszcza na niżej położonych odcinkach.

Z drogi widać było od czasu do czasu skubiące trawę stada owiec lub kóz, tu i ówdzie szałas lub jurtę. Raz nawet pojawiła się rozklekotana, cywilna ciężarówka. Gdzieniegdzie od szosy odchodziły szutrowe drogi. Niektóre z nich wiodły do otwartych szybów kopalni manganu czy innych bogactw naturalnych.

Ludzi było niewielu. Tubylcy przezornie unikali ignorujących ich japońskich żołnierzy. Dzieci stojące na progu szałasów przypatrywały się zbliżającym się samochodom i znikały w głębi na widok prowadzącej konwój ciężarówki z zamontowanym na platformie wielolufowym działkiem przeciwlotniczym.

Japończycy łykali kurz i obserwowali niebo. Niektórzy żałowali, że Rosjanie wycofując się zniszczyli rozjazdy i mosty kolejowe. Wówczas żołnierze pojechaliby na zachód pociągiem, zamiast tłuc się ciężarówkami.

Błyszczące niebo zadawało się odbijać parujący z ziemi żar. Daleko na zachodzie wysokie chmury przysłonią słońce po południu, ale do tej pory minie jeszcze wiele godzin.

Jaskrawe słońce oślepiało. Kiedy pozwalał na to skręt drogi, kierowcy odruchowo spoglądali w górę i, przysłaniając oczy dłonią, obserwowali niebo, starając się jednocześnie utrzymać ciężarówki na wyboistym trakcie.

Samoloty nie nadleciały od strony słońca. Zjawiły się z północnego zachodu, lecąc nad doliną wzdłuż drogi na wysokości kilkuset metrów.

Kierowca czołowej ciężarówki dojrzał je pierwszy o niecałe półtora kilometra od nich. Dwa Su-27, pędzące niczym pociski manewrujące.

Skręcił gwałtownie, zjeżdżając dwoma kołami z drogi. Siedząca na platformie obsługa działka omal nie spadła.

Zdążył jednak ocalić im życie.

Pociski z działek uderzyły w drogę za nimi i dopadły następną ciężarówkę, której kierowca spóźnił się o ułamek sekundy. Samochód eksplodował pod gradem pocisków.

Ognista kula wciąż rosła, a pilot już strzelał do ciężarówki w środku kolumny. Ta nie wybuchła, lecz po prostu rozleciała się, kiedy w ciągu dwóch sekund ugodził ją tuzin pocisków kalibru 30 mm.

Pilot puścił spust i wybrał trzeci cel na końcu konwoju. Pędząc z prędkością sześciuset kilometrów na godzinę, wystrzelił kolejną serię, lecz tym razem chybił.

Zerknął w lewo, by upewnić się, że jego skrzydłowy znajduje się na właściwym miejscu i w gwałtownym skręcie w prawo położył maszynę na skrzydło. Po wykonaniu skrętu o dziewięćdziesiąt stopni, zawrócił w prawo o sześćdziesiąt, zgodnie z biegiem rzeki. Następnie, zawróciwszy o 270 stopni, skierował się na północny zachód, z powrotem nad konwój. Jego skrzydłowy wciąż trzymał się za nim z lewej strony.

Obaj piloci wybierali cele, lecąc znów nad ciężarówkami, których kierowcy gorączkowo usiłowali zjechać z drogi. Nie miało to najmniejszego sensu.

Delikatnymi muśnięciami orczyków i pieszczotliwymi ruchami drążków lotnicy naprowadzali maszyny na wybrane cele i przyciskali spust wbudowanych w kadłub działek GSh–30–1. Tym razem eksplodowały cztery ciężarówki. Jedna z nich, wyładowana amunicją artyleryjską, wybuchła z ogłuszającym hukiem.

Obsada pierwszej ciężarówki wciąż usiłowała odpiąć pasy zabezpieczające działko i kiedy chcieli je wycelować, Su-27 przemknęły nad nimi i zniknęły na północnym zachodzie w bezchmurnym niebie – tam, skąd przyleciały.

Dowódcy kolumny zajęło godzinę usuwanie uszkodzonych ciężarówek z drogi, zanim mogli ruszyć dalej. Dziewięć pojazdów było zniszczonych lub niesprawnych w stopniu uniemożliwiającym dalszą jazdę. Jedna nie została trafiona przez samoloty – przestraszony kierowca usiłował przejechać nad kilkoma większymi głazami, które uszkodziły wał napędowy i urwały tylny most.

Czternastu ludzi zginęło, dziesięciu było rannych. Jeden z rannych doznał straszliwych oparzeń. Sierżant skrócił mu męki.

Żołnierze złożyli zabitych na skraju drogi pomiędzy spalonymi ciężarówkami. Ktoś inny później ich pochowa. Dowódca miał swoje rozkazy.

Żołnierze wrócili do samochodów i konwój ruszył w dalszą drogę na północny zachód.

Podczas trzeciej misji tego dnia major Grigorij Czemow poprowadził swego skrzydłowego, kapitana Wasyla Pierwuszyna, z powrotem nad szlak konwojów ciężarówek zdążających nadrzeczną drogą do Chabarowska. Czemow był dowódcą stacjonującego w Zeji 556. Dywizjonu Myśliwskiego. Wraz ze swoim skrzydłowym latali na dwóch jedynych sprawnych samolotach. Żołnierze pracowali całymi dniami, żeby usunąć resztki wody ze zbiorników paliwa, a następnie ręcznie przetransportować resztki paliwa do maszyn. Z braku prądu podjęli się heroicznego wysiłku, posługując się ręcznymi pompami, dwustulitrowymi beczkami i siłą własnych mięśni.

Czernow nie sądził, że w bazie znajdują się bomby kasetowe, ale kiedy samoloty dokonywały porannego ataku, jego zastępca znalazł ich trochę w uważanym za pusty bunkrze amunicyjnym. Bomby liczyły sobie ze dwadzieścia lat. Ponieważ jednak Rosjanie nie dysponowali niczym innym do ataków na cele naziemne, podwieszono je do węzłów uzbrojenia.

Teraz razem z Pierwuszynem mknął na południowy wschód jakieś sto metrów nad ziemią. Czernow wypatrywał pojazdów po lewej, wzdłuż drogi.

Dwa Suchoje leciały z prędkością poddźwiękową, ponieważ podwieszone bomby nie miały kształtów przystosowanych do prędkości naddźwiękowych. Bezdrzewna równina uciekała spod samolotów, stwarzając wrażenie, że to myśliwce zawisły nieruchomo w powietrzu, a ziemia kręciła się pod nimi w zawrotnym tempie. Bardzo miłe złudzenie.

Są! Na godzinie dziesiątej na horyzoncie widać obłok kurzu.

Rano wykonali dwa ataki na konwój, pierwszy z północnego zachodu, drugi z południowego wschodu. Tym razem Czernow i Pierwuszyn postanowili zjawić się z południowego wschodu i podczas pierwszego przelotu od razu zrzucić bomby. Ponieważ mieli załadowane działka, chcieli szybko wykonać drugi przelot, a to oznaczało wykonanie ostrego zwrotu i powrót nad ciężarówki od

północnego zachodu.

Czernow pokazał na kurz i upewnił się, że Pierwuszyn twierdząco skinął głową. Konwój był o wiele dalej na północny zachód od tego, który zaatakowali rano.

System przeciwdziałania elektronicznego milczał. Ani śladu nieprzyjacielskich radarów.

Ach, ci Japończycy! Wysłać konwoje bez ubezpieczenia z powietrza...

Oczywiście, mogła być eskorta, lecąca wyżej z wyłączonymi radarami. Czernow zerknął w popołudniową mgiełkę, wypatrując drobnych, czarnych plamek na tle wysokich obłoków.

Nic.

To nie znaczy, że ich tam nie ma. Po prostu może ich nie widzisz.

Kurz zaczął znikać gdzieś za lewym skrzydłem, kiedy skinął na Pierwuszyna, żeby leciał dalej.

Zadowolony, rozpoczął szeroki skręt. Chciał, żeby znaleźli się tuż nad ziemią kilka kilometrów przedtem, nim dopadną kolumnę, by mieć czas na wybranie celów.

Zakręt, uważaj na ziemię pędzącą pod samolotem, nie pochylaj skrzydeł więcej niż o dziesięć stopni i rozglądaj się od czasu do czasu, czy nie ma nieprzyjacielskich myśliwców.

Dotknął pulpitu uzbrojenia. Wybrał bomby. Uzbrojenie zapalników, ustawienie przerwy, włączenie głównego systemu uzbrojenia.

Utrzymując ten sam pułap, Pierwuszyn został z tyłu i przesunął się trochę w prawo. Będzie leciał za dowódcą w luźnym szyku torowym.

Dziewięćset czterdzieści pięć kilometrów... Czernow podciągnął maszynę, aż osiągnęła pułap trzystu metrów. Po otwarciu się pojemników, bomby będą musiały mieć czas na właściwe rozsypanie się.

Ciężarówki. Cała kolumna. Wydawało się, że pędzą na niego, a to przecież on leciał. Kiedy skrzydłowy schował się za nim. Czernow wcisnął włącznik. Poczuł szarpnięcie, kiedy bomby poszły, wszystkie sześć w mniej więcej półtorej sekundy.

Czemow leciał prosto jeszcze przez trzy sekundy, potem położył się w osiemdziesięciostopniowy skręt i docisnął do dziewięćdziesięciu. Potem odbił w przeciwną stronę o 270 stopni.

Obserwował żyroskop, koncentrując się na utrzymaniu nosa nad horyzontem. Lewą ręką przełączył uzbrojenie na działka.

Nadal lecąc nad samą ziemią, rosyjski pilot skierował się nad ciężarówki, z których co najmniej cztery stały w ogniu. Pchnął drążek w przód, obniżając lekko nos, potem odrobinkę wycofał drążek.

Nacisnął spust i poczuł wibracje, idące od działka przez fotel i drążek, gdy pociski pomknęły do pierwszej ciężarówki, potem do następnej.

Przelot trwał cztery sekundy, wystarczająco długo, by trafić dwa pojazdy, potem Czernow poderwał gwałtownie nos w górę i, zmagając się z pięciokrotnym przeciążeniem, odbił ostro w prawo, by uniknąć wtórnych wybuchów. Gdy znalazł się wystarczająco wysoko, zadarł nos jeszcze wyżej i, obracając się w fotelu, zerknął w tył przez prawe ramię.

Ogarnęło go przerażenie.

Strzelające działko na ciężarówce, śmiertelny ścieg pocisków... Pierwuszyn płonie, zawraca ostro w lewo, nos opada...

Przeraźliwa eksplozja żółtego ognia, kiedy Suchoj Pierwuszyna uderza w ziemię.

Nie ma spadochronu.

Grigorij Czernow odwrócił wzrok. Nadal nabierał wysokości.

Cholera!

– Gdzie jest major Pierwuszyn? – spytał zastępca, kiedy Grigorij Czernow podniósł osłonę kabiny i wyłączył silniki w bazie Zeja.

– Zginął.

– Myśliwce?

– Działko. Jedno. Na ciężarówce.

– Jego żona jest w rejonie rozśrodkowania samolotów. Ciężarówki z rodzinami jeszcze nie odjechały, więc postanowiła na niego poczekać.

Czernow siedział w kabinie, czekając aż wiatr wysuszy mu twarz i włosy. Był wykończony. Wreszcie zmusił się do spojrzenia w stronę rejonu rozśrodkowania. Znajdował się tam wielki jednoizbowy drewniany barak. Stojąca przed nim kobieta osłaniała oczy dłonią, spoglądając w kierunku Czernowa. Wiatr targał jej sukienkę.

Czernow nie mógł tego zrobić. To był jego obowiązek, ale nie potrafił się przemóc.

– Sierżancie.

– Tak, panie majorze?

– Idźcie i powiedzcie jej.

– Rozkaz.

Zero nie ustępowało, szykując się do czołowego ataku. Dixie Elitch poderwała F-22,tworząc przeciwnikowi jak najmniejszy kąt strzału. Niestety, japoński pilot zadarł nos maszyny. Pociski z działka pomknęły do niej niczym strumień wody z węża ogrodowego.

– Ci faceci mają ostre kły i capną cię, jeśli im się dasz – w słuchawkach rozległ się męski głos. To Joe Malan, który wrócił z operatorem symulatora i bez wątpienia doskonale się bawił.

Dixie włączyła dopalacze, żeby uciec pociskom. Miała zamiar wyrwać pionowo w górę, ale Malan czytał w jej myślach.

– Jeśli ten facet poleci w ślad za tobą, dasz mu kolejną okazję do strzału. Nie jesteś chyba samobójczynią?

Kiedy to mówił, położyła samolot w skręcie o 270 stopni. Teraz odczuła przeciążenie. Trzymała drążek, aż na wskaźniku refleksyjnym przeciążenie wyniosło 9G. W prawdziwym F-22 jej kombinezon przeciwprzeciążeniowy byłby maksymalnie dopompowany, ale symulator nie oddawał przeciążenia. Poruszał się i obracał w chorobliwie realistyczny sposób, a kabina cuchnęła lekko wymiocinami. Podobnie jak prawdziwa.

Zakręcała szybko, robiąc trzydzieści dwa stopnie na sekundę. Żaden inny samolot na świecie nie potrafi wykonać takiego zwrotu. Nawet Zero.

Niestety, Zero nie stał w miejscu ani nie leciał po prostej, czekając, aż Dixie wyjdzie ze skrętu. Odwróciła głowę, szukając go.

– Nie, do cholery – odezwał się w słuchawkach Malan – spójrz na ekrany. Czujniki podczerwieni śledzą go. Co ci mówi twój komputer?

– Jest wyżej po prawej stronie. Jestem w jego lewej tylnej ćwiartce.

– Do góry i strzelaj.

Dixie trzymała nos w górę. Wskaźnik refleksyjny wyświetlił krąg zasięgu rakiet. Kiedy w środku znalazła się czerwona kropka, Elitch usłyszała brzęczenie, oznaczające, że głowica termolokacyjna pocisku Sidewinder zlokalizowała cel. Wystrzeliła pocisk, który z rykiem wystartował z końcówki jej prawego skrzydła.

Błysk.

– Mam go.

– Dobrze, wracaj do bazy, podejście na przyrządach. Pamiętaj, że w czasie walki musisz pozwolić, żeby pomagał ci komputer. Komputer jest twoją bronią. Pomaga ci przeżyć.

Otarła pot z czoła i odchrząknęła.

– Komputer jest mózgiem samolotu. Ty tylko trzymasz się drążka.

– Jasne.

Kiedy trening dobiegł końca, Dixie stała na podłodze pod symulatorem, a Joe Malan odtwarzał z taśmy jej misję. Ledwo rozpoczął, kiedy nadszedł Bob Cassidy i, stojąc za Dixie, przyglądał się w milczeniu.

– Nadleciał tak szybko od przodu, że nie zdążyłam wystrzelić pocisku.

– Był w zasięgu – powiedział Malan. – Czy próbowałaś przełączyć się na działka?

– Nie zdążyłam – przyznała.

– Wątpię, żebyś zdążyła ustawić nos do strzału. Miałaś jedną sekundę, może mniej. Musisz upewnić się, że nie przelecisz mu przed nosem, wystawiając się na strzał. To jest podstawowe.

– Tak jest.

– Ten gość, nawet będąc niewidocznym dla radarów, emituje masę ciepła. Wyłowią to twoje czujniki podczerwieni. Komputer go zidentyfikuje i będzie śledził, podając ci nieustannie jego położenie. Nie kręć głową, usiłując śledzić go wzrokiem. Skoncentruj się na ekranach, na lataniu i strzelaj, gdy będziesz miała okazję. Kiedy będziesz cackała się z tym facetem, ktoś może podkraść się, żeby wbić ci nóż w plecy, więc zabij go jak najszybciej.

– Dobrze.

– Idź odpocząć. Spotykamy się o jedenastej wieczorem. Dziś wieczorem będziesz miała do czynienia z dwoma naraz.

– Wspaniale.

Kiedy szła w stronę klasy, minęła się ze zmierzającym do symulatora Aaronem Hudkiem.

– Poczekaj, mała – powiedział – to zobaczysz, jak to się robi.

– Rzygać mi się chce na widok ludzi zamkniętych w tym pudełku – odcięła się.

– Jak sobie radzi? – spytał przy konsoli instruktorskiej Bob Cassidy Joe Malana.

– Całkiem nieźle. Wszystko chwyta w lot, tak jak i reszta dzieciaków. Zdumiewa mnie szybkość, z jaką się uczą.

– Gry wideo. Przez całe życie grają w gry wideo.

– Dla ich pokolenia całe życie jest jedną wielką grą wideo. Następny jest Hudek, potem ty.

Aaron Hudek stał obok nich.

– Niech się pan wygodnie rozsiądzie, pułkowniku. Pokażę panu, jak to się robi – powiedział z uśmiechem.

Cassidy parsknął śmiechem.

– Zrobię to śpiewająco, pułkowniku.

– Mam nadzieję.

– Tylko patrzcie. – Hudek wspiął się po drabinie do znajdującej się trzy metry nad podłogą kabiny, umieszczonej na potężnych hydraulicznych siłownikach.

– Lubię władczy styl Futrzanego Jaja – mruknął Malan.

– Mnie się również spodoba, pod warunkiem, że potrafi latać.

Hudek potrafił. Malan zaczął od awarii, które Hudek sprawnie usunął w zgodny z instrukcją sposób. Nie sprawiało mu problemów przechwytywanie i walka powietrzna, gdy już dopadł przeciwnika. Po tych trzech elementach sam został zaatakowany przez pojedynczą maszynę. Szybko przeszedł z obrony do ataku i zestrzelił nieprzyjaciela. Drugi przeciwnik był sprytniejszy, lecz Hudek cierpliwie rozszyfrował jego taktykę i podjął grę, czekając na pierwszy błąd nieprzyjaciela.

– Jest cholernie dobry – odezwał się do Cassidyego Malan, obserwując umieszczony w konsoli instruktorskiej ekran pokazujący wskaźniki w kabinie symulatora.

– Może nawet najlepszy ze wszystkich, jakich tu mamy.

Symulator nie był prawdziwym samolotem ani scenariusze nie były zbyt rzeczywiste. Miało to tylko służyć podciągnięciu umiejętności pilotów.

– Problem polega na tym – powiedział Malanowi Cassidy – że aby mieć szansę, trzeba się znaleźć wystarczająco blisko Zero. Z bezpośredniego dystansu wyposażone w inteligentne pokrycie i czujniki podczerwieni F-22 są groźne. Sztuka polega na tym, by się tam dostać.

– Myślałem, że mówiłeś, iż elektroniczne przeciwdziałanie F-22 pozwoli nam wykryć Zero, zanim namierzą nas radarami.

– Teoretycznie tak. Działa to następująco: wiesz, że tam jest nieprzyjaciel, ale Atena ukrywa go przed naszymi radarami. Nie możesz użyć pocisków kierowanych radarem typu AMRAAM, bo nie znajdą celu. Wiesz jak podejść na dystans Sidewinderów!

– Nie wiem.

– To lepiej coś wymyśl, bo w przeciwnym razie będziemy jak kaczki na strzelnicy.

Następny dzień okazał się jeszcze bardziej irytujący dla Grigorija Czernowa. Nawalało wszystko. Odcięto dopływ prądu do bazy, tankowanie odbywało się ręcznie, spośród trzydziestu sześciu samolotów tylko trzy nadawały się do użytku. Pozostałe miały mechaniczne usterki, które usiłowała naprawić obsługa lub wymontowano z nich części do uruchomienia innych maszyn. Tylko trzy zostały zatankowane i uzbrojone. Czernow zamierzał użyć ich do popsucia humoru Japończykom.

Amunicja do działek kalibru 30 mm była tak stara, że niektóre pociski pociły się. Mogły zablokować komorę nabojową, więc wszystkie musiały być sprawdzone z mikrometrem w ręku, wadliwe odrzucono, dobre załadowano ręcznie w taśmy nabojowe.

Na końcu do prowadnic załadowano cztery rakiety AA-10. Czernow włożył kombinezon, wsiadł do maszyny i próbował uruchomić silniki. Lewy nie chciał zapalić.

Kolejną godzinę zajęła mechanikom wymiana układu rozrusznika.

Czernow wrócił do domku w rejonie rozśrodkowania i ponownie usiłował dodzwonić się do sztabu okręgowego. Przynajmniej póki telefon jeszcze działał. W sztabie nikt jednak nie podnosił słuchawki. Podobnie jak w stacji kontroli obszaru. Może linia została przerwana, a może Japończycy wystrzelili przeciwradarowy pocisk, kierujący się na źródło wiązki radaru, i zniszczyli wszystko.

Czernow wyszedł na betonowy plac i usiadł w cieniu skrzydła, skąd obserwował pracę mechaników. Rozmyślał o wielu rzeczach: o pociskach przeciwradarowych, nieczynnych telefonach, japońskich żołnierzach i martwym pilocie.

Obrona bazy przed Japończykami będzie samobójstwem dla tych kilkudziesięciu osób. Rozkazał, żeby cały personel wraz z rodzinami opuścił bazę. Wziął na siebie odpowiedzialność – wobec braku wyższych dowódców.

A zresztą i tak zapewne zginie w ciągu najbliższej godziny, więc nie warto zaprzątać sobie głowy tym, co pomyślą sobie moskiewscy biurokraci, kiedy zaczną zastanawiać się, czemu nikt nie obsługuje działek przeciwlotniczych w bazie Zeja.

Był zdenerwowany. Nawet nieco przestraszony. Przedwczoraj po raz pierwszy wziął udział w walce. Akcja nie wpłynęła na niego uspokajająco. Ściskało go w żołądku, pociły mu się dłonie. Z trudem mógł spokojnie usiedzieć.

Wiedział, że dzisiaj będą tam Zero. Powinny być już wczoraj.

Jednak poradzi sobie. Powtarzał to sobie w kółko. Jest zawodowcem. Ma dobry samolot i potrafi go pilotować.

Okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu. Jeden przeciw ilu? Przeciwko całemu lotnictwu japońskiemu. Ich systemy przeciwdziałania elektronicznego wykryją jego radar...

Postanowił go nie włączać. Musi polegać na wzroku, to dla niego najlepsze rozwiązanie.

Być może jedyne.

– A co będzie, jak Japończycy zaatakują, majorze? – Stał przed nim jeden z mechaników i, ściskając klucz w ręku, spoglądał mu badawczo w oczy. – Siedzi pan pod największym celem w bazie, jedynym uzbrojonym myśliwcem.

– Z powietrza wszystkie wyglądają tak samo – odparł major, pokazując na stojące w rzędach MIG-i i Suchoje.

Mechanik wrócił do kolegów. Czernow wyciągnął się wygodniej, podkładając sobie kamizelkę ratunkową pod głowę. Przez wysokie pierzaste chmury przeświytywało słońce. Na średnim pułapie przesuwały się postrzępione chmurki. Słońce przeświecając przez obłoki nadawało niebu miękki, zamglony wygląd.

Grigorij Czernow wziął głęboki wdech, usiłując się odprężyć.

Wreszcie podeszli do niego mechanicy.

– Skończyliśmy.

– Doskonale.

– Co pan zamierza, majorze? – spytał szef mechaników.

– Pomóżcie mi wejść do kabiny. Niech ludzie zajmą się tankowaniem następnego samolotu. Sprawdźcie amunicję, załadujcie cztery rakiety. Jeśli wieczorem zostanie trochę czasu, wystartuję ponownie – to znaczy, o ile będę żywy.

– Niektórzy z pilotów też chcieliby lecieć.

– Nie.

Czernow nie miał rozkazu wysyłania samolotów przeciwko Japończykom. Już stracił jednego człowieka. Ci mogą przydać się Rosji kiedy indziej. Nie ma sensu ich tracić.

Tym razem lewy silnik zapalił razem z prawym.

Czernow dał znak, żeby wyciągnąć klocki spod kół. Kiedy to zrobili, rozpoczął kołowanie.

Nie prowadził rozmów przez radio. Nie włączył też radaru. Szczególną uwagę poświęcił za to tablicy systemów przeciwdziałania elektronicznego.

Wjechał na pas startowy, zatrzymał się i zrobił szybki sprawdzian przedstartowy. Zadowolony, zwolnił hamulce i pchnął dźwignię ciągu do oporu, potem włączył dopalacze.

Ciężka maszyna szybko przyśpieszyła. Po kilku sekundach Su-27 oderwał się od ziemi i Czernow wyłączył dopalacze, by oszczędzić paliwo.

Wciągnąwszy podwozie i schowawszy klapy, Czernow skierował maszynę na południowy wschód, wzdłuż doliny Amuru. Leciał na wysokości czterech tysięcy metrów i zwolnił do 0,8 macha.

Było późne popołudnie. Letnia mgiełka sprawiła, że ziemia w dole przybrała złocisty kolor, tworząc bajeczny krajobraz. Tu i ówdzie widniały kępy drzew – emisariusze północnych lasów, próbujących rozprzestrzenić się na niskim stepie. Od czasu do czasu mignęła gdzieś droga, ale nie widać było wsi czy miasteczka. Skrywała je mgła.

Czernow włączył ręczny pozycjoner satelitarny, bateryjny model amerykańskiej firmy Bendix-King, sprzedawany do Rosji z myślą o cywilnych awionetkach. W ułamku sekundy pokazał jego pozycję. Wprowadził długość i szerokość lotniska Swobodny, i czekał na wskazanie kierunku oraz odległości, jest!

Dwieście dwadzieścia kilometrów od Swobodnego system przeciwdziałania elektronicznego odebrał sygnały japońskiego radaru. Znajdował się zbyt daleko, żeby operator odebrał odbite od Su echo. Bardzo dobrze. Czernow skręcił o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i zaczął okrążać Swobodny łukiem o promieniu dwustu kilometrów. Pozycjoner ułatwiał mu zadanie.

Skupił się na obserwacji popołudniowego nieba i nasłuchiwał systemu przeciwdziałania.

Żadnego samolotu w zasięgu wzroku.

To wcale go nie dziwiło. Kontakt wzrokowy z innym samolotem był możliwy z odległości nie przewyższającej dziesięciu kilometrów. Przy prędkościach rozwijanych przez współczesne maszyny może nie wystarczyć czasu na zrobienie uniku. Podczas walki zasięg rakiet powietrze-powietrze był tak duży, że jeśli zobaczyło się nieprzyjaciela, oznaczało to, że któraś ze stron popełniła błąd, na ogół tragiczny w skutkach. Niemniej Czernow miał oczy szeroko otwarte i przepatrywał wszystkie sektory nieba. Był sam, co nie mieściło się we współczesnej taktyce walki powietrznej.

Radar naziemnego przechwytywania nie działał. Być może został zniszczony przez Japończyków pociskiem naprowadzanym na wiązkę. Możliwe również, że elektrownia odcięła prąd. Może operatorzy radaru załadowali się na ciężarówki i pojechali na zachód, uciekając przed wrogiem? Skoro nikt nie odbierał telefonu, to kto wie? W końcu nieistotne, skoro i tak nie działa.

Teraz Czernow siedział w swoim samolocie, przestarzałym myśliwcu. Jeszcze nie tak dawno temu Suchoj-27 był najlepszym myśliwcem na świecie, dziś już nie. Po upadku komunizmu w 1991 roku projektowanie nowych myśliwców zarzucono z braku pieniędzy. Narodu nie stać było nawet na kupno paliwa do istniejących myśliwców, wszystko było stare, zużyte i źle obsługiwane.

Najdziwniejsze, że Japonia miała mnóstwo samolotów, które były równie dobre, jeśli nie lepsze. Podczas gdy Rosja porastała rdzą, Japończycy stworzyli niezwykle prężny przemysł lotniczy.

Dlatego Czernow w przestarzałym wyeksploatowanym samolocie, który zgodnie z książką lotów nie był w powietrzu przez dziewięć miesięcy i trzy dni, polował gołym okiem na japońskie maszyny.

Wręcz prosił się o to, żeby jakiś pilot japońskiego myśliwca zabił go szybko.

Według informacji oficera wywiadu, który zatelefonował dziś rano, Japończycy dostarczali do Swobodnego drogą powietrzną zaopatrzenie z Chabarowska i japońskich baz.

Wydawało mu się, że widzi samolot. Odwrócił głowę, żeby to sprawdzić.

Sprawdził stan paliwa i położenie na pozycjonerze... jeśli zamierza wrócić swą maszyną do bazy, nie może zabawić tu zbyt długo.

Leciał w górę rzeki Buraja, kiedy coś dostrzegł. Zbliżająca się wysoko plamka nad chmurami. Facet musiał być na 12.000 czy 13.000 metrach. Zmierzał na północny zachód.

Czernow skręcił w lewo, żeby tamten samolot minął go zbieżnym kursem od prawego skrzydła. Jeśli był to japoński transportowiec, a wszystkie samoloty na tym niebie były teraz japońskie, to musi lecieć do Swobodnego. Właściwy kierunek i wysokość.

Skoro leci transportowiec, muszą tam też być myśliwce.

Rosyjski major spojrzał na pulpit przeciwdziałania elektronicznego i wsłuchał się pilnie. Ani brzęku, pisku, czy szeptu.

Muszą tam być myśliwce, tylko nie używają radaru. Muszą być poniżej transportowca, poniżej warstwy chmur, zbyt małe, żeby je zobaczyć.

Bogu dzięki, że ma wyłączony radar. W przeciwnym razie namierzyliby jego emisję i Czernow znalazłby się w potrzasku.

Serce mu waliło, pot zalewał oczy, ściekał po kręgosłupie...

Sprawdził przełączniki: ustawione na rakiety, uzbrojone, przekaźnik uzbrojenia włączony.

Transportowiec minął o piętnaście kilometrów samolot Czernowa, który położył Suchoja w sześćdziesięciostopniowy skręt i, trzymając nos lekko pochylony, włączył dopalacze i przesunął dźwignię ciągu na pozycję czwartą.

Ciężki odrzutowiec przekroczył barierę dźwięku i zaczął gwałtownie przyśpieszać: 1,5 macha, 1,7... 1,9.

Przekroczywszy dwa machy zadarł nos i, nabierając wysokości, nadal zakręcał.

AA-10 były pociskami typu „odpal i zapomnij" z aktywnym radarem naprowadzającym. Kiedy radar się włączy, Japończycy będą mieli paskudną niespodziankę.

Podobnie jak Czernow, jeśli Japończycy zostawili parę myśliwców dwadzieścia kilometrów za transportowcem. Spojrzał w lewo, potem w prawo, szybko przepatrując niebo. Wyglądało na puste. To niczego nie dowodziło. Transportowiec był już tylko kropką, plamką lecącą w bezmiarze nieba, wciąż idealnie utrzymując kurs powyżej niego. Doszedł do wniosku, że dzieli go od niego mniej więcej osiemnaście kilometrów, ale nie odważył się uruchomić radaru, żeby to sprawdzić.

Wcisnął guzik zwalniający rakietę. Wyskoczyła z prowadnic, ciągnąc za sobą smużkę dymu. Odrobinkę opuścił nos i, odbiwszy nieco w lewo, wystrzelił drugi pocisk. Ostry zwrot w prawo o piętnaście stopni i trzecia rakieta znalazła się w powietrzu. Cała akcja trwała około sześciu sekund. Jeśli są tam jakieś japońskie myśliwce, pociski je odnajdą.

Trzecia rakieta znikała w mgiełce, kiedy rozległ się pisk systemu przeciwdziałania elektronicznego.

Tuż pod celownikiem połyskiwało czerwone światełko i paliło się oznaczenie PP. Pocisk przeciwlotniczy!

Grigorij Czernow pchnął drążek w bok i pociągnął na siebie. System przeciwdziałania automatycznie wystrzelił pęki metalizowanej folii i flary.

Pięć... sześć... siedem G.

Pocisk przemknął nad prawym skrzydłem i eksplodował. Pudło, Zgasło ostrzeżenie przeciwrakietowe, ale system wciąż piszczał. Japończycy objawili się w powietrzu.

Dziesięć lat temu żaden samolot na świecie nie potrafił wykonać zwrotu jak Su-27. Wciąż umiał uciec rakiecie i dlatego Grigorij Czernow jeszcze żył.

Wyłączył dopalacze i zredukował ciąg. Nos wznosił się nieco nad horyzontem.

Nad nim przemknął japoński myśliwiec.

Może być ich dwóch...

System przeciwdziałania elektronicznego piszczał histerycznie.

Japoński pilot skręcał w prawo, zaczynając wyrównywać maszynę.

Czernow z całej siły pociągnął drążek na siebie.

Nieprzyjacielski myśliwiec przesuwał się przed nim od prawej do lewej. Czernow wcisnął spust działka 30 mm, które rzygnęło strumieniem ognia. Palec Boży.

Ognista rzeka pocisków ze zubożonego uranu przeszła przez skrzydło japońskiego myśliwca.

Czernow położył maszynę na grzbiet i włączył dopalacze.

Przed sobą zobaczył ziemię. Ruszył pionowo w dół, ciągle przyśpieszając.

To tylko 7.000 metrów, durniu! Odwrócił samolot i rozejrzał się szybko. Nic. System przeciwdziałania elektronicznego milczał.

Zaczął wyciągać maszynę. Ciągnął i ciągnął aż do siedmiu G, usiłując zachować przytomność.

Pot zalewał mu twarz, w oczach pociemniało.

Krzyczał i, patrząc na pędzącą pod nim żółtą ziemię, walczył o zachowanie przytomności.

Odepchnął drążek kilkadziesiąt metrów nad ziemią i pozwolił przyśpieszyć maszynie.

System ostrzegania milczał.

Pokręcił głową, patrząc do góry, w prawo, w lewo.

Nic.

Z prawej strony spadały dwa płonące samoloty. Jeden z nich był na tyle duży, by na tle żółtych chmur kłębiastych wyglądać jak czarna kropka.

Kiedy Grigorij Czernow zatrzymał kołującą maszynę na lotnisku w Zeji, jego ubranie i kombinezon przeciwprzeciążeniowy ociekały potem. Pomimo otwarcia osłony kabiny pot lał się z niego strumieniami. Na tablicy wskaźników igła rejestrująca maksymalne przeciążenie podczas lotu zatrzymała się na dziewiątce.

Dziewięć G w niepełnym kombinezonie. Skrzydła mogły ucierpieć wskutek silnych naprężeń. Trzeba będzie polecić mechanikom staranne przejrzenie samolotu.

Czernow poczekał, aż personel naziemny włoży klocki pod koła, potem wyłączył silniki.

– Wody – powiedział.

Szef obsługi podał mu butelkę.

– Jak poszło, majorze? – spytał jeden z młodszych pilotów, kiedy Czernow skończył pić. Stali we czwórkę, spoglądając na puste prowadnice rakiet.

– Chyba dopadłem dwóch. Może trzech. Jeden z nich o mało nie dobrał mi się do skóry.

– Bardzo dobrze.

– Szczęście. Zwykłe szczęście. Tak się złożyło, że przelatywali w pobliżu, a ja pierwszy ich spostrzegłem. – Pokręcił głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że wciąż żyje.

– Są dobrzy?

– Wystarczająco. – Cisnął hełm na dół i wygramolił się z kabiny. Kiedy stanął na ziemi, napił się znów wody. – Macie kolejny gotowy samolot?

– Tak, panie majorze.

– Dwa?

– Tylko jeden. Mamy nadzieję przygotować jeszcze trzy dzięki pozyskaniu części z tych uziemionych. No i tankowanie długo potrwa.

– Są jakieś wieści z Moskwy?

– Ani słowa. Nikt nie dzwonił.

– Rano odlecimy na zachód tyloma maszynami, dla ilu starczy paliwa. Ile zdoła wystartować.

Cholerna Moskwa. Bez paliwa, części zamiennych, mając jedną trzecią mechaników i nie działające naziemne przechwytywanie, nie mógł zdziałać wiele więcej, nawet gdyby Kaługin pisał rozkazy krwią. Był realistą. Poleciał w pojedynkę na głupią akcję, omal przy tym nie zginął, a i tak nie odwrócił o włos losów wojny. Nadszedł czas spojrzenia prawdzie w oczy: Rosja była bezbronna.

– Założę się, że Zambia ma lepsze lotnictwo od nas – mruknął jeden z młodszych pilotów.

Czernow zdjął kombinezon i usiadł, opierając się o przednią goleń, z butelką wody w ręku. Machnął do młodszych pilotów.

– Dajcie mi chwilę odsapnąć.

Jego umysł wciąż pędził z ponaddźwiękową prędkością, odtwarzając wystrzelone rakiety i przelatujący przed jego działkiem japoński myśliwiec. A ta zdumiewająca huśtawka emocjonalna! Nigdy w życiu nie przypuszczał, że można czuć tak silne podniecenie, a w pięć sekund potem śmiertelne przerażenie. Czuł się wyprany z emocji, niczym gąbka wyciśnięta przez prasę hydrauliczną.

W pięć minut później z chaty wybiegł dowódca zmiany.

– Telefonuje Moskwa. Jakaś ważna figura na linii.

– Jak ważna?

– Twierdzi, że jest generałem. Nigdy o nim nie słyszałem.

Czernow minął rampę i wszedł do budynku sztabowego. Pojedynczy pokój z wiszącą u sufitu gołą żarówką. Jedyne światło wpadło przez brudne okna. Czterech czy pięciu żołnierzy siedziało w

milczeniu, gdy Czernow podchodził do aparatu.

– Major Czernow.

– Majorze, tu generał Kokowcow, doradca marszałka Gładyszewa.

– Z Moskwy?

– Z głównej kwatery.

– Usiłowałem się dodzwonić do lokalnego dowództwa i do Moskwy od czasu rozpoczęcia japońskiej inwazji. Jesteście pierwszym wyższym oficerem, z którym rozmawiam.

Sztabowiec miał inne zmartwienia.

– Zażądałem rozmowy z dowódcą. Czy to wy dowodzicie w bazie?

– Chyba tak, generale.

– Baza myśliwców powinna mieć dowódcę w stopniu generała brygady.

– Nasz generał przed czterema laty przeszedł na emeryturę i nikt go nie zastąpił. Dwa dywizjony zostały stąd przeniesione przed trzema laty razem ze swoim sprzętem. Kolejny uległ rozwiązaniu. Ludzie odeszli, samoloty zostały, ale uziemione. Mój dywizjon numer 556 jest ostatni.

– Jesteście majorem?

– Tak jest. Major Czernow. Mieliśmy przedtem pułkownika. Wiosną wraz z innymi oficerami wzięli kilka ciężarówek i odjechali. Od tej pory słuch o nich zaginął. Mieli jechać do Irkucka nad Bajkałem. Pułkownik miał chyba krewnych w Moskwie. Dzwonił do nich często, więc mógł tam pojechać.

– Miał rozkaz?

– Nie.

– Zdezerterował?

– Możecie to nazywać jak chcecie.

– Dezercja.

– Pułkownik wyjechał jawnie w środku dnia. Pozostali również. Od osiemnastu miesięcy nie dostali żołdu.

Cisza.

– To czemu tam wciąż jesteście? – spytał w końcu generał.

– Przed pięciu laty opuściła mnie żona, generale. Zostałem sam. Tu jest równie dobrze, jak gdzie indziej.

– Jesteście lojalni.

– Wobec kogo? Jestem głupi. Rząd jest mi winien żołd za dwa lata. Sprzedaliśmy broń boczną i amunicję na czarnym rynku, żeby zdobyć pieniądze na żywność. Kiedy nie mamy pieniędzy, bierzemy na kredyt. Kiedy nie dostajemy kredytu, kradniemy. Ale dość tych pogaduszek, w jakiej sprawie dzwonicie?

– Marszałek Gładyszew chce, żebyście utrudniali życie Japończykom. To wszystko. Wyślecie kilka par dziennie, postaracie się zestrzelić transport czy dwa, zmuście ich, żeby zmobilizowali maksymalne siły do ich obrony.

– Myślałem, że marszałek Gładyszew przeszedł na emeryturę. Marszałek Samsonow...

– Samsonow nie żyje. Gładyszew został odwołany z emerytury, by pomóc nam walce z Japończykami.

– Chyba że potrafi robić cuda.

– Bez niesubordynacji, majorze.

– Staram się.

– Więc co w ogóle zrobiliście, żeby wziąć udział w wojnie?

– Wystartowałem niedawno. Jednym samolotem. Oni strzelali do mnie, a ja do nich.

– Jeden lot? – w głosie generała słychać było niedowierzanie.

– Dzisiaj trzy, wczoraj sześć, przedwczoraj cztery.

– Tylko trzynaście?

Co za palant! Czernow musiał przez całe dorosłe życie zmagać się z przygłupimi przełożonymi.

– Możemy odbyć jeszcze jeden lot dziś wieczorem. Paliwa mamy na jakieś cztery, potem koniec.

– Dostarczymy wam paliwo.

– Od miesięcy nie ma prądu. Nikt nie płacił elektrowni, więc odcięła zasilanie. Musimy przepompowywać paliwo ręcznie, co pochłania mnóstwo czasu i wysiłku.

– Prezydent Kaługin wydał dekret. Prąd zostanie przywrócony.

– Wspaniale, prowadzimy wojnę za pomocą dekretów – nie mógł powstrzymać się Czernow. Tracił panowanie nad sobą. Może to reakcja na szok adrenalinowy.

– Chcemy, żebyście wysłali kilka zespołów i atakowali nieprzyjaciela – mówił siedzący w bezpiecznej Moskwie generał. – Nie bądźcie zbyt agresywni, rozumiecie? Wystarczy jak im dokuczycie. To rozkaz marszałka Gładyszewa.

Czernow stracił resztki cierpliwości.

– Głupcy! Pracowaliśmy przez cztery dni, żeby odbyć wczoraj sześć lotów. Dwa wyloty dziennie, to wszystko, co zdołamy zrobić, nawet gdyby ogłoszono wybuch trzeciej wojny światowej. Rano zginął mój zastępca. Nie mamy jedzenia, paliwa, prądu, części, radaru, wsparcia wywiadu ani obsługi. Nie mamy niczego! Czy wyraziłem się jasno? Czy to rozumiecie?

– Jestem generałem, majorze. Uważajcie, co mówicie.

– Ruszcie głową, generale. Nie zdołamy obronić naszej bazy. Żeby uratować maszyny, wyślemy je na zachód. Japoński atak jest tylko kwestią czasu. Cud, że jeszcze nie nastąpił. Mam wrażenie, że wraz z marszałkiem Gładyszewem chcecie, by nas zaatakowali, bo nie uczyniliście nic, żeby temu zapobiec. Kiedy już zginiemy, to wy, moskiewscy idioci, nie będziecie musieli nas żywić ani nam płacić...

Generał w głównej kwaterze wyłączył się, zanim major dokończył zdanie. Kiedy Czernow zorientował się, że linia jest głucha, rzucił słuchawkę na biurko.

Oczy zebranych zwrócone były na niego.

– Wszystko, co zdoła wystartować, leci rankiem na zachód – powiedział Czernow. – Wszyscy pracują przez całą noc.

– Tak jest.

Czernow odwrócił się w stronę młodszych oficerów, którzy weszli do środka podczas jego rozmowy.

– Weźcie pozostałe ciężarówki, zatankujcie je. Niech ludzie zabiorą narzędzia i całe jedzenie jakie mamy. Mogą wziąć ubrania. Nic więcej. Żadnych mebli, telewizorów czy innego chłamu.

Nie mogąc się pohamować, krzyknął na całe gardło.

– Pojedziemy na zachód, aż do Moskwy! Jeśli dotrzemy tam przed Japończykami, wyciągniemy generałów z ich wygodnych gabinetów i powiesimy za jaja!

Zaszczyt dostarczenia rosyjskiego ultimatum Japończykom przypadł w udziale ambasadorowi Stanleyowi P. Hanratty'emu. Rosyjscy dyplomaci opuścili Tokio następnego dnia po rozpoczęciu inwazji. Rząd USA zaoferował się reprezentować rosyjskie interesy w stolicy Japonii, do czasu, aż normalne stosunki dyplomatyczne zostaną przywrócone. Doręczenie ultimatum było pierwszym zadaniem, które dla Rosjan wykonał ambasador Hanratty. Oczywiście, on i rząd USA byli wprowadzeni w treść noty.

Następnego dnia Hanratty udał się do japońskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych po odpowiedź.

– Wręcz trudno uwierzyć – powiedział japoński minister spraw zagranicznych, wręczając pisemną odpowiedź – że w obecnych czasach rząd jakiegokolwiek państwa może straszyć inne wojną atomową. Jednak w przewidywaniu takiej ewentualności Japonia rozwinęła własny arsenał atomowy. Jeżeli Rosja spróbuje wykonać pierwsze uderzenie na Japonię, rząd japoński z wielkim smutkiem zarządzi uderzenie odwetowe.

Było już późno, kiedy Kaługin otrzymał od Daniłowa japońską odpowiedź. Przeczytał ją uważnie i oddał dokument bez słowa.

Rozdział 12

Pracując przez długi wieczór i krótką noc, oficerowie i podoficerowie z dywizjonu majora Czernowa zdołali przygotować do lotu sześć maszyn. Samoloty były gotowe na pół godziny przed świtem. Major dostał najlepszy, z załadowaną amunicją i podwieszonymi czterema rakietami M-10.

Czernow rozkazał swym pięciu najstarszym stopniem pilotom polecieć do znajdującej się o 900 kilometrów na zachód bazy Czita, daleko poza zasięgiem Zero. Poklepał ich po plecach i przyglądał się, jak wspinają się po drabinkach, grzeją silniki i kołują. Startowali jeden po drugim. Ryk silników jak grzmot wypełnił noc.

Myśliwce wygasiły światła pozycyjne, nie troszcząc się o kolizję. Wciągały podwozie i, wyłączając dopalacze, kierowały się na zachód. Zanim umilkł ryk ostatniej maszyny, minęło kilka minut.

Grigorij Czernow stał obok szóstej maszyny i nasłuchiwał, aż ucichł w tle najlżejszy szmer silników i znów dało się słyszeć brzęczenie owadów w trawie, tak jak każdego roku w stepie od początku świata.

Podszedł do niego starszy chorąży. Podali sobie ręce.

– Ruszajcie już tymi ciężarówkami – powiedział Czernow. – Jeśli to możliwe, postarajcie się dowieźć ludzi do Czity. Jeśli nie, jak najdalej stąd na zachód. Japończycy mogą zaatakować o świcie, spodziewając się, że zaskoczą nas we śnie. – Spojrzał na zegarek. Noc na tej szerokości geograficznej trwała tylko dwie godziny.

– Naprawdę tak pan uważa, majorze?

– Bardzo prawdopodobne, że uderzą, kiedy tylko nieco się rozwidni.

– Czemu akurat dziś?

– Dołożyłem im wczoraj. Powinni zaatakować nas już parę dni temu. Zrobią to teraz.

– Chyba tak.

– Rankiem. – Czernow wzruszył ramionami.

– Już wysłałem ciężarówki.

Czernow wyciągnął rękę. Chorąży odwzajemnił uścisk.

Major palił ostatniego papierosa i, spoglądając na północno – wschodnie niebo, wypatrywał pierwszych oznak brzasku. Wydzielał sobie papierosy, aż doszedł do ostatniego. Kiedy to wszystko się skończy... no, ale bez pieniędzy...

Noc nie była całkiem ciemna. Na tej szerokości geograficznej letnia noc przypomina raczej gęsty półmrok. Mógł dostrzec gwiazdy, więc niebo było czyste, a widoczność dobra. Czernow wychował się na wsi, wiele kilometrów od najbliższego miasta, z dala od świetlnego smogu, więc gwiazdy traktował jak starych przyjaciół.

Dokończył ostatniego papierosa i zaczął przechadzać się wokół samolotu, dotykając go pieszczotliwie, i usiłował zachować spokój, czekając aż gwiazdy zbledną.

Wspiął się do kabiny, a mechanik pomógł mu zapiąć pasy.

– Niech pan uważa na siebie, majorze.

– Pokój i przyjaźń, sierżancie – wyrecytował tradycyjną formułkę pilot.

Siedział samotnie w kabinie, patrząc jak rozjaśnia się niebo. Nie chciał tracić paliwa, ale jeśli będzie zwlekał ze startem, japończycy przyłapią go na ziemi. O ile przylecą.

Nie mógł dłużej czekać. Dał znak obsłudze.

Siedem minut później na końcu pasa startowego robił przedstartowy sprawdzian. Wszystko wydawało się w porządku. Obserwował uważnie światełka ostrzegawcze i nasłuchiwał,

maksymalnie podkręcając głośność. Niczego nie zobaczył ani nie usłyszał.

Może Japończycy nie nadlecą? Może należało go rozstrzelać za tchórzostwo w obliczu wroga? Zostanie zastrzelony przez zabiurkowego generała, który zadzwonił wczoraj, żądając rozmowy z generałem brygady. Gorzki żart.

Gwiazdy szybko znikały.

Grigorij Czernow zwolnił hamulce i pchnął do oporu dźwignię ciągu. Ciśnienie prawidłowe, podobnie dopływ paliwa, obroty, temperatura wydechu szybko się podnosiła...

Włączył dopalacze. Jasne światło rozwiało mrok niczym supernowa.

Przyśpieszenie wepchnęło go w fotel. Mimo że Suchoj był wielkim samolotem, o masie 22.000 kilogramów, przyśpieszał gwałtownie. Wkrótce oderwie przednie koło od betonu pasa startowego.

Najpierw klapy, potem jak najszybciej wyłączyć dopalacze. Kiedy wszystko było gotowe, zawrócił na południowy zachód, zaś południowy wschód był kierunkiem, z którego najprawdopodobniej zjawi się atakujący nieprzyjaciel. Jeśli uda mu się przeprowadzić kolejny atak, zanim go spostrzegą, mógłby...

Wzniósł się na wysokość trzech tysięcy metrów i nie przekraczał 0,8 macha. Na tej wysokości zużycie paliwa było olbrzymie. Nerwowo zerknął na zegarek. W powietrzu był od sześciu minut.

Po dziesięciu minutach lotu rozpoczął szeroki, powolny skręt. Głowę miał w nieustannym ruchu, obserwował poranne niebo w każdą stronę, szczególnie na południe i na wschód. Kusiło go, żeby włączyć na chwilę radar, na jeden impuls, ale doszedł do wniosku, że to zbyt niebezpieczne.

Niebo na północnym wschodzie przybrało bladobłękitny kolor. Doskonała, sięgająca stu kilometrów widoczność. Pomyślał, że małe samoloty są, niestety, widoczne na przepastnym niebie dopiero z odległości kilku kilometrów. O tak wczesnej porze, gdy ziemię wciąż kryła ciemność, zadanie wydawało się wręcz niewykonalne, dopóki maszyny nie znajdą się w północno – wschodnim kwadracie, odcinając się na tle jaśniejącego firmamentu.

Opanował pokusę spoglądania w kierunku północnego wschodu. Przypuszczalnie nadlecą z bazy na południowym zachodzie, od strony mroku!

Na próżno rozglądał się we wszystkich kierunkach.

Nic.

Może Japończycy nie nadlecą?

Co za pieprzona wojna! Każdy dba o swoje, towarzysze. Tak rozpieprzyliśmy nasz kraj, że nie mamy czym wesprzeć własnych żołnierzy. Rosja jest biedna, zanieczyszczona, pełna głodujących ludzi i radioaktywnych pustyń.

Czernow zatoczył pełny krąg, potem następny.

Zaczął się pocić.

Cóż, ten pomysł był głupi. Głupi, głupi, głupi. Powinien polecieć razem z innymi do Czity, porozumieć się stamtąd telefonicznie z ludźmi z dowództwa, nawiązać łączność z eskadrą cystern. Su-27 powinny działać z bezpiecznej, dobrze bronionej bazy, być porządnie zaopatrzone w paliwo i części zamienne, gdzieś poza zasięgiem Japończyków. Wówczas z pomocą latających cystern myśliwce mogłyby odbywać loty bojowe przeciwko nieprzyjacielowi z Zeji, a nawet Chabarowska.

Czemu świt? Dlaczego sądził, że przylecą o świcie?

Przyznał, że nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Miał jednak przeczucie. Atak o świcie pasował mu.

Zerknął na wskaźniki paliwa, potem na zegarek.

Miej oczy szeroko otwarte, patrz na niebo, wypatruj najmniejszej plamki, której nie powinno tam być.

Zaskrzeczał system przeciwdziałania elektronicznego. Tylko raz i raz błysnął. Zerknął na ekran, czekając na kolejny błysk, spodziewał się, że kursor wskaże mu kierunek. Nic. Spojrzał na niebo. Nie mógł obserwować wyłącznie tych cholernych wskaźników.

Może japoński pilot uległ pokusie, której oparł się Czernow, i błysnął tylko raz radarem?

Na błękitnym niebie pojawiły się trzy drobne kropeczki. Słońce dopiero wyszło zza horyzontu i na jaśniejącym niebie mógł dostrzec czarne punkty. Trzy. Nie, cztery. Pięć. Sześć. Poruszały się na zachód. Przejdą daleko na północ od pozycji Czernowa.

A więc jednak.

Sześć. Cholera! Czemu jest ich aż tylu?

Zawrócił na południowy zachód. Jeśli nadleci z najciemniejszej części nieba, podczas gdy tamci zajmą się bazą, jest szansa, że go nie zauważą.

Włączą radary, kiedy tylko zaczną podejrzewać jego obecność. Niemniej, jeśli zdoła strzelić pierwszy...

Grigorij Czernow pchnął do końca dźwignię ciągu. Jeszcze nie nadeszła pora włączenia dopalaczy. Pełny ciąg bez dopalaczy dawał mu 0,95 macha.

Teraz ekran na tablicy przeciwdziałania elektronicznego rozjaśnił się niczym choinka. Zero szukały samolotów nad Zeją.

Skręcił z powrotem w stronę bazy, sprawdzając kurs na pozycjonerze.

Włączył tablicę uzbrojenia.

Wybrał cztery rakiety, światełka czerwone. Uzbrojone i gotowe. Każde wciśnięcie guzika na drążku odpala jedną.

Zszedł na sto pięćdziesiąt metrów nad ziemię. Zaczął zwalniać do 1,1 macha, bo bez dopalaczy silniki nie mogły utrzymać prędkości ponaddźwiękowej. Gdyby miał nowoczesny samolot, taki jak F-22 czy Zero...

Dwadzieścia siedem kilometrów. Dwadzieścia pięć... dwadzieścia trzy – prawie dwa kilometry co sześć sekund.

Znów zerknął na tablicę zagrożeń. Wszystko z przodu, nic z tyłu. Nic z tyłu nie nadaje. Wziął głęboki wdech, usiłując się uspokoić. Serce waliło mu w piersi jak młot.

Osiemnaście kilometrów. Szesnaście. Czternaście.

Kiedy zbliżył się na trzynaście, uniósł nos pod kątem pięciu stopni i wcisnął spust, odpalając pierwszą AA-10. Potem druga, trzecia i czwarta, tak szybko jak tylko zdołał przyciskać. Przy odrobinie szczęścia dwie lub trzy odnajdą cel.

Włączył dopalacze. Przyśpieszenie wbiło go w fotel. Przełącznik na tablicy uzbrojenia przestawił na pozycję DZIAŁKO.

Japończycy musieli odebrać sygnał z nadlatujących pocisków.

Przesunął włącznik uruchamiający radar.

Ekran rozbłysnął. Nadal wyglądał przez celownik, kiedy dostrzegł pierwszy błysk. Pocisk trafił. Potem drugi i trzeci.

Czwarty AA-10 musiał chybić.

Grigorij Czernow zerknął na ekran radaru i szybko pokrętłem poprawił jakość.

Samolot z lewej, zmierzający nieco w bok.

Spojrzał przez celownik. Jest! Na godzinie jedenastej.

Transportowiec! Spadochrony w powietrzu! Desant. Japończycy zajmują lotnisko. To wszystko odruchowo zarejestrował w umyśle Czernow. Był skupiony na transportowcu.

Zamierzał ostrzelać go pod kątem. Rozwijał 1,4 macha, tamten zapewne nie więcej niż 350

kilometrów na godzinę. Naparł na lewy pedał orczyka, oburącz przestawił drążek, by ustawić nos. Wcisnął spust. Działko plunęło ogniem.

Trwało to zaledwie dwie sekundy. Strumień rozgrzanego do białości uranu pomknął w stronę przodu nieprzyjacielskiego transportowca, a lekkie wciśnięcie prawego pedału orczyka przesunęło go od nosa do ogona. Czterosilnikowy turbośmigłowiec eksplodował. Czernow, wciąż przyśpieszając, przemknął tuż za rosnącą kulą ognia. 1,7 macha to wszystko, co Suchoj potrafił osiągnąć w warstwach gęstszego powietrza. Major zauważył więcej spadochronów, lecz musiał skupić się na pilotowaniu maszyny. Nieprzyjacielskie radary świeciły teraz z jego tylnej strony. Opuścił nos, by zniżyć się jeszcze bardziej.

W miarę jak mijały sekundy, czuł jak naprężają mu się mięśnie karku. Nic dziwnego, pod celownikiem zaczęło migać światełko ostrzegające przed pociskiem.

Trzydzieści metrów nad ziemią Czernow wyrzucił paski metalizowanej folii, położył samolot w lewo pod kątem prostym i dociągnął drążek, trzymając go przy brzuchu, póki wskazówka przeciążenia nie osiągnęła 7 G. Pot zalewał mu oczy, horyzont był tuż, tuż, cienka linia w celowniku. Walczył z pokusą obejrzenia się przez lewe ramię, koncentrując się na utrzymaniu linii horyzontu poniżej kropki wyznaczającej trajektorię lotu. Jeśli kropka opadnie pod horyzont, znajdzie się w ułamku sekundy na ziemi w charakterze nieboszczyka.

Pocisk minął go z prawej strony.

Następny przemknął tuż pod maszyną – ogłuszający huk, który mocno wstrząsnął samolotem.

Utrzymując wysokość, położył samolot w prawy skręt. Zmniejszył przeciążenie, ponieważ zgasło światełko ostrzegające przed pociskami. Podobnie tablica przeciwdziałania elektronicznego. A nie powinien. Japończycy byli gdzieś z tyłu i zapewne starali się go upolować. Jeśli zdoła utrzymać szybkość, nie uda im się. Musiał się starać.

Po raz pierwszy zerknął na monitor, który informował o stanie zdrowia jego rumaka.

Oho, brak ciśnienia w układzie hydraulicznym, paliły się trzy żółte światełka ostrzegawcze i jedno czerwone. Czerwone oznaczało generator.

Boże! System przeciwdziałania zgasł, bo po uszkodzeniu generatora wysiadło zasilanie.

Kolejny pocisk wybuchł tym razem nad nim. Błysk, huk i grzechot odłamków trafiających w kadłub.

Wyrównał skrzydła. Pomimo niskiego pułapu zaryzykował spojrzenie wstecz.

Nikogo w zasięgu wzroku. Na wskaźniku szybkości nadal 1,6 macha.

Z prawego skrzydła wylewało się paliwo. W lusterku widział, jak cieknie. Rzut oka na wskaźnik paliwa zbiornika prawego skrzydła. Niemal pusty.

Delikatny zwrot w lewo. Sprawdził pozycjoner. Dwadzieścia siedem kilometrów od bazy, kierunek północny wschód.

Grigorij Czernow utrzymywał lewe skrzydło pochylone pod kątem 10 stopni w stronę ziemi, czekając aż nos powoli skieruje się na północ, potem na północny zachód. Wyglądało to tak, jakby skrzydło nurzało się w stepowej trawie. Wrażenie wywoływane prędkością było przejmujące, niezwykłe, leciał nad ziemią na wysokości pięciu metrów. Wpatrywał się uważnie przed siebie, prowadząc samolot nad wzgórzami. Gdyby skrzydło musnęło ziemię, nawet by się o tym nie dowiedział. Zginąłby, nim umysł zdążyłby zarejestrować zdarzenie.

Wyrównał skrzydła, kierując maszynę na zachód.

Czy Zero wciąż go ścigały? Pewnie nie miały już paliwa na pościg.

Ciśnienie oleju w prawym silniku szybko spadało.

Czernow wyłączył dopalacz. Wówczas obroty w prawej turbinie zmniejszyły się. Oszczędzając

paliwo, ustawił dźwignię ciągu na bieg jałowy.

Wciąż miał jeden silnik i jeden generator.

90 kilometrów od bazy zdjął maskę tlenową i wytarł pot zalewający mu oczy i twarz.

Znów sprawdził stan paliwa. Gdzieś musiał być kolejny przeciek. Jeśli nie będzie innych, paliwa wystarczy mu na pół godziny lotu. Z przeciekami na krócej, jednak wciąż żył.

Paweł Saratow powoli obracał się wraz z peryskopem. Peryskop bojowy wystawał zaledwie o kilkanaście centymetrów nad powierzchnię morza, które na szczęście było dziś spokojne. Jednak od czasu do czasu fale zalewały szkła. Wówczas Saratow czekał, aż fala przejdzie i dalej omiatał horyzont. Widoczność ocenił na dziesięć mil morskich.

Widać było trzy statki, dwa wchodziły do Zatoki Tokijskiej, jeden ją opuszczał. Kontenerowiec, ze trzydzieści tysięcy ton, tamte dwa większe.

Żadnego okrętu wojennego w zasięgu wzroku, nawet kutra patrolowego.

Przekręcił uchwyt, by móc obejrzeć niebo. Zachmurzone z każdej strony. Żadnych samolotów.

Wrócił do obserwacji statków. Dwa płynęły na północny wschód, kursem prowadzącym do cieśniny Uraea. stanowiącej wejście do Zatoki Tokijskiej.

Statek najbliższy brzegu był zbyt daleko i wciąż zwiększał dystans, ale jeśli się pośpieszy, zdoła wejść na czystą pozycję strzału względem pozostałych dwóch i pośle je na dno.

Dysponował dziesięcioma torpedami. Pełne uzbrojenie przewidywało dwanaście, ale w arsenałach bazy było tylko jedenaście, a paliwo z jednej musiał sprzedać za żywność. Nie były to nowoczesne torpedy, lecz stare 53-65, pierwsze samonaprowadzające radzieckie torpedy.

Saratow załadował te dziesięć torped na pokład „Admirała Kołczaka", ponieważ regulamin marynarki wojennej wymagał, by okręt wychodził w morze uzbrojony. Nie po to, by z kimkolwiek walczyć. Saratow załadował je mimo wszystko. Wydawało mu się, że jeśli zlekceważy regulamin marynarki, nie będzie miał prawa wymagać posłuszeństwa od swoich ludzi.

Zawsze obawiał się, do czego może dojść, jeśli on i jego ludzie pewnego dnia wypowiedzą posłuszeństwo. Czy staną się wówczas bandą szukających pożywienia morskich włóczykijów? Piratów?

Cofnął głowę od peryskopu. Członkowie zespołu bojowego patrzyli na niego wyczekująco, spodziewając się danych dotyczących odległości i kierunku, które mogliby wprowadzić do komputera.

– Brak okrętów wojennych – zwrócił się do Wołkowa, pierwszego oficera.

Wołkow pochodził z Ukrainy, lecz gdy rozpadał się Związek Radziecki, wybrał rosyjską marynarkę. Ukraińska flota wyglądała na miejsce, gdzie łatwo było się zagłodzić. Uśmiechnął się do Saratowa.

– Zbierajmy się i wynośmy stąd do diabła.

– Powinny być okręty wojenne – powiedział Saratow, przywierając z powrotem do peryskopu. – Na miły Bóg, to przecież jest wejście do Zatoki Tokijskiej.

– Jesteś pewien, że w pobliżu nie ma innych okrętów podwodnych? – spytał operatora sonaru Wołkow.

Ten przecząco pokręcił głową. Wyglądał na urażonego. Gdyby w kakofonii dochodzącej z wejścia do zatoki usłyszał coś, co przypominałoby okręt podwodny, zameldowałby natychmiast.

– Szefie, dodaj jeszcze trochę obrotów – rozkazał Saratow.

Okręt poruszał się tak wolno, że dziobowe i rufowe stery głębokości nie działały, przez co okręt podskakiwał to zbyt wysoko wystawiając peryskop, to znów chowając go pod wodę.

– Rozkaz.

Po kolejnym rozejrzeniu się wokół, Saratow polecił opuścić peryskop. Odwrócił się do mapy na stole nawigacyjnym.

– Powinny być kutry patrolowe, niszczyciele, samoloty, cokolwiek. Czyżby łut szczęścia sprawił, że trafili na przerwę, podczas której zmieniały się jednostki patrolujące? Jeśli tak, powinni szybko uderzyć i zmykać. Wołkow stał obok i spoglądał na mapę.

– Dziesięć torped. Co zrobimy potem? – spytał cicho, wręcz szeptem.

– Nie wiem – mruknął Saratow.

– Zakładając, że uda się nam przeżyć.

– Zostawili Zatokę Tokijską bez ochrony.

Wołkow uszczypał się w nos.

– Wejście muszą zagradzać sieci przeciwko okrętom podwodnym.

– Nie ma holowników otwierających i zamykających wejście. Wchodzą dwa frachtowce, trzeci wychodzi. Jest szeroko otwarte.

– Żółtki są aż tak bezczelni?

– Gdy zaczęła się wojna mieliśmy cztery konwencjonalne okręty podwodne na Pacyfiku. Wszystkie z napędem atomowym poszły na złom. Gdybyś był na miejscu Japończyków, czy nie umieściłbyś raczej sił zwalczających okręty podwodne wokół własnej floty inwazyjnej?

– Hm... flota inwazyjna – powiedział Wołkow, udając, że głośno myśli. – To jest cel, który został nam wyznaczony.

– Zastanawiam się, czy dowództwo nie skierowało przypadkiem wszystkich naszych okrętów podwodnych do Władywostoku?

– Być może – odparł powoli Wołkow. – Czy myślisz...?

– Wiem tylko, że tu nie ma żadnych jednostek do zwalczania okrętów podwodnych. Nawet kajaka – przerwał mu Saratow.

Sięgnął po peryskop. Kiedy był już w górze, znów rozejrzał się dookoła, potem przyjrzał się wejściu do zatoki. Miało szerokość kilku mil. Sama zatoka była wielka, ponad sto mil kwadratowych.

Jedno było pewne. Japończycy nie spodziewali się, że może tędy przedostać się rosyjski okręt podwodny. Więcej, nie spodziewali się tu żadnego okrętu podwodnego.

Po zachodniej stronie zatoki w Yokosuka, obok bazy marynarki, znajdowała się wielka rafineria. Dalej na północ leżała Yokohama z wielkim portem handlowym. Główne kotwicowisko w Yokohamie pełne było tankowców, zbiornikowców i kontenerowców.

Na dziesięć torped sześć spoczywało w wyrzutniach dziobowych. Okręty tej klasy nie miały wyrzutni rufowych.

Mieli również cztery ręczne wyrzutnie rakiet przeciwpancernych RPG-9, które trafiły się im przed kilku laty w drodze wymiany towarowej. Pociski z dwukilowym ładunkiem kumulacyjnym w głowicy mogły przebić pancerz każdego czołgu na świecie, ale nie nadawały się do zatapiania statków.

Okręt nie miał, rzecz jasna, działa pokładowego. We flocie ZSRR zaniechano ich używania w połowie lat pięćdziesiątych. Wytwarzały zbyt wiele hałasu, kiedy okręt pozostawał w zanurzeniu, a na powierzchni miały ograniczoną użyteczność. Jednak na zatłoczonym kotwicowisku, kiedy marynarze mieli czas, by wziąć na cel duże, dobrze oświetlone, nieruchome cele, dobrze byłoby mieć działo pokładowe.

Okręt posiadał jeszcze wyrzutnie pocisków typu woda-powietrze. Zostały umieszczone w kiosku, ale były puste. Saratow od lat nie widział rakiet.

Dwaj saperzy ze Specnazu. Zapominał o nich.

– Peryskop w dół.

Spojrzał w wyczekujące twarze, takie... ufne, takie pełne zapału! Saratow odwrócił się w stronę mapy. Przyglądał się jej przez chwilę, potem pokazał palcem.

– Pierwszy, wolno na południe. Po zmroku wynurzymy się i podładujemy akumulatory.

– Rozkaz.

– Sonar, uważnie nasłuchujcie przez całe popołudnie. Skupcie się na niszczycielach, patrolowcach i wszystkim, co nie jest frachtowcem ani łódką rybacką. Zobaczymy, co przyniesie wieczór.

Spojrzał na zegarek. Druga po południu.

– O trzeciej wszyscy oficerowie zbierają się w mesie.

Wojskowa ciężarówka pędziła brukowaną drogą. Ruch był niewielki, zaledwie parę ciężarówek, w większości z uciekającymi na zachód przed inwazją cywilami.

Grigorij Czernow siedział na przydrożnym głazie i obserwował przejeżdżające auta. Na krwawiącą ranę ramienia złożył opaskę uciskową z oddartego kawałka podkoszulka, powstrzymując w ten sposób krwawienie. W dodatku podczas katapultowania nadwerężył sobie prawy bark, choć nie wyglądał na złamany czy uszkodzony. Bolał go bardzo. Usiłował go rozruszać, mając nadzieję, że ból minie.

Boże, ależ był zmęczony. Najchętniej wyciągnąłby się obok drogi i zasnął.

Ponury pejzaż. Wiatr gnał chmury od zachodu. Zasłoniły słońce i zrobiło się chłodno.

Spacerował w kółko, żeby się rozgrzać, gdy przejeżdżająca obok ciężarówka z piskiem hamulców zatrzymała się sto metrów dalej.

Grigorij Czernow podniósł hełm, kamizelkę ratunkową i poszedł w stronę ciężarówki.

Z kabiny wyskoczył chorąży i pobiegł w stronę Czernowa. Zatrzymał się, zasalutował, potem pomógł majorowi wsiąść.

Rozdział 13

– Panowie, nie ma żadnego skrawka rosyjskiej ziemi, do którego moglibyśmy powrócić – powiedział szefom wydziałów Paweł Saratow.

– Możemy znaleźć parę wiosek rybackich, zbyt małych, żeby interesowali się nimi Japończycy – odezwał się jeden z młodzików. Nie miał więcej jak dwadzieścia trzy, cztery lata. – Zostawilibyśmy okręt i popłynęli do brzegu.

– Chcesz zostać rybakiem, Karasin?

Reszta udawała, że kaszle. Siedzieli stłoczeni wokół malutkiego stolika w mesie oficerskiej.

– Zatoka Tokijska – ciągnął Saratow – to największy port w Azji, może nawet na świecie. Mamy dziesięć torped, cztery RPG-9 i sto kilo plastiku. Proponuję wejść do zatoki, rozejrzeć się i uderzyć w ich czułe punkty.

– Dowódco, czemu po prostu nie zatopimy trzech, czterech statków i po sprawie?

Saratow spojrzał kolejno w twarze zebranych.

– Pytanie brzmi: co możemy zrobić, żeby jak najmocniej ich zabolało?

– Dowódco – zaczął pierwszy mechanik. – Nie wydaje mi się rozsądne prosić ludzi, by ryzykowali życie, usiłując dokopać Japończykom. To, że Rosja nie jest w stanie stawić oporu Japonii jest faktem. Nie mamy sił i środków, by bronić się na przedmieściach Moskwy, a co dopiero walczyć na Zachodnim Pacyfiku. Wszyscy o tym wiedzą. Co zyskamy w ten sposób?

Paweł Saratow popatrzył ze zdumieniem na młodego oficera. Nigdy dotąd nie słyszał takich komentarzy z ust młodej kadry. W dawnych czasach, kiedy okrętami zawiadywali oficerowie polityczni, taka uwaga oznaczałaby automatycznie koniec kariery w marynarce. Usiłował zachować niewzruszony wyraz twarzy.

– O nic nikogo nie proszę – rzekł w końcu. – Żądam wykonywania rozkazów.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Wrażenie wywołane egzekucją było wciąż żywe.

– Pierwszy?

Wołkow wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował zebranych. Nawet Saratow wziął papierosa.

– Najdotkliwiej możemy ugodzić ich od wewnątrz – odezwał się, kiedy wszyscy już zapalili. – Zatopienie wielkiego tankowca w porcie Yokohama wywoła polityczne skutki, z którymi nawet Japonia musi się liczyć. Prawdopodobnie dopadną nas niezależnie od tego, co zrobimy. Kopnijmy ich więc mocno w jaja, dopóki możemy wierzgać.

– Co potem? – spytał pierwszy mechanik.

Saratow nie odpowiedział. Młody oficer poczerwieniał.

– Nie wiem – odrzekł w końcu dowódca.

– Prawdopodobnie nie będzie żadnego potem – odpalił mechanikowi jeden z obecnych. – Chcesz to dostać na piśmie?

Nikt nie miał nic do dodania.

– Wracajcie do obowiązków – powiedział Saratow.

– Co mam umieścić w wieczornym raporcie dla Moskwy? – spytał oficer łączności.

– Nic. Nie będzie wieczornego raportu. Nie będzie żadnej łączności radiowej aż do odwołania.

– Ale nie składaliśmy wieczornych raportów od dwóch dni. Moskwa pomyśli, że nie żyjemy.

– Mam nadzieję, że to samo pomyślą sobie Japończycy.

Bogorow poczekał, aż wyjdą pozostali. Pochodził z Moskwy i ukończył Akademię Marynarki.

– Nie musiał pan zabijać Swieczina – powiedział, gdy zostali sami.

– Milcz, durniu! Oni muszą zrozumieć, co do jednego, że ja jestem władcą tego okrętu. Składałem przysięgę i ona coś dla mnie znaczy. Będę walczył na moim okręcie. Każdy ma wypełniać swoje obowiązki. Zastrzelę każdego, kto się sprzeciwi. Nikt tu nie ma wyboru, ani ja, ani ty, ani oni.

Bogorow nic nie powiedział.

Paweł Saratow skrzyżował ręce na stole i popatrzył Bogorowowi prosto w oczy.

– Jeśli sprzeciwisz mi się w obecności załogi choćby jednym słowem, Bogorow – dodał cichym głosem – wpakuję ci kulkę w masę szarego gówna, którego używasz zamiast mózgu. Będziesz posłuszny do ostatniego tchnienia, do ostatniej kropli krwi, bo inaczej własnoręcznie wsadzę twoje ścierwo do wyrzutni torpedowej.

Cassidy i jego piloci szybko weszli w rytm zajęć w bazie lotniczej Rhein – Main. Codziennie każdy pilot spędzał przynajmniej dwie godziny w symulatorze, ćwicząc przechwytywanie, walkę powietrzną i radząc sobie z usterkami technicznymi. Kolejne dwie godziny upływały im na stanowisku instruktora przy obserwowaniu kolegów latających w „pudełku", jak nazywali symulator. Przez resztę dnia studiowali instrukcje obsługi maszyny i wypełniali testy, które miały pomóc im w powtórzeniu zapamiętanego materiału i znaleźć luki w wiedzy.

Drugiego wieczoru w Niemczech Bob Cassidy zebrał całą grupę w sali nieopodal symulatora.

– Powiedziano mi, że niektórzy z was chcieli wysłać stąd pocztę elektroniczną. Czy to prawda?

– Tak, sir – mruknęły trzy czy cztery osoby.

– Dobrze, możecie to zrobić, ale pod warunkiem, że każdy list zostanie ocenzurowany przez kolegę. Wybierzcie sobie cenzorów. Wszelkie spory pomiędzy cenzorem a autorem listu rozsądzi „Kapelan" Fain. Wszystkie listy przed wysłaniem mają być rozszyfrowane.

Uśmiechy i skinienie głową. Kilka osób zaczęło się rozglądać po sali, jakby już szukali chętnych do ocenzurowania ich listów.

– Wszystko, co będzie teraz omawiane – ciągnął Bob – jest ściśle tajne.

Oczy zebranych skupiły się na nim.

– W ten weekend wyjeżdżamy do Rosji. Zostaniemy tu jeszcze przez cztery dni i codziennie będziemy latać. Loty będziemy odbywać czwórkami ze mną lub Dickiem. I także Nadal ćwiczyć w symulatorze, ale chcemy też zobaczyć, jak wszyscy radzą sobie w powietrzu z prawdziwym samolotem. W niedzielę lecimy do bazy lotniczej Czita na Syberii. Będą towarzyszyły nam cysterny, umożliwiając uzupełnienie paliwa po drodze. Polecimy w pełnym uzbrojeniu, gotowi do walki w każdej chwili. Siły Powietrzne przerzucą mechaników wraz ze sprzętem do Czity już jutro. Jak wspominałem, baterie rakiet Sentinel są już w drodze do Rosji. Nowy rosyjski szef sztabu, marszałek Gładyszew, wyraził zgodę, by zostały rozmieszczone tam, gdzie zdaniem naszych ekspertów będą najbardziej efektywne. Pułkownik przerwał na chwilę.

– Jesteście ochotnikami. Dzisiejsza noc jest ostatnia, kiedy mogę odesłać was do domu z podziękowaniem, i uściśniemy sobie ręce. Nie będzie żadnych szykan ani wymówek, jeśli ktoś zgłosi się do mnie w ciągu nocy i powie, że po namyśle postanowił wrócić do domu. Zrozumiem to. Jutro będzie to całkiem inna sprawa. Jutro znajdziecie się w szeregach rosyjskich sił powietrznych. Jutro niczego nie mogę obiecać.

Popatrzyli na siebie, chcąc się przekonać, co sądzą ludzie z prawej i lewej strony. Wszyscy włożyli pokerowe maski i sprawdzali, jak udało się to innym.

– Powiem wam jeszcze, że niektórzy z nas zginą. Nie wiem ilu, jeden Bóg to wie. Ale niektórzy zginą. Nie wiem kto, może wszyscy. Nie mam kryształowej kuli. Walka będzie zażarta. Nie będzie można prosić o zmiłowanie. W bezpośredniej walce lotniczej nie ma reguł. Będziemy latać i walczyć nad najbardziej bezludnymi rejonami na świecie. Jeśli się katapultujecie, nie przyleci po was żaden

śmigłowiec. Żadna brygada ratunkowa nie rzuci się, by wyciągnąć was z krzaków. CIA obiecuje pomoc, ale nie liczyłbym na to. Jeśli nie potraficie zadbać o siebie, zginiecie tysiące kilometrów od cywilizacji. Wątpię, czy ktokolwiek znajdzie wasze zwłoki. Syberia jest cholernie wielka. Zastanówcie się nad tym przez noc. Gdyby ktoś chciał pogadać, będę do dyspozycji w moim pokoju.

Bob Cassidy wyszedł. Zanim jednak udał się do siebie, wstąpił do centrum łączności bazy i bezpiecznym kanałem satelitarnym połączył się z pułkownikiem Johnem Eatherlym, doradcą generała Tucka w Waszyngtonie. Dzwonił codziennie, informując o wszystkim Eatherly'ego. Tym razem rozmawiali o pilotach.

– Czy któryś z nich się wycofa?

– Może Lacy. Nie wiem, to się okażę.

– A Hudek? – spytał Eatherly. – Szczęka mi opadła, kiedy zobaczyłem jego akta. Wydaje mi się, że podejmujesz poważne ryzyko.

– Jest zabójcą, psychopatą.

– Hmm...

– Niektórzy z asów są stuknięci jak wściekłe osy. Faceci w stylu Alberta Balla, Czerwonego Barona...

– Mógłbym wymienić przynajmniej ze dwudziestu – zgodził się Eatherly.

– Wziąłem więc tego chłopca. Mam nadzieję, że nie będę żałował.

– Cóż, jeśli będzie zachowywał się zbyt dziwacznie, możesz go osobiście zastrzelić. Rosyjski regulamin jest bardziej liberalny niż Wojskowy Kodeks Sił Zbrojnych USA.

Cassidy roześmiał się.

– Wreszcie się śmiejesz – powiedział Eatherly.

– To dlatego, że nie wiedziałem, ile ode mnie zależy.

Bob Cassidy pożegnał się i wrócił do kwater oficerskich. Do północy zajmował robotą papierkową, potem zgasił światła i położył się do łóżka. Nikt nie zastukał do drzwi.

Po zmroku rosyjski okręt podwodny „Admirał Kołczak" wystawił chrapy i uruchomił diesle. Znajdowali się o dwadzieścia mil na wschód od wyspy Oshima, przed wejściem do Zatoki Tokijskiej. Saratow i pierwszy oficer na zmianę prowadzili nieustanną obserwację przez peryskop. Po zauważeniu świateł kilku frachtowców Saratow doszedł do wniosku, że przy drobnym deszczu widoczność spadła do około trzech mil. Każdy statek był wyposażony w radar, a japończycy na pewno mieli nabrzeżną stację radarową, więc nie było mowy o wynurzeniu.

Saratowa martwiły niszczyciele, których nie widział. Czy to wyłącznie beztroska, arogancja i lekkomyślność sprawiły, że Japończycy pozostawili wejście do zatoki bez dozoru? A może przygotowali pułapkę, w którą wpadną naiwniacy?

Saratow nie miał, rzecz jasna, bojowego doświadczenia. Radziecka a potem rosyjska marynarka nie walczyła od 1945 roku, kiedy kapitana jeszcze nie było na świecie. Czuł się zielony, w całkiem obcym żywiole.

Czy ocenił sytuację prawidłowo, czy coś przeoczył?

W tym momencie przydałoby się najmniejsze doświadczenie. Pocieszał się jedynie tym, że Japończycy nie mają większego doświadczenia niż on.

Kark i ramiona zaczęły go boleć. Przywarł do peryskopu, nieustannie nim obracając.

Gdyby tylko miał swój stary okręt podwodny klasy Alfa. Mógłby siedzieć na dnie Zatoki Tokijskiej aż do wyczerpania się zapasów żywności. Nadający się na eksponat muzealny „Admirał Kołczak" mógł pozostawać w zanurzeniu zaledwie przez siedem dni przy minimalnych obrotach silników elektrycznych. Nawet przy wyłączonych silnikach siedem dni stanowiło górną granicę.

Powietrze robiło się tak nasycone dwutlenkiem węgla, że ludziom groziła śmierć z braku tlenu.

Z każdą godziną rosły szansę na wykrycie ich obecności w zatoce. Nie było czasu do stracenia. Musiał albo zaatakować Japończyków, albo uciekać na pełne morze.

Posuwali się w stronę wejścia, czekając na statek, z którym mogliby się zabrać. Gdyby Japończycy mieli ułożone u wejścia do zatoki pasywne hydrolokatory, szum śruby frachtowca mógłby zagłuszyć odgłosy okrętu podwodnego.

Musiał rozgrywać to przyjmując, że Japończycy prowadzą nasłuch. A swoją drogą, ci idioci powinni.

Minęła północ. Pierwszy oficer zluzował na kwadrans Saratowa przy peryskopie, by dowódca mógł odetchnąć, spojrzeć na mapę i napić się gorącej herbaty.

Po drugiej w nocy zauważył wielki kontenerowiec o wyporności ponad pięćdziesiąt tysięcy ton, zdążający kanałem w kierunku wejścia do zatoki. Zbliżał się do okrętu podwodnego z prędkością dziesięciu węzłów. Saratow miał ochotę wpakować mu torpedę.

Nie. Wewnątrz portu mogą wyrządzić więcej szkód.

Zeszli z kursu kontenerowca.

– To ten – mruknął do oficera pokładowego. – Zabieramy się razem z tym statkiem.

Chrapy zostawił wysunięte. Utrzymując prędkość dziesięciu węzłów, szybko wyczerpałby akumulatory, a na to nie mógł sobie pozwolić. Z drugiej strony okręt hałasował o wiele bardziej używając silników diesla niż napędu elektrycznego, jeśli Japończycy mają hydrolokatory denne ułożone w wejściu do zatoki, istnieje duża szansa, że usłyszą okręt podwodny.

Paweł Saratow pomyślał sobie jednak, że nawet gdyby go usłyszeli, mogą nie zorientować się, skąd pochodzi dźwięk. Albo go zignorować. Następnej nocy nie będzie miał zbyt wiele czasu na podładowanie akumulatorów, a będzie potrzebował każdego ampera na ucieczkę przed siłami ZOP. Przemyślał problem i podjął decyzję.

Zawrócił okręt i ustawił go o pięćset metrów za frachtowcem. Był wielki, oświetlony niczym nieduże miasto.

Powiększywszy obraz w peryskopie odczytał wypisane na rufie czerwoną farbą litery: UNDA SUE, MONROVIA. Były oświetlone dwiema lampami.

Przez cały wieczór Saratow studiował mapę zatoki. Rozpoznał skręt w kanał przy Uraga i na kotwicowisko. Trzymał się „Lindy Sue", gdy ta majestatycznie sunęła kanałem, który prowadził ją do nabrzeża Yokohamy lub Tokio. Pomimo ograniczonej widoczności i deszczu w zatoce, znajdowało się sporo małych jednostek – kutrów rybackich i motorówek policyjnych.

Na tle ciągnącego się po horyzont oświetlonego brzegu po zachodniej stronie zatoki odznaczały się sylwetki kilkunastu kutrów rybackich. Saratow zauważył kuter zakotwiczony tuż po drugiej stronie kanału żeglugowego. Niechętnie rozkazał wyłączyć silniki diesla i opuścić chrapy. Hałas rur wydechowych był tak głośny, że ktoś mógłby go usłyszeć. Wolał nie ryzykować.

Dotarł aż do Yokohamy i przyjrzał się co najmniej setce statków czekających przy nabrzeżach na załadunek lub rozładunek. Gąszcz wszystkich bander, z wyjątkiem rosyjskiej. Cóż, wszystkie podejmowały ryzyko przywożąc lub zabierając ładunek w porcie strony znajdującej się w konflikcie zbrojnym.

Przepłynięcie zatoki trwało pięć godzin, potem zawrócili na południe, gdzie znalazł miejsce, by przywarować na mulistym dnie o kilometr od rafinerii mieszczącej się na północnym krańcu Yokosuki, na północ od bazy marynarki. Nabrzeże rafinerii sięgało pięćset metrów w głąb zatoki. Przycumowały tam dwa zwykłe tankowce, a na samym krańcu stał tankowiec do przewożenia skroplonego propanu z dużym zbiornikiem ciśnieniowym na śródokręciu.

Saratow poczuł rozdzierający ból głowy. Stał w centrali, masując kark i przecierając oczy.

Nikt na okręcie nie gadał po próżnicy. Kiedy mieli sobie coś do powiedzenia, szeptali, jakby Japończycy siedzieli w pokoju obok, trzymając szklankę przy ścianie. Być może wyczuwali, że są na krawędzi czegoś wielkiego i nieskończenie niebezpiecznego.

Saratow uśmiechnął się pod nosem i poszedł do swej małej kabiny wyciągnąć się na koi. Jego ludzie nie zdawali sobie chyba sprawy, że okręt był bezpieczniejszy w błocie zatoki, niż będzie gdziekolwiek indziej po rozpoczęciu akcji.

Dziś w nocy. Dzisiejszej nocy dokonają rzeczy niemożliwej. Tymczasem się prześpi.

Dwaj specjaliści od podwodnych eksplozji siedzieli w mesie naprzeciw Saratowa i pili herbatę. Było późne popołudnie. Na drugim końcu stołu piętrzyły się brudne naczynia.

Specjaliści byli fenomenalnymi okazami sprawności fizycznej. Grube karki, potężne bicepsy i ramiona ciężarowców odróżniały ich od załogi.

– Długo służyliście w Specnazie? – spytał Saratow.

– Dwanaście lat – odparł jeden z nich. Na koszulce miał wypisane nazwisko Lichaczew. Drugi Filimonow. – Jednostka uległa rozwiązaniu, wszystkich zwolniono. Mieliśmy do wyboru: albo banda napadająca na tiry, albo marynarka.

– Hmm... – mruknął Saratow, popijając herbatę.

– Banda to lepszy interes – wyjaśnił Filimonow. – Mniej roboty, więcej forsy. Niestety, mieli we zwyczaju szastać forsą na prawo i lewo. Pomyśleliśmy, że to nie potrwa długo. Słyszeliśmy, że niedobitki chowają się po lasach.

– Kapitalizm to twarda szkoła życia.

– Bardzo duża konkurencja.

– Chcę, żebyście zniszczyli rafinerię. Możecie to zrobić?

– Rafinerię! Plastikiem?

– Pomyślałem sobie, że moglibyście wyjść śluzą powietrzną w przedziale torpedowym, dopłynąć do brzegu, założyć ładunki i przypłynąć z powrotem. Popatrzyli na siebie.

– To jest możliwe. Kiedy?

– Tej nocy. Jak tylko się ściemni. Ile czasu wam to zajmie?

– Im więcej będziemy mieli czasu, tym lepiej wykonamy zadanie.

– Chcę, żebyście wzniecili ogień, który niełatwo będzie ugasić, spowodowali maksymalne zniszczenia.

– Ach, maksymalne zniszczenia – uśmiechnął się do dowódcy Lichaczew, potem łypnął na Filimonowa. Połowę zębów miał z szarej stali.

Filimonow wyszczerzył się w okropnym grymasie. Saratow domyślił się, że miał to być uśmiech.

– Dajcie nam sześć godzin, a wzniecimy taki pożar, jakiego jeszcze Tokio nie widziało.

– Sześć godzin – wtórował mu Filimonow – Maksymalne zniszczenia.

– Dobrze – zgodził się Saratow. – Sześć godzin od chwili opuszczenia śluzy.

– Nie mamy naszego normalnego wyposażenia, komandir. Bez żadnych wskaźników możemy mieć pewne trudności ze znalezieniem powrotnej drogi do okrętu.

– Jakieś propozycje?

– Moglibyśmy przywiązać do luku śluzy boję.

– A jeśli okręt wynurzy się?

– To byłoby dla nas najlepsze rozwiązanie.

– Podejmiemy takie ryzyko – postanowił Saratow. – Wynurzymy się o trzeciej trzydzieści.

– Znajdziemy okręt.

– Po wynurzeniu czekamy przez piętnaście minut. Jeśli nie wrócicie w ciągu kwadransa, odpływamy bez was.

– Komandir, jeśli nie wrócimy, to znaczy, że zginęliśmy.

Paweł Saratow wszedł do przedziału torpedowego, żeby zobaczyć jak Lichaczew i Filimonow wyjdą przez luk. Obaj mieli na sobie czarne pianki i ekwipunek płetwonurków. Plastik, zapalniki i detonatory zostały spakowane w dwie wodoszczelne torby, po jednej dla każdego nurka. Dwóch marynarzy ledwo mogło dźwignąć każdą z nich.

Obaj saperzy ze Specnazu mieli noże przypięte do przedramienia. Saratow żałował, że nie może wyposażyć ich w pistolety. Specnaz miał wodoodporną broń i amunicję dla swoich płetwonurków, lecz marynarka nie dysponowała takim sprzętem.

– Bez obaw, komandir. Noże wystarczą. Jesteśmy fachowcami.

Przez śluzę wychodzili pojedynczo. Najpierw Lichaczew. Wspiął się po drabince, włożył maskę i jedną ręką wciągnął do środka podaną mu przez marynarza torbę z materiałami wybuchowymi. Marynarze zamknęli za nim właz.

Po pięciu minutach nadeszła pora Filimonowa. On również nie miał kłopotów z zabraniem torby. Zamykającym właz marynarzom pokazał uniesiony kciuk.

Kiedy usłyszeli, jak po raz drugi otwiera się zewnętrzny właz, Paweł Saratow zerknął na zegarek. 21.35. O 3.30, dwanaście godzin po schowaniu chrapów, wynurzy okręt.

Wrócił do centrali. Czekali tam na niego pierwszy oficer i szef pokładu.

– Poszli. O trzeciej trzydzieści wejdziemy na peryskopową, rozejrzymy się, a potem wynurzymy. Potrzebuję dwóch ludzi na pokładzie, żeby pomogli wejść nurkom. Dwóch następnych ma czekać w przedziale torpedowym z ręcznym granatnikiem przeciwpancernym. Jeśli dostrzeżemy odpowiedni cel, wejdą na górę i otworzą ogień. Kiedy nurkowie znajdą się na pokładzie, a rafineria stanie w płomieniach, płyniemy do Yokohamy posłać kilka torped uczestnikom przyjęcia.

Na twarzach zebranych centrali osób malowało się napięcie.

– Pokażemy się z najlepszej strony. Dokonamy maksymalnych zniszczeń. Potem wyprowadzimy okręt z zatoki i wyniesiemy się stąd w cholerę.

Paru się uśmiechnęło, reszta sprawiała wrażenie przestraszonych. Mają za dużo czasu, pomyślał kapitan. Zbyt wiele rozmyślają nad problemami Rosji, zastanawiają się nad losem żon i dzieci wchłoniętych przez japońską inwazję. Jeśli czymś ich nie zajmie, wkrótce nie będą w stanie niczego zrobić.

– Spodziewam się, że każdy członek załogi wykona swoje zadania dokładnie tak, jak był szkolony. Będziemy odpalać torpedy i strzelać z granatnika przeciwpancernego. Mogą nas namierzyć wrogie okręty. Wszystko będzie działo się w gorączkowym tempie. Dlatego skupcie się na wykonaniu waszych zadań.

– Rozkaz – powiedział Wołkow, pierwszy oficer.

– Szef pokładu sprawdzi każdy przedział. Wyjaśni wszystkim nasz plan i dokładnie powtórzy to, co przed chwilą powiedziałem. Każdy ma robić, co do niego należy.

– Rozkaz, komandir.

– Pierwszy, następny posiłek o 1.00. Najlepszy, jaki uda się przyrządzić. Czy możesz tego dopilnować? – Wszystkie te czynności zużywały bezcenny tlen, powietrze i tak już robiło się gęste, ale Saratow czuł, że podniesienie morale załogi jest tego warte. Tlen i elektryczność mogą okazać się bezcenne, jeśli Japończycy odkryją ich obecność, zanim zdążą się wynurzyć, ale wliczył to w koszt ryzyka. Samo życie jest ryzykowne, pomyślał. – Uruchomić pochłaniacze dwutlenku węgla.

– Tak jest.

– Bogorow, po wynurzeniu wyślecie tę depeszę do Moskwy. – Wręczył kartkę oficerowi łączności. – Chcę, żeby marynarka i cały naród rosyjski wiedział, czego dokonali ci ludzie, i że do końca wypełnili swój marynarski obowiązek.

– Zakoduję ją natychmiast – powiedział Bogorow.

– Doskonale.

Rosyjskim marynarzom po uprzątnięciu talerzy po posiłku pozostawało jedynie oczekiwanie. Wszystkie luźne przedmioty zostały schowane, każde urządzenie sprawdzone. Marynarze zajęli swoje stanowiska, wszędzie paliły się czerwone światła, sygnalizujące gotowość do wynurzenia.

Czekali, patrzyli na zegarki, pocili się, myśleli o domu albo zbliżającej się walce i marzyli... żeby już było po wszystkim. Najbardziej denerwowała ich niepewność. Nie wiedzieli, co się stanie, czy Japończycy wykryją ich i zaatakują, a jeśli uda się im wydostać na pełne morze, czy przygwożdżą ich P-3 lub niszczyciele.

Wielu z nich zostawiło w Pietropawłowsku dziewczyny lub żony, więc zajęli się pisaniem listów. Myśleli o domu, o Rosji, o długich, gorących dniach, brzęczących owadach, spalonym słońcem stepie, o śmiejących się dziewczynach i pocałunkach w mroku... To zdumiewające, jak drogi staje się człowiekowi dom i rodzina, kiedy zdaje sobie sprawę, że może ich już więcej nie zobaczyć.

W maszynowni wybuchła sprzeczka między dwoma młodymi marynarzami, ale szef ich uciszył. Syknął coś i szepty ustały.

Paweł Saratow udawał, że tego nie słyszał.

Nurkowie ze Specnazu w tym momencie powinni zakładać ładunki. Rafineria miała wylecieć w powietrze o 3.45. Jeśli tak się nie stanie, nic nie będzie mógł na to poradzić. No, oczywiście, może wystrzelić kilka granatów, ale szkody będą nieporównywalnie mniejsze.

Istniała możliwość, że Japończycy schwytali nurków i właśnie przygotowują się do poszukiwań okrętu, który ich przywiózł. Możliwe, lecz mało prawdopodobne. Nie przypuszczał, żeby rafinerii pilnowali strażnicy zdolni do ujęcia żywcem Lichaczewa czy Filimonowa.

A jeżeli Japończycy zauważyli okręt podwodny z powietrza?

Ktoś siedzący w samolocie spoglądając w dół mógłby zauważać zarys okrętu w mętnej wodzie zatoki. Mogli zaczaić się w rafinerii. Mogli zgromadzić siły ZOP i czekać, aż trafią wprost w pułapkę.

Mogli zabić Lichaczewa i Filimonowa. Wówczas, pomyślał Saratow, nigdy nie dowiemy się, co zaszło. Oni nie wrócą, a rafineria nie wyleci w powietrze.

Ktoś zabawiał się ołówkiem, stukając w stół.

Saratow zmarszczył brwi i stukanie ustało.

Podniesienie okrętu z grząskiego dna będzie nie lada sztuką. Prawdopodobnie zarył się w muł. No, jeśli nikogo nie będzie w pobliżu... Jednak musiał być gotowy do wynurzenia i odpalenia torped podczas przejścia przez kotwicowisko Yokohamy... On i pierwszy oficer opracowali już trasę i czas przejścia. Pierwszy zajmie się wszystkim, więc w krytycznych sytuacjach Saratow nie będzie musiał martwić się o nawigację.

Wziął głęboki wdech. Już niebawem. Wkrótce...

Wszystkie rafinerie wyglądają mniej więcej tak samo: urządzenia przemysłowe do podgrzewania ropy naftowej pod ciśnieniem, żeby przerobić ją na benzynę, olej opałowy i smary. Kiedy Lichaczew i Filimonow wynurzyli się, trzymając torby z ładunkami wybuchowymi, pobiegli w stronę ogrodzenia i zatrzymali się, żeby zobaczyć, czy w rafinerii nie ma robotników lub straży. Było tylko kilku robotników, ale nie dostrzegli strażników.

Prawie niewidoczni w swoich czarnych piankach, dywersanci przekradali się przez teren jak

koty, przystając w cieniu i czając się przy węgłach. Szkoleni na taką okoliczność przed laty, dobrze przyswoili sobie lekcję z budowy rafinerii.

Teraz pokazywali sobie rozmaite urządzenia. Nic nie mówili, tylko pokazywali.

Brak strażników niepokoił Lichaczewa, który zaczął podejrzewać pułapkę. Pilnie wypatrywał kamer straży przemysłowej oraz czujników podczerwieni i ruchu. Z torby wyjął niewielką lornetkę i rozpakował z wodoszczelnej osłony. Ponownie zlustrował wszystkie wieże, rurociągi, ściany i okna. Nic. Ani jednej kamery. Poczuł się dotknięty. Japonia jest w stanie wojny, a rafineria jako strategiczny obiekt przemysłowy stanowi naturalny cel dla wroga, a tu nie ma żadnej straży! Muszą mieć bardzo kiepską opinię o rosyjskim potencjale wojskowym, skoro nie pofatygowali się, by wystawić straże. Zdumiewające.

Nurkowie rozdzielili się.

Wybrali miejsca na podłożenie ładunków i umieścili je, pracując ostrożnie, rozglądając się bez przerwy. Kilka razy musieli się chować, gdy w okolicy pojawiali się robotnicy.

Lichaczew poświęcił mnóstwo czasu na wykonanie zadania. Mimo iż było ich tylko dwóch, praca trwała o wiele krócej, niż się spodziewał.

W godzinę od wyjścia z wody założył ostatni ładunek i nastawił zegar. Rozejrzał się za Filimonowem, którego ostatni raz widział udającego się w kierunku kilkunastu dużych zbiorników z benzyną, które znajdowały się obok rafinerii.

Lichaczew szedł ostrożnie, trzymając się w miarę możności mroku i często przepatrując teren, kiedy po raz pierwszy zauważył strażnika.

Umundurowany strażnik miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i czapkę. Przyjechał małym samochodem z kogutem na dachu. Strażnik rozglądał się wokół i zapinał płaszcz, by uniknąć dokuczliwej mżawki. Potem sięgnął do auta po podkładkę z papierami i latarkę.

Bez pośpiechu ruszył w stronę zbiorników, rozglądając się na prawo i lewo.

Czy ktoś wspominał mu o wojnie?

Lichaczew przekradł się przez drogę pod osłonę cienia jednego z wielkich, okrągłych zbiorników. Poruszał się tak szybko, jak pozwalała ostrożność.

Gdzie jest Filimonow?

Duży rurociąg, o półmetrowej co najmniej średnicy, prowadził od rafinerii w stronę zbiorników, rozgałęziając się do każdego z nich. Mnóstwo zaworów.

Filimonow lubił rurociągi. Śmiesznie mały ładunek potrafił zniszczyć zawór bezpieczeństwa, dewastując zarazem całą linię.

Lichaczew przyśpieszył, rozglądając się za parterem. Mógł oczywiście pójść na sam koniec i poczekać, ale jeżeli Filimonow wciąż zakładał ładunki, w dwóch skończyliby szybciej.

Wysunął głowę zza zbiornika i dostrzegł promień światła latarki. Strażnik!

Powolutku okrążył zbiornik, poruszając się ostrożnie w ciemnościach... Odczekał kilka sekund, zanim znów wyjrzał. Strażnik minął go. Szedł powoli, rozglądając się. Czy coś zauważył? A może po prostu...

Z mroku wyłonił się ciemniejszy kształt i przykrył strażnika. Latarka upadła i zgasła.

Strażnik błyskawicznie został odciągnięty z pola widzenia pomiędzy zbiorniki.

Lichaczew poszedł w tę stronę.

Zobaczył, że Filimonow siedzi obok strażnika, trzymając go za głowę. Nawet w mroku Lichaczew mógł dostrzec nienaturalny kąt, jaki tworzy głowa strażnika względem tułowia. Jeden rzut oka wystarczył, Filimonow głęboko podciął mu gardło, niemal pozbawiając głowy.

Ale czemu Filimonow siedzi?

– Chodźmy, Wiktorze. Ramiona Filimonowa drżały. Boże, on płacze!

– Idziemy, Wiktorze. O co chodzi?

– To dziewczyna!

– Co?

– Strażnikiem była kobieta! Zobacz sam!

– No cóż....

– Kobieta strażnikiem! Ci idioci...

– Chodź, Wiktorze. Kończmy i wynośmy się stąd.

– Kobieta... – Wiktor bez ruchu wpatrywał się w ciało.

Radio zaskrzeczało coś po japońsku. Dwa zdania zakończone pytającym tonem. Strażniczka miała radio!

Lichaczew odnalazł torbę Filimonowa. Zajrzał do środka. Pozostał jeden ładunek. Szybko przytwierdził go do najbliższego zbiornika. Wsunął detonator do plastiku i połączył z zapalnikiem zegarowym. W świetle miniaturowej lampki sprawdził zapalnik. Tykał cichutko, odmierzając czas.

Wziął Filimonowa pod pachę i postawił na nogi.

– Nie mamy na to czasu. Ona nie żyje. Nie możemy jej zabrać. Radio przy pasku strażniczki znów zaskrzeczało.

– Kobieta. Nigdy nie zabiłem... Nawet w Afganistanie. Nie wiedziałem...

– Wiktorze Grigoriewiczu...

– Nigdy!

Lichaczew uderzył go w twarz. To był jedyny sposób. Filimonow nie bronił się.

Odwrócił przyjaciela w stronę zatoki.

– Przyjdą jej szukać – powiedział Lichaczew.

– Nie ważyła nawet czterdziestu kilo – mruknął cicho Filimonow, wciąż usiłując zrozumieć.

Jiro Kimura pisał list do swojej żony, nie wiedząc kiedy i czy w ogóle Shizuko go otrzyma. Cała korespondencja z Japonią podlegała ocenzurowaniu. Ten list z pewnością nie przejdzie przez cenzurę. Zajmie się nim podpułkownik, którego jedynym obowiązkiem było składnie meldunków na starszych oficerów oraz czytanie korespondencji.

Mimo wszystko napisał ten list. Zaczął od wyznania Shizuko, że ją kocha i że tęskni, potem opisał lot do Chabarowska, w trakcie którego zestrzelił samolot pasażerski.

Dowódca skrzydła usiłował zawstydzić go po powrocie. Byli wściekli, że kwestionował polecenia kontroli lotów.

– To mógł być sam premier. Często osobiście nadzoruje działania bojowe. To on mógł wydać ci rozkaz zestrzelenia tego samolotu.

Jiro nie protestował. Właśnie zabił bezbronnych ludzi i ciężko było mu się z tym pogodzić. Stał z pochyloną głową. Był to zaledwie uprzejmy gest. Nic dziwnego, że naraził się na gniew pułkownika.

– Przysięgałeś wypełniać rozkazy, Kimura – grzmiał dowódca skrzydła. – Kodeks Bushido wymaga całkowitego, ślepego posłuszeństwa. Obrażasz nas, kwestionując rozkazy swoich szanownych przełożonych.

Kimura milczał.

– Nieprzyjacielski samolot w strefie działań wojennych jest prawnie usankcjonowanym celem, Kimura. Twoim zadaniem jest niszczenie wrogich samolotów. Naród wyposażył cię w bardzo drogi myśliwiec, żebyś mógł wykonać to zadanie. Obrażasz swój naród i siebie samego, jeśli odmawiasz natychmiastowego wykonania rozkazu, obojętnie małej czy wielkiej wagi. Obrażasz mnie! Nie pozwolę obrażać siebie ani tej jednostki. Masz być posłuszny! Zrozumiałeś? – krzyczał jego

dowódca.

Kimura opisał to wszystko w liście, tak jak zdołał zapamiętać. Czuł, jak się wstydzi, kiedy krzyczało na niego dwóch pułkowników. Zaczerwienił się ze złości. Jego dowódca źle to zrozumiał i doszedł do wniosku, że wystarczy już słownej reprymendy, więc zamilkł. Dowódca skrzydła również wkrótce przestał krzyczeć.

Jiro Kimura wstydził się za siebie i swoich kolegów, tych japońskich żołnierzy, którym kodeks Bushido i osobliwe poczucie honoru nakazywało uśmiercenie wszystkich osób znajdujących się na pokładzie samolotu pasażerskiego, który opuszczał strefę działań wojennych tylko dlatego, że ktoś wydał taki rozkaz.

To byli mali, przestraszeni ludzie. Mali w każdym tego słowa znaczeniu, pomyślał Jiro, i opisał to w liście do żony.

Wstydził się za siebie, bo zabrakło mu hartu ducha, żeby sprzeciwić się rozkazom, które uważał za nielegalne i niemoralne. To również wyznał Shizuko.

Kiedy przerwał pisanie i usiadł, by się zastanowić, poczuł znów ogarniający go wstyd. Problem polegał na tym, że nie był już czystym Japończykiem. Ci cholerni Amerykanie i ich Akademia Sił Powietrznych! Przyswoił tam coś więcej, niż tylko naukę.

Japończycy powiedzieli, że kwestionując rozkazy obraził swoich przełożonych i kolegów. Amerykanie rzekliby, że zhańbił sam siebie, wykonując nielegalny, niemoralny rozkaz. Obie strony były zgodne tylko w kwestii hańby.

Amerykanin zwołałby dziennikarzy i narobił wiele hałasu. Może powinien tak postąpić.

Czuł się podle. Nie był na tyle Japończykiem, by popełnić seppuku, ani Amerykaninem, by oskarżyć swoich przełożonych. Pozostawał mu tylko list do Shizuko.

Kiedy skończył pisać, zastanawiał się, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Rozdział 14

Siedzieli w błocie obok dziury, którą wycięli w siatce, żeby dostać się do środka. Lichaczew przygotował ekwipunek płetwonurka i mógł włożyć go w kilka sekund. Filimonow siedział zaś przywalony swoim sprzętem i tępo wpatrywał się w czarne wody zatoki.

Lichaczew spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. 1.12

Skończyli wcześniej, niż przypuszczali.

Okręt podwodny nie podniesie się z dna przed 3.30. Widoczność w mętnej wodzie nie przekraczała jednego metra, więc latarki nie na wiele zdałyby się przy poszukiwaniu okrętu pod wodą. Z grubsza wiedział, gdzie się znajduje, około kilometra za gazowcem do przewożenia skroplonego propanu, zakotwiczonego na końcu nabrzeża dla zbiornikowców. Jednak mimo to mogliby go nie odnaleźć. Musieli czekać, aż się wynurzy.

Pływanie po zatoce przez dwie godziny i walka ze znoszącymi ich Bóg wie gdzie nieznanymi prądami morskimi również nie byłoby rozsądnym posunięciem.

Chociaż rafineria była rzęsiście oświetlona, trudno byłoby dostrzec dwóch mężczyzn siedzących w błocie pomiędzy siatką a wodą. Czarne kombinezony piankowe, ciemna noc, czarne błoto i mżawka... Nabrzeże tankowców wyglądało jak most donikąd. Oświetlone stojącymi co pięć metrów latarniami, sięgało aż do gazowca. Prezentował się niezgrabnie z wielkim ciśnieniowym zbiornikiem na śródokręciu.

Lichaczew zerknął na swojego partnera.

– To nie twoja wina, Wiktorze.

Filimonow zareagował na zbliżające się niebezpieczeństwo bez zastanowienia. Zobaczył strażnika w płaszczu przeciwdeszczowym, prawdopodobnie uzbrojonego, więc działał odruchowo.

Teraz inni strażnicy zaczną szukać tej kobiety. Kiedy przestała meldować się przez radio, prawdopodobnie pomyśleli, że wyczerpały się jej baterie. Poczekają chwilę, potem spróbują połączyć się z nią przez radio w jej samochodzie. Wreszcie zaczną jej szukać.

Cholera! A szło tak gładko.

Nawet jeśli służby bezpieczeństwa znajdą ładunki, to nie wszystkie. Na pewno nie przed wybuchem. Jednak każdy znaleziony przez nich ładunek to mniejsze zniszczenia instalacji.

– Musimy spodziewać się wszystkiego. Nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem.

– Zakładałem ładunek – mruknął Filimonow. – Zaskoczyła mnie.

– Widzisz, to nie twoja wina. Nie wiedziałeś, że strażnikiem jest kobieta. Nie jesteś japońskim sukinsynem, który ją zatrudnił, ubrał w mundur i postawił na straży cennego narodowego obiektu podczas wojny.

– Nikt w Rosji nie byłby taki głupi – dodał Lichaczew. Filimonow nic nie odpowiedział. To zmartwiło Lichaczewa.

– Musisz zapomnieć o tym, Wiktorze. Jestem twoim przyjacielem. Musisz mnie słuchać.

Minuty upływały w milczeniu. Słychać było jedynie plusk drobnych fal i ryk odległej syreny mgłowej. Lichaczew czuł na twarzy mżawkę i chłód mokrego kombinezonu, do którego zdążył już się przed laty przyzwyczaić.

Przejechał samochód straży, skręcił na rogu i zniknął, oddalając się w stronę zbiorników. Niebawem znajdą auto zabitej strażniczki.

Lichaczew zerknął na zegarek. 1.47.

Dziesięć minut. W ciągu dziesięciu minut znajdą ciało i wezwą pomoc.

Zastanawiał się nad powrotem i zabiciem tych mężczyzn. A może kobiet? Niestety, na pewno

zaalarmują swój posterunek, zanim zdąży ich zabić. Nawet jeśli udałoby mu się ich wyeliminować, inni wyruszą na poszukiwania.

Lichaczew wciągnął kaptur kombinezonu na głowę i ułożył wokół twarzy.

– Przygotuj się, Wiktorze.

Filimonow ani drgnął.

Lichaczew uderzył mocno partnera w bok.

– Dość tego! Szykuj się! Rozkazuję ci włożyć ekwipunek.

Filimonow wciąż leżał bez ruchu.

– Chcesz tu zostać? Chcesz, żebym cię zabił, Wiktorze Griegoriewiczu? Możesz tu pozostać jedynie martwy.

Filimonow odwrócił głowę.

– Jesteś moim przyjacielem, Wiktorze. Najlepszym. Wiem, że nie chciałeś zabić tej kobiety, ani żadnej innej. Wiem, że Bóg ci to wybaczy. Wiem, że twoja matka spogląda na ciebie z nieba i też ci wybacza. Wie, że nie chciałeś zabić tej kobiety. Wie, co czujesz.

Kolejne auto straży przemknęło obok i, piszcząc oponami na zakręcie, zniknęło za zbiornikami.

– Już ją chyba znaleźli, Wiktorze. Zajmą się nią, jak należy. Pora ruszać. My również mamy obowiązki. Komandir będzie czekał. Szarpnął Wiktora za rękę.

– Na okręcie podwodnym znajduje się pięćdziesięciu ludzi. Ufają nam. Kiedy okręt się wynurzy, będą bezbronni, czekając na nas. Nie możemy zawieść ich zaufania.

Nic.

Lichaczew włożył płetwy, przypiął butlę z tlenem, założył maskę. Sprawdził reduktor i wciągnął powietrze przez ustnik.

– Dobrze, sukinsynu. Leż sobie i niech cię złapią. Zdradzisz swój kraj i swoich kolegów. Przez martwą strażniczkę. Ty głupi skurwysynu. Twoja matka była dziwką. Kurwą. Co noc ciągnęła druta pijanym frajerom...

Filimonow poderwał się. Lichaczew wskoczył do wody.

Poruszał się tak szybko, jak pozwalały mu płetwy i butla. Nieobciążony ekwipunkiem Filimonow był szybszy. Zbił z nóg Lichaczewa i chwycił go za gardło.

Boże, ale jest silny, chwyt ma jak ze stali.

Lichaczew był w o wiele gorszym położeniu. Chciał użyć tylko tyle siły, by obezwładnić Filimonowa i zmusić go do posłuszeństwa. Tamten chciał go zabić.

Lichaczew kopnął go w krocze. Filimonow nie zrezygnował i zaczął ściskać.

Lichaczew znajdował się piętnaście centymetrów pod wodą, ale nie zdążył jeszcze włożyć ustnika. I tak nie mógłby złapać tchu, bo Filimonow dusił go. Uderzył Filimonowa pięścią w głowę i usiłował wcisnąć mu kciuk w oko.

Zaczął tracić siły. Żelazna obręcz wokół gardła zaciskała się bezlitośnie.

Wyciągnął nóż i grzmotnął Filimonowa trzonkiem w głowę raz, drugi i trzeci. Poczuł że uścisk zaczyna słabnąć. Zebrał resztę sił i walnął po raz czwarty.

Filimonow puścił szyję Lichaczewa.

Jeszcze jedno uderzenie i Filimonow stracił przytomność.

Maska była potrzaskana. Lichaczew zdarł ją.

Światła. Reflektor. Wzdłuż płotu przejeżdżał samochód, kierowca oświetlał siatkę latarką.

Zacisnął rękę na górnej części kombinezonu Filimonowa, odwrócił go twarzą do góry i zaciągnął na głębszą wodę. Kiedy woda sięgała mu do pasa, włożył ustnik i zaczął płynąć, holując za sobą partnera.

Odpływ był silny, a noc ciemna. Lichaczew płynął posługując się jedną ręką, drugą podtrzymywał Filimonowa. Oglądał się przez ramię na rafinerię, próbując płynąć prostopadle do niej. Słona woda szczypała go w oczy.

Czemu Filimonow wciąż nie odzyskał przytomności?

Skoncentrował się na płynięciu, na utrzymaniu rytmicznego oddechu i równego tempa. Oglądał się coraz rzadziej.

Filimonow nie pomagał mu, nie ruszał się. Wstrząs mózgu?

Koło płotu stały dwa samochody ze światłami skierowanymi w wodę. Fale przeczesywał reflektor. Krąg światła minął płynących mężczyzn. Byli zbyt daleko, żeby można było dostrzec ich z brzegu.

Jeśli Japończycy nie zauważyli jeszcze płetw i aparatu tlenowego Filimonowa, znajdą go wkrótce i podniosą alarm.

Cholera, cholera, cholera.

Gdyby P-3 namierzył okręt podwodny w płytkiej zatoce, wszyscy zginą.

Do diabła, wszyscy musimy umrzeć. Jesteśmy przeklęci. Tego nie mógł pojąć głupi Filimonow.

– Panie Krasin, proszę podnieść okręt na peryskopową.

– Tak jest, komandir.

Krasin był oficerem wachtowym. Zaczął wydawać rozkazy.

Wszyscy byli na stanowiskach. Czekali w pogotowiu. Przez ostatnią godzinę prawie nikt się nie odzywał. Obserwowali zegarki, obgryzali paznokcie, denerwowali się w milczeniu. Teraz skończyło się wyczekiwanie. Przyszła pora zmagań na śmierć i życie.

Okręt nie chciał się oderwać od grząskiego dna zatoki. Ponieważ nie płynęli, jedynym sposobem wynurzenia było osiągnięcie dodatniej wyporności. Do zbiorników wtłaczano coraz więcej powietrza, usuwając utrzymującą go w zanurzeniu wodę.

Kil znajdował się na głębokości dwudziestu pięciu metrów, tuż pod peryskopową. Dowódca pomyślał z rezygnacją, że wystrzelą na powierzchnię jak korek.

W sekundę później okręt oderwał się od dna i zaczął niebezpiecznie szybko się podnosić.

– Cała naprzód – rozkazał kapitan. – Maksymalne zanurzenie na sterach.

Mimo wszystko okręt wynurzył się. Potem jednak wpompowywanie wody do zbiorników przyniosło właściwy efekt i dzięki wspomaganiu dziobowych i rufowych płaszczyzn sterujących, skrył się znów pod wodę.

– Uważaj, szefie – powiedział ostro, świadom, że jeśli stracą panowanie nad okrętem i zaryją dziobem w muł, będą musieli zejść na brzeg.

Szef znał swój okręt. Ustabilizował go i przytrzymał na głębokości peryskopowej.

– Peryskop w górę – rozkazał Paweł Saratow. Błyskawicznie omiótł horyzont.

– Może zatrzymamy maszyny i poczekamy na nurków, panie Krasin – dodał natychmiast. – Nie byliby zadowoleni, gdybyśmy odpłynęli bez nich. Pierwszy oficer skinął na oficera wachtowego.

– Maszyny stop.

Saratow po raz drugi, tym razem wolniej i dokładniej, obejrzał okolicę.

Widział światła rafinerii, tankowców i gazowca cumującego przy nabrzeżu zbiornikowców. W oddali majaczyły światła Yokohamy. Mógł dostrzec kilkadziesiąt przycumowanych statków. Leżące bardziej na północ Tokio było niewidoczne w mgle i mżawce. W pobliżu nie cumowały żadne statki ani łodzie.

Saratow cofnął się od peryskopu i gestem polecił opuszczenie go.

– Proponuję, żebyśmy się wynurzyli i zabrali naszych pływaków. Oficer wachtowy wydał

odpowiednie polecenia i okręt zaczął powoli wychodzić na powierzchnię.

Lichaczew był bardzo zmęczony. Filimonow nie ruszał się od czasu, kiedy grzmotnął go w głowę. Tymczasem prąd znosił ich na środek zatoki, wskutek czego Lichaczew musiał z całej siły płynąć na północ, żeby mniej więcej utrzymać się w tym samym miejscu. Niezbyt mu się to udało. Kiedy okręt wynurzył się, znalazł się o pięćset metrów od niego. Popłynął w tamtą stronę, ciągnąc za sobą Filimonowa.

Wypluł ustnik.

– Nie zaszkodziłoby – wziął oddech – gdybyś trochę pomógł... ty wielki kawale... końskiego łajna.

Filimonow wciąż nie ruszał się. Lichaczew wiedział, że uderzył swojego przyjaciela trzonkiem noża w głowę cztery czy pięć razy. Jednak ten zakuty łeb znosił bez mrugnięcia silniejsze ciosy.

Usłyszał, jak okręt podwodny pruje fale. Plusk wielkiego przedmiotu i syk, kiedy znów pogrążał się w wodzie.

Nie słyszał pionowego wynurzenia, a jedynie metaliczny dźwięk otwieranej pokrywy włazu, już od dłuższej chwili płynął w tym kierunku, ciągnąc za sobą Filimonowa.

– Ty głupi skurwysynu! Pomóż.

Wreszcie zatrzymał się. Upewnił się, że głowa Filimonowa wystaje ponad powierzchnię.

– Hej? Tutaj! – zawołał.

Nikt go nie słyszał. Sięgnął po przyczepioną do pasa latarkę. Zniknęła. Prawdopodobnie wypadła podczas szamotaniny.

Filimonow też miał latarkę... jest.

W jego zachowaniu było coś nienaturalnego. Lichaczew włączył latarkę i pomachał nią w stronę okrętu.

– Wiktor, powiedz coś. Odezwij się, przyjacielu.

Skierował światło na twarz Filimonowa. Oślepiło go, odbijając się od białej skóry. Dopiero po kilku sekundach odzyskał zdolność widzenia.

Filimonow miał otwarte, niewidzące oczy. Źrenice nie reagowały na światło. Wiktor Filimonow nie żył.

Dlaczego? Jak...?

– Wiktor...

Okręt podwodny zbliżał się. Dwóch ludzi rzuciło z pokładu linę. Nie puszczając Filimonowa, Lichaczew obwiązał go liną w pasie.

– Wciągnijcie nas na pokład! – zawołał.

– Co z nim?

– Złap go. Wciągaj.

Po wyciągnięciu Filimonowa z wody pomogli wejść na śliski, stalowy pokład Lichaczewowi. Był tak wyczerpany, że ledwo trzymał się na nogach.

– Co jest z tamtym?

– Nie żyje. Zabierzcie go na dół.

Marynarze opuścili ciało Filimonowa lukiem służącym do ładowania torped. Lichaczew stał wciąż na pokładzie, kiedy w powietrze wyleciał pierwszy zbiornik benzyny. Z oddali słychać było zaledwie stłumiony huk, ale narastająca kula ognia wyglądała imponująco na tle świateł Yokosuki.

– Dowódca wzywa na mostek.

Ciało Filimonowa leżało w przejściu pomiędzy uchwytami przytrzymującymi zapasowe torpedy. Badał je sanitariusz; Lichaczew przeszedł obok niego w stronę rufy.

Z centrali dowodzenia wspiął się do wieżyczki dowodzenia i po drabinie na maleńki mostek na szczycie kiosku. Paweł Saratow obserwował przez lornetkę pożar rafinerii.

– Melduję się.

– Jak to się stało?

– Zakładaliśmy ładunki. Filimonow zabił strażnika... Kobietę. Poderżnął jej gardło. Wpadł w depresję. Walczyliśmy. Uderzyłem go. Widocznie go zabiłem.

Saratow przeniósł uwagę z płonącej rafinerii, którą zostawiali za sobą, na światła statku znajdującego się przed nimi po lewej.

– Dziesięć stopni w prawo – polecił stojącemu za nim marynarzowi z bezbateryjnym telefonem.

Marynarz powtórzył rozkaz do słuchawki.

– Jest dziesięć stopni w prawo – potwierdził.

– Kiedy Wiktor Filimonow był ośmioletnim chłopcem – powiedział Lichaczew, pragnąc wyrzucić to z siebie – jego matka została zabita. W Odessie. Jakiś marynarz ją zaszlachtował. Była dziwką. Marynarz zadał jej osiemdziesiąt dziewięć ciosów nożem. Wykrwawiła się na śmierć.

– No i...

– Władze zmusiły Wiktora do zidentyfikowania ciała matki. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek zapomniał, jak wtedy wyglądała, pocięta, z wnętrznościami na wierzchu, w kałuży krwi... Czasem mówił o tym.

– Chcę dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat później – powiedział Saratow. – Wykonaliście doskonałą robotę w rafinerii. Dobrze się pali. Chciałem wam to przekazać.

– Tak jest.

– Czy zamierzałeś zabić swojego partnera?

– Nie.

– Omówimy to potem. Możesz zejść na dół.

Lichaczew wyszedł.

Kapitan przyglądał się statkowi z lewej burty. Wyglądał na niewielki. Najwyżej piętnaście tysięcy ton. Nie wart torpedy. Znajdą sobie coś lepszego.

– Nie ten – powiedział do stojącego obok marynarza. – Dwie trzecie naprzód.

Marynarz powtórzył rozkaz i po kilku sekundach Paweł Saratow poczuł wibrację silników diesla.

Kilka kilometrów z tyłu kolejna ognista kula rozświetliła niebo nad rafinerią.

Dobrze było poczuć wiatr we włosach. Saratow oddychał głęboko, rozkoszując się słonym aromatem morza zmieszanym z wonią lądu.

Lichaczew jadł chleb w małej mesie, kiedy przyszedł sanitariusz. Silniki diesla warcząc pchały okręt po powierzchni. Wewnątrz zatoki robiło się coraz goręcej.

– Popatrz – powiedział sanitariusz, otwierając dłoń. – Miał to między zębami. Przegryziona czerwona wodoodporna kapsułka.

– Trucizna – szepnął Lichaczew.

– Trucizna?

– Samobójcza pigułka. Musiał trzymać ją w ustach.

– Ale czemu...

– Pewnie się nad tym zastanawiał – rzekł wolno Lichaczew. – Może rozgryzł ją niechcący, kiedy uderzyłem go w głowę. Po rozgryzieniu, śmierć następuje prawie natychmiast.

Sanitariusz popatrzył dziwnie na Lichaczewa i wyszedł.

Reporterka nazywała się Christine Jakaśtam. Wyglądała jak karykatura. Wyszukaną fryzurę miała tak mocno spryskaną lakierem, że błyskotała w reflektorach telewizyjnych. Włożyła okropny żakiet w

stylu safari, jaki można kupić za pół ceny na poświątecznej wyprzedaży.

Makijaż maskował zmarszczki wokół oczu.

Wzbudzała zaufanie w Bobie Cassidym. Została wytypowana przez kolegów, bo Cassidy zgodził się odpowiadać na pytania tylko jednej osoby.

Światła grzały mocno. Kropelki potu zaczęły spływać Cassidy'emu po twarzy. Wytarł je.

Ktoś musiał dać znak dziennikarce przez ukrytą w uchu słuchawkę, bo zaczęła mówić.

– Pułkowniku, rozumiem, że dowodzi pan amerykańskimi pilotami wynajętymi do latania na F-22.

Skinął głową.

– Jeśli wolno spytać, czemu?

Szukali sukinsyna nie obciążonego rodziną i znaleźli mnie. Tego oczywiście nie mógł jej powiedzieć.

– Zgłosiłem się na ochotnika.

– Dlaczego?

– A czemu nie?

– Ilu Amerykanów jest z panem?

– Około stu pięćdziesięciu.

– Kiedy zamierzacie udać się do Rosji?

– Wkrótce.

– Nie jest pan zbyt rozmowny, pułkowniku.

– To nie było wadą, kiedy przyjmowałem tę pracę.

– Ile płacą panu Rosjanie?

– Proszę spytać o to w Departamencie Stanu. Albo Rosjan.

– Krążą plotki, że otrzymacie premie za każdy strącony samolot. Czy to prawda?

– Proszę spytać Rosjan. To oni wystawiają czeki.

– Czy to nie krwawe pieniądze?

– Jeśli byłyby wypłacane, to za zniszczenie samolotu, nie pilota. Samoloty nie krwawią, prawda?

– Co ma pan zamiar robić w Rosji?

– Zestrzeliwać japońskie samoloty.

Dała znak operatorowi. Czerwone światełko na kamerze zgasło.

– Nie jest pan skłonny do współpracy, pułkowniku.

– Jestem tu tylko dlatego, że Departament Stanu powiedział, żebym się zgłosił, więc się zgłosiłem.

– Prosiłam o przeprowadzenie wywiadu na tle F-22. Pan się nie zgodził. Dlaczego?

– Bo to nie są moje samoloty, proszę pani.

– Prosiliśmy o wywiad z afroamerykańskim pilotem. Który to? – Zerknęła na listę.

– Afroamerykański? To brzmi groteskowo. Będę udawał, że nic pani nie mówiła.

– Czy macie czarnego pilota?

– Niestety, nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Tak wyszło. Nie jestem poprawny politycznie. Proszę mnie rozerwać.

– Czy nie mógłby pan powiedzieć czegoś o Rosji? Może ma pan rosyjskich pradziadków... coś na temat walki o wolność.

Cassidy pokiwał głową.

– To pani powiedziała – odparł. Zdjął mikrofon i wstał z gorącego fotela. Oczywiście, osobą która szczególnie interesowała reporterów, był Lee Foy, chwilowo niedostępny. Nigdzie nie można

było go znaleźć. Cassidy spytał o to Faina.

– Foy wspominał coś o szukaniu burdelu. Tak odpowiem reporterom, jeśli mnie o niego spytają.

– Dobrze.

Najwidoczniej dziennikarze nie wiedzieli, że Fain był kapelanem, bo Christine nie zadała mu podchwytliwych pytań, których obawiał się najbardziej. Fain usiłował rozegrać to w najprostszy sposób. Przyjechał pomóc utrzymać światowy pokój, walczyć z agresorami, bronić sprzymierzeńców Ameryki i tak dalej.

Większość pilotów dawała Christine podobne odpowiedzi, aż trafiała na Claya Lac/go.

– Etos pilota myśliwskiego – odparł na pytanie, czemu tu jest – polega na czystości, na rzadkim połączeniu bezinteresowności z samopoświęceniem, cechami tak często pomijanymi we współczesnym świecie. Określiłbym to jako przeżycie nieomal religijne. Nie uważa pani?

Christine pokiwała niepewnie głową.

– Chcę sprawdzić – ciągnął Lacy – czy zdołam stawić czoło kompetentnym, odważnym i zdecydowanym na wszystko wojownikom, którzy pragną mnie zabić. Czy wystarczy mi odwagi? Czy będę mężny? Czy w razie konieczności zginę bohatersko i z honorem? To są poważne pytania dręczące wielu ludzi w naszych przewrotnych czasach. Jestem pewien, że i wy się nad tym czasem zastanawiacie. Nieprawdaż?

Christine siedziała z otwartymi ustami. Lacy czekał grzecznie.

– Rozumiem – wykrztusiła wreszcie.

– Cieszę się, że pani rozumie. – Uśmiechnął się ciepło. – Większość z tych pilotów – machnął z politowaniem ręką – to jedynie latający mordercy, gotowi zabijać dla pieniędzy. Nie mają żadnych ideałów, żadnego wykształcenia, żadnego życia wewnętrznego. Ja jestem inny. Badam wnętrze człowieka.

Po skończonym wywiadzie Lacy poszedł do pułkownika.

– Jak wypadłem? – spytał ze śmiertelną powagą.

– Doskonale, Lacy, świetnie. Od dziś jesteś naszym rzecznikiem prasowym. Aaron Hudek dał popis nie gorszy niż Lacy, a miejscami nawet może lepszy.

– Bo to jest jedyna wojna, jaką akurat mamy – odparł na pytanie, czemu zgłosił się na ochotnika.

– Jak się pan będzie czuł, zabijając drugą istotę ludzką?

– Wspaniale. – Hudek obdarzył Christine wilczym uśmiechem. – Nie mogę się doczekać. Wyślę tych japońskich sukinsynów do piekła, zanim zdążą zorientować się, co ich trafiło. Zobaczycie.

– A skąd pan wie, że to nie pan zginie? – zapytała zdumiona Christine.

– Ja na pewno nie, łaskawa pani. Jestem za dobry. Jestem najlepszy w te klocki. F-22 Raptor to niezły kawałek żelaza. Potrafię na nim latać. Przelecę przez tych cholernych Japończyków jak kosiarka przez trawnik. Nie cierpię żółtków. To chyba jakiś osobisty uraz, coś wiążącego się z Pearl Harbor i tą ich pieprzoną układną grzecznością. Nic mi jednak nie przeszkodzi zrobić co do mnie należy. Pozostanę niewzruszony i zabiję tych ugrzecznionych sukinsynów.

Christine nie wiedziała, co powiedzieć.

Hudek uśmiechnął się do kamery, odpiął mikrofon, wstał i przeszedł obok Dixie Elitch, która odwróciła wzrok.

Dixie zajęła miejsce przed kamerą, uśmiechając się słodko, kiedy technik przypinał jej mikrofon.

– Pani Elitch – zaczęła Christine.

– Kapitanie Elitch. Taki mam stopień w rosyjskich siłach powietrznych i jestem z tego dumna.

Udało się jej to powiedzieć z lekkim rosyjskim akcentem. Obserwujący ją zza kadru Bob Cassidy zakrył twarz dłońmi.

– Kapitanie Elitch... – rzekła z cierpkim uśmiechem Christine.

– Przez całe moje życie kochałam wszystko, co wiąże się z Rosją: futra, wódkę, Tołstoja, Czajkowskiego, Czechowa, Pawłowa – Dixie wymieniała wszystko, co przyszło jej go głowy. – Jestem taka przejęta, że mam okazję pojechać do Rosji i wspomóc jej naród znajdujący się w potrzebie; że będę mogła służyć temu wspaniałemu acz tragicznemu narodowi na swój skromny sposób, a może nawet mój wkład doceni zdetronizowany ostatnio proletariat, i że się tak wyrażę, burżuazja.

– Czy wy tu wszyscy jesteście walnięci? – żachnęła się Christine.

– Obawiam się, że niestety tak – odparła Dixie Elitch. Uśmiechnęła się zabójczo do kamery. – Jestem wolna dziś wieczorem.

Kiedy Bob Cassidy kładł się spać, stwierdził, że nie może przestać myśleć o Dixie. To go zaniepokoiło. Miał tysiące spraw na głowie, a rozmyślał o kobiecie i to w dodatku tej jedynej niedostępnej. Znał na pamięć wyryte w kamieniu przykazanie nowoczesnej koedukacyjnej armii: żadnych stosunków seksualnych z podwładnymi. Żadnych flirtów, wzdychań, randek, pocałunków ani małżeństw.

W dzielnych nowoczesnych siłach zbrojnych pułkownik w średnim wieku, który marzył nocami o pięknej podwładnej, szybko musiał się wynosić w żałosnym stylu: „łap czapkę i nie daj sobie przyciąć pięt drzwiami".

Bob Cassidy całe dorosłe życie spędził w mundurze otoczony kobietami i nigdy przed pójściem spać nie marzył o żadnej z nich.

Z wyjątkiem Słodkiej Sabriny. Myślał o niej co noc, kiedy żyła, i przez wiele nocy po jej śmierci. Często śnił, że znów jej dotyka i całuje ją. W tych snach pojawiał się również Robbie. Siedział na kolanach Sabriny, biegł przez trawnik i ze śmiechem nurkował w stosie jesiennych liści.

Te sny budziły go, przyprawiały o bezsenność. Chodził wtedy po pustym domu.

Myślenie o kimś innym wydawało mu się brakiem lojalności.

Usiłował przywołać jej obraz, by zatrzeć uśmiechniętą twarz Elitch.

Kiedy zasypiał, nie wiedział już, czy to Sabrina czy Dixie.

Rozdział 15

Paweł Saratow wiedział, że na redzie Yokohamy znajduje się mnóstwo statków, lecz nie miał pojęcia, ile czeka poza obrębem ciągnącego się kilometrami kotwicowiska. Przypuszczał, że co najmniej setka.

Kazał zmniejszyć prędkość do sześciu węzłów.

– Wielki frachtowiec piętnaście stopni na prawo od dziobu, dystans około dwóch tysięcy metrów. Cztery warstwy kontenerów na pokładzie. To jest nasz pierwszy cel – powiedział do telefonu bezbateryjnego. Odesłał wachtowego na dół. Oprócz dowódcy na mostku znajdował się jedynie drugi oficer, który prowadził obserwację do tyłu i na boki, wypatrując nieprzyjacielskich okrętów lub samolotów.

– Mamy go.

Na dole, w centrali, posługiwano się radarem. Dowódca jedynie wyznaczał cel. Już wydał rozkazy, i torpedy pomkną do wybranych celów. Saratow chciał wyrządzić jak najwięcej szkód.

Torpedy miały półmetrową średnicę, osiem metrów długości i przenosiły sześćset dwadzieścia pięć kilogramów materiału wybuchowego, co wystarczało do zatopienia większości statków.

Po upływie dwudziestu sekund pierwsza torpeda wyruszyła. W minutę później następną wystrzelono w wyładowany towarami drobnicowiec. Pierwsza trafiła kontenerowiec z głuchym hukiem, który rozległ się w wodzie i był słyszalny na pokładzie okrętu podwodnego. Drobnicowiec i trzeci cel: kolejny kontenerowiec zostały trafione podczas zwrotu. Czwarta torpeda była przeznaczona dla następnego kontenerowca – olbrzymiego, rzęsiście oświetlonego statku.

Ze stałą prędkością sześciu węzłów okręt podwodny przemieszczał się w głąb zatłoczonego kotwicowiska, kiedy załoga wystrzeliła piątą torpedę do głęboko zanurzonego gigantycznego frachtowca. Był blisko, może nawet zbyt blisko, ale głowica eksplodowała z satysfakcjonującym Saratowa hukiem. Powoli, niemal niepostrzeżenie frachtowiec zaczął składać się w połowie. Torpeda złamała mu kil. Tak!

Saratow zawrócił w stronę wschodniego wyjścia z redy. Jedna wyrzutnia wciąż była załadowana. W przedziale torpedowym załoga rozpoczęła ładowanie. Włożenie wielkiej torpedy do wyrzutni zajmowało prawie godzinę.

Dał Japończykom do myślenia. Niewątpliwie postawili w stan gotowości siły ZOP. Im prędzej opuści Zatokę Tokijską tym lepiej.

– Cała naprzód – dał rozkaz maszynowni.

Sushi połączył się z domem Toshihiko Ayukawy kodowanym telefonem.

– Muszę z panem natychmiast porozmawiać. Przechwyciliśmy zaszyfrowaną depeszę z rosyjskiego okrętu podwodnego. Twierdzą, że są w Zatoce Tokijskiej.

– Co takiego? – ożywił się Ayukawa.

– Prosto z komputera. Sądziłem, że należy pana poinformować.

Zaszyfrowany sygnał przechwycony przez satelitę był kierowany do anteny na dachu budynku. Stamtąd wędrował do komputera, był rozkodowywany, tłumaczony z rosyjskiego na japoński i przesyłany na drukarkę. Cała operacja trwała trzydzieści pięć sekund, a druk kolejne trzydzieści, pod warunkiem, że Rosjanie używali jednego z czterech złamanych przez Japończyków szyfrów i że prawidłowo zakodowali depeszę. Czasem nie umieli.

– Czytaj – rzucił Ayukawa.

Sushi przeczytał. Kiedy kończył, Ayukawa przyswajał przez kilka sekund treść.

– Czy zawiadomiłeś już Siły Samoobrony? – spytał wreszcie.

– Tak jest – odparł Sushi, usiłując ukryć irytację. Ayukawa insynuował mu niekompetencję. Najwyraźniej nie miał czasu na uprzejmości ani na zachowanie grzecznościowych form. Nawet się nie starał.

– Wspomniane przez nich ładunki wybuchowe w rafinerii eksplodowały przed dwudziestoma minutami. Chodzi o rafinerię Kwiat Lotosu w Yokosuka. Zgłosił się też frachtowiec z kotwicowiska w Yokohamie, zgłaszając, że został storpedowany.

– Kiedy otrzymaliśmy depeszę z okrętu podwodnego?

– Dosłownie przed paroma minutami. Zadzwoniłem do Sił Samoobrony, zaalarmowałem straż przybrzeżną i straż pożarną okręgu Yokosuka. Potem zatelefonowałem do pana.

Ayukawa był wstrząśnięty. Ci wojskowi głupcy powiedzieli premierowi, że zatopili wszystkie czynne rosyjskie okręty podwodne podczas ataku na Władywostok i Sachalin. Sprzeciwili się zabezpieczeniu portów na terenie wysp japońskich, ponieważ każda jednostka była potrzebna do ubezpieczania inwazji. Czy można było obawiać się Rosjan?

Płonąca rafineria i tonące statki dowodziły, że wojskowi mylili się, wprawiając wszystkich w zakłopotanie i przyczyniając się do utraty twarzy przez rząd. Kolejna katastrofa spowodowana przez rozdętą dumę i krótkowzroczność. Uważaj, Atsuko Abe.

– Lepiej zadzwonię do ministra – powiedział w przestrzeń Ayukawa. Rozłączył się bez pożegnania.

Sushi odłożył słuchawkę i skrzywił się.

Rakietowy niszczyciel „Hatakaze" znajdował się o trzysta metrów od swego miejsca przy nabrzeżu w bazie morskiej Yokosuka, kiedy oficer łącznościowy zadzwonił na mostek. Właśnie odebrał depeszę o najwyższym priorytecie:

Rosyjski okręt podwodny atakuje statki w Yokohamie. Przechwycić.

Dowódca „Hatakaze" zarządził alarm bojowy, odesłał holownik i zawrócił do zatoki z prędkością, jaką zdołał wycisnąć z maszyn.

„Hatakaze" od dwóch tygodni przebywał na morzu. Brał udział w zniszczeniu rosyjskiej floty rdzewiejącej w Zatoce Złotego Rogu i pomagał bombardować garnizon we Władywostoku, który usiłował przeciwstawić się japońskim siłom inwazyjnym. Wtedy to przednia armata kalibru 127 mm. przegrzała się, skutkiem czego pocisk eksplodował w lufie, zabijając dwóch ludzi, a czterech raniąc. Działo w tylnej wieży było sprawne. Kiedy tylko znalazł się okręt, który mógł ich zastąpić, „Hatakaze" został odesłany do macierzystego portu do naprawy. Z powodu braku amunicji, większość pocisków 127 mm została przeładowana na okręty biorące udział w walkach, niemniej na paletach w tylnej wieży zostało jeszcze kilkanaście sztuk.

„Hatakaze" rozwijał już dwadzieścia węzłów, kiedy operator radaru wyłowił sygnał "Admirała Kołczaka" spośród statków, kutrów rybackich i odbić od powierzchni. Rosyjski okręt podwodny posuwał się w stronę rafinerii z prędkością piętnastu węzłów. Był to tylko podejrzany błysk na monitorze, lecz włączony radar kierunkowy „Kołczaka" potwierdzał identyfikację.

Chociaż okręt podwodny nie był wyposażony w równie precyzyjny radar co niszczyciel, to „Hatakaze" jako większy stanowił łatwy cel. Rosyjski radarzysta zauważył błysk czegoś, co mogło być okrętem wojennym: stosunkowo szybko zbliżający się cel z rejonu Yokosuka. Zameldował o tym dowódcy.

Paweł Saratow wycelował lornetkę na południe, kierunek podany przez operatora radaru.

Deszcz ustał, widoczność podniosła się do dziesięciu mil.

To był niszczyciel z włączonymi światłami pozycyjnymi. W końcu znajdował się na własnych wodach.

Saratow uderzył z wściekłością w poręcz mostka.

Niszczyciel otworzy wkrótce ogień z dziobowego działa. Jeśli się zanurzą, przyszpili ich bez trudu unicestwiając za pomocą rakietotorped.

Wiedział, że to się tak skończy. Wejście do zatoki od samego początku było niezwykle ryzykownym przedsięwzięciem. Wręcz samobójczym.

Zerknął na południowy zachód, na płonącą rafinerię i zacumowany przy końcu mola gazowiec. Zamierzał użyć przeciwko niemu szóstej torpedy. Zwinny niszczyciel zbliżając się czołowo będzie niełatwym celem.

Kolejne spojrzenie na niszczyciel.

– Odległość do niszczyciela? – spytał sonarzystów.

– Dwanaście tysięcy metrów i maleje. Zawrócił w naszym kierunku i przyśpieszył do ponad trzydziestu węzłów.

– A tankowiec?

– Dwa i pół tysiąca metrów.

– Podaj mi współrzędne ataku na niszczyciel. Przygotować torpedę do naprowadzania akustycznego.

– Tak jest!

– I meldować o odległościach!

– Rozkaz, komandir.

Zanurzenie się w tych płytkich wodach równałoby się samobójstwu. Saratow odrzucił taką możliwość.

Popatrzył tęsknie na gazowiec, wymarzony cel. Siedział głęboko w wodzie. Zauważył to już wówczas, kiedy weszli do zatoki. Zatem miał pełen ładunek.

– Podejdziemy do tankowca i zatrzymamy maszyny – dowódca japońskiego niszczyciela nie będzie taki głupi, żeby zaryzykować przypadkowe trafienie gazowca.

Z tankowcem za plecami, mogli mieć jakąś szansę. Przynajmniej będzie mógł ewakuować ludzi.

– Rozkaz.

– Trzydzieści stopni w prawo, zwolnić do dwóch trzecich.

Usłyszał powtórzenie rozkazu w centrali i poczuł, że dziób zaczyna skręcać.

– Niszczyciel jedenaście tysięcy metrów od nas.

Saratow obejrzał się. Dlaczego nie strzelają?

Rafineria płonęła. Na krawędzi płomieni mógł dostrzec sylwetki wozów straży pożarnej. Nurkowie Specnazu wykonali świetną robotę.

Saratow skierował lornetkę na nabrzeże tankowców. Stało tam kilka samochodów straży pożarnej z włączonymi kogutami. Zastanawiał się, po co przyjechali, ale naprawdę gnębiło go co innego. Znów spojrzał na niszczyciel. Dlaczego nie strzelają? Byli już w zasięgu ognia.

– Tysiąc dwieście metrów do tankowca.

Dowódca „Hatakaze" obserwował przez lornetkę płonącą rafinerię. Nie mógł dostrzec czarnego kiosku rosyjskiego okrętu podwodnego, ale z fotela kapitańskiego w centrum dowodzenia widział plamkę na ekranie radaru. Patrzył, jak cel zawraca w stronę nabrzeża tankowców i przycumowanych tam jednostek. Odległość do okrętu podwodnego zmalała do dziewięciu tysięcy metrów.

Użycie rakietotorped ASROC nie wchodziło w rachubę, chociaż cel znajdował się w zasięgu. Rakieta potrafiła przenieść torpedę Mk-46 ponad dziesięć kilometrów i wrzucić do wody w pobliżu celu, ale torpeda mogła wziąć namiar na któryś z tankowców.

Dowódca niszczyciela postanowił zaatakować okręt podwodny ogniem z rufowego działka 127

mm. Nie miał zbyt wielkiego wyboru. Odległość była wystarczająca, ale żeby odsłonić rufowe działo, musiał najpierw odwrócić „Hatakaze" o siedemdziesiąt stopni. Oczywiście, jeżeli strzał przeniesie górą, mogą trafić gazowiec. Jeżeli gaz wybuchnie, skutki będą katastrofalne.

Postanowił poczekać. Czekał kilka chwil, modląc się, żeby okręt podwodny nie wystrzelił torpedy.

Pożar rafinerii był tak groźny, na jaki wyglądał. Płomienie odbiły się od chmur i rozjaśniły nabrzeże tankowców upiorną, migotliwą poświatą. Seria wybuchów wzbiła w niebo ogniste kule. To ogień doszedł do pustych zbiorników lub zapalił opary substancji ropopochodnych, wydobywające się z pękniętych rur.

Strażacy nie mieli najmniejszych szans. Zniszczenia były zbyt rozległe.

W miarę jak ogień stawał się większy i gorętszy, poświata sięgnęła nawet morza.

Okręt podwodny zbliżył się do gazowca podświetlonego od tyłu płomieniami. Saratow zobaczył na pokładzie sylwetki ludzi. Zapewne rozpaczliwie chcieli usunąć statek z drogi. Wyobraził sobie, co czułby, będąc w skórze jego kapitana.

– Maszyny stop – rozkazał.

Okręt podwodny sunął siłą inercji w kierunku gazowca. Obie jednostki dzieliło dwieście metrów.

– Ster lewo na burt. Dziób zaczął skręcać.

– Komandir, wydaje się, że jest następny niszczyciel. Zbliża się od Yokosuka. Namiar jeden – dziewięć – pięć, odległość trzydzieści dwa tysiące metrów.

– Szefie, utrzymać okręt w ruchu. Dwa węzły.

– Tak jest. Dwa węzły.

Pokład ledwie wystawał z wody. Saratow nigdy nie polecał kompletnie opróżniać zbiorników.

– Zatrzymać diesle, przełączyć na napęd elektryczny.

– Jest elektryczny.

Saratow skierował lornetkę na japoński niszczyciel, który zbliżał się z prędkością kilometra na minutę.

Ucichł warkot diesli. Słychać było ruch powietrza i trzask ognia w rafinerii. Gdzieś nad nią w górze znajdował się śmigłowiec. Saratow słyszał daleki łoskot wirników.

– Bliższy niszczyciel na sonarze – zameldował pierwszy oficer.

– Przygotować się do odpalenia wyrzutni numer sześć.

– Rozkaz. Odległość do niszczyciela siedem tysięcy metrów.

– Ile jeszcze potrwa ładowanie pierwszej torpedy?

– Dwadzieścia minut.

Wspaniale. Mamy tylko jeden strzał. Jeśli chybimy... Musi nas widzieć!

– Gotowi do strzału?

– Tak jest.

Saratow czekał ze wzrokiem utkwionym w niszczycielu. Nie strzelał, co Saratow uznał za skutek bliskości tankowca. Słyszał jakieś głosy, krzyki w obcym języku, który przypominał mu angielski. Z pewnością nie był to japoński ani rosyjski.

– Sześć tysięcy metrów i zwalnia.

Saratow tylko na to czekał. Japoński dowódca nie usłyszy zbyt wiele przy prędkości trzydziestu dwóch węzłów, jednak miałby wtedy szansę na unik.

– Wyrzutnia numer sześć, ognia!

Okrętem szarpnęło, kiedy sprężone powietrze wyrzuciło torpedę na zewnątrz.

Na pokładzie „Hatakaze" dowódca obserwował delikatne odbicie kiosku okrętu podwodnego. Gdyby tylko zanurzył się, odsuwając od tankowca!

Prędkość niszczyciela powodowała zbyt duże turbulencje i hałas dla sonaru dziobowego, więc rozkazał zwolnić. Hałas opadł.

– Torpeda w wodzie!

Okrzyk operatora sonaru zelektryzował wszystkich.

– Ster prawo na burt, cała naprzód – rozkazał komandor kama. – Nowy kurs zero – dziewięć – zero. Wystrzelić pozoratory. Niech tylna wieża otworzy ogień, kiedy tylko cel znajdzie się przed lufą.

– Zawraca na wschód, komandir – poinformował sonarzysta wciąż stojącego na mostku Saratowa. Nie odrywał lornetki od oczu.

– Widzę to, do cholery. Jaką ma prędkość?

– Czternaście węzłów. Strasznie hałasuje. Widocznie przyśpiesza. Niszczyciel pochylił się mocno na burtę. Błysk z działa na rufie!

– Zanurzenie na sterach!

Saratow zdjął słuchawki. Wślizgnął się przez luk i zamknął za sobą właz, kiedy pierwszy 127 milimetrowy pocisk uderzył w wodę tuż za kioskiem.

– Peryskopowa!

– Tak jest, głębokość peryskopowa.

Słyszeli uderzenia pocisków w wodę. Cholera, bardzo blisko.

– Czas uderzenia pierwszej torpedy?

– Za trzydzieści sekund.

– Zwrot w prawo dziewięćdziesiąt stopni. Przekażcie oficerowi torpedowemu, żeby załadował wyrzutnię jak najszybciej się da.

– Rozkaz.

Szybko kończyły się im możliwości. Jeszcze nie był gotów tego powiedzieć załodze, ale jeśli ostatnia torpeda chybi, będą musieli wynurzyć się i opuścić okręt. Nie zamierzał pozwolić, by jego ludzie zginęli w tej puszce sardynek, nie mając czym się bronić.

Myślał o tym, patrząc jak kompas przesuwa się ze skrętem dziobu, czekając aż okręt po raz ostatni zatrzyma się na głębokości półtora metra, kiedy usłyszał wybuch. Torpeda! Trafiła w coś. Ale w co?

Ludzie zaczęli krzyczeć. Chór wiwatów.

– Cisza! Pełny zwrot o trzysta sześćdziesiąt stopni. Jedna trzecia naprzód. Peryskop w górę.

Przywarł do dużego peryskopu, kiedy tylko szkła wyszły ponad wodę. Peryskop bojowy był nieprzydatny w nocy.

Niszczyciel wciąż płynął. Przynajmniej jego przednia część. Rufa... o Jezu! Oderwała ją torpeda.

– Torpeda urwała niszczycielowi dupę – przekazał załodze centrali. – Podajcie dalej. Pali się i tonie.

– Sonar, co słyszycie? – spytał Saratow, kiedy ucichły szepty.

– Niewiele, komandir. Gazowiec uruchamia maszyny. Chyba wkrótce odpłynie.

– Komandir, wynośmy się stąd, póki jeszcze żyjemy – powiedział drugi oficer. Był trupio blady.

Saratow popatrzył wszystkim w oczy. Niektórzy spuścili wzrok. Jeden przygryzał wargi. Większość jednak wytrzymała spojrzenie. Drugi oficer gwałtownie przełykał ślinę, pewnie zbiera mu się na wymioty.

Saratow sięgnął po mikrofon interkomu. Włączył i wyregulował natężenie.

– Mówi dowódca. Sprawiliście się dobrze. Dotkliwie ugodziliśmy nieprzyjaciela. Zniszczyliśmy

wielką rafinerię, zatopiliśmy trzy statki, a dwa co najmniej uszkodziliśmy. Właśnie załatwiliśmy niszczyciel, który chciał nas dorwać. Jestem dumny z was wszystkich i każdego z osobna. To zaszczyt być waszym dowódcą.

Urwał i wziął głęboki wdech, zastanawiając się, jak im to powiedzieć.

– Za chwilę wynurzymy się i zobaczymy, czy uda się nam podpalić ten gazowiec. Wtedy uciekniemy z zatoki na pełne morze.

Drugi oficer nie wytrzymał i zwymiotował w czapkę.

– Wykonujcie swoje zadania. Róbcie to, do czego byliście szkoleni. To nasza jedyna szansa.

Odwiesił z powrotem mikrofon.

– Zbliża się następny niszczyciel, komandir.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Saratow ściszył głos, zwracając się do pierwszego oficera. – Wyłączyć radar. Bez sygnału własnego radaru jesteśmy jeszcze jednym małym echem.

– Dopóki nie przyśpieszymy – mruknął Wołkow.

– Sonar, jaka jest pozycja drugiego niszczyciela?

– Około dwudziestu tysięcy metrów. Z powodu hałasów w wodzie trudno określić dokładnie.

– Słuchajcie dalej.

– Czy chcesz skończyć ładowanie pierwszej wyrzutni przed wynurzeniem? – spytał Wołkow.

– Japończycy wykorzystają ten czas lepiej od nas. Wszystkie okręty ZOP z całej okolicy zaczają się przy wejściu do zatoki, jeśli damy im dość czasu.

– Sonar – dodał głośniej. – Wyłączyć radar. Żadnych sygnałów.

– Rozkaz.

– Wynurzmy się. Otworzyć luk i wysłać na pokład człowieka z RPG-9. Jeśli granaty przeciwpancerne zawiodą, a najprawdopodobniej wcale nie odpalą, bo mają ponad siedem lat, to nie będzie nad czym się rozwodzić. Torpedyści wkrótce załadują wyrzutnię, a dobrze byłoby mieć, mój stary, przynajmniej jedną torpedę w pogotowiu, kiedy zanurzą się z powrotem.

Wołkow skinął głową.

– Peryskop w górę.

Okręcił się z nim, podczas gdy pierwszy oficer rozmawiał z przedziałem torpedowym. Dziób niszczyciela płonął, stojąc bez ruchu na wodzie. Rufa najwyraźniej zatonęła. Gazowiec stał nadal przy nabrzeżu. Za nim płonęła rafineria. Nie widział drugiego niszczyciela. Jeśli japoński dowódca ma trochę oleju w głowie, zaczai się przy wejściu do zatoki i poczeka na wypływający okręt podwodny.

Saratow podał nowy kurs, na północny wschód, tak żeby gazowiec znalazł się po ich lewej burcie. „Hatakaze" dryfował trzy lub cztery kilometry na południowy wschód, więc wrak nie będzie im zawadzał.

Za godzinę zacznie się rozwidniać i wówczas pewnie będą czekały na nich cztery niszczyciele.

Opuścił peryskop i dał rozkaz wynurzenia.

Saratow otworzył luk i wszedł po drabinie do małego pomieszczenia na szczycie kiosku. Drugi oficer podążył za nim, bez przerwy rozglądając się na wszystkie strony. Gazowiec stał z lewej burty w odległości jakichś ośmiuset metrów. Nic się nie zmieniło, tylko rafineria płonęła jeszcze jaśniejszym ogniem niż dwadzieścia minut temu. Zajęły się nowe, wolne dotychczas od płomieni rejony. Z dystansu kilometra słychać było ryk płomieni.

Nawet chmury zdawały się płonąć. Widniały na nich błyski czerwieni, pomarańczu i żółci, odbijające się piekielnym poblaskiem w wodzie.

Okręt podwodny leżał nieruchomo. Na dole załoga szasowała dziobowe zbiorniki, tak by pokład

był powyżej fal. Saratow i drugi oficer wpatrywali się w horyzont, szukając niszczyciela, który był gdzieś tam. Podstawa płonących chmur wynosiła jakieś trzysta metrów, a widoczność była dobra, co najmniej dziesięć mil.

– Kto będzie strzelał? – spytał przez telefon bezbateryjny Saratow.

– Sieńka. On się na tym zna.

– Dawać go na pokład. Nie mamy całej nocy, do cholery.

Nie powinien był tego mówić. Lepiej nie pokazywać ludziom, że i jemu udziela się zdenerwowanie.

Gdzie, do diabła, podział się niszczyciel?

Odłożył lornetkę i zobaczył sylwetkę na pokładzie. Pochylała się nad lukiem. Kiedy wyprostowała się, trzymała w rękach długą rurę, którą oparła na prawym ramieniu.

Baterie granatnika są pewnie martwe jak Lenin.

Sieńka nie tracił czasu. Zebrał się w sobie, wycelował w gazowiec i wystrzelił.

Baterie zadziałały. Napędzany rakietowo granat wyleciał, przecinając noc smugą ognia. Prosto jak strzała przemknął nad wodą i uderzył w gigantyczną stalową banię wypełnioną płynnym gazem.

Błysk. I to wszystko. Dwa kilogramy ładunku wybuchły, potem cisza.

– Spróbuj ponownie. Przyłóż mu jeszcze raz.

Przynajmniej rakieta doleciała do celu, bo Saratow obawiał się, że jest poza zasięgiem. Ładunek musiał uderzyć w dźwigar lub coś w tym rodzaju, pomyślał Saratow, lustrując gazowiec przez lornetkę. Widział wyraźnie sieć podtrzymujących zbiornik dźwigarów. Jeżeli granat nie trafi bezpośrednio w zbiornik, nie zdoła go przebić.

Sieńka nie próżnował. Widocznie orientował się, w czym rzecz. Włożył drugi granat, podniósł rurę do ramienia, potem przyjrzał się jej i wyrzucił granat do wody. Sięgnął do luku po trzeci granat.

Strzelił po raz drugi. Pocisk pomknął nad czarną wodą w stronę gazowca. Kolejny błysk wybuchu i znów nic.

– Spróbuj po raz ostatni i wynosimy się stąd.

– Pięć minut do zakończenia ładowania pierwszej torpedy, komandir.

Saratow przyjął to do wiadomości.

Gdzie jest ten drugi niszczyciel?

Błysk z prawej.

Saratow odwrócił się i zobaczył płynący na nich okręt. Następny błysk dziobowego działa.

Pocisk uderzył w wodę tuż za okrętem.

Saratow już miał krzyknąć „zanurzenie", ale zobaczył, że Sieńka spogląda w stronę gazowca i podnosi granatnik.

Kiedy Saratow otwierał usta, pocisk uderzył w tył kiosku i eksplodował. Odłamek uderzył dowódcę w skroń, pozbawiając go przytomności. Inny dosłownie wypatroszył drugiego oficera, zabijając go na miejscu.

Pierwszy oficer sięgnął przez luk i złapał dowódcę za kostki. Przeciągał go przez właz akurat w chwili, gdy Sieńka wystrzelił ostatni granat w gazowiec.

Tym razem rakieta minęła siatkę rusztowań i uderzyła w zbiornik, wybijając w nim dziurę.

Ciśnienie płynnego propanu wewnątrz zbiornika sprawiło, że zaczął ulatniać się przez dziurę z ponaddźwiękową prędkością, wydając przy tym ogłuszający gwizd. Usłyszeli go niektórzy ludzie z załogi gazowca. To był ostatni dźwięk w ich życiu. W sekundę wokół rozgrzanego do białości otworu uformował się potężny obłok gazu. Propan zapalił się.

Ognista kula rosła coraz bardziej, wreszcie zbiornik ciśnieniowy pękł. W ułamku sekundy

wybuchło sześć tysięcy ton płynnego propanu.

Była to najstraszniejsza eksplozja w Japonii od czasu zrzucenia bomby atomowej na Nagasaki. Zbiornikowiec do przewozu płynnego gazu zniknął, podobnie jak większa część nabrzeża. Jeden z tankowców, który przywiózł benzynę również wybuchł, wzmagając siłę eksplozji. Pozostałe, wypełnione ropą naftową, pękały niczym melony rzucone na beton.

Podmuch i uderzenie termiczne zdmuchnęły szczątki rafinerii. Te wyroby ropopochodne, które jeszcze się nie zapaliły, zmieniły się w ogniste kule. Rzecz jasna, ludzie, którzy znajdowali się na tankowcach, nabrzeżu lub walczyli z ogniem, zostali natychmiast spopieleni.

Kiedy podmuch dosięgnął odległego o osiemset metrów okrętu podwodnego, miczman Sieńka, który wystrzelił ostatni pocisk z RPC-9, wyleciał za burtę. Nie robiło mu to zresztą większej różnicy, bo już nie żył, spalony falą termiczną, która nagrzała czarny, stalowy kadłub okrętu podwodnego, zmieniając w obłoczki pary omywające go fale. W ułamek sekundy później fala uderzeniowa dosięgła kiosku, zrywając kilkadziesiąt płyt tłumiących dźwięki z taką mocą, że położyła okręt podwodny na burtę.

Paweł Saratow nie miał o niczym pojęcia, bo leżał nieprzytomny. Okręt jakoś zdołał się wyprostować i pierwszy oficer przeciągnął go wreszcie przez luk. Przy okazji wlała się do środka tona wody. Woda wdarła się również przez otwarty luk w przedziale torpedowym i zatopiłaby okręt, gdyby się nie wyprostował.

Stało się to jakimś cudem i ludzie z przedziału torpedowego zdołali zamknąć i zabezpieczyć właz. W kiosku zmagali się z pokrywą włazu, który zatrzasnęli w chwili, kiedy powracająca fala uderzeniowa położyła okręt na drugą burtę.

Kiedy dowódca szarżującego na rosyjski okręt podwodny niszczyciela „Shimanzuke" zobaczył rosnącą kulę ognia, w pierwszej chwili pomyślał, że to pocisk z jego dziobowego działa ugodził gazowiec, choć ostrzegał artylerzystów przed konsekwencjami.

Fala termiczna zapaliła farbę na niszczycielu. Uderzenie wybiło szyby i wgniotło ściany mostku niczym cios pięści nordyckiego Thora. Ponieważ niszczyciel był niemal prostopadle do wybuchu, ciężkim uszkodzeniom uległy przede wszystkim dziobowe nadbudówki, anteny i radar. Sternika zabiło fruwające szkło. Wciąż idący z prędkością dwudziestu węzłów niszczyciel pochylił się w skręcie. Kiedy nadeszło drugie uderzenie, okręt przechylił się mocno, potem wyprostował. Jednak idąca za tym wysoka fala położyła go na burtę. W przeciwieństwie do okrętu podwodnego nie wstał więcej.

Ognista kula gazu rosła, robiła się coraz gorętsza i jaśniejsza. Temperatura wewnątrz okrętu podwodnego wciąż się podnosiła, dochodząc niemal do 70 stopni. Potem zaczęła opadać, jednak znacznie wolniej.

Po paru minutach temperatura wróciła prawie do normy. Pierwszy oficer wspiął się na mostek, żeby oszacować szkody. Tam, gdzie było nabrzeże i tankowce, przelewały się groźne, czarne fale. Z powierzchni zatoki zniknęły wszystkie kutry.

Miasto płonęło w promieniu kilku kilometrów. Fala termiczna i uderzeniowa zrobiły swoje. Podmuchy powietrza roznoszące ognistą kulę dopełniły reszty.

Główny peryskop został zgięty, szkła rozbite. Wołkow nie mógł określić, czy to wskutek trafienia pociskiem, czy fali uderzeniowej. Ani śladu drugiego oficera, który, podobnie jak Sieńka, spoczął w marynarskim grobie.

Pierwszy oficer zadzwonił do maszynowni, rozkazując zwiększyć prędkość. Z powodu zniszczenia głównego peryskopu musieli pozostać na powierzchni.

„Admirał Kołczak", rozwijając dwadzieścia węzłów na dieslach, zmierzał w stronę wejścia do

zatoki, ładując przy okazji akumulatory. Kiedy na wschodzie wstawał świt, pruli już fale Pacyfiku.

Wołków zanurzył okręt. Był małą łupinką na przepastnym oceanie, więc kiedy skryli się pod wodą, wydawało się, że nigdy ich nie było.

Rozdział 16

Pierwsze dni po zniszczeniu Zatoki Tokijskiej były trudne dla premiera Atsuko Abe. Co najmniej 155 tysięcy ludzi zginęło w wybuchach i pożarach, które przez dwa dni szalały w Yokosuka. Ratownicy szacowali liczbę rannych na sto tysięcy, w tym przynajmniej połowę z oparzeniami trzeciego stopnia.

Zgodnie z obowiązującymi rozkazami, oficer dyżurny w podziemnym sztabie znajdującym się w gmachu Ministerstwa Obrony, zadzwonił do domu premiera i szefa sztabu natychmiast po otrzymaniu meldunku o pożarze rafinerii w Yokosuka. Abe i generał znaleźli się w sztabie, kiedy wybuchł zbiornikowiec do przewozu płynnego gazu.

W milczeniu słuchali nadchodzących wiadomości. Stacja telewizyjna szybko wysłała śmigłowiec. Wkrótce mogli oglądać przerażającą panoramę na wielkich ekranach telewizyjnych, rozmieszczonych w strategicznych miejscach sali.

Jaskrawe, upiorne płomienie, morze ognia i zniszczeń – te obrazy wryły się w umysłach mężczyzn oglądających przekaz w gabinecie dowodzenia, dotarły też do całego społeczeństwa japońskiego, ponieważ były transmitowane na żywo przez ogólnokrajową telewizję.

Chociaż Abe nie chciał, by społeczeństwo oglądało tę katastrofę, nie miał prawa zabronić telewizji przekazywania wydarzeń, chyba że wprowadziłby stan wojenny, czego wolał nie robić. Nie był gotów przyznać publicznie, że sytuacja w stołecznym okręgu Tokio wymknęła się spod kontroli władz cywilnych. Przynajmniej na razie.

W pierwszej chwili premier zamierzał zrzucić odpowiedzialność za katastrofę na trzęsienie ziemi. Wstrząsy uszkodziły rafinerię, która wybuchła. To była dobra wersja i z pewnością do przełknięcia, ale niestety na taśmie zarejestrowanej z przekazu śmigłowca widać było wyraźnie, że pożar wybuchł w kilku różnych miejscach, co najmniej ośmiu i przez godzinę rozprzestrzeniał się, nim doszło do wybuchu.

Co gorsza, operator ze śmigłowca zdołał zarejestrować rosyjski okręt podwodny na kilka chwil przed najstraszliwszym wybuchem. Okręt znajdował się na powierzchni obok tankowca do przewozu płynnego gazu, a jego charakterystyczny kształt wyraźnie odcinał się od blasku płomieni lśniących w czarnej wodzie.

Kiedy gazowiec eksplodował, podmuch, niczym japoński potwór z filmów grozy, cisnął śmigłowcem o ziemię jak zabawką. Oczywiście, stacja telewizyjna zarejestrowała wszystko na taśmie i w kółko pokazywała okręt podwodny. Wyglądał jak zło kryjące się w mroku. Wielki, czarny kształt w połyskującej od pożaru wodzie.

Nastroje społeczne, ponure po inwazji na Syberię, stały się wręcz tragiczne. Pamięć o dywanowych nalotach z czasów drugiej wojny światowej była wciąż żywa. Pokazywane w telewizji płonące miasta hipnotyzowały Japończyków. Duch narodu zaczął słabnąć pod wpływem tych koszmarów.

Kto jest za to odpowiedzialny?

– Za śmierć każdego Japończyka i za cierpienia okaleczonych rannych odpowiedzialny jest Atsuko Abe.

Przewodniczący opozycyjnej partii obwieścił tę prawdę za pośrednictwem ogólnonarodowej telewizji.

– Wygląda na to – dodał kwaśno inny starszy polityk – że nasi przywódcy nie docenili militarnego potencjału Rosji.

Abe zareagował na krytykę, kładąc kres niezdrowej fascynacji rajdem okrętu podwodnego,

pożarem miasta i ofiarami. Zażądał wprowadzenia cenzury i zakazu rozpowszechniania defetystycznych informacji. Jego partia miała wystarczającą przewagę, by przeprowadzić to w parlamencie. Z jego inicjatywy telewizja wróciła do transmitowania rozgrywek baseballowych i sztuk, a gazetom zabroniono wspominać cokolwiek o wojnie, z wyjątkiem informacji Ministerstwa Obrony, które drukowano bez komentarza.

Postępując w ten sposób Abe, jako wytrawny polityk, zdawał sobie sprawę, że trwoni bezcenny kapitał zaufania społecznego, który być może będzie mu potrzebny w przyszłości, lecz nie widział innego wyjścia. Jeśli społeczeństwo zwątpi w sens wojny, póki zwycięstwo nie zostało jeszcze zapewnione, wszystko, co próbował osiągnąć, legnie w gruzach.

Jedyną jasną stroną wprowadzenia cenzury było zdjęcie z czołówek gazet codziennych list poległych na Syberii. Wojska natrafiły na niespodziewanie silny opór ze strony źle uzbrojonych jednostek rosyjskich, które można by raczej uznać za partyzantów. Nawet bez czarnych list społeczeństwo zdawało się wyczuwać, że nie wszystko idzie, jak należy.

– Gdzie teraz uderzą Rosjanie?

To pytanie zadawano sobie w całej Japonii. Nikt, rzecz jasna, nie znał odpowiedzi. Abe oskarżył wątpiących o brak patriotyzmu. Nastroje pogorszyły się jeszcze bardziej.

Kolejnym problemem była ekonomia. Po rozpoczęciu wojny japońska giełda została zamknięta przez administrację Abe. W gospodarce wszystko zaczęło się walić. Stany Zjednoczone, największy odbiorca japońskich wyrobów, drastycznie ograniczyły zamówienia. Po ataku okrętu podwodnego armatorzy odmówili dostarczania surowców oraz produktów utrzymujących w ruchu fabryki i dających ludziom chleb. Zamykane fabryki decydowały się na masowe zwolnienia.

Atsuko Abe zmagał się również z tym problemem. Wraz z szefem sztabu, generałem Yamashitą, wierzył, że wojsko powinno przejąć kontrolę nad fabrykami i transportem morskim. To zostało ostro zawetowane przez kierownictwo partii Atsuko, przy czym podkreślono, że wojna miała nakręcać koniunkturę, a nie zabijać gospodarkę.

– Czemu tak się dzieje – pytał Abe na zebraniu kierownictwa partii – że każdy jest patriotą, kiedy to nic nie kosztuje, a gdy przychodzi płacić, patriotyzm traci na popularności?

W zachodniej części Rosji życie stało się jeszcze trudniejsze niż przed japońską inwazją. Wielkie masy ludzi nadal głodowały, fabryki były pozamykane, a reformy wstrzymane. Wszyscy poczuli dokręcenie śruby, kiedy wojsko stopniowo, lecz nieubłaganie zaczęło przejmować kontrolę nad wszystkimi aspektami życia społecznego. Mężczyźni w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, którzy przeszli pomyślnie badania lekarskie, byli wcielani do armii i odsyłani do obozów, gdzie oczekiwali na broń i ekwipunek z przestarzałych, uruchomionych mocą dekretu fabryk. Wszystko – jedzenie, benzyna, ubrania – było racjonowane. Ocenzurowane media przekazywały wyłącznie propagandę. Ludzie tracili nadzieję widząc, że zła sytuacja kraju zmienia się na gorszą.

Informacja o zniszczeniach w Zatoce Tokijskiej, poczynionych przez rosyjski okręt podwodny, odbiła się w Rosji głośnym echem. Każda gazeta drukowała zdjęcie „Admirała Kołczaka" i fotografię Pawła Saratowa w mundurze. Plakaty z jego podobizną zdobiły ulice, pokazywała go nieustannie telewizja. Zwięzłe dane o Saratowie z jego akt w marynarce wojennej zostały rozbudowane do trzydziestostronicowej biografii zamieszczanej we wszystkich gazetach na zachód od Uralu. Śmierć olbrzymiej liczby niewinnych Japończyków była przerażająca i szokująca, ale wizja garstki dzielnych mężczyzn przekradających się na małym okręcie podwodnym do serca Japonii, by zadać cios butnemu najeźdźcy, odbiła się szerokim echem w sercach żądnych dobrych wieści Rosjan. Prasa w Europie, obu Amerykach i Australii podchwyciła temat i nagłośniła go. W ciągu czterech dni Paweł Saratow stał się najlepiej znanym żyjącym Rosjaninem.

Podczas tej patriotycznej orgii marszałek Oleg Gładyszew usiłował znaleźć sposób obrony państwa. Nieraz przed zaśnięciem dręczyły go wizje pancernych kolumn wroga podążających koleją transsyberyjską w stronę Moskwy. Budziły go sny o japońskich czołgach na Placu Czerwonym. Nie miał wystarczających sił, by powstrzymać Japończyków, gdyby rzeczywiście przyszło im to do głowy.

Najwyraźniej Japończycy nie byli dość zuchwali, żeby w potężnym rajdzie na zachód postawić wszystko na jedną kartę. Albo głupi. Rzucanie się na ślepo nie leżało również w charakterze Gładyszewa. Stary, siwy marszałek nie wierzył w szczęście. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, marszałka Iwana Samsonowa, Gładyszew nie był zbyt błyskotliwy, za to sprytny i ostrożnie badał każdą sytuację, rozważając wszystkie za i przeciw. Kalkulował ryzyko i wybierał rozwiązania. Jednak, kiedy nabrał już pewności, nic nie mogło go powstrzymać.

Gładyszew szybko zebrał i uruchomił wykwalifikowanych sztabowców, o których wiedział, że zdają sobie sprawę ze stanu rosyjskiej armii. Uzbrojony w prezydenckie dekrety i świeżo wydrukowane pieniądze, wydobył sprzęt i uzbrojenie z magazynów, kierując rekrutów do jednostek. Uruchomiono produkcję nowego sprzętu, a transport został maksymalnie obciążony.

Marszałek skoncentrował się na odbudowie potencjału militarnego. Wszystkie plany zależały od sił, jakimi dysponował, więc ich rozbudowa stała się priorytetem.

Na drugim miejscu było wsparcie tych wojsk na Syberii, które mogły przeciwstawić się Japończykom. Ludzi, broń, zaopatrzenie i amunicję transportowano na wschód pociągami, samochodami i samolotami. Marszałek wiedział, że szczupłymi siłami nie zdoła pokonać Japończyków na Syberii, ale dla podtrzymania ducha narodu musiał prowadzić wojnę.

Pewnego dnia Gładyszew udał się do Aleksandra Kaługina, by omówić sytuację wojskową. Zastał prezydenta kartkującego gazety i oglądającego naraz trzy stacje telewizyjne.

– Saratow zjednoczył Rosjan – mruknął Kaługin, wymachując stosem wycinków prasowych. – Uwielbiają go.

– Człowiek, który zgniecie Japończyków, będzie miał Rosję w garści – dodał po chwili bez związku prezydent. Z roztargnieniem słuchał raportu Gładyszewa.

– Przegrywamy, co? – spytał w jednym miejscu.

– Japończycy przygotowują wojska do obrony pól naftowych wokół Jakucka i Sachalinu. Umacniają się wokół Chabarowska i gromadzą ludzi oraz sprzęt do posuwania się wzdłuż doliny Amuru. Mój sztab i ja jesteśmy przekonani, że chcą przed zimą dotrzeć aż do Bajkału i zorganizować tam pierwszą linię obrony.

W tym czasie Kaługin zamknął oczy i powoli kręcił głową.

– W Dumie zadają coraz więcej pytań – powiedział wreszcie. – Deputowani pragną postępu w wojnie i całkowitego zwycięstwa. Nasze obecne akcje prowadzone niewielkimi siłami ledwie szkodzą Japończykom. Oddanie im połowy Syberii jest nie do przyjęcia.

– Ależ, panie prezydencie, nie mamy wystarczających sił...

– Ludzie chcą działania! Deputowani domagają się działania! Żądam tego od was!

Gładyszew nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie przestraszył się, lęk był mu obcy. Powtórzył prezydentowi prawdę.

– Robimy, co w naszej mocy. Codziennie rośniemy w siłę. Każdy dzień przybliża nas do zwycięstwa.

Kaługin zerwał się z krzesła.

– To wszystko kłamstwa! – ryknął. – Codziennie Japończycy posuwają się dalej w głąb Rosji. Wystarczająco długo słuchałem waszych kłamliwych obietnic. Ciągnął dalej, wpatrując się w starego

marszałka.

– Musimy wykorzystać moment. Ta historyczna chwila jest darem losu i trzeba mężnie stawić jej czoło. Nie wolno nam uchylać się od obowiązków. – Kaługin podniósł rękę i przyjrzał się jej. – Musimy uderzyć z całą mocą. Ten, kto uderzy pierwszy, zostanie zdobywcą.

Grzmotnął pięścią w szklany stolik, rozbijając blat na tysiąc kawałków.

– Nagrodą jest Rosja. Cała Rosja. Ten, kto przeciwstawi się rozsądkowi, zwycięży. Taka jest logika wojny. Atsuko Abe o tym wie. On również jest uczniem Dżyngis-chana.

– Ależ, panie prezydencie, uderzamy na Japończyków wszystkimi siłami.

– Nie, marszałku Gładyszew. Wcale nie. Mamy dziesięć głowic nuklearnych. Kiedy zdetonujemy je nad Japonią... – Kaługin gwałtownie wciągnął powietrze. – Wówczas nam przypadnie zwycięstwo. Musimy zastosować przeważające siły i środki. Słabość ośmiela wroga. Wiem, że mam rację. Musimy ich zniszczyć. A wtedy Rosja będzie moja.

Jednym z ludzi, dla których Gładyszew miał codziennie czas, był Iwan Ilin, który referował mu postępy wojsk japońskich na Syberii. Ilin był niezwykle dobrze poinformowany. Wręcz genialnie. Znał nazwy japońskich jednostek, wiedział, ilu mają ludzi, jaki sprzęt, umiał nawet podać nazwiska dowódców. Nanosił to wszystko na taktyczną mapę, którą marszałek studiował przez dłuższą chwilę.

– Skąd pochodzą te wszystkie informacje? – spytał go któregoś razu marszałek. – Nie wiedziałem, że Wywiad Zagraniczny jest taką kopalnią wiedzy. Nie jestem w stanie skomunikować się z większością moich oddziałów, a ty jakbyś dostawał codziennie rano świeże mapy prosto z Tokio.

– Wiecie, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Jak zacznę wydawać tajemnice, nie zostanie mi żadna.

– Jesteś lepiej poinformowany od GRU.

– Pracujemy po różnych stronach ulicy. Od tej pory marszałek nie wracał do tego tematu. Kiedy kończyli sprawy służbowe, Ilin zwykle pozwalał sobie na chwilkę pogawędki. Był, rzecz jasna, młodszy od marszałka i nie pracował z nim przedtem.

– Czy należycie do tych, którzy tęsknią za dniami dawnej chwały?

– Stare czasy wcale nie były chwalebne. Korupcja, egoizm, niekompetencja, zgubne wpływy, pijaństwo, powszechna nędza, zanieczyszczenie środowiska, marnotrawstwo... Wierz mi, dobrze, że te dni mamy już za sobą.

– A armia? Była wielka, potężna, stanowiła dumę każdego Rosjanina.

– Kreml dawał nam mnóstwo pieniędzy i wygrażaliśmy pięścią całemu światu. Świat truchlał, choć prawda była taka, że Związek Radziecki był w stanie co najwyżej się bronić. Naród był biedny. Nasze siły były przeznaczone do obrony, nie do ataku. Na przykład, nie byliśmy w stanie przeprowadzić ataku na Stany Zjednoczone, chociaż Amerykanie sądzili, że owszem. Inwazja w Afganistanie stanowiła kres naszych możliwości, a przegraliśmy, bo nie potrafiliśmy szybko podejmować decyzji.

– Jakie jest więc przeznaczenie Rosji?

– Przeznaczenie? – parsknął starszy pan.

– Nasza przyszłość.

– Po pokonaniu Japonii? Wielkie dni wciąż jeszcze nie nadeszły. Bez paranoicznej dialektyki zimnej wojny, obłąkanego bełkotu komunistów i wydatków na rozdmuchaną armię Rosja rozkwitnie jak nigdy przedtem. Może tego dożyjesz, Ilin.

W parę dni później Ilin znów składał mapy i notatki.

– Szkoda, że nie ma Samsonowa – rzekł. – On był świetny.

– Owszem – zgodził się marszałek. – Był moim pupilem. Potrafię na pierwszy rzut oka rozpoznać geniusza i dostrzegłem te cechy u niego. Był najlepszy. Odszedł w chwili, kiedy najbardziej go potrzebujemy. Czasem zastanawiam się, czy Bóg wciąż kocha Rosję.

– Bóg nie ma nic wspólnego ze śmiercią Samsonowa – powiedział Ilin, wpatrując się z napięciem w oblicze marszałka.

– Co powiedziałeś?

– Chciałbym wiedzieć, czy mogę liczyć na waszą dyskrecję.

– Czy uważasz, że mam długi język?

– Myślę, że jest pan człowiekiem honoru, bo jeśli się mylę, oboje jesteśmy zgubieni.

– Nie mam czasu na głupstwa.

Ilin nie przeoczył najmniejszego drgnięcia w twarzy Gładyszewa.

– Samsonowa polecił zlikwidować Kaługin. Zabił go jego ochroniarz. Pochowali go w lesie pięćdziesiąt kilometrów na północ od miasta.

Marszałek zbladł.

– Skąd o tym wiesz?

– Na tym polega moja praca. Mam wszędzie szpiegów. Mój Boże, to przecież Rosja.

– Masz dowody?

Ilin wyjął z kieszeni marynarki niewielkie zdjęcie i pokazał je marszałkowi. Głowa Samsonowa spoczywająca na kupie ziemi. W czole ziała ogromna dziura. Oczy miał otwarte.

– Kula wyszła przodem. Strzał w potylicę.

Gładyszew oddał fotografię. Ilin potarł zapałkę i podpalił róg zdjęcia. Wrzucił płonący papier do popielniczki.

– Czemu mi o tym mówisz?

– Kaługin kazał swym ludziom sprawdzić broń nuklearną na wyspie Trojan. Zabrali ze sobą najlepszych specjalistów.

Marszałek Gładyszew wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Wpatrywał się w fotografię w popielniczce. W powietrzu wiła się cieniutka strużka dymu.

Gładyszew spojrzał Ilinowi w oczy.

– Słyszałem – ciągnął Ilin – że kiedy ludzie Kaługina mają kogoś zamordować, proszą ofiarę, żeby zajęła miejsce obok kierowcy. Kiedy delikwent jest rozluźniony i traci czujność, zabijają go strzałem w tył głowy. To chyba całkiem bezbolesne.

– I postanowiłeś mnie ostrzec.

Ilin skinął głową.

– Aleksander Kaługin to kolejny Józef Stalin – cicho dodał po chwili Ilin. – Jest paranoikiem i nie ma żadnych skrupułów.

– Jest obłąkany – powiedział wolno marszałek Gładyszew, przypominając sobie rozmowę z Kaługinem, w trakcie której prezydent rozbił pięścią szklany blat na stoliku.

Rosjanie dowiedzieli się o Amerykańskim Dywizjonie. Telewizję oraz gazety wypełniły historie, które miały na celu podniesienie morale społeczeństwa. Pod niebiosa wynoszono możliwości F-22 Raptor. Rosyjscy dziennikarze nazywali go supersamolotem. F-22 pilotowane przez asów amerykańskiego lotnictwa, którzy zgłosili się na ochotnika, by walczyć w obronie Republiki Rosyjskiej, zmiotą wkrótce z nieba japońskich bandytów.

Uliczne stragany sprzedawały plakaty ze zdjęciami amerykańskich ochotników, stojących obok F-22 z wymalowaną na kadłubie rosyjską flagą. Nikt prócz lotników nie wiedział, że flaga została namalowana plakatówkami. Po zrobieniu zdjęć mechanik starannie zmył wciąż jeszcze wilgotną farbę

z inteligentnego pokrycia samolotu.

Pułkownik Bob Cassidy był wstrząśnięty, kiedy w kwaterze głównej w Moskwie wyjaśniono mu sytuację. Rosjanie nie byli jeszcze gotowi do stawienia oporu na ziemi za pomocą konwencjonalnych metod.

Kiedy po odprawie udawał się na spotkanie z marszałkiem Gładyszewem, wstrzymał się z uwagami. Marszałek miał twarz bez wyrazu. Słuchał tłumacza, kiwał głową i przyglądał się Cassidyemu, niczym manekinowi na wystawie domu towarowego.

Bob Cassidy siedział jak na szpilkach. Czuł się niczym na egzaminie w akademii lotniczej. Starszy pan robił na nim takie wrażenie.

Wreszcie rosyjski marszałek odezwał się:

– Robimy dla Rosji wszystko, co w naszej mocy, pułkowniku. Jestem pewien, że wasz prezydent powiedziałby to samo. Oczekuję, że wy również dacie z siebie wszystko.

– Tak jest – odparł Cassidy, który lekko poczerwieniał, słuchając tłumacza.

– Chciałbym – ciągnął beznamiętnie marszałek – żeby Amerykański Dywizjon zaatakował japońskie siły powietrzne i zdobył przewagę w powietrzu. Kiedy już to osiągniecie, lub będziecie blisko tego, macie zestrzeliwać ich transportowce i przeszkadzać w odbudowie kolei. Jeżeli Japończycy zostaną zdani na transport kołowy, pokonamy ich w zimie.

– Czy mogę spytać, panie marszałku, jak wielką wagę przywiązuje pan do niszczenia przez nas kolumn samochodowych wroga?

– Liczę na pańską dyskrecję, pułkowniku. Zamierzam oddać Japończykom całą Syberię, jeśli tylko zdołają ją zająć. To olbrzymi obszar. Z drugiej strony, jeżeli rozpali pan w nich żądzę powrotu do kraju, ocali pan wiele istnień ludzkich.

Cassidyemu przyszło na myśl, że Gładyszew zdecydował się na piekielną pokerową zagrywkę.

– Czy tej zimy pańska armia zaatakuje?

– Tej zimy – odparł marszałek Gładyszew – zabijemy wszystkich japońskich żołnierzy na Syberii. Co do jednego.

Kiedy powietrzny pociąg przybył do Czity, najpierw wylądowały transportowce C-5. Baza miała dwa pasy startowe, niemal równoległe, o długości 2.300 metrów każdy. Nie dawało tu zbyt dużego marginesu błędów. W czasie, gdy transportowce lądowały i kołowały na miejsce postoju, pułkownik Bob Cassidy utrzymywał sześć F-22 w powietrzu. Dwa kolejne lotniska, również z dwoma pasami, znajdowały się o kilka kilometrów na południowy zachód. Były to stare, opuszczone bazy i beton pasów kruszył się. Awaryjne lądowanie na pewno uszkodziłoby silniki odrzutowców.

Cassidy obserwował ekran taktyczny. Waszyngtoński pułkownik, Evan Register zarządził poprzedniego wieczoru odprawę dla Cassidyego i towarzyszących mu pilotów.

– Zainstalowana w nowych Zero Atena maskuje je przed waszymi radarami. Dlatego strzelanie pociskami AMRAAM w Zero jest marnowaniem dobrego sprzętu: Atena nie pozwoli im odnaleźć celu. Nie włączajcie radarów. Będą stanowiły znakomitą wskazówkę dla Zero. Zlecą się jak ćmy do światła. Waszą bronią jest Sky Eye. Radary na satelitach, chociaż nie mogą dostrzec Zero, mogą namierzyć ich smugi kondensacyjne, zwłaszcza przy prędkościach naddźwiękowych. Przekroczenie bariery dźwięku tworzy bardzo charakterystyczną falę.

– Chwileczkę – odezwał się jeden z młodszych pilotów, który mimo dobrej woli nie mógł w to uwierzyć do końca. – Gdzie tu jest haczyk?

Na końcu sali Cassidy odchylił się z fotelem do tyłu i uśmiechnął się. Stanford Tuck go nie zawiódł.

– No, są też pewne techniczne ograniczenia – przyznał czarodziej z Waszyngtonu. – To jest

najnowsza technologia. Wykrywanie strug powietrznych tą metodą jest najskuteczniejsze w spokojnym powietrzu. Letnie ruchy powietrza, burze z wyładowaniami, deszcz, grad – to wszystko ogranicza możliwości systemu. Komputery potrafią to częściowo uporządkować, ale pamiętajcie, że satelity znajdują się w nieustannym ruchu, obraz wciąż się zmienia i jest mnóstwo elementów do usystematyzowania. Obserwowaliśmy smugi kondensacyjne Zero w ostatnich tygodniach. O ile pogoda się nie zmieni, wszystko będzie w porządku.

Cassidy spojrzał na swoich pilotów i wzruszył ramionami. Co można na to poradzić?

Na wysokości 12 i pół tysiąca metrów nad Czitą Bob Cassidy zastanawiał się, jaka też dziś jest skuteczność Sky Eye. Powietrze na tej wysokości wydawało się wystarczająco spokojne. Wysokie, rzadkie chmury rozpraszały promienie słoneczne.

Ziemia w dole nie wyglądała na gościnną. Czita była małym miastem położonym w górze Amuru. Po jednej stronie znajdował się ośnieżony łańcuch górski, od południa drugi, jałowa ziemia przypominała Cassidyemu Newadę lub Oregon. Pasy startowe wyglądały jak jaśniejsze kreski w żółto – brunatnej ziemi. Z tej wysokości widać było również parkingi dla samolotów i kilka budynków, zapewne hangary.

Dwa tysiące trzysta kilometrów od morza Amur był zaledwie strumykiem, sezonowo wzbierającym od topniejących w górach śniegów. Przez rzekę wiodły dwa mosty, jeden kolei transsyberyjskiej, drugi dla ciężarówek. Tuż przed nadejściem mrozów rzeka wylała i rozlewisko zamarzło.

Chabarowsk leżał tysiąc osiemset kilometrów dalej z biegiem rzeki. Potem Amur skręcał na południowy wschód, przepływając kolejne pięćset kilometrów aż do Morza Ochockiego.

Ekran taktyczny pokazywał puste niebo wokół formacji F-22. Cassidy przełączył go na obraz całego rejonu pomiędzy Czitą a Zeją. Dziewięćset kilometrów. Odległość pomiędzy Bostonem a Detroit. Trzeba się będzie przyzwyczaić do syberyjskich odległości. Ta ziemia była wielka ponad ludzkie wyobrażenie. Człowiek ledwie zdołał odcisnąć na niej swe piętno.

Cassidy pomyślał o Jiro Kimurze. Czy żyje, a jeśli tak, gdzie przebywa?

Jiro przyszedł mu na myśl zupełnie nie w porę, akurat kiedy powinien zająć się swoim zadaniem. Cassidy skarcił się w myślach i spróbował skupić się na czymś innym.

Żadnego obcego samolotu na ekranie taktycznym w okolicy Chabarowska ani Nikołajewska. To niepokoiło Cassidyego. Byłoby miło, gdyby satelita zauważył jeden lub dwa, a tu... nic.

Cassidy popatrzył na transportowce na lotnisku. Z tej wysokości były wyraźnie widoczne. Jeśli wszystko przebiegało zgodnie z planem, załoga właśnie wyładowywała zamontowane na przyczepach baterie Sentinel. Samoloty przywiozły również cztery wozy terenowe Humvee, które będą je ciągnęły. Na każdym końcu pasa startowego zostanie ustawiona bateria rakiet plot Sentinel Kolejne będą po południu, wieczorem wyjadą z bazy i zgodnie z wzorcem rozstawione zostaną na bocznych drogach w okolicy. Kiedy skończy się rozładunek, dwa C-5 wystartują, by ponad biegunem wrócić na Alaskę. Za kilka godzin spotkają się z latającymi cysternami.

Cysterny stanowiły klucz do powodzenia operacji, polegającej na przerzuceniu samolotów i sprzętu przez pół świata, utrzymując je jednocześnie w gotowości bojowej. Odnalezienie cysterny w bezkresnym niebie zawsze stanowiło wyzwanie, prawdziwy wyczyn, zwłaszcza kiedy kończyło się paliwo. System nawigacji satelitarnej upraszczał to maksymalnie, ku zadowoleniu wszystkich.

Cassidy zerknął na wskaźnik paliwa. Myśliwce zatankowały przed godziną, były więc pełne, lecz Bob nie wiedział, jak długo jeszcze będzie tkwił przywiązany do wyrzucanego fotela. Już ponad sześć godzin spędził w kabinie. Wszystko go bolało. Poruszył się w fotelu, próbując ulżyć zdrętwiałym pośladkom.

Minęło pół godziny, jeden z C-5 pokołował na koniec pasa i po pięciu minutach ruszył. Następny zaczął kołować, gdy tylko pierwszy wystartował.

Cassidy odczekał dziesięć minut, aż C-5 oddalą się na północ, potem zredukował ciąg i zaczął podchodzić do lądowania.

Pierwszym problemem, z jakim zetknęli się Amerykanie, było rozmieszczenie ich samolotów. Baza znajdowała się poza zasięgiem Zero operujących z Chabarowska, co było nikłą pociechą, odkąd Japończycy zajęli Zeję. Gdyby użyli latających cystern, mogliby zaatakować tę bazę o dowolnej porze, z dowolnego punktu, nawet z Japonii.

Mając to wszystko na uwadze, F-22 zostały rozproszone po całym terenie bazy. Miejsca były zapchane porzuconymi myśliwcami, wśród których trafiały się nawet stare MIG-i-19 i – 21. Niektóre z tych antyków miały spuszczone powietrze z kół, wycieki oleju, a we wlotach powietrza ptaki uwiły sobie gniazda. Amerykanie przeciągnęli i przepchali rosyjski złom, robiąc miejsca, na których ustawili F-22. Potem rozpięli siatki maskujące.

Niektóre z lepszych miejsc postojowych, wybetonowane i osłonięte dużymi drzewami, zajmowały Suchoje-27, wyglądające na zdatne do użycia. Samolotów pilnowali niechlujni, często wręcz cuchnący, Rosjanie, którzy nie znali angielskiego. Amerykanie wyciągnęli batoniki i wkrótce przełamali lody.

Już na ziemi Cassidy pomyślał, że okolice Czity przypominają Kolorado. Baza lotnicza i małe miasteczko ze stacją kolejową, otoczone ośnieżonymi górami od północy, zachodu i południa. Krystalicznie czyste powietrze. Stąd wszędzie było daleko.

Przynajmniej łączność była na medal. Amerykanie przywieźli ze sobą przenośne radiostacje, które przekazywały sygnały przez satelitę, co oznaczało, że ich posiadacze mogli komunikować się z dowolnym punktem na Ziemi.

Cassidy natychmiast z tego skorzystał. Posługując się urządzeniem kodującym, zadzwonił do NORAD [North American Air Defence Command – centrum dowodzenia obrony powietrznej USA i Kanady]. znajdującego się we wnętrzu wydrążonej góry w Colorado Springs.

– Wszystko w porządku, pułkowniku. Dziś nie było żadnych zawirowań w atmosferze.

Bob Cassidy odetchnął z ulgą. Obrona będzie w pełni gotowa dopiero jutro rano.

Wszystko stanowiło problem, od zakwaterowania po łazienki. Piloci otrzymali pusty, rozwalający się barak, a obsługa dwie Łazienki. Były przerażające. W każdym z baraków znajdowała się jedna toaleta, która miała zaspokoić potrzeby osiemdziesięciu mieszkających w nim osób.

– Gdyby moja matka to widziała, umarłaby na atak serca. Zawsze chciała, żebym, jak na dżentelmena przystało, wstąpił do Marynarki – oświadczył Bob Cassidy grupie młodszych oficerów stojących w drzwiach.

– Czemu pan tego nie zrobił?

– Już wanna przyprawia mnie o chorobę morską.

– Słusznie pan wybrał, pułkowniku. Tu nie uświadczy pan wanny.

– Futrzane Jajo i Sos, wykopiecie dół pod latrynę. Scheer, weźmiesz pozostałych i rozbierzecie tę starą szopę po drugiej stronie. Pożyczcie narzędzia od mechaników i uważajcie na zardzewiałe gwoździe. Zbudujecie też jedną latrynę dla obsługi.

– Latryny – skrzywił się z niesmakiem Hudek, kiedy Cassidy wyszedł. – Przelecieliśmy pół świata, żeby budować wychodki!

– Fantastyczne – mruknął Foy. – Przygoda, sława... Jestem tak cholernie wzruszony, że się popłaczę.

Wieczorem wszyscy jedli w opuszczonej stołówce. Do gotowania użyto drewna z pobliskiego lasu. Lekarz, który przybył z grupą z Niemiec, zabronił picia wody z kranu, podano więc wodę butelkowaną wraz z gotowym jedzeniem z puszek. Porcje zostały podgrzane.

Późnym wieczorem pojawił się major Czernow, szukając dowódcy. Towarzyszył mu tłumacz.

– Moi ludzie potrzebują jedzenia – oświadczył po przedstawieniu się. – Dwa tygodnie temu przyjechaliśmy z Zeji. W bazie nie ma dodatkowego wyżywienia.

– Ilu was jest?

– Sześćdziesięciu pięciu. Cassidy nie wahał się.

– Podzielimy się, majorze. – Podchwycił wzrok oficera zaopatrzeniowego i przywołał go gestem. Po krótkiej rozmowie zwrócił się do tłumacza: – Kolacja dla pańskich ludzi będzie gotowa za dwadzieścia minut.

– Nie mamy pieniędzy, nie będziemy mieli czym zapłacić.

– Zeja jest w tej dolinie?

– Tak. Na wschód. Japończycy zaatakowali. Zestrzeliłem kilku.

– Na Su-27?

– Tak, to dobry samolot.

– Mam na imię Bob. – Cassidy wyciągnął rękę.

– Grigorij Czernow.

– Porozmawiajmy, kiedy będziecie jedli. Chcę wiedzieć wszystko o tych Japończykach.

Morze było spokojne, zmarszczone drobną falką. Okręt podwodny kołysał się łagodnie, płynąc cicho niczym duch o napędzie elektrycznym. Mgła ograniczała widoczność, a chmury przysłaniały nocne niebo. Delikatna mżawka masowała policzki Pawła Saratowa stojącego na małym mostku na szczycie kiosku „Admirała Kołczaka". Kapitan wziął głęboki wdech, smakując morskie powietrze, miły kontrast w porównaniu z zaduchem z wnętrza okrętu.

Żył. Jak to cudownie. Odruchowo dotknął świeżej blizny na czole, purpurowej szramy biegnącej od nasady włosów nad lewym okiem i niknącej we włosach za uchem. Odłamek japońskiego pocisku, który trafił w mostek, zerwał mu połowę skalpu.

Blizna paskudziła się w kilku miejscach. Infekcja – stwierdził felczer. Dwa razy dziennie wcierał w zaczerwienione miejsca maść. Co rano robił tępą igłą zastrzyk z antybiotyku, a załoga w centrali bojowej przyglądała się temu z otwartymi ustami. Za każdym razem Saratow jęczał, jakby igła sprawiała mu straszny ból. Przed pierwszym zastrzykiem sprawdził butelkę z penicyliną. Była przeterminowana, ale skoro nie mieli niczego innego, zwrócił ją felczerowi bez komentarza.

Godzina do północy. We mgle, pod chmurami było ciemno, lecz nie całkiem. Miły poblask Na tej szerokości geograficznej, o tej porze roku, noce nie bywały ciemne. Przynajmniej chmury kryły okręt przed amerykańskimi satelitami. Saratow zastanawiał się, czy Amerykanie przekazują dane satelitarne Japończykom. Chyba jednak tak. Nie ufał Amerykanom.

Marynarz stojący za Saratowem przepatrywał mgłę przez lornetkę.

– Trzymaj oczy szeroko otwarte – powiedział mu Saratow. – Jeśli Japończycy wiedzą, że tu jesteśmy, nie będzie dużo czasu na reakcję.

Podczas kiedy rana goiła się, Saratow skierował okręt na północ, w stronę otwartego morza. Leżał na wznak w swojej koi i, jedząc chleb, rozważał wszystkie możliwości.

Zabronił nadawania komunikatów przez radio bez względu na częstotliwość. Ryzyko wykrycia antenami kierunkowymi było zbyt duże. Pewnego wieczoru odebrali depeszę z Moskwy. Po rozkodowaniu Wołkow wręczył ją dowódcy, ten przeczytał i oddał z powrotem pierwszemu oficerowi.

– Komandir, Moskwa chce, żebyśmy udali się na wyspę Trojan. Nigdy o takiej nie słyszałem.

– Ciekawe – mruknął Saratow.

– Nie ma jej na mapach.

– To baza okrętów podwodnych wewnątrz wygasłego wulkanu w pobliżu Cieśniny Kurylskiej. Baza podwodnych okrętów rakietowych. Od lat opuszczona.

– Co zrobimy, komandir!

– Utrzymywać obecny kurs i prędkość. Muszę to przemyśleć. Wyspa Trojan.

Po kilku dniach rozmyślań, Saratow postanowił spróbować, bo inne warianty były gorsze.

– Pierwszy, proszę do mnie – odezwał się przez telefon bezbateryjny.

– Wyspa leży na wprost przed nami – powiedział, kiedy pierwszy oficer znalazł się obok niego na mostku. – Jeśli płyniemy prawidłowo, dzielą nas cztery mile.

– Zdumiewające – zauważył pierwszy oficer. – Baza tak tajna, że nic o niej nie wiemy.

– Nie służyłeś w atomowej flocie podwodnej.

– A jeśli niczego tam nie ma?

– Nie wiem, Wołkow. Po prostu nie wiem. To cud, że P-3 jeszcze nas nie znalazły. W końcu nas dopadną. Zastanawiałem się nad zatrzymaniem frachtowca, przesadzeniem ludzi i zatopieniem okrętu. Mamy przestarzały okręt, uszkodzony peryskop, kończy się jedzenie i paliwo, zostały tylko cztery torpedy. Wyrządziliśmy maksymalnie możliwe szkody.

– Tak jest.

Pierwszy oficer skoncentrował się na wpatrywaniu się we mgłę lornetką.

Zanim cokolwiek dostrzegli, usłyszeli fale łamiące się o skały.

Wreszcie zobaczyli sterczące pionowo z wody skały.

Odnalezienie właściwych znaków, ledwo widocznych śladów farby na skałach, zajęło dowódcy kolejną godzinę. Nie był pewien jednego z nich: zostało zbyt mało farby, lecz wątpliwości zachował dla siebie. Po kilku głębszych wdechach Saratow nakazał zanurzenie.

W centrali rozkazał miczmanowi wytrymować okręt na trzydziestu metrach. W tym czasie studiował mapę, którą przygotowywał przez cztery godziny poprzedniego dnia.

– Macie posuwać się tym kursem z prędkością trzech węzłów przez równe pięć minut. Potem zwrot w prawo o dziewięćdziesiąt stopni. Jeśli będziemy płynąć wolniej, prąd odepchnie nas od tunelu.

– Rozkaz.

– Jeżeli uderzymy o skały z prędkością trzech węzłów, przedziurawimy zewnętrzny kadłub – z wymuszoną swobodą odezwał się jeden z młodszych oficerów.

– Na tym polega niebezpieczeństwo tego miejsca – odparł dowódca, usiłując zachować spokój w głosie. Nie była to najlepsza pora dla osadzenia na właściwym miejscu młodszych oficerów. – Sonar, zacznijcie nadawać. Podajcie mi obraz na monitor.

Kiedy okręt podwodny zaczął w zanurzeniu zbliżać się do wyspy, na monitorze pojawiła się dziura w skale. Saratow wycelował w tunel.

Wszyscy wokół Saratowa w centrali spocili się.

– To jest gorsze od Zatoki Tokijskiej – mruknął pierwszy oficer. Nikt nie odezwał się. Wszyscy wpatrywali się w monitor.

Kiedy okręt wszedł do tunelu, Saratow polecił zmniejszenie prędkości do jednego węzła. Powoli przebyli sto metrów, kiedy sonar zaczął regularnie piszczeć. Byli u wylotu tunelu.

Zatrzymali śruby i szef pokładu zaczął wpuszczać sprężone powietrze do zbiorników balastowych. Okręt podnosił się centymetr po centymetrze.

Kiedy znalazł się na powierzchni, Saratow obrócił zacisk pokrywy luku, podniósł ją i wspiął się do kiosku.

Okręt znajdował się w czarnej lagunie wewnątrz wielkiej groty. Tego oczekiwali. Czego się Saratow nie spodziewał, to rzęsistego oświetlenia elektrycznego nad głową. Molo leżało o trzydzieści metrów po lewej burcie. Stała tam grupa uzbrojonych mężczyzn w mundurach piechoty morskiej. Saratow spoglądał na nich ze zdumieniem.

Jeden z mężczyzn złożył ręce wokół ust.

– Witamy, kapitanie Saratow. Czekaliśmy na pana.

Rozdział 17

Wśród uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej znalazło się paru oficerów. Kiedy okręt został przycumowany do nabrzeża, Saratow zauważył, że jeden z nich nosi generalski mundur. Żołnierze przerzucili trap i generał wszedł po nim swobodnie, niczym gimnastyk. Nie odsalutował marynarzom.

Saratow też mu nie zasalutował. Generał zdawał się tego nie widzieć. Stał na pokładzie, oglądając wgniecenia, zarysowania i pogięty peryskop.

– Jak długo potrwa naprawa? – zwrócił się wprost do Saratowa.

– Jeśli będziemy mieli odpowiednie narzędzia, to około dwóch dni. Uzupełnienie brakujących płytek zajmie kilka tygodni, a nowe mogą odpaść przy pierwszym zanurzeniu.

Generał wspiął się na mostek.

– Jesienin.

– Saratow.

– Nie salutuje pan?

– A powinienem?

– Chyba tak Należy przestrzegać form. Wydaje mi się, że hierarchia wojskowa tworzy właściwe ramy dla naszych wzajemnych stosunków.

Saratow zasalutował. Jesienin również.

– A teraz generale, jeśli pan łaskaw, chciałbym obejrzeć pańskie papiery.

– Dojdziemy i do tego. Odebrał pan rozkaz kierujący okręt do tej bazy?

Saratow skinął głową.

Generał wręczył mu kartkę opatrzoną godłem Federacji Rosyjskiej. Odręczne pismo kierowało generała Jesienina na wyspę Trojan, oddając mu dowództwo nad wszystkimi znajdującymi się tu siłami. Na dole widniał podpis prezydenta Aleksandra Kaługina.

– A teraz dokument stwierdzający pańską tożsamość, panie generale.

– Niestety, musi panu wystarczyć moje szczere oblicze.

– Bez żartów! List jest prawdziwy lub nie, a mundur mógł pan kupić gdziekolwiek. Czy wyglądam na durnia?

– Mamy również broń, kapitanie. Jak pan widzi, ja i moi ludzie jesteśmy uzbrojeni. Jeśli był pan uprzejmy zauważyć, trzymamy pańskich marynarzy na muszce. Żołnierze wymierzyli broń w marynarzy pracowicie mocujących cumy.

– Cały personel tej bazy podlega moim rozkazom – wyjaśnił Jesienin. – Z wami włącznie.

– Nie wiedziałem, że jest tu jakiś personel.

– Teraz jest. Saratow oddał list.

– Gratuluję zwycięstwa nad Japonią, kapitanie. Spisał się pan doskonale.

– Rozkazem prezydenta Kaługina został pan awansowany do stopnia kapitana pierwszej rangi.

– Moi ludzie od pół roku nie dostali żołdu. Może im pan zapłacić? Większość z nich ma rodziny na utrzymaniu.

– Niestety, z wyspy Trojan nikomu nie wolno wysyłać listów.

Saratow odwrócił głowę, żeby generał nie dostrzegł wyrazu niechęci.

– Ile zajmie wam przygotowanie okrętu do wyjścia w morze?

– Peryskop... jeśli jest tu jakiś w magazynie, to potrwa kilka dni. Nie działa radar. Mamy kilka pękniętych akumulatorów, jeśli personel bazy ma części, narzędzia, jedzenie, paliwo i torpedy, to może z tydzień.

Generał krótko skinął głową.

– Naprawimy wasz okręt w najkrótszym możliwym czasie, zatankujemy i wyposażymy, a potem pan i pańska załoga zabierzecie mnie ze specjalnym bojowym oddziałem z powrotem do Tokio.

Saratow usiłował zachować powagę.

– Wygląda pan na rozbawionego, kapitanie.

– Bądźmy szczerzy, panie generale. Ten okręt nie zdoła wejść po raz drugi do Zatoki Tokijskiej.

– Wiem, że to będzie trudne.

Saratow parsknął.

– Z powodów, których możemy jedynie domniemywać, Japończycy za pierwszym razem zostawili otwarte drzwi. Bardzo ich ośmieszyliśmy. Czy pan zna mentalność Azjatów? Stracili twarz. Zrobią wszystko, co w ich mocy, by upewnić się, że nie zdołamy ich ponownie zawstydzić. Do tej pory pewnie zaspawali te drzwi na amen.

– Nie wątpię w pańskie racje, ale wykonuję rozkazy prezydenta Kaługina Pan podlega moim rozkazom.

– Tak jest.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli, kapitanie, postawię sprawę jasno. Ten okręt wraca do Zatoki Tokijskiej. Jeśli nie ma pan życzenia przejść pod moją komendę, wyprawimy panu szybki pogrzeb i pański pierwszy oficer otrzyma szansę zyskania sławy.

Saratow przygryzł wargi, żeby zachować kamienną twarz. Jesienin zauważył to i uśmiechnął się.

– Uważa pan, że jestem okropny. Powszechne odczucie. Przyznaję, że mam trudną osobowość. – Uśmiechnął się szeroko. – A może określenie „okropny" jest zbyt słabe. Może, Saratow, jak wielu innych przed wami, chętnie patrzylibyście, jak umieram. Kto wie, może się wam poszczęści.

Jesienin obnażył białe zęby.

Saratow usiłował zachować spokój.

– Mam nadzieję, że jest pan twardym facetem – odparł. – Choć nikt się nas nie spodziewał, Japończycy omal nas nie zabili. Tym razem będą przygotowani. Śmierć w tej stalowej rurze nie jest przyjemna. Nie ma tu dobrej śmierci. Może pan zostać zgnieciony, kiedy okręt zanurzy się zbyt głęboko, może będzie pan konał powoli z braku powietrza. Jeśli utkniemy na dnie, będzie pan żałował, że się nie utopił.

Uśmiech zniknął z twarzy generała.

– Możemy umrzeć razem, Saratow – powiedział. – A może to ja będę patrzył na pańską śmierć. Zobaczymy, jak potoczy się gra.

Generał zszedł po przyspawanych do kiosku klamrach. Zatrzymał się i spojrzał w górę.

– Macie pięć dni i nocy do wyjścia w morze. Wykorzystajcie ten czas.

Następnego dnia Bob Cassidy objął dowództwo czterech maszyn. Spał jedynie dwie godziny. Zgodnie z informacjami ludzi z NORAD z Colorado Springs, dwa Zero grzały silniki w Zeji, osiemset kilometrów na wschód. Amerykanie nie mogli dłużej czekać.

Tego ranka skrzydłowym Cassidy'ego był Paul Scheer. Drugą parę tworzyli Dick Guelich i Foy.

Cassidy wznosił się łagodnym łukiem, pozwalając dojść do niego trzem pozostałym myśliwcom. W ciasnej formacji wciąż wznosili się, krążąc nad lotniskiem. Na wysokości 2 800 metrów weszli w gęste chmury, z których wyszli dopiero na siedmiu tysiącach.

Nad chmurami rozproszyli się, żeby każdy mógł bezpiecznie zająć się komputerowymi ekranami w kabinie. Pierwszym zadaniem było sprawdzenie elektroniki.

F-22 zbierał informacje o odległych celach za pomocą radaru pokładowego, łącza danych z innych samolotów lub poprzez satelitę z NORAD w Colorado Springs. W dodatku samolot posiadał czujniki pozwalające na wykrywanie wszystkich elektronicznych sygnałów nieprzyjaciela, oraz

reagujące na ciepło czujniki podczerwieni. Informacje z tych wszystkich źródeł opracowywał i pokazywał na ekranie sytuacji taktycznej główny komputer.

Samoloty wymieniały informacje pomiędzy sobą za pomocą laserowych łącz danych, automatycznie nakierowywanych na sąsiadujące samoloty czujnikami podczerwieni. Każdy samolot wysyłał w kierunku drugiego wiązkę laserową, aktualizując dane i poprawiając błędy w ciągu nanosekund, co pozwalało komputerom na ustalanie względnej pozycji wobec innej maszyny z dokładnością do centymetrów. W chmurach lub podczas złej pogody, transmisja danych odbywała się poprzez kierunkowy sygnał radiowy o skrajnie wysokiej częstotliwości.

Pilot wiedział, gdzie znajdują się pozostali, ponieważ komputer, będący mózgiem maszyny, przedstawiał sytuację taktyczną na umieszczonym centralnie trójwymiarowym, wielofunkcyjnym ekranie holograficznym. Z lewej strony inny ekran podawał informacje o silnikach, ilość paliwa i o uzbrojeniu. Po prawej trzeci ekran wielofunkcyjny pokazywał mapę z lotu ptaka, zaznaczając miejsce w którym się aktualnie znajdują.

Pilot wybierał obrazy i funkcje manipulując trackballem na dźwigni ciągu po lewej ręce. Drążek sterowy po prawej ręce był również upstrzony przyciskami, tak więc bez odrywania rąk od drążka czy dźwigni ciągu pilot mógł wybierać między niezliczonymi wariantami, co w starszej generacji myśliwców wymagało ręcznego przestawienia przełączników.

Obecny poziom techniki pozwalał na komputerowe prowadzenie F-22 z prędkością 2,5 macha i manewrowanie przy przeciążeniach powyżej 9 G. Specjalny kształt samolotu umożliwiał pilotowi na wykrycie przeciwnika, samemu pozostając niezauważonym. Niestety, zainstalowany w Zero system Atena przewyższał pod tym względem możliwości F-22 Raptor. We współczesnej wojnie wszystkie manewry zostały całkowicie zautomatyzowane. Pilot, który pierwszy wystrzelił i uciekł, zanim odegrali się na nim przyjaciele ofiary, uważany był za zwycięzcę.

Na pułapie dziesięciu tysięcy metrów Raptory przyśpieszyły do prędkości 1,3 macha. Piloci włączyli „skórę kameleona". Samoloty zaczęły tracić wyraźnie kształty, kiedy ich pokrycie pod wpływem ładunków elektrostatycznych zaczęło mieszać się z kolorem letniego nieba.

Scheer, zgodnie z uprzednimi ustaleniami, skręcił o pięć stopni w lewo i kiedy odległość między nim a dowódcą wyniosła osiem kilometrów, wrócił na kurs równoległy do Cassidy'ego. Druga para odbiła w prawo, wykonując podobny manewr. Cztery samoloty rozproszyły się trzydziestopięciokilometrową linią na niebie. Cassidy miał nadzieję zwiększyć w ten sposób szansę dotarcia któregoś z nich do Zero, na odległość zasięgu Sidewinderów. Gdyby któryś z samolotów został wykryty, pozostałe mogłyby otoczyć Japończyków, zajętych potencjalną ofiarą.

Kiedy warstwa chmur pod nimi przerzedziła się, w dole wyłoniła się ziemia widoczna między postrzępionymi cumulusami, które zaczynały rosnąć, kiedy słońce podgrzało atmosferę.

Samoloty zdążały na wschód. Cassidy zaczął słyszeć głęboki basowy sygnał przeczesującego niebo radaru. Ten dźwięk go zaniepokoił. Wiedział, oczywiście, że kształty F-22 zapobiegały wysyłaniu silnego odbicia, które pozwoliłoby namierzyć je operatorowi, ale...

Widoczność była dziś doskonała. Po lewej stronie ciągnęły się aż po horyzont ośnieżone szczyty łańcuchów gór. Z prawej kolejne pasma biegły w kierunku Mandżurii. Wielki, pusty kraj. Pilot, który katapultuje się nad tymi dzikimi bezdrożami, będzie skazany ma śmierć głodową. Cassidy wymógł, żeby od następnego dnia Siły Powietrzne USA wysłały nad tundrę Cessnę 185 z dodatkowymi zbiornikami, by w razie potrzeby można było użyć jej jako samolotu poszukiwawczo-ratunkowego.

Żeby pilotować samolot i posługiwać się komputerami, a było ich pięć: trzy sterujące lotem, jeden meteo – nawigacyjny i taktyczny, pilot Raptora musiał nieustannie koncentrować się na strumieniu informacji, prezentowanych graficznie na wskaźniku refleksyjnym i trzech ekranach

wielofunkcyjnych. Nie było czasu na rozglądanie się, wypatrywanie wroga gołym okiem. W F-22 pilot stanowił jedynie centralny procesor.

Ta myśl przyszła Cassidyemu do głowy, kiedy zmuszał się do skupienia na znajdujących się przed nim ekranach.

Przy prędkości 1,3 macha kilometry uciekały z zawrotną szybkością. Już niedługo...

Cassidy, wciśnięty w pełny kombinezon przeciwprzeciążeniowy i hełm z czarną przesłoną, nie miał nawet możliwości podrapać się w nos. Pot ściekał mu po twarzy. Mógł jedynie cierpliwie to znosić.

Zdenerwował się. Potrząsnął głową, żeby usunąć pot z oczu. Zastanawiał się nad podniesieniem przesłony z pleksi i otarciem twarzy. Zajęłoby to jakieś piętnaście sekund, w czasie których samolot przelatywał pięć kilometrów.

Jeszcze nie teraz.

Cassidy przez kilka sekund usiłował dojrzeć kropkę w miejscu, gdzie według komputera powinien znajdować się Scheer. Nic. „Skóra kameleona" tak idealnie upodobniła myśliwiec do nieba, że nie był dostrzegalny gołym okiem.

Dziś, rzecz jasna, F-22 miały wyłączone radary, lecz ekran taktyczny nie pozostawał pusty. Sky Eye zlokalizowało nieprzyjaciela i satelita zaczął przekazywać dane. Dwa Zero znajdowały się w powietrzu nad Zeją. To musiały być te, które przed godziną grzały silniki.

Kiedy odległość zmalała i Cassidy zmniejszył skalę na ekranie taktycznym, stwierdził, że te dwa Zero wykonują jakieś ćwiczenia. Nie formowały szyku. Latały tam i z powrotem nad bazą, wykonywały skręty, włóczyły się po prostu. Być może piloci odbywali lot kontrolny po naprawie.

Dziewięćdziesiąt kilometrów od celu Scheer i Cassidy zaczęli schodzić w dół. Transportowce przywiozą bomby dopiero jutro, więc mogli prowadzić tylko ostrzał z powietrza.

Guelich i Foy zostali razem w górze. Mieli zająć się tymi dwoma Zero.

Cassidy słyszał głębokie sygnały radaru omiatającego samolot. Były regularne, co sugerowało, że operator go nie widzi. Odbicie od sylwetki F-22 było zbyt słabe, żeby pojawić się na ekranie radaru. Kiedy jednak przylecą odpowiednio blisko, operator go zauważy. Cassidy zastanawiał się, jak blisko.

Lotnisko znajdowało się dwadzieścia siedem kilometrów przed nimi. Popołudniowe słońce mieli po prawej z tyłu, więc on i Scheer będą praktycznie niewidzialni, kiedy nadlecą.

Cassidy cofnął dźwignię ciągu, zwalniając do 1 macha. Liczył każdą sekundę do wyjścia na pozycję strzału, ale wolał przylecieć prawie bez ostrzeżenia.

Na wysokości tysiąca metrów, w odległości osiemnastu kilometrów, Cassidy zwolnił jeszcze bardziej. Scheer odleciał gdzieś w lewo, szukając własnych celów. Jego samolot zniknął. Cassidy musiał zerknąć na ekran taktyczny, by sprawdzić, gdzie podział się jego partner.

Rutynowe piski nieprzyjacielskiego radaru zmieniły się radykalnie. Teraz operator omiatał nieustannie dwa F-22. Szesnaście kilometrów. Mogą zbliżyć się na odległość szesnastu kilometrów, zanim zostaną wykryci.

Bob Cassidy zwolnił do dziewięciuset kilometrów na godzinę, kiedy zauważył nieprzyjacielskie myśliwce. Było ich pięć, stały zaparkowane wzdłuż pasa startowego. Miał nadzieję, że to Zero. Mógł to być rosyjski złom, ale nie miał czasu sprawdzić. Zawrócił ostro, by ustawić się w jednej linii. Upewnił się, czy ma krzyż celownika w środku i zerknął na wysokościomierz.

Rząd myśliwców szybko rósł w oczach. Paul Scheer pojawił się znikąd w jego lewej przedniej ćwiartce, zaledwie o pięćdziesiąt metrów w bok. Widocznie też zamierzał ich ostrzelać.

Cassidy jeszcze bardziej zredukował ciąg. Teraz leciał z prędkością pięciuset kilometrów na

godzinę.

Scheer otworzył ogień. Sznur pocisków przeszył stojące maszyny, potem Paul odbił w lewo. Z jednego samolotu wydobył się dym.

Cassidy również przeszył serią samoloty i zawrócił w prawo.

– Przeleć nad hangarami, Paul i zmywamy się stąd. Dołączę do ciebie.

– Tak jest.

Cassidy robił koło w prawo, kiedy Scheer ostrzeliwał hangary. Pilot zauważył kilka baterii pocisków rakietowych usytuowanych na otwartej przestrzeni. Cyfrową kamerą zrobił szybko cztery zdjęcia bazy. Po powrocie do Zeji podłączą kamerę do komputera i wydrukują natychmiastowe fotografie lotnicze.

Paul skierował się na zachód po drugim przelocie. Cassidy dołączył do niego. Włączyli dopalacze i zaczęli nabierać wysokości.

Nikt nie wystrzelił w stronę Amerykanów.

Dick Guelich znajdował się osiemnaście kilometrów od swojej ofiary i zbliżał się do niej z prędkością 1,8 macha, kiedy zauważył na wskaźniku refleksyjnym, że obcy samolot przesuwa się w lewo.

Przechylił się na lewe skrzydło, żeby to skompensować i znów umieścić w centrum symbolizującą wroga kropkę.

Wreszcie dojrzał go, zawracającą w lewo plamkę tuż nad horyzontem. Dziewięć kilometrów... siedem, odezwał się sygnał gotowości głowicy termolokacyjnej Sidewindera i Dick nacisnął spust. Pocisk wyskoczył z prowadnicy w strudze ognia i zniknął w przestworzach, ścigając zawracający samolot.

Błysk przy nieprzyjacielskiej maszynie. Trafienie!

Guelich skręcił w prawo i obserwował Zero. Japończyk odwrócił się na plecy, zaczął pikować nosem w dół. Potem wystrzelił fotel.

Zero Foya utrzymywało wysokość i kierunek. Ekran wielofunkcyjny wychwycił sygnał nieprzyjacielskiego radaru, ale Japończyk zmierzał w złym kierunku i nie mógł dostrzec F-22. Foy nie miał pojęcia, co właściwie robi wrogi pilot, ale modlił się, żeby nie przestał tego robić przez kilka następnych sekund. Będąc o siedem kilometrów od widocznego gołym okiem celu, doganiał go szybko, mając przewagę co najmniej pięciuset kilometrów na godzinę.

W połowie drogi od celu Foy postanowił nie użyć pocisku rakietowego. Uruchomił kursorem symbol działka na głównym wyświetlaczu i zredukował moc silnika.

Szybko wytracił prędkość. Nieprzyjacielski pilot wciąż utrzymywał kurs i prędkość.

Foy zerknął na ekran taktyczny. Oprócz Guelicha ścigającego swą ofiarę o dziesięć kilometrów na zachód, nie było nikogo. Nie dowierzając elektronicznym zabawkom, Foy obejrzał się przez jedno i drugie ramię. Niebo było puste.

Zero nadal leciało równo, niczym zdążający do Newark samolot pasażerski.

Dziewięćset metrów.

Foy zredukował prędkość, ustawił krzyż celownika na środku tarczy strzelniczej, którą tworzyły pionowe i poziome stabilizatory Zero. Środek tarczy stanowiła dysza.

Foy zbliżał się od tyłu. Wszedł w strumień Japończyka i podrzuciło go.

Jeszcze bliżej, poniżej trzystu metrów.

Bliżej...

Na stu metrach Foy ustabilizował lot. Chociaż jego F-22 podskakiwał w strudze Zero, krzyż na wskaźniku refleksyjnym krążył wokół dyszy nieprzyjaciela.

Trzeba było użyć Sidewindera. To nie jest walka powietrzna, tylko po prostu egzekucja.

Niezdolny do naciśnięcia spustu, wpatrywał się w Zero. Na dziewięćdziesięciu metrach nie można już było dłużej czekać.

Pociski z działka obrotowego niczym młot uderzyły w nieprzyjacielski samolot, który zaczął się rozpadać.

Kiedy Zero zniknęło w oparach nafty lotniczej, w mózgu Foya zadzwonił alarm. Puścił spust i z całej siły ściągnął na siebie drążek. F-22 zareagował natychmiast, uciekając od oparów paliwa, w chwili, gdy Zero stanęło w ogniu.

Ogień zapalił stumetrowy ogon oparów. Zero eksplodowało.

Lee Foy przygryzł wargi, sprawdził na ekranie taktycznym, gdzie podział się Guelich i zawrócił w jego stronę.

Przez chwilę dał pierwszeństwo sercu, nie głowie, za co mało nie zapłacił własną. Podszedł wystarczająco blisko, by zginąć razem z pilotem Zero.

– Przepraszam, chłopie – szepnął Foy.

Cassidy, Guelich i ich skrzydłowi uzupełniali paliwo na lotnisku w Czicie, kiedy cztery Zero wyruszyły wczesnym wieczorem na łowy. Zero włączyły radary, szukając nieprzyjacielskich samolotów. Rajd F-22 na Zeję wywołał w sztabie w Tokio wstrząs sejsmiczny.

Dwaj sierżanci właśnie kończyli instalować baterię rakiet przeciwlotniczych Sentinel trzydzieści pięć kilometrów na wschód od Czity, na zakurzonej leśnej drodze. By dotrzeć do tego miejsca potrzebowali pełnych dwóch godzin. Obawiali się, że mogą uszkodzić baterię na wybojach.

Wreszcie dzięki pozycjonerowi satelitarnemu stwierdzili, że znajdują się trzydzieści pięć kilometrów na wschód od bazy, więc zatrzymali się, odłączyli przyczepę od Humvee i uruchomili wyrzutnię. Najpierw skierowali baterie słoneczne na południe, potem przestawili pięć przełączników. Cała operacja trwała mniej więcej minutę, z czego większość zajęło ustawienie baterii słonecznych.

Kiedy sierżanci wrócili do samochodu, wystrzelił pierwszy pocisk, ciągnąc za sobą warkocz płomienia. Z ogłuszającym rykiem silnik rakietowy wyniósł pocisk poza zasięg wzroku. Sierżanci podnieśli głowy, lecz mogli dostrzec jedynie zmniejszający się ogień odrzutu.

Gdy tak tkwili z zadartymi głowami, nie mogąc poruszyć się ze zdziwienia, odpalił drugi pocisk.

Kiedy tylko przebrzmiał drugi grzmot, siedzący za kierownicą sierżant przekręcił kluczyk i wcisnął sprzęgło. Przemknął obok baterii i pełnym gazem ruszył w stronę Czity.

Pilot pierwszego trafionego japońskiego samolotu nie widział nadlatującego pocisku. Sprawdzał ekran, przepatrywał niebo i jednym okiem zerkał na dowódcę, gdy pocisk wybuchł o trzydzieści centymetrów przed nosem samolotu. Odłamki przeszyły bok samolotu, poszatkowały tę część nosa, w której umieszczony był radar i podziurawiły kadłub. Jeden rozwalił hełm i czaszkę pilota, zabijając go na miejscu.

Drugi pocisk z Sentinela leciał do tego samego celu co pierwszy, a gdy radar celu przestał nadawać, usiłował przestawić się na inny. Wyczuł inne radary z tą samą częstotliwością i wybrał najsilniejszy sygnał. Samoloty przeleciały, a rakieta zaczęła zawracać... o wiele za późno. Dowódca spoglądał w stronę swego skrzydłowego i zobaczył błysk wybuchu głowicy, a w chwilę potem pocisk numer dwa przemknął nieszkodliwie między dwoma samolotami.

– Nadlatują rakiety! – zawołał do mikrofonu.

– Jakie rakiety? – spytał kontroler obszaru.

– Nie wiem. Jedna z nich ugodziła mojego skrzydłowego i wydaje mi się, że stracił kontrolę nad maszyną. Teraz spada. Katapultuj się, Muto!

Muto spadał dalej.

Trzy pozostałe Zero usiłowały sprawdzić, co się dzieje, kiedy pocisk rakietowy z Sentinela ugodził następną maszynę. Pilot przeżył wybuch głowicy, ale samolot został poważnie uszkodzony. Zmniejszył ciąg do minimum, kiedy zawracał w stronę bazy w Chabarowsku.

Sytuację uratował dowódca klucza. Wyłączył radar pokładowy i kazał ocalałemu skrzydłowemu zrobić to samo. Niewielu pilotów potrafiłoby w ciągu kilku sekund prawidłowo rozwiązać problem.

W trzy sekundy później następny pocisk przeleciał w bezpiecznej odległości obok samolotów.

– Naprowadzane na radar – powiedział kontrolerowi.

Rozpoczął skręt na wschód, zamierzając zawrócić o 180 stopni i udać się do bazy. W połowie manewru pojawili się Dixie Elitch i Hudek, strzelając z działek. W pierwszym ataku odstrzelili skrzydłowemu płat.

Dowódca klucza Zero odwrócił się na plecy i zanurkował. Rozglądał się bacznie na wszystkie strony i zobaczył krótki błysk płomienia z dopalacza trudnego do określenia samolotu. Potem samolot zniknął.

Nie miał pojęcia z iloma maszynami miał do czynienia, ale doszedł do prawidłowego wniosku, że tamci mają przewagę. Dał pełny gaz, wystrzelił flary i pomknął w stronę domu.

Jedna z flar ocaliła mu życie. Trafił w nią wystrzelony przez Hudka Sidewinder.

– Nie marnujmy paliwa – powiedziała Dixie, odwołując Hudka.

– Daj spokój, mała. Pozwól mi zabić tego Japońca.

– Słyszałeś, Futrzane Jajo, masz przerwać. Hudek patrzył na oddalające się Zero.

– I pomyśleć, że mogłem sprzedawać używane samochody w Hoboken. – Włączył radar, usiłując ustalić cel dla AMRAAM. O, jest! Radar widzi cel. Powinienem, czy nie?

– Wyłącz radio, Futrzane Jajo.

– Jasne, kochanie. Puszczę sobie płytę kompaktową.

– Muto i Sugita zostali trafieni rakietami. Chyba naprowadzały się na nasze radary. Kiedy wyłączyłem radar, kilka rakiet przeleciało obok. Potem zaatakowały nas myśliwce. Chyba zestrzelili Tashiro. Uciekłem. Pułkowniku, nie opowiedziałem panu najbardziej nieprawdopodobnej historii. Proszę nie myśleć, że zwariowałem. Przysięgam, że to prawda.

– Kapitanie Miura, składajcie dalej raport.

– Nie mogłem dostrzec nieprzyjacielskich myśliwców. Były niewidzialne. Pułkownik wyglądał na wstrząśniętego. Tego się najmniej spodziewał.

– Jesteś tego pewien, Miura? Podczas walki powietrznej nieraz trudno dostrzec drugi samolot. Światła i cienie, chmury, rozmazane tło...

– Jestem stuprocentowo pewien. Kątem oka dostrzegłem płomień dopalacza. Samolot majaczył ledwo dostrzegalnie na tle ciemnego nieba. Potem kąt widzenia lub oświetlenie zmieniło się i zniknął mi z oczu. Nieprzyjacielski myśliwiec był tam, ale go nie widziałem!

Ciszę, która zapadła po tym oświadczeniu, przerwał Jiro Kimura.

– To nie jest nic niemożliwego, pułkowniku. Czytałem, że Amerykanie opracowali metodę zmieniania barwy pokrycia pod wpływem ładunków elektrostatycznych.

– Ale nie słyszałem o takich badaniach prowadzonych przez Rosjan – nie dawał się przekonać pułkownik.

– Wątpię, by Rosjan było na to stać – odparł Jiro. – To mogły być samoloty Dywizjonu Amerykańskiego, o którym słyszeliśmy. Jeśli tak, to są F-22 Raptor.

– Napisz raport, Miura – powiedział pułkownik. – Wyślę go natychmiast do Tokio.

W pokoju dyżurnych pilotów jeden z nich miał kasetę wideo z nagraniem z amerykańskiej stacji

kablowej. Jiro przelotnie rzucił okiem na ekran i... zobaczył twarz i Boba Cassidyego.

Stanął jak wryty. Głos Cassidyego był ledwie dosłyszalny, zagłuszony przez tłumacza.

Cassidy! O mój Boże!

– Ty dziwko! Jesteś mi winna zestrzelenie. Mogłem dopaść tego żółtka.

– Nazwij mnie jeszcze raz dziwką, Futrzane Jajo, i lepiej wyjmij pistolet, bo ja na pewno wyciągnę swój.

Aaron Hudek poczerwieniał z wściekłości.

– Nigdy więcej nie rób mi takich numerów. Rozumiesz?

– Dopóki jestem dowódcą klucza – powiedziała rozgorączkowana Dixie Elitch – podlegasz moim rozkazom, Hudek. Nie mieliśmy dość paliwa, żeby gonić tamtego faceta. Czekała nas jeszcze godzina lotu, zanim mogliśmy wylądować i zatankować. Wiedziałeś o tym równie dobrze jak ja. Przez tę godzinę mogliśmy w każdej chwili podjąć walkę, gdyby nadleciały inne Zero.

– Wystarczyłoby tylko nacisnąć spust. Namierzyłem go radarem.

– Więc trzeba było strzelać.

– Zabroniłaś mi! – Hudek podniósł głos o oktawę.

– Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Trzeba było go kropnąć i dołączyć do mnie.

– Ależ, kochanie, założę się, że nie chciałaś, żebym kropnął tego drania od tyłu.

– Myśl sobie, co chcesz, Hudek, ale w powietrzu lepiej rób, co ci każę.

– Bo co? Zmarnujesz trochę paliwa, żeby mnie zestrzelić?

– Nie – parsknął przechodzący obok Bob Cassidy. – Nie będzie musiała tego robić. Dyscyplina obowiązuje wszystkich, łącznie z tobą. Nie posłuchasz rozkazu i przestaniesz latać. Do domu wrócisz stąd piechotą. Obiecuję.

– Dobrze pułkowniku, pan tu rządzi.

– A żebyś wiedział – odpalił Cassidy.

– Mogłem go zgnieść – ciągnął Hudek. Zbliżył kciuk i palec wskazujący. – Tak niewiele brakowało – westchnął ciężko. – Jeszcze pożałujemy, że pozwoliliśmy ostatniemu Japsowi uciec i powiedzieć, co widział, ja już żałuję.

– Namierzyłeś go radarem? – spytał krótko Cassidy.

– Jak na strzelnicy.

– Być może jego Atena przestała działać – uśmiechnął się Cassidy.

– Może. Nie wiem.

– Powinieneś był nacisnąć spust, Hudek. Dixie nie chciała, żebyś marnował paliwo. Następnym razem naciśnij ten cholerny spust.

Dixie przesłała Hudkowi całusa.

Futrzane Jajo skrzywił się i poszedł rozejrzeć się za czymś zimnym do picia. Stoczył pierwszą walkę i pozwolił tamtemu się wymknąć!

Niestety, do picia była tylko woda.

Potem się zreflektował. Jaśniejszy przebłysk w chmurze straconych szans: Sos Fojowy nie przyjął zakładu o pierwsze zestrzelone Zero. Utrata tysiąca dolarów byłaby jeszcze bardziej bolesna. Przynajmniej miał swój udział w zwycięstwie Dixie. To już coś, choć po prawdzie bardzo niewiele.

Niewątpliwie Foy będzie się z niego bezlitośnie naigrywał. Jęknął ponownie.

Rozdział 18

Pracując bez przerwy na trzy zmiany, załoga „Admirała Kołczaka" w ciągu czterech dni zamontowała nowy peryskop i antenę radarową. Oprócz tego napełnili zbiorniki ropą, załadowali komplet torped, zaopatrzyli okręt w konserwy warzywne i mięsne, uzupełnili zapasy świeżej wody, uprali mundury i wykąpali się. Pęknięte akumulatory zajęły nieco więcej czasu. Ponieważ nie było możliwości przymocowania nowych płytek do kadłuba, nawet nie próbowali się za to zabrać.

Pierwszy oficer Wołkow podszedł do stojącego pod prysznicem Saratowa. Kapitan stał z zamkniętymi oczyma, pozwalając, by gorąca woda masowała mu głowę i plecy.

– Komandir, znaleźliśmy cztery pociski rakietowe do wyrzutni w kiosku.

– Jesteś pewien, że się nadają?

– Mają najmarniej ze dwadzieścia lat, ale już załadowałem jeden. Pasuje.

– Bardzo dobrze, Wołkow.

– Dokąd chce skierować nas generał Jesienin?

– Z powrotem do Zatoki Tokijskiej – odparł po chwili Saratow. Wołkow bez wątpienia wybrał prysznic jako miejsce do zadawania pytań, bo szum wody zagłuszał rozmowę.

– Ludzie są bardzo niezadowoleni.

– Wiem. – Saratow otworzył oczy i sięgnął po mydło.

– Tym razem Japończycy będą na nas czekać.

– Pokazał pisemne rozkazy sygnowane przez prezydenta Kaługina. Nie mamy wyboru.

Wołkow skupił się na szorowaniu pleców.

– Zobacz, jakie mają zaopatrzenie – ciągnął Saratow. – Jedzenie, torpedy, ropa do diesli: wszystko musieli przewieźć drogą powietrzną nad biegunem. Ktoś musiał dać tym ludziom absolutne pierwszeństwo.

– To głupota. Jeden okręt klasy Kilo? Kilka torped? Mamy wygrać wojnę dla Rosji?

– Jedynym rosyjskim okrętem podwodnym zdolnym do działań bojowych na Pacyfiku jest „Admirał Kołczak". Pozostałe trzy zatopili Japonce podczas ataku na Władywostok.

– Czy dlatego mamy udać się do Zatoki Tokijskiej?

– Jesienin ma zadanie. Nie zniżył się, by poinformować nas, o co chodzi.

– Komandir, ludzie...

– Słuchaj, pierwszy, oficerowie, miczmani i szeregowi z „Admirała Kołczaka" muszą słuchać rozkazów. Mają robić, co im się każe. Przysięgali posłuszeństwo i dotrzymają przysięgi.

– Tak jest.

– Jesienin zastrzeli każdego, kto sprzeciwi się rozkazom. Jeśli on tego nie zrobi, zrobię to ja. Lepiej im to powiedz.

– Tak jest!

– Sprawa przerasta nas wszystkich, Wołkow. Nie mamy wyboru. Żadnego.

Kiedy pierwszy oficer opuścił łazienkę, dopinając po drodze koszulę, Saratow usiadł ciężko na ławce. Złapał się na tym, że dotyka szramy na czole.

Powinien był zginąć w Zatoce Tokijskiej. Wołkow uratował mu życie i Saratow czasem tego żałował.

– Zamierza uderzyć atomówką w Japonię – powiedział Iwan Ilin marszałkowi Gładyszewowi. Starszy pan spoglądał na niego z kamiennym wyrazem twarzy. Ta maniera trochę denerwowała Ilina. Nigdy nie mógł odgadnąć, co kombinuje ten stary drań, jeśli w ogóle o czymś myśli. Rozmowa z nim przypominała czasami gadanie do obrazu.

– Nie jest aż taki szalony – powiedział wreszcie Gładyszew.

– Owszem, jest. Możecie mi wierzyć. Myśli, że jeśli zniszczy Tokio, Japonia się podda, a on zostanie nowym carem Rosji. Jego pozycja będzie wówczas niepodważalna.

Gładyszew pokręcił głową, niczym stary niedźwiedź.

– Możemy wygrać bez użycia atomu. Wykrwawimy ich uderzając i odskakując. Amerykanie są w stanie podjąć walkę z Zero. W zimie rzucimy przeciwko Japończykom półmilionową armię. Możemy pokonać ich na polu walki.

– Kaługin nie będzie czekał. Chce zbawić Rosję natychmiast.

– Kiedy chowałem tę broń, myślałem o potencjalnym konflikcie z byłymi radzieckimi republikami. Z drugiej strony... Japończycy zasłużyli sobie na zagładę.

– Bez wątpienia – rzekł zgryźliwie Iwan. – Jednak, kiedy cywilny rząd japoński upadnie, wojskowy może dokonać odwetu za pomocą broni nuklearnej. Mają własne głowice dla swoich pocisków przenoszonych przez rakiety balistyczne. Opracowali to w tajemnicy. Mogą wystrzelić je na Rosję.

– Pierwsze słyszę – żachnął się Gładyszew – że japończycy mają broń nuklearną. Czy to potwierdzona informacja?

– Absolutnie wiarygodna. Kaługin wie, że Japończycy mają rakiety balistyczne z głowicami nuklearnymi. Wysłał im ultimatum, które odrzucili. Premier Abe oświadczył, że jeśli Rosja użyje broni nuklearnej przeciwko Japonii, odpowiedzą tym samym.

– Nie wiem nic o ultimatum.

– Oczywiście Kaługin nie wierzy premierowi Abe. Jest gotów postawić Rosję w zakład, że Abe kłamie.

– To zmienia wszystko – westchnął Gładyszew, wyciągając się w krześle.

Stary żołnierz wyjrzał przez okno, potem bawił się przez chwilę nożem do otwierania listów. Na biurku leżało tylko pióro i nożyk. Biurokratyczna schludność Gładyszewa drażniła Ilina. jego zdaniem było w tym coś neurotycznego.

– Przez te wszystkie lata – mruknął generał – równowaga odstraszania atomowego powstrzymywała wszystkich od naciśnięcia guzika. Aż do dziś... Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Czemu miałbym kłamać? Z jakiego powodu?

– Przychodzisz do mnie z bajeczką. Prezydent to szaleniec, pragnący wcisnąć atomowy guzik Być może sam cię przysłał, żeby sprawdzić moją lojalność.

– Mówi pan jak wieśniak. To zwykła paranoja, panie marszałku.

– Jeśli chcesz ze mnie zakpić, Ilin, poszukaj kogoś innego – powiedział marszałek z twarzą pogodną jak letnie niebo. – Nie mam na to czasu.

– Szepnął mi to ktoś zaufany.

– Szepty nieznanych mi osób nie robią na mnie wrażenia, Ilin. Chcę dowodów. Nie wracaj bez nich.

Iwan Ilin wstał i wyszedł z pokoju.

Cztery F-22 wynurzyły się z chmur. Żaden nie włączył radaru.

Dziś skrzydłowym Cassidy'ego był Aaron Hudek, lecący o dziewięć kilometrów w lewo za dowódcą. Dixie Elitch prowadziła drugą parę. Trzymała się o dziesięć kilometrów z prawej, a Clay Lacy dziewięć za nią.

Lecieli na północny wschód. Popołudniowe słońce mieli za sobą po lewej stronie. Chmury pod nimi gęstniały, a przerwy wyglądały ponuro. Na północy, wschodzie i południu Cassidy widział

wypiętrzające się chmury burzowe.

Elektroniczne przeciwdziałanie milczało.

Cassidy nie dowierzał w pełni tym wszystkim nowinkom technicznym. Wcisnął guzik sprawdzający system. Na ekranie przeciwdziałania elektronicznego rozbłysnęły światełka według ustalonego wzoru, w słuchawkach rozległy się trzaski i piski. Koncert i mruganie kontrolek trwały przez sześćdziesiąt sekund i Cassidy żałował, że zaczął się tym bawić. Przecież sprawdzał system godzinę temu na ziemi.

Autopilot gładko prowadził samolot. Siedzący w obszernej kabinie Cassidy miał wrażenie, że myśliwiec leci niczym 747 przez Pacyfik, Bez najmniejszej turbulencji. Szybko, gładko i solidnie. Gdzie się podziała stewardesa z drinkami?

Cassidy uśmiechnął się, myśląc o zmiennych kolejach losu, które rzuciły go tu, na obcą wojnę, gdzie był zapewne jedynym człowiekiem na świecie mogącym przypuszczać, że ktoś z jego rodziny lata na myśliwcu po przeciwnej stronie.

Życie bywa czasami dziwaczne, pomyślał. Absolutnie nieprzewidywalne.

Dixie oddaliła się zbytnio, lecz Cassidy nie chciał przerywać ciszy radiowej, przywołując ją bliżej.

Trzysta sześćdziesiąt kilometrów do Zeji. F-22 będą tam za piętnaście minut.

Cassidy uruchomił kursor komputera, polecając magicznej skrzyneczce, żeby zaatakowała cele wyznaczone jeszcze w bazie. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ustaliła cele po przestudiowaniu zdjęć z satelity szpiegowskiego. Długości i szerokości geograficzne zostawały następnie zamienione w kody dopasowywane do map i przekazywane zaszyfrowanym łączem satelitarnym. Zakodowane koordynaty były z kolei przenoszone na sprowadzone z USA mapy i ponownie zamieniane na długości i szerokości geograficzne. W rezultacie pilotom wręczano suche liczby, które wystarczyło wprowadzić do komputera samolotu.

Piloci otrzymywali jedynie koordynaty. Nie wiedzieli, co bombardują. Było to dziwaczne rozumowanie: skoro nic nie wiesz, nie jesteś winny. „Nie jestem odpowiedzialny, ludzie z Waszyngtonu kazali mi nacisnąć guzik, więc nacisnąłem".

W niewielkim pokładowym arsenale Cassidy'ego znajdowały się dwie pięćsetkilogramowe zielone bomby. W wierzchołku każdej z nich znajdował się pozycjoner satelitarny, komputer i cztery ruchome lotki. Komputer pokładowy przekazywał procesorowi bomby koordynaty celu i ustalał miejsce zrzutu, uwzględniając wysokość i siłę wiatru. Po zwolnieniu bomby komputer ustalał jej pozycję w trójwymiarowej przestrzeni, wyznaczał trajektorię i ustawiał odpowiednio lotki. Dokładność tego systemu była zdumiewająca. Połowa bomb zrzucana z wysokości dziesięciu tysięcy metrów trafiała w promieniu trzech metrów od ustalonej pozycji.

Cassidy leciał w stronę lotniska w Zeji na wysokości 11.500 metrów, a komputer po ustaleniu schematu ataku przekazywał polecenia autopilotowi, który przyjmował poprawki bez udziału człowieka.

Wszystko jest zautomatyzowane, pomyślał Cassidy. Maszyna zrobi za ciebie wszystko, tylko umrzeć trzeba będzie osobiście.

Ponieważ bomby same wyszukiwały cel, na tej wysokości obszar, w którym należało je zrzucić, tworzył coś w rodzaju dużego, owalnego kosza. Umieszczone w nim bomby podążały do celu, pod warunkiem, że komputer i pozycjoner satelitarny działały prawidłowo. Na wszelki wypadek na jeden cel zrzucano po dwie.

Symbole prezentowane na wskaźniku refleksyjnym ożyły i przesuwały się z wdziękiem, kiedy Bob Cassidy zanurkował, by zrzucić ładunki z pułapu ośmiu tysięcy metrów. Gdy znalazł się w

obrębie koszyka, nacisnął guzik na drążku sterowym, zwalniając pierwszą bombę. Poczuł lekkie szarpnięcie, kiedy wypadła z luku bombowego. Kolejne wciśnięcie guzika posłało drugą w ślad za pierwszą. Z tyłu następne bomby wypadały z samolotów atakujących własne cele.

Dźwięk dotarł do płyty lotniska w Zeji przed pierwszymi bombami. Cztery spadające w sekundowych odstępach bomby wydawały odgłos nadlatujących pocisków artyleryjskich.

Odgłos zaskoczył Jiro Kimurę, który zaczął wpatrywać się w pochmurne niebo. Szedł właśnie z raportem do budynku dowództwa, ale słysząc spadające bomby przez dwie sekundy szukał wzrokiem nieprzyjacielskich samolotów. Potem przypomniał sobie o Zero, na których ze skrzydłowym wrócił przed godziną z Chabarowska. Odwrócił się i pobiegł w stronę zaparkowanych maszyn.

W tym momencie usłyszał przytłumiony ryk silników samolotów, przyśpieszających na wysokim pułapie.

Znów podniósł wzrok. Wpatrywał się w chmury, kiedy pierwsza bomba trafiła w skład amunicji znajdujący się o trzy kilometry, na skraju lotniska. Podmuch ściął wszystkie drzewa w promieniu kilometra. Huk był tak potężny, że wybuch drugiej trafiającej ten cel bomby był prawie niesłyszalny.

Jiro padł na twarz w błoto, zanim dosięgnął go podmuch.

Najbliższy hangar, używany jako magazyn części, został trafiony dwiema bombami z maszyny Hudka. Wybuch podniósł dach na piętnaście metrów w górę. Ściany rozłożyły się na boki.

Dixie Elitch zaatakowała skład paliw. Bomby wznieciły dwa pożary. Gęsty, czarny dym wzbił się wysoko w ciemniejące wieczorne obłoki.

Ostatnia para bomb, zrzucona przez Claya Lacy'ego, trafiła w budynek dowództwa za plecami Jiro. Pierwsza uderzyła w północno-zachodni narożnik, zmieniając czwartą część budynku w kupę gruzu. Druga chybiła wschodnią ścianę o trzy metry. Wybuch rozrzucił ceglaną ścianę jak klocki.

Podmuch obu bomb przepchnął leżącego w błocie Jiro o trzydzieści metrów. Jedynie cudem przelatujący nad nim gruz obsypał go tylko tynkiem i ceglanym pyłem.

Kiedy opadł kurz, Jiro podniósł się, otrzepał, przetarł oczy i otarł z grubsza przód munduru.

Zaczął myśleć trochę jaśniej. Ludzie wewnątrz budynku...

Szarpnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka.

Kurz był tak gęsty, że prawie nic nie było widać. Światła zgasły. Potykając się doszedł do pokoju operacyjnego. Powietrze było białe od tynku.

Zasłoniwszy nos i usta, zaczął przedzierać się przez pokój. Potknął się o coś. Pochylił się mrugając gwałtownie, by cokolwiek zobaczyć. Było to ciało. Połowa człowieka, sam tors.

Podłogę zaścielały tysiące odłamków cegieł.

Kurz zaczął opadać.

Więcej ciał, szczątków, jakieś ręce, nogi, oderwane głowy...

Spojrzał w górę. W wirujących tumanach kurzu widział chmury prześwitujące przez otwór w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się północno-zachodnia część budynku. Słyszał ryk silników odrzutowych.

Ledwo Amerykanie zdążyli zrzucić bomby, gdy zaskoczyły ich Zero. Urządzenia elektronicznego przeciwdziałania uaktywniły się, wyświetlając żółte symbole myśliwców. Zero zbliżały się szybko z lewej strony. Jeden z Japończyków odpalił rakietę i rozpętało się piekło.

Amerykanie włączyli dopalacze i wykonali ostry zwrot, by zmylić nadlatujący pocisk. Cassidy wykręcił w jego stronę przy przeciążeniu ośmiu G. Tytanowe dysze z regulowanym wektorem ciągu odgięły strumień ognia z dopalaczy, by przyśpieszyć manewr. Pełny kombinezon przeciwprzeciążeniowy napełnił się natychmiast, by zapobiec utracie przytomności przez pilota.

Wskaźnik refleksyjny pokazywał cele wszędzie dookoła. Niestety, komputer informował o

położeniu celów w czasie rzeczywistym, nie biorąc poprawki na to, gdzie znajdą się po wykonaniu skrętu. Nie uwzględniał więc obszaru zasięgu, co uniemożliwiało wykonanie namiaru i oddanie strzału. Umiejętność rozwiązywania czterowymiarowego problemu przez obserwację monitora w obliczu bezpośredniego zagrożenia była sztuką wymaganą od pilotów myśliwców naddźwiękowych. Jedni ją opanowali, inni pilotowali śmigłowce i transportery.

Cassidy, wykonując przechył z przeciążeniem czterech G, przełączył selektor uzbrojenia na pociski. Zero znajdowało się niemal na wprost, kiedy symbol samolotu znalazł się wewnątrz zasięgu pocisków, więc nacisnął spust. AMRAAM pomknął z rykiem.

Nie naprowadzi się na cel. Oczywiście, że nie, ty głupku. Atena chroni Zero przed jego radarem pokładowym.

Cassidy nie miał czasu na korygowanie błędu. Kolejny pocisk wroga przemknął przed nim z lewej na prawą, w odległości nie większej jak trzydzieści pięć metrów.

Kolejny cel znajdował się poniżej, po prawej stronie, więc skręcił ostro w jego kierunku. Samolot zawracał, więc jeśli uda mu się wykonać manewr wcześniej, znajdzie się na czystej pozycji z tyłu. Siła odśrodkowa wepchnęła go w fotel. Kombinezon przeciwprzeciążeniowy cisnął boleśnie. Cassidy oddychał z trudem.

Tym razem wybrał Sidewindera. Nieprzyjacielski myśliwiec był blisko, nawet nieco zbyt blisko, lecz kiedy tylko usłyszał dźwięk potwierdzający namiar, odpalił pocisk. Po dwóch sekundach kątem oka dostrzegł błysk wybuchu. Czy go załatwiłem'

Zmierzał w stronę ziemi z ujemnym przeciążeniem trzech G. Zredukował przeciążenie i wypoziomował skrzydła. Znów wcisnęło go w fotel. Nos zaczął się podnosić, przeciążenie wzrastało. Lewe skrzydło w dół, bo Zero znajdowało się wyżej z lewej strony, a wskaźnik pocisku na tablicy przeciwdziałania elektronicznego mrugał gwałtownie, podczas gdy w słuchawkach rozlegał się przenikliwy dźwięk. Ciągnij, ciągnij!

Następny wybuch z prawej.

Z przodu pojawił się samolot. Zero. Cassidy rzucił maszynę na skrzydło i pognał za nim.

Clay Lacy zdołał zobaczyć pocisk, który go zabił. Wystrzelony został przez Zero znajdujące się w odległości trzech i pół kilometra na godzinie czwartej, i mknął ku niemu prosto jak promień lasera. Komputer Lacego wyświetlał dwa potencjalne cele znajdujące się przed nim, zalecając ten po prawej, gdy Clay kątem oka dojrzał nadlatującą rakietę. Do trafienia zostało mniej niż jedna sekunda i Clay Lacy wiedział, że oberwie.

– Cholera – powiedział i wszedł w lot nurkowy z przeciążeniem dziewięciu G.

To jednak nie wystarczyło. Pocisk, który znalazł się pod brzuchem samolotu, eksplodował, dziurawiąc kadłub i zbiorniki paliwa w skrzydle. Odłamek przebił podłogę kabiny, zabijając Lacyego na ułamek sekundy przed wybuchem maszyny. Kiedy ognista kula płonącego paliwa wciąż rosła, wyrwały się z niej dwa długie cylindry – silniki Raptora – i, kreśląc łuk na niebie, podążyły ku odległej o osiem kilometrów ziemi.

Bob Cassidy od razu zauważył zniknięcie jednego z zielonych symboli oznaczających własne myśliwce na ekranie taktycznym. Był jednak zbyt zajęty, by zastanawiać się, kto został trafiony.

Znajdował się w chmurach, lecąc niczym podczas ćwiczeń na symulatorze w Niemczech.

Pomknął w dół i, wyciskając dwa machy, wypatrywał na ekranie taktycznym nieprzyjaciela, który mógł brać na niego namiar przed odpaleniem rakiety. Wyłączył dopalacze i o kilka centymetrów otworzył hamulce aerodynamiczne, by zwolnić.

Jest! Osiemnaście kilometrów na prawo ktoś włączył radar w trybie ataku, szykując się do strzału. Teraz pojawił się na ekranie. Dlaczego Sky Eye nie widziało Zero, kiedy F-22 wracały do

bazy?

Rzucił Raptora ostro w prawo. Dziewięć G przy skręcie ponad dwadzieścia stopni na sekundę. Dostrzegł rozbłysk na ekranie wielofunkcyjnym, gdy nieprzyjacielski myśliwiec wystrzelił pocisk.

Cassidy przekręcił maszynę na plecy i, pochylając nos o trzydzieści stopni, włączył dopalacze. Maszyna automatycznie wyrzuciła wiązki folii i flary. Pomoże albo i nie.

Postanowił dać nura pod nieprzyjacielski samolot szybciej, niż Zero zdoła obniżyć nos i wyjść na kolejną pozycję do strzału.

Wszystko zagrało doskonale. Nieprzyjacielska rakieta chybiła. Cassidy wyłączył dopalacze i zwolnił, by znaleźć się na ogonie Zero, którego pilot również zawracał, usiłując wydostać się ze śmiertelnej pułapki. Jednak żaden samolot nie mógł dorównać pod względem zwrotności F-22.

Cassidy wybrał działko.

Zmagał się z przeciążeniem, usiłując zgrać kierunkowy wektor samolotu z wyświetlanym na wskaźniku refleksyjnym symbolem celu, aż dwa punkty nasunęły się na siebie.

Teraz!

Wcisnął guzik. Z Gatlinga trysnęła struga ognia.

Pilot Zero zgubił amerykański samolot ze swego ekranu taktycznego. Japończyk zrobił wywrót, próbując złowić F-22 radarem i wystrzelić kolejną rakietę. Nigdy nie dowiedział się, co go zabiło. Pierwsze pociski z F-22 przemknęły obok niego niezauważone. Potem struga ładunków wybuchowych omiotła maszynę.

Kilka pocisków trafiło lewy statecznik poziomy, cztery kolejne strzaskały lewy silnik. Pięć podziurawiło główny zbiornik paliwa umieszczony za kabiną. Trzy następne zabiły pilota. Ostatnie dwa przeszyły nos maszyny, rozwalając radar. Wszystko to trwało jedną trzecią sekundy, potem reszta pocisków przeleciała przed nosem maszyny.

Zero leciał prosto jeszcze przez trzy sekundy, póki paliwo nie zetknęło się z rozgrzanymi częściami silnika i wtedy samolot eksplodował.

– Jankesi, zgłoście się.

– Dwójka jest. – To był Hudek.

– Trójka. – Dixie.

Powinna odezwać się Czwórka, ale panowała cisza.

– Czwórka, jesteś tam? – spytał Cassidy. Uciekał na zachód od Zeji przy pełnym ciągu.

Brak odzewu od Lacy'ego.

– Jankesi, trzymajcie się mnie. Lacy, gdzie jesteś, chłopie?

– Wydaje mi się, że oberwał – znowu odezwał się Hudek.

– Lacy, ty pieprzony sukinsynu, zgłoś się. Gdzie jesteś?

Zapadała noc, kiedy lądowali w Czicie. Trzy myśliwce pokołowały na stanowiska parkingowe i wyłączyły silniki.

W biurze przekształconym na pokój odpraw włożyli dyski wideo do analizującego walkę komputera i odtworzyli akcję. Komputer zebrał dane z trzech samolotów, przetworzył je i pokazał w formie trójwymiarowego hologramu. Obejrzeli Zero i amerykańskie samoloty oraz lecące z obu stron pociski rakietowe. Mogli na własne oczy zobaczyć każdy manewr i każdy błąd.

– Odpaliliśmy piętnaście pocisków i strąciliśmy sześć Zero. Jeden zestrzelony ogniem z działka. Straciliśmy samolot i pilota.

– Szkoda Lacego.

– Boże, ale było gorąco.

– Zmarnował pan AMRAAM-a, pułkowniku, używając go przeciwko Zero. Ta Atena naprawdę

działa.

– Nie widzieliśmy ich na ekranach przeciwdziałania elektronicznego. Nie włączyli radarów, dopóki nie wsiedliśmy im na kark.

– To był ich błąd.

– Satelita nie pokazał nam tych facetów, dopóki się do nas nie dobrali.

– Wieczorne prądy wznoszące, dużo termicznych...

– Kosztowały nas stratę pilota.

– Lacy spieprzył sprawę, szefie – odezwał się beznamiętnym tonem Hudek. – Proszę spojrzeć na tę sytuację. – Pokazał dwa samoloty na holograficznym wyświetlaczu. – Ten wieśniak przeleciał za nim pod kątem prostym i wykonał ostry skręt, wychodząc na czystą pozycję do strzału. Tymczasem Clay uparcie polował na tych dwóch. Widzicie? Zajął się namierzaniem celu i stracił głowę. Clay Lacy zginął, bo spieprzył sprawę.

Rozległ się pomruk potakiwań. W tym fachu każdy błąd mógł kosztować życie.

– Dobrze, podsumujmy sprawę. Zero zaatakowały nas, zanim zorientowaliśmy się, że są w pobliżu. Lacy nawalił i oberwał. Ale Japończycy również spieprzyli sprawę. Gdyby trzymali się na dystans osiemdziesięciu kilometrów od nas, nie moglibyśmy ich ugryźć. Wyciągną z tego wnioski, zobaczycie.

Cassidy połączył się przez telefon satelitarny z Waszyngtonem. Pułkownika Eatherly'ego zastał w domu.

– Przez większość czasu mieliśmy nasze satelity nad tym rejonem – powiedział Eatherly, kiedy Cassidy skończył omawiać akcję. – Czasami widziały jakieś samoloty. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej. Jutro porozmawiam z generałem Tuckiem. Może powyrywa komuś nogi z dupy. Mogę jedynie powiedzieć, że NORAD stara się jak może.

– Rozumiem.

– Przykro mi z powodu pilota.

– Jeśli ci magicy wiedzieli, że Zero są w powietrzu, mogli zadzwonić do nas przez satelitę. Wesprzeć tę całą technopolkę. Nasz oficer dyżurny uprzedziłby nas przez radio.

– Tak zrobimy.

Cassidy był wykończony. Nie chciało mu się jeść. Poszedł do niskiego baraku, zwanego domem.

Położył się i patrzył w sufit. Kilka razy pociągnął dziś za spust. A jeśli jednym z pilotów był Jiro? Co powiedziałaby Sabrina?

Jeśli zabił Jiro...

Oblała go fala gorąca. Nie miał siły podnieść się i nie mógł zasnąć.

Leżał, wpatrując się w ciemność.

Rozdział 19

Paweł Saratow studiował mapy japońskich wód przybrzeżnych w centrali dowodzenia „Admirała Kołczaka", kiedy pierwszy oficer zawołał go do kiosku.

– Lepiej, komandir, żeby pan to zobaczył.

Saratow odłożył cyrkiel i ołówek. Wspiął się po drabinie.

– Niech pan spojrzy.

Na nabrzeżu generał Jesienin i jego żołnierze otoczyli szczelnie ciężarówkę z czterema metalowymi pojemnikami. Z drugiej wysypywał się tłum cywilów z urządzeniami spawalniczymi.

– Co to jest, komandir!

– Nie wiem.

– Wygląda jak skrzynie do przewozu silników odrzutowych. To bez sensu.

– Uhm.

– To najbardziej niechlujni żołnierze piechoty morskiej, jakich widziałem – narzekał Wołkow. – Nie noszą mundurów jak należy, nie potrafią dbać o wyposażenie. Przełożonym okazują mało szacunku... – urwał, widząc że Saratow nie zamierza odpowiadać.

Po kilku minutach Jesienin wszedł po trapie i zadarł głowę.

– Panie kapitanie, proszę uprzejmie na dół – zawołał.

Saratow opuścił drabinę. Wołkow szedł tuż za nim.

– Potrzebuję waszej ekspertyzy technologicznej, kapitanie Saratow. Chciałbym przyspawać te cztery pojemniki do okrętu. Które miejsce pan proponuje? Saratow był zupełnie zaskoczony.

– Do kadłuba zewnętrznego? Nasza prędkość zostanie zasadniczo ograniczona.

– Bez wątpienia.

– Co gorsze, woda wirująca między pojemnikami wytworzy hałas.

Jesienin zmarszczył brwi.

– Co zawierają pojemniki? – zapytał Saratow.

– To omówimy potem. Wystarczy, jeśli powiem, że otrzymałem rozkaz przymocowania ich do kadłuba tego okrętu i zamierzam go wykonać. Pytam tylko, w którym miejscu.

– Czy pozostaną tam, kiedy się zanurzymy? Kiedy będziemy pod wodą?

– Tak.

– Ale hałas...

– Wyjaśnijcie. – Jesienin spojrzał kapitanowi prosto w oczy.

– Im bardziej będziemy hałasować pod wodą, tym szybciej nas wykryją.

– Im szybciej nas wykryją – dodał Wołkow – tym szybciej nas zabiją.

Jesienin rzucił mu nienawistne spojrzenie.

– Bez poufałości, mały człowieczku. Gryzę dotkliwiej, niż szczekam.

– Co jest w tych pojemnikach, panie generale? – zapytał ponownie Saratow.

– Każdy zawiera głowicę jądrową. Zostały zabezpieczone hermetycznie, starannie zapakowane i tak dalej. To zostało naprawdę dobrze zrobione, możecie mi wierzyć. Woda może swobodnie przepływać przez pojemniki, więc nie zostaną zgniecione, kiedy okręt podwodny zanurzy się głębiej. Naszym zadaniem jest przetransportowanie tej broni.

– Przetransportowanie? – mruknął, a raczej szepnął Saratow.

– To stare głowice z balistycznych pocisków międzykontynentalnych. Pochodzą z czasów, gdy celność nie była nadzwyczajna. Żeby mieć pewność, że zniszczą cel, nawet przy chybieniu o kilka kilometrów, konstruktorzy ciężko je uzbroili. Każda ma moc stu megaton.

– Równowartość stu milionów ton trotylu... – powiedział Wołkow, spoglądając na kontenery.

Saratow popatrzył na twarz generała. Ten człowiek był szalony. Albo beznadziejnie głupi.

– Nie był pan na okręcie o napędzie elektryczno – spalinowym, prawda?

– Nie – przyznał Jesienin.

– A na jakimkolwiek innym? – naciskał Saratow. – Czy był pan na jakimkolwiek innym okręcie podwodnym?

– Nie.

Saratow usiłował pozbierać myśli.

– Generale, nie wiem, kto podjął tę decyzję, ale musiał być niedoinformowany. Podwodny okręt spalinowo – elektryczny jest przeżytkiem, wytworem dawnej epoki. Każda decyzja, jaką podejmuje dowódca, wszystko razem kręci się wokół problemu naładowania akumulatorów.

Jesienina nie wzruszyła ta informacja.

– Okręty tego typu nie mają nieograniczonego zasięgu. – wyjaśniał Saratow. – Mogą jedynie zająć jakieś stanowisko. Mogą się ukryć, ale nie uciekać. Raz odkryte, mają tak mały zasięg, że łatwo je zniszczyć. Czy pan to rozumie?

– Przecież udało się panu w Zatoce Tokijskiej.

– Rzeczywiście, ale jakim bohaterskim wysiłkiem! Poza tym wszystkie japońskie siły do zwalczania okrętów podwodnych znajdowały się po drugiej stronie wyspy, na Morzu Japońskim.

– Musimy być sprytniejsi od Japończyków.

– Sprytniejsi? Kiedy ten okręt rozwija trzy węzły, musi wystawiać chrapy na godzinę, co dwadzieścia cztery. Przy prędkości sześciu węzłów przez osiem godzin na dobę. Jeżeli nie możemy podnieść chrap, zwalniamy do jednego czy dwóch węzłów, prawie dryfujemy. – Saratow podniósł nieco głos. – Raz, w czasie pokoju, zostałem namierzony przez amerykański niszczyciel. Nawet nie wyobraża pan sobie, panie generale, jak to jest, kiedy wie się, że pana mają, że mogą zabić pana w każdej chwili, gdy tylko zechcą. Na Boga! Słyszałem jak ćwiczebne ładunki głębinowe walą w kadłub mojego okrętu.

– Myślę, że jest pan tchórzem.

Saratow wziął dwa głębokie wdechy.

– Być może, ale tak czy inaczej, uważam pana za skończonego durnia.

– „Admirał Kołczak" jest jedynym okrętem podwodnym, jakim dysponujemy na Oceanie Spokojnym. – Jesienin wzruszył ramionami. – Musi to wykonać.

– Zostajemy wysłani na niemożliwą do wypełnienia, samobójczą misję. Wyszkolone siły do zwalczania okrętów podwodnych szybko nas wykryją i zniszczą. – Paweł Saratow pokazał palcem na pokład. – Czy pan nie rozumie, panie generale? Ta stalowa rura stanie się pańską trumną.

– Okręt podwodny wykona powierzone mu zadanie.

Saratow nie wierzył własnym uszom.

– Czemu nie wybierze się pan samotnie kajakiem? Szansę powodzenia będą takie same, a sześćdziesięciu ludzi nie umrze wraz z panem.

– Dość tego! – warknął Jesienin.

– Zatem, jeśli jakimś cudem dotrzemy do Tokio, znajdziemy puste nabrzeże i przycumujemy, a pańscy ludzie ukradną ciężarówkę i zawiozą ładunki nuklearne pod drzwi japońskiego parlamentu.

Jesienin uśmiechnął się półgębkiem.

– Najlepiej przyspawać je do pokładu przed kioskiem – powiedział Saratow. Poszedł w kierunku otwartego luku prowadzącego do pomieszczenia torpedowego. Od rana ładowali torpedy. Cztery były już w wyrzutniach. Stanął tyłem do Jesienina i obserwował, jak marynarze zmagają się z

kolejnym stalowym walcem.

Poranek był ciepły, wiał delikatny wiatr. Ostatnie liście szeleściły pod nogami.

Iwan Ilin stał między drzewami na niewielkim wzniesieniu i palił papierosa. Płaszcz miał rozpięty. Granatnik RPG-7 stał oparty o drzewo. Trzydzieści metrów dalej, u stóp pagórka, biegła brukowana droga.

Droga była jednym z wjazdów na Wzgórza Lenina, położone na północ od Moskwy. Kaługin miał daczę o trzy kilometry stąd na północ. Niebawem pojawi się, jak co rano, i pod silną eskortą pojedzie na Kreml. Kaługin dysponował również apartamentem na Kremlu, z którego korzystał, kiedy nie chciał wracać na noc do żony. Z nieznanych Ilinowi powodów, Kaługin ubiegłej nocy pojechał do domu. Był tam teraz.

Wkrótce pojawi się opancerzony Mercedes Kaługina. Będą mu towarzyszyły dwa czarne Mercedesy, jeden z tyłu, drugi z przodu. W każdym z nich będzie jechało pięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn, którzy zwykle wkładają kamizelki kuloodporne. Są wyszkoleni, bezlitośni i niebezpieczni. Iwan Ilin miał tylko czterech ludzi. Zamierzał zabić ochroniarzy Kaługina, zanim zdążą wysiąść z samochodów. W przeciwnym razie oni zabiją jego.

Starannie wybrał miejsce.

Widać tu było tylko krótki odcinek szosy. Auta będą musiały okrążyć mały zakręt odległy o pięćdziesiąt metrów. Droga była obramowana z obu stron wzgórzami i drzewami, więc żadne auto nie mogło przedrzeć się poboczem. Jeśli się ją zablokuje, Mercedesy znajdą się w pułapce.

Przygotowania wzbudziły w nim złe przeczucia, ale Ilin nie miał czasu na szukanie lepszego miejsca. Niestety, chociaż Kaługin był paranoikiem, to jego ochrona reprezentowała najwyższy poziom. Do tej pory lojalni wobec prezydenta pracownicy nie zwietrzyli intencji Ilina, ale taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Musi uderzyć szybko, albo wcale.

Kiedy palił papierosa i cieszył się ciepłem poranka, żałował, że nie ma więcej ludzi. Rozważał zwrócenie się w tej sprawie do marszałka Gładyszewa, ale doszedł do wniosku, że to za duże ryzyko. Z tymi spędził pięć lat. Zaufania nie buduje się w jeden wieczór. Każda dodatkowa, nawet najbardziej zaufana osoba, uczestnicząca w spisku zwiększała jedynie ryzyko przecieku i dekonspiracji. Iwan Ilin, mistrz szpiegostwa, wiedział wszystko o spisku, fundamentalnym budulcu historii Rosji.

Poprzedniego dnia odwiedził marszałka Gładyszewa z kasetą i magnetofonem. Na kasecie była nagrana rozmowa Kaługina z jednym z jego doradców podczas pobytu w Gorkim.

Gładyszew w milczeniu słuchał dwóch mężczyzn omawiających nuklearną zagładę Tokio. Rozważali reakcję Amerykanów, dyskutowali o prawdopodobieństwie japońskiego odwetu, wreszcie zadecydowali.

– Jeżeli nie zastosujemy nadzwyczajnych środków – przekonywał Kaługin swego rozmówcę – Japonia zwycięży. Nasz naród jest za biedny, by udźwignąć koszty zwycięstwa przy użyciu sił konwencjonalnych i lotnictwa. Przepaść jest zbyt wielka.

– Musi pan sięgnąć po absolutną władzę. Zniszczyć wszystkich, którzy staną na drodze.

– To zajmie zbyt wiele czasu i mamy zbyt wiele przeszkód po drodze. Długo myślałem o Rosji. Nikt nie zdoła przywrócić jej dawnej pozycji. Nikt. Jeśli spróbujemy, deputowani będą chcieli mieć udział we władzy. Rząd albo upadnie, albo Rosja znów stanie w obliczu wojny domowej.

– Również słyszałem podobne rzeczy.

– Musimy pokonać Japonię – powiedział Kaługin. – Zwycięstwo lub śmierć. Tylko to mamy do wyboru. Rozumiesz?

– Owszem. Czy zauważył pan uwielbienie ludzi dla kapitana Saratowa? Tłumy skandują jego

imię, domagają się jego odznaczenia i awansowania, oblepili portretami Saratowa całą Moskwę.

Gładyszew wysłuchał wszystkiego do końca i przesunął magnetofon w stronę Ilina.

– Jeśli chcemy ocalić kraj – rzekł Ilin – znów musimy o niego walczyć. Starszy pan przygładził włosy i spoglądał w pustkę.

– Wysyła okręt podwodny do Tokio. Z głowicami termojądrowymi na pokładzie. Jest tam też fanatyk o nazwisku Jesienin. Przysięgał wierność Kaługinowi. Bez wahania zdetonuje ładunek u ujścia Zatoki Tokijskiej.

– Zrobi to?

– Ma opinię fanatyka. W GRU był zabójcą.

– Jurij Jesienin?

– Ten sam.

– Myślałem, że nie żyje.

Ilin wypalił nerwowo kolejnego papierosa i spojrzał na zegarek. Parę minut po siódmej. Niecierpliwie tupnął nogą.

– Samochód – zaskrzeczało radio.

Po piętnastu sekundach zza zakrętu pojawił się czarny Mercedes. Nie ten. Jeden z ministrów. Trzech mieszkało niedaleko Kaługina przy tej samej drodze. Kiedy minister minął małe wzniesienie, na którym stał Ilin, przejechał obok ciężarówki z koszem na podnośniku i drugiej ze słupem trakcyjnym. Monter w podniesionym na pełną wysokość koszu pracował przy transformatorze. Obok ciężarówki stał sygnalista z czerwoną chorągiewką.

– Nadjeżdżają. Trzy samochody.

Ilin zgasił świeżo zapalonego papierosa o pień drzewa, a tymczasem ciężarówka ze słupem trakcyjnym zablokowała przejazd, stając w poprzek drogi. Kierowca wyskoczył z kabiny. Miał przygotowany karabin.

Iwan Ilin przyklęknął. Podniósł granatnik przeciwpancerny i odbezpieczył go.

Pierwsze auto wyłoniło się zza zakrętu i zwolniło na widok robotnika machającego czerwoną flagą. Dwa następne pojawiły się w ślad za nim. W pierwszym i trzecim pojeździe siedzieli ochroniarze.

Ilin wycelował w pierwszy samochód, który prawie już stanął, zrobił wydech i nacisnął spust.

Głośny gwizd pocisku rakietowego.

Granat trafił pierwsze auto w drzwi od strony pasażera. Samochód ruszył do przodu. Widocznie martwy kierowca nacisnął na pedał gazu. Uderzył w ciężarówkę blokującą jezdnię. Mimo że pierwszy Mercedes był unieruchomiony przez ciężarówkę, silnik wył coraz głośniej, a opony z piskiem tarły o jezdnię, aż zaczęły się palić.

Kiedy Ilin gorączkowo wkładał nowy granat, kierowca drugiego Mercedesa zaczął odwracać auto w poślizgu. Spod opon wzbił się dym. Poprzez pisk gum Ilin słyszał terkot karabinu maszynowego.

Załadował granatnik akurat, gdy trzecie auto zahamowało, stając bokiem. Kiedy naciskał spust, ochrona zdążyła otworzyć drzwi. Pocisk trafił w maskę i wybuchł, rozrywając silnik. Mężczyzn, którzy zdołali wyskoczyć z samochodu, skosiły serie wystrzelone ze znajdującego się nad nimi kosza.

Tymczasem Mercedes Kaługina zdążył zawrócić. Co najmniej jeden z ludzi Ilina zasypywał go kulami. Pociski wzniecały iskry, odbijając się od pancernych blach karoserii.

Samochód prezydenta, wyjąc oponami, mijał trzeciego Mercedesa w chwili, gdy Ilin załadował kolejny granat. Wycelował wyrzutnię w gwałtownie przyśpieszający wóz i strzelił.

Granat trafił w pień drzewa rosnącego o dziesięć metrów przed llinem. Ładunek rozerwał pień, a

drzewo zaczęło się chylić.

Ilin złapał radiotelefon.

– Wraca na północ.

– Nie mogę uruchomić tego cholernego silnika – odparł człowiek, który miał ustawić kolejną ciężarówkę w poprzek szosy.

– Wal w opony! Wal w opony! Nie pozwól mu zwiać! Z granatnikiem w jednym ręku, a radiem w drugiej, Ilin zbiegł ze wzgórza i popędził w stronę zakrętu. Usłyszał trzy krótkie serie z broni maszynowej. Potem cisza.

Gdy wybiegł zza zakrętu, zobaczył limuzynę Kaługina mijającą kolejny, oddalony o trzysta metrów zakręt.

Ilin odwrócił się i poszedł na miejsce zasadzki. Jeden z mężczyzn z trzeciego samochodu wciąż jęczał. Iwan wyciągnął pistolet i, przechodząc obok, strzelił mu w głowę. Pozostała czwórka, podziurawiona kulami z karabinu maszynowego leżała na jezdni w dziwnych pozach.

Silnik Mercedesa wbitego w ciężarówkę wreszcie zgasł. Piątka pasażerów była martwa.

Człowiek z flagą nie ryzykował. Strzelił każdemu z nich w głowę.

– Zrób to samo z pozostałymi – polecił mu Ilin.

Ten, który ustawił ciężarówkę w poprzek szosy, podszedł do Ilina.

– Niemal go zatrzymaliśmy – rzekł przepraszająco. Zabrzmiały pojedyncze wystrzały.

Ilin spojrzał na mężczyznę w koszu. Zjeżdżał na dół. Trzymał Kałasznikowa.

– Strzelałeś do Kaługina? – krzyknął Ilin.

– Tylko jedną serię. Zobaczyłem, jak pociski odbijają się od blach. Izwienitie.

– Spieprzyliśmy sprawę – skrzywił się Ilin.

– Chyba powinniśmy wynosić się stąd do diabła.

– To całkiem niezły pomysł.

Limuzyna pędziła dwupasmową jezdnią. Aleksander Kaługin zapiął mocniej pasy i krzyczał na kierowcę. Jeszcze nie ochłonął z szoku, o który przyprawiła go próba zamachu, a już zaczął rozważać prawdopodobieństwo, że zdradził go któryś z ochroniarzy. A może własny szofer? Teraz przed każdym skrzyżowaniem mówił kierowcy, którędy mają jechać.

Powrót na daczę był zbyt ryzykowny, więc dawał szoferowi wskazówki dotyczące innej trasy do Moskwy.

Kaługin wyjął telefon ze schowka i połączył się z centralą. Nie spuszczał wzroku z drogi. Na kolanach położył wyciągnięty z kieszeni pistolet.

Jeżeli kierowca skręci nie tam, gdzie trzeba, wpakuje mu kulę w łeb. Kurczowo ściskał rękojeść.

Zgłosił się oficer dyżurny i Kaługin w paru zdaniach, opowiedział mu o zasadzce. Adiutant prezydenta będzie wiedział, co ma zrobić z tą informacją.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Kaługin sporządzał listy swoich wrogów. Lista A zawierała nazwiska politycznych przeciwników, rywali w Dumie, urzędników, którzy kiedyś mu się przeciwstawiali i kontrkandydatów w wyborach. Na liście B znajdowali się jego krytycy, a więc naczelni pism, publikujących oskarżające Kaługina felietony wstępne lub podobne materiały, urzędnicy, którzy nie drżeli na jego widok, biznesmeni, nie słuchający jego zaleceń, głównie malkontenci. Najdłuższa ze wszystkich, lista C, mieściła nazwiska tych wszystkich, których Kaługin podejrzewał o brak entuzjazmu dla jego roli przywódcy narodu. Niektórzy trafili tam tylko dlatego, bo odmówili publicznego uściśnięcia ręki na oficjalnych przyjęciach. Figurowało tam sporo mężów kobiet uznanych przez prezydenta za atrakcyjne oraz nazwiska osób, które częściej od innych pojawiały się w prasie, więc w przyszłości mogli stanowić zagrożenie.

Prezydent omawiał wielokrotnie ewentualne zagrożenia ze swymi najbardziej zaufanymi doradcami, przygotował plan awaryjny i udzielił stosownych pełnomocnictw osobom, którym ufał, a które wszystko zawdzięczały jego łasce.

Już w tej chwili, kiedy jeszcze znajdował się w pędzącym aucie, jego ludzie aresztują i przesłuchują wszystkie osoby z listy A. Być może Federalna Służba Bezpieczeństwa odkryje winnych, zanim zrobi to straż prezydencka. I bardzo dobrze. Kaługin lubił niezależne działania na kilku frontach.

Być może ze zbrodniczego zamachu na jego osobę wyniknie coś pożytecznego. Może warto wykorzystać to wydarzenie do zlikwidowania jego najgłośniejszych przeciwników. Ich upadek będzie stanowił ostrzeżenie dla innych.

Trzej ludzie Kaługina już czekali, kiedy Iwan Ilin pojawił się tego ranka w pracy. Uprzedziła go o tym sekretarka gabinetu ogólnego.

– Czego chcą?

– Tego nie powiedzieli. Mieli upoważnienie od prezydenta, więc wpuściłam ich do pańskiego sekretariatu. Do gabinetu weszli bez mojego pozwolenia.

Tak się dzieje, kiedy spieprzy się zamach, pomyślał. Wchodzisz do pokoju i zastanawiasz się, czy zostaniesz aresztowany i torturowany, czy też poproszą cię o pomoc w ujęciu sprawców.

Iwan Ilin nie zboczył z drogi o włos. Przeszedł przez przedpokój do swego gabinetu. Zatrzymał się w progu. Jeden z mężczyzn siedział przy jego biurku, usiłując włamać się do szuflad, inny szpilką próbował otworzyć szafkę.

– Co tu się dzieje, do cholery?

– O, człowiek z kluczami. Siadajcie, towarzyszu Ilin, siadajcie. Ja zajmę się waszymi kluczami.

Ilin stał nadal.

– Ktoś próbował niedawno zamordować prezydenta Kaługina. Prowadzimy śledztwo.

– Czy prezydent odniósł obrażenia?

– Nie.

– Czego tu szukacie?

– Siadaj, Ilin. Dawaj klucze.

Spędzili w gabinecie przeszło godzinę, przekopując się przez akta, czytając notatki, oglądając każdy kawałek papieru, jaki wpadł im w ręce. Przez cały czas Ilin spokojnie się temu przyglądał. Jedyną rzeczą, jakiej nie powinni zobaczyć, były teczki agentów FSB ulokowanych w innych krajach. Na szczęście znajdowały się w centralnym archiwum agencji pod stałą ochroną uzbrojonych strażników.

– Kiedy miała miejsce próba zamachu?

– Dziś rano. Prezydent jechał na Kreml.

– Dokonaliście już aresztowania?

– Zastanawiamy się, czy nie powinniśmy aresztować was.

Ilin parsknął śmiechem.

– Wasza zimna krew jest godna podziwu.

– Nie mam nic do ukrycia. Na nikogo nie podniosłem nawet palca. Możecie sobie czytać te akta do sądnego dnia i tak nic wam to nie da.

Kiedy szef ekipy skończył, usiadł na krześle za biurkiem Ilina i wyciągnął z kieszeni listę.

– Aresztujecie tych ludzi. Umieścicie ich w celach na dole i zaczniecie przesłuchania. Nagrywajcie wszystkie przesłuchania. Takie są instrukcje prezydenta.

Wyszedł, lecz zostawił jednego ze swoich ludzi, który ulokował się za krzesłem Ilina. Iwan po

zapoznaniu się z listą, zaczął telefonować. Lista zawierała przywódców partii opozycyjnych, sędziów i osoby publiczne.

Nie figurował na niej marszałek Gładyszew. To o niczym nie świadczyło. Mógł być na innej.

Kaługin był przygotowany. Ta lista nie została sporządzona dziś rano.

Ilin połączył się ze swym zastępcą i wydał odpowiednie polecenia.

Matsuo Handa, dowódca japońskiego lotnictwa na Syberii, spędził pracowitą noc, naradzając się ze swymi najlepszymi podwładnymi. Amerykański Dywizjon zdziesiątkował mu ludzi i maszyny. Pociski naprowadzane na radar pokładowy Zero i niewidzialne F-22 – tego było aż nadto.

Japoński dowódca wiedział, że nie mogą czekać bezczynnie na kolejne posunięcie Amerykanów. Strategia obronna stała w sprzeczności z instynktem samuraja. Wierzył, że japońskiemu charakterowi najbardziej odpowiada atak. Ludzie, podobnie jak on, chcieli atakować. Pytanie brzmiało tylko, jak.

Dowódca dywizjonu Jiro Kimury wziął swego młodego asa na naradę. Miał w pamięci jego komentarz na temat technicznych rozwiązań pozwalających na elektroniczną zmianę koloru pokrycia samolotu i chciał, by dowódca również to usłyszał.

– Nie rozumiem tylko, jak amerykańskie myśliwce znalazły nasze Zero nad Zeją – mówił Kimura pułkownikowi Handa. – Pilot, który przeżył, twierdzi stanowczo, że ani razu nie odebrał sygnału przeciwdziałania elektronicznego, ostrzegającego o obecności amerykańskich maszyn w tym rejonie. Kontrola wykazała, że urządzenia działały prawidłowo. Najwidoczniej Amerykanie nie używali radaru. To jak namierzyli nasze samoloty?

– Musieli mieć kontakt wzrokowy – odpowiedział pułkownik Handa. Wielu starszych oficerów podzielało tę opinię. Jiro w to nie wierzył.

– Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, panie pułkowniku – ciągnął Kimura – to oczekiwanie w zasadzce z wyłączonym radarem i poleganie na ostrzeżeniach systemu przeciwdziałania elektronicznego informującego o pojawieniu się wrogich myśliwców, jest niefortunnym sposobem wykorzystania możliwości Zero. Ten samolot został stworzony jako broń ofensywna. Musimy włączyć radary, namierzyć nieprzyjaciela, zanim nas odnajdzie, i jako pierwsi wystrzelić rakiety. Dopuszczenie F-22 zbyt blisko jest groźnym błędem.

– Czekamy w zasadzce z wyłączonymi radarami, bo F-22 mogą wykryć nasze maszyny, zanim my namierzymy Amerykanów.

– Rozumiem, panie pułkowniku. Naszym zadaniem jest narzucenie Amerykanom naszego stylu walki. Musimy zwabić ich w miejsce, gdzie zdołamy zaatakować z większej odległości.

– To świetna propozycja, Kimura – rzekł Handa. – Tyle że niepraktyczna. Bylibyśmy zbyt mało agresywni. W ten sposób znaleźlibyśmy się w niezręcznej sytuacji.

Od tej chwili, pomyślał Kimura, narada straciła sens.

Po omówieniu rozmaitych wariantów, pułkownik Handa postanowił przeprowadzić uderzenie w ciągu dnia na Czitę. Połowa maszyn poleci na niskim pułapie, zrzuci bomby i ostrzela cele. Druga połowa, lecąc na wysokim, co minutę uruchomi radary na kilka sekund i spróbuje wciągnąć w walkę amerykańskie myśliwce, podczas gdy pierwsza grupa zaatakuje lotnisko. Zero wylecą z Chabarowska, tak więc w obie strony będą towarzyszyły im cysterny.

– Panie pułkowniku – zaproponował Jiro – może powinniśmy spróbować najpierw nocnego ataku, by bardziej ograniczyć możliwości Amerykanów?

– Samoloty ostrzeliwujące cele naziemne i zrzucające bomby kasetowe dla osiągnięcia dobrych wyników potrzebują dziennego światła i przynajmniej niezłej pogody – odparł pułkownik. – Mamy stawić czoło silnemu, agresywnemu przeciwnikowi, który pierwszy rozlał naszą krew. Musimy atakować, zmusić go do przyjęcia naszej taktyki, w przeciwnym razie to on narzuci nam swoją

inicjatywę i będziemy musieli ograniczyć się do obrony.

– Musimy uderzyć pierwsi – przytaknął dowódca dywizjonu. Podobnie jak pułkownik Handa, był gorącym zwolennikiem działań ofensywnych.

Jiro opuszczał naradę koło północy, zupełnie zgaszony. Wiedział, że pułkownik postępuje dokładnie według założeń Amerykanów. Argumentował, że nieprzyjaciel oczekuje japońskiego ataku na Czitę, więc nie powinni tego robić. Jednak pułkownik się uparł. Cassidy już zepchnął Handę do defensywy, lecz ten nie chciał się do tego przyznać.

Jiro udał się do najbardziej oddalonego hangaru, gdzie kwaterował jego przyjaciel, pilot śmigłowca.

– Powiedz mi, Shoichi, czy twoi ludzie mają jeszcze te gogle noktowizyjne, jakie wkładaliście podczas nocnych lotów?

– Tak, mamy cztery takie zestawy ze słuchawkami, wizjerami i tak dalej. Jednak nie mają maski tlenowej.

– Pożyczysz mi jeden na jutro?

– Po co?

– Jutro mam lot i chciałbym sprawdzić pewną teorię.

– Dla ciebie Jiro wszystko, czego zapragniesz. Chodź, masz tu piwo.

Toshihiko Ayukawa, szef Wydziału Azji, rezydujący w Centrali Wywiadu Japońskiego, otrzymał odkodowaną i przepisaną wiadomość od agenta Ju. Przyniesiono mu ją w czerwonej teczce. Ayukawa otworzył teczkę i przejrzał kilka kolumn zapełnionych schludnym, japońskim pismem.

Rosja ma dziesięć głowic jądrowych.

Kaługin wydał rozkaz użycia ich przeciwko Japonii.

Co najmniej cztery z nich będą przetransportowane okrętem podwodnym.

Cel nieznany.

Ayukawa poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Dobry, stary agent Ju. To on właśnie zakomunikował, że Rosja zniszczyła ostatnią głowicę jądrową. Tylko głupiec uwierzyłby bezkrytycznie w taką informację, jednak bez wątpienia to ona była jednym z powodów, dla których rząd Abe zdecydował się na inwazję Syberii.

Teraz Ju zmienił śpiewkę. Kłamał wtedy czy teraz?

Paweł Saratow był ostatnim członkiem załogi, który opuścił mostek na szczycie kiosku „Admirała Kołczaka". Popatrzył jeszcze na cztery przyspawane do pokładu pojemniki, upewnił się, że okręt stoi pośrodku małej laguny i celuje dziobem w stronę podwodnego wyjścia, po czym zszedł i zamknął za sobą pokrywę luku.

Jesienin czekał w centrali dowodzenia. Albo się kapitanowi zdawało, albo wyglądał mniej arogancko.

– To trudna sztuczka. – Saratow zwrócił się do szefa, który skinął głową. – Musimy wypłynąć przez tunel, zanim prąd nas zniesie. Zanurzenie.

Szef wydawał rozkazy, podczas gdy Saratow sprawdzał na monitorze odczyt sonaru.

Zastępcą Jesienina był major lub ktoś, kto włożył mundur majora. Zdaniem kapitana wyraźnie zbladł, gdy do zbiorników balastowych zaczęła wlewać się woda.

Saratow pokręcił ze zniecierpliwieniem głową. Powinien zignorować tych dwóch i skupić się na bezpiecznym wyprowadzeniu okrętu z wnętrza wulkanu.

Po pół godzinie okręt przedostał się tunelem na otwarte wody. Było ciemno i pochmurno, więc Saratow podniósł go na wysokość peryskopową, wystawił chrapy i włączył diesle.

Kiedy po dwóch godzinach poszedł do swej kabiny, czekał tam na niego Jesienin, rozparty na

krześle.

– Wejdźcie, kapitanie i zamknijcie drzwi.

Pomieszczenie było niewielkie. Saratow odsunął krzesło i usiadł na koi.

– Wydaje mi się kapitanie, że to najlepsza pora na omówienie naszego zadania. Jesienin wyjął z biurka mapę i rozpostarł ją. Saratow zerknął mu przez ramię.

– Zna pan Zatokę Tokijską? Południowy kraniec?

– Poznaję ją.

– Jak pan widzi, na czerwono zostały zaznaczone niektóre z głębszych uskoków tektonicznych. Widać, którędy przebiegają. – Jesienin przeciągnął palcem wzdłuż największego. – Ten uskok interesuje nas najbardziej. – Pokazał palcem pozostałe. – Nie trzeba będzie cumować przy nabrzeżu ani kraść ciężarówki.

Saratow nie odpowiedział.

– Mam te informacje od profesora Rewela, czołowego geologa z Moskwy, który badał te zagadnienia z zespołem międzynarodowym – ciągnął Jesienin. – Uważa, że najmniej stabilny jest ten uskok, u wejścia do Zatoki Tokijskiej. Nie zmienił położenia od co najmniej trzystu lat i może to zrobić w każdej chwili. Naszym zadaniem jest rozmieszczenie ładunków wzdłuż uskoku, w pięciokilometrowych odstępach. Eksplozja uwolni zachodnią część płyty i spowoduje jej znaczne uniesienie.

– Jak znaczne? – Paweł Saratow nie mógł oderwać wzroku od mapy.

– Geolodzy uważają, że naprężenia powinny przemieścić płytę o ponad trzydzieści metrów. Oczywiście, wybuch spowoduje wyparowanie olbrzymich ilości wody, więc morze wypełni powstałą pustkę. Ruch wody jedynie spotęguje przemieszczanie płyty.

– Rozumiem.

– Fala pływu będzie niezwykle wielka. Zdaje się, że Japończycy nazywają to tsunami. Jeśli wyliczenia profesora są precyzyjne, fala przelewająca się nad Tokio osiągnie sześćdziesiąt metrów wysokości.

– Wystarczą tylko cztery głowice?

– Dwie zdetonujemy jednocześnie. Drugi zestaw z trzyminutowym opóźnieniem. Profesor Rewel uważa, że ziemia zatrzęsie się w długim rytmie oscylacji. Druga eksplozja powinna spotęgować to zjawisko. Przyznam, że opracowywaliśmy ten scenariusz w wielkim pośpiechu, ale pokładamy wielkie nadzieje w komputerowych symulacjach profesora. To powinno zadziałać. I zadziała.

– Wszystko, co należy zrobić – rzekł głuchym głosem Saratow – to dostać się nad uskok, zrzucić ładunki i odpłynąć.

– Składam to w pańskie kompetentne ręce, kapitanie.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie generale. Niestety, szansę powodzenia spoczywają w rękach Japończyków. Będą na nas polować, a przewaga jest po ich stronie.

Rozdział 20

Kłębiaste chmury na spokojnym, letnim niebie powitały japońskich pilotów, kiedy nabierali wysokości po starcie z Chabarowska, kierując się w stronę miejsca spotkania z cysternami. Szesnaście Zero podzielono na dwie grupy po osiem maszyn. Pułkownik Handa prowadził osiem maszyn na wyższym pułapie. Pozwolił swoim podwładnym wybrać zadanie i wszyscy chcieli być razem z nim na wyższym pułapie. Chwałę zdobywa się zestrzeliwując nieprzyjacielskie maszyny w walce powietrznej, nie zaś bombardując czy ostrzeliwując hangary i baraki.

Dowódcy wyznaczyli swoich najlepszych pilotów do ósemki, która miała zaatakować bazę.

Pułkownik Handa zamierzał na odprawie wezwać swych pilotów, by zrobili wszystko dla podtrzymania honoru Japonii i dywizjonu Zero, ale się rozmyślił. Doszedł do wniosku, że naoglądał się za dużo filmów amerykańskich.

– Nadlatują! – krzyknął Lee Foy i odłożył słuchawkę. – Ponad dwanaście maszyn. Wystartowali przed dziesięcioma minutami.

Amerykańscy piloci weszli do sali odpraw – przerobionej, wyczyszczonej i zaadaptowanej starej przyczepy do transportu drobiu. Wszyscy zerkali na zegarki. Piloci unikali patrzenia sobie w oczy.

Bob Cassidy był zadowolony, że Japończycy nadlatują. Skończyło się męczące wyczekiwanie. Wiedział, że przeciwnik w końcu zaatakuje, nie spodziewał się jedynie, że tak szybko.

Ludzie byli gotowi. Miał do dyspozycji tylko sześć maszyn, więc utworzył trzy pary. Weźmie Paula Scheera na północ od bazy i poczekają, aż pociski Sentinela zmuszą pilotów Zero do wyłączenia radarów. Wtedy zaatakują.

Dixie i Aaron Hudek będą czekali na północny wschód od bazy, „Kapelan" Fain i Lee Foy na południowy zachód. Przylecą na wezwanie Cassidyego.

Każdy samolot został uzbrojony w osiem Sidewinderów i amunicję do działka. Cassidy polecił usunięcie wszystkich pocisków AMRAAM. Zakładał, że dane ze Sky Eye będą przesłane na czas. W przeciwnym razie wszystko skończy się straszliwą porażką.

Zakładał również, że Japończycy będą unikali naruszenia chińskiej przestrzeni powietrznej i nadlecą ze wschodu, prosto od strony Chabarowska. Gdyby jednak Zero zatoczyły łuk i nadleciały z innego kierunku, mogłyby namierzyć radarami którąś parę F-22 i zestrzelić ją.

Każda decyzja zawierała element ryzyka. Życie samo w sobie jest ryzykowne. Ryzykowne jest nawet oddychanie, pomyślał Cassidy.

On i jego piloci potrzebowali odrobiny szczęścia. Jeśli trafi się im choć łut, będą dziś w stanie rozgromić Zero raz na zawsze. Gdyby jednak szczęście odwróciło się od nich... cóż, umrzeć można tylko raz.

Cassidy stanął przed tablicą. Widniały na niej częstotliwości, pułapy i sygnały wywoławcze wypisane podczas poprzedniej odprawy.

– No dobrze, ludziska. Lecą na nas. Spotkali już cysterny i mam nadzieję, że będą zmierzać w naszą stronę. Przeróbmy to raz jeszcze i do dzieła. Mamy półtorej godziny przewagi i wystartujemy z godzinnym wyprzedzeniem.

Nikt o nic nie pytał. Wszyscy wpatrywali się w zegarki. Po skończonej odprawie Cassidy wyszedł na zewnątrz, przeszedł za przyczepę i wysikał się na trawę. Wreszcie, nie śpiesząc się zapiął kombinezon.

Stał obok przyczepy i spoglądał na samoloty, myśląc o Słodkiej Sabrinie i Jiro Kimurze, kiedy usłyszał dzwonek telefonu satelitarnego. Odebrał Lee Foy.

– Szesnaście Zero! – krzyknął po chwili Foy. – Skończyli tankować i lecą tu. Spodziewany czas

przybycia godzina i dwadzieścia osiem minut.

– Do roboty!

– Jazda!

Złapali sprzęt, hełmy i ruszyli biegiem w stronę maszyn.

Kiedy samoloty zeszły na niższy pułap po skończonym tankowaniu, Jiro Kimura wysunął się z czwórki Zero, która miała przeprowadzić atak na Czitę. Na głowie miał zestaw termowizyjny pożyczony pod pilota śmigłowca, ale jeszcze go nie włączył. Chciał go wypróbować teraz.

Przede wszystkim poszukał wzrokiem swoich podwładnych – Otę, Miurę i Sasaiego. Trzymali się na swoich pozycjach niczym przyspawani. To dobrzy piloci i wspaniali przyjaciele.

Usatysfakcjonowany Jiro włączył autopilota i zaczął dostrajać hełm noktowizyjny. Przed startem ustawił go zgodnie z radą pilota śmigłowca na najniższą wartość. Teraz opuścił gogle na oczy. Włączył baterię, więc urządzenie powinno zacząć działać.

Oczy powoli dostosowywały się do zmniejszonej ilości światła. O, tam jest jeden samolot, tu z prawej drugi.

Pokręcił głową na boki, próbując ogarnąć pole widzenia. Było nieco ograniczone, a w dodatku nie widział wskaźników na tablicy, lecz to mu nie będzie przeszkadzało w walce. Potrafił obsługiwać przełączniki z zamkniętymi oczyma.

Główną wadą hełmu był jego ciężar. W śmigłowcu sześciokilogramowy hełm noktowizyjny nie był zbytnim obciążeniem dla zdrowego mężczyzny, pod warunkiem, że nie musiał nosić go zbyt długo, jednak w poddawanym dużym przeciążeniom myśliwcu, to zupełnie co innego. Przy pięciu G to świństwo będzie ważyło trzydzieści kilo, co podda mięśnie karku Jiro poważnej próbie. Dziesięć G wystarczy, by złamać mu kark jak zapałkę.

Jiro wyszedł z założenia, że nawet jeśli samoloty amerykańskie są trudno dostrzegalne w pełnym świetle, powinny być widoczne w paśmie podczerwieni.

Na kolanach Kimury spoczywała maska tlenowa. Nie można było jej podłączyć do hełmu ze śmigłowca. Kabina Zero miała częściowo wyrównane ciśnienie, więc wysokość 8.500 metrów odczuwało się zaledwie jako 3.000. Gdyby kopuła uległa zniszczeniu lub odpadła, Jiro musiałby trzymać maskę przy ustach lewą ręką, a prawą pilotować samolot.

F-22 startowały parami. Najpierw Cassidy i Scheer, potem Dixie i Hudek, na ostatku Fain i Foy. Żołnierze stali przy rampie, obserwując jak maszyny z rykiem silników odrywają się od ziemi. Po schowaniu podwozia piloci włączyli „inteligentne" pokrycie. Ryk silników wibrował w powietrzu jeszcze przez kilka minut po tym, jak F-22 zniknęły z oczu.

Gdy ustał dźwięk silników, szef personelu naziemnego kazał żołnierzom ukryć się w schronach, świeżo wykopanych za przyczepą. Mogliby jeszcze przez chwilę pozostawać poza ukryciem, lecz szef wolał nie czekać. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Symbole odległych o trzysta dwadzieścia kilometrów Zero pojawiły się na ekranie taktycznym Cassidyego. Znajdował się o osiemdziesiąt kilometrów na północ od bazy na wysokości siedmiu tysięcy metrów i krążył z maksymalną prędkością ekonomiczną wynoszącą 0,72 macha, czyli jakieś osiemset kilometrów na godzinę. Scheer leciał o sto metrów obok z lewej. Symbole były tak ciasno zbite, że Cassidy nie był w stanie stwierdzić, ilu właściwie jest przeciwników.

Zasadniczym mankamentem systemu satelitarnego Sky Eye, było to, że na większą odległość symbole były skomasowane, zaś przy bliskiej dane nie zawsze odpowiadały prawdzie. Ta zabaweczka dawała najlepsze wyniki, kiedy nieprzyjaciel znajdował się w przedziale pomiędzy ośmioma a osiemdziesięcioma kilometrami. Poniżej ośmiu kilometrów musieli polegać na czujnikach podczerwieni. F-22 wymieniały się wszystkimi danymi, więc komputer mógł odtworzyć na ekranie

taktycznym w miarę prawdziwy obraz.

W jednym miał przynajmniej na razie rację. Zero zbliżały się ze wschodu, lecąc prosto w pułapkę.

Cassidy sprawdził pozycje pozostałych par. Uznał, że „Kapelan" Fain jest zbyt blisko bazy.

– Kapelan, tu Smakosz, odsuń się o dziesięć kilometrów na południe.

Fain potwierdził.

Cassidy sprawdził wszystko: natężenie obrazu wskaźnika refleksyjnego, przełącznik broni, obraz na ekranie wielofunkcyjnym, wysokość, silniki... Był gotów.

„Kapelan" Fain dociągnął pasy i sprawdził, czy zablokował luzujący mechanizm bezwładnościowy, by nie rzucało go po kabinie. Założył maskę tlenową, przetarł rękawicą przyciemnioną szybę hełmu i sprawdził tablicę uzbrojenia.

Zerknął na ekran taktyczny. Lee Foy znajdował się dokładnie tam, gdzie życzył sobie Fain: sto osiemdziesiąt metrów w bok i z tyłu. Dzięki temu Fain mógł spokojnie wykonywać manewry w prawo i w lewo, bez narażania się na zderzenie w powietrzu. Również skrzydłowy mógł brać udział w walce i odciągać nieprzyjaciół z ogona Faina, podczas gdy jego dowódca ruszał do ataku.

Lecące wyżej Zero znajdowały się o sześćdziesiąt kilometrów od bazy, te na niższym pułapie tylko czterdzieści osiem. Po osiem maszyn w każdej grupie. Fain śledził trasę pierwszej grupy i zacieśniał promień skrętu. Chciał wcisnąć się tuż za japońską formacją, kiedy tylko miną zasięg Sentinela i będzie jasne, że piloci wyłączyli radary. Postanowił zestrzelić, ilu się tylko da, w pierwszym podejściu, potem zanurkować w kierunku drugiej grupy. Niższa formacja Zero będzie dla atakujących z góry, niewidocznych F-22, równie łatwym celem, jak kaczki na strzelnicy.

Serce systemu wyrzutni pocisków Sentinel stanowi komputer wyposażony w skomplikowany program opracowany z myślą o niszczeniu wrogich samolotów. Bateria po wykryciu nieprzyjacielskiego radaru odpala rakietę, potem wyłącza się, pozostając w gotowości do powtórzenia cyklu. Program wymagał, by pokładowy radar celu omiatał regularnie wyrzutnię, a cel zbliżał się do strefy zasięgu rakiet. Jeżeli wszystkie dane zgadzały się, komputer odpalał dwie rakiety, jedną po drugiej, po czym system przechodził w stan czuwania, nasłuchując kolejnych sygnałów.

System naprowadzania pocisku był o wiele bardziej zaawansowany technologicznie niż komputer baterii. Gdy pocisk leci w kierunku celu, komputer zapamiętuje pozycję, kurs i prędkość, zatem nawet jeśli cel wyłączy radar, komputer nadal prowadzi rakietę w jego stronę. Oczywiście prawdopodobieństwo trafienia malało wprost proporcjonalnie, im dłużej cel miał wyłączony radar. Jeśli cel ponownie go uruchamiał, komputer aktualizował trajektorię i wprowadzał poprawki do systemu sterującego.

System działał najskuteczniej, kiedy rakiety podążały do samolotów kierujących się wprost na wyrzutnię. W zależności od wektorów kierunków i prędkości, zarówno pocisku, jak i celu, skuteczność malała w sytuacji, kiedy rakieta goniła oddalającą się maszynę.

Lecąc w stronę Czity pułkownik Handa przełączał radar z nadawania w stan czuwania i z powrotem. Polecił innym pilotom, żeby ustawili swoje radary w stan czuwania, to znaczy taki, w którym urządzenia nie wysyłały sygnału, lecz odbierały emitowane przez maszynę Handy fale i mogły wykrywać nieprzyjacielskie samoloty lub sprowokować Amerykanów do użycia rakiet przeciwradarowych. Handa nie wiedział, że takie pociski są wystrzeliwane przez zautomatyzowaną baterię. Nie podejrzewał nawet takiej możliwości.

Osiem pozostałych myśliwców oddzieliło się od wyżej lecącej formacji sto sześćdziesiąt kilometrów wcześniej. Zeszły na wysokość stu osiemdziesięciu metrów i rozwijały prędkość nieco

powyżej jednego macha.

Handa wciąż czekał, że jego system przeciwdziałania elektronicznego ostrzeże go przed nieprzyjacielskim radarem, ale urządzenie ani pisnęło. Wyglądało na to, że wróg nie uruchomił radarów lub też, jak pomyślał ponuro pułkownik, dysponuje radarem, którego nie potrafi wykryć jego system. Być może Amerykanie dokonali kolejnego przełomu technologicznego i stosowali niewykrywalne częstotliwości. Albo ustawili radary na odbiór i namierzali się na jego impulsy. Gdyby tylko mógł...

Odsunął od siebie te myśli akurat w chwili, kiedy pierwszy pocisk z Sentinela przemknął obok jego samolotu w odległości nie większej niż trzydzieści metrów. Oślepiający blask płomienia z silnika rakiety odbił się w siatkówce jego oka. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Kiedy, korzystając z doskonałej widoczności, rozglądał się po niebie w poszukiwaniu innych celów. zapomniał przełączyć radaru w stan czuwania. To właśnie spowodowało, że wystrzelona z Sentinela przed sześćdziesięcioma sekundami druga rakieta uderzyła w nos jego myśliwca.

Rakieta o masie piętnastu kilogramów pędziła z prędkością 3 machów, kiedy ze snajperską dokładnością trafiła w radar. Samolot Handy poruszał się z prędkością 1,28 macha w niemal dokładnie przeciwnym kierunku. Skumulowana energia zderzenia rozerwała myśliwiec Zero na miliony kawałeczków. Rosnąca chmura złożona z fragmentów metalu, plastiku, ciała pilota, ubrania, strzępów podeszew w ciągu kilku sekund straciła impet i zaczęła opadać.

Pozostałe Zero podążały nadal w stronę Czity, kiedy to, co pozostało z samolotu Handy, spadało na ziemię w różnej kolejności i postaci. Krople nafty lotniczej przypominały zimny, letni deszcz, a kawałki metalu i ciała kurz lub mokry śnieg.

Pomimo zniknięcia samolotu Handy, siedem pozostałych maszyn z jego formacji podążało naprzód. Minęło kilka sekund, nim piloci zdali sobie sprawę z tego, co się stało. Przez ten czas Zero przeleciały prawie tysiąc sześćset metrów.

Pozbawieni radaru piloci byli praktycznie ślepi. Przy tych prędkościach niewiele mogli dostrzec gołym okiem.

W tym momencie Bob Cassidy i Paul Scheer znajdowali się na ich godzinie drugiej i zbliżali się zbieżnym kursem z odległości szesnastu kilometrów, z prędkością 2,15 macha. Amerykańskie myśliwce odsunęły się od siebie na dwieście metrów. Scheer trzymał się z lewej.

– Strzelamy każdy do dwóch, potem ostro w górę i zniżamy się za nimi, Paul.

– Zrozumiałem, Smakosz.

Urządzenia naprowadzające Sidewinderów przeszły wiele modyfikacji od czasu, kiedy przed czterdziestu laty wprowadzono je do uzbrojenia. Podstawową zaletą tego pocisku był jego pasywny charakter. Nie emitował żadnych sygnałów, więc nie zdradzał swej obecności. To z nawiązką rekompensowało jego niewielki zasięg.

W odległości ośmiu kilometrów Cassidy złapał kontakt i odpalił pierwszy pocisk. Wciąż nie widział Zero, no i piloci Zero nie mogli zobaczyć jego. Po dwóch sekundach wystrzelił następny pocisk, tym razem z odległości pięciu kilometrów. Kiedy oba pociski poleciały, Bob zadarł nos F-22 pod kątem osiemdziesięciu stopni, wykręcił półbeczkę, wyłączył dopalacze, po czym gwałtownie obniżył nos maszyny, gdy myśliwiec zaczął zwalniać. W końcu dostrzegł drugą formację Zero, które niżej zdążały do bazy.

Scheer odpalił swoje Sidewindery niemal jednocześnie z Cassidym i również wzniósł maszynę oraz zrobił półbeczkę.

Jedna z amerykańskich rakiet chybiła z powodu zbyt gwałtownej zmiany kąta. Minęła wybrany samolot zbyt daleko, by próbować wybuchu zbliżeniowego.

Pozostałe trzy trafiły. Jedna wleciała do lewego wlotu powietrza i eksplodowała w przedziale sprężarki, rozrywając Zero na strzępy. Druga chybiła o dwadzieścia pięć centymetrów, ale wybuch przedziurawił kabinę i zabił pilota.

Czwarta głowica eksplodowała nad lewym skrzydłem myśliwca, którego wybrała sobie za cel, i podziurawiła je jak sito. Paliwo rozbryznęło się w powietrzu.

Pilot poczuł trafienie. Widział, jak samolot jego dowódcy rozleciał się w powietrzu, teraz dostrzegł paliwo wyciekające ze skrzydła. Nie zdążył zauważyć nawet śladu nieprzyjaciela, a już dwa Zero uległy zniszczeniu. Jeden rozpadł się, drugi był poważnie uszkodzony. Skręcił ostro w lewo, próbując dostać się w bezpieczniejszy rejon.

Cassidy zauważył ten zwrot i naparł ostro na drążek, a ponieważ leciał na plecach, nos F-22 przestał opadać.

Zero pod nim kontynuował skręt.

Wszystko powinno pójść gładko. Cassidy skręcił w prawo, wsiadając Japończykowi na ogon. Postanowił użyć działka.

Wznosząc się, wyrównał skrzydła i wcisnął kciukiem guzik, gdy nieprzyjacielska maszyna znalazła się na celowniku. Samolot zadrżał. Zero w ciągu sekundy stracił lewy poziomy statecznik.

Cassidy położył maszynę na skrzydło i wyrwał w górę z przeciążeniem dziewięciu G. Chciał szybko zorientować się w sytuacji. Po raz pierwszy zerknął na ekran taktyczny, chcąc sprawdzić pozycje pozostałych F-22.

Na wysokim pułapie byli jedynie on i Scheer. Pozostałe dwie pary schodziły łukiem do ataku.

Dixie Elitch i Aaron Hudek odpalili rakiety, gdy z rykiem silników spadali na czwórkę Zero z północnego zachodu. Pociski pomknęły do celu. Dixie posłała drugi i trzeci.

Pierwszy Sidewinder Dixie zmienił Zero w ognistą kulę, drugi wpadł w tę kulę i eksplodował. Trzeci zniszczył kolejne Zero w tym samym momencie, gdy katapultował się pilot myśliwca trafionego rakietą Hudka.

Dixie dzieliły od ostatniej maszyny trzy kilometry i starała się o potwierdzenie namierzenia celu, gdy Hudek przemknął jej przed nosem, niemal osmalając dyszami szybę.

Dixie zwolniła i odeszła w lewo, unikając zderzenia.

Hudek nie troszczył się o namiar dla rakiety. Postanowił użyć działka. Wytrwale zbliżał się do ostatniej maszyny z zaatakowanej przez nich czwórki.

„Kapelan" Fain i Lee Foy zaatakowali ekipę Kimury. Odpalili po jednym Sidewinderze. Oba pociski pomknęły do celu.

Kimura wykręcał głowę we wszystkie strony, mając na głowie hełm z goglami noktowizyjnymi, usiłując zobaczyć, co się dzieje. Eksplodujące po prawej z tyłu Zera przykuły jego uwagę.

Dostrzegł F-22, atakujące od tyłu z góry pod kątem trzydziestu stopni.

– Ostro w lewo! – zawołał do trzymanej w lewym ręku maski tlenowej. Puścił ją i złapał hełm, usiłując utrzymać go prosto, a prawą ostro naparł na drążek.

Pocisk Faina nie zdołał powtórzyć manewru Zero i uderzył w ziemię.

Miura nie był wystarczająco szybki. Rakieta Sosu Fojowego wleciała mu w prawą dyszę, wybuchając w trzecim stopniu turbiny. Szczątki silnika wypadły na zewnątrz, gdy nie ograniczana żadnym obciążeniem turbosprężarka zawyła na najwyższych obrotach.

Miura poczuł wstrząs. Zobaczył, że wskaźnik temperatury prawego silnika przesuwa się do punktu krytycznego i zrozumiał, że znalazł się w opałach. Zmniejszył ciąg obu silników, gdy tylko zaświecił się wskaźnik pożaru prawego, a przeciążenie zaczęło natychmiast maleć. Kiedy prędkość spadła do ośmiuset kilometrów na godzinę, pociągnął rączkę katapulty. Po trzech sekundach

spadochron otworzył się w momencie, gdy samolot Miury eksplodował. Od początku walki minęła dopiero minuta.

Jiro Kimura, trzymając ciężki hełm i gogle noktowizyjne lewą ręką, wykręcił pod kątem prostym. On, jako jedyny z japońskich pilotów, widział zniżające się ku nim amerykańskie myśliwce. W pewnej chwili wskaźnik pokazał przeciążenie dziewięciu G, a Kimura nie miał, w przeciwieństwie do Amerykanów, pełnego kombinezonu przeciwprzeciążeniowego. Krzyczał z bólu, nie chcąc stracić przytomności, gdy skręcał coraz ciaśniej.

Właśnie wtedy Lee Foy popełnił śmiertelny błąd. Być może nie widział zakręcającego Jiro, może skupił się na swej następnej ofierze, którą był Sasai, a może sprawdzał na ekranie taktycznym pozycję swego skrzydłowego. W każdym razie nie zareagował wystarczająco szybko na skręt i kiedy Jiro odpalił z bezpośredniej odległości Sidewindera, nie było już na nic czasu. Zaprojektowany przez Amerykanów, wyprodukowany w Japonii pocisk, przebił kadłub F-22 tuż za kabiną i wybuchł w głównym zbiorniku paliwa, wyrzucając je na zewnątrz pod olbrzymim ciśnieniem. Zmieszane z powietrzem, zapaliło się w ciągu sekundy.

Lee Foy zdążył jedynie wziąć wdech i wrzasnąć do mikrofonu, nim spłonął żywcem.

Aaron Hudek wykańczał z działka ostatnie Zero ze swojej czwórki, gdy kątem oka dostrzegł wybuch. Rozpoznał głos Foya.

– Sos?

Wszyscy piloci f-22 usłyszeli wołanie Hudka.

Jiro Kimura już zdążył odpalić drugi pocisk. Kiedy pierwszy był jeszcze w powietrzu, złapał namiar na kolejnego F-22, odległego o siedem kilometrów, który skręcał gwałtownie w stronę Zero. Dopadł je. Wówczas zawrócił pod kątem dziesięciu stopni w kierunku zbliżającego się F-22 z włączonymi dopalaczami.

Był to Aaron Hudek.

F-22 zaczął strzelać. Struga ognia wyleciała z nosa amerykańskiego myśliwca, niczym snop światła z latarki. Palec boży sięgnął po Jiro.

Kimura nie potrafił wyjaśnić, jak udało mu się zrobić unik. Naparł na drążek i kopnął orczyk, że maszyna bezwładnie ześlizgnęła się na bok. W tej samej chwili nacisnął kciukiem spust działka.

Spod nasady prawego skrzydła pomknął sznur pocisków.

Nacisnął prawy pedał orczyka w momencie, gdy Hudek przecinał stalowy strumień wylatujący z jego działka.

Aaron Hudek poczuł potężne uderzenie. Zaświeciło się ostrzeżenie o pożarze lewego silnika, gwałtownie spadły obroty. Zerknął w lusterko i zobaczył smugę ognia wzdłuż boku maszyny.

Sięgnął do rączki katapulty, lecz pojawiło się przed nim kolejne Zero, pilotowane przez skrzydłowego Jiro, Otę. Przy tych prędkościach nie ma czasu na zastanowienie, lecz gdyby nawet był, prawdopodobnie Futrzane Jajo podjąłby taką samą decyzję. Jednym ruchem nadgarstka ustawił maszynę na kolizyjnym kursie.

Drugi Sidewinder Jiro sypnął odłamkami w kadłub Dixie Elitch. Samolot wciąż reagował na stery i wszystko wydawało się w porządku, lecz do kabiny Dixie wdarł się przeraźliwy hałas. Brzmiał jakby strumień omywający płatowiec czymś grzechotał.

Dixie odruchowo zredukowała ciąg, otworzyła hamulce aerodynamiczne i zadarła nos, by wznoszeniem zredukować prędkość.

Po tym jak Cassidy i Scheer wystrzelili swoje ostatnie rakiety, z ósemki Zero lecącej na wyższym pułapie pozostały jedynie dwa. Wciąż utrzymując luźny szyk, opuściły nosy i włączyły dopalacze. Piloci nie skręcali ani nie próbowali żadnych manewrów. Po prostu obniżali lot aż do dziesięciu

metrów nad dnem doliny. Uderzenie fali dźwiękowej poderwało tuman kurzu.

Cassidy wyrównał na trzech tysiącach metrów i wyłączył dopalacze. Nie chciał zużyć całego paliwa na ściganie tej dwójki.

– Możesz ich dopaść, Paul?

– Chyba tak.

Scheer pognał za uciekającą parą, a Cassidy zawrócił w stronę niedobitków z niskiego pułapu, którzy wciąż włóczyli się blisko bazy.

„Kapelan" Fain znajdował się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do Jiro i półtora kilometra za nim, gdy japoński pilot dostrzegł go przez gogle noktowizyjne. Jiro wiedział, że większość jego towarzyszy nie żyje, i że jeśli będzie kontynuował walkę, również zginie, ale lekceważenie F-22 w tylnej ćwiartce graniczyło z samobójstwem. Poderwał maszynę i skręcił w stronę Faina.

Fain był zaskoczony. To było jedyne Zero, które podjęło walkę z F-22.

Ten facet musi mnie widzieć, pomyślał. Być może „skóra kameleona" nie działa... Również poderwał maszynę, wchodząc w pionowe nożyce.

Oba myśliwce krążyły wokół siebie, nabierając wysokości. Każdy z pilotów usiłował znaleźć lepszy kąt do ataku, a drugi mu w tym przeszkadzał.

Jiro działał jak w transie. Znajdował się o 1.500 kilometrów od macierzystej bazy, otaczali go wrogowie, a czas działał na jego niekorzyść. Musiał to szybko skończyć.

Zamknął przepustnice i otworzył hamulce aerodynamiczne. Wznoszące się pionowo Zero niemal stanęło w miejscu.

„Kapelan" Fain wysforował się naprzód.

Jiro wparł się w drążek, skręcając w stronę Faina.

Fain, wyczuwając niebezpieczeństwo, odepchnął drążek z całej siły. F-22 odwrócił się na grzbiet i zanurkował w chwili, gdy działko Jiro plunęło ogniem.

Pociski przeszyły kadłub F-22. Fain wciąż uciekał.

Nagle uświadomił sobie, że ziemia rośnie w oczach. Nurkował w pozycji odwróconej, z nosem pod kątem siedemdziesięciu stopni w dół, z włączonymi dopalaczami przeleciał już dwa i pół tysiąca metrów.

Fain usiłował wyprostować F-22 i ciągnął, zastanawiając się, czy nie pogubi skrzydeł. Wskaźnik przeciążenia doszedł do dwunastki, gdy jego myśliwiec uderzył w ziemię z prędkością 1,2 macha.

Dixie Elitch katapultowała się, gdy prędkość spadła do 400 kilometrów na godzinę. Samolot już płonął. Musiała wyłączyć lewy silnik, gdy zaświeciła się sygnalizacja ostrzegająca o pożarze, lecz teraz widziała w lusterku płomienie.

– Dixie opuszcza bal – powiedziała przez radio.

Wzięła głęboki wdech i oburącz pociągnęła za dźwignię, umieszczoną pomiędzy nogami.

Walka trwała już dwie minuty.

Żołnierze z obsługi bazy zobaczyli kogoś opadającego na spadochronie, lecz nie mieli pojęcia, że to Dixie. Czterech z nich pojechało w ślad za białą czaszą terenówkami Hutmee. Z trudem odnaleźli ją w lesie, o półtora kilometra od najbliższej drogi. Dixie wisiała, zahaczona o drzewo. Dwadzieścia minut zajęło im ściągnięcie jej stamtąd, co udało się dopiero po ścięciu drzewa. Była w szoku, lecz skończyło się na strachu. W półtorej godziny po katapultowaniu się, Dixie i jej wybawcy wyszli z lasu.

Jiro Kimura podkołował na swoje miejsce parkingowe w Chabarowsku, otworzył osłonę kabiny i wyłączył silnik. Szef obsługi podstawiał drabinkę, gdy Jiro rozpinał uprząż.

– Gdzie pozostali? – zawołał szef.

– Nie żyją. Albo gdzieś biegają po lesie. Nie wiem. Mechanik nie mógł w to uwierzyć. Myślał, że Jiro żartuje. Gdy Kimura szedł przez lotnisko, niosąc torbę ze sprzętem i hełm noktowizyjny, natknął się na zastępcę dowódcy dywizjonu.

– Gdzie oni są, Kimura?

– Zestrzeleni. Wszyscy. Zostałem tylko ja.

– Łącznie z dowódcą skrzydła?

– Zginął jako pierwszy. Moja grupa leciała niżej, ale to chyba jego samolot jako pierwszy rozleciał się po trafieniu rakietą. Potem wskoczyli nam na kark Amerykanie. W mgnieniu oka było po wszystkim.

– F-22?

– Nawet ich nie widzieli. Te samoloty są niewidoczne. Bez radaru nie mieli żadnych szans. Ja miałem to. – Jiro podniósł hełm. – Pożyczyłem z dywizjonu śmigłowców. Mogłem ich zobaczyć wyłącznie w podczerwieni.

– Piętnaście maszyn! – nie mógł uwierzyć pułkownik.

– Tak jest.

– Ile było nieprzyjacielskich myśliwców?

– Sześć lub osiem. Nie jestem pewien, ale nie więcej niż osiem. Zastępca dowódcy opanował się.

– Czy udało się nam strącić któryś z nich?

– Chyba załatwiłem jednego. Drugi F-22 uderzył w ziemię, próbując mi uciec.

– Czy ktoś jeszcze zaliczył trafienie?

– Nie mam pojęcia.

– Natychmiast mam dostać szczegółowy raport na piśmie, Kimura. Prześle go do Tokio. – Pułkownik odwrócił się i Jiro nie widział wyrazu jego twarzy.

Poszedł w stronę budynku sztabu.

Przecież wszyscy nie mogli zginąć. Na pewno niektórzy katapultowali się bezpiecznie. Sasai, Ota, Miura...

Jiro Kimura szedł po pasie startowym, ocierając łzy.

Kiedy Cassidy i Elitch wrócili do dywizjonu, zastali Paula Scheera siedzącego z nogami na biurku. Palił cygaro. Uśmiechnął się do nich promiennie.

– Są jakieś wieści o pozostałych? – warknął Cassidy.

– Nie. Obejrzałem dyski z twojego i mojego samolotu. Jestem pewien, że nie żyją.

– Wyglądasz na cholernie wstrząśniętego tym faktem.

Scheer nie wydawał się wcale zażenowany. Cmoknął kilka razy cygaro, po czym zaciągnął się głęboko i wypuścił kłąb dymu.

– Pułkowniku, sprawa wygląda następująco: gdybym to ja zginął, a Futrzane Jajo siedział tu zamiast mnie, chciałbym, żeby zapalił cygaro. Chciałbym, żeby delektował się smakiem tej chwili. Gdybym mógł, sam podałbym mu ogień.

Scheer przeciągnął się i ziewnął.

– Najlepsze dwie cholerne minuty mojego życia. Najlepsze – westchnął. – Szkoda tylko, że odtąd mamy już z górki. Z czym mogłoby się to równać?

Powoli wstał. Dym z cygara kłębił się wokół jego głowy. Poprawił pas z bronią, podrapał się pod rozpiętym kombinezonem przeciwprzeciążeniowym i łyknął wody z małej buteleczki. Otworzył szufladę, wyjął dwa cygara i wyciągnął w stronę Dixie i Cassidyego.

– Po jednym za każdego. To był nasz pomysł – Hudka i mój. Kiedy będziecie je palić, pomyślcie

o Futrzanym Jaju, Sosie Fojowym i Kapelanie. O trzech cholernie fajnych facetach.

Cassidy i Elitch wzięli po cygarze.

Paul Scheer wyszedł z pokoju, ciągnąc za sobą smugę dymu.

Jiro Kimura nie mógł zasnąć tej nocy. Wciąż przeżywał poranną walkę. Po chwili zapalił latarkę, naciągnął na głowę koc i zaczął pisać list do żony.

Droga Shizuko,

Dziś stoczyliśmy ciężką bitwę z myśliwcami z Amerykańskiego Dywizjonu, o którym pewnie słyszałaś. Ich dowódcą jest Bob Cassidy! Ota, Miura i Sasai zaginęli w akcji i uznano ich za poległych. Zanim otrzymasz ten list, ich rodziny zostaną oficjalnie powiadomione. Jak wiesz, bardzo martwiłem się możliwością spotkania Cassid'ego w powietrzu. Nastąpiło to dzisiaj. Prawdopodobnie tam był. Ukochana żono, będziesz zapewne bardzo dumna wiedząc, że nie zawahałem się spełnić swój obowiązek. Wywiązałem się najlepiej jak umiałem, dzięki czemu wciąż żyję. Choć martwi mnie możliwość, że strzelałem do Cassidy'ego, mam wyrzuty sumienia, że moi przyjaciele zginęli. Dziwne, jak skrywane winy potrafią nas dopaść. To bardzo niejapońskie myślenie, ale zawsze przekonywali mnie o tym Amerykanie. Twierdzili, że ukryte grzechy są najgorsze.

Muszę przyrzec sobie, że więcej nie będę myślał o Bobie Cassidym. Zachowam zimną krew. Będę walczył z zajadłością tygrysa.

Piszę do ciebie te słowa, ponieważ mogę cię już więcej nie zobaczyć.

Bardzo możliwe, że wkrótce dołączę do moich poległych przyjaciół, czego, jak wiesz, wcale się nie lękam. Jednak na myśl, że pozostawię cię samą, że nie zestarzejemy się razem, choć tak wierzyliśmy w naszą przyszłość, przepełnia mnie rozpacz.

Jeśli umrę przed tobą, będę czekał na ciebie tam, gdzie się znajdę po śmierci. Kiedy już będziesz stara i wypełnią się twoje lata, połączysz się ze swoim mężem z młodości, który z miłością będzie czekał na ciebie. Wiem, że kiedyś to nastąpi.

Jiro

Rozdział 21

Nie minęła godzina od opuszczenia Władywostoku, gdy jadący na północ pociąg wyleciał z szyn. Isamu Iwakuro poczuł nagły przechył lokomotyw i wagonów. Przez całe dorosłe życie pracował jako specjalista od naprawy lokomotyw, więc wiedział.

Wagon, w którym jechał, drugi za lokomotywą, przewrócił się na bok i światła zgasły. Sunął przez dłuższą chwilę, zanim znieruchomiał.

Wewnątrz żołnierze i cywile z bagażem utworzyli bezładną plątaninę.

Ktoś krzyczał.

Iwakuro zdołał wstać i przedostać się nad kilkoma siedzeniami w stronę drzwi. Przez cały czas krzyczał, by ludzie zachowali spokój i nie wpadali w panikę.

Potem nastąpiły wybuchy. Stal i dym wdzierały się do porozrywanych wagonów.

Granaty przeciwczołgowe!

Eksplozje grzechotały jak petardy. Wzdłuż całego pociągu rozlegały się wybuchy granatów. Potem ciemność przeszyły długie serie z broni maszynowej.

Coś uderzyło Isamu w ramię. Przewrócił się. Następny wybuch pozbawił go przytomności.

Kiedy Iwakuro przyszedł do siebie, niczego nie widział. Zanim się ocknął, zapadła noc. Z początku myślał, że jest niewidomy. Ramię krwawiło i bardzo bolało, więc wiedział, że żyje. Przedzierał się między ciałami, szukając wyjścia z wagonu. Wreszcie dostrzegł nieco światła. Odblask dalekiego pożaru.

Jakoś udało mu się wyczołgać przez dziurę w podłodze, bo wagon leżał na boku.

Po prawej, z dala od lokomotywy, płonął jeden z wagonów towarowych.

Iwakuro odpełzł od pociągu. Kiedy znalazł się o pięćdziesiąt metrów, usiadł i spróbował obwiązać płaszczem ramię.

Siedział w trawie pojękując cicho, kiedy ktoś strzelił mu w plecy.

Został brutalnie odwrócony. Ktoś zaświecił mu latarką w twarz.

Potem ktoś złapał go za włosy i wbił nóż w kark. Isamu Iwakuro nabrał powietrza, by krzyknąć, lecz skonał, zanim zdołał wydać jakikolwiek dźwięk.

Minutę później mężczyzna, który zastrzelił Iwakuro, skończył odcinać mu głowę. Wrzucił ją do worka z sześcioma innymi. Otrzymał rozkaz obcinania głów wszystkim Japończykom, na jakich się natknie.

Dwieście mil na wschód od Honsiu „Admirał Kołczak", na głębokości peryskopowej, rozwijał sześć węzłów, płynąc kursem 195 stopni. Przez główny peryskop Paweł Saratow widział pusty widnokrąg morza i nieba.

Po dokładnym sprawdzeniu horyzontu, polecił opuścić peryskop. Nawigator pochylił się nad mapą, kiedy dołączył do niego kapitan.

– Jak szybko mamy się posuwać, komandir! – spytał nawigator przyjętym na okręcie podwodnym cichym, przytłumionym głosem.

– Chcę przez cały czas utrzymywać baterie maksymalnie naładowane – odparł Saratow, odruchowo przyjmując sposób mówienia nawigatora. – Jeśli chcemy mieć jakąkolwiek szansę ucieczki przed patrolami Japończyków, musimy zachować zdolność długiego przebywania pod wodą.

– Znajdujemy się w samym środku prądu. Zrobilibyśmy lepiej, kierując się na południowy wschód, niż na południowy zachód.

– Zostańmy tu, w samym środku. I bez pośpiechu.

– Czy naprawdę sądzicie, że nas szukają?

– Możesz założyć się o co chcesz.

– Jakie mamy plany, komandir! – Wołkow pochylił się nad stołem.

– Nie mam żadnych planów. Czekam na rozwój wypadków.

– Jakich wypadków?

– Bóg raczy wiedzieć. Zobaczymy.

– Co chcecie zobaczyć, Saratow? – zagrzmiało w małym pomieszczeniu. Z tyłu stał Jesienin. Jak zwykle trzymał pudełko: szarą, metalową skrzynkę o wymiarach siedem i pół na dwanaście i pół, o grubości dwóch i pół centymetra. Nie rozstawał się z nią, odkąd okręt zanurzył się przy wyspie Trojan.

– Chcę zobaczyć, czy uda się nam opuścić wody japońskie pozostając przy życiu.

– Nie bądźcie takim pesymistą. Trafia się wam niepowtarzalna okazja zrobienia czegoś wielkiego dla ojczyzny.

– Wam, generale, może i tak. Moi ludzie już dokonali czegoś dla Rosji.

– Tylko bez niesubordynacji – warknął Jesienin. – Ja tu jestem starszy rangą.

– Tym okrętem dowodzę ja, i proszę o tym nie zapominać.

Jesienin popatrzył w oczy ludziom zebranym w centrali. Potem odwrócił się w stronę Saratowa.

– Nie igraj ze mną.

W nocy pojawił się P-3. Pierwszy usłyszał go operator sonaru. Oficer pełniący wachtę zawołał Saratowa, który leżał w swojej kajucie, usiłując zasnąć. Samolot znajdował się o dwie mile na południe i leciał na wschód.

– Leci według wzorca poszukiwania – powiedział nawigator.

– Zapewne – zgodził się Saratow. – Powstaje tylko pytanie, czy znajdujemy się wewnątrz czy na zewnątrz rejonu poszukiwań.

Odgłos samolotu ucichł. Po kilku minutach napięcie wśród zespołu pełniącego wachtę opadło. Ludzie zaczęli uśmiechać się do siebie. Jesienin ulokował jednego ze swych uzbrojonych żołnierzy piechoty morskiej w centrali dowodzenia. Żołnierz usiłował nie wchodzić nikomu w drogę, lecz w tak małym pomieszczeniu nie było to możliwe. Wciąż musiał odsuwać się na bok.

Saratow przyjrzał mu się. Mógł mieć dwadzieścia pięć lat, mówił niewiele i najwyraźniej nie za bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje. Czy rzeczywiście był z piechoty morskiej? A może z innej formacji? Najwyraźniej nigdy przedtem nie był na morzu.

P-3 wrócił. Znajdował się jakąś milę na północ za okrętem podwodnym i zmierzał na zachód.

– Jesteśmy wewnątrz schematu poszukiwań – odezwał się nawigator.

– Trzymać kurs. Za dziesięć minut przetniemy jego schemat. Będzie szukał za naszą rufą.

Udało się. Jednak pierwszy oficer i nawigator wyglądali na zaniepokojonych.

O północy Saratow polecił podnieść chrapy, lecz pierwszy oficer nie był przekonany.

– Komandir, P-3 może wykryć głowicę chrap radarem.

– Musimy podładować akumulatory, Wołkow. Jeśli nie zrobimy tego teraz, nigdy nie zdołamy wpłynąć do ujścia zatoki i wydostać się stamtąd.

Wołków przygryzł wargi, lecz powtórzył szefowi rozkaz podniesienie chrap.

Sprzyjało im szczęście, po upływie pół godziny okręt znalazł się w strefie szkwału. Duże fale i deszcz maskowały głowicę chrap. Kołysanie okrętem, znajdującym się tuż pod powierzchnią, budziło jedynie uśmiech załogi. Wiedzieli, jak ostro dmie na górze.

Saratow, obserwowany przez milczącego Jesienina i jego majora, wypił filiżankę herbaty w mesie. Potem poszedł do swej kabiny i wyciągnął się na koi.

Nie mógł zasnąć. Oczyma wyobraźni wciąż widział polujące na nich samoloty i niszczyciele.

Kręciły się tam i z powrotem...

Operator sonaru ostrzegł o P-3 na sześćdziesiąt sekund przedtem, zanim samolot przeleciał nad okrętem. Oficer wachtowy natychmiast polecił schowanie chrap i przejście na napęd elektryczny. Samolot minął ich i po piętnastu sekundach zaczął zawracać.

– Mają nas – rzekł oficer wachtowy. – Zawołajcie dowódcę.

Saratow usłyszał to idąc przejściem.

– Zanurzenie czterdzieści metrów – rozkazał, kiedy szef zameldował o wyłączeniu silników diesla. – Ster lewo na burt aż do kursu jeden – zero – zero.

– Jest ster lewo na burt. Nowy kurs jeden – zero – zero. Do pomieszczenia dowodzenia wszedł Jesienin.

– Pławy akustyczne w wodzie! – zawołał w tym momencie operator sonaru. Zaczął wyliczać namiary i przypuszczalne odległości. Nawigator nanosił dane.

– Szefie, cisza na okręcie.

– Rozkaz. Prędkość?

– Trzy węzły. I zejdziemy głębiej. Siedemdziesiąt metrów.

– Dziobowe stery w dół, rufowe w górę – rozkazał szef.

Miczmani przy sterach potwierdzili.

Saratow spojrzał na zegarek. Kilka minut po trzeciej nad ranem.

– P-3 robi kolejną rundę. Wygląda na to, że leci wprost na nas.

– Informuj mnie na bieżąco.

– Leżymy równo na kursie jeden – zero – zero.

– Schodzimy głębiej, szefie. Sto metrów. Informować mnie, kiedy miniemy termoklinę.

– Tu musi być termoklina – mruknął do siebie oficer dyżurny. – To jest Prąd Japoński.

– P-3, dokładnie nad nami.

Kątem oka Saratow zauważył, że Jesienin przygląda mu się w napięciu. Stojący za nim major wyglądał na przestraszonego.

– W lewo na nowy kurs. Zero – cztery – pięć.

– Zanurzenie sto metrów, komandir.

– Dajcie na sto pięćdziesiąt.

– Rozkaz, sto pięćdziesiąt.

– Jak tu jest głęboko? – spytał nawigatora major, który nawet nie pofatygował się, by to sprawdzić.

– Dziesięć kilometrów. Jesteśmy nad Rowem Japońskim.

– Co się stanie, jeśli nie zdołamy zgubić samolotu?

– Wrzucą samonaprowadzającą torpedę do wody. – Nawigator spojrzał na majora i uśmiechnął się. – Wtedy zginiemy.

– Dwieście metrów – rozkazał Saratow.

Po przekroczeniu stu siedemdziesięciu metrów temperatura wody zaczęła rosnąć. Oficer wachtowy zauważył to i zameldował.

– Na jaką głębokość może zanurzyć się ten okręt? – spytał pierwszego oficera major.

– Teoretycznie na dwieście metrów.

Kapitana ominęła ta konwersacja. Założył drugi komplet słuchawek sonaru i, zamknąwszy oczy, skupił się na dźwiękach.

Kadłub okrętu zaskrzypiał pod wpływem zmiany temperatury lub ciśnienia na tej głębokości. Saratow tego nie słyszał. Skoncentrował się całym swym jestestwem na plusku i szmerach otwartego

morza. O, tak... słychać też warkot śmigieł. Otworzył oczy i popatrzył na wskaźnik sonaru, informujący o kierunku najsilniejszego sztucznie wytworzonego dźwięku. Wrogi samolot przeleciał tuż nad nimi.

Plusk! Pława akustyczna. Albo torpeda.

– Głębiej, szefie. Jeszcze pięćdziesiąt metrów.

– Rozkaz, komandir.

Więcej pław akustycznych. Oddalają się. Widocznie P-3 nie namierzył okrętu. Szukają czegoś, co już mieli, a im uciekło.

– Myślę, że nas zgubili, szefie. Teraz usiłują znowu nas znaleźć. Utrzymać kierunek, głębokość i prędkość.

W pomieszczeniu dowodzenia rozległo się westchnienie ulgi. Saratow zdjął jedną słuchawkę i zwrócił się w stronę Jesienina.

– A te ładunki przyspawane na pokładzie, jakie ciśnienie są w stanie wytrzymać?

– Nie wiem.

– Wkrótce się okaże – powiedział Paweł Saratow. – O wszystkim opowiemy, kiedy wrócimy do domu – dodał i z powrotem założył słuchawki.

Atsuko Abe przeczytał wiadomość od agenta Ju i parsknął z niedowierzaniem.

– Mamy w to uwierzyć?

– Nie możemy zlekceważyć tej informacji – powiedział ostrożnie Cho, minister spraw zagranicznych. – Jeśli istnieje choćby jedna szansa na tysiąc, że Ju ma rację, to jest niedopuszczalne ryzyko.

– Nie mów mi o niedopuszczalnym ryzyku – warknął Abe. Cho był jednym z głównych zwolenników zagarnięcia syberyjskich pól naftowych. Dziś spotkali się w biurze premiera. Zazwyczaj odbywały się tu narady z członkami partii.

Abe potrząsnął dokumentem przed nosem Cho.

– Dwa dni temu Dywizjon Amerykański zestrzelił piętnaście Zero. Generałowie uważają, że uda się nam tam utrzymać, ale to tylko pobożne życzenia. Podstawowym warunkiem inwazji na Syberię było zdobycie przewagi w powietrzu. Teraz ją utraciliśmy.

Cho nie odpowiedział.

– Ubiegłej nocy dwustu cywilów i trzydziestu żołnierzy zginęło w zasadzce zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów od Władywostoku. Partyzanci wymordowali pociąg pełen Japończyków w rejonie uznanym za bezpieczny, dosłownie na naszym podwórku.

Abe poprawił marynarkę i krawat.

– Dziś rano we Władywostoku ich głowy zostały wysypane na ulicy przed kwaterą dowództwa japońskiego. – Spojrzał prosto w oczy Cho. – Mogę zapobiec publikowaniu takich informacji, ale nie mogę powstrzymać przecieków. Szefowie korporacji wiedzą, że ich pracownicy zostali zarżnięci. Żaden Japończyk nie jest bezpieczny na Syberii. Szefowie korporacji domagają się, żebym coś zrobił, zapobiegł dalszym incydentom tego rodzaju.

Cho skłonił się czołobitnie.

– ONZ jest wstrząśnięta i zaczyna potępiać japońską agresję. Kiedy to nie wystarczy, by nas powstrzymać, ktoś zaproponuje bojkot ekonomiczny. Rosjanie działają aktywnie w ONZ. Uśmiechają się, witają się ze wszystkimi i przygotowują się do nuklearnego ataku na Japonię. Są gotowi zrobić wszystko dla zwycięstwa. Pytam cię, czy ty też jesteś gotów, Cho?

– Panie premierze, byłem gorącym orędownikiem inwazji. Wciąż twierdzę, że syberyjska ropa naftowa pozwoli naszemu społeczeństwu na rozkwit ekonomiczny w nadchodzącym stuleciu. Ta ropa

to nasza krew. Jest nam bardziej potrzebna niż innym narodom.

Atsuko Abe położył dłonie na blacie biurka.

– Bez przewagi w powietrzu nie zdołamy zapewnić dostaw dla naszych ludzi na Syberii. Przewaga powietrzna jest najważniejsza. Od niej zależy wszystko.

– Rozumiem, panie premierze – skinął głową Cho.

– Amerykański Dywizjon w Czicie musi zostać zlikwidowany. Generałowie przekonali mnie, że istnieje tylko jeden sposób, by upewnić się, że wszyscy ludzie, maszyny, sprzęt i części zamienne zostaną zniszczone: uderzenie atomowe.

Cho zbladł.

– Sytuacja jest krytyczna! – krzyczał Abe. – Zwyciężymy lub zginiemy. Nie ma innego wyjścia. Stawiamy na szalę wszystko, dosłownie wszystko: nasz rząd, naród, życie nas wszystkich. Czy masz odwagę spojrzeć prawdzie w oczy?

– Takie posunięcie będzie absolutnie nie do przyjęcia przez japońską opinię publiczną – zaprotestował Cho.

– Do diabła z opinią publiczną! – Abe grzmotnął w biurko pięścią. – Opinia publiczna domaga się korzyści z posiadania Syberii. Wielkich rzeczy nie zdobywa się tanim kosztem. Musimy za wszystko zapłacić. Ceną jest atak atomowy na Czitę. Nie dostaniemy Syberii za pół jena mniej.

– Japończycy nie zapłacą takiej ceny.

Abe pomachał raportem Ju.

– Nie proponuję, żebyśmy zrzucili bombę na Moskwę. Ocknij się. To Rosjanie chcą zniszczyć nas bronią atomową!

– Samo użycie broni nuklearnej jest złem, panie premierze. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. Jeśli zaczniemy w Czicie, być może będziemy musieli zaatakować inne cele, z Moskwą włącznie. Kiedy raz się zacznie, gdzie to się zatrzyma, panie premierze?

Atsuko Abe zlekceważył słowa Cho. Udał, że w ogóle tego nie słyszał.

– Z wojskowego punktu widzenia, zniszczenie Amerykańskiego Dywizjonu jest niezbędne. Rosja odpowiada za te samoloty, musi więc ponieść konsekwencje.

– Z całym szacunkiem, ale decyzja nie jest taka łatwa – Cho starannie dobierał słowa. – W 1945 roku Amerykanie użyli bomby atomowej przeciwko Japonii i oskarżyli Japonię o zmuszenie ich do tego. W tej chwili przyznaje pan rację Amerykanom.

– Nie będę się wdawał w spory natury filozoficznej, Cho. Czy dopiero gdy Tokio zniknie w chmurze o kształcie grzyba, zgodzi się pan na użycie broni nuklearnej?

– Nie! Nigdy. Japończycy nigdy nie zgodzą się na użycie broni jądrowej przeciw komukolwiek. Panie premierze, pan był jedynym, który domagał się, by prace nad bronią atomową zachowane były w tajemnicy, zabronił informowania o tym opinii publicznej.

– A kto im powie, że jej użyliśmy?

Milczenie.

Abe zajął się ustawianiem drobiazgów na biurku.

– Maleńka bombka, osiem do dziesięciu kiloton, elegancko załatwi sprawę. Zaatakujemy za pomocą samolotów, więc ludzie od rakiet nie będą o niczym wiedzieli. Amerykański Dywizjon w Czicie zniknie z powierzchni ziemi. Rosjanie zrozumieją, że dalszy opór jest bezcelowy. Syberia będzie nasza. Organizacja Narodów Zjednoczonych uzna fakty dokonane – jak zawsze. Japońscy żołnierze przestaną ginąć, ropa trafi do naszych rafinerii, bogactwa naturalne zasilą nasz przemysł. Nasz naród, nasi rodacy, rozkwitną.

– Uprzedzam, że to wcale nie będzie takie łatwe.

– To jest jedyne wyjście, jakie nam zostało! – krzyknął Abe. – Musimy mieć tę ropę! Cho postanowił nie krzyczeć.

– Japonia nam tego nigdy nie wybaczy – upierał się.

Atsuko Abe zmusił się do wygodnego usadowienia się w fotelu.

– To zwycięzcy piszą historię – odezwał się, kiedy nieco ochłonął. – Rosjanom mógł się przydarzyć atomowy wypadek w Czicie. Takie rzeczy zdarzały się im już w innych miejscach. Zgodnie z informacją Ju, ukryli broń jądrową przed międzynarodową komisją do spraw rozbrojenia, zatem pogwałcili traktaty, które sami podpisali. Teraz zamierzają użyć tej broni przeciwko Japonii. To prawda, do której dojdzie każdy, kto będzie zadawał właściwe pytania.

Abe wymierzył w Cho palec wskazujący.

– Wiesz, że próbowaliśmy wielokrotnie załatwić tę sprawę na drodze dyplomatycznej. Kaługin odmówił podjęcia jakiejkolwiek dyskusji. Kategorycznie. Rosjanie nagłaśniają incydent w Zatoce Tokijskiej, ciesząc się z apokaliptycznej masakry niewinnych ludzi. To nas stawia w kłopotliwej sytuacji. Naród japoński jest wściekły.

Popchnął palcem leżącą przed nim na biurku wiadomość od Ju.

– Czas dać tym draniom pokosztować ich własnego specjału.

– Jakie samoloty przeniosą ładunki?

– Zero.

– Zero nie spisały się ostatnio najlepiej. W tym cały szkopuł. A co będzie, jeśli się nie przedrą?

– To spróbujemy czegoś innego. Zrobimy, co jest konieczne.

Podczas porannej odprawy Jack Innes powiedział prezydentowi o informacji dostarczonej wczoraj w Moskwie jednemu z agentów CIA przez uliczną sprzątaczkę, jedną z tych starych kobiet, które brzozowymi miotłami zamiatają ulice.

Potem wręczył prezydentowi tłumaczenie.

Rząd rosyjski wydał rozkaz przeprowadzenia ataku jądrowego na Japonię. Okręt podwodny przewozi właśnie cztery wyjątkowo silne głowice nuklearne na dno Zatoki Tokijskiej, gdzie zostaną zdetonowane celem wywołania trzęsienia ziemi i fali tsunami. Jeżeli z jakichkolwiek powodów atak okrętu podwodnego nie powiedzie się, Kaługin szykuje się do powietrznego ataku atomowego na Tokio.

– Czy to wiarygodne? – spytał prezydent.

– My w to wierzymy, panie prezydencie. Jak pan zapewne słyszał, kilku starszych specjalistów od spraw rosyjskich twierdzi, że Rosja nie zniszczyła swego całego potencjału nuklearnego.

– Ja również w to nie wierzyłem – przyznał Hood. – Lecz jeśli nawet oszukiwali, to z każdą zniszczoną głowicą było o jedną mniej.

– Notka informuje nas, że okręt podwodny już wypłynął w morze, więc zeszłej nocy próbowaliśmy znaleźć go na obrazie satelitarnym. – Innes zgasił światła i na ekranie za sobą wyświetlił duże powiększenie. – To jest komputerowo przetworzony obraz północnego fragmentu Oceanu Spokojnego, uzyskany z radarów i czujników podczerwieni. – Innes wskaźnikiem laserowym wskazał miejsce na ekranie. – Tutaj, jak nam się zdaje, widniał ślad chrap spalinowo – elektrycznego okrętu podwodnego.

– Rosjanie raczej użyliby do tego celu okrętu o napędzie atomowym.

– Bez wątpienia, gdyby tylko taki mieli. Atak na Zatokę Tokijską przeprowadził okręt podwodny o konwencjonalnym napędzie.

– Gdzie jest teraz ten okręt? – Hood skinął w stronę ekranu.

– Kiedy porównaliśmy wczoraj dane, okręt podwodny znajdował się jakieś sto osiemdziesiąt mil

od Honsiu i zmierzał na południowy zachód, jest bardzo blisko głównego szlaku żeglugowego.

– Czy to jedyny okręt podwodny w tym rejonie? – spytał prezydent.

– Nie, sir. japończycy mają dwa swoje w morzu. – Innes odwrócił się w stronę mapy i włączył wskaźnik. – Jeden patroluje zatokę Sagami, drugi północne wejście do Morza Japońskiego. Wszystkie japońskie okręty podwodne mają napęd spalinowo – elektryczny.

– A gdzie są nasze okręty?

Innes nałożył pozycje amerykańskich okrętów na obraz.

– Tutaj, panie prezydencie. Hood przez chwilę masował czoło.

– Normalnie – rzekł wreszcie – potrzebowałbym potwierdzenia z różnych źródeł, zanim cokolwiek bym przedsięwziął. To jest wyjątkowo delikatna sprawa. A w dodatku Kaługin jest do tego zdolny. Wciśnie guzik.

– Czy pamięta pan raport, jaki otrzymaliśmy w ubiegłym tygodniu od naszego wojskowego attache w Moskwie? Rozmawiał z marszałkiem Gładyszewem. Marszałek powiedział, że Rosjanie próbują podjąć walkę.

– Pokojowe negocjacje z Japończykami nie wystarczą Rosji – zgodził się Hood. – Jednak atomowa eskalacja konfliktu, to cholerna głupota. Prezydent rąbnął pięścią w stół.

– Ten dupek, Abe! Wojna jądrowa. Cóż, powinniśmy zawiadomić o tym Japończyków. Może uda się im zatopić ten okręt.

– Tak, sir.

– Potem wezwij do mnie rosyjskiego i japońskiego ambasadora. Jeszcze dziś. O tej samej porze. Stanowczo zażądaj ich stawienia się. Odbędę z nimi małą pogawędkę. I skontaktuj się z Kolegium Szefów Sztabów. Może będą mieli jakiś pomysł.

– Czy rozważa pan ewentualność wojskowej współpracy z Japonią w celu pokrzyżowania zamiarów ataku?

– Owszem. Tymczasem chciałbym się dowiedzieć, jaki użytek ludzie z NORAD potrafią zrobić ze swoich satelitów. Zobacz, czy mogą uzyskać niezależne potwierdzenie tej informacji.

Hood wstał i jeszcze raz przyjrzał się satelitarnemu obrazowi chrap rosyjskiego okrętu podwodnego.

– Niezbyt podoba mi się koncepcja pomagania Japończykom – powiedział. – Posiali wiatr i teraz huragan prawie ich dosięga. Jednak nie widzę innego wyjścia. Jeśli atomowy dżin wymknie się z butelki, nie wiem jak potem będzie wyglądał świat. Nikt zresztą tego nie wie. Wolałbym się nigdy nie dowiedzieć.

W Czicie Grigorij Czernow, ciągnąc ze sobą tłumacza, ruszył na poszukiwanie Boba Cassidyego. Zastał go w pokoju odpraw, zajętego przeglądaniem zdjęć satelitarnych, które w zaszyfrowanej formie zostały przesłane z Kolorado.

Czernow zerknął na zdjęcia opatrzone klauzulą ŚCIŚLE TAJNE, po czym całą uwagę skupił na Amerykaninie.

– Pułkowniku Cassidy, chcę podziękować za żywienie mnie i moich ludzi.

– Wyjeżdżacie?

– Tak. Otrzymaliśmy rozkaz przeniesienia bazy do Irkucka nad jezioro Bajkał. Samoloty odlatują dzisiaj. Siły lądowe wyjadą jutro.

– Miło nam było gościć was w kantynie.

– Amerykanie mają najlepszą kuchnię na świecie, z wyjątkiem oczywiście Francuzów. Przez całe lata nie chciałem w to wierzyć. Teraz mogłem się przekonać.

Cassidy roześmiał się. Porozmawiali przez kilka minut o niczym, wreszcie pożegnali się. Cassidy

ze szczerym żalem spoglądał w ślad za odchodzącym Rosjaninem. Pomyślał, że major Czernow byłby chlubą każdych sił powietrznych.

Kiedy znów usiadł nad zdjęciami satelitarnymi, zaczął się zastanawiać, czemu dywizjon Su został stąd wycofany. Oczywiście, Zero były za dobre dla Su-27, ale kiedy F-22 trzymały Zero w szachu, Suchoje mogły być użyteczne przy atakach na cele naziemne.

Cóż, nikt nie pytał go o zdanie. Tak już pewnie zostanie do końca wojny. Ten koniec wymagał przeprowadzenia dziś wieczór ataku na bazę Zero w Chabarowsku. Znów zabrał się do wyznaczania kierunków nalotu.

Iwan Ilin wziął ze sobą dwóch ludzi, wybierając się do, mieszczącego się w starej centrali KGB na placu Dzierżyńskiego, działu innowacji technicznych, zwanego „pokojem Jamesa Bonda". Tu były przechowywane, wydawane i zwracane po użyciu akcesoria szpiegowskie. Człowiek, który tym zarządzał, znany był, oczywiście, jako Q. W przeciwieństwie do brytyjskiego pierwowzoru z filmów, rosyjski Q był gruby, utykał i przez większą część dnia drzemał nad aktami. We wszystkich kątach narastał nie ścierany latami kurz.

Q. dostał tę synekurę przed laty. Dziś spoglądał spode łba na Ilina i dwóch towarzyszących mu mężczyzn, którzy przeciskali się między półkami pełnymi urządzeń podsłuchowych i magnetofonów w stronę małego biurka, przy którym urzędował.

– Dzień dobry, Q – odezwał się miłym tonem Iwan Ilin.

– Tak? – spytał powściągliwie Q.

– Garść informacji. Słyszałeś o usiłowaniu zabójstwa prezydenta?

Q wyglądał na zdumionego.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie sądzicie chyba...

– My nic nie sądzimy. Przyszliśmy zadać kilka pytań. Gdzie są zapiski o wydawaniu sprzętu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

– O tutaj, w tej książce. – Q poderwał się usłużnie. Wyciągnął księgę i otworzył ją na chybił trafił. – Jak widzicie, moje metody przechowywania danych są wyjątkowo proste. Wciągam je w tę kolumnę...

– Gdzie są klucze?

– Nie możecie otrzymać kluczy. Rozumiem, że mam pokazać wam wszystko, co chcielibyście zobaczyć, ale nie mogę...

– Klucze. – Ilin wyciągnął rękę.

Miał kamienny wyraz twarzy. Jego dwaj towarzysze wychylili się z obu stron, tak by mogli widzieć Q i żeby on ich widział. Q otworzył szufladę biurka. Wyjął z niej pęki kółek z mnóstwem kluczy.

– Inwentarz.

– Jaki inwentarz?

– Nie róbcie ze mnie głupca – warknął Ilin. – Nie mam na to czasu ani cierpliwości. Powtarzam. Gdzie jest księga inwentarzowa wyposażenia znajdującego się w tym Wydziale?

– Ale... Inwentarz jest stary, towarzyszu. Nie był od dawna uzupełniany. To...

– To oczywiste, Q, że masz inwentarz, bo tego wymaga regulamin. Sprawdzę, i jeśli go nie ma, aresztuję cię.

Q. omal nie zemdlał.

– Te czarne segregatory na półce – pokazał. – Rozumiecie, że nie pozwalam ludziom w nich grzebać, wyposażenie służbowe stanowi tajemnicę państwową.

– Rozumiem doskonale, a teraz jeśli łaska, pozwól z tymi panami. Mają do ciebie parę pytań.

Q przybrał teatralną pozę.

– A jeśli pod moją nieobecność zgłosi się ktoś z zamówieniem?

– Kramik zostaje zamknięty, aż do twojego powrotu. No, jazda. – Jeden z mężczyzn złapał Q. za ramię.

Kiedy wyszli, Ilin zamknął za nimi drzwi na klucz.

Ilin bywał tu, rzecz jasna, przez te wszystkie lata, lecz nigdy nie miał okazji dobrze rozejrzeć się w tym miejscu. Nie wiedział, co Q tu zgromadził. Tym bardziej gdzie to trzyma. Usiadł przy biurku i otworzył segregatory. Tak jak podejrzewał, były do niczego. Nikt nie aktualizował ich od dwudziestu lat. Wciąż jednak istniała pewna zależność pomiędzy literami i cyframi z inwentarza, a pozycjami w księdze Q.

Każdy przedmiot wyszczególniony w księdze miał przypisane jedno lub dwu – wyrazowe określenie, literą, cyfrę, sygnaturę, datę i tak dalej.

Ilin przestudiował te opisy. Przyjrzał się kluczom. Klucze zostały uporządkowane zgodnie z alfabetem. Kółko z literą ‚A", następne z literą „B" i tak dalej.

Zaczął rozglądać się wokół. Zbiory Q zajmowały większą część piętra. Jedenaście pokoi wypełnionych regałami, skrzyniami i szafkami, a wszystko pozamykane. Całość przypominała muzealne piwnice, wypełnione zbiorami nie wystawianymi w salach wyżej.

Przechodząc z pokoju do pokoju, sprawdzał zawartość skrzyń i szafek z księgą w ręku. Q. nigdy nie zinwentaryzował tych materiałów, bo nie chciał, by ktokolwiek prócz niego wiedział, co się tu znajduje. Dzięki temu był niezastąpiony.

Broń wypełniała dwa pokoje, podobnie jak urządzenia podsłuchowe. Kto by pomyślał, że istnieje tyle rodzajów pluskiew?

Iwan Ilin stracił godzinę, zanim znalazł to, czego szukał. Sześć sztuk leżało w małej szufladce zabytkowego sekretarzyka z początków dynastii Romanowych. Polerowane drewno sprzed trzystu lat wyglądało jak nowe.

Sprawdził księgę. Żaden z tych przedmiotów nie został w niej wymieniony. Ilin obejrzał je po kolei. Każdy został opatrzony metką z datą. Wybrał ten najświeższy.

Wrócił do biurka Q, odłożył księgę na półkę, a klucze do szuflady. Wymieszał je, by żaden nie znalazł się na swoim miejscu.

Czy bezpiecznie będzie pozostawić Q przy życiu?

To było zasadnicze pytanie i zastanawiał się nad nim poważnie. Jeśli ten człowiek zacznie gadać z niewłaściwymi ludźmi...

Może wystarczy go aresztować. Zamknięto ostatnio setki ludzi. Jeden więcej nie zrobi różnicy. Wiedział, że kiedy to się skończy, naje się jedynie strachu razem z innymi. Istniało przy tym pewne ryzyko, ale wydawało się niewielkie, a Ilin nie chciał mieć nowej krwi na rękach. Krew zmywało się coraz trudniej.

Ile krwi warta jest głowa Kaługina?

Ilin opuścił „pokój Jamesa Bonda", gasząc za sobą światło i zamykając drzwi na klucz. Wjechał windą na swoje piętro i poszedł do sąsiedniego biura. Jego ludzie trzymali tam Q.

– Do celi z nim. Zatrzymać do dalszych przesłuchań.

Q. zemdlał. Jeden z agentów chlusnął mu wodą w twarz. Kiedy Ilin wychodził z pokoju, Q płakał.

Był to jeden z tych nielicznych letnich wieczorów, kiedy chmury kłębią się coraz wyżej, a wciąż nie nadchodzi burza. Niskie słońce znad zachodniego horyzontu malowało piętrzące się obłoki na czerwono, różowo, pomarańczowo i żółto. Ziemia ciemniała coraz bardziej.

Bob Cassidy prowadził swoją czwórkę F-22 doliną Amuru w stronę japońskiej bazy w

Chabarowsku. Lecieli nisko, trzysta metrów nad rzeką, nieznacznie przekraczając prędkość dźwięku. Na wschodzie i zachodzie widać było lśniące purpurowo szczyty gór otoczonych wianuszkiem chmur. Niżej gęstniał mrok.

Dwa F-22 uzbrojone były w pociski przeciwradarowe, by zniszczyć wszystkie czynne radary na zachód od Chabarowska. Z tyłu trzymały się kolejne dwa myśliwce. Dowodził nimi Joe Malan, którego zadaniem było wykrycie i zaatakowanie nieprzyjacielskich samolotów w powietrzu.

Wcześniej tego wieczoru Cassidyego chwycił gwałtowny atak torsji i bał się, że nie będzie mógł lecieć. Znów zaczął myśleć o Jiro i Słodkiej Sabrinie, co wywołało u niego fizyczną reakcję. Lekarz dał mu coś na uspokojenie żołądka.

– Wydaje mi się, że to jest problem natury psychicznej – zauważył przy tym, co wywołało gwałtowną replikę ze strony Cassidy'ego, czego Bob zresztą natychmiast mocno pożałował. Przeprosił lekarza, ubrał się szybko i poszedł do samolotu.

Wszystko odbywało się jak w zegarku. Dwie cysterny powietrzne, lecące z Adaku na Aleutach, spotkały się z myśliwcami w przewidzianym czasie sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Zeji. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, kolejne spotkanie odbędzie się za sześćdziesiąt cztery minuty, gdy osiem bojowych maszyn będzie uzupełniało paliwo, by móc wrócić do Czity. Gdyby do tego nie doszło – cóż, ośmiu pilotów czeka długi spacer.

Cassidy jak zwykle był niespokojny. Przygotował się najlepiej, jak potrafił. Skrzydłowi znajdowali się na wyznaczonych pozycjach, dane z satelity pokazywały obraz taktyczny, samoloty leciały równo, „inteligentne" pokrycie i główne uzbrojenie były włączone, światełka ostrzegawcze nie dawały znaku.

Na niebie nie było ani jednego samolotu wroga.

Przekaz satelitarny musiał coś pochrzanić. Znowu.

– Miejcie oczy szeroko otwarte – powiedział Cassidy kodowaną linią. Być może nie musiał, ale czuł taką potrzebę.

Może powinien użyć radaru? Tylko jeden impuls? Jeżeli nieprzyjaciel nadal nie wiedział, że nadlatują, z pewnością dowiedziałby się, kiedy impuls z radaru Cassidyego rozbłyśnie na urządzeniach przeciwdziałania elektronicznego.

Czterdzieści kilometrów. Samoloty rozerwały szyk, ustawiając się na liniach nalotu. Celem dzisiejszego ataku były nieprzyjacielskie maszyny i urządzenia do tankowania: cysterny, zbiorniki i pompy.

Gdzie są Japończycy?

Czy uda się przyłapać ich na ziemi?

Myśliwiec zadygotał, gdy Cassidy skręcił w stronę bazy, lecąc z prędkością tysiąca czterdziestu kilometrów na godzinę, ponad siedemnaście kilometrów na minutę. Jego celem miał być rząd Zero parkujących dwa dni temu przed największym hangarem w bazie.

Jest hangar! Przesunął drążek, korygując kurs o parę stopni. Palec stężał na spuście. Na próżno. Nie było samolotów.

Plac był pusty, kiedy przelatywał sto osiemdziesiąt metrów nad nim.

– Nie ma żadnych Zero – odezwał się któryś z pilotów. A może to zasadzka? Może Zero czaiły się w pobliżu, by dopaść F-22? Albo właśnie dolatywały do Czity!

– Ostrzelać hangary i urządzenia do tankowania – polecił pilotom Cassidy. – Uważajcie na artylerię przeciwlotniczą i rakiety.

Zawrócił szeroką pętlą i poleciał w stronę Chabarowska. Tory prowadziły wprost na stację.

Pociąg!

Wcisnął spust... strumień pocisków przeszył po kolei cały skład.

Boże, tam są ludzie, żołnierze, uciekają, rozbiegają się, z lokomotywy buchnął płomień i gęsty dym.

Wykonał kolejną szeroką pętlę, nerwowo wypatrując obrony przeciwlotniczej i poleciał wzdłuż rzeki. Zobaczył kolejny pociąg, tym razem zmierzający na południe, w stronę Władywostoku. Zaatakował go od tyłu, szpikując pociskami wszystkie wagony.

Cały samolot drżał. W mroku nawet przyćmiony blask z lufy świecił jak reflektor. Rozbłyski zamieniały się w obłoczki kurzu, gdy pociski trafiały w wagony, po pięćdziesiąt na sekundę. Potem puścił spust, wbił się wyżej i wykonał drugi nalot.

Wystrzelał wszystkie naboje do pociągu. Z satysfakcją zauważył, że dwa wagony eksplodowały, a jedna z lokomotyw wykoleiła się.

Wracając w stronę miasta, wezwał przez radio swoich skrzydłowych, polecając im połączenie się w powrotnej drodze do Czity.

Gdzie są te Zero?

Rozdział 22

„Admirał Kołczak" płynął wolno dwieście metrów pod wodą w kierunku wejścia do zatoki Sagami. Paweł Saratow siedział w centrali dowodzenia z drugim kompletem słuchawek sonaru na uszach. Co pół godziny słyszał słaby odgłos silników turbośmigłowych. To P-3 polowały na jego okręt. Co do tego nie miał wątpliwości.

Jesienin wciąż wchodził i wychodził z centrali dowodzenia. Widocznie sprawdzał swoich ludzi na całym okręcie. Wszyscy mieli broń boczną i drugą. Zupełnie, jakby mieli zamiar użyć swego arsenału w tej stalowej trumnie. Jednak marynarze zrozumieli przesłanie: piechota morska była tu po to, by dopilnować, że marynarka spełni żądania Jesienina. Saratow dawno już to zrozumiał.

Oczywiście, generał miał przy sobie mały metalowy pojemnik zawieszony na szyi Saratow, nasłuchując odgłosów samolotów i okrętów wojennych, zastanawiał się nad jego zawartością.

Kiedy rozważył wszystkie możliwości, zaczął zastanawiać się, co też myślą sobie jego marynarze. Patrzył na ich twarze i próbował dosłyszeć ich szepty, ale niewiele mu to dało. Zatłoczony okręt podwodny nie sprzyjał swobodnym rozmowom dowódcy, nawet z własnymi oficerami. Bez wątpienia odpowiadało to Jesieninowi, bo w każdym pomieszczeniu ulokował przynajmniej jednego swojego człowieka.

Wszyscy wiedzieli, dokąd płyną i w jakim celu. Pierwszego dnia rejsu Saratow oznajmił to załodze przez system nagłaśniający.

Teraz wszyscy przygryzali wargi, paznokcie, pocierali twarze i wydawali się nieobecni duchem. Brak śmiechu, żartów i dobrodusznych kpinek nie uszedł uwadze Saratowa. Nie przeoczył również, że marynarze zerkają na żołnierzy piechoty morskiej spod oka, taksują, przymierzają się, zastanawiają...

Wieczorem Wołkow przyniósł kapitanowi metalowy talerz wypełniony kawałkami chleba, ziemniaków i gotowanych w kwaśnym sosie plasterków buraków. Kiedy Saratow jadł, pierwszy oficer pokazał mu mapę.

– Jesteśmy tutaj, komandir, pięćdziesiąt mil od wejścia do zatoki.

Saratow skinął głową i nałożył sobie więcej ziemniaków.

– Czy chce pan, żebyśmy wystawili chrapy?

Saratow potwierdził skinieniem głowy.

– Zanim wejdziemy do zatoki – powiedział, gdy już przełknął – przynajmniej raz jeszcze musimy wystawić chrapy na parę godzin. Podejmujemy poważne ryzyko. Nad nami jest port, okręty, samoloty...

– Nie wystarczy nam obecny poziom naładowania akumulatorów?

– Nie, jeśli mamy zamiar wydostać się stąd żywi.

– Kiedy?

– Tej nocy.

– Mieliśmy szczęście. Osłona z termokliny...

– Stracimy osłonę z termokliny, kiedy wyjdziemy z Prądu Japońskiego.

– Racja – mruknął Wołkow i spojrzał na ręce. Przez chwilę patrzył, jak kapitan je, i wyszedł.

Jack Innes składał raport prezydentowi Hoodowi w sypialni Białego Domu. Prezydent właśnie wkładał smoking.

– Kolejne niezdrowe przyjęcie – rzekł ponuro Hood, zakładając pas z jedwabiu. – Chciałbym mieć dolara za każde, w którym uczestniczyłem przez ostatnie trzydzieści lat.

– Japończycy wysłali wszystko, czym dysponują, przeciwko temu okrętowi.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiemy.

Hood popatrzył na Innesa pytającym wzrokiem.

– Dopóki nie wynurzy się na głębokość peryskopową, nie możemy namierzyć go czujnikami z satelitów. Teraz na oceanie wokół Japonii szaleje sztorm. Mógł ukryć się pod jego osłoną.

– Jak długo okręt podwodny tego typu może pozostawać w zanurzeniu?

– Pytałem ekspertów, panie prezydencie. Sto siedemdziesiąt pięć godzin przy prędkości dwóch węzłów.

– Ponad siedem dni?

– Tak jest. Jednak okręt musi poruszać się tak powoli, że praktycznie jest nieruchomy. Kiedy już ścigający będą mieli ogólne pojęcie, gdzie znajduje się okręt podwodny o napędzie konwencjonalnym, łatwo będzie go wytropić i zażegnać niebezpieczeństwo. Skoro mowa o Rosjanach, to zaprzeczają, że okręt na zdjęciu satelitarnym należy do nich.

Hood mocował się ze spinkami.

– A należy?

– Uważamy, że tak, lecz równie dobrze może być japoński.

– Albo chiński, koreański, egipski lub irański... Wygląda na to, że wszyscy mają całą flotę tych cholernych okrętów.

– Rosjanie wystosowali odpowiedź na wczorajszą konferencję, która odbyła się w Departamencie Stanu. Kreml zaprzecza jakoby miał zamiar użyć broni jądrowej przeciwko Japonii, czy komukolwiek. Utrzymują, że to pomyłka.

– Mam nadzieję, że sami jej nie popełnią – rzekł porywczo Hood.

– Poważnym pytaniem jest, co szykują Japończycy. Wycofali Zero z Chabarowska do Władywostoku. Nasz zwiad satelitarny nie wie dlaczego.

– To cholerne szczęście, że Japończycy nie mają broni jądrowej – powiedział Hood, spoglądając na Innesa.

– Szef CIA twierdzi, że nie mają.

– Cóż, Abe zagroził Kaługinowi użyciem broni atomowej w odpowiedzi na rosyjskie ultimatum. W takim razie Abe jest najlepszym pokerzystą na świecie albo dyrektor CIA doszczętnie skapcaniał.

– Abe nie jest typem człowieka lubiącego blefować.

– Czyżbym nie dostał raportu wywiadu, w którym czarno na białym przeczytałem, że japończycy są w stanie opanować technologię wytwarzania broni jądrowej?

– Tylko jeden z analityków widzi taką możliwość. Wszystkie autorytety w CIA nie zgadzają się z nim.

– Odszukaj tego analityka. Przyprowadź go do hotelu, w którym odbywa się przyjęcie. Dajcie mi znać, kiedy już tam będzie.

– Tak jest, sir.

„Admirał Kołczak" potrzebował godziny, by z dwustu metrów wynurzyć się na głębokość peryskopową. Mój Boże, pada deszcz, pomyślał Saratow, patrząc przez peryskop bojowy. Ulewa. Szkwał. Niczego nie widać przez peryskop, ani nie słychać sonarem. I kto mówi, że nie ma Boga?

Załoga podniosła chrapy i uruchomiła diesle, które, wprawiając kadłub w wibracje, rozpędziły okręt do dziesięciu węzłów. Wzburzone morze nad nimi lekko kołysało okrętem. Paweł Saratow siedział z zamkniętymi oczami.

– Tym razem nas dopadną, komandir – rzekł cicho, prawie szeptem sonarzysta. Paweł udawał, że nie słyszał uwagi miczmana, a ten miłosiernie jej nie powtórzył.

– Technologiczna przewaga, którą zapewnili Rosjanom Amerykanie, musi zostać zniwelowana, zarówno w powietrzu jak i na ziemi. Dywizjon stacjonujący w Czicie zostanie zniszczony, a F-22 przestaną stanowić zagrożenie.

Japoński oficer, który wygłosił te słowa, był dwugwiazdkowym generałem. Krótko ostrzyżone, ciemne włosy przyprószyła mu siwizna. Nosił nieskazitelny mundur i wyglądał niezwykle dystyngowanie.

Trzech spośród czwórki pilotów Zero skinęło posłusznie głowami. Czwarty, Jiro Kimura, wstrzymał się. Pomimo szczerego oddania, natychmiast pomyślał o Bobie Cassidym, gdy tylko generał wspomniał o bazie F-22.

Generał najwyraźniej nie zwrócił uwagi na powściągliwość Kimury, podobnie jak zajmujący pozostałe miejsca majorowie i pułkownicy.

– Przybywam prosto z odprawy na najwyższym szczeblu w Ministerstwie Obrony w Tokio. Pragnę podkreślić, że to był nawet więcej niż najwyższy szczebel. Wszyscy tu obecni zdają sobie sprawę, że przewaga w powietrzu jest podstawowym warunkiem zapewnienia ciągłości zaopatrzenia naszych wojsk, cywilnych techników oraz zespołów roboczych na Syberii podczas tej zimy. Bez tego... cóż, bez zapewnienia sobie przewagi, sprawa jest bardzo prosta: albo wycofamy stamtąd nasze siły, albo wszyscy zginą z głodu i zimna w przeciągu miesiąca. Więcej, brak przewagi w powietrzu stawia pod znakiem zapytania nawet możliwość wycofania naszych sił z Syberii. Mówiąc szczerze, jeśli Japonia nie zneutralizuje skutków technologicznego wsparcia, jakie Rosja otrzymała od USA, przegramy wojnę. Skutki, jakie mogłoby to przynieść narodowi japońskiemu, są wręcz niewyobrażalnie przerażające.

– Panowie, zagrożona jest egzystencja naszego narodu – kontynuował generał. – W związku z tym na najwyższym szczeblu została podjęta decyzja o użyciu broni jądrowej przeciwko bazie w Czicie.

W ciszy, która zaległa w pokoju, Kimura słyszał bicie swego serca. Nie wiedział, że Japonia dysponuje bronią jądrową. Nie przyszło mu to nigdy do głowy. Widok skamieniałych twarzy świadczył, że ta wiadomość jest dla wszystkich szokiem.

– Uprzedzam, że istnienie tej broni jest tajemnicą państwową – rzekł nieco pompatycznie generał. – Użyjemy broni o małej sile rażenia, około dziesięciu kiloton, choć do końca nie jesteśmy pewni jej mocy, ponieważ nigdy nie zostały przeprowadzone próby.

Jeden z pilotów siedzących przy stole podniósł rękę. Generał udzielił mu głosu.

– Panie generale, rodzice mego ojca zginęli, kiedy Amerykanie zrzucili bombę na Nagasaki. Nie mogę i nie chcę zrzucać bomby atomowej na kogokolwiek. Złożyłem taką przysięgę, zanim wstąpiłem do armii. Wymógł ją na mnie ojciec.

Generał skinął lekko głową w jego kierunku.

– Możesz opuścić pokój – powiedział.

Generał spojrzał na pułkowników. Dowódca skrzydła Zero, pułkownik Nishimura, podniósł się z krzesła pod ścianą i przysiadł się do stolika Jiro.

Jiro Kimura nie wiedział, co począć. Zaschło mu w ustach, nie był zdolny wydusić słowa. Słyszał, co mówiono, widział zebranych, lecz siedział jak skamieniały, przytłoczony grozą przebywania tu, uczestniczenia w tym wszystkim.

Generał odwrócił się i pokazał wszystko na wiszącej za nim mapie. Cztery samoloty, cztery bomby, jeden musi się przedrzeć. Dowództwo i plan taktyczny opracuje najstarszy rangą pilot, pułkownik Nishimura.

Na tym wszystko się skończyło i Jiro szedł razem z innymi pilotami. Nogi niosły go same. Zobaczył jak zbliżają się do niego drzwi wejściowe, potem schody, wreszcie znalazł się na trawniku i zwymiotował.

Za pierwszym razem Saratow nie był pewien, czy dobrze słyszy. Docisnął słuchawki do uszu i wsłuchał się pilnie. W nocy udało mu się przespać kilka godzin, teraz znów siedział w centrali i, patrząc jak sonarzysta bada dane ukazujące się na ekranie komputera, słuchał dźwięków w drugiej parze słuchawek.

P-3 był gdzieś w okolicy. Warkot jego silników stawał się natarczywy. Z nim zmieszało się coś... Tak. Pikanie. Ledwo dosłyszalne. Bardzo odległe.

– Komandir... – odezwał się siedzący kilka kroków dalej w swej maleńkiej przegródce operator sonaru.

– Ja również to słyszę – mruknął Saratow.

Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, po czym wstał i podszedł do mapy.

– Gdzie dokładnie jesteśmy? – spytał nawigatora.

– Tutaj, komandir – pokazał nawigator.

– Jeśli zostaniemy na tym kursie, czy wejdziemy do głównego kanału?

– Tak jest.

– Poproście generała Jesienina do centrali.

Jesienin, mimo że nie kąpał się od opuszczenia wyspy, świeży i ogolony, wyglądał niczym polityk z Moskwy.

Saratow zdjął słuchawki i wręczył je generałowi.

– Posłuchajcie.

– Słyszę – odezwał się po chwili Jesienin. – Coś brzęczy.

– To P-3. Szuka nas. Słyszycie coś jeszcze?

– Chyba tak – odparł po namyśle Jesienin. – Dzwoni sonar?

– Niszczyciel, prawdopodobnie u wejścia do głównego kanału. Wysyła wysoko – tonowe dźwięki i nasłuchuje echa odbitego od twardych przedmiotów, takich jak choćby okręt podwodny.

– Ale my słyszymy te dźwięki i możemy go ominąć.

– Proszę spojrzeć na mapę. Niszczyciel jest dokładnie tu. Gdzieś bliżej lądu stałego powinien znajdować się japoński okręt podwodny. Będzie wsłuchiwać się w echo odbite od naszego okrętu, lecz sam będzie zbyt daleko, byśmy mogli uchwycić jego echo. Czy pan to rozumie?

– Tak. – Jesienin oddał kapitanowi słuchawki. – Co chce pan przez to powiedzieć?

– Zastanawiam się, jak bardzo tajne jest pańskie zadanie zatopienia połowy Japonii.

– Czy sugeruje pan, że był jakiś przeciek?

– Niczego nie sugeruję. Stwierdzam jedynie, że Japończycy są doskonale przygotowani na nasze przybycie. Zupełnie jakby ktoś im o tym powiedział.

– Mamy swoje rozkazy. Musimy je wypełniać. Zatem jak pan zamierza dostarczyć nas tam?

– Nie wiem.

– Niech pan coś wymyśli, kapitanie. Musi pan nas uratować, żebyśmy mogli spełnić nasz obowiązek.

Saratow włożył z powrotem słuchawki i wrócił na swój fotel. Słuchał pisków sonaru i zaczął wpatrywać się w mapę leżącą na oddalonym o dwa metry stole nawigacyjnym.

Inni ludzie również rozmawiali o swoich obowiązkach.

– Pułkowniku Nishimura, nie sądzę, bym miał wystarczająco wojowniczego ducha do wykonania tego zadania.

– Kimura, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie chce użycia broni jądrowej. Robimy to, bo taki jest nasz obowiązek wobec narodu.

– Rozumiem, pułkowniku. Wszyscy mamy ten obowiązek. Dlatego tej misji mógłby podjąć się ktoś inny.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że to mówisz, Kimura. Ta uwaga jest obraźliwa.

– Nie chciałem być nieuprzejmy.

– Jesteś japońskim oficerem. Zostałeś wybrany do tego zadania, ponieważ odniosłeś największe sukcesy w walce z F-22. Twoje doświadczenie jest niezastąpione.

– To prawda, wciąż żyję, a inni zginęli. Prawdą też jest, że udało mi się zestrzelić kilka F-22. Obie te rzeczy były możliwe, ponieważ włożyłem noktowizyjny hełm z wyposażenia załogi śmigłowca, co pozwoliło mi dostrzec nieprzyjaciela. Byłem jedynym pilotem, który tak zrobił. Proponowałem również to innym, z pułkownikiem Handą włącznie, który odmówił, ponieważ nie zaakceptowały tego wyższe instancje.

– No tak, pułkownik Handa, biurokrata do szpiku kości. To do niego podobne.

– Ocalałem tylko dlatego, że włożyłem hełm.

– Wszyscy biorący udział w misji otrzymają takie urządzenia – odparł Nishimura – Przerobiliśmy je tak, żeby można było doczepić je do naszych hełmów, co pozwoli nam korzystać z masek tlenowych.

– Zatem mnie nie potrzebujecie – upierał się Jiro. – Chciałbym przekazać zaszczyt wykonania uderzenia w imię narodu jednemu z moich kolegów.

Pułkownik opanował się z trudem.

– Masz doświadczenie. Jako jedyny. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Wymaga tego od ciebie honor i poczucie obowiązku. Zagrożona jest przyszłość naszego narodu.

– Saito został usprawiedliwiony. Proszę o obdarzenia mnie taką samą łaską.

– Czy ty również składałeś taką samą przysięgę jak Saito?

Kimura spuścił głowę.

– Nie, panie pułkowniku – przyznał.

– To, kim jesteś – rzekł z namaszczeniem pułkownik – zawdzięczasz Japonii, narodowi japońskiemu, który dał ci życie, wykarmił cię i wykształcił, aż stałeś się tym, kim jesteś. Twoje zobowiązanie nie może zostać anulowane ani umniejszone.

– Mam również inne zobowiązania – mruknął Kimura.

– Nie zamierzam tego dalej roztrząsać ani do tego wracać – uciął pułkownik.

– Panowie, sytuacja wygląda następująco. – Paweł Saratow popatrzył po stłoczonych w centrali dowodzenia oficerach. Był też oczywiście Jesienin. – Nad nami węszą P-3. Nie mogą nas znaleźć, bo jesteśmy schowani pod warstwą termokliny, którą zapewne niedługo opuścimy. Nadal będziemy płynąć wolno w głębokim zanurzeniu, a oni, wciąż wisząc nad nami, będą odczytywać wskazania detektorów anomalii magnetycznych.

Saratow skupił uwagę wszystkich.

– Przed nami w odległości trzydziestu mil znajduje się okręt wojenny, nieprzerwanie emitujący sygnały sonaru. Jest to zapewne niszczyciel lub fregata wspomagana dwoma śmigłowcami wyposażonymi w zanurzane hydrolokatory. Kiedy podpłyniemy bliżej, usłyszymy śmigłowce. Gdzieś w pobliżu okrętu wojennego jest na pewno okręt podwodny. A może nawet dwa i więcej. Głęboko zanurzone, nasłuchują w ciszy. Podejrzewam, że jeden schował się po drugiej stronie niszczyciela, lecz może być wszędzie. Rozważyłem wszystkie warianty. Jeżeli schowamy się pod frachtowcem, zdradzi nas odbite echo. Na to się właśnie przygotowali. Stanęliśmy w obliczu charakterystycznego dylematu klasycznego okrętu podwodnego. Jeżeli popłyniemy prędko, przedwcześnie wyczerpiemy akumulatory i będziemy zmuszeni wystawić chrapy w zatoce Sagami, co byłoby równoznaczne z popełnieniem samobójstwa. Jeżeli ruszymy powoli, oszczędzając energię elektryczną, stracimy masę czasu i zdamy się na łaskę pływu. Trzy węzły utrzymują nas praktycznie w miejscu, a kiedy zacznie się przypływ, rozwiniemy zaledwie sześć. Niestety, to wszystko, na co nas stać. Pozostaje nam jedynie bezczelność. Kiedy za dwie godziny zacznie się przypływ, zbliżymy się do niszczyciela i wystrzelimy dwie akustycznie naprowadzane torpedy. Prawdopodobnie wyrzucą pozoratory. Jedno z dwojga, trafimy albo nie. Niezależnie od wszystkiego, narobimy niezłego zamieszania. To, mam nadzieję, pozwoli nam przekraść się do zatoki Sagami.

– Nie ma pan żadnego planu – odezwał się z dezaprobatą Jesienin.

– Może pan tak twierdzić – przyznał Saratow. – My tylko wykorzystujemy nadarzającą się okazję. Nieprzyjaciel musi dokładnie zidentyfikować cel przed oddaniem strzału. My nie musimy. Wszystko wokół stanowi nasz cel. Z drugiej strony, możemy zdziałać tylko tyle, na ile pozwolą nam akumulatory.

Nikt się nie odezwał.

– Poruszamy się bardzo powoli, jednak czas nas nagli – dodał Saratow – Musimy dostać się do zatoki, zanim nadciągną kolejne siły ZOP. Wewnątrz pozostanie tylko znaleźć uskok i osiąść na dnie. Są jakieś pytania?

Spoglądały na niego brudne, nieogolone i spocone twarze, choć wewnątrz okrętu nie było wcale gorąco. Nie to spodziewali się usłyszeć.

– Generale Jesienin?

– A co będzie, jeśli torpeda nie trafi w niszczyciel?

– Wówczas, panie generale, obaj doświadczymy naszej pierwszej bomby głębinowej. Słyszałem, że to bardzo bogobojne przeżycie.

– Muszę przyznać, Saratow, że masz jaja.

Miczmani i oficerowie spojrzeli po sobie, starając się zachować kamienną twarz. Saratow dobrze wiedział, co myślą, tylko że obok stał Jesienin...

– Czy zamierza pan wynurzyć się na głębokość peryskopową?

– Musimy strzelać z tej głębokości.

Wraz z pierwszym oficerem i nawigatorem pochylił się nad mapą.

– Nasze torpedy mają zasięg dziesięciu mil. Musimy znaleźć się bliżej, jednak na tyle daleko, by nas nie wykryli. Hałaśliwe zachowanie załogi niszczyciela i zmiany kierunku pozwolą nam

zorientować się co do jego prędkości i kursu, a zatem określić względną pozycję i odległość. Nawigator i sonarzysta – zacznijcie przygotowywać wykres. Uważam, że niszczyciel krąży według pościgowego schematu. Sądzę, że najlepszym manewrem z naszej strony będzie podejść do nich od strony morza i strzelić, kiedy torpedy będą miały najkrótszy dystans do przebycia.

Wołkow pokiwał głową.

– Pierwszy, zalać cztery wyrzutnie i otworzyć drzwi zewnętrzne.

– Rozkaz, komandir.

Saratow włożył słuchawki i wrócił na swoje miejsce. Zerknął na zegarek.

– Panie prezydencie, analityk wywiadu czeka w limuzynie.

David Herbert Hood przeprosił zebranych, uścisnął ręce najważniejszych gości siedzących przy głównym stole i skierował się do hotelowego westybulu. Tam znów uścisnął jeszcze więcej rąk, potem poszedł do limuzyny, która miała odwieźć go do Białego Domu.

Analityk okazał się młodą kobietą, w dodatku bardzo zdenerwowaną. Nosiła dżinsy i tenisówki.

– To jest Deborah Buell, panie prezydencie.

– Miło mi panią poznać. Przepraszam, że wyrwałem panią z domu w sobotę. Analityczka zapewniła go, że nic takiego się nie stało.

– Jakiś czas temu napisała pani raport stwierdzający, że Japonia może dysponować bronią nuklearną. Pamięta go pani?

– Oczywiście, panie prezydencie. To było kilka miesięcy temu.

– Skąd taka możliwość przyszła pani do głowy?

– Moja sekcja zajmuje się analizą ekonomicznej sytuacji innych krajów. Uderzył mnie fakt, że pokaźne sumy wydawane przez rząd Japonii nie dają się zaksięgować w normalny sposób. Wydawało mi się, że mają ogromne wydatki pozabudżetowe. Zaczęłam więc szukać tych pieniędzy w innych sektorach japońskiej ekonomii. Przodujące technicznie firmy radzą sobie doskonale, więc trudno było mi uwierzyć, że dofinansowania wymaga produkcja na potrzeby cywilne. Streszczając się, doszłam do wniosku, iż Japończycy muszą mieć jakieś nielegalne programy zbrojeniowe. Dysponują przy tym technologią pozwalającą na zbudowanie bomby atomowej. Napisałam więc w raporcie, że mogą już ją mieć – nielegalne programy były tak tajne, że rząd nie przyznawał się do ich istnienia.

– A co przełożeni sądzili o pani wnioskach?

– Uważali, że nie mam wystarczająco dużo dowodów. Mimo to zgodzili się, acz niechętnie, na włączenie ich do raportu, zastrzegając, że są jedynie hipotetyczne.

– Na pewno dużo pani myślała na ten temat.

– Owszem, panie prezydencie. Przeprowadziłam nawet dalsze badania. Jednak wciąż niczego nie mogę udowodnić.

– Ale upiera się pani przy swojej opinii. Taka możliwość istnieje.

– W moim przekonaniu, tak.

– Pani Buell, dziękuję, że poświęca pani czas na tę rozmowę. Kiedy przyjadę do Białego Domu, limuzyna odwiezie panią do pani auta. Roześmiała się nerwowo.

– Cieszę się, że ktoś czyta te raporty, panie prezydencie. Ludzie w biurze myślą, że wszystkie wędrują przez komin do wielkiego archiwum w obłokach.

– Rzeczywiście tam trafiają, ale dopiero kiedy je przeczytam.

– Panie prezydencie, nie chciałabym pana zanudzać, ale tego lata w kręgach wywiadu krążyła niepotwierdzona pogłoska, że Japończycy dysponują operacyjną bronią atomową. To była tylko plotka i nikt nie mógł stwierdzić, skąd się wzięła. Wkrótce potem Japonia dokonała inwazji Syberii.

Wydaje mi się więc możliwe, że to sami Japończycy rozpuścili tę plotkę, żeby zniechęcić Rosjan do użycia potencjału atomowego w samoobronie.

Prezydent przyjrzał się dziewczynie długim, uważnym spojrzeniem. Wysiadł z limuzyny.

– Dziękuję – powiedział.

– Co Japończycy robią w sprawie tego okrętu podwodnego? – spytał Innesa, gdy szli korytarzami Białego Domu.

– Mają co najmniej cztery samoloty i sześć jednostek nawodnych przeszukujących obszar pomiędzy ostatnią znaną pozycją okrętu a wejściem do Zatoki Tokijskiej. Ktoś z dowództwa ich marynarki powiedział naszym ludziom, że japończycy obawiają się powtórki z rafinerią w Yokosuka. Nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za podobną katastrofę.

– A jeśli nie chodzi wcale o Zatokę Tokijską?

– To właśnie ich niepokoi. Wszystkie jednostki, które zostały na ich wodach, szukają okrętu podwodnego po wschodniej stronie wysp. Tymczasem okręt może okazać się zwykłą zasłoną dymną. Rosjanie mogą szykować coś spektakularnego we Władywostoku.

– Co Abe mówi o tym wszystkim?

– Powiedział ambasadorowi Hanratty'emu, że jeśli Rosjanie wciąż mają broń nuklearną, to okłamywali wszystkich przez całe lata.

– To ma być ta nowina?

– Chcę, żeby w konflikt syberyjski włączona została Organizacja Narodów Zjednoczonych. Powtórzył swoje żądanie, żeby Rada Bezpieczeństwa udzieliła Japonii mandatu na działanie w charakterze obrońców rdzennych mieszkańców Syberii, zapewniła rozwój tego regionu i sprzedawała ropę naftową po cenach światowych.

– Nigdy tego nie uzyska – powiedział prezydent, sadowiąc się na krześle za biurkiem w Gabinecie Owalnym.

– Prawdopodobnie o tym wie. Stara się jedynie zachować jasne stanowisko.

– I co pan o tym sądzi?

– Myślę, że zarówno Rosja jak i Japonia zostały przyparte do muru. Wojna wymknęła się im spod kontroli. Wkrótce na pewno coś się wydarzy.

W cztery godziny po naradzie w centrali dowodzenia "Admirał Kołczak" znalazł się na ustalonej pozycji. Rozwijał prędkość manewrową – około jednego węzła, akurat tyle, żeby utrzymać sterowność i zmierzał na północny wschód w kierunku wejścia do zatoki Sagami. W tym czasie nad nimi przepłynęło pięć statków. Sądząc po odgłosach, były to frachtowce wchodzące i wychodzące z zatoki. Wojna wojną, a interes handlowy kręcił się nieprzerwanie.

Ze swego fotela stojącego tuż za boksem sonarzysty, Paweł Saratow dokładnie widział mapę. Wręcz zaglądał nawigatorowi przez ramię, mógł więc dostrzec wszystkie namiary, linie i małe trójkąciki.

Okręt podwodny zbliżał się do kursu niszczyciela pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kiedy niszczyciel oddalał się, odgłos śrub stawał się wyraźniejszy. Na ten hałas skieruje się torpeda. Jedno uderzenie tego potężnego zabójcy okrętów w zupełności wystarczy. Cała sztuka polegała na tym, żeby trafić.

Saratow wsłuchiwał się uważnie od pięciu godzin, próbując namierzyć wrogi okręt podwodny. Co najdziwniejsze, wcale nie czuł zmęczenia. Był zbyt podniecony.

Musiał przygotować plan na każdą ewentualność. Wołkow przeprowadził odprawę z torpedystami i mechanikami, upewniając się, że wszyscy wiedzą, czego się od nich spodziewa.

W całym tym zamieszaniu miczman Lichaczew zajrzał przez wejście do centrali dowodzenia,

rozejrzał się, nawiązał kontakt wzrokowy z kapitanem i wyszedł.

Dwie godziny wcześniej Saratow odbył naradę z Jesieninem.

– Jak dokładne są wskazania pozycjonera satelitarnego? – spytał Jesienin.

– Dla dokładnego pomiaru powinniśmy wynurzyć się i zaktualizować dane z satelity. Jednak jest to kwestia co najwyżej kilku metrów.

– To nam wystarczy – rozchmurzył się Jesienin.

– Tak.

– Moi ludzie będą w pogotowiu, kiedy dotrzemy do uskoku.

– Czy są doświadczonymi nurkami?

– Wierzcie mi, wiedzą, co mają robić. Ja wyjdę pierwszy.

– Jak pan sobie życzy.

– Macie na pokładzie nurka Specnazu.

– Owszem, miczmana Lichaczewa.

– Muszę z nim porozmawiać. Nie sądzę, że jest sprawdzony politycznie.

– Nie słyszałem tego określenia od lat.

– Wiem, co mam na myśli. Potrzebuję człowieka, któremu mógłbym zaufać.

– Zgodnie z moim najgłębszym przekonaniem, Lichaczew nie zgłosi się na ochotnika. Nie myślcie, że rzucam cień wątpliwości na umiejętności zawodowe tego człowieka, panie generale. Lichaczew jest doskonale wyszkolony i zasłużył na medal podczas akcji w rafinerii Yokosuka. Zasługuje na uznanie.

– Bez wątpienia – odrzekł Jesienin i zmienił temat.

Obecnie tamta rozmowa wydawała się mieć miejsce w zupełnie innym świecie. Teraz istniał wyłącznie okręt posuwający się powolutku do przodu pośród hałasu śrub i głosów morza. No i dzwonienie: ping... ping... ping... Saratow siedział z zamkniętymi oczyma, wsłuchując się w tę orkiestrę.

Gdzieś w pobliżu były inne okręty podwodne. Saratow czuł ich obecność.

– Strzelamy za pięć minut, komandir – odezwał się pierwszy oficer.

Jesienin grał w kości życiem wszystkich osób na pokładzie. Zamierzał rozmieścić cztery ładunki nuklearne i zamordować dziesięć milionów osób. Nawet jeśli poczwórny wybuch nie wystarczy do wywołania tsunami, ogniste kule wydostaną się na powierzchnię, spopielając nadmorskie miasteczka i spowodują straszliwe fale pustoszące znaczne obszary.

– Trzy minuty, komandir.

Słyszał jak zawraca niszczyciel, jego potężne śruby mielące wodę... To był najbliższy punkt, cztery mile. Jeśli "Admirał Kołczak" ma pozostać nie wykryty, muszą strzelić teraz.

Jesienin najwyraźniej nie rozumiał, że użycie broni atomowej przeciwko Japończykom ułatwi zastosowanie jej przeciwko Rosjanom. Pewnie uważał, że to problem Kaługina. Ludzi z Moskwy. Z Kremla. Tamtych ludzi.

Niszczyciel wciąż robił zwrot. Wysokość tonu śrub zmieniła się wraz ze zmianą kąta.

– Dwie minuty.

– Jesteśmy gotowi?

– Tak jest.

– Sonar, słyszycie coś jeszcze?

– Nie, komandir.

– Jedna minuta.

Niszczyciel położył się na nowym kursie, oddalając się od "Admirała Kołczaka". Przy prędkości

dziesięciu węzłów co sześć minut pokonywał milę. Okręt podwodny, płynąc z prędkością jednego węzła, praktycznie tkwił nieruchomo w wodzie. Śruby ledwie się obracały, wyłączono wszystkie zbędne urządzenia elektryczne. Nawet wentylatory.

– Pierwsza wyrzutnia, ognia.

Saratow usłyszał syk sprężonego powietrza, wyrzucającego torpedę z rury, a potem jej śrubę.

Zadbał o to, by wyciszyć słuchawki. Torpeda nie była cicha.

Kiedy odgłos śruby osłabł, powoli podkręcił regulator głośności na maksymalny poziom.

Czas potrzebny na dotarcie torpedy do celu wynosił sześć i pół minuty. Zapewne operator sonaru na niszczycielu wychwycił odgłos zbliżającej się torpedy i zameldował o tym dowódcy, który prawdopodobnie rozkazał wystrzelić pozoratory. Jeżeli załoga była dobrze wyszkolona, pozoratory znajdą się w wodzie na czas.

Saratow zdjął słuchawki, widząc że sekundowa wskazówka odliczyła pełną minutę od chwili, kiedy pierwsza torpeda znalazła się w wodzie.

– Wyrzutnia numer dwa, ognia.

Gdy wypuścił drugą torpedę, zmagał się z chęcią, by rozpędzić okręt do maksymalnej szybkości i przemknąć koło niszczyciela, który wkrótce będzie bardzo zajęty. Ryzyko było jednak zbyt wielkie. Saratow rozkazał przyśpieszyć do pięciu węzłów i zmienić kurs o sześćdziesiąt stopni w prawo, by opuścić akwen, z którego strzelał. Doświadczony dowódca zespołu do zwalczania okrętów podwodnych powinien mieć w pobliżu śmigłowiec, który natychmiast zanurzy hydrolokator.

Saratow skręcił o sześćdziesiąt stopni na sterburtę po wystrzeleniu torped, ponieważ ten kurs prowadził wprost do wejścia do zatoki Sagami. Nie wiedział jednak, że obierając ten kurs skierował "Admirała Kołczaka" wprost na japoński okręt podwodny „Akashi".

Operator sonaru na pokładzie „Akashi" usłyszał torpedy i złożył meldunek.

– Szybko obracające się śruby. Kierunek dwa – jeden – zero stopni.

– Jaka odległość?

– Kilka mil – odparł sonarzysta.

Na nieszczęście ani on, ani dowódca okrętu nie potrafili określić celu, do którego zmierzały torpedy. Przy wystarczającej ilości czasu można byłoby stwierdzić odchylenie od ich pozycji w prawo bądź w lewo. W przeciwnym razie oznaczałoby to, że torpedy płyną kolizyjnym kursem w stosunku do nich.

Japoński dowódca potrzebował czasu, którego nie mieli. Gdyby torpedy zostały wycelowane w nich, powinien zlokalizować wroga aktywnym sonarem, wystrzelić w odpowiedzi torpedy, wyrzucić pozoratory i spróbować uciec zbliżającej się torpedzie. Jeśli jednak torpedy zmierzały w stronę niszczyciela, zdradzenie własnej pozycji przez włączenie aktywnego sonaru nie było konieczne. Ani rozsądne.

Japończyk był świadom dalekiego zasięgu rosyjskich torped i to zaważyło na podjętej przez niego decyzji. Doszedł do wniosku, że rozpętała się strzelanina, jego okręt jest zagrożony, a on nie będzie tracił czasu na badanie odchylenia kursu od jego pozycji, bo pewnie takiego nie ma. Z drugiej strony, na powierzchni znajdowały się w pobliżu dwa frachtowce. Rząd nie zgodził się na zamknięcie tego akwenu dla statków cywilnych. Przed odpaleniem torped kapitan musiał upewnić się co do celu.

– Zalać wyrzutnie pierwszą i drugą, otworzyć drzwi zewnętrzne. Zwrot w lewo o sześćdziesiąt stopni i pełna prędkość – rozkazał oficerowi wachtowemu.

Sygnały sonaru rozległy się w wodzie w tej samej chwili, gdy „Akashi" zaczął przyśpieszać.

Na pokładzie "Admirała Kołczaka" Saratow i sonarzysta jednocześnie usłyszeli sonar i odgłos śrub.

– Szybko – powiedział do sonarzysty. – Namiar.
– Zero – jeden – zero. Okręt podwodny.
– Ustawić wyrzutnię numer trzy na naprowadzanie akustyczne.
– Jest naprowadzanie akustyczne.
– Dziesięć stopni w prawo.
– Jest dziesięć stopni w prawo.
– Wyrzutnia numer trzy, ognia.
– Torpeda poszła, komandir.

Obaj operatorzy sonaru na pokładzie „Harukaze", japońskiego niszczyciela pełniącego wartę w rejonie pomiędzy wyspą Oshima i półwyspem Tateyama, tworzącymi wejście do zatoki Sagami, usłyszeli charakterystyczny dźwięk małej, szybko obracającej się śruby, gdy pierwsza z torped „Admirała Kołczaka" znajdowała się o cztery minuty od okrętu. Komputery potwierdziły ich doznania słuchowe: torpedy. Natychmiast zameldowali o tym fakcie swemu przełożonemu, oficerowi w centrali dowodzenia, on zaś przekazał tę informację na mostek telefonem bezbateryjnym.

Dowódca „Harukaze" zarządził wystrzelenie pozoratorów. W niespełna sześćdziesiąt sekund trzy z gotowych pozoratorów znalazły się w wodzie. Czwarty, który powinien być wystrzelony najdalej od prawej burty, został w wyrzutni z powodu awarii instalacji elektrycznej.

Podczas gdy grupka marynarzy pod dowództwem bosmana gorączkowo pracowała nad usunięciem defektu, dowódca musiał podjąć decyzję. Czy ma utrzymać dotychczasowy kurs, czy skręcić w lewo, a może w prawo? Postanowił skręcić w prawo, co było logicznie uzasadnione. Po prawej, u wejścia do zatoki, znajdował się japoński okręt podwodny i pociągnięcie wroga w tym kierunku wydawało mu się dobrym rozwiązaniem.

Kapitan wykonał zwrot i okręt leżał już na nowym kursie, kiedy oficer pokładowy zameldował, że jeden z pozoratorów nie daje się odpalić.

Kapitan miał zaledwie parę sekund na zastanowienie, gdy pierwsza torpeda Saratowa trafiła w pozorator, zniszczyła go, choć nie wybuchła i z gwizdem przemknęła obok statku sto metrów za lewą burtą.

Sonarzyści z „Harukaze" nasłuchiwali hałasu śrub i pozoratorów. Utrata jednego pozoratora zmieniła charakterystykę kakofonii. W dodatku odgłos pierwszej torpedy na chwilę zagłuszył wszystko. Komputer wykreślił jej kurs. Chybiła zaledwie o sto metrów!

Sonarzyści uśmiechnęli się do siebie i krzyknęli triumfalnie. Napięcie nieco zelżało.

Młodszy sonarzysta pierwszy wrócił na stanowisko. Zdumiał się, słysząc narastający odgłos szybkoobrotowej śruby. Nie wierząc własnym uszom, zerknął na ekran komputera. Kolejna torpeda! To nie są ćwiczenia. To prawdziwe torpedy!

– Torpeda! – krzyknął i, wpatrując się w komputerową prezentację na ekranie, usiłował uspokoić się na tyle, by wybrać numer oficera taktycznego.

Wielki rosyjski morderca okrętów uderzył w rufę „Harukaze".

Ponieważ woda jest mało ściśliwa, główna siła wybuchu obróciła się przeciwko kadłubowi okrętu. Eksplozja oderwała ster i obie śruby, zgięła wały napędowe i wybiła wielką dziurę w rufowej części „Harukaze".

Okręt zwolnił aż do dryfu i zaczął tonąć rufą.

Do „Akashi" wróciło słabe echo sonaru. Rosyjski okręt podwodny, kierując się niemal prosto na nich, był odległy o trzy mile i zanurzony sto dwadzieścia metrów głębiej niż „Akashi". Echa odbijające się od wznoszącego się dna powodowały zamieszanie na ekranie komputera. W dodatku operator sonaru usiłował określić kurs torpedy, której śrubę słyszał. Był bliski jego ustalenia, gdy

pozoratory z „Harukaze" znalazły się w wodzie i wszystko skomplikowały. Potem dotarła do niego eksplozja „Harukaze". To wszystko również zarejestrował komputer.

Sonarzysta zameldował o eksplozji i kierunku torpedy, odczuwając zarazem ulgę i przerażenie. Ulgę, bo to nie jego okręt stanowił cel, przerażenie, ponieważ został trafiony „Harukaze", którego sonaru słuchał od kilku godzin.

Zdumiał się, słysząc, pośród przerażających odgłosów rozdzieranego metalu i pękających grodzi, dźwięk śruby następnej torpedy. Odruchowo sprawdził kierunek.

– Kolejna torpeda, komandir. Namiar dwa – jeden – zero. Namiar był taki sam jak poprzednich torped, różnił się jednak od azymutu, bo „Akashi" wykonał zwrot o sześćdziesiąt stopni.

– Odgłos śruby robi się coraz wyraźniejszy. Widocznie zeszła z kursu.

– Wystrzelić pozoratory – warknął dowódca.

– Odgłos śrub na stałym kierunku.

– Ludzie, pozoratory! Wystrzelcie je wreszcie!

– Mamy zacięcie, dowódco.

– Maszyny stop.

– Jest, maszyny stop.

– Ster lewo na burt. Sześćdziesiąt stopni.

– Ster lewo na burt – powtórzył sternik w momencie, gdy torpeda z „Admirała Kołczaka" trafiła w rufę okrętu podwodnego i wybuchła.

Rozdział 23

Jack Innes wsunął się za prezydenta, gdy ten celebrował z gośćmi poobiednią kawę i szepnął mu na ucho o wypadkach w zatoce Sagami. Prezydent Hood przeprosił zebranych i wstał od stołu. Podążył za Innesem w stronę wyjścia.

– Niszczyciel i okręt podwodny. Storpedował oba. Z niszczyciela uratowało się zaledwie kilkudziesięciu ludzi. Okręt podwodny przepadł wraz z całą załogą.

– Co on kombinuje?

Prezydent zadał to pytanie w taki sposób, że Innes domyślił się, iż nie czeka na odpowiedź.

– Lepiej porozmawiajmy z przewodniczącym Kolegium. I z sekretarzem stanu. Obaj mężczyźni weszli do Gabinetu Owalnego.

– Czy to ten sam kapitan, który zniszczył port Yokosuka? – spytał prezydent, gdy Innes porozumiał się już z oficerem dyżurnym.

– Zapewne tak. Według CIA, Rosjanom został tylko jeden okręt podwodny klasy Kilo. Nazywa się "Admirał Kołczak".

– Jak nazywa się jego dowódca?

– Paweł Saratow.

– Jeden zdezelowany, stary okręt podwodny...

– Jego dowódca to szczwany lis. Jest na płytkiej wodzie i ma cholerne szczęście.

– Co on chce zrobić?

– Nie wiem, sir.

W godzinę później Hood zadał to samo pytanie członkom Kolegium Szefów Sztabu. Wszyscy ograniczyli się do zgadywania. Hood zmienił temat.

– Dlaczego Japończycy nie znaleźli tego faceta? To przecież przestarzały okręt o napędzie spalinowo – elektrycznym.

– Okręt może być stary i mieć ograniczone możliwości, sir – odparł przewodniczący – ale napęd akumulatorowy jest bardzo cichy. W płytkiej wodzie trudno go wykryć. Komputery mają niezły zgryz z odbitym od dna echem. To musi zająć kilka dni.

– Dlaczego?

– Muszą wystawiać chrapy co dzień lub dwa, panie prezydencie. W ciągu kilku dni dobrze wyszkolona ekipa znajdzie ich.

– Panowie, wrócimy do tego później, najpierw należy odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie. Jakie szkody może wyrządzić Paweł Saratow swoim małym okręcikiem?

– To oczywiste – odparł ktoś – może zatopić mnóstwo okrętów.

– Mógłby dokonać tego wszystkiego bez zapuszczania się do jaskini lwa. Komputerowa grafika pomogła zobrazować im najnowszą sytuację w Zatoce Tokijskiej.

– Niezależnie od tego, co zamierza kapitan Saratow – podsumował przewodniczący Kolegium – musi się śpieszyć. Przed trzema godzinami zatopił niszczyciel dokładnie w tym miejscu. – Pokazał wskaźnikiem laserowym. – Nawet gdyby uciekał stamtąd z prędkością piętnastu węzłów, co jest dla nich zabójczym tempem, oddalił się najwyżej o piętnaście mil. Japończycy mają w tym rejonie cztery niszczyciele i ze wszystkich baz ściągnęli śmigłowce z zanurzanymi hydrolokatorami. Zatem, niezależnie od swoich planów, Saratow i jego załoga mają coraz mniej czasu.

– Panowie – odezwał się prezydent Stanów Zjednoczonych – myślę, że kapitan Saratow transportuje broń jądrową, jak chce jej użyć, nie wiem. Martwi mnie tylko, że Japończycy mogą pokusić się o uderzenie odwetowe, jeśli są w posiadaniu broni nuklearnej.

Milczeli, a prezydent uważnie lustrował ich twarze.

– Przekazaliśmy Japończykom wszystkie posiadane informacje na temat okrętu kapitana Saratowa. Żałuję, że nie zrobiliśmy nic więcej.

– A może, panie prezydencie – zaproponował generał Tuck – powinniśmy zagrozić zarówno Rosji, jak i Japonii odwetem atomowym, jeśli użyją przeciwko sobie broni jądrowej.

Zaległa martwa cisza. Prezydent potarł czoło.

– Nie wiem, czy zdobędę się na to, by wcisnąć guzik – powiedział wreszcie. – Chyba nie mógłbym. Kaługin i Abe są do tego zdolni, ja nie. Będą wiedzieli, że blefuję. Ojciec zawsze mi powtarzał: nie groź bronią, jeśli nie zamierzasz strzelić.

Pochylony nad mapą Saratow mierzył odległość do uskoku tektonicznego, gdy nagle odezwał się sonarzysta:

– Śmigłowiec, komandir. Zdaje mi się, że zawisł.

To mogło oznaczać tylko jedno: śmigłowiec ZOP z zanurzanym hydrolokatorem.

– Cisza na okręcie. Powiedzcie torpedystom, żeby przestali ładować wyrzutnie. Żadnego hałasu.

Saratow zerknął na głębokościomierz. Dwadzieścia pięć metrów. W płytkich wodach zatoki było to maksymalne możliwe zanurzenie.

Przynajmniej akwen był hałaśliwy. Na powierzchni terytorialnych wód Japonii kręciły się łódki rybackie, statki handlowe i szybkie promy. Paweł Saratow włożył słuchawki i zamknął oczy, żeby lepiej skupić się na doznaniach słuchowych. Jego uszy uderzyła fala dźwięków.

Z drugiej strony miał przyspawane do zewnętrznego pokrycia te cztery cholerne pojemniki z bombami. Nawet przy prędkości dwóch węzłów zaczną bulgotać. O braku płytek tłumiących odbicia wolał nie pamiętać.

Śmigłowiec rzeczywiście tam był, sonarzysta miał dobry słuch.

– Zacznij wykreślać namiar. – Klepnął miczmana w plecy.

– Już zacząłem, komandir.

– Dotarcie do uskoku zajmie nam około godziny. Kiedy osiądziemy na dnie, będzie nas trudniej wykryć.

Miczman nie odpowiedział. Znał swój fach i nie wierzył w propagandę.

– Zmienia swoje położenie, jest odrobinkę bliżej.

– Podaj namiar.

– Dwa – sześć – pięć.

– Dwa – sześć – pięć – powtórzył nawigatorowi Saratow, który wykreślił linię na mapie.

– Jeden, czy dwa wirniki? – spytał obsługującego sonar miczmana.

– Chyba jeden.

To znaczy, że śmigłowiec jest względnie mały. Być może nieuzbrojony.

Minęło pięć minut. Nikt w centrali dowodzenia nie odezwał się ani słowem. Wszyscy spoglądali na zawory, wskaźniki i pokrętła, na cokolwiek, byle nie patrzeć sobie w oczy. Saratow pomyślał, że to dziwne, ale w chwilach wielkiego napięcia ludzie unikali kontaktu wzrokowego. Wszyscy nasłuchiwali. Wiadomo było, co chcą usłyszeć. Nic.

– Przerwał zawisł, odgłos zanika. W dodatku zagłusza go jakiś ślizgacz. Do zatoki wchodzi frachtowiec. Jest około mili od nas.

– Zmniejsz czułość – poradził mu Saratow.

– Już ją zmniejszyłem. Tu jest cholernie głośno.

– Dobra, dobra.

Jesienin, który patrzył przedtem na zegarek, teraz miał nieobecny wzrok.

Wewnątrz okrętu panował okropny zaduch. Saratow czuł własny smród.

– Oho, teraz jest tuż nad nami. Zanurzył hydrolokator do wody wręcz nad naszymi głowami.

– Jeden węzeł – polecił Saratow szefowi. Powiedział to tak cicho, że podniósł jeden palec, by upewnić się, że tamten zrozumiał.

Paru marynarzy wstrzymało oddech.

Łopot wirnika, jednostajny dudniący rytm, znów rozległ się w słuchawkach Saratowa. Śmigłowiec był naprawdę blisko.

Odsunął się o kawałeczek. Niewielki.

– Chyba nas mają – zagryzł wargi sonarzysta.

– Nasłuchuj niszczyciela. Ruszy z maksymalną prędkością. Po paru minutach śmigłowiec przesunął się w drugą stronę okrętu.

– Ma nas, komandir – powtórzył sonarzysta z przejęciem. Miał zmienioną twarz. – Naprawdę nas namierzył.

– Nasłuchuj niszczyciela.

Sonarzysta skinął ponuro głową.

– Pierwszy, ile lat mają pociski, które załadowałeś do wyrzutni w kiosku?

– Dwadzieścia, komandir.

– Czy są bardzo podniszczone?

– Niektóre mają ślady korozji na kadłubach, ale instalacja elektryczna była bez zarzutu.

Minęło następne pięć minut. Śmigłowiec znów się przesunął. Napięcie sięgnęło szczytu.

– Gdzie jest teraz?

– Sterburta od strony rufy. Zanurza to świństwo kolejno w każdym kwadrancie.

– Wynurzenie, szefie. Głębokość peryskopowa. Sonar, radar w pogotowiu. Wystawimy kiosk, strzelimy do tego gościa, spuścimy go do wody i damy nura w stronę uskoku. Zróbmy to szybko, zanim facet wyjdzie nam z zasięgu.

Kiedy okręt znalazł się na żądanej głębokości, Saratow podniósł peryskop, żeby zrobić szybki przegląd sytuacji. Nie interesował go śmigłowiec – wiedział, gdzie jest – ale inne okręty wojenne w okolicy. Zatoczył peryskopem pełne koło, zatrzymując się raz na jakieś dwie sekundy, po czym polecił go opuścić.

– No więc dobrze, chłopaki. Jest tam. I zbliża się do nas niszczyciel albo fregata. Wali prosto na nas. Wystawimy kiosk, zwalimy śmigłowiec, potem znów zejdziemy na peryskopową i zatopimy niszczyciel.

– Dlaczego mamy wdać się w walkę z tym okrętem? – spytał Jesienin.

– Usiłuję zapewnić ci jeszcze trochę czasu, cholerny głupcze. A teraz się zamknij!

Kiedy tylko kiosk wynurzył się z wody, odpowiedzialny za uzbrojenie miczman wystawił na oddzielnym maszcie antenę radarową. Wiedział, w którym kwadrancie znajdował się śmigłowiec, i tam poszukał najpierw.

– Ucieka od nas pełnym gazem.

– Radar namierzył cel! – zawołał miczman.

– Odpalić rakiety!

Rakieta przeciwlotnicza wyskoczyła z rykiem z wyrzutni, wzbiła się w powietrze, potem skręciła poziomo w pogoni za śmigłowcem. Saratow wystrzelił jeszcze dwie, zanim na powrót zanurzył okręt.

– Chyba go dorwaliśmy – odezwał się sonarzysta, dociskając słuchawki do uszu.

– Wyrównać na peryskopowej. Zalać wyrzutnie piątą i szóstą, otworzyć drzwi zewnętrzne. Nowy kurs zero – cztery – pięć. Podnieść peryskop bojowy i przygotować się do wzięcia namiaru.

– Śmigłowiec właśnie uderzył w wodę. Słyszę niszczyciel.

– Poczekamy, aż się zbliży.

– Niszczyciel w zasięgu, komandir.

Podczas działań wojennych pod wodą wszystko odbywa się w zwolnionym tempie. W trakcie tego pojedynku na śmierć i życie, szarżujący niszczyciel wydawał się zbliżać nieskończenie długo. Ludzie w centrali dowodzenia ocierali twarze rękawami, sprawdzali wskaźniki i zawory, wycierali wilgotne dłonie o brudne kombinezony i... modlili się.

– Peryskop w górę.

Saratow ustalił kierunek, wyregulował ostrość i opuścił peryskop, który wystawał z wody zaledwie przez pięć sekund. Kiedy znalazł się na dole, pierwszy oficer odczytał odległość z dalmierza.

– Pięć tysięcy sto metrów.

– Zaraz zacznie do nas strzelać – odezwał się któryś z młodszych oficerów.

– Milczeć. Sonar, czy już nas namierzyli?

– Trudno powiedzieć. Jeszcze nie uruchomił swojego sonaru. Myślę, że przeszkadza mu płycizna oraz ten cały ruch cywilny. No i za szybko płynie.

– Módlmy się, żeby nie zwolnił. Nie usłyszy naszej torpedy, dopóki ta nie znajdzie się obok niego.

– Powinien być o trzy tysiące metrów od nas.

– Peryskop w górę.

– Kierunek i odległość zaznaczone, peryskop w dół – pięć sekund.

– Dwa tysiące metrów.

– Wyrzutnia numer pięć, ognia!

– Torpeda poszła.

Jedna mila. Torpeda wyciągała czterdzieści pięć węzłów, niszczyciel mniej... może ze dwadzieścia. Suma zbieżnych kursów dawała pięćdziesiąt pięć. Torpeda dotrze do celu za minutę i kilka sekund.

Dwadzieścia sekund, trzydzieści...

– Peryskop w górę.

Saratow rozłożył rękojeści, kiedy tylko peryskop wysunął się ze studzienki.

– Skręca. Skorygować o piętnaście stopni w lewo w wyrzutni szóstej.

– Jest, piętnaście w lewo.

– Wyrzutnia numer sześć ognia. Peryskop w dół.

Na pokładzie niszczyciela do zwalczania okrętów podwodnych „Fuji" obsada centrum bojowego zdawała sobie sprawę, że znajdujący się przed nimi okręt podwodny jest uzbrojony i niebezpieczny. Ze śmigłowca zdążyli otrzymać ciąg informacji, więc nawet bez uruchamiania sonaru znali położenie "Admirała Kołczaka".

Decyzja o nie włączaniu hydrolokatora była świadomą próbą utwierdzenia dowódcy okrętu podwodnego w mniemaniu, że nie został wykryty. Dowódca „Fuji" rozkazał zwolnić, by umożliwić sonarzystom lepsze warunki nasłuchu. Zgodnie z przypuszczeniem Saratowa, mieli poważne problemy z wyodrębnieniem odgłosów okrętu podwodnego z hałaśliwego tła.

Kiedy obsługujący sonar podoficer zawołał: – Torpeda w wodzie! – oficer taktyczny wydał rozkaz wystrzelenia rakietotorped.

Wyskoczyły z wyrzutni, gdy niszczyciel skręcał w lewo, by uniknąć nadciągającej torpedy. Okręt wykonał zwrot szybciej niż torpeda, która minęła go i chybiła.

Wystrzeliwując ostatnią torpedę Saratow zauważył błysk odpalanych rakiet i zrozumiał, że była to ostatnia chwila.

– Cała naprzód; zwrot w prawo o dziewięćdziesiąt stopni – rozkazał, gdy opuścił peryskop.

Zobaczył wpatrzone w siebie twarze.

– Rakietotorpedy – wyjaśnił, gdy sonarzysta zameldował uderzenie o wodę.

Druga torpeda weszła pod kil niszczyciela i wybuchła, odrywając dziób. Odgłosy wody wdzierającej się do wnętrza i pękających grodzi były słyszalne gołym uchem. Mężczyźni w centrali dowodzenia zaczęli wiwatować, gdy okręt otrzymał potężny cios.

– Sterburta, komandir. Trafienie w kadłub zewnętrzny. Tak, przedziurawiony.

Szef błyskawicznie wydawał rozkazy. Dziurawy zbiornik został szybko zidentyfikowany. Do sąsiadujących wpompowano powietrze, by zapobiec utracie wyporności, a w konsekwencji uderzeniu okrętu o dno zatoki.

W tym czasie Saratow studiował mapę. Z pomocą linijki wykreślił kurs do uskoku i polecił zmienić kierunek. Czuć było lekki odór fekalii. Komuś puściły zwieracze. Może nawet kilku osobom.

Uczepiony grodzi generał Jesienin nie spuszczał z oka Pawła Saratowa.

– Mogło być gorzej – stwierdził filozoficznie Wołkow.

– Wszyscy zginiemy – powiedział pośród ogólnego zamieszania sonarzysta.

Leżący w Centralnej Azji Irkuck stanowił obdrapany, niechlubny pomnik biurokratycznej głupoty i nieudolności, a jednak zdumiewał nowych przybyszów swym malowniczym położeniem. Przepiękne wody jeziora Bajkał, na którego brzegu rozciągało się miasto, miały granatową barwę, czerniejącą od przesłaniających niebo chmur. Samo jezioro było tak głębokie, że uważano je niegdyś za bezdenne. Tak naprawdę to stanowiło olbrzymie śródlądowe morze o długości sześciuset kilometrów, zawierające jedną piątą zasobów słodkiej wody na kuli ziemskiej.

Od zachodu wznosiły się nad nim pokryte śniegiem wierzchołki gór. Wzdłuż zachodniego i południowego brzegu rozciągały się niższe, bardziej postrzępione błękitne wzgórza.

Grigorij Czernow od chwili przybycia do Irkucka nie miał czasu na podziwianie widoków. Cały czas pochłaniały mu narady z przybyłymi z Moskwy generałami i pułkownikami.

– Będziecie eskortowali uderzenie na Tokio – oświadczono mu. Pomiędzy samolotami transportowymi w malowaniu Aerofłotu przycupnęło sześć przestarzałych myśliwców przechwytujących MIG-25, które rozwijały prędkość 3 macha. To one, jak wyjaśniono Czernowowi, miały przenieść bomby. Ze wszystkich samolotów, jakie Rosja odziedziczyła po ZSRR, tylko MIG-i-25 miały szansę w starciu z Zero. Dzięki swej zawrotnej szybkości mogły uciec japońskim myśliwcom, wślizgnąć się we wrogą przestrzeń powietrzną, zrzucić bomby i uciec, zanim Zero zdołają je zestrzelić.

– Wystarczy, że przedrze się tylko jeden – oznajmił moskiewski generał ze zdumiewającą kolekcją odznaczeń na piersi.

W tym samym czasie inne uderzenie zostanie skierowane przeciwko japońskim wyrzutniom rakietowym usytuowanym na półwyspie Tateyama. Czernow znał słabo pułkownika dowodzącego tą grupą.

Kłopot z MIG-ami-25, który przyczynił się do wielu narad i konferencji, polegał na ich ograniczonym zasięgu. Samoloty będą musiały parokrotnie tankować w powietrzu, by odbyć lot o wiele dłuższy, niż w najśmielszych fantazjach przewidywali dla tego superszybkiego myśliwca konstruktorzy z biura projektowego Mikojana i Gurjewicza. Podobnie jak wszystkie radzieckie myśliwce, MIG-25 został zaprojektowany do obrony własnego terytorium.

Doprowadzenie latających cystern na zaplanowane pozycje przed i po nalocie należało do zadań

Czernowa. Miał je eskortować i bronić przed Zero.

Słuchając wyjaśnień moskiewskich generałów i ich sztabowców na temat zadania, poprawek na mapach, częstotliwości radiowych i haseł wywoławczych, Czernow zrozumiał, że uważają całą tę misję za prawdopodobną, a zadania za rutynowe. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. To wszystko było głupie. Przecież na samym wstępie tych ćwiczeń z wojskowego idiotyzmu Czernow usiłował wyjaśnić sztabowym gwiazdorom, że Suchoje nie mają zbyt wielkich szans przeciwko Zero.

– Zero są w stosunku do nich nowocześniejsze o jedną generację, MIG-i-25 wyprzedzają o dwie.

Nikogo z ważniaków to nie interesowało. Czernow ma robić, co mu każą, tak zostało ustalone w Moskwie.

Teraz Czernow słuchał i notował. Wyglądał przez okno lub obserwował dużą wskazówkę ściennego zegara, nieubłaganie odmierzającą minuty. Do świtu pozostało zaledwie kilka godzin.

Odprawa zakończyła się na godzinę przed pobudką.

Czernow poszedł do baraku i znalazł puste łóżko.

Wyciągnął się na nim, próbując odpocząć, spojrzeć na wszystko z dystansu. Czuł ogarniającą go falę szaleństwa. Miał wrażenie, że w niej tonie. Broń jądrowa. Tokio. Chmura w kształcie grzyba. Miliony zabitych.

Pod warunkiem, że któryś MIG się przedrze.

A potem natrafi na cysternę powietrzną i zdoła zatankować wystarczająco dużo paliwa, żeby dotrzeć do najbliższej, pozostającej w rękach Rosjan bazy...

– A jeśli japończycy wykonają uderzenie odwetowe? – spytał ktoś tylko po to, by usłyszeć od moskiewskich szych, że Japonia nie dysponuje arsenałem jądrowym.

– Miejmy nadzieję – odezwał się głośno Grigorij Czernow.

– Prezydent Kaługin jest tego absolutnie pewien.

– Założę się, że mówił to przez telefon ze swej daczy nad Morzem Czarnym – powiedział jeden z młodszych pilotów. Jego koledzy roześmiali się. Moskiewscy ważniacy nasrożyli się, ale udawali, że niczego nie słyszeli.

Ludzie nie byli zachwyceni, ale nigdy żaden wojskowy autorytet nie wspominał, że Japonia może mieć broń jądrową, więc uderzenie odwetowe wydawało się możliwe jedynie w teorii. O wiele bardziej obawiali się lotu do Japonii.

Nawet jeśli nie dopadną ich Zero, to rosyjski sposób dowodzenia i problemy organizacyjne mogą zniweczyć całe przedsięwzięcie, na długo przedtem, nim samoloty powrócą szczęśliwie do Irkucka.

Czernow leżał w ciemnościach, próbując się odprężyć. O spaniu nie było mowy. Pobudka za niecałą godzinę.

Zaczął błądzić myślami. Przypomniały mu się sceny z dzieciństwa w sowchozie. Grigorij Czernow pragnął czegoś więcej, więc przykładał się pilnie do nauki, by zostać najlepszym uczniem w szkole. Wysiłek opłacił się. Został dostrzeżony.

I co dzięki temu osiągnął?

Jego życie zmieniło się w jedną wielką przygodę. Naprawdę. Latanie, nowe, nieznane miejsca, upojenie walką, dreszcz zwycięstwa – tego nie przeżyje się w sowchozie, gdzie nad rozległą równiną wciąż wieje wiatr, unosząc nasiona, ziemię, rozwiewając nadzieje, sny, wszystko.

Gdyby tak ojciec i matka mogli zobaczyć, jak daleko zaszedł...

Ogarnęła go tęsknota. Och, gdyby mógł spędzić choć jeden dzień z rodzicami, posiedzieć w małym domku, patrzeć przez uchylone drzwi na falujące zboże, słuchając jak ojciec mówi o ziemi.

Teraz to wszystko minęło. Na zawsze.

Za kilka godzin będzie martwy i nic już nie będzie miało znaczenia.

Okręt podwodny uderzył o dno, przesunął się półtora metra po podłożu, osiadł w mule zatoki Sagami i zaczął powoli przechylać się na lewą burtę.

– Kapitanie – rzucił ostro Jesienin, gdy przechył wyniósł pięć stopni. Nawet on musiał przytrzymać się czegoś. Sześć stopni...

– Przy dwunastu stopniach podniesiemy go i poszukamy innego miejsca. Osiem...

– Jesteśmy tak blisko – mruknął Jesienin.

Dziesięć stopni... ledwo wyczuwalny ruch... Wszystko zamarło.

W centrum dowodzenia rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

– Pięćdziesiąt pięć metrów – odczytał ktoś na głębokościomierzu. Nagle Saratow uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Żeby trzymać się prosto, musiał oprzeć się o stół nawigacyjny.

– Jesteśmy na miejscu, panie generale. Okręt mamy uszkodzony, kończy się nam zapas powietrza, akumulatory są na wyczerpaniu i szuka nas cała japońska marynarka. Nie wiem, ile mamy czasu.

Jesienin również odczuł napięcie ostatnich godzin. Zmobilizował się do mówienia.

– Przywiozłeś nas tu, Saratow. Tylko to ma znaczenie. Z tego miejsca możemy ocalić Rosję.

– Oczywiście. – Gorycz w głosie Saratowa wzbudziła zaniepokojenie Jesienina.

– Odpłyniemy stąd wyłącznie za moją zgodą – powiedział generał, patrząc mu w oczy. – Zabieram ze sobą dwóch nurków. Wyjdziemy przez śluzę powietrzną, otworzymy jeden kontener i umieścimy jeden ładunek na dnie. Potem wrócimy, a wy kapitanie, przemieścicie swój okręt o milę na zachód wzdłuż uskoku, gdzie powtórzymy całą operację. Kiedy ostatni ładunek znajdzie się na dnie, wywieziesz nas stąd.

Jesienin zerknął na zegarek.

– Kiedy eksplodują ładunki? – spytał Saratow.

– Za dwanaście godzin. Założenie każdego z nich zajmie godzinę, plus przemieszczanie okrętu również godzinę, w sumie siedem. To daje nam pięć godzin na opuszczenie tego rejonu.

– Nie mamy siedmiu godzin – odparł Saratow – co najwyżej jedną lub dwie, góra trzy.

– Sądzicie, że nas potem dopadną?

– Na mur.

Jesienin ściągnął wargi w cienką linię.

– Ładunki nie są jeszcze uzbrojone, prawda? – spytał Paweł Saratow.

– Wiecie, czy zgadujecie?

– To pudełko – skinął w stronę dyndającego na szyi Jesienina pojemnika – musi być zapalnikiem.

– Doszliśmy do wniosku, że zdetonowanie ładunków w morzu będzie lepszym wyjściem, niż gdyby miały wpaść w ręce wroga. Na szczęście nie zaistniała taka konieczność. Gdyby jednak tak się stało, wierzę, że major Poljakow spełni swój obowiązek. Przejmie pieczę nad zapalnikiem na czas mojej nieobecności.

Jesienin zdjął pudełko i położył na stole nawigacyjnym. Otworzył je.

– Jak widać, znajduje się tu klawiatura służąca do wprowadzania kodu. – Palcem wskazującym wystukał cztery cyfry. – Gotowe – powiedział. – Kod został wprowadzony. Teraz obwód jest już uzbrojony.

Saratow zrobił krok do przodu, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Uzbroił pan to cholerstwo?

– Pływanie po tych wodach z uzbrojonymi ładunkami byłoby zbyt niebezpieczne. Zrobiłem to teraz.

Jesienin podniósł rękę. Trzymał w niej pistolet wycelowany w pierś Saratowa.

– Ani kroku dalej, kapitanie. Wystarczająco długo bawił się pan naszym kosztem. Od tej chwili

zaczyna się mój występ.

Poljakow i miczman piechoty morskiej również wyciągnęli i wycelowali broń. Major wyszczerzył się do Saratowa.

– Teraz ja popilnuję pudełeczka, kapitanie.

– Dowiózł pan nas daleko, Saratow – powiedział Jesienin, uśmiechając się w stylu znanym z wyspy Trojan – jednak przed nami wciąż daleka droga. Zawiódłby pan nas srodze, gdyby coś się panu stało.

– Nie zależy panu na życiu, co Jesienin?

– Czasami tak jest łatwiej.

Saratow wrócił na fotel, na którym spędził ostatnie dwanaście godzin.

– Lepiej się stąd zabierajcie. Japończycy mogą zjawić się lada chwila.

Dawno minęła pora kolacji, gdy Iwan Ilin złożył wieczorną wizytę marszałkowi Gładyszewowi w kwaterze głównej w Moskwie. Zastał starszego pana w ponurym nastroju.

– Idiota! Niekompetentny pajac! – zawołał stary żołnierz, kiedy zostali sami.

– Co się stało?

– Dziś rano wydał rozkaz przeprowadzenia atomowego uderzenia na Japonię. Wysyła trzy samoloty z bombami na Tokio i trzy na japońskie wyrzutnie rakietowe w Tateyama. No i jest jeszcze okręt podwodny z czterema głowicami na pokładzie, które zamierza rozmieścić w wejściu do Zatoki Tokijskiej. Sprzeczałem się z nim, po tysiąckroć powtarzałem „Nie", a on omal mnie nie aresztował. Wygonił mnie.

– Fatalnie! Czy mamy jakieś wiadomości z "Admirała Kołczaka"?

– Ani słowa. Z informacji przechwyconych z japońskich komunikatów radiowych wynika, że kapitan Saratow zdołał przedostać się do zatoki Sagami. Wbrew wszelkim przeciwnościom. To zdumiewające.

– A co mówi Kaługin?

– Nie wierzy, że Japończycy zainstalowali głowice jądrowe na rakietach, których mogą użyć jako międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Odrzuca taką możliwość.

– Mam nadzieję, że spotka się pan z nim w najbliższym czasie.

– Owszem.

Starszy pan siedział i spoglądał w okno. W ciągu miesiąca postarzał się o dziesięć lat.

– Zrobił pan wszystko, co było w pańskiej mocy, panie marszałku.

– Powinienem być w domu, w ogrodzie – westchnął Gładyszew. – Moja wierność Rosji to jałowy sprzeciw wobec samobójczego kursu już postanowionego przez dyktatora. Pięćdziesiąt lat służby wojskowej i nikt nie chce mnie słuchać.

– Może to pora na uprawianie ogródka.

– Wysłałem już mojego adiutanta z natychmiastową dymisją ważną od północy. Powinienem być w domu i dać sobie z tym wszystkim spokój. – Gładyszew zerknął na zegarek. – Za kilka minut mam ostatnie spotkanie z moim sztabem. Być może tylko się pożegnam.

– A jak wygląda sytuacja? Szczerze.

– Sytuacja wcale nie jest taka beznadziejna, jak uważa Kaługin. Odbudowujemy armię, wyposażamy ją, organizujemy prowiant, paliwo i transport. Możemy rozgromić Japończyków tej zimy. Wystawimy przeciwko nim półmilionową armię. Mając przewagę w powietrzu, zgnieciemy ich.

– Kaługin nie chce czekać?

– Twierdzi, że ONZ odda Japonii nasze pola naftowe, nim nastanie wiosna. Może ma rację.

Świat bardzo się zmienił.

– Muszę dziś wieczorem dostać się do Kaługina.

– Usiłowałem mu wytłumaczyć... Czas pracuje dla nas. Z każdym mijającym dniem jesteśmy coraz silniejsi. Za sześć miesięcy Japończycy zaczną masowo tracić żołnierzy. Wykrwawimy ich bezlitośnie, a japoński parlament będzie protestował przeciwko rosnącym wydatkom na armię... Wtedy ich dopadniemy!

Zadzwonił telefon. Gładyszew przyglądał mu się, słuchał dzwonków, wreszcie podniósł słuchawkę.

– Tak?

Słuchał przez chwilę.

– Jest u mnie Iwan Ilin z Wywiadu Zagranicznego. Chciałby uzyskać audiencję. Czy mogę go przyprowadzić?

Znów słuchał, potem coś mruknął i odłożył słuchawkę.

– Jeden z fagasów Kaługina. Prezydent chce mnie widzieć w związku z pismem.

– Dymisją?

– Tak. – Gładyszew zabębnił palcami po blacie biurka, przesunął telefon co do milimetra na miejsce i strzepnął niewidzialne pyłki.

– Powiedział, że możesz przyjść, jeśli chcesz.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj mi. Kaługin prawdopodobnie zastrzeli mnie za zdradę, a ciebie za to, że byłeś przy tym obecny.

Kiedy szli korytarzem, Ilin delikatnie położył dłoń na ramieniu marszałka i zatrzymał go.

– Czy są jakieś oznaki świadczące o tym, że Kaługin podejrzewa ciebie lub mnie o próbę zamachu?

– Nie ma żadnych. Pilnują mnie do tej pory.

– Kaługin dokona czystek w aparacie urzędniczym, wojsku i wśród deputowanych do Dumy, gdy tylko sytuacja militarna poprawi się.

– Jestem starym człowiekiem i pogodziłem się z moim losem. Możesz być spokojny, nic nie powiem.

– Nie miałem na myśli nas obu. Myślałem o stu pięćdziesięciu milionach Rosjan, którzy zasługują na kogoś lepszego od Kaługina.

Powiedziawszy to, Ilin ruszył w stronę samochodu.

Żołnierz trzymający otwarte drzwi zasalutował marszałkowi, który oddał honory. Ilin i Gładyszew wsiedli do limuzyny, a wartownik zamknął za nimi drzwi.

Szyba oddzielała przedział pasażerski od kabiny kierowcy.

– Czy on nas słyszy? – spytał Ilin.

– Nie.

– Chcę osobiście przedłożyć Kaługinowi pewne wyjątkowo ważne informacje wywiadu, które niedawno otrzymałem.

– W mojej obecności?

– Może pan usłyszeć je już teraz. Zarówno Japonia jak i Stany Zjednoczone wiedzą o zdecydowaniu Kaługina co do użycia broni jądrowej.

– Skąd wiedzą? Od jakiegoś szpiega? Zdrajcy?

– Japończycy nazywają go agent Ju.

– Znasz jego tożsamość?

– Myślę, że to ktoś z kręgu Kaługina. Z grona bliskich osób. – To było oczywiście kłamstwo, lecz Gładyszew nie mógł o tym wiedzieć.

– Na miłość boską, dlaczego? – jęknął Gładyszew.

– Myślę, że dla pieniędzy. A tak naprawdę, to nie wiem. Władza? Szaleństwo? Zamierzam powiedzieć Kaługinowi o tym agencie. Wszystko, co wiem. I powtórzę raz jeszcze, że Japończycy mają broń jądrową.

– Zdrajca! W takich czasach!

– Zwłaszcza w takich czasach – odparł Iwan Ilin.

Zatęchłe, cuchnące powietrze zastygło nieruchomo we wnętrzu okrętu podwodnego. Wentylatory zostały wyłączone dla zaoszczędzenia energii i wyeliminowania zbędnych hałasów. Każdy był uwięziony w obłoku własnego smrodu.

Okręt leżał na dnie od godziny. Jesienin i jego dwaj nurkowie wyszli przez śluzę powietrzną dwadzieścia minut temu.

Przez ostatnią godzinę przepłynęło nad nimi kilka statków tak blisko, że słychać je było bez sonaru. Jedynie Saratow i operator sonaru wiedzieli coś więcej, bo tylko oni mieli słuchawki. Saratow doliczył się sześciu statków, lecz sonarzysta szepnął mu, że było ich siedem. Kręciły się tam i z powrotem w pobliżu miejsca, gdzie zatonął niszczyciel, zapewne wyławiając rozbitków.

"Admirał Kołczak" spoczywał na dnie o sześć mil dalej.

Liczba samolotów była o wiele trudniejsza do określenia, ponieważ warkot śmigieł znienacka pojawiał się i znikał. Musiało być ich kilka, co najmniej cztery.

Okręty i samoloty wkrótce znajdą okręt podwodny. Mimo iż leży bez ruchu, wskazówki detektora anomalii magnetycznej wychylą się, kiedy myśliwi znajdą się bliżej.

Paweł Saratow przyglądał się majorowi Poljakowowi, który usiadł przy stole nawigacyjnym, odwrócony lekko w lewo.

Pod nieobecność Jesienina Poljakow zapadł w swego rodzaju trans. Saratow doszedł do wniosku, że brak mu wyobraźni. Nie żeby był głupi, tylko pozbawiony idei, ambicji i wyobraźni. Takich ludzi jest mnóstwo na świecie, pomyślał kapitan. Wydaje im się, że postępują słusznie. Zostawić myślenie innym nie jest przecież zbrodnią.

Pozostawało jednak zasadnicze pytanie: czy Poljakow wciśnie guzik, zabijając siebie i wszystkich na okręcie?

– Zabilibyście się, co Poljakow?

– Dla mojej ojczyzny zrobię wszystko. Wierzę w Rosję.

– Czy tylko wy jesteście gotowi na wszystko?

Poljakow popatrzył podejrzliwie na Saratowa. Najwidoczniej kapitan chce go poddać testowi na lojalność.

– Oczywiście, że nie. Aleksander Kaługin też kocha Rosję.

– Jasne.

– Nie chcę rozmawiać o tych sprawach.

– Te tematy krępują was.

– Jestem żołnierzem. Słucham moich przełożonych.

– Czy Jesienin też jest żołnierzem? Prawdziwym?

– A kim miałby być? – Poljakow zmarszczył brwi.

– Czy spotkaliście go przedtem podczas swojej służby?

– Nie. Piechota morska jest duża. Są tam oficerowie, których nie znam.

– A miczmani?

– Jest tam mnóstwo miczmanów, których też nie znam.

– Skąd pochodzicie, Poljakow?

– Z Sankt Petersburga. Ojciec był stoczniowcem.

Trwało to przez kilka minut. Major odpowiadał na pytania Saratowa, bo ten był dowódcą okrętu, a odpowiedzi nie budziły w nim wewnętrznego niepokoju. Twarze marynarzy siedzących czy stojących w małym pomieszczeniu odzwierciedlały ciężkie chwile, które przeszli oraz przerażenie matnią, w której się znaleźli. Na Poljakowa patrzyli jak na potwora, czym major wcale się nie przejmował. Jesienin dobrze wybrał.

Wówczas nasiliły się odgłosy śruby zbliżającego się statku. Saratow zerknął w górę, podobnie jak wszyscy w centrum dowodzenia, z majorem Poljakowem włącznie. Hałas stawał się coraz głośniejszy.

Kiedy statek znalazł się bezpośrednio nad nimi, Saratow wyjął z kieszeni pistolet TT i strzelił Poljakowowi w głowę.

Major pochylił się w bok i spadł z krzesła na pokład. Na stole zostało pudełko. Saratow złapał je lewą ręką, celując jednocześnie w miczmana piechoty morskiej, który stał z otwartymi ustami, ściskając Kałasznikowa. Szef pokładu odebrał mu karabin i pistolet.

– Znaleźliśmy się na rozstajach, szefie. Jesteś ze mną, czy nie?

– Jestem z tobą, komandir. Wszyscy jesteśmy.

– Idźcie rozbroić żołnierzy w części dziobowej. Zabierzcie im broń i przynieście tutaj. Przyślijcie do mnie miczmana Lichaczewa. Biegiem. Mamy mało czasu. Nawigator otarł rękawem pot z twarzy. W oczach miał łzy.

– Dziękuję, komandir. Wolałbym umrzeć niż rozpętać trzecią wojnę światową.

– Jeśli będziemy mieli pecha, synu, przytrafi się nam jedno i drugie. Teraz weź pistolet majora i rozbrój żołnierzy w maszynowni i akumulatorowni.

– A jeśli nie będą chcieli oddać broni?

– To ich zastrzel. I lepiej nie marudź. Ruszaj.

Saratow podniósł skrzyneczkę. Była bardzo lekka. Spróbował podważyć scyzorykiem tylną klapkę, przytwierdzoną trzema wkrętami.

Wewnątrz były tylko baterie. Ani śladu przekaźnika. Zwykła atrapa.

– Komandir – odezwał się miczman obsługujący sonar. – Śmigłowiec zawisł z naszej lewej burty. Jest bardzo blisko. Pewnie opuścił hydrolokator.

Rozdział 24

Maszyny mające zbombardować Tokio wystartowały pierwsze, jeden po drugim trzy MIG-i-25. Eskorta czterech Su dowodzona przez Grigorija Czernowa ruszyła po pasie, gdy ostatni MIG wzbił się w powietrze. Czernow i jego skrzydłowy ruszyli razem, Czernow po lewej stronie. Kiedy bezpiecznie znaleźli się w górze, Grigorij odbił nieco w lewo, żeby móc coś dostrzec, oglądając się przez ramię. Tak. Pozostałe dwa Suchoje też wystartowały.

W niespełna minutę cztery myśliwce zebrały się razem i nabrały wysokości, by dogonić trzy MIG-i, które, wznosząc się na wyznaczonym kursie, rozsypały się na przestrzeni pół kilometra.

Zespół atakujący Tateyama miał wystartować dziesięć minut później. Całe przedsięwzięcie zależało od udanych spotkań z cysternami powietrznymi w trzech miejscach na trasie. Cysterny wystartowały przed kilkoma godzinami z położonych na wschodzie baz.

Przynajmniej twierdził tak moskiewski generał po dłuższym pokrzykiwaniu do słuchawki.

Skoordynowane uderzenie, precyzyjne spotkanie w powietrzu, kilkanaście samolotów przemierzających zaplanowane trasy o długości tysięcy kilometrów – tak skomplikowanych operacji Rosjanie nie ćwiczyli od lat. Jeśli cysterny nie znajdą się w zaplanowanym miejscu, urządzenia do tankowania w powietrzu nie zadziałają, a myśliwce lub cysterny będą miały awarie natury mechanicznej, jeżeli piloci cystern nawalą lub jeśli zaatakują ich japońskie Zero – każda z tych ewentualności wystarczy, żeby nie dotarli do Japonii.

Obwieszony medalami moskiewski generał nie chciał nawet o tym mówić.

Poranek był chłodny, lecz dzień zapowiadał się upalnie. Nad górskimi szczytami zaczęły się już formować chmury i spływały w stronę doliny, zapowiadając deszcz. Tu i ówdzie piętrzyły się cumulonimbusy, grożąc popołudniową burzą. Wszystkie te chmury znajdowały się pod myśliwcami, które osiągnęły pułap trzynastu i pół tysiąca metrów.

Maska tlenowa miała dziś wyjątkowo gumowy posmak. Grigorij Czernow wciągnął w płuca trochę tlenu, zerknął na wskaźnik wysokości i spróbował zająć wygodniejszą pozycję na wyrzucanym fotelu.

Zgodnie z tym, co zostało ustalone podczas odprawy, Czernow podzielił cztery myśliwce na dwie sekcje. Sam ze swoim skrzydłowym zajął pozycję pięć kilometrów na prawo przed grupą uderzeniową, a druga para ulokowała się w tej samej odległości po lewej.

Zerknął na zegarek. Do spotkania z pierwszą cysterną pozostało jeszcze półtorej godziny.

Major siedział spokojnie, nasłuchując sygnałów urządzeń przeciwdziałania elektronicznego, i obserwował niższe warstwy atmosfery. W dole wiatr wzbijał obłoki pyłu. Miejscami widoczność była zmącona. Pomyślał sobie, że tak pewnie widzi Ziemię Bóg.

Po skrupulatnym sprawdzeniu dokumentów, limuzyna wioząca Ilina i Gładyszewa mogła przez most nad fosą przejechać do głównego wejścia na Kreml. Dwaj mężczyźni weszli do pierwszego pokoju, by poddać się rewizji osobistej.

Najpierw każdy z nich opróżnił kieszenie, składając zawartość do plastikowego pojemnika: zegarek, pieniądze, klucze, dokumenty, słowem wszystko. Tymczasem inni funkcjonariusze badali ich teczki.

Następnie rozebrali się w oddzielnych boksach na oczach dwóch sługusów Kaługina, którzy uważnie obejrzeli ich nagie ciała. Czekali rozebrani, aż ich ubrania zostaną skontrolowane fluoroskopem, którego używa się na lotniskach do przeglądania zawartości ręcznego bagażu.

Ochroniarze obejrzeli pod fluoroskopem każdy element ubrania, z butami, paskiem i krawatem włącznie.

Kiedy wreszcie ubrania zostały zwrócone, Ilin włożył swoje i wyszedł z boksu. Skierował się do stolika, przy którym ochroniarz bawił się jego okularami i kluczami. Otyły czterdziestolatek obejrzał grzebień, przyjrzał się zdjęciom w portfelu, po czym odwrócił portfel na lewą stronę i znów przesunął go pod fluoroskopem.

Z tak szczegółową rewizją Ilin jeszcze się dotąd nie spotkał.

Inny funkcjonariusz oddał mu pieniądze, klucze i zegarek. Potem usiadł i zaczął oglądać przepustkę i legitymację pracownika Wywiadu Zagranicznego. Oświetlił je promieniami ultrafioletowymi, a gdy upewnił się co do ich autentyczności, obejrzał oba dokumenty pod lupą, nim zwrócił je Ilinowi.

Ilin miał dziś przy sobie długopis i amerykańskie wieczne pióro. Otyły funkcjonariusz bawił się wciskając przycisk długopisu pstryk, pstryk, pstryk, podczas gdy przesuwał pod fluoroskopem papierosy Ilina, każdą sztukę z osobna. Gdy skończył, włożył je do papierośnicy z insygniami KGB i położył ją na stole. Długopisem zrobił kilka kresek na kartce papieru, wreszcie zajął się wiecznym piórem. Zdjął skuwkę i zaczął oglądać je przez szkło powiększające. Potem włożył na powrót skuwkę i odłożył pióro obok długopisu.

Ilin miał sygnet z wygrawerowanymi inicjałami KGB i ślubną obrączkę po dziadku. Jako nieżonaty nosił ją na lewym ręku.

Sygnet KGB zafascynował ochroniarza. Oczywiście, też najpierw obejrzał go pod fluoroskopem. Następnie zaczął podważać kamień scyzorykiem, usiłując wydobyć go z oprawy.

– Chcecie mi go zniszczyć? – zdenerwował się nieco Ilin. – Ten funkcjonariusz usiłuje zniszczyć mi sygnet – poskarżył się naczelnikowi.

– Wykonuje swoją pracę.

– Płacicie mu za wyrywanie kamieni z oprawy?

– Niech no zobaczę ten sygnet. – Przełożony zbadał go od wewnątrz przez silne szkło powiększające.

– Jeśli chcecie, zostawię go i odbiorę przy wyjściu – zasugerował Ilin.

Zwierzchnik oddał mu sygnet i odłożył lupę.

Tymczasem funkcjonariusz położył na stole pamiątkową zapalniczkę Ilina, ozdobioną hitlerowską swastyką. Pokazał palcem na swastykę i spojrzał pytająco na Ilina.

– Mój ojciec – wyjaśnił Ilin – zabił niemieckiego oficera, do którego należała.

Ochroniarz kilka razy pstryknął zapalniczką. Pojawił się płomień. Wtedy rozłożył ją na czynniki pierwsze. Wyjął bawełnę, obejrzał kamień i kółko, wreszcie złożył ją na powrót.

W końcu podsunął Ilinowi kupkę jego drobiazgów. Nie mówił nic i tylko przypatrywał się, jak Ilin rozmieszcza je po kieszeniach i poprawia krawat.

Marszałkowi proces ubierania się zajął trochę więcej czasu. Gdy wreszcie wyszedł z boksu, funkcjonariusz zwrócił mu rzeczy osobiste i pomógł założyć zegarek.

Nikt nie odezwał się słowem.

Kiedy marszałek był gotów, wziął teczkę i popatrzył na Ilina.

– Tędy – odezwał się jeden z ochroniarzy.

Czekała ich długa wędrówka przez kilka korytarzy, schodami dwa piętra w górę, potem przez obszerne przedpokoje obwieszone portretami zapomnianych dziś osiemnasto– i dziewiętnastowiecznych wielmożów.

Wreszcie dotarli do poczekalni Kaługina. Dwóch wartowników obszukało ich ponownie pod czujnym okiem sekretarza.

Dopiero wówczas wpuszczono ich do gabinetu Kaługina. Jeden z wartowników wszedł za nimi

do środka i, zamknąwszy drzwi, oparł się o nie plecami.

Aleksander Kaługin podniósł wzrok znad leżących na biurku papierów.

– Ach, marszałek Gładyszew i Iwan Ilin. Czekałem na was.

Pierwsze spotkanie z cysternami powietrznymi przebiegło jak w zegarku, co lekko wstrząsnęło Czernowem. Jeden po drugim MIG-i ustawiały się w kolejce, zatankowały do pełna i zrobiły miejsce dla Suchojów. Chociaż piloci MIG-ów w ciągu sześciu ostatnich miesięcy odbyli zaledwie po dwa loty, zajęli właściwe pozycje, jakby codziennie ćwiczyli ten manewr.

Były trzy cysterny: jedna dla grupy atakującej Tokio, druga dla maszyn lecących na Tateyama i trzecia, zapasowa.

Zespół atakujący Tateyama pojawił się, gdy pierwsza grupa udała się w dalszą drogę do kolejnego wyznaczonego punktu.

Oba zespoły minęły amerykańską bazę w Czicie sto sześćdziesiąt kilometrów na północ. Od tego miejsca, aż do następnego spotkania z cysternami, znajdowali się w zasięgu Zero z Chabarowska. Czernow wzmocnił czułość aparatury ostrzegającej przed promieniowaniem radarowym.

Kiedy przed dwiema godzinami szli do maszyn, jeden z pilotów spytał:

– Jakie to uczucie walnąć atomówką w Tokio?

Czernow usłyszał pytanie, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Prawdziwe pytanie, uśmiechnął się gorzko, powinno brzmieć, jak przyjdzie im potem żyć ze świadomością, że pomogli zamordować miliony ludzi. Dziesięć milionów? Dwadzieścia? Trzydzieści?

Doszedł do wniosku, że potencjalna liczba ofiar wyniesie trzydzieści milionów. Może nawet więcej.

Co, do cholery, myślą sobie ci głupcy w Moskwie?

Czy Syberia warta była takiej daniny krwi?

Pokręcił ostrożnie głową. Jest żołnierzem. To wstyd mieć takie zdradzieckie myśli.

Poprawił maskę tlenową, sprawdził wskazania silników, zapas paliwa i pozycję względem swego skrzydłowego, Maliakowa, czy jak mu tam. Czernow nigdy przedtem z nim nie latał. To był nowy człowiek, z dywizjonu stacjonującego w pobliżu Moskwy. Chodziły słuchy, że ten idiota zgłosił się na ochotnika.

Może był żądny medalu, awansu, sławy, zdjęcia we wszystkich gazetach w roli Bohatera Republiki Rosyjskiej. A może przepełniała go nienawiść do zdradzieckiego odwiecznego wroga, Japonii? jeden z moskiewskich cywilów, zwracając się do pilotów, wyrażał się właśnie w ten sposób.

Czemow uniósł głowę i rozglądał się po niebie, aż ujrzał trzy sylwetki MIG-ów-25.

A co na to powiedziałaby jego matka?

Może Maliakow czuł to samo, co Czernow? Może był już zmęczony życiem i chciał umrzeć.

– Proszę, panowie, proszę. – Kaługin gestem wskazał krzesła przed biurkiem. Podniósł leżącą na blacie kartkę. – A cóż to jest, marszałku? Dymisja?

– Panie prezydencie, myślę, że nadeszła pora powołać kogoś innego na stanowisko szefa sztabu.

Kaługin rozparł się w fotelu i poprawił spodnie.

– Gładyszew, dobrze służysz swojemu krajowi. Tworzysz tak potrzebną nam armię. Jesteś niezastąpiony.

Gdy to mówił, stojący przy drzwiach wartownik nie spuszczał z niego wzroku. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

– Nie zgadzam się z pańską decyzją eskalacji konfliktu. Japończycy mogą mieć broń jądrową i

użyć jej przeciwko Rosji. Nie możemy podejmować tak wielkiego ryzyka.

– Sprzeciw został odnotowany. Jednak to ja decyduję, jakie ryzyko możemy podjąć. Tylko ja ponoszę za to odpowiedzialność.

– To nie żaden drobiazg, panie prezydencie. Czuję, że muszę zrezygnować. Panu jest potrzebny żołnierz, który nawet mimo sprzeciwu będzie popierał politykę rządu. Ja nie potrafię.

– Marszałku Gładyszew, Japonia nie ma arsenału jądrowego. Nie wiem, kto sączy wam do ucha te fałszywe informacje – podniósł rękę – ale mniejsza z tym. Broń jądrowa to moje zmartwienie.

– Sprzeciwiam się z całą stanowczością.

– W waszej dymisji zaznaczyliście, że służycie w armii od siedemnastego roku życia, to jest przez pięćdziesiąt cztery lata.

Gładyszew skinął głową.

– Wszyscy ludzie w mundurach, z szefem sztabu włącznie, muszą wypełniać rozkazy swoich przełożonych. Wiecie o tym. Nie dbam o wasze poparcie. Wyraziliście swoją opinię, ja podjąłem decyzję, a teraz nadal pozostaniecie subordynowanym żołnierzem. Pozostaniecie na służbie, dopóki nie zwolnię was z waszych obowiązków.

Kaługin wyjął pióro i w poprzek dymisji Gładyszewa napisał „Odmawiam, Kaługin". Potem wręczył pismo Gładyszewowi.

– Polityka należy do mnie – oświadczył z kamienną twarzą. – Nie możemy czekać pół roku, by pokonać Japończyków zwykłymi metodami. Nie wolno nam też oddać ani piędzi ziemi, japończycy muszą być pokonani natychmiast! Muszą skąpać się we własnej krwi. Teraz! Rosjanie nie byli tak zjednoczeni od czasów drugiej wojny światowej. To daje nam szansę przekucia tych zrozpaczonych, pozbawionych nadziei ludzi w naród. Jeśli zmarnujemy tę szansę, drugiej nie będzie. To przynajmniej jesteśmy winni Matuszce Rassiji.

Kaługin parsknął niecierpliwie.

– Przed chwilą w rozmowie telefonicznej amerykański prezydent groził mi ekonomicznym i politycznym bojkotem, „pełną polityczną izolacją", jak się wyraził – jeśli Rosja użyje broni atomowej przeciwko japońskim agresorom. – Kaługin pokręcił głową. – Ten człowiek nie rozumie, że chodzi tu o życiowy interes Rosji. Nadeszła nasza chwila.

Gładyszew westchnął głęboko. Zerknął na Ilina, który słuchał uważnie prezydenta.

Ilin odwrócił się lekko, by zobaczyć, jak reaguje na to stojący przy drzwiach wartownik. Stał z założonymi na piersi rękoma. Napotkał wzrok Ilina.

– I co powiecie? – spytał Kaługin.

– Myślę, że postępuje pan źle, panie prezydencie – rzekł głucho Gładyszew. – Jednak dotrzymam złożonej przed laty przysięgi. Będę posłuszny. Kaługin postanowił się tym zadowolić. Przeniósł wzrok na Ilina.

– Po co tu przyszliście?

– Panie prezydencie – odezwał się Iwan. – Przyszedłem razem z marszałkiem Gładyszewem, by podzielić się z panem pewnymi najważniejszymi danymi wywiadu. Jak pan wie, Amerykanie zostali poinformowani o pańskich planach użycia broni jądrowej. Japończycy również. Od szpiega.

Kaługin zamrugał parę razy.

Ilin podsunął krzesło i pochylił się do przodu.

– Jestem przekonany, że szpieg znajduje się w pańskim otoczeniu.

– Kto to jest?

– Japończycy nazywają go agent Ju albo agent Dziesięć. Od lat przekazywał im informacje. Teraz dzieli się nimi z Amerykanami.

– Możecie go znaleźć? – warknął Kaługin.

– Wciąż szukamy, panie prezydencie. Dziś przyszedłem was ostrzec.

– Podejrzewałem to – odparł Kaługin. – Ale go wykurzymy. Macie współpracować z moimi zaufanymi ludźmi. Przekażecie im wszystko, o co poproszą.

– Tak jest.

– Musimy zrewidować informacje o zapleczu politycznym. Chcę wiedzieć, w co wierzą ci ludzie, o czym mówią prywatnie. Musimy dowiedzieć się, komu możemy ufać, a komu nie. Nie widzę innego wyjścia. Wasza agencja otrzyma to zadanie, zupełnie jak za dawnych lat. Reformy nie sprawdziły się. – Kaługin splótł ręce na blacie biurka. – Mnóstwo ludzi nie wierzy w te nowe metody. To będzie bardzo popularne posunięcie.

– Tak jest.

– Niech wasz dyrektor przybędzie do mnie jutro rano. W tej sprawie nie będziemy tracić czasu.

Kaługin odchylił się w fotelu i wstał.

– Panowie, pragnę podziękować wam za wasze oddanie naszemu narodowi i mnie. – Okrążył biurko i stanął przed nimi. – Teraz ja uosabiam nasz kraj. Jestem Rosją, jej duchem i duszą. Będę jej wiernie strzegł. To mój święty obowiązek.

Ilin znajdował się z prawej strony prezydenta, a gdy Kaługin ruszył w stronę drzwi, pośpieszył za nim. Odpowiednia chwila nadeszła, kiedy wartownik odwrócił się, by nacisnąć klamkę. Przez kilka sekund znalazł się tyłem do nich.

Iwan Ilin trzymał w ręku wieczne pióro. Podsunął je Kaługinowi pod nos i pociągnął za dźwignię opróżniającą zbiorniczek. Z otworu pod stalówką wytrysnął strumień zimnej, bezbarwnej cieczy.

Zaskoczony Kaługin wciągnął gwałtownie powietrze.

– Co...? – zaczął głośno.

Wtedy serce przestało mu bić. Osunął się w przód, Ilin złapał go i położył na podłodze.

Przykląkł obok prezydenta. Wymacał tętnicę szyjną.

– Szybko! Lekarza! – krzyknął do wartownika. – Prezydent ma atak serca!

Gdy wartownik wypadł z gabinetu, Ilin pstryknął drugą porcję z pióra prosto w usta Kaługina, tak na wszelki wypadek. Potem schował pióro do kieszeni. Zdjął Kaługinowi krawat, rozpiął marynarkę i koszulę, a następnie zajął się reanimacją.

Gdy po trzydziestu sekundach zjawili się lekarze, zastali go rytmicznie uciskającego mostek nieboszczyka. Ilin złamał mu przy tym kilka żeber.

Na biało ubrani lekarze pod okiem pięciu zaufanych agentów prezydenta szukali u Kaługina oznak życia. Jeden wbił mu igłę prosto w serce i wstrzyknął lek. Potem przyłożyli mu elektrody.

Ciało drgnęło.

Jeszcze jedna próba.

Nic.

Iwan Ilin otarł rękawem pot z czoła, marszałek Gładyszew w zamyśleniu obserwował lekarzy.

Trzech ludzi Kaługina otrząsnęło się z pierwszego szoku.

– Co widziałeś? – spytał jeden z nich wartownika.

– To był zawał. Ten człowiek podtrzymał prezydenta, który się przewracał. To na pewno był zawał. Nie spuszczałem z nich oka.

Lekarze doszli do wniosku, że sprawa jest beznadziejna. Spakowali sprzęt i wyszli z pokoju. Kaługin leżał na podłodze. Obok spoczywała jego koszula i marynarka. Nie było strażników. Wyszli razem z lekarzami. Ostatni popatrzył na Ilina i Gładyszewa, wzruszył ramionami i wybiegł za resztą.

Gładyszew podniósł słuchawkę i wybrał numer. Dodzwonienie się do właściwej osoby zajęło

mu kilka minut. W tym czasie Ilin zamknął Kaługinowi oczy i przykrył go marynarką.

– Mówi marszałek Gładyszew. Dzwonię, by odwołać rozkaz zaatakowania Japonii bronią jądrową wydany przez prezydenta Kaługina... Nie żyje... Tak, prezydent nie żyje, przed kilkoma minutami zmarł na zawał... Nie ma mowy o żadnej pomyłce, przysięgam... Nie opowiadaj bzdur! Znamy się od dwudziestu lat, Wasilij. Rozkazuję ci nie wysyłać tych samolotów.

Gładyszew słuchał przez chwilę, potem zakrył mikrotelefon dłonią.

– Nie może ich zatrzymać. Wystartowali przed dwiema godzinami. Wasilija w jego własnym dowództwie pilnuje pięciu uzbrojonych po zęby ludzi Kaługina. Piloci otrzymali zakaz zawracania bez względu na okoliczności.

Gładyszew słuchał jeszcze przez kilka sekund, potem pożegnał się.

Ilin przeszedł do sekretariatu. Marszałek podążył za nim.

W sekretariacie nie było nikogo.

Ruszyli korytarzami w drogę powrotną. Nikogo nie spotkali. Na szczycie wielkich schodów było okno. Widać stąd było oświetlony teren Kremla i główną bramę. W jej kierunku zdążali pośpiesznie ochroniarze Kaługina. W czasie gdy Ilin i Gładyszew przyglądali się, dziedziniec opustoszał. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha.

– Piloci otrzymali rozkaz zrzucenia bomby na Japonię i powrotu do Irkucka.

– Czy to zrobią?

– Jeśli mają żony i dzieci, to raczej nie pozostało im zbyt wiele do wyboru.

– Być może, marszałku – zauważył Ilin – powinniśmy użyć gorącej linii do porozumienia się z Waszyngtonem. Amerykański prezydent mógłby nam pomóc. Ramię w ramię wrócili pustymi korytarzami do gabinetu prezydenta.

– On naprawdę oszalał – rzekł Gładyszew.

– Tak.

Paweł Saratow stał pod śluzą powietrzną w czołowej części przedziału torpedowego i przyglądał się jak miczman Lichaczew sprawdza i przypina sobie butle tlenowe.

– Trzech na jednego – powiedział Saratow – szkoda, że nie mamy kogo z tobą wysłać.

– Będzie dobrze. – Lichaczew usiłował skupić się na sprawdzaniu i doprowadzaniu do ładu ekwipunku.

– Spróbuj dojść, jak działają zapalniki czasowe i wyłącz je.

– Ta może zająć kilka minut.

– Wojna jądrowa... Koniec świata... Nie chcę brać w tym udziału.

– Rozumiem. – Lichaczew zerknął na Saratowa, który wyglądał na o wiele starszego, niż przed miesiącem. Doszedł do wniosku, że oni wszyscy postarzeli się przez ostatnie trzy tygodnie.

– Wszyscy jesteście zdrajcami – wtrącił jeden z żołnierzy piechoty morskiej. Rozbrojony siedział na koi i obserwował przygotowania Lichaczewa. – Generał Jesienin...

Saratow zerknął na miczmana, przełożonego torpedystów, który zatkał żołnierzowi usta dłonią.

– Żadnych hałasów. Zakleić mu gębę.

– Rozkaz.

– Komandir – odezwał się miczman z założonymi słuchawkami telefonu bezbateryjnego – sonar melduje o dwóch niszczycielach odległych o dziesięć tysięcy metrów. Zbliżają się.

Saratow klepnął Lichaczewa w ramię.

– Szybko.

– Rozkaz, komandir.

Lichaczew włożył maskę i wspiął się po drabinie do luku. Kiedy torpedyści zamknęli właz,

Saratow wrócił do centrali dowodzenia. Zewsząd przyglądały mu się pobladłe twarze.

– Dwa niszczyciele – zameldował sonarzysta. – Około dziewięciu tysięcy metrów. I dwa kolejne śmigłowce.

– Czy są w zasięgu nasłuchu?

– Tak, komandir.

Wołkow miał dodatkowe słuchawki sonaru. Teraz bez słowa oddał je kapitanowi. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

Lichaczew, czekając w ciemnościach, aż zimna woda wypełni śluzę, wyciągnął w górę rękę, dotykając zewnętrznej pokrywy. Jesienin zamknął ją wychodząc z okrętu. Gdyby zostawił ją otwartą, nikt nie mógłby skorzystać z luku powietrznego. Czy zamknięcie zewnętrznego włazu było błędem taktycznym, czy też Jesienin czekał na kogoś, kto miał wynurzyć się z luku?

Woda sięgała mu już ramion, gdy przypomniał sobie, że najpierw wyszedł Jesienin z jednym ze swoich ludzi, dopiero potem następny. To ten trzeci mężczyzna musiał zamknąć luk za sobą.

Zimna woda gwałtownie wdarła się do zamkniętego wnętrza. Mała, ciemna, wypełniona wodą morską komora nie była odpowiednim miejscem dla kogoś cierpiącego na klaustrofobię. Lichaczew dawno przezwyciężył lęk przed zamknięciem.

Teraz woda nakryła go z głową. Oddychając czystym tlenem z przytroczonych do pleców butli czekał, aż ucichną odgłosy wlewającej się wody. Słyszał penetrujące akwen dźwięki japońskich sonarów.

Saratow miał rację, zaczynało im brakować czasu.

Złapał znajdujący się nad głową kolisty uchwyt zewnętrznej klapy. Naparł. Koło stawiało opór. Natężył się i z jękiem przekręcił je z całej siły.

Koło obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni. Pchnął pokrywę w górę.

Wypłynął na zewnątrz.

Było ciemnawo. Widoczność w mętnej, ciemnej wodzie sięgała zaledwie trzech metrów.

Lichaczew w prawym ręku ściskał nóż. Szybko popatrzył we wszystkich kierunkach, nie zapominając o górze.

Trzymając się jak najbliżej pokładu, popłynął w stronę dziobu.

Przed nim zamajaczyły dwa pierwsze pojemniki. Wciąż były zamknięte, opasane stalową taśmą.

Kiedy podpłynął bliżej, zobaczył pomiędzy pojemnikami jakąś postać. Ten ktoś był zwrócony do niego plecami. Pozostali musieli znajdować się za tym człowiekiem.

Lichaczew poczuł, jak podnosi mu się poziom adrenaliny. Był gotów.

Podpłynął nad lewy pojemnik, który miał sto dwadzieścia centymetrów wysokości, więc mógł spojrzeć temu pierwszemu ponad lewym ramieniem. Kiedy zbliżył się, dostrzegł tamtych dwóch nachylonych nad otwartym kontenerem. Majstrowali coś w jego wnętrzu. Światło uwydatniało ich sylwetki w mętnej wodzie.

Lichaczew błyskawicznie zarejestrował w umyśle całą sytuację, podpływając do najbliższego mężczyzny, który wciąż tkwił w bezruchu. Znajdujący się naprzeciw niego człowiek gwałtownie podniósł głowę w chwili, gdy Lichaczew wbił nóż w nasadę karku tego bliższego.

Gwałtownym ruchem wyciągnął nóż, uwalniając strugę ciemnej jak atrament krwi. Lewą ręką odepchnął zabitego. Impet pchnął go w stronę tego, który podniósł głowę.

Uderzył nożem, ale mężczyzna rzucił się w tył i cios chybił.

Przepływając obok trzeciego uderzył go łokciem w ustnik, wybijając mu go.

Żołnierz Specnazu, pracując gwałtownie nogami, pomknął w stronę drugiego mężczyzny i znów zamierzył się nożem. Tym razem ostrze uderzyło w trzymany przez tamtego klucz.

Wytrącił mu go z ręki. Ludzki rekin atakował bez wytchnienia. Kolejny cios wbił się głęboko w ramię.

Przestraszony mężczyzna zdołał zerwać Lichaczewowi maskę.

Tym razem Lichaczew wbił mu nóż w brzuch, wyciągnął ostrze jednym gładkim ruchem, odepchnął zwłoki i odwrócił się w stronę ostatniego przeciwnika.

– Osiem tysięcy metrów. Robią co najmniej trzydzieści węzłów. Teraz jeden zwalnia. Drugi pędzi wprost na nas. Ping! Ten cholerny dźwięk!

– A śmigłowce? Gdzie one są?

– Jeden jest nad nami. Myślę, że zanurzył hydrolokator. Saratow wsłuchał się w rytmiczny łoskot łopat wirnika. Ten dźwięk oznaczał, że śmigłowiec stoi w zawisie. Ping!

– Od jak dawna Lichaczew jest na zewnątrz?

– Jakąś minutę.

Wszyscy w centrum bojowym spoglądali na kapitana, jakby spodziewając się cudu, wyciągnięcia królika z cylindra. Paweł Saratow urządził im małe przedstawienie, sięgając do kieszeni Wołkowa po papierosa. Zapalił go i zaciągnął się głęboko.

Jesienin nie był amatorem. Walczył niczym dobrze wyszkolony zawodowiec, nie marnował sił, wyliczał każdy ruch. Wzrok utkwił nie w oczach, ale w brzuchu Lichaczewa. W prawym ręku ściskał nóż. W dodatku ten sukinsyn uśmiechał się! Lichaczew dostrzegł błysk zębów na chwilę przedtem, nim Jesienin włożył z powrotem ustnik.

Po raz pierwszy w życiu Lichaczew poczuł lęk.

Czy generał uśmiechał się dlatego, że zamierzał zabić Lichaczewa, czy dlatego, że ta cholerna bomba została uzbrojona i niebawem wybuchnie?

Jesienin zaatakował, Lichaczew zrobił unik w bardzo wolnym tempie, bo w wodzie wszystkie ruchy są spowolnione. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że uniknięcie takiego wolnego ataku jest łatwe, dopóki człowiek nie uświadomi sobie, że jego ruchy są równie ociężałe. Wówczas podwodna walka wręcz zamienia się w przerażający koszmar.

Lichaczew złapał lewą ręką prawy nadgarstek Jesienina i ścisnął z całej siły. Zanim jednak zdążył zadać mu decydujący cios prawą, Jesienin zrobił to samo.

Walczyli w zwarciu.

Lichaczew był silniejszy, poczuł, że Jesienin słabnie. Generał odepchnął go nogą. Rozdzielili się.

Lichaczew zerknął na bombę. Na tablicy świeciły się jakieś cyferki.

Jesienin wynurzył się nagle od strony kiosku. Lichaczew rzucił się w gwałtownym uniku i ciął nożem, gdy Jesienin przepływał pod nim. Poczuł, jak ostrze tnie ciało.

Jesienin wykonał zwrot, by ustawić się twarzą w jego stronę. Z ramienia skrytego pod mokrym kombinezonem sączyła się cienka strużka krwi. A może Lichaczewowi tylko się przywidziało. W ciemnej, mętnej wodzie trudno było coś dokładnie dojrzeć.

Teraz Jesienin zbliżył się, nisko trzymając nóż, gotów do ciosu od dołu.

Lichaczew odpłynął w tył, pomagając sobie rękoma i czekał na dogodniejszy moment.

Coś ugodziło go w lewe ramię. Oszołomiony bólem i szokiem Lichaczew spojrzał w tę stronę. Z rozdartego mokrego kombinezonu sterczało połyskujące mgliście ostrze noża.

Rozdział 25

Czekali aż Atsuko Abe wejdzie do wojennego gabinetu mieszczącego się w podziemiach gmachu Ministerstwa Obrony. Ministrowi spraw zagranicznych Cho towarzyszyło czworo innych ministrów i sześciu starszych polityków z parlamentu. Między nimi stał szef sztabu Japońskich Sił Samoobrony, generał Yamashita.

– Co tu robicie? – spytał zebranych Abe. Minął ich, nie czekając na odpowiedź. Skierował się wprost do stojącego na podwyższeniu fotela premiera i zajął miejsce.

– Rosyjski okręt podwodny znajduje się w zatoce Sagami, przy wejściu do Zatoki Tokijskiej – rzekł Abe. – Przypuszczam, że już o tym słyszeliście.

Odwrócili się w jego stronę. Cho zauważył, że podniesiony fotel premiera przypomina tron. Zdziwił się, że takie myśli pojawiają się w podobnej sytuacji.

– Okręt podwodny może poczekać, panie premierze – odparł Cho. – Przyszliśmy tutaj w o wiele poważniejszej sprawie.

Abe bacznym spojrzeniem zlustrował twarze zebranych.

– Świadomość powagi sytuacji zmusiła mnie do pogwałcenia zasad bezpieczeństwa – kontynuował Cho. – Powiedziałem członkom gabinetu o pańskich planach użycia broni jądrowej w celu zniszczenia amerykańskiej bazy lotniczej w Czicie. Moi koledzy zadecydowali, że w tak zasadniczej kwestii, każda decyzja musi podlegać weryfikacji. Generał Yamashita zgodził się na spotkanie z nami. Potwierdził, że wydał pan rozkaz ataku.

W oczach Atsuko Abe błysnęła złość.

– Bez przewagi w powietrzu nie zdołamy utrzymać się na Syberii. Zimą nie będziemy w stanie zaopatrywać naszych oddziałów. Czy ktoś jest odmiennego zdania?

Nikt się nie odezwał.

– Generale Yamashita – naciskał Abe – czy zgadza się pan z moim stanowiskiem?

Yamashita twierdząco skinął głową.

– Musimy wyeliminować te amerykańskie F-22 albo przegramy wojnę. Jeśli przegramy wojnę, upadnie rząd. Jeżeli upadnie rząd, Japonia bezpowrotnie straci swą ostatnią szansę na rozwój. Z pewnością rozumiecie nasz dylemat. Rozpaczliwa sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków i ja mam dość odwagi, by zrobić to, co należy.

– Panie premierze – odezwał się Cho – czasami nie można zapobiec porażce. Mądry człowiek z godnością przyjmuje to, co nieuniknione.

– Porażka nigdy nie jest nieunikniona.

– Sprzeciwianie się nieuniknionemu jest ujmą na honorze.

Abe rozjuszył się.

– Jak śmiesz mówić mi o honorze! – ryknął.

Cho nie cofnął się ani o milimetr, co zdumiało premiera. Nie posądzał starego człowieka o taki hart ducha.

– Mówię o naszym honorze, o honorze wszystkich tu zgromadzonych i całej Japonii. Musimy wybrać rozwiązanie godne nas i naszego narodu.

– To znaczy? – szepnął Abe.

– Musimy wycofać się z Syberii. Broń jądrowa jest czymś wyjątkowo odrażającym dla narodu japońskiego. Posiadać ją dla odstraszania to jedna sprawa, lecz użycie jej w sytuacji, kiedy nie ważą się losy kraju, to zupełnie coś innego.

– Ależ ważą się losy Japonii! – Atsuko Abe spoglądał w twarze zebranych, usiłując wyczytać z

nich ich myśli. – Jesteśmy małą wyspą na ogromnym oceanie, otoczoną przez wielkie narody. Z jednej strony Chiny, z drugiej USA. Mając Syberię, bylibyśmy równie wielcy. Bez niej... – zawiesił głos.

– Pański upadek, panie premierze – wycedził Cho – wziął się stąd, że nie dopuszczał pan innej wizji, prócz swej własnej. Jednak minął czas dyskusji. Pora działać. Japoński rząd nie sprzeniewierzy ideałów swego społeczeństwa.

Abe zdawał się maleć w swym fotelu premiera.

Generał Yamashita wystąpił naprzód i podał mu kartkę.

– Proszę o podpis odwołujący uderzenie nuklearne, panie premierze.

Abe wzruszył ramionami i odsunął kartkę.

– Nie mogę – wyszeptał zachrypniętym głosem. – Samoloty wystartowały przed pół godziną.

– To proszę je odwołać – rzekł szorstko jeden z parlamentarzystów.

Atsuko Abe uśmiechnął się ponuro.

– Zawsze istnieje możliwość, że słaby człowiek w ostatniej chwili zmieni zdanie. Piloci otrzymali rozkaz ignorowania wszelkich rozkazów odwołujących akcję.

Politycy stali oszołomieni, usiłując pojąć niezwykłość podjętych przez Abe kroków.

Cho pierwszy odzyskał mowę.

– Chodź – powiedział do generała Yamashity – zadzwonimy do amerykańskiego prezydenta.

David Herbert Hood wciąż rozmawiał z marszałkiem Gładyszewem, kiedy zatelefonowano z japońskiego Ministerstwa Obrony. Hood w milczeniu słuchał tłumaczenia słów ministra spraw zagranicznych, Cho. Kiedy zorientował się, że chodzi o atomowe uderzenie na Czitę, wcisnął guzik na telefonie, by wszyscy zgromadzeni mogli usłyszeć tłumacza i w tle szybko mówiącego po japońsku Cho.

Hood był przerażony. Informacja, że atak nie może być odwołany wydawała się mu szaleństwem. Rosjanie zrobili dokładnie to samo.

– Panie Cho – odparł Hood, starając się panować nad głosem – właśnie odebrałem telefon od rosyjskiego szefa sztabu. Czy jest pan świadom, że Rosjanie przed dwiema godzinami wysłali bombowce z bronią atomową na Tokio i japońskie instalacje rakietowe na półwyspie Tateyama?

Tłumaczowi przełożenie tego zajęło dziesięć sekund.

– Tokio? – spytał przerażony Cho.

– Tokio – potwierdził David Hood. – oczywiście te sukinsyny wysłały samoloty bez możliwości ich odwołania. Dzieje się to w tej chwili. Sześć MIG-ów-25 z bombami w eskorcie Su-27.

Oddał słuchawkę Innesowi.

– Powiedz im, gdzie Rosjanie zamierzają uderzyć. Może zdołają ich przechwycić.

Kiedy Innes rozmawiał, Hood lustrował wzrokiem olbrzymi ekran, zajmujący prawie całą przeciwległą ścianę. Wyświetlano na nim najnowsze dane z satelitów, opracowane przez najszybsze komputery, lecz wciąż w uproszczonej postaci. Wzrok Hooda przykuły symbole oznaczające niezidentyfikowane samoloty nad Wschodnią Syberią. Było ich kilka. Jedna z formacji, które obserwowali Amerykanie, była bez wątpienia grupą uderzeniową. Znajdowała się około stu sześćdziesięciu kilometrów na północ od Chabarowska.

Obok prezydenta stał generał Stanford Tuck, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów.

– Atomówki – powiedział mu Hood. – Te sukinsyny usiłują się nimi nawzajem obrzucić.

– Gdzie znajdują się cele?

– Rosjanie wysyłają dwie oddzielne formacje, jedną na Tokio, drugą na wyrzutnie rakietowe na półwyspie Tateyama. Japończycy zaś usiłują zniszczyć bazę F-22 w Czicie. Tuck był przerażony.

– Tokio... W jaki sposób znaleźliśmy się na skraju przepaści? – spytał Stanford Tuck.

– Ważniejsze, jak w nią nie wpaść – odparł Hood. Pokazał na komputerową prezentację na ścianie. – Rosjanie są za daleko, by nasze F-22 zdołały ich przechwycić. Pościg byłby beznadziejny. Japończycy muszą zatroszczyć się sami o siebie. Jedynym rozwiązaniem jest wywołanie F-22, żeby przechwyciły zmierzające w ich kierunku japońskie uderzenie.

– Te samoloty w pobliżu Chabarowska muszą być japońskie – powiedział Tuck.

Złapał słuchawkę telefonu satelitarnego.

Lichaczew, otumaniony bólem płynącym z przebitego nożem lewego ramienia, omal nie wypluł ustnika. Ocalił go instynkt i lata treningu. Odruchowo odwrócił się, złapał swego niedoszłego mordercę za gardło i ponownie zagłębił mu ostrze w brzuchu. Tym samym płynnym ruchem odwrócił ofiarę w stronę Jesienina i ze wszystkich sił zaczął machać płetwami.

Ból był tak straszny, że ćmiło mu się w oczach.

Jesienin usiłował odepchnąć konającego żołnierza piechoty morskiej, by móc dosięgnąć Lichaczewa. Zajęło mu to obie ręce. Tymczasem Lichaczew wysunął nóż zza ludzkiej tarczy i ugodził Jesienina pod lewą pachą.

Jesienin wyrwał się, nim Lichaczew zdążył cofnąć nóż. Odpłynął na bok, przytrzymując zranione miejsce prawą ręką.

Lichaczew zawrócił w stronę bomby.

Świecące cyferki... Gdzie jest wyłącznik?

Kiedy go szukał, usłyszał donośne dzwoniące dźwięki i odgłos przypominający pociąg. Spojrzał w górę, ku odległej o trzydzieści metrów powierzchni.

Zobaczył przemykający nad głową niszczyciel i wodę rozbryzgującą się wzdłuż kadłuba przepływającego okrętu.

Bomby głębinowe! Japończycy zrzucili bomby głębinowe!

– Bomby głębinowe w wodzie, komandir.

– Módlcie się, by zapalniki były ustawione zbyt płytko. Jeśli przeżyjemy, szasować zbiorniki, wynurzenie i opuszczamy okręt. Zamknąć wszystkie grodzie wodoszczelne.

Saratow usłyszał szczęk zamykanych luków.

Eksplodował pierwszy ładunek.

Siła wybuchu wstrząsnęła okrętem, spowodowała spięcia w instalacji elektrycznej. Włączyło się oświetlenie awaryjne.

Kolejna bomba głębinowa eksplodowała, uderzając w okręt niczym młot olbrzyma.

Potem nastąpiła trzecia, eksplozja, najgorsza ze wszystkich.

Cisza.

– Meldować o uszkodzeniach! – krzyknął w ciemność Saratow.

Wysiadło nawet oświetlenie awaryjne.

Meldunki złożono telefonem bezbateryjnym. Okręt wciąż pozostawał nietknięty.

– Wynurzenie awaryjne. Wszyscy przygotują się do opuszczenia okrętu.

Lichaczew miał tylko kilka sekund, więc szybko zerknął na tablicę rozdzielczą bomby atomowej, która wciąż spoczywała w swojej ramie służącej do transportu w kontenerze. Jesienin i jego pomocnicy zdołali otworzyć zaledwie jeden kontener, usuwając dwie spinające go stalowe taśmy. Czy aby na pewno nie uzbroili bomb przed opuszczeniem okrętu?

Ta niewątpliwie była uzbrojona.

Lichaczew usiłował sobie przypomnieć. Kiedy zasztyletował pierwszego mężczyznę, Jesienin znajdował się po jego lewej stronie i robił coś przy tablicy rozdzielczej. Co?

Gdzie jest główny włącznik?

Czas uciekał... Który to z nich?

Usłyszał donośny trzask i instynktownie podciągnął kolana pod brodę przyjmując pozycję płodową. Przytrzymał kolana rękoma.

Fala uderzeniowa grzmotnęła go niczym rozpędzona ciężarówka. Na sekundę czy dwie stracił przytomność.

Dwa kolejne wybuchy. Te z kolei były wyżej i po prawej stronie, w przeciwieństwie do pierwszego, który omal go nie wypatroszył.

Skoncentrował się na zachowaniu przytomności i utrzymaniu ustnika, kiedy dosięgły go fale kolejnych eksplozji.

Pomógł mu w tym wbity w ramię nóż. Ból palił go tak nieznośnie, że nie pozwalał stracić przytomności.

Nagle wybuchy ustały.

To zdumiewające, ale był żywy.

Na próżno usiłował odnaleźć kontenery i głowice. Woda była zbyt zmącona.

Wynurzający się okręt podwodny uderzył go i zagarnął do góry, pośród wznoszącej się chmury bąbelków, całego wszechświata bąbelków.

Lichaczew instynktownie przytrzymał się oburącz śliskich płytek wynoszącego go w górę ku światłu pokładu.

Wynurzali się zbyt szybko. Zaraz chwycą go kurcze spowodowane nagłą zmianą ciśnienia. Czuł jak pulsuje mu żołądek. Jezu Chryste!

Światło stawało się coraz jaśniejsze i bliższe.

Kiedy okręt się wynurzył, Paweł Saratow skorzystał z centralnego systemu nagłaśniającego. Wróciło zasilanie awaryjne, więc głośniki działały.

– Opuścić okręt.

Obsada centrum bojowego już otwierała właz prowadzący do kiosku.

– Jazda, wszyscy wychodzą! – krzyczał Saratow. Ku jego zdumieniu, miczman obsługujący sonar zawahał się.

– Przepraszam, komandir. Powiedziałem, że...

– Daj spokój, synu. Na drabinę.

Paweł Saratow poczekał, aż wyjdzie ostatni człowiek z centrum dowodzenia oraz przylegających do rejonu kiosku pomieszczeń i wspiął się po drabinie na mostek. Światło poraziło go. Ludzie, którzy wychodzili przed nim, już znajdowali się w wodzie i starali się odpłynąć jak najdalej od okrętu. Z przedziału torpedowego na dziobie i maszynowni na rufie wciąż wychodzili ludzie. Fale nie były zbyt wysokie, sięgały jednak otwartego luku maszynowni.

Niszczyciele zataczały koło. Jeden zawracał po łup. Nad nimi krążyły śmigłowce...

Uwagę Saratowa przyciągnęły przyspawane przed kioskiem kontenery z bombami. Trzy z nich były wciąż zabezpieczone, lecz jeden został otwarty. Pokrywa zniknęła, lecz zostały przyczepione do kontenera stalowe taśmy mocujące. W jedną z nich wplątane było ciało człowieka w kombinezonie płetwonurka, z butlą przytroczoną do pleców. Saratow zszedł po klamrach z lewej strony kiosku i ostrożnie ruszył po śliskim pokładzie.

Człowiek wplątany w taśmę poruszył się. Jesienin.

Spod lewego ramienia sterczała mu rękojeść noża.

Saratow uniósł głowę Jesienina.

– Gdzie jest Lichaczew?

– Tutaj, komandir.

Okrzyk pochodził z prawej strony zza kiosku.

Saratow poszedł w kierunku rufy. Lichaczew usiłował się podnieść Znalazł uchwyt na kiosku, którego się trzymał podczas wynurzenia, bo inaczej woda zmyłaby go z pokładu.

W ramię miał wbity nóż.

– Proszę go nie wyciągać – powiedział Lichaczew – bo wykrwawię się na śmierć.

– Czy zdołasz wejść do wody i pływać? Japończycy mogą zacząć strzelać.

– Słabo pana słyszę. Chyba mam pęknięte bębenki.

– Powiedziałem... – podniósł głos Saratow.

– Musimy sprawdzić bombę. Jesienin chyba jedną uzbroił i uruchomił mechanizm zegarowy. Proszę mi pomóc.

Obaj poszli sprawdzić. Saratow podtrzymywał żołnierza Specnazu.

– Widzi pan cyfry? Odliczają wstecz.

– Potrzebujemy czegoś, by włamać się do środka i przeciąć przewody.

– Nóż z Jesienina. Niech go pan wyciągnie – powiedział Lichaczew.

Saratow zrobił trzy kroki i wyciągnął nóż ze skulonego mężczyzny. Podał go Lichaczewowi, który uniósł prawą rękę i z całej siły wbił ostrze w pudełko z elektroniką. Zagłębiło się na kilka centymetrów. Lichaczew naparł na nóż.

– Komandir!

Ktoś wołał z wody. Saratow spojrzał w tamtą stronę. To Wołkow. Pokazywał na coś ręką.

– Woda... Wdziera się przez luk maszynowni. Okręt nabiera wody. Saratow poczuł, że pokład się porusza. Dziób zaczął się unosić.

– Szybko – powiedział do Lichaczewa.

– Ja... – Lichaczew wręczył mu nóż i uderzył w wieczko sterownika. Pękło. Odgiął je, powiększając dostęp. Pokład uniósł się. Wystawał już z morza.

– Pomóż mi – szepnął Lichaczew.

Saratow potrzymał go lewą ręką, a prawą ciął obnażone przewody.

– Pomóż mi utrzymać równowagę i oddaj nóż – jęknął Lichaczew. Saratow wręczył mu nóż i podtrzymał oburącz.

Lichaczew zaczął ciąć przewody. Niektóre rozłączyły się. Zajął się następnymi.

Dziób całkowicie wystawał z wody. Gdzieś obok marynarze zaczęli krzyczeć.

Saratow obejrzał się. Japoński niszczyciel po wyłączeniu napędu zatrzymał się o jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Wzdłuż burty widać było twarze. Na mostku ktoś krzyczał przez megafon i machał rękoma. Za nim stali ludzie z karabinami.

– Okręt tonie – powiedział Lichaczew.

– Tnij ostatnie przewody.

– Wessie nas pod wodę.

– Możliwe. Tnij te cholerne kable.

– Usiłuję.

Dziób unosił się coraz wyżej w powietrze.

Kiedy kąt nachylenia pokładu wyniósł sześćdziesiąt stopni, Saratow puścił Lichaczewa, który wciąż trzymał mechanizm zegarowy. Porzucił nóż i oburącz ściskał urządzenie.

Potem kable mocujące pękły i Lichaczew ześlizgnął się z pokładu do morza.

Saratow sprawdził urządzenie. Zegar stanął, światełka zgasły.

Nie mógł już dłużej ustać. Zaczął ześlizgiwać się z pokładu. Odbił się nogami z całej siły i wpadł

do wody.

Kiedy okręt podwodny górował nad nim, Saratow podpłynął do Lichaczewa.

Holując nurka za wąż tlenowy płynął, starając się jak najbardziej oddalić.

Nim zdołał to uczynić, usłyszał krzyk. Obejrzał się. "Admirał Kołczak" zanurzał się pod wodę.

Jesienin odzyskał świadomość i próbował uwolnić się z wiążącej go do pokładu stalowej taśmy.

Z głośnym westchnieniem uwalnianych z wnętrza resztek powietrza dziób „Admirała Kołczaka" zniknął w morzu. Wir pociągnął Saratowa za sobą. Kapitan kurczowo ściskał wąż tlenowy Lichaczewa, Kiedy wydawało mu się, że mu pękną płuca, otworzył oczy.

Wciąż był pod wodą, lecz zbliżał się ku powierzchni. Krztusząc się, zaczerpnął powietrza, potem uniósł nad wodę głowę Lichaczewa.

– Oddychaj. Cholera, oddychaj!

Lichaczew zakaszlał, zakrztusił się, wypluł wodę i wziął oddech.

– Tylko mi tu nie umierajcie, Lichaczew.

– Tak jest, komandir – powiedział Lichaczew i zemdlał w objęciach Saratowa.

Suchoje i MIG-i dzieliło pół godziny od kolejnego spotkania z cysternami powietrznymi, gdy major Grigorij Czernow przełączył radar na nadawanie. Wraz z innymi pilotami Su-27 nasłuchiwali biernie sygnałów radarowych japońskich Zero, nie uruchamiając własnych. Jak na razie niczego nie wykryli.

Czernow dostroił czułość i skoncentrował się na ekranie, ustawiając maksymalny zasięg. Obserwował, jak radar omiata niebo. Ekran był pusty, podobnie jak zakurzone niebo. Pył rozpraszał promienie słoneczne i utrudniał widoczność. Zdaniem Czernowa sięgała najwyżej dziewięciu kilometrów.

Może te cholerne cysterny wcale się nie zjawią? Lekceważenie rozkazów było w Rosji czymś na porządku dziennym. Fakt, że pierwszy zespół cystern stawił się w określonym miejscu i czasie, graniczył z małym wojskowym cudem, wartym omówienia w gronie mundurowych profesjonalistów. W dwie godziny później trudno było oczekiwać podobnego rarytasu.

Czernow zastanawiał się. Odwrócił głowę i spojrzał na swój zespół; bombowce i eskortę. Kiedy przyzwyczaił oczy do blasku, zobaczył drugą formację Su-27 o siedem kilometrów na południe na tym samym pułapie.

Zerknął na wskaźniki paliwa. Wystarczy go na spotkanie z cysternami i kolejny kwadrans lotu. To wszystko.

Niewątpliwie pozostałe myśliwce i bombowce były w podobnej sytuacji.

Bez uzupełnienia z cystern, trzy MIG-i i eskortujące je Su wkrótce zostaną bez paliwa. Zespół atakujący Tateyama czekałby ten sam los.

Czernow popatrzył na trzymaną na kolanach mapę tego regionu. Miejsce spotkania zostało starannie zaznaczone. Niestety, w pobliżu nie było żadnego lotniska, w razie gdyby nie doszło do uzupełnienia paliwa.

Ekran radaru działał hipnotyzująco. Przy włączonym autopilocie Czernow miał czas studiować ekran, dostrajać częstotliwość, przepatrywać niebo i studiować mapę.

Wreszcie zobaczył to: kropkę na ekranie z lewej strony w odległości dwustu kilometrów. Kropka przesuwała się powoli w stronę środka ekranu radaru Czernowa.

To było oczywiście odbicie od zespołu cystern. We właściwym miejscu i czasie. Żadnych Zero w okolicy.

W odległości stu sześćdziesięciu kilometrów cysterny zawróciły w stronę nadlatujących myśliwców. Teraz znalazły się na ekspresowym kursie zbieżnym. Pozostaną na nim przez pięć minut,

potem zawrócą o 180 stopni w prawo, ustawiając się do tankowania. To zajmie kolejne pięć minut. Wówczas połączą się z myśliwcami.

Odległość wynosiła zaledwie trzydzieści pięć kilometrów, kiedy cysterny zaczęły wykonywać zwrot w prawo. Wówczas pojedynczy błysk na ekranie Czernowa zamienił się w trzy cele.

Jiro Kimura nie spał od trzydziestu godzin. Ubiegłej nocy położył się, lecz nie mógł usnąć. Myślał o swej żonie, Shizuko. Bobie Cassidym, obowiązku, honorze, ojczyźnie i usiłował doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu.

Czuł się jak mucha złapana w kropelkę żywicy. Wiązała go silna lojalność wobec sprzecznych spraw. Nie umiał ich pogodzić.

Słońce przesuwało się powoli po pełnym kurzu żółtawym niebie. Burze piaskowe nad Mandżurią wzbiły tumany pyłu do atmosfery, ograniczając widoczność. Tu, między Władywostokiem a Chabarowskiem, kurz był szczególnie gęsty. Według służb meteo zapylenie miało zmaleć, kiedy samoloty zakręcą przy chińskiej granicy w okolicach Chabarowska i skierują się na zachód w stronę Czity.

Pięć kilometrów przed nimi i półtora kilometra w prawo, o kilkaset metrów niżej, leciał przerobiony na powietrzną cysternę Boeing 747. Jiro ledwie go widział w żółtym kurzu. On i jego skrzydłowy trzymali się w lewym tylnym kwadrancie cysterny, chroniąc ją przed amerykańskimi lub rosyjskimi myśliwcami, które zbliżyłyby się na odległość strzału z działek lub Sidewindera. Dowodzący lotem pułkownik Nishimura wraz ze swym skrzydłowym również trzymali się z tyłu cysterny, w prawym kwadrancie, ich zdaniem, najbardziej narażonym na atak F-22. To, że Amerykanie zaatakują cztery uzbrojone w bomby atomowe Zero, zanim zdążą dotrzeć do Czity, pułkownik uważał za bezdyskusyjne. Oczywiście, że Amerykanie zaatakują!

Jiro również uważał atak za bardzo prawdopodobny. Podczas odprawy pułkownik popełnił błąd typowy dla japońskiego wojownika: zlekceważył nieprzyjaciela. Najwyraźniej sądził, że Bob Cassidy i jego towarzysze dadzą się łatwo zabić, nawet trochę sobie z nich żartował.

Jiro miał nadzieję, że jego towarzysze, którzy polegli w walce z F-22, naśmiewają się w zaświatach z naiwności Nishimury albo z jego głupoty. Zresztą to wszystko jedno.

Kiedy Cassidy wkroczy do akcji, Nishimura dostanie nauczkę. Prawdopodobnie zginie, nie uświadamiając sobie własnej głupoty.

Jiro proponował, żeby Zero miały włączone radary, dopóki nie znajdą się w odległości siedemdziesięciu kilometrów od Czity.

– Dopiero nad Czitą natknęliśmy się na pociski przeciwradarowe, które prawdopodobnie są zainstalowane na ziemi. Musimy skorzystać z radarów, żeby wykryć F-22, zanim one nas wykryją.

Nishimura odmówił.

– Przed wykryciem uchroni nas Atena. Jeżeli nie włączymy radarów, nie będą mieli żadnej możliwości nas namierzyć.

– Panie pułkowniku, pozwolę sobie nie zgodzić się z panem. Musimy polegać na ochronie Ateny i używać radarów, by wykryć i zniszczyć F-22, zanim zbliżą się do nas na odległość zasięgu Sidewinderów.

Nishimura nie chciał nawet słuchać. Wiedział lepiej. Jiro zerknął w dół z lewej strony na widoczny koniuszek podwieszonej pod lewym skrzydłem bomby atomowej. Była biała i miała aerodynamiczny kształt.

Z odległości dziesięciu kilometrów Grigorij Czernow zobaczył cysterny gołym okiem. Leciały w szyku rzędowym o półtora kilometra jedna od drugiej i wyżej o trzysta metrów od poprzedniej. Pierwsza cysterna była przeznaczona dla samolotów atakujących Tokio.

Czernow, zamiast trzymać się za pierwszą cysterną, wzniósł się kilkaset metrów wyżej i ustawił się za trzecią, rezerwową, zamykającą formację.

Jego skrzydłowy, Maliakow, wciąż trzymał się jego prawej strony, lecz o wiele za blisko. Dzieliło ich teraz niespełna trzydzieści metrów. Kiedy Czernow spojrzał w jego kierunku, zobaczył, że Maliakow gwałtownie macha rękoma. Bez wątpienia za kilka sekund przerwie ciszę radiową.

Czernow poklepał się po głowie, potem gestem zasygnalizował Maliakowowi przekazanie mu prowadzenia. Maliakow dotknął głowy na znak, że zrozumiał.

Teraz Maliakow wysunął się przed Czernowa, który przestawił przełącznik uzbrojenia na pozycję DZIAŁKO. Nie tracił czasu. Kiedy Maliakow zaczął się oddalać, Czernow delikatnie naparł na drążek, skręcając w ślad za nim. Gdy na celowniku wskaźnika refleksyjnego zobaczył kabinę Maliakowa, wcisnął spust. Z lufy rzygnął strumień trzydziestomilimetrowych pocisków, pięćdziesiąt na sekundę. Czernow nie marnował amunicji. Z tej odległości wystarczyła ćwierćsekundowa seria.

Puścił spust i gwałtownie zwolnił.

Suchoj Maliakowa skierował się łagodnym łukiem w kierunku odległej o czternaście kilometrów ziemi.

Czernowa ogarnęła fala przerażenia i grozy. Jednak siłą woli zmusił się do kontynuowania roboty.

Przestawił przełącznik na POCISKI. Zapaliło się zielone światełko dla wszystkich czterech rakiet. Ustawił celownik na ostatnią cysternę i, nacisnąwszy guzik na drążku, odczekał sekundę.

Pocisk z gwizdem opuścił prowadnicę pod skrzydłem, w okamgnieniu przemierzył półtora kilometra dzielące myśliwiec Czernowa od cysterny i wybuchł metr od jej ogona. Lewe skrzydło odpadło, nos cysterny zaczął chylić się ku ziemi.

Czernow nie miał czasu przyglądać się, jak spada. Już namierzył drugą cysternę i wystrzelił rakietę. Po kilku sekundach trzecia rakieta mknęła ku cysternie na samym przedzie.

Ta właśnie rakieta trafiła MIG-a-25, który właśnie pobierał paliwo. Myśliwiec eksplodował.

– Zero! – krzyknął do radia Czernow. – Sześć Zero!

Rosyjskie myśliwce rozpierzchły się jak spłoszone stadko.

Czernow działał bez pośpiechu. Starannie sprawdził, że radar namierzył cel i delikatnie nacisnął spust.

Rakieta wysunęła się z prowadnicy i, ciągnąc za sobą strużkę dymu, pomknęła z trzykrotną prędkością dźwięku w kierunku odległej o dwanaście kilometrów ziemi.

Czernow znów włączył działka. Skończyły mu się rakiety.

Pchnął do przodu dźwignię ciągu, włączył dopalacze i po ośmiuset metrach miał na celowniku ogon bezbronnej, czterosilnikowej cysterny.

Kiedy był o czterysta metrów, nacisnął spust. Strumień pocisków, niczym promień lasera, sięgnął kadłuba cysterny.

Z dziurawionego kadłuba wytrysnęły płomyki ognia.

Cysterna położyła się na prawe skrzydło. Czernow nawet po wyłączeniu dopalaczy wciąż się zbliżał, był zaledwie o sto metrów. Przesunął celownik na skrzydło, wcisnął spust i patrzył, jak pociski przecinają je na pół.

Puścił spust i ostro naparł w lewo na drążek, by wyjść ze strumienia zaśmigłowego zestrzelonej cysterny.

Grigorij Czernow nie chciał zabijać więcej Rosjan.

Położył maszynę na plecy i zanurkował.

Po kilku kilometrach zobaczył cysternę – to musiała być ta druga – jak obniżała lot spiralą i

ciągnęła za sobą strugę paliwa. Zadarł nos w jej stronę i ponownie przyśpieszył, zamykając hamulce aerodynamiczne. Musiał mieć absolutną pewność. Jeśli choć jedna cysterna ocaleje i zatankuje któregoś MIG-a, całe to poświęcenie i przelana krew okażą się daremne.

Kiedy kierował się w stronę cysterny, strumień paliwa zajął się ogniem. W dwie sekundy później olbrzymi, czterosilnikowy samolot rozleciał się w oślepiającym błysku.

Grigorij Czernow znowu zaczął schodzić niżej. Gdzieś tam wyżej, któryś z samolotów drugiej formacji mógł gonić go, przymierzając się do strzału.

Czernow nie obejrzał się za siebie.

Transmisję z Białego Domu odebrał przez telefon satelitarny oficer dyżurny bazy. Wręczył aparat Paulowi Scheerowi, który, wysłuchawszy wszystkiego uważnie, zapisał informację na planszy oficera dyżurnego.

– Tak jest – powtórzył trzykrotnie, zanim odłożył słuchawkę.

– Cztery Zero w drodze, każdy przenosi ładunek nuklearny. Zamierzają zniszczyć naszą bazę.

– Gdzie są? – spytał Cassidy.

– W tej chwili na południe od Chabarowska. Biały Dom chce, żebyśmy je przechwycili i zestrzelili.

– Biały Dom? – Cassidy otrząsnął się z pierwszego szoku wywołanego słowem „nuklearny".

– Nie uwierzy pan, szefie, ale głos rozmówcy przypominał prezydenta Hooda.

To było godzinę temu. Teraz Cassidy, Scheer, Dixie Elitch i jeszcze jeden pilot o nazwisku Smith lecieli na wschód.

Cassidy zwymiotował na beton, zanim wsiadł do samolotu. Wiedział, że jest tam Jiro. Nie miał żadnych wątpliwości.

Przeżywał koszmar.

– Wszystko w porządku, skipper! – spytał dowódca obsługi naziemnej.

– Musiałem zjeść coś, co mi zaszkodziło – mruknął.

Grigorij Czernow obejrzał się dopiero, gdy zniżywszy się na pułap dwustu metrów, wciąż pędził z prędkością dwóch machów. Był sam jak palec.

Nikogo z prawej, lewej, ani z tyłu. Niebo wydawało się puste. Nie miał pojęcia, gdzie podziały się rosyjskie myśliwce.

Sprawdził nad głową, jeszcze raz za sobą – nikogo.

System elektronicznego przeciwdziałania milczał.

Paliwo? Na tablicy rozdzielczej paliła się lampka ostrzegawcza. Zostało najwyżej pół tony.

Leciał nad ciągnącą się na północ doliną, zamkniętą od wschodu i zachodu łańcuchami górskimi. W dole rozciągały się lasy iglaste. Jak okiem sięgnąć żadnej drogi, tylko nie kończące się lasy, a w oddali góry.

Przyśpieszył i wzniósł się nieco. Z wysokości półtora kilometra zauważył wijącą się wśród lasów zakurzoną wstęgę drogi.

Dodał nieco ciągu i wyrównał. Leciał osiemset kilometrów na godzinę.

Mógłby już wyskoczyć i mieć wszystko z głowy. Przedzierałby się przez lasy, póki by nie umarł z głodu.

Lewą rękę trzymał na dźwigni katapulty, lecz jeszcze jej nie pociągnął.

Dwieście kilogramów paliwa.

Znalazł się nad biegnącą w kierunku północno – zachodnim drogą. Prowadziła w kierunku odległych gór. Skręcił nad nią.

Droga musi dokądś prowadzić. Tam będą ludzie.

Nie myślał o tym, to tkwiło gdzieś w jego podświadomości.

Wskaźnik paliwa wciąż informował o stu kilogramach, gdy zgasły silniki.

Czernow poczekał, aż maszyna przejdzie w lot ślizgowy.

Wyprostował się, oparł głowę o zagłówek fotela i pociągnął za rączkę katapulty.

Rozdział 26

Formacja czterech F-22 osiągnęła wysokość dwunastu tysięcy metrów. Bob Cassidy nie przejmował się ciągnącymi się za maszynami białymi kryształkami lodu. Przy tak kiepskiej widoczności Japończycy nie zauważą smug kondensacyjnych.

Zajął się przekaźnikiem danych satelitarnych i wyregulował ekran taktyczny. Był pusty. To go zaniepokoiło. Przez ten kurz i prądy termiczne satelity mogły przeoczyć Zero.

Zerknął tęsknie na włącznik radaru. Miał ochotę uruchomić go i przeczesać niebo.

Jeżeli Amerykanie przeoczą w tej kurzawie Zero, wszyscy w Czicie spłoną żywcem. Pod warunkiem, że szychy z Białego Domu wiedzą, co mówią.

Cała ta sprawa była anormalna. Broń jądrowa w dzisiejszych czasach?

Kręcił się nerwowo, rozważając mizerne szansę, kiedy zorientował się, że nie jest przypięty do katapultowanego fotela. Oczywiście, uzbroił fotel tuż przed startem. Niestety, zapomniał się do niego przypiąć, więc w razie katapultowania będzie leciał bez skrzydeł czy spadochronu. Nawet anioły muszą mieć skrzydła, pomyślał.

Włączył autopilota i zaczął dopinać uprząż, ciasno dociągając pasy. Gotowe.

Zdumiewające, że mógł o tym zapomnieć. Miał zbyt wiele na głowie.

– Hej, Taco! Są jakieś wieści z Waszyngtonu?

„Taco" Rodriguez, oficer dyżurny, siedział przy telefonie w Czicie. Zaskrzeczał dekoder i Cassidy usłyszał głos Taco.

– Zatankowali w okolicy Chabarowska i zostawili cysternę. Twierdzą, że jest ich czworo. Jakieś osiemset kilometrów przed wami. Odezwę się niebawem.

– Dzięki, Taco.

F-22 leciały z prędkością 1,4 macha, dobrze ponad tysiąc sześćset kilometrów na godzinę. Zapewne Zero też przekroczyły prędkość dźwięku. Odległość wynosi osiemset kilometrów, czyli myśliwce powinny spotkać się za około piętnaście minut.

Kwadrans. To niewiele. Czasem wystarczy za całe życie.

Miał tylko cztery F-22 do przechwycenia tych Zero. Cassidy chętnie wziąłby ze sobą więcej maszyn. Pozostałe dwie rozgrzebali mechanicy. Kilka innych egzemplarzy było w drodze z Niemiec, ale tego ranka dysponował tylko czterema zdolnymi do lotu myśliwcami.

Cassidy pomyślał, że obsługa naziemna była nieźle zbulwersowana tym całym zamieszaniem, gdy pojawili się piloci. Informacja obiegła migiem całą bazę. Japończycy lecą walnąć w nas atomówką! A jednak wszyscy wykonywali swoją robotę, poklepywali pilotów po plecach, uśmiechali się do nich i wysyłali w drogę.

– Niech im pan dołoży, sir – zwrócił się do Cassidy'ego szef personelu naziemnego tuż przed zamknięciem osłony kabiny. Zupełnie jakby chodziło o mecz w piłkę, a jego życie nie zależało od wyniku.

Fajny z niego dzieciak. Nie był Azjatą, a jednak nieco przypominał Jiro. Podobny wiek i postura, takie same czarne, krótko obcięte włosy.

Jiro chyba nie sunie po tym zakurzonym niebie z bombą atomową podczepioną pod kadłubem

samolotu. Nie. Pewnie wrócił do Japonii i może jest już w domu z Shizuko. Na pewno tak.

Bob Cassidy przetarł oczy rękawiczką i spróbował się skupić.

Ekran taktyczny wciąż był pusty.

Czy informacje, które przekazał „Taco" Rodriguezowi jakiś ważniak z Waszyngtonu były wiarygodne? Czy Cassidy może na nich polegać? W Czicie było dwustu Amerykanów, nie licząc kilku tysięcy mieszkańców. Ile istnień ludzkich zawierza pan temu technochłamowi z Waszyngtonu, panie pułkowniku Cassidy?

Uniósł lewą rękę i zerknął na zegarek.

Czternaście minut. Zostało im czternaście minut życia.

Dixie Elitch podniosła osłonę hełmu i wytarła twarz rękawicą.

Brudne niebo denerwowało ją. Pył na tej wysokości był czymś niezgodnym z naturą, wręcz nieprzyzwoitym.

Ci japończycy wkurzali ją. Atomówki.

Sprawdziła tablicę uzbrojenia, zerknęła na ekran taktyczny i rozejrzała się po pustym, żółtym niebie.

Może powinnam zostać w Kalifornii i znaleźć sobie jakiegoś przyzwoitego faceta? – pomyślała. Przecież przynajmniej jeden powinien się znaleźć.

– Jeżeli przeżyję tę przygodę, wracam do Kalifornii i poszukam sobie męża – powiedziała głośno do maski tlenowej, przekrzykując wdzierający się do kabiny odgłos silników.

Cóż, Dixie, dziecinko, to „jeżeli" stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Paul Scheer był najspokojniejszy z pilotów F-22. Kiedy przed trzema laty wykryto u niego śmiertelną chorobę, przeszedł kolejno wszystkie stany emocjonalne: niezgodę, gniew, depresję i akceptację.

Definicją, która wywarła na nim największe wrażenie w ostatnich, pełnych zamieszania dniach, było zdanie z pewnego tygodnika przeglądanego w sali gotowości pilotów: „Jesteśmy podróżnikami między dwiema wiecznościami".

Z jednej wieczności w drugą. Zgadza się. W tym tkwi cała istota rzeczy.

Scheer siedział spokojnie z oczami utkwionymi w tablicę przyrządów.

Skrzydłowy Scheera, Layton Robert Smith III, był bardzo nieszczęśliwy. Nie powinno go tu być. Odsłużył już w amerykańskich Siłach Powietrznych dziewięć wspaniałych, pokojowych lat i bez pocenia się zmierzał w kierunku magicznej dwudziestki. Po kolejnych jedenastu latach zamierzał przejść na wojskową emeryturę i zająć się wożeniem rekinów biznesu dyspozycyjnymi odrzutowcami. Weekendy w Aspen, noce w Nowym Jorku lub San Francisco, od czasu do czasu wypad na Bahamy. Można żyć. Latałby tam, dokąd życzy sobie wystawca czeku, a potem w nogi.

Jego błąd polegał na tym, że stacjonując w Niemczech zgłosił się na ochotnika jako pilot F-22 do jakiejś głupiej Czity. Przysięgał Bogu, że jeśli ujdzie z życiem, każe sobie wytatuować na tyłku napis NIGDY NA OCHOTNIKA. Ten cholerny Cassidy zwerbował go podstępem, potem zadzwonił do Niemiec i powiedział, że potrzebuje Smitha III „do swojego zespołu".

A jego przełożony wyraził zgodę!

Layton Robert Smith III był przerażony, wściekły i ogólnie czuł się jak wyjęta z wody ryba. Popatrzył na tablicę uzbrojenia. Była włączona.

Jasny gwint!

Japończycy będą próbowali zabić Smitha III. Ta perspektywa mroziła mu tętniącą w skroniach krew.

Należało powiedzieć Cassidy'emu, żeby przypieprzył się do kogoś innego. Teraz wiedział o tym.

Bo i co mógłby mu zrobić pułkownik Cassidy? Postawiłby go przed sądem wojennym za odmowę wstąpienia do rosyjskiego lotnictwa? Nic by mu nie mógł zrobić, doszedł do wniosku Smith. Zaczął się zastanawiać, czemu nie wpadł, na to przed dwiema godzinami.

Może powinien zawrócić i dać dyla do Czity.

Co za cholerny pył! Nie ma czegoś takiego nad poczciwymi Stanami, nawet nad Niemcami. Co to za cholerny kraj, nad którym trzeba latać w kurzu?

Smith III powiedział sobie, że powinien przestać narzekać na niesprawiedliwy los, a skoncentrować się na przetrwaniu.

Jiro Kimura poprawił gogle noktowizyjne. Przymocowano je do hełmu nad maską tlenową, ale były za ciężkie. Musiał przytrzymywać hełm lewą ręką podczas przeciążeń, bo w przeciwnym przypadku kask, gogle i cała reszta wciskały mu głowę w ramiona.

Zerknął na zegarek. Dziś rano Shizuko uczy w przedszkolu. Już tam jest, opowiada dzieciom bajki, śpiewa piosenki, przytula maluchy, które należy podtrzymać na duchu.

Miał dużo szczęścia w małżeństwie. Shizuko jest idealną kobietą, bez skazy. Stanowi jego żeńską połowę.

Kochał ją i bardzo do niej tęsknił.

Jiro Kimura przepatrywał niebo przez gogle noktowizyjne. Podejrzewał, że na zobaczenie Amerykanów i reakcję będzie miał zaledwie sekundy i to bardzo niewiele sekund.

Meteorolodzy mylili się w sprawie pyłu. Wydawał się nie mieć końca.

Znów zerknął na zegarek. Tak, już czas. Jiro ręką dał znak swojemu skrzydłowemu, zmniejszył ciąg i zaczął obniżać pułap.

– Zadzwoń do ambasadorów Rosji i Japonii – polecił prezydent David Herbert Hood doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jackowi Innesowi. – Poproś, by bezzwłocznie stawili się w Białym Domu.

W Waszyngtonie była pierwsza w nocy.

Innes o nic nie pytał. Wstał od stołu i poszedł do telefonu na tyłach Sali Sytuacyjnej Białego Domu.

– Pora, żebyśmy wkroczyli – Hood zwrócił się do generała Tucka, przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. – Kongres czuje niechęć do angażowania się, jednak sytuacja uległa zmianie. Musimy interweniować, zanim ci ludzie rozpętają coś, czego nikt już nie powstrzyma.

– Tak jest.

– Chciałbym też wystąpić w telewizji dziś rano, gdy tylko wzejdzie słońce. Przemówię do narodu i do przywódców Rosji oraz Japonii.

– Czy nie powinniśmy najpierw udzielić głosu przywódcom stronnictw w Kongresie? – spytał sekretarz stanu.

– Poprą mnie, gdy zwrócę się do narodu. Gaszenie pożaru należy do mnie, nie do nich. I postawcie siły zbrojne w stan gotowości pierwszego stopnia.

– Z kim będziemy walczyć? – spytał generał Tuck.

– Z każdym, komu nie spodoba się kazanie, które wygłoszę.

Bob Cassidy oddychał podświadomie trochę szybciej. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej kusiło go użycie radaru. A jeśli satelity nie wyłapią Zero w tych tumanach? Może Zero nie włączyły systemu Atena?

– Taco, odezwij się.

– Smakosz, Waszyngton mówi, że tamci są o trzysta siedemdziesiąt do czterystu osiemdziesięciu kilometrów od was. NORAD ma jakieś kłopoty, ale nie chce sprecyzować, jakie.

Cassidy burknął coś pod nosem i strząsnął pot z powiek.

Ponownie zerknął na zegarek. Jeśli Zero włączą radary, powinien wykryć ich emisję. Może baterie Sentinel dały im nauczkę. Prawdopodobnie Zero zachowują ciszę elektroniczną – podobnie jak F-22. Wówczas przewagę będą mieli ci, którzy mają zapewnioną pomoc z zewnątrz. Satelity były taką pomocą dla Cassidyego, ale akurat teraz nie mógł na nich polegać.

Wpatrywał się w ekran taktyczny, starając się dostrzec choćby najsłabszy błysk. Nic.

– Czterysta kilometrów, Smakosz.

– Czy satelity nas widzą?

– Chwileczkę.

Gdyby satelity zdołały dostrzec F-22, Cassidy mógłby bezpiecznie podzielić swoją czwórkę na dwie pary, widząc pozostałe trzy maszyny na ekranie taktycznym, nawet jeśli kurz uniemożliwi laserowe przesyłanie informacji między samolotami. Oczywiście, pozostało kolejne pytanie. Jeśli satelity widzą Zero, czemu nie pokazują ich na ekranie taktycznym?

Skoro satelity oślepły, to F-22 muszą pozostać razem, żeby nie zestrzeliwały się nawzajem.

Napięcie było nie do wytrzymania. Cassidy wstrzymał oddech, kiedy na ekranie pojawił się symbol niezidentyfikowanych maszyn w odległości 420 kilometrów. Najechał na niego kursorem i kliknął.

Zero. Więcej niż jedno. Prędkość tysiąc siedemset trzydzieści kilometrów na godzinę. Kierunek 244 stopnie, wysokość trzynaście tysięcy trzysta metrów. Odległość co jedną i dwie dziesiąte sekundy zmniejszała się o jeden kilometr. 419.. 418... 417...

– Trzymać się mnie – powiedział do mikrofonu i skręcił na lewo o trzydzieści stopni. Polecą na północ, potem zawrócą i zajdą przeciwnika z boku, strzelając z optymalnego dystansu, gdy F-22 znajdą się w prawym, tylnym kwadrancie Zero.

Kiedy znaleźli się szesnaście kilometrów na północ od kursu Zero, Cassidy zawrócił na poprzedni kierunek. Dwie formacje pędziły naprzeciw siebie.

Wysłuchaj mnie, Boże, musimy zabić tych ludzi. Wiem, że grzechem jest prosić Cię o cudzą śmierć, ale oni mają broń jądrową. Jeśli przemknie się choć jeden, zabiją wszystkich ludzi w Czicie.

Formacja trzymała się, jak należy, rozsypana, lecz nie za daleko, by wszyscy mogli widzieć się nawzajem przy ograniczeniu widoczności do dziesięciu kilometrów.

Cassidy zastanawiał się, co myśli sobie jego skrzydłowy. Może lepiej, że nie wiedział.

Osiemdziesiąt kilometrów... sześćdziesiąt pięć... pięćdziesiąt. Przy trzydziestu pięciu Cassidy znów odezwał się przez radio.

– Dobra, ludzie, przygotować się do zwrotu w prawo za plecy tych gości. Spróbujcie namierzyć ich Sidewinderami. Na mój znak każdy odpala po jednej rakiecie. Potem podchodzimy bliżej i zabijemy tych, którzy ocaleli.

– Dwójka, zrozumiałam – odparła Dixie.

– Trójka – powiedział Scheer.

– Czwórka – potwierdził Smith.

Cassidy nie wziąłby Smitha, gdyby Taco nie dostał biegunki. Ten idiota napił się wody z prysznica, Joe Malan walczył z infekcją zatok, a pozostali byli wyczerpani. Przez ubiegły tydzień Cassidy starał się utrzymać nieustannie samoloty w powietrzu.

Smith nie miał doświadczenia bojowego, w ogóle nie miał żadnego doświadczenia. Jednak był jedynym człowiekiem, którego Cassidy mógł posadzić za sterami. Życie nie jest sprawiedliwe.

– Uwaga... Zwrot!

Cassidy położył maszynę w zakręcie. Zero nadal podążały kursem 244 stopnie. Po

dziewięcdziesięciostopniowym zwrocie Zero znalazły się naprzeciw nich. Leciały w odległości ośmiu kilometrów na pułapie o sześćset metrów niższym. Cassidy, patrząc przez wskaźnik refleksyjny, dostrzegł jeden z samolotów wroga, potem zgubił go z oczu.

Cholerny pył!

Zabrzęczała przechłodzona płynnym azotem głowica termolokacyjna Sidewindera. Urządzenie wykryło i namierzyło źródło ciepła. Cassidy kontynuował zwrot. Zajmowali miejsce za Zero.

Przez wskaźnik zobaczył cele. Dwa Zero.

Dwa?

Gdzie są pozostałe! Gdzie się podziały?

– Bierzmy się za nich. – Cassidy wystrzelił rakietę. – Mamy przed sobą tylko dwóch Japończyków. Złapali nas w pułapkę.

– Czerwony Trzy, Amerykanie są za nami. Widzę ich – oznajmił pułkownik Niaimura na kodowanym kanale. Jiro Kimura, lecący o dwadzieścia pięć kilometrów z tyłu i siedem tysięcy metrów niżej, usłyszał ten komunikat.

Jiro i jego skrzydłowy włączyli radary.

Tak. Cztery F-22 pojawiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Osiem kilometrów, na trzeciej godzinie, Czerwony Jeden – powiedział Jiro do mikrofonu, namierzając najbliższego F-22 i wcisnął czerwony guzik na drążku. Pocisk pomknął z rykiem.

Kiedy namierzał drugi cel, jego skrzydłowy odpalił rakiety.

Naprzemiennie wystrzelili sześć rakiet.

Tymczasem pułkownik Nishimura wykonał ostry zwrot w prawo, a jego skrzydłowy w lewo. Walcząc z przeciążeniem sześciu G usiłowali uciec pociskom, które przed momentem wystrzelili Amerykanie.

Bob Cassidy upewnił się, że wpadli w potrzask, kiedy na ekranie przeciwdziałania elektronicznego zapaliły się światełka. Rozlegał się alarm dźwiękowy, na wskaźniku refleksyjnym pojawiło się słowo POCISK i zaczęło migotać. Japońskie samoloty znajdujące się z tyłu wystrzeliły rakiety.

Cassidy również zdążył odpalić pierwszego Sidewindera i kiedy cele rozdzieliły się, posłał następnego za tym Zero, który skręcił w prawo. Był to pułkownik Nishimura, choć Cassidy nie wiedział, kto siedzi za sterami.

W powietrze wyleciały wiązki metalizowanej folii, a system przeciwdziałania elektronicznego próbował zmylić radary lecących w stronę samolotu rakiet. Wszystko to odbyło się automatycznie, bez żadnego udziału Cassidyego.

Bob Cassidy wykonywał w tym czasie ostry skręt w lewo, starając się, by minęły go nadlatujące rakiety. Włączył dopalacze i gładko doszedł do jedenastu G, o dwa więcej, niż dopuszczała instrukcja obsługi samolotu. W oczach mu pociemniało, walczył o zachowanie świadomości, ale dzięki temu dwa ścigające go pociski chybiły.

Skrzydłowy Nishimury wydał na siebie wyrok śmierci, bo skręt w lewo ustawił go na wprost Amerykanów. Dwa wycelowane w niego Sidewindery nie miały najmniejszych trudności z dotarciem do celu. Pierwszy eksplodował w dyszy wylotowej, drugi wybuchł w odległości trzydziestu centymetrów od głównego zbiornika paliwa, dziurawiąc go setkami odłamków. W ciągu sekundy Zero stanęło w płomieniach.

Pilot bez namysłu pociągnął za rączkę katapulty. Zginął w tej samej chwili, gdy fotel wyrzucił go z osłony kabiny. Naddźwiękowa fala uderzyła w niego, patrosząc go, nim zdążył zwolnić do prędkości poddźwiękowej.

Nishimura miał szczęście. Dwa wymierzone w niego pociski pomknęły za wystrzelonymi flarami. Pozostałe nie zdołały wykonać równie ostrego skrętu. Niestety, jego tor lotu prowadził wprost w rejon zasięgu amerykańskich maszyn.

Pierwszy pocisk Jiro Kimury trafił w samolot Paula Scheera półtora metra za ogonem. Scheer od razu zorientował się, że jest coś nie tak, bo stracił panowanie nad maszyną. Po prostu przestała reagować na stery. Odruchowo zerknął na ekran, z którego dowiedział się, że przyczyna leży w kondycji samolotu: świeciły się wszystkie możliwe alarmy.

Jednak kontrolki ani wskaźniki silników nie poinformowały go o tym, że samolot rozpadł się na dwie części. Ogon oderwał się od reszty kadłuba.

Scheer zerknął na wskaźnik prędkości. Wciąż ponaddźwiękowa.

Nos zaczął opadać i manewrowanie drążkiem niczego nie dawało. Scheer spojrzał w lusterko i uświadomił sobie, że stracił ogon.

Wskaźnik wysokości poinformował go, że samolot zaczął spadać. Scheer zmniejszył ciąg do minimum i włączył hamulce aerodynamiczne. Wysunęły się do końca i prawdopodobnie wyhamowałyby samolot do prędkości poniżej jednego macha, pod warunkiem, że leciałby poziomo.

Maszyna zaczęła wirować jak fryga.

Paul Scheer walczył o zachowanie przytomności. Chciał przeżyć do końca każdą sekundę życia, jaka mu pozostała.

Layton Robert Smith III nie miał pojęcia, że z tyłu były japońskie samoloty, więc eksplozja, która oderwała mu pół lewego skrzydła, była dla niego całkowitym zaskoczeniem.

Zdążył wystrzelić jednego Sidewindera i przygotowywał się do wysłania następnego w kierunku samolotu pułkownika Nishimury, gdy coś wybuchło mu pod skrzydłem. System przeciwdziałania elektronicznego i alarm akustyczny były ustawione prawidłowo, ale nagły skok adrenaliny, towarzyszący oddawaniu śmiertelnych strzałów sprawił, że Layton Robert Smith III nie słyszał alarmu ani nie widział połyskujących światełek.

Zabijanie było zbyt podniecające. Nigdy przedtem nie czuł się taki ożywiony. Nie przypuszczał, że z zabijania innych można czerpać tak subtelną przyjemność.

Wówczas głowica japońskiego pocisku wybuchła pod lewym skrzydłem F-22 i jego samolot wpadł w coraz szybszy korkociąg. Pomimo kombinezonu przeciwprzeciążeniowego pociemniało mu w oczach. Kiedy wskaźnik przeciążenia doszedł do siedemnastokrotnej wartości ziemskiego ciążenia, serce Laytona Roberta Smitha trzeciego stanęło. Umarł.

Jego trumna, zbudowana ze stali i tytanu, uderzyła o ziemię w czterdzieści dwie sekundy później.

Jeden z pocisków minął Boba Cassidyego w tak dużej odległości, że czujnik zbliżeniowy nie zdetonował głowicy. Za maszyną Cassidyego znajdował się kolejny namierzony przez radar cel, który w ostrym skręcie zwolnił do prędkości poddźwiękowej. Pocisk również by go chybił, gdyby kąt skrętu i prędkość potrzebna do trafienia przekraczała jego możliwości, a cel nie zawracał lekko w stronę nadlatującej rakiety. Tym razem czujnik zadziałał. Odłamek przebił osłonę kabiny i obciął głowę pułkownikowi Nishimurze. Był to jeden z tych przypadków zdarzających się raz na milion.

Dixie Elitch udało się jakoś uniknąć gradu pocisków, które zabiły Scheera i Smitha. Również wykonała zwrot pod kątem prostym i stwierdziła, że znalazła się w położeniu umożliwiającym strzał do jednego z tych japońskich samolotów, które zaatakowali na samym początku. Zresztą obie maszyny widziała na swoim ekranie taktycznym. Namierzyła cel czujnikiem podczerwieni, po czym wysłała kolejno dwa Sidewindery.

Pierwszy zlokalizował cel, drugi pomknął na ślepo.

Dixie nie miała czasu na obserwacje. Zawył system przeciwdziałania elektronicznego, więc

pociągnęła na siebie drążek i włączyła dopalacze. Chciała wyrwać się z tego zamieszania i wybrać najlepszy moment do ataku.

Jiro Kimura wiedział, że jeśli zaangażuje się w pojedynek powietrzny, szansa na powodzenie misji będzie bardzo niewielka. Zero miały zbombardować Czitę, a nie zestrzeliwać amerykańskie myśliwce. Przewrócił maszynę na plecy i zanurkował. Na niższym pułapie wyłączył dopalacze, na wypadek gdyby któryś z Amerykanów posłał za nim Sidewindera.

Zawrócił maszynę na pierwotny kurs 260 stopni i zaczął zwalniać. Zejdzie na jeszcze niższy poziom i poleci do Czity, podczas gdy Amerykanie będą szamotali się z Nishimurą i innymi.

Ostatnim Japończykiem zaangażowanym w walkę był Hideo Nakagawa, cieszący się opinią najlepszego młodego pilota Japońskich Sił Samoobrony. Uczciwie na nią zasłużył. Był naprawdę bardzo, bardzo dobry.

W dodatku miał szczęście. Pierwszy Sidewinder Dixie Elitch, wystrzelony w jego kierunku nie namierzył celu, drugi zgubił namiar na dysze wylotowe i po sześciu sekundach uległ samozniszczeniu.

Gdy tylko Nakagawa zorientował się, że drugi pocisk go nie ściga, wykonał zwrot w stronę Boba Cassidyego, który doszedł do wniosku, że oba Zero przed nim zostały zniszczone i również zaczął wykonywać skręt w stronę zagrożenia znajdującego się w jego tylnym kwadrancie.

Obaj piloci mieli włączone dopalacze. Nakagawa lekko się wznosił, a Cassidy delikatnie obniżał. Obaj też mieli prędkość prawie dwóch machów.

Nakagawa usiłował wziąć na cel Cassidy'ego, którego widział jedynie jako symbol na ekranie radaru. Wystrzelił naprowadzany radarem pocisk, potem opuścił gogle noktowizyjne, chcąc sprawdzić, czy zdoła zlokalizować Amerykanina wzrokowo. Jest! Osiem kilometrów dalej. Japończyk przełączył uzbrojenie na działko.

Cassidy zobaczył błysk rakiety startującej spod skrzydła Nakagawy, bo w przeciwnym razie nigdy nie zdołałby jej umknąć. Pociągnął drążek sterowy, wznosząc F-22 pod kątem prostym i wystrzelił kłęby folii i flary. Pocisk namierzył samolot Cassidy'ego, ale nie sprostał zakrętowi z przeciążeniem dziesięciu G. Przeszedł dołem i wybuchł nieszkodliwie.

Nakagawa też ściągnął drążek, starając się nadążyć za wznoszącym się samolotem Cassidy'ego. Kiedy dwie maszyny mknęły ku sobie, Nakagawa wystrzelił serię z działka, lecz chybił i samoloty minęły się w pionowych nożycach.

Niemal stykając się osłonami kabin, Bob Cassidy i Hideo Nakagawa wznosili się pionowymi spiralami. Każdy usiłował zwolnić, by zostać za przeciwnikiem. Zwycięzca w tych zawodach odda strzał, przegrany zginie.

Nakagawa wypuścił podwozie.

Kiedy Cassidy zobaczył znikający nos Nakagawy, pomyślał, że tamten oberwał. Nakagawa znalazł się nieodwołalnie z tyłu.

Cassidy wyskoczył przed niego. Wyłączył dopalacze i zredukował do minimum ciąg, zwalniał, aż poczuł, że przeciągnięcie kładzie samolot ma plecach, cały czas czekając na uderzenie pocisków między łopatkami.

Tymczasem Nakagawa miał problem. Konstruktorzy Zero zainstalowali bezpiecznik uniemożliwiający przypadkowe oddanie strzału z samolotu stojącego na ziemi. Pozwalało na to jedynie ręczne przestawienie przełącznika w zagłębieniu przedniego koła. Inną osobliwością Zero był fakt, że pilot musiał odczekać, aż podwozie otworzy się do końca i dopiero wtedy mógł wciągnąć je z powrotem. Nakagawa siedział w Zero lecącym z prędkością zaledwie czterystu kilometrów na godzinę i czekając, aż zamknie się podwozie, obserwował jak Bob Cassidy zniża maszynę i ucieka. Z wściekłości krzyczał w maskę tlenową.

Przestał krzyczeć, gdy Sidewinder minął jego maszynę, kierując się ku ziemi. Podtrzymując lewą ręką gogle noktowizyjne, uniósł głowę i zobaczył wchodzącego mu na ogon F-22.

Na szczęście zgasły już lampki podwozia, więc zawrócił ostro w stronę napastnika.

Mała prędkość samolotu Nakagawy sprawiła, że Dixie Elitch źle wyliczyła poprawkę. Jej pierwsza seria smagnęła powietrze.

Leciała zbyt szybko. Minęła przyśpieszające i zawracające Zero. Gwałtownie zredukowany ciąg i otwarte hamulce aerodynamiczne sprawiły, że szarpnęło ją ujemne przeciążenie, gdy usiłowała trzymać się swego zawracającego przeciwnika.

Facet był naprawdę dobry! Co najdziwniejsze, nos jego samolotu zaczął się przesuwać, dając mu przewagę kątową.

Przeciążenie było straszne. Walczyła o zachowanie przytomności, by nie stracić nieprzyjacielskiego myśliwca z pola widzenia.

Lecieli zwróceni kabinami do siebie, obniżając pułap do siedmiu tysięcy metrów.! Była blisko, zbyt blisko. Dixie musiała zdobyć nieco więcej miejsca do manewrowania, i przesunęła drążek w bok i pchnęła go w przód. Tamten samolot jednak wciąż utrzymywał swoją pozycję, gdy skręcała. Wyszła z zakrętu i nieco cofnęła drążek, Natychmiast nieprzyjacielska maszyna zaczęła przybliżać się kabiną do kabiny. Myśliwce dzieliło szesnaście metrów. Zajrzała do kabiny Zero. Zobaczyła pilota z cofniętym hełmem, który przyglądał się jej, gdy kręcili się wokół wspólnej osi z otworzonymi hamulcami aerodynamicznymi. Zauważyła gogle noktowizyjne i nagle uświadomiła sobie, co to jest. A więc to tak mogą śledzić niewidzialne F-22!

Nie zdawała sobie jednak sprawy, że Nakagawa podtrzymywał hełm i gogle lewą ręką, podczas gdy prawą trzymał drążek. Zabrakło mu trzeciej ręki do obsługi dźwigni ciągu.

Leciał nad nią, na plecach, o wiele za wolno, by utrzymać sterowność. Puścił drążek i prawą ręką sięgnął do przepustnicy po lewej stronie kabiny, próbując przyśpieszyć.

Dixie zdała sobie sprawę, że Nakagawa przeciągnął, gdy jego samolot zaczął walić się na nią. Zanim zdołała zareagować, obie maszyny zderzyły się osłonami kabin.

Bob Cassidy wyhamował o wiele niżej i włączył dopalacze, by wrócić na pole walki. Pędził w stronę dwóch krążących samolotów. Na wskaźniku refleksyjnym widział oba, choć gołym okiem mógł dostrzec tylko Zero. Były zbyt blisko siebie, by mógł zaryzykować strzał.

Zobaczył delikatny zarys F-22 w pobliżu Zero, gdy obie maszyny zderzyły się.

Odrzuciło je od siebie, potem wybuchły.

Jezu!

Cassidy położył samolot na skrzydło i przemknął pod ognistą kulą.

Jiro Kimura siedział za sterami, pędząc w stronę Czity z włączonymi dopalaczami. Wyłączył radar. Pozycjoner satelitarny pokazywał mu kierunek i odległość: 266 stopni i trzysta dwadzieścia trzy kilometry.

Użycie broni jądrowej było szaleństwem, ale prawowity rząd Japonii podjął decyzję i wydał rozkaz. Jiro Kimura składał przysięgę posłuszeństwa. Zamierzał wykonać rozkaz, nawet za cenę życia.

Nawet teraz śmierć wydawała się nieunikniona. Mknął ku niej z prędkością 1,6 raza przewyższającą prędkość dźwięku. Istniały poważne szansę, że przechwycą go kolejne F-22. Prawdopodobnie w tej sekundzie manewrowały, by go zestrzelić.

Nawet jeżeli zdoła zrzucić bombę, nie wystarczy mu paliwa, żeby dotrzeć do czekającej nad Chabarowskiem cysterny. Zapas paliwa poświęcał właśnie na zwiększenie szans dotarcia do celu. Albo zostanie zestrzelony, albo będzie zmuszony katapultować się. Jeżeli się katapultuje, zginie w

syberyjskiej głuszy. Gdyby jakimś cudem udało mu się przeżyć, przytłoczy go ciężar odpowiedzialności za zrzucenie bomby atomowej.

To wszystko tkwiło gdzieś w jego podświadomości. Świadomie koncentrował się na dotarciu do punktu, w którym miał uwolnić bombę. Był przekonany, że przed sobą i za sobą ma F-22, a w Czicie Amerykanie zainstalowali wyrzutnie rakiet naprowadzanych na radar nieprzyjaciela.

Kimura nie przypuszczał, że zdąży się zestarzeć.

Zastanawiał się, gdzie może być Bob Cassidy. Czy był w którymś z zestrzelonych F-22, czy jest w jednym z samolotów czekających z przodu?

Kątem oka dojrzał światełko ostrzegawcze. Atena! Komputer znów się przegrzał. Wyłączył go.

W tym momencie Cassidy był o osiemdziesiąt kilometrów za nim.

Ostatniego Zero nie było na jego ekranie taktycznym. Domyślił się, że unoszący się w powietrzu pył uniemożliwił satelitom obserwację samolotów.

Według Białego Domu były cztery Zero, każdy z ładunkiem nuklearnym. Trzy zostały zniszczone, czwarty uciekł. Gdyby pilot zrezygnował ze swego zadania i zawrócił do bazy, to byłoby po kłopocie. Jednak Cassidy, znając profesjonalizm i poświęcenie japońskich pilotów, odrzucił taką możliwość.

Jeżeli ten pilot poleciał zbombardować Czitę, nie miał go kto powstrzymać. W związku z tym Cassidy wszedł na wysokość trzynastu i pół tysiąca metrów, i włączył dopalacze. Teraz podążał w stronę Czity z prędkością 2,2 macha.

Pusty ekran taktyczny był niemym potwierdzeniem faktu, że tych trzech F-22, które wystartowały razem z nim, nie ma już w powietrzu.

Radio milczało.

Musi znaleźć ten nieprzyjacielski samolot. Dixie Elitch na pewno nie żyła. Zginęła przed chwilą w eksplozji tych dwóch maszyn. A Smith III i Paul Scheer.... Kto wie? Może zdołali się katapultować?. Jednak niekoniecznie.

Musi złapać to Zero. Sprawdził zapas paliwa. Jeśli tamten dotrze do Czity...

Cassidy włączył radar. Nie pomoże, ale nie zaszkodzi.

Zastanawiał się, w którym samolocie siedział Jiro.

Jiro był jednym z najlepszych japońskich pilotów, więc niewątpliwie znalazł się wśród nich. Odpowiedź nasunęła się sama. Najlepszy pilot zawsze zdoła ujść z życiem. Zostało tylko jedno Zero. Z przerażeniem stwierdził, że prawdopodobieństwo, iż Jiro Kimura siedzi za sterami tego samolotu, zmienia się w pewność.

Tak, to musi być Jiro!

System przeciwdziałania elektronicznego poinformował go, że z tyłu jest F-22. Jiro przyjrzał się wskaźnikowi kierunku. Tak!

Amerykanin prawdopodobnie jeszcze go nie widział, co dawało mu kilka możliwości. Mógł skręcić w prawo lub w lewo, próbując uciec z zasięgu jego radaru, albo zawrócić i podjąć walkę. Jeżeli pozostanie na dotychczasowym kursie, Amerykanin znajdzie się wystarczająco blisko, by namierzyć go przed dotarciem do Czity i wystrzeli rakietę.

Jiro ostro skręcił w lewo, starając się jak najkrócej odbijać sygnał nieprzyjacielskiego radaru dużym obrysem swego samolotu.

Cassidy dostrzegł błysk na ekranie. Sześćdziesiąt osiem kilometrów. Błysk trwał parę sekund i zniknął.

Nieprzyjacielski pilot skręcał.

W prawo, czy w lewo? Miał pięćdziesiąt procent szans, że w prawo.

W prawo. Cassidy skręcił o dwadzieścia stopni w prawo i wpatrzył się w ekran radaru. Za jakąś minutę będzie wiedział. Na szczęście był szybszy od Zero, ale tylko dlatego, że leciał wyżej. Rozrzedzone powietrze pozwalało na szybszy lot.

Mijała sekunda za sekundą. Nie mógł zbyt długo czekać, aż tamten facet się pojawi, bo nigdy go nie złapie, jeżeli poleciał w innym kierunku. Jednak musiał odczekać chwilę, by nabrać pewności.

Cassidy otarł pot z czoła.

Tym pilotem musi być Jiro.

Jeżeli zawróci w lewo zbyt wcześnie, nim upewni się, że Jiro nie poleciał w prawo, pozwoli mu zabić wszystkich ludzi w Czicie.

Zginęli już Dixie, Scheer. Sos Fojowy i Hudek.

Gdy minęło sześćdziesiąt sekund, zawrócił o czterdzieści stopni w lewo. Tak sobie założył. Jedna minuta co do sekundy.

Jiro za późno zorientował się, że Amerykanin skręcił w jego stronę. F-22 był za blisko. Jeżeli znów skręci, amerykański pilot zlokalizuje go na pewno, a jeśli pozostanie na tym kursie – prowadzącym w stronę Czity – Amerykanin dostrzeże go, nim przelecą kilkanaście kilometrów.

A może...

Wcisnął lewy orczyk i pochylił drążek w prawo. Może uda się wykonać płaski zwrot.

Cassidy czuł się oszołomiony. Nie potrafił trzeźwo myśleć ani podjąć właściwej decyzji.

Wszystkie decyzje, jakie do tej pory podjął, miały tragiczne skutki. Jego towarzysze zginęli, Zero uciekł, a chłopak, którego kochał jak własnego syna albo zginął, albo leci w tym samolocie i zamierza zabić wszystkich ludzi w Czicie.

Zaczął delikatnie skręcać to w prawo to w lewo i, lecąc wężykiem, obserwował z napięciem ekran taktyczny. Jeżeli radar wyłapie cokolwiek, natychmiast to zobaczy.

Znowu nic. Wyłączył dopalacze, by zaoszczędzić trochę paliwa i rozpoczął skręt. Postanowił zatoczyć pełny krąg i sprawdzić, czy coś pokaże się na ekranie. Jeśli nie, poleci do Czity i poczeka na pojawienie się Zero. Oczywiście, pilot Zero zaanonsuje swoją obecność rosnącą chmurą w kształcie grzyba.

Jest! Tam! Zakodowany symbol pojawił się na ekranie radaru i taktycznym.

Cassidy uruchomił dopalacze. Samolot wyrwał do przodu.

Jiro Kimura nie miał pojęcia, że F-22 Raptor znajdował się tak wysoko, że złapał falę radaru odbitą od połączenia między lewym pionowym stabilizatorem a kadłubem.

Zorientował się, że nieprzyjacielski pilot go namierzył, gdy rozbłysk na ekranie przeciwdziałania elektronicznego zaczął robić się coraz większy i wyraźniejszy. F-22 zmniejszał dzielący ich dystans, a to oznaczało, że ścigał Zero.

Jiro nie miał wyboru. Położył samolot na skrzydło i zawrócił, by podjąć walkę.

Ponieważ pod lewym skrzydłem miał podwieszoną bombę atomową, startując zabrał tylko dwie rakiety naprowadzane radarowo i obie już wystrzelił. Został mu już tylko jeden Sidewinder.

Gdy dwa myśliwce zbliżyły się, czujnik termolokacyjny namierzył cel i poinformował o tym Jiro sygnałem akustycznym.

Cassidy wyłączył dopalacz, gasząc płomienie z dysz. Nie widział Zero gołym okiem, ale tamten facet nie będzie czekał. Strzeli tak szybko, jak tylko się da. Cassidy był gotów dać głowę, że jeżeli nieprzyjaciel nie włączył radaru, użyje Sidewindera.

Gdy pocisk, lecący prosto w niego, wyłonił się z żółtawej mgiełki, Cassidy skręcił ostro w prawo i niemal wbił sobie drążek w brzuch.

Ciągnął, zmagając się z odbierającym przytomność przeciążeniem, podczas gdy automat wyrzucał

metalizowaną folię i flary...

Sidewinder minął F-22.

Zero zawracał w stronę Czity. Cassidy znów ujrzał samolot na ekranie taktycznym.

Jak daleko jest do Czity?

O, cholera! Niecałe pięćdziesiąt kilometrów.

Ten facet prawie tam dotarł!

Opuścił nos i pognał za uciekającym Zero, niczym jastrząb za wróblem.

Z odległości dziesięciu kilometrów dostrzegł wreszcie Zero, które przypominało małą ciemną plamkę na bladożółtym niebie.

Prędkość, jaką mógł rozwinąć lecąc z góry, była jego jedynym atutem, w przeciwnym razie nigdy nie dopędziłby jiro Kimury.

Może powinien wystrzelić do niego ostatni pocisk lub, znalazłszy się w zasięgu działka, poszatkować wrogi samolot na strzępy. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

Cassidy, zniżając się nieustannie, zmniejszał odległość.

Wiedział, że w tym Zero jest Jiro. To musiał być on.

Pragnął, żeby to był jiro.

Kimura obejrzał się, przytrzymując hełm z goglami noktowizyjnymi. W odległości pięciu kilometrów zobaczył Raptora. W samą porę, pomyślał Jiro. Jeśli uda mi się szybko odwrócić, będę miał doskonałą pozycję do strzału na wprost.

Ale nie wykonał zwrotu.

Leciał na wysokości stu dwudziestu metrów nad ziemią. Odbił nieco w lewo, nie więcej niż o dziesięć stopni. Znów zerknął przez ramię, czekając aż tamten pilot zwolni, zbliżywszy się na odległość strzału.

Ciągle czekał.

To Cassidy! Zabije mnie, bo ja nie potrafię zabić jego.

Odległość między samolotami wynosiła zaledwie trzysta metrów.

Dwieście...

Sto metrów, a F-22 wcale nie próbował zwolnić. Wciąż zbliżał się z przewagą pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jiro z przerażeniem uświadomił sobie, co zaraz nastąpi.

Złapał drążek i gwałtownie szarpnął w tył.

Cholerny hełm. Nie mógł go przytrzymywać, więc stracił z oczu zbliżający się F-22.

Lewa końcówka skrzydła maszyny Cassidy'ego wcięła się w prawy pionowy statecznik Zero.

Obie maszyny w tym momencie wznosiły się pod kątem około pięćdziesięciu stopni.

Jiro poczuł szarpnięcie i instynktownie odbił w lewo, uciekając spod górującego obok ciemnego konturu. Ten manewr przypłacił utratą prawego poziomego statecznika, utrąconego, niczym sucha gałązka, lewym skrzydłem F-22.

F-22 miał odłamane sześćdziesiąt centymetrów lewej końcówki skrzydła, co sprawiło, że zaczął w niekontrolowany sposób pochylać się w prawo. Cassidy utkwił wzrok we wskaźniku prędkości. Wystarczająco dużo czasu spędził za sterami myśliwców, by nauczyć się podstawowej zasady: Nigdy nie katapultuj się, gdy przekroczyłeś barierę dźwięku.

Szczęściem wznosił się i miał wyłączone dopalacze. Cofnął niemal do końca dźwignię ciągu, gdy uderzał w statecznik Zero, co w sumie bardzo wyhamowało F-22. W ciągu paru sekund prędkość spadła do ośmiuset kilometrów na godzinę.

Zdumiewające było to, że udało mu się odzyskać panowanie nad maszyną. Odruchowo pchnął

drążek w lewo, by powstrzymać przechył i samolot usłuchał. Pogłębił przechył w drugą stronę i zaczął rozglądać się za Zero.

Jest! Nieprzyjacielski myśliwiec zwalniał i ciągnął za sobą strugę paliwa.

Skacz, Jiro! Skacz, zanim wybuchnie!

Jiro Kimura zmagał się z aerodynamicznymi siłami szarpiącymi okaleczony myśliwiec. Nie miał pojęcia, jakie uszkodzenia odniósł samolot podczas kolizji, ale przynajmniej nie obracało go gwałtownie.

Zerknął w lusterko wsteczne raz i drugi. Zniknął prawy pionowy statecznik!

Prawy poziomy również!

Kiedy skala zniszczeń dotarła do jego świadomości, maszyna zaczęła obracać się wokół własnej osi. W lusterku dojrzał smugę paliwa.

Próbował temu przeciwdziałać napierając na drążek.

Obrót nie ustawał. Ziemia i niebo gwałtownie zamieniały się miejscami.

Wskaźnik prędkości pokazywał czterysta osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, więc Jiro katapultował się.

Gdy Bob Cassidy zobaczył fotel pilota wyrzucany z wirującego japońskiego myśliwca, całą uwagę skupił na pilotowaniu własnej maszyny.

Przy pełnym wychyleniu lewego orczyka i drążka w prawo, wciąż utrzymywał się w powietrzu.

Czita znajdowała się o dwadzieścia pięć kilometrów na północny zachód.

Bob Cassidy delikatnie zawrócił w tę stronę. W samą porę spojrzał w dół, by zauważyć otwarty spadochron Jiro Kimury.

Cofnął dźwignię ciągu, pozwalając ciężko uszkodzonemu myśliwcowi zwolnić do czterystu kilometrów na godzinę. Gdy prędkość spadła, musiał coraz silniej napierać na orczyk i drążek.

Wyczuł, że samolot nie zwolni wystarczająco, by zdołał wylądować. Nie ma co nawet myśleć o podwoziu i klapach, bo straci panowanie nad maszyną, nim wyhamuje dostatecznie, by je otworzyć. Będzie musiał się katapultować. Miał to gdzieś. Boba Cassidy'ego opanowała apatia.

Piętnaście kilometrów do Czity.

W końcu wobec kosmosu los paru istnień znaczył bardzo niewiele. Nic nie powstrzyma naturalnego biegu wszechświata.

Jednak wciąż był człowiekiem obarczonym obowiązkami.

– Taco, tu Smakosz.

– Tak, Smakosz.

– Wszystkie cztery nieprzyjacielskie maszyny zostały zastrzelone. Jestem jedynym z naszych, który został w powietrzu.

– Zrozumiałem.

– Przekaż to, z łaski swojej, do Waszyngtonu.

– Rozkaz.

– I powiedz chłopcom z ekipy ratowniczej, żeby mnie szukali. Będę się katapultował nad bazą.

– Zrozumiałem. Powodzenia, Smakosz.

– Jasne.

Utrzymywał prędkość w granicach pięciuset kilometrów na godzinę. Samolot przechylał się lekko na bok. Pas startowy był już zupełnie blisko, gdy w kabinie zapaliły się wszystkie możliwe światła ostrzegawcze.

Po minięciu rejonu hangarów, Bob Cassidy, utrzymując samolot skierowany nosem w stronę Moskwy, pociągnął za rączkę katapulty.

Rozdział 27

Dwaj mechanicy, jadący furgonetką Forda, znaleźli Jiro Kimurę w rejonie karłowatych drzew, porastających zbocze wzgórza szesnaście kilometrów od bazy. Jiro podczas katapultowania złamał prawą nogę. Gdy do niego dotarli, wciąż był przypięty do spadochronu okrywającego niewielkie drzewo.

Po tym, jak dostarczyli japońskiego pilota do prowizorycznego ambulatorium, Bob Cassidy poszedł go zobaczyć. Stał patrząc na Jiro i zastanawiał się, co ma powiedzieć.

– Doszedłem do wniosku, że to ty lecisz tym samolotem, Jiro.

– A ja wiedziałem, że to ty mnie ścigasz. Cassidy nie wiedział, co tu dodać.

– Lekarz obejrzy twoją nogę. Da ci środki przeciwbólowe. Porozmawiamy jutro.

– Powinieneś mnie zabić, Bob.

– Shizuko nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Jiro nie odpowiedział.

– Sam bym sobie tego nie wybaczył – dodał Bob i wyszedł.

Cassidy przysiadł na głazie obok budynku i przeczesał włosy palcami. Słyszał głośno nastawiony odbiornik telewizyjny. Na wprost niego na trawniku tkwiła czasza odbiornika satelitarnego.

Przemawiał prezydent Hood. Cassidy rozpoznał jego głos.

Słońce pieściło jego skórę.

Siedział tak na głazie i, słuchając przemówienia jednym uchem, przypominał sobie twarze poległych pilotów. Nagle zorientował się, że obok niego przykucnął Dick Guelich.

– Bob, pomyślałem sobie, że może należy wysłać Cessnę na poszukiwanie ocalałych. A ci, którzy polecieli z tobą rano? Może ktoś...

– Nie żyją. – Gardło miał tak zaschnięte, że ledwie wydobył z siebie głos. Odkaszlnął i powtórzył: – Nie żyją.

– Dixie?

– Kolizja z Zero – szepnął Cassidy. – Podczas walki. Nie widziałem spadochronu.

– Scheer i Smith?

– Trafieni rakietami. Chyba. Przy tych prędkościach... – Machnął ręką na wschód. – Wyślij Cessnę. Niech popatrzy.

– Przykro mi, pułkowniku.

– Niech wystartują te dwa myśliwce. Piloci mają oddalić się od bazy na co najmniej dwieście kilometrów. Niech nie rozdzielają się więcej niż o trzydzieści pięć, żeby w razie czego jeden mógł pomóc drugiemu.

– Przekażę im to.

– Jak tylko wylądują maszyny z Niemiec, zatankujesz je i uzbroisz. Pilotów przyślesz do mnie na odprawę. Nie sądzę, by Japończycy spróbowali jeszcze raz, ale istnieje taka możliwość.

– Rozkaz – powiedział Guelich i odmaszerował. Dobrze było sobie posiedzieć. Nie miał siły ani ochoty się ruszyć. Biedna Dixie.

Słońce rozmiękczało go, poczuł się taki zmęczony, że nie miał siły siedzieć. Osunął się na trawę i oparł plecami o skałę.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, Sabrino. Słowo daję. Łzy napłynęły mu do oczu i nie sposób było je powstrzymać. Bob Cassidy nawet nie próbował.

Bagnet był w doskonałym stanie, pomimo upływu lat. Armia wręczyła go ojcu Atsuko Abe, gdy

powołała go w swoje szeregi w 1944 roku. Ojciec Abe miał wtedy szesnaście lat. Oczywiście, Abe senior nigdy nie powąchał prochu. Gdyby do tego doszło ten bagnet zdobiłby zapewne dom syna jakiegoś amerykańskiego weterana. Służba wojskowa młodzika ograniczyła się do pilnowania składów amunicji przeciwlotniczej na północy kraju. Po kapitulacji armia przestała istnieć. Abe senior porzucił swój karabin Arisaka i autostopem wrócił do rodzinnej wioski. Z niewytłumaczalnych powodów zachował bagnet i skrywającą go pochwę.

Długi na czterdzieści pięć centymetrów, o wąskim, prostym ostrzu, wyglądał prawie jak mały miecz. Miał drewnianą rękojeść, dzięki czemu nadawał się znakomicie do takich wojskowych zadań jak otwieranie konserw. Pierwotnie nie był zbyt ostry, ale w młodości Atsuko Abe starannie przeszlifował klingę aż po sam koniec. W kraju, w którym posiadanie broni palnej było surowo zakazane, stary bagnet stanowił wspaniały oręż.

Abe przechowywał go na drewnianej podstawce przeznaczonej dla samurajskiego miecza. Stała naprzeciwko domowego ołtarzyka.

Tego wieczoru Atsuko Abe odprawił służbę. Upewnił się, że drzwi do jego rezydencji są zamknięte, potem wykąpał się i włożył białe jedwabne kimono, które dawno temu podarowała mu nieboszczka żona.

Sporo czasu poświęcił pisaniu listów, siedząc na macie przed domowym ołtarzem. Napisał do siostry, jedynej żyjącej krewnej, do cesarza Hirohito i jego następcy, cesarza Naruhito. Przeprosił ich wszystkich.

Siostrę poprosił o to, by darowała mu zhańbienie rodziny. Młodego cesarza błagał o wybaczenie za to, że zawiódł Japonię. Ta, o której mówił Abe, nie była pracowitym narodem zapełniającym zatłoczone miasta, mieszkania, fabryki i małe gospodarstwa rolne, gdzie spędził większość swego życia. To była wyidealizowana Japonia, która nigdy nie istniała.

Ślady pędzelka do kaligrafii na białym, ryżowym papierze kryły w sobie piękno. Ach, jakże mogło być wspaniale! Abe dokończył list do cesarza i podpisał się. Włożył listy do kopert, zapieczętował je i, opatrzywszy każdą nazwiskiem adresata, złożył na ołtarzyku.

Ostatni list był skierowany do zmarłego przed dwudziestu laty ojca. Abe wyjaśnił mu w nim swoją wizję Japonii, wiarę w jej wielkość i w gorzkich słowach nakreślił upadek swoich marzeń. Pisał, że źle ocenił japoński naród. A ten naród go zdradził. Zdradził też sam siebie. To było haniebne, lecz prawdziwe i przyszłe pokolenia będą musiały z tym żyć.

Ten list również został włożony do koperty i złożony na ołtarzu, lecz po modlitwie powędrował na podstawkę dla kadzidełek, gdzie spłonął. Abe zapalił kadzidełko i przyglądał się jak dym unosi się ku niebu. Powachlował, by nieco dymu przybliżyło się ku niemu i mógł poczuć jego zapach.

Wreszcie Atsuko Abe doszedł do wniosku, że pora kończyć. Był gotów na przyjęcie bólu i wszystkiego, co niesie z sobą życie pozagrobowe.

Odsłonił brzuch i wyjął bagnet z pochwy. Tradycyjny i zaszczytny obrzęd seppuku polegał na głębokim wbiciu ostrza w brzuch, przeprowadzenia poprzecznego cięcia otwierającego wewnętrzną aortę, następnie przekręcenie ostrza i pociągnięcia go ku górze. Wywoływało to obfity krwotok wewnętrzny i szybko kończyło się śmiercią. Mankamentem było to, że niewiele osób miało odwagę zadać sobie tak straszne rany. By ocalić honor, w dawnych czasach zhańbieni samuraje starali się o pomocnika zwanego kaishaku, na ogół najlepszego przyjaciela, który ścinał wojownikowi głowę po wykonaniu przez niego rytualnych cięć lub wcześniej, gdy tylko asystent zauważył u nich najmniejsze objawy cierpienia lub niezdecydowania.

Abe, oczywiście, nie miał kaishaku, ponieważ jego honor domagał się cierpienia.

Atsuko Abe oburącz ujął rękojeść bagnetu. Wziął kilka głębokich oddechów, by się przygotować.

Gdyby się wycofał, zhańbiłby się jeszcze bardziej.

Pot oblał mu czoło. Wypowiedział ostatnią modlitwę i wbił bagnet głęboko w brzuch.

Ból prawie odebrał mu przytomność.

Z niewzruszoną determinacją poprowadził ostrze w poprzek brzucha. Dotarł do połowy, gdy opadł z sił. Ból zachwiał jego postanowieniem. Zmobilizowawszy całą wolę i odwagę przekręcił ostrze.

Cierpiał niewyobrażalnie.

Jeszcze ostatnie cięcie i będzie po wszystkim.

Jęknął, zacisnął zęby i, dusząc krzyk, pociągnął rękojeść w górę.

Dłonie ześlizgnęły mu się z rękojeści.

Z rany sączyła się cienka strużka krwi. Jeśli nie wyjmie tamującego krew ostrza, będzie tak konał całymi dniami.

Ostatnim zrywem wyszarpnął bagnet z trzewi. Cienkie ostrze wypadło mu z rąk. Przeleciało na środek pokoju i z brzękiem upadło na podłogę.

Krew leciała teraz obficiej, ale ból wcale się nie zmniejszył.

Mimo wysiłków nie był w stanie siedzieć prosto. Zaczął osuwać się na bok.

Gryzł wargi i język. Z ust płynęła mu krew, mieszając się z zalewającym twarz potem.

Należało wypić więcej wina. Pomogłoby stłumić ból.

Przynajmniej zadośćuczynił swojemu honorowi. Zawiódł Japonię, lecz nie dostojnych przodków, do których wkrótce dołączy.

Czas mijał. Abe nie wiedział, ile już go upłynęło. Umysł błądził gdzieś w malignie.

Nagle usłyszał głos mężczyzny. Dźwięk otwieranych drzwi. Pytający ton głosu. Zmysły Abe wyostrzyły się. Ból brzucha był nie do zniesienia.

Drzwi do jego pokoju zaczęły się otwierać. Spróbował się odwrócić, żeby zobaczyć, kto to.

Abe dostrzegł zarys twarzy. Służący w wieku lat pięćdziesięciu, który jeszcze jako młody człowiek awansował na przełożonego służby premierów Japonii. Teraz stał, obserwując go bez słowa, potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Abe poruszył się, próbując ulżyć cierpieniu. Nic nie pomagało.

Gdy uświadomił sobie, że jęczy, znowu zaczął przygryzać język i wargi. Gotów był na wszystko, by nie musieć się wstydzić.

Jawiły mu się wydarzenia z ostatnich paru miesięcy. Spotkania z ministrami. Generał Yamashita. Cesarz Naruhito przemawiający w parlamencie. Mieszały mu się poszczególne wydarzenia.

Och, gdyby mógł zrobić wszystko od początku.

Drzwi wejściowe znów się otworzyły. Odgłos był charakterystyczny. Która może być godzina? Chyba gdzieś nad ranem. Kiedy zaglądał tu służący? Na pewno ze dwie godziny temu.

Kto to może być?

Drzwi otworzyły się.

W progu stanęła kobieta. Abe wytężył wzrok.

Przeszła przez pokój i stanęła przed nim.

Cesarzowa Masako.

Abe poczuł wstyd, potem wściekłość. Ona widzi go w takim stanie! Służący zhańbił go, samego premiera.

– Wasza wysokość.. – zaczął. Zebrawszy wszystkie siły podniósł się do pozycji siedzącej. – Proszę wyjść. Swoją obecnością przynosi mi pani hańbę.

Stała przed nim i rozglądała się. Bez słowa patrzyła na nasiąkniętą krwią białą matę, bagnet,

ołtarzyk. Ubrana była w prosty dwuczęściowy europejski kostium z wełny, białe rękawiczki, wygodne pantofle i dopasowany do całości kapelusz. W lewym ręku trzymała niewielką białą torebkę wysadzaną perłami.

Spojrzała na torebkę. Otworzyła ją i prawą ręką wyjęła pistolet.

– Wasza wysokość... Błagam. Nie...

– To – powiedziała spokojnie – za mojego męża.

Mówiąc to, zniżyła broń i strzeliła Abe w sam środek czoła.

Ciało upadło na twarz.

Cesarzowa Masako schowała pistolet do torebki, zatrzasnęła ją i wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Dwa tygodnie, które minęły od przedwczesnej śmierci Aleksandra Kaługina, Iwan ilin spędził bardzo pracowicie. Pomagał przy zabezpieczeniu inauguracji marszałka Gładyszewa podczas przejmowania obowiązków prezydenta i asystował policji przy otaczaniu i rozbrajaniu zbirów Kaługina. Długo i donośnie tłumaczył prokuratorom, którzy spośród aresztowanych powinni stanąć przed sądem. Dowodził, że przełożeni funkcjonariuszy prezydenta są odpowiedzialni za swoje zbrodnie. Był zdania, że prywatne armie szkodzą demokracji i interesom. Wspierał go w tym prezydent Gładyszew. On również nie tolerował prywatnych bojówek.

Pewnego wieczoru Iwan Ilin siedział w swoim gabinecie, próbując ocenić plusy i minusy rosyjsko-japońskiego konfliktu. Jutro miał przylecieć z Tokio kapitan pierwszej rangi Paweł Saratow wraz ze wszystkimi ocalałymi członkami załogi „Admirała Kołczaka". Na lotnisku powita ich prezydent Gładyszew i odznaczy wszystkich. Saratow zostanie obwołany Bohaterem Republiki Rosyjskiej i awansowany na kontradmirała. Zgodnie z przeczytanymi raportami, Saratow w pełni zasłużył na ten zaszczyt.

Dziś amerykański prezydent ogłosił nowy, największy w historii Ameryki program pomocy finansowej dla Rosji. Po raz pierwszy wprowadzono poważne ulgi podatkowe dla firm inwestujących w Rosji. Wkrótce firmom tym zostanie przyznane zabezpieczenie kapitałowe na przeprowadzenie tych inwestycji. Ostatnie dwa tygodnie przyniosły niespotykane ożywienie na amerykańskim rynku papierów wartościowych. Wszyscy najwyraźniej uznali, że pokój jest czymś wspaniałym.

Śmierć Atsuko Abe doprowadziła do powstania nowego rządu w Japonii, który zdaniem Ilina, będzie raczej skierowany w stronę przyszłości niż przeszłości. Niezbitym faktem było to, że Rosja posiadała bogate surowce naturalne, a Japonia kapitał i wysoko rozwiniętą technologię. Połączenie tego we właściwym partnerstwie byłoby korzystne dla obu stron.

Najlepiej sprawdza się to, co jest korzystne dla obu stron, pomyślał Iwan. Wkrótce przyjdzie pora, by agent Ju wysłał kolejną wiadomość Toshihiko Ayuakwie. Tam razem Ju wymieni nazwiska ludzi najbardziej nadających się do prowadzenia współpracy na Syberii.

Przez chwilę Ilin zastanawiał się, ile szkód wyrządził raport Ju donoszący o zniszczeniu przez Rosję wszystkich zapasów broni jądrowej. Następne miesiące po jego sporządzeniu były raczej ponure. Jednak patrząc z perspektywy czasu, uważał wówczas podjęcie takiego ryzyka za w pełni uzasadnione. W przypadku konfliktu zbrojnego Rosja miała niewiele do stracenia, a wszystko do zyskania.

Atomowe ataki na Japonię omal się nie powiodły. Nie przypuszczał, że Kaługin postawi wszystko na ostrzu noża, wydając rozkaz użycia broni jądrowej. Na szczęście nie udało się.

Jurij Jesienin i bomby na pokładzie okrętu podwodnego – to było z góry skazane na niepowodzenia, jedynie umiejętności i odwaga Pawła Saratowa pozwoliły tak daleko doprowadzić

„Admirała Kołczaka".

Atak powietrzny na Japonię, to zupełnie coś innego. Gdy okazało się, że samoloty wystartowały, asowi wywiadu przychodziły do głowy najczarniejsze myśli. Potem samoloty po prostu zniknęły.

Ilin, rzecz jasna, dowiedział się, co się stało.

Po lekturze raportów i przesłuchaniu ocalałych uczestników niedoszłego nalotu na Tokio i Tatayamę, Ilin doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej Grigorij Czernow zestrzelił rosyjskie cysterny powietrzne, zmuszając pozostałe samoloty do awaryjnego lądowania. Dwaj z ocalałych twierdzili, że to jego głos ostrzegał przed zbliżającymi się Zero, choć nikt nie widział ani jednego japońskiego myśliwca.

Jeden z agentów Ilina, zatrudniony przy naukowej wyprawie amerykańskich sejsmologów na Syberii, doniósł, że w dwa dni po nieudanym nalocie pojawił się człowiek odpowiadający opisowi Grigorija Czernowa, ubrany jedynie w kombinezon lotniczy. Amerykanie nakarmili go i dali mu pracę. Agent donosił, że Czernow wciąż z nimi rozmawia.

Biedna Rosja, kraj bez perspektyw. Choć teraz pojawiła się nadzieja. Po śmierci Kaługina, z odnowionym rządem i dzięki zainteresowaniu zagranicznych inwestorów, w tunelu pojawiło się światełko.

Być może nadzieja będzie wciąż rosła. Dzięki niej i miliardom z zagranicy Rosja może wyrośnie na kraj godny swoich patriotów, takich jak Grigorij Czernow i Paweł Saratow.

Czas pokaże.